

CHIMERA. TOM X (OSTATNI). ZESZYTY 28/30.
REDAKCYA: WIDOK — 13.

TREŚĆ.

TOM X. ZESZYTY 28/29/30. — XII/MCMVII.

ZESZYTY 28/29.

ZESZYT 30.



Ostatni wykład Leonarda.

PRZEDMOWA.

W trzydziestym roku życia, Leonard da Vinci przybył na dwór Ludwika Sforzy i założył w Medyolanie pierwszą, jaka wogóle powstała w Italii, akademię.

Sztych autentyczny z Muzeum Brytańskiego, przedstawiający widzianą z profilu florentynkę z odsłoniętą piersią, nosi napis ACHA: LE: V: i robi wrażenie dyplomu lub projektu na dyplom. Mamy nadto sześć rysunków floresowych, gdzie sznurki franciszkańskie przewijają się i wiążą wzorem dekoracyjnego pięknopisma arabskiego; czytamy na nich: ACADEMIA LEONARDI VINCI. Zgromadzenie to tworzyli zapewne naprzód uczniowie-malarze: Luini, być może przedziwny Sodoma, Andrea Solario, Marco da Oggione, Beltraffio, Cesare da Sesto, Gaudenzio Ferrari, Andrea Salaï, Francesco Melzi; dalej, humanista Lomazzo, Fra Luca Pacioli, autor „Della divina proporzione." Konstantyn Lascaris i Demetrios Chalcondylas. Urzędowy poeta księcia, Bellincione, a niekiedy i znakomity Bramante — przyłączali się do uczniów.

Akademia miala skupiać nadto młodzież żądną kształcenia się i pociągniętą przez geniusz oraz wdzięk Mistrza.

Nie jest tedy zmyśleniem bezzasadnem przypuszczenie, że mógł przemawiać po raz ostatni do tych, którzy od lat szesnastu karmili się jego wiedzą, i że, jeśli to zrobił, w owej tragicznej dlań chwili, — musiał wznieść się do rozważań najwyższych, musiał wyłożyć swą teoryę sztuki, czyli — jakbyśmy dzisiaj rzekli — swoją estetykę.

W różnych rękopisach ogłoszonych przez p. Ravaisson'a, w Kodeksie Atlantyckim, oraz w kolekcyi Windsorskiej, którą wydaje p. Szabasznikow, znajdujemy rozproszone pierwiastki tego wykładu ostatniego.

Cudzysłowy wokól zdań tekstualnych oraz odsyłacze do różnych rękopisów i wydań zjeżyłyby dziwacznie ten zwięzły zarys. Zwraca się on do artystów, a bardziej snadź jeszcze do pisarzy naszych czasów, w których niewolno szanującemu się człowiekowi oddzielać w ukształceniu swem Sztuk Pięknych od Literatury. Obyż wzniosły ten głos z poza grobu był egzorcyzmem skutecznym dla sztuki i smaku dni dzisiejszych.



OSTATNI WYKŁAD LEONARDA DA VINCI W JEGO AKADEMII MEDYOLAŃSKIEJ [1499] *).

Pragniecie usłyszeć, w przemówieniu pożegnalnem, ducha mojej nauki. I owszem, przystaję chętnie, acz duszę mam smętniejszą, niż w on dzień, gdy na ścianie refektarza wyszło na jaw złowrogie olejów działanie. Ach! budowle Bramanta opuszczone... Książę utracił państwo, majętności, wolność... i nic z tego, co przedsiębrał, nie jest ukończone...

Wytrwałość broni nas od zniewag losu, jak odzienie od urazów zimna. Podobnie, jak pomnażamy suknie, gdy zimno się zwiększa, zdwójmy wytrwałość w dobie wielkich urazów życia, aby dusza nasza nie poniosła szwanku. I pytajmy doświadczenia, tej najbardziej gorzkiej, ale

---

*) Te *Memorabilia* największego z artystów, wydobyte z pięciu tysięcy stronic jego rękopisów, z pietyzmem przetłómaczone i ułożone, przedstawiają jego estetykę i bez ujmy stanąć mogą obok czysto technicznego *Traktatu o malarstwie.*

najpewniejszej wyroczni. Pośród knowań, zbrodni i bitew, które są jednakim księstw i rzeczypospolitych obyczajem, stawać po stronie wielkorządczych losów rzemiosłem jest najemnego kondotyera. Patrzcie na mnichów: żyją oni w dobrej zgodzie z Turkami, aby tylko wolno im było śpiewać swe modły. Tak i artyści powinni być zgodni, aby tylko wolno im było robić swoje.

Jakto? nasza ręka, która tyle trudziła się, aby misternie władać pędzlem, miałaby teraz chwycić szesnastostopową dzidę! Na toż tak długo kształcilismy swego ducha, aż się stał zwierciadłem, w którem odbija się dzieło Boga, aby teraz wystawiać głowy na pociski oblężnicze! Kapłan, który się miesza do spraw świeckich, obniża swój urok i znaczenie: malarz winien nie znać innych białych i czarnych prócz barw na swojej palecie.

Doradza mu to, obok nader żywych instynktów samozachowawczych, nieskończone dostojeństwo Sztuki, która, jak słońce, jaśnieje dla wszystkich oczu i zachwyca równie pizańczyków jak florentczyków, równie gwelfów, jak gibelinów. I niedość jest — umyć ręce od wydarzeń państwowych; winniśmy nadto wyznawać najwyższe poszanowanie dla Pisma Świętego, przedewszystkiem dla tego, że w niem jest prawda, a potem, ponieważ artysta trzymający się nauk odszczepieńczych i wichrzycielskich odstręcza od swych dzieł ludzi, którzy są jedynie słów jego przeciwnikami.

Sztuka nie będzie miała wrogów i nie będzie zapoznawana przez nikogo, jeżeli artysta przykładać się będzie wyłącznie do swej pracy. Jakoż w istocie, Sztuka przedstawia tylko przyjemność dla każdego i prawdziwy pożytek moralny: leczy z nieokrzesania pierwotnego. Miejcie to za pewnik: ludzie rodzą się zwierzętami, a iluż przez całe życie pozostaje tylko workiem na pokarm! Człowiek rodzi się złym, ale wkrótce poznaje, że z jego

korzyścią jest być cnotliwym. Iluż dobyłoby puginału przeciw spółzawodnikom, iluż zabrałoby sąsiadowi to, czego im brakuje, gdyby nie strach takiegoż puginału lub praw karzących!

Dla nas robienie majątku nie jest celem, a służba nasza warta więcej od służby mnichów. Oni sprzedają publicznie i swobodnie łaski boże, nie pytając o pozwolenie gospodarza w niebiesiech, i płacą za to, czego żądają, niewidzialną, nieuchwytną monetą. My, malarze, czynimy widzialnymi Boga i Madonnę; ludzie oglądają ich na naszych malowidłach, jak gdyby w objawieniu. Jakież kazanie zdolne jest nawracać takie tłumy i przez tak długie lata, jak moja *Wieczerza* u Najświętszej-Panny-Łaskawej, zawsze jednako przekonywająca?

Gdy religia zostanie odrzucona, jako hamulec stający na przeszkodzie rozpętaniu nieprawości, fresk mój jeszcze opowiadać będzie ludziom najbardziej zepsutym o niezmierzonej Boga potędze! A gdyby ohydni zbrodniarze rzucili się na kościoły, wstrzymałaby ich — ich, których nie odstraszało już nawet świętokradztwo — piękność i doskonałość malowideł świętych.

Sztuka nasza wyjaśnia tajemnice i czyni prostemi, dotykalnemi dogmata najciemniejsze. Teolog nie zdoła nigdy wytłomaczyć Dziewicy-Matki. Gdy my ją odmalujemy, świat cały ją pojmuje i hołdem otacza. A jednak nikt z bractwa naszego nie był policzon w poczet świętych, nawet Fra Angelico!

Miłość rodzi się z poznania; im ono głębsze, tem bardziej miłość wzrasta. Owóż artysta, nieustannie zapatrzony w Stworzenie, oddaje Stworzycielowi hołd ustawiczny. Kędyż szukać Boga, jeżeli nie w człowieku, Jego dziele, i jakąż wielką modlitwą jest rysunek, który sili się zgłębić i odtworzyć obraz Boga! Wpatrzeni w przedziwny ład przyrody i w cudowną sztukę budowniczą, wyja-

wiającą się w ciele ludzkiem, poznajemy zaiste sprawcę wszego życia i miłujemy go, jakośmy powinni, rozważając, że ciało niczem jest obok duszy, która zamieszkuje taką architekturę i która — wszystko jedno, czysta czy grzeszna — jest rzeczą boską.

Piękne malowidło wysławia Artystę Najwyższego, bo zmusza do patrzenia na objaw jego potęgi. Bez nas, ubodzy duchem nie pojęliby dogmatów: my to dajemy ciało duchom i pokazujemy ludziom aniołów żywych i uśmiechnionych.

Dwa odruchy, instynkt i pragnienie, działają w nas jako siły poruszające: od jednego z nich nie możemy się oswobodzić. Musimy jeść, i spać, i odziewać się. Ale nie byłożby rzeczą niegodną zajmować ducha wydarzeniami swego żołądka? albo, gdy się jest sytym, poszukiwać snu, tego rodzaju śmierci? albo zakładać chlubę swą na chodzeniu w jednej nogawicy czerwonej, a drugiej zielonej, wedle nakazu mody, zawsze niedorzecznej? Szlachetne pragnienie jest duchowem: cnota i wiedza jedynie zadowolnić je mogą.

Pragnienie piękna odwraca nas, na przykład, od rozwiozłości, która zezwierzęca tyle osobników. Kto ma w pamięci piękne nagości sztuki, odsunie się raczej od kurtyzan, bo nie znajdzie w nich doskonałości, która żyje mu w myśli. Nie obrazy to psują obyczaje: one uzdrawiają je raczej.

Florencya, miasto demagogiczne, nie zasłużyła na piękne talenty, które jej się zrodziły, skoro uważa malarstwo za rzemiosło, dla tego że artysta otrzymuje wynagrodzenie. Nie żyją-ż kapłani z ołtarza, t. j., z prawdy, którą wykładają tłumowi? Słuszna też, iż my żyjem z piękna, gdyż bez naszego tłómaczenia mało ktoby je znał. Źli kapłani uchodzą niejednokrotnie za doskonałych. U nas obłuda jest niemożliwą. Widać odrazu, jeśli obraz jest

zły. Zresztą, policzcie ilość mnichów: tysiąc ich na jednego malarza.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym miał na celu apologię Sztuki. Posiada ona właściwość boską: tworzy; czyni widzialną niewidzialność, a trwałemi rzeczy najbardziej pierzchliwe. Słodki uśmiech ust kobiecych, który urzekł całe życie Danta, my możemy go okazywać wszystkim i przez wieki całe. To, co jest jeno mgnieniem w rzeczywistości, my umiemy przeciągać poza długowieczność patryarchów. Przez to jesteśmy panami czasu.

Wielorakość języków, Babel nieustanna, przeszkadza ludziom rozumieć się wzajem. Węgrzyn, Esklawon nie pojmą ojczenaszu wypowiedzianego po toskańsku. Malarstwo, jednaki dla wszystkich język oczu, zrozumie Turek niegorzej od Lombardczyka. Zmuszamy dziecko, a ono płacze, ucząc się liter. Pokażcie mu rysunek: odczyta treść obrazu bez nauki. Z wyjątkiem bareliefu, rzeźba nie ma takiej jasności wyrazu: pozbawiona barwy, gry świateł i cieni, wyobraża ona poruszenia ciała raczej, niż duszy.

W głowach starożytnych widzimy cechy stale te same, wszystkie boginie podobne są jedna do drugiej, piękne tą samą pięknością, młode jednaką młodością. Nasze madonny są różnemi osobami, nie zaś jednym ciągle typem, i jawią ogromne urozmaicenie rysów. Starożytność oddawała piękno cielesne tak, że niepodobna uczynić lepiej. Ale odkąd jeden człowiek umarł na Wschodzie i odkąd Zachód opłakuje go co piątek, nowe piękno wraz z nową objawiło się prawdą. Jedna dusza odniosła zwycięstwo nad światem, wyłącznie przez swą piękność. Pojmowano dotychczas tylko gwałtowność namiętności albo pogodę bogów, a oto Bóg, który płacze, oto namiętności łagodne. Wielkie cudo, z którego powstała nowa Sztuka, współzawodnicząca ze starożytną. Dzwonnica Giotta wyż-

sza jest nad obeliski. Architektura, matka sztuk, poczęła je wszystkie, ale malarstwo, niezrównane jej dziecię, powołane zostało do oderwania się od monumentu i do stania się monumentem na własną rękę, i nikomu nie przyjdzie nawet na myśl jego drobna rozciągłość materyalna, jeżeli pełne jest wyrazu.

Mówić wam będą niejednokrotnie: „Zwróć oczy ku temu zwierciadłu, możesz w niem oglądać, do woli, postacie niebiańskie lub karykaturalne; wybieraj, co chcesz widzieć: aniołów czy ludzi, królewny czy wieśniaczki, głowę Bramanta czy idyoty!“ Mogę, prawda, malować, do woli, Izabellę d' Este lub wiejską gęsiarkę, księcia Ludwika lub jego masztalerza — ale nie powinienem tego robić. Tylko postacie niezwykle wybitne zasługują na zaszczyt sztuki.

Niektórzy z was towarzyszyli mi do Borghetto, gdy szukałem rysów Judasza. Ci, znając me notatniki, pełne grotesków, zdumiewali się mojej trosce — bo przecież łatwo jest zawsze oddać coś brzydkiego. Ale jakkolwiek nikczemny był sprzedawca Boga własnego, trzeba go było zrobić możliwym pośród innych uczniów, pięknych bez różnicy, jako przystało duszom, które myśl boska przybrała sobie za towarzyszki. Pewien święty upewniał o brzydocie Jezusa. „Przez pokorę,“ mówił, „Zbawiciel pragnął niewątpliwie wydawać się najokropniejszym ze śmiertelników.“ O głupoto biskupia! Przez zakon Najwyższego, ciało jest dziełem duszy: sama ona kształtuje swą powłokę i wykuwa ją od wnętrza na zewnątrz, jak złotnik chcący stworzyć wypukłości. Spytacie: jakże się stać mogło, jeżeli Jezus był tak piękny, aby cześć i miłość nie przejęły Żydów na jego widok? Otóż, ci nędzni nie mieli wcale sztuki: zakon zabraniał im czynić wizerunki czegobądź, co jest w niebiesiech lub tutaj na ziemi. Oczy ich, te okna duszy, były zamknięte, nie otrzymały światłości form. Bez sztuki, człowiek nie zna

piękna, bo sztuka jedna je wyraża. Tym więc, którzy są ciemni, na podobieństwo Żydów, brak zawsze dobroci oraz rozumu twórczego. Spojrzyjcie na sekciarzy Mahometa, zabobonnych i okrutnych, na te prawdziwie nieokrzesane zwierzęta: nie znają oni malarstwa, podobnie jak Żydzi.

Uważać możemy jakąś postać pod trzema względami: 1-o w jej gatunku i proporcyach: człowiek jest człowiekiem, zwierzęciem ludzkiem; 2-o w jej namiętnościach oraz ich odruchach: lew rozwścieczony ryczy albo też jeździec stara się poskromić konia: i 3-o jeśli nie chodzi już o jakiegobądź człowieka, lecz o człowieka, który myśli i robi rzeczy, jakie sam tylko myśleć i robić jest zdolen.

Trzy więc mamy stopnie w malarstwie: wyobrażenie zwierzęce lub typowe; ruch namiętnościowy; i wreszcie stan pojmowania. Ci, co zatrzymują się na dwóch pierwszych poziomach, nie osiągają bynajmniej celu sztuki, którym jest wyobrażanie osobistości wiekuistej. Życie i jego potrzeby, namiętność i jej przystępy są wspólne człowiekowi i zwierzętom. I zwierzęta parzą się, chodzą na łowy, walczą między sobą, podobnie jak my. Ale my myślimy, a one nie. One umierają, my zaś jesteśmy nieśmiertelni. Owóż, nieśmiertelność wynika ze zjawisk nieznanych zwierzęciu, które są, bez wyjątku, żywszemi lub spokojniejszemi stanami myśli.

Łatwo znaleźć modelów dla rzeczywistości i dla proporcyi ciał, równie jak dla niskich namiętności. Lud i żołdactwo dostarczają wszędzie zwierzęcych akcentów gniewu i chciwości; gdzież wszakże szukać wzorów myśli i nieśmiertelności, jeśli nie między królami i książętami, którzy, bądź aby zdobyć, bądź aby zachować swą potęgę, zmuszeni są do nieustannego wysiłku przezorności, oraz najśmielszych a zarazem najskrytszych obmysłów i rozli-

czeń? Ci, którzy wznieśli się ponad spółobywateli przez wielkie czyny lub nawet przez kabały i knowania, uderzają zazwyczaj charakterem pełnym zastanowienia, któremu piastowanie władzy więcej jeszcze nadaje głębi: pilnie więc badać ich należy. Co do motłochu, nie zaniedbywałem go bynajmniej, jako jednego z przedmiotów obserwacyi; któż wszakże zużywałby barw dostojeństwo na gęby bezmyślne i rubaszne? Tyleż warto byłoby naśladować na płótnie bez zmiany pierwszy lepszy spotkany krajobraz. Niemasz widoku, który stanowiłby tło odpowiednie dla jakiejś postaci, o ile nie zmienimy go w czemkolwiek. Jaskinia zgodzi się zawsze z niedźwiedziem, wilk z lasem, a wół z łąką; ale z chwilą, gdy chodzi o obramienie szlachetnej postaci ludzkiej, konieczną jest kompozycya twórcza. Może się zdarzyć, że wielkorządca, na podobieństwo Sokratesa, brzydkim będzie dla nieregularności rysów; ale jak miejscowość jakaś przemienia się w oczach zależnie od stanu nieba, tak oblicze człowiecze, jakiekolwiekby było, nabiera życia i wyszlachetnia się głębią duchową w pewnych chwilach, gdy indywidualność wychodzi na jaw. Aby portret był podobny, trzeba wyspowiadać modela, mówić o miłości z kobietą a o walkach z wojownikiem, gwoli rozbudzeniu duszy. Róbcie portrety tylko do pół ciała i wielkości mniej niż naturalnej: w ten sposób twarz zachowa całe swe znaczenie. Zaczynajcie od oczu, niechaj będą czynne, brzemienne wolą. Pięknym jest ten portret, który opanowuje, więcej, oczarowuje widza: najlepiej niechaj z oczu danej osobistości wyziera sam artysta i niechaj w ten sposób daje coś z własnego ducha tworzonym przez się postaciom.

Żadnego ruchu ni gestu, inaczej postać stanie się alegoryczną. Okazałem wam, że model może odmieniać wyraz do nieskończoności. Ta sama głowa, pod wzglę-

dem linij i proporcyj,—przechodzi od marzenia do wzgardy, od smutku do gniewu, przez prostą zmianę cieniów wokół oczu i ust. Nie troszczcie się o uwydatnienie wyrazu, żadnych nie pozostawiające wątpliwości. Zagadka pociąga człowieka i więzi jego uwagę. Księża mają słuszność, że nie chcą, aby wyjaśniano religię. Gdyby nasze tajemnice chrześciańskie zostały zrozumiane, trzebaby natychmiast wymyślić inne; umysł nasz karmi się zagadnieniami. Magia zgubiła wiele tęgich głów, ponieważ, odsłoniwszy, w mniemaniu swem, tajniki wiary, stały się one wyznawczyniami innych tajemnic dziwacznych i, wrzekomo przeniknąwszy skrytości Kościoła, spostrzegły wnet inne... a potem inne jeszcze.

Rozum ćwiczy się, jak u siebie w domu, w dziedzinie doświadczenia. Nabyć jakąś wiadomość — pożyteczna zawsze dla umysłu, choćby dla tego, że porzuca się bezużyteczne, a zachowuje to, co dobre. Bo, nie znając, niepodobna nic kochać lub nienawidzieć; to też pragnienie poznania działa w człowieku jako instynkt zwierzchniczy.

Znajomość przeszłości i badanie stworzenia są ozdobą i karmią ducha ludzkiego. Należy posuwać się od znanego do nieznanego — i świadectwo zmysłów jest prawdziwym probierzem prawdy; ale rozum nie może ogarnąć nieskończoności: początek i koniec rzeczy leży za granicami umysłowości ludzkiej. Niechaj sobie mnisi i księża, którzy przez natchnienie posiedli wszystkie tajemnice, tłómaczą pisma święte, które są prawdą najwyższą. My zadowolnijmy się tem, że, nieokreślając nieskończoności, damy ją odczuć. Aby wywołać ten odblask nieskończoności w jakiejś twarzy, należy odrzucić znamiona namiętnościowe i ukształtować maskę poważną i uśmiechnioną jednocześnie, pociągającą i ujarzmiającą zarazem, niby chimerę, która nie byłaby okrutną, albo syrenę, która chcia-

łaby tylko wypróbować żeglarzy, albo wreszcie niby anioła nieco ironicznego.

Te materye zbyt subtelne wymykają się słowom: zrozumiecie mię jednakowoż, gdy powiem, że piękne oblicze winno być jak gdyby muzyką myśli harmonijnych a nieokreślonych. Jakaś nuta wydaje nam się smutną lub wesołą, stosownie do okoliczności, jaką nam przypomina; podobnie, jakaś twarz nader różnym podoba się widzom: żaden nie widzi w niej tegoż samego.

Mówili jedni, że zbyt wielką dałem przewagę naturze ludzkiej Zbawiciela, ponieważ poza jego głową brak tradycyjnego nimbu złotego; drudzy, że rozwinąłem zanadto naturę boską, ponieważ Jezus z rezygnacyą nadludzką przyjmuje zdradę Judasza. Zrobiłem zatem dobrze, skoro stronnicy jednej i drugiej natury odnajdują je w mojem dziele. Widz doszukuje się w obrazie, na który patrzy, własnych swych dążności; i sam artysta odtwarza nieprzeparcie myśl swoją, więcej nawet, rysy swej własnej twarzy; dochodzi tak daleko, że obdarza modelów swych własnemi wadami i zaletami.

Kto wierzy, iż celem Sztuki jest odtwarzanie natury, nie namaluje nigdy nic trwałego: bo natura — żyje. Ale nie ma ona rozumu. W dziele, myśl winna wynagrodzić i zastąpić życie, inaczej ujrzymy tylko twór cielesny, bez duszy. Dostojniejsza to będzie zawsze — pomyśleć postać niebiańską, aniżeli skopiować ziemską, namalować anioła aniżeli człowieka.

Jedynie przedmioty duchowe godne są kusić prawdziwych artystów, choćby tylko przez swoją trudność! Czem gardzimy w rzeczywistości, gardźmy tem również i w sztuce. Któż śmiałby wziąć za temat obrazu żebraków u drzwi kościelnych, albo wieśniaczki na targu, albo też wyobrazić odwach, szynkownię lub ghetto żydowskie? Wszystko to może być pożytecznem przy nauce. Brzydo-

ta przyda się przy badaniu piękna, bo pojmujemy lepiej jakąś rzecz przez jej przeciwieństwo. W dziele, prawidłem jest piękno, wynikające z potrójnej doskonałości: formy, uczucia, oraz idei.

Zaczynamy od piękna zewnętrznego, i możemy sobie przyklasnąć, gdy je osiągniemy; potem staramy się wydobyć na jaw duszę. Byłoby dziecinstwem ubiegać się o oddanie namiętności, zanim się posiędzie wszystkie części budowy ciała ludzkiego i pozna ruchy każdego członka w najprzeróżniejszych położeniach. Ale kto już posiadł umiejętność, postępować będzie inaczej. Zacznie dzieło w duchu; potem będzie się starał wynaleźć ruch odpowiadający jego idei; wreszcie, po trzecie, narysuje ciało zamierzonej osobistości. — Gdyby ktoś, chcąc malować Chrystusa, zaczął naprzód pracować podług modela, nie doszedłby do niczego. Oto jak winien postępować. Musi wyobrazić sobie, naprzód, medytacyjnie, czytając Ewangelię, Człowieka-Boga; gdy wyobrażenie wyosobni się w jego duchu, musi wybrać zdarzenie najbardziej nadające się do uwydatnienia tego obrazu, oraz zdecydować rysy twarzy, postawę i wszystko to (osoby czy krajobraz), co ma obramić Zbawiciela. Wówczas dopiero niechaj weźmie modelów, aby ustalić ruch, fałdy odzienia, oświetlenia i perspektywę optyczną.

Przedniejsze wszakże głowy, te, które mają wyrazić myśl jego, musi stworzyć w swej wyobraźni. To wynalezienie twarzy jest wierzchołem geniuszu i trudności zarazem.

Dzieło składa się, jak człowiek, z ciała, duszy i ducha. Uczniowie, zaczynajcie, wedle wymagań nauki, od ciała, które jest rzeczą znaną, aby potem dotrzeć do duszy, która stanowi nieznane. Mistrz, przeciwnie, zacznie od idei, a potem nada jej wyraz i kształt właściwy. Nie naśladujcie malarzy północnych, którzy, nie wznosząc się

do dziedzin ducha, celują w oddawaniu niektórych uczuć, jak pokory i prawdziwej zbożności, ale kopiują przytem niewolniczo pierwszą lepszą osobę spotkaną i brzydko odziewają piękne dusze.

Na ulicy zwraca uwagę nie człowiek szlachetnej, spokojnej postawy i przystojnej odzieży, lecz ten, co uderza wzrostem nadmiernym lub strojem dziwacznym.

W sztuce, widz lubi przedewszystkiem wszelkie przesady: uwielbienie jego żąda, aby je zdumiewano czemś niezwykłem i nieznanem; dla tego, na drodze, którą wam nakreśliłem, nie zbiera się uznania ogółu. Oko tłumu znajduje upodobanie w barwach nader żywych i niezgodnych, kładzionych twardo jedna przy drugiej: jest to błąd barbarzyński. Obraz powinien mieć barwę ogólną, panującą i uciszającą zabarwienia poszczególne, jak gdyby rozsiane w nim światło stanowiło kolor główny.

Rysunek ma za przedmiot jedno tylko: apoteozę ciała ludzkiego. Biorę to słowo w znaczeniu starożytnem, w rozumieniu heroicznem, i dochodzę oto do ważnej kwestyi charakteru dwu płci.

Wojownik nie będzie miał nigdy zawiele męzkości, ani młoda branka — zawiele słabości i omdlałości. Ale postacie anielskie lub alegoryczne do jakiejż płci należeć będą? Zarost i piersi wypukłe nie przystoją jednako naturom duchowym; nawet gdyby naśladować cechy wieku bardzo młodocianego, chłopiec będzie miał zawsze niedość słodyczy, a dziewczątko wyda się nazbyt wątłem.

Jeśli chcecie malować anioła, podług mężczyzny, musicie zaokrąglić członki, ścieńczyć stawy, uczynić ruch giętszym, bardziej niewieścim; jeżeli pracujecie podług kobiety, trzeba usunąć nadmiar ciała, zmiejszyć krzywizny, nadać twarzy więcej męskości: tak, aby wydobyć młode dziewczę z modela męskiego, albo młodzieńca z modela kobiecego. W obu wypadkach, otrzymacie trzeci stan

ciała ludzkiego, łączący w sobie siłę z wdziękiem i stojący ponad wszelaką chucią czy pożądliwością; ten bowiem trzeci stan postaci ludzkiej nie obudzi żądzy w mężczyznach, choć jest takim kobiecym, ani pragnień w kobietach, choć tyle w sobie męzkich ma rysów. Jest to zresztą jedyny sposób, aby uczynić piękno czystem i odpowiedniem dla posłów niebiańskich, dla geniuszów oraz innych przejawów duchowości.

Dodajcie do tej formy, której natura nie zna, i którą geniusz człowieczy wynalazł, aby módz wcielać niewidzialne, dodajcie — mówię — do tej formy charakter muzyczny wyrazu oraz cechy zagadkowe, jakie nadaje modelacya zastosowana do wydobycia na jaw wewnętrzności,— a otrzymacie prawdziwe zjawy nadziemskie, bez uciekania się do nimbów, niebios otwartych, albo efektów światłocienia.

Malarz odnosi wielkie zwycięztwo, okazując przez samo piękno, że jakaś postać nie należy do ziemi i niebawem powróci do nieba, zkąd zstąpiła.

W nagościach, ciało, przez swoją masę świecącą, odrywa nas od twarzy, tej niezrównanej widowni wyrazu: dobrze jest tedy miarkować ów blask za pomocą oświetlenia sztucznego. Co do głowy, należy ją modelować z wnętrza na zewnątrz. Jeżeli przyjmiecie modelacyę światła zewnętrznego, wyrzeczecie się potęgi i czaru ekspresyi. Usuńcie śmiało głowę z pod wpływów okolnych, niechaj ona będzie obrazem w obrazie. Zwyczaj rozpoławiania twarzy przez linię nosową i pogrążania jednej strony w cieniu—nic nie wart. Modelujcie przedewszystkiem wyraz, a potem szukajcie światłocienia odpowiedniego dla tej modelacyi.

Zanim przystąpicie do malowania, ustalcie głowę aż do szczegółów jedną barwą, zwłaszcza usta i oczy, i doprowadźcie je do ostatnich granic wykończenia. Kto ma

oczy, ma usta; kto ma oczy i usta, ma głowę; kto ma głowę, ma postać całą, bo w głowie objawia się myśl, ten nieśmiertelny przywilej człowieka. Ciało, draperye, tło, wszystko to są rzeczy dodatkowe.

Widzimy nieraz malarzy, których przyroda oczarowuje i ujarzmia; nie sądzą jej oni, odbijają jeno, jak staw odbija swe brzegi. Mistrz nie ulega takim zawrotom głowy; jest on, niewątpliwie, kochankiem natury, ale broni się od służalczości; to nie Herkules przędący u stóp Omfalii, lecz Ulisses przed czarodziejką Medeą, zmuszający ją do posłuszeństwa mieczem rozumowania.

Model, pożyteczny i niebezpieczny zarazem, zaciera nam w pamięci własną naszą koncepcyę, a mówiąc to, nie mam bynajmniej na myśli aktów nagich wyłącznie. Nawet w portretach, strzeżcie się mód swojej epoki: uczynią one dzieła wasze śmiesznemi w oczach potomności. Strzeżcie się również idej swego czasu: artysta nie pracuje dla swych współczesnych, ani dla swego kraju, ani dla swojej rasy. Wszystko, co jest medyolańskiem, florentyńskiem albo z takiego a takiego roku, wszystko to jest złe: należy myśleć o powszechności ludzi i czasów. Strzeżcie się wreszcie, aby głowy jednego malarza nie były wciąż podobne do siebie i aby ten rys pokrewieństwa nie narażał rozmaitości osobników. Wiekom przyszłym nudnemi się wydadzą te mody, te ruchy przesadne, te miny nienaturalne, które są tylko chwilowemi wykrzywieniami jakiegoś miasta czy gromady ludzkiej.

Nie naśladujcie tych, co przyodziewają swych bohaterów we własne kaptury, a postacie biblijne—w łachmany, ujrzane gdzieś w porcie lub na statku. Bo, gdybyśmy nawet znali rzeczywiste ubiory apostołów, jeszcze nie powinniśmy naśladować ich niewolniczo — inaczej byliby to poprostu rybacy z nad Tyberyady, równie nic nie znaczący jak tutejsi z nad Adryatyku. Owóż, w apostołach

zajmuje nas przedewszystkiem ich apostolat, nie zaś ich rzemiosło pierwotne: i mamy obowiązek wyobrazić ich jako rybitwów ludzi, nie zaś jako rybaków ryb. Wyobraźcie sobie, że odtworzyłem wiernie dwanaście głów żydowskich z Borghetto, składając się tem, iż uczniowie Chrystusa byli żydami, i że przyodziałem ich w turbany i suknie widziane w Wenecyi! Cóż za śmieszność! Cóż za karykaturalna rzeczby to była! — Nie pozostaje zatem, jak odziewać w szerokie szaty fałdziste na modłę starożytną — powiecie? Dla czego na modłę starożytną? Nie odziewałem nigdy inaczej jak po Leonardowsku: stwarzałem m o j e suknie, m o j e płaszcze i ich fałdy, podług mych ciał! Nie naśladujcie teutonów oraz ich załamań o kątach prostych i tak licznych, że ciało znika i że widać już tylko głowę i dwie ręce wydobywające się z dwudziestołokciowej fali tkanin. Malujcie podług tkanin cienkich i zwilżonych, i stopniowo dopiero pogrubiajcie, aby nie stracić z oka ciała. Każda postać namalowana winna módz zbudzić miłość, pełną czy to uwielbienia, jeżeli jest święta, czy ponęty, jeżeli świecka. Sztuka chce podobać się duchowi za pośrednictwem zmysłów. Nuży nas szybko świetna a hałaśliwa młodość, i znużyłoby nas szybko dzieło nie mające innego ponad ten powabu. Kobiety wywierające wpływ gwałtowny są raczej przebiegłe i zręczne, aniżeli nieskalanie piękne: nie należy zatem poprzestawać na wyobrażaniu osób pięknie ukształtowanych i szlachetnych. Złożoność i subtelność urozmaicają niesłychanie ten sam przedmiot.

Niewiele filozofii potrzeba malarzowi, jeżeli pojmuje wyraźnie cel swojej sztuki. Niejednokrotnie wszakże uważa on, iż skończył z nauką, odkąd zdoła malować ściśle podług natury, — i, zapoznając wielmożne dostojeństwo swego pędzla, posługuje się nim gdyby narzędziem rzemieśl-

niczem, zamiast używać go tylko na rzecz piękna, jak rycerz dobywał miecza jedynie za sprawę słuszności.

Z Piękna, jak ze źródła, słodkie płyną rozkosze; oko podaje duszy miłe wrażenie, a dusza udziela go duchowi, rozwijając przez to nasze władze. Powstając naraz ze zbiegu stosunków i proporcyj, nabierając potem życia przez namiętność żywą i heroiczną, Piękno dochodzi jednak do szczebli najwyższych dopiero w sferze duchowości. Wyobraźnia nasza mocniejsza jest od naszej wrażliwości; duch strzeże lepiej tego, co otrzymał, niż podległa wzruszeniom dusza.

Ileż kobiet porusza z kolei człowieka, podczas gdy pozostaje on wiernym aż do starości myślom swych lat młodzieńczych! Aby Sztuka mogła zadowolnić ducha, dzieło musi ujawnić jednocześnie piękno rodzaju i piękno indywidualne, musi zjednoczyć w sobie doskonale ukształtowaną istotę typu z rozmaitością zależną od indywidualizmu. Im więcej w stosunku doskonałym szczególnych zawrzecie właściwości, tem pewniej osiągnięcie poklask trwały. Wyrażając swą myśl, czuję podobną obawę, jak gdy mam schwycić motyla o skrzydłach połyskujących pyłkiem leciuchnym, który ściera się pod palcami.

Piękno złożone wynika z dwuznaczności i prawie z przeciwieństw. Wyobraźcie kobietę zbyt dumną, aby człowiek śmiał mówić jej o miłości, a nie mogącą ukryć niecierpliwego pragnienia być kochaną.

Tę połowiczność uczucia, ten wyraz dwoisty i zwikłany— zgłębiać należy u kobiet: ich ustawiczne wahanie się, ruchliwa kapryśność ich usposobień są źródłem tych mieniących się spojrzeń, tych uśmiechów niedających się określić, tych prawdziwych drogich kamieni dla artysty, który zdoła w szlachetne oprawić je rysy.

Tak powstają owe migotliwości duszy, nieodparty rzucające urok i roznamiętniające jak zagadnienia szczę-

ścia. Bachantka, mniszka, obie o cechach zbyt wyraźnych, nie podniecają bynajmniej wyobraźni. Widz poznaje natychmiast ich rzeczywistość i nie ma powodu do marzenia. Musi on, przeciwnie, powątpiewać o swem zrozumieniu, aby w nad miarę podrażnionym umyśle zaroiły mu się najróżnorodniejsze wykłady i objaśnienia. Człowiek kocha głęboko jedynie rzeczy nieuchwytne i zapala swe pragnienie jedynie u krzosu przeciwieństw. Ludzie, których opuszcza żarliwa ongi nabożność, stają się zabobonnymi, więcej, oddają się czarnoksięstwu, z potrzeby nieznanego; nawet podniosła miłość wiedzy ma swe źródło w nieprzepartem ciążeniu natury naszej ku rzeczom niewytłómaczalnym. Miłość prawdy — ten najszlachetniejszy odruch naszego ducha — zanikłaby niezwłocznie z chwilą osiągnięcia celu. Poszukiwanie rozognia nas, wyrabia nasze władze, potęguje w nas życie wyższe. Odkrycie zawsze nas rozczarowuje. Szczęście jest tylko pobudką do działalności; gdybyśmy je osiągnęli, jużby nam nie wystarczało: zwrócilibyśmy się ku nowym poszukiwaniom.

Podtrzymujemy życie fizyczne pokarmami; życie duchowe znajduje karm' swoją w sztuce, bo ta utwierdza człowieka w jego poczuciu nieśmiertelności. Niebezzasadnie umysł podobien jest magnesowi: siła jego potęguje się w miarę ćwiczenia jego właściwości. Dostojeństwo śmiertelnika uwidocznia się w pieczy, jaką otacza on swój umysł: kto pielęgnuje rozum, pielęgnuje cnotę. Wszeteczniсy, popędliwcy i chciwcy nie są ludźmi rozmyślań i pracy; nieustannie w pogoni za okolicznościami sprzyjającemi ich głupim namiętnościom, podtrzymują oni zamęt w kraju i zagrażają spokojowi innych. Kto z rozkoszą najwyższą zatapia się w rozważaniu stworzenia i sili się rozróżnić w niem prawa rządzące, ten dobrym jest obywatelem; uchyla się on od spółzawodnictw i nie zna żądzy ni zazdrości. Przykłada cenę najwyższą jedynie do

zbogacenia swej umysłowości: i słusznie, w rzeczywistości bowiem nie posiadamy nic prócz swych myśli. Patrzcie więc, gdzie szukać prawdziwych bogaczy? Nie są-ż nimi artyści, szafujący hojnie czeladzi ludzkiej skarbami swych wizyj, objawiający doskonałość rzeczy i świadczący o wszechmocnej ręce Wielkiego Artysty, której jesteśmy arcydziełem, ponieważ posiadamy nawskróś boską władzę tworzenia? Niemasz istotniejszego nekromanty, niemasz prawdziwszego cudotwórcy nad malarza.

Wywołuje on, wedle swej woli, najstarożytniejsze osobistości i nawet bóstwo samo! Niedość tego! na płaskiej i ograniczonej powierzchni umie okazać całą krainę z rozległemi równinami, wysokiemi górami, krętemi rzekami, i jednocześnie dziecię-Jezusa, jego matkę, oraz orszak królów magów; i to nie są widma zwiewne, co olśnią na chwilę i zacierają się natychmiast: tu zjawa przeżywa tego, co ją wywołał.

Sam tylko malarz zdolen jest wywoływać duchy: nawet święci zjawiają się na zew jego i w takiej postaci, jak ich sobie wyobrażamy.

W tematach świętych należy trzymać się wierzeń powszechności, ponieważ same one są już obrazem wytworzonym przez wyobraźnię wiernych, z którym pomysł jednostki nie może się mierzyć. Odwiedziny królowej Saby u Salomona zależą zupełnie od upodobania artysty.

O ile jakaś postać nie istniała dotąd w umysłach ukształconych, z rysami uświęconemi przez tradycyę i ściśle określonemi, niechaj artysta usiłuje uczynić ją tak pełną znaczenia, aby współcześni włączyli ją w orszak osobistości tradycyjnych: byłoby to najpiękniejsze powodzenie. Nie wyrażając żadnego faktu historycznego, postać ta będzie objawieniem jakiejś duszy.

Trzeba myśleć o muzyce i o chwili milczenia poprzedzającej wieczór, jeżeli się chce stworzyć wyraz kuszącej

ponęty. Gdy namalujecie kobietę, niechaj widz zapragnie być kochanym przez nią, żadnej jednak nie żywiąc nadziei! To są jedyne miłości, które nie kończą się łzami: bo im więcej uczucia w naszych pragnieniach, tem większa męka, wielka męka!

Malarz, który schlebia grubym instynktom, zapoznaje dostojeństwo swej sztuki. Ci i owi księża wykrzykują przeciwko studyowaniu nagości i chcieliby, aby, gwoli wstydowi, człowiek nie znał świetności ciała. Sztuka nie może różnić się od człowieka: niewolno jej wyrzec się ani wdzięku, ani tchnienia rozkoszy, o ile nie chce umniejszyć się i ograniczyć. Wszystko dochodzi nas przez zmysły; cnotliwość polega na miarkowaniu ich odruchów przez jakiś pociąg wyższy. Kobieta budząca pożądanie nie będzie bynajmniej Wenerą, o ile brak jej cechy właściwej boginiom, że onieśmielają żądzę śmiertelnika. Niektórzy wyobrażają aniołów jako dzieci, jak gdyby czystość ich pochodziła z niewiadomości. Według mego rozumienia, potęgujemy ich dostojeństwo, jeżeli oczy ich niepokoją człowieka swoją wyższością umysłową. Wykonawcom zamierzeń niebieskich, powiernikom tajemnic — źle przystawałaby niewinność prostaczków. Anioł taki wyglądałby na dobrego sługę, który nie wie, co za piękny powierzono mu obowiązek, i spełnia go niewolniczo.

Starożytni nie postępowali nigdy lekkomyślnie, i trzebaby mieć szczególne powody, by nie iść za ich przykładem. Jeżeli ich malarstwo, z którego nic się nie przechowało, podobne było do ich rzeźby, to miało ono wyłącznie charakter typów: bo najpiękniejsze posągi wyrażają spoczynek. Niechaj wasze postacie odosobnione będą spokojne; zaznaczajcie charakter czynny tylko w wyrazie: uśmiech niezwykły zaciekawi umysł bardziej, niż gestykulacya gwałtowna. Niewątpliwie, i z bitwy można stworzyć dzieło dramatyczne, dałem przykład tego, we

Florencyi, w epizodzie z pod Anghiari; jest to wszakże sztuka drugorzędna, wyższa od wyobrażania czysto zwierzęcego, ale niższa od wrażeń wywieranych przez pierwiastki duchowe. Oto dlaczego lud sądzi zawsze źle i nie poznaje się na pięknie najwyższem. Rzeczywistość sąsiaduje bliżej z jego własną naturą niezmiernie ograniczoną. Ganiono mnie, że zajmuję się najróżniejszemi rzeczami, obcemi mojej sztuce. Malarz winien być człowiekiem wszechstronnym i korzystać z najdrobniejszych spostrzeżeń. Poziomy to umysł, w którym nic nie budzi zajęcia oprócz własnego procederu! Dzieło rozszerza się lub zacieśnia stosownie do tego, czy mózg malarza wielkie lub małe ogarnia widnokręgi. Kto w całym świecie widzi tylko swego modela i swą paletę, schodzi na poziom rzemieślnika: nie zastanawia się już ani nad sobą ani nad innymi, natura uderza tylko jego oko, lecz nie ducha, sam on staje się tylko okiem i ręką głupca — poza umiejętnością władania pędzlem — zupełnie ciemnego. Nauki są prostymi żołnierzami sztuki: pomagają jej do wyrażania z całą ścisłością najniedostrzeżeńszych, najnieuchwytniejszych rysów ducha. Rozległość i pewność wiedzy stanowią podstawę każdego zawodu. Cudowna harmonia wiąże między sobą rzeczy stworzone, i oko malarza wydobywa pierwiastki swej sztuki z widowiska życia. Bicie skrzydeł ptasich da wam rysunek powieki, fala konająca na piasku wskaże odruchy uśmiechu. Znajdowałem na niebie blaski dające się zastosować w spojrzeniu, a kwiaty nauczyły mnie póz dla rąk.

Malarz powinien przestawać z ludźmi, których los pomyślny wyniósł wysoko. Ich zamiary głębokie, nawyknienie do zuchwałego ważenia się na rzeczy i do szczęśliwych zawsze wyników, niezachwiana skrytość, która jest im konieczną, ustawiczna troska o zachowanie lub wzmożenie władzy, wszystko to wytęża ich sprężyny

wewnętrzne i czyni z nich przedziwny materyał do studyów.

Ich oczy wyniosłe przysłaniają się, wedle woli, albo miotają błyskawice; w radzie czy w potyczce nabierają wyrazów, które doprawdy wprost przenosić na płótno. Tymczasem pośledni obywatel, zajęty jedynie zarabianiem pieniędzy, nie godzien naszej uwagi: niemasz dlań żadnego odpowiednika malarskiego. Łatwiej znajdujemy natchnienie w kobiecie, niż w mężczyźnie, bo patrzymy na nią z mimowolnem upodobaniem, które ma swój powód, nieznany prawom przyrody. Malujcie ją, ze ściśniętemi kołanami, z rękoma zbliżonemi do ciała, z głową pochyloną i nieco w bok przegiętą: niechaj nie robi wrażenia zbyt łatwej zdobyczy ani zdawkowej uprzejmości. Inaczej widz nie uczuje żadnego pociągu, a niewarto pracować nad postacią, której niktby nie zechciał, gdyby spotkał ją żywą. Nie trzeba również, aby widz miał poufałe uczucie, że spotykał już waszą postać, albo że zna zupełnie do niej podobne. Nawet przed portretem, krewni i przyjaciele winni dziwić się rzeczom, jakich malarz dopatrzył się w modelu. Jest pewna, rzadka nader władza przenikania aż do wnętrza istot, która sama jedna pozwala osiągnąć podobieństwo idealne, różniące się zasadniczo od dokładnego widzenia; działa ona w sposób wieszczbiarsko-odgadujący i wyjaśnia nieznane przez znane, istotę wewnętrzną przez jej zewnętrzność. Rysowałem wielu starców, ponieważ ich zmarszczki i wykoszlawienia odsłaniają namiętności i cierpienia ich lat minionych; z fałd ich skóry czytać można koleje życia, jak gdyby się patrzało na mapę dokonanego ich przeznaczenia. U schyłku żywota, nos pyszałka zaznacza się wyraźniej, łysina odsłania czoło czcichutnego, bruzdy na twarzy wyjawiają skąpca, a nadmiernie wydatne wargi — żarłoka. Dajcie nizkie, zapadłe czoło, spłaszczcie nos — a doprowadzicie typ do rubieży

głuptactwa. Rozszerzcie szczęki, zwężając wargi,—a stworzycie wyraz okrucieństwa. Każda z namiętności naszych ujawnia w szczególności jakiś popęd bestyalny, i podobieństwa zwierzęce odsłaniają, na pierwszy rzut oka, całe dusze ludzi. Któż nie zauważył dziwnego powinowactwa między ludźmi prawa a lisem, między duchownymi a fałszywą dobrodusznością niedźwiedzia, podczas gdy ludzie szlachetni lecz niegłębokomyślni przypominają konia, kondotyerzy nasi mają profile ptaków drapieżnych, a śród ludu najzwyklejszym jest typ zbliżony do psa lub barana. Cóż dziwnego, że mamy popędy zwierzęce, skoro organizm nasz w tylu punktach zbliża się do organizmu zwierząt? Ale, z innej strony, konieczność pracy nadaje ciału ludzkiemu cechy zasmucające: można odgadnąć profesyę człowieka z nadmiernego rozwoju lub zaniku tej lub owej części ciała. Moda również psuje nasze kształty. Nogi wykoszlawiają się jednako przez nędzę i przez zbytek, przez wykwintne obuwie i przez chodzenie boso: należy więc rysować je idealnie. Dawajcie pierwszeństwo przed kurtyzanami kobietom wysokiego rodu i dobrych obyczajów. Życie próżniacze, skłonność do marzeń, czytanie poetów, pewien zresztą urok bogactwa — są rękojmią, że znajdziecie w nich doskonałe studyów przedmioty. Starajcie się zbudzić w nich żywe zajęcie, aby dać polot ich zalotności: uczciwe mają często wiele wyrazu, podczas gdy niepowściągliwe robią wrażenie jakiejś czczości wewnętrznej. Żądza hamowana wybłyska w oczach. Czemuż kobiety odsłaniają swe lubieżności, swe najsromotniejsze i najskrytsze postępki księdzu, który nic z tem nie umie począć, podczas gdy też same wyznania dopomogłyby wielce malarzowi?

Noszę zawsze przy sobie małe zeszyciki, w których rysuję naprędce wszystko, co mnie uderza: nigdy atoli nie przeniosłem ani jednego z tych szkiców do żadnego

z mych dzieł. Byłem bardzo młody, gdy namalowałem jednego z aniołów w *Chrzcie Chrystusa* mistrza Andrzeja Verocchio, i wówczas już zdołałem stworzyć piękno, jakiego nikt dotąd nie oglądał. Głowy moje nie są podobne ani do mnie, ani do moich przyjaciół: są to medale myśli mojej, i dla tego pociągać będą zawsze tych, co myślą.

Unikajcie cech charakterystycznych, podobnie jak mód, waszego miasta, i myślcie o czasach przyszłych.

Malarz nie jest historykiem obyczajów, wyobraża on na płótnie człowieka, nie zaś medyolańczyków czy florentczyków. I tego już zawiele, że najróżniejsze postacie tego samego malarza mają zawsze jakiś rys pokrewieństwa.

Uczucia gwałtowne, czyny dramatyczne uderzają wrażliwość raczej, niż wyobraźnię. Przeciwnie, jeśli namalowana przez was postać wyobraża tylko siebie samą, bez żadnego gestu czy atrybutu, umysł widza doznaje podrażnienia — a wiecie, że człowiek lekce sobie waży to, co rozumie. Kształty niechaj zawsze będą harmonijne i takie, jakie ustanowili starożytni. My dzisiejsi możemy, po nich, tworzyć rzeczy nowe tylko w dziedzinie wyrazu. Aby odkryć jego teoryę, idźmy drogą nauk, przez doświadczenie! W chwilach szczęśliwych, gdy patrzymy na cudną okolicę w piękny dzień słoneczny, albo gdy słuchamy przyjemnej muzyki, albo wreszcie gdy istota ukochana wyciąga do nas ręce, nie wiemy, jak oddać naszą radość: nazywamy ją wtedy niewypowiedzianą, niewyrażalną, niewysłowną, nieprzetłómaczalną. A więc! według mnie, winniśmy dążyć do wypowiedzenia rzeczy niewypowiedzianych, wyrażenia niewyrażalnych, urzeczywistnienia niewysłownych, przetłómaczenia nieprzetłómaczalnych. Wszystkie one są już gdzieś poza kształtami i proporcyami — i malowanie ich wykracza poza granice wyobrażania plastycznego; jest to tworzenie duchowe,

która ducha też pociągać będzie. Postacie takie darzą widza tą samą radością, co twarz ukochana. Ale twarz odnawia nieustannie swój wyraz, postać zaś malowana — nie.

Złożoność wyrazu musi zatem wynagrodzić wielką rozmaitość następujących po sobie gier fizyognomii. W tym dziale sztuki nie miałem poprzednika, a oto jak sam postępuję. Robię wiele rysunków tej samej głowy, jedne z wyrazem nader tkliwym, drugie z ironicznym, te pełne omdlałości, inne tryskające życiem; i podług tych różnych wersyj jednego tekstu, pożyczając to ztąd to zowąd jakiegoś odcienia, układam oblicze tak zagadkowe, że każdy w niem widzi to, co chce, nie myląc się jednak doszczętnie co do rzeczy, jakie w niem zawrzeć chciałem, bo wolą moją było usnuć wątek wyrazu z włókien najróżnorodniejszych. Wiecie, że, zmieszawszy rozmaite wonności, otrzymujemy nową; tak ja mieszam przeróżne wyrazy twarzy, by otrzymać z nich urok niejednolity, który nigdy nie znudzi widza, bo ten nigdy nie będzie pewien, czy to, co widzi, jest tem, co jest. W takiej sztuce, postać na obrazie panuje nad widzem potęgą spojrzenia i niepokoi umysł jego jednoczesnym wyrazem wabności i lekceważenia wzgardliwego, rozdzielonym w równych częściach między oczyma i ustami. Większa to chwała pracować twórczo w takiej sztuce, niż malować namiętności, bo ruchy myśli są bez porównania subtelniejsze.

Wiem dobrze, iż nie jestem biegłym w literaturze, i że pewni zarozumialcy sądzą się w prawie zarzucać mi, jako nie rozprawiam wzorem uczonych humanistów! Bezmyślni! Mógłbym im odpowiedzieć, jak Maryusz patrycyuszom rzymskim: „Ci, co chełpią się pracą innych, chcą zaprzeczać mi owocu mych własnych znojów.“ Powiadają oni, że, nie będąc uczonym pisarzem z zawodu, nie powinienem wdawać się w żadne teorye. Nie wiedzą

snadź, że to, co mnie zajmuje, zależy od doświadczenia, nie od wysłowienia. Ci, co pisali dobrze, nie znali innej muzy prócz Eksperyencyi: i moją ona jest przewodniczką. Tym, co śmią lekceważyć mnie — mnie, który jestem twórcą—odpowiem, że oni są tylko powtarzaczami starożytności. Twórca jest pośrednikiem między przyrodą i człowiekiem, podczas gdy czczy deklamatorzy przypominają raczej zwierciadła, które nie istnieją same przez się, i w które spoglądamy tylko gwoli temu, co odbijają. Jeżeli nie umiem poprzeć odkryć swych cytatami, powołam się na powagę wyższą, eksperyencyę, mistrzynię ich mistrzów.

Niepodobna kochać lub nienawidzieć czegobądź bez poznania; miłość jest jego dzieckiem i tem dostojniejszem, im poznanie jest głębsze. Owóż, mogę rzec śmiało, że kocham prawdę, skoro silę się wydobyć ją z form i kształtów. Humaniści opisują obrazy starożytne, których żaden nie widział, ja zaś maluję obrazy, które każdy oglądać może, i które są owocem mego rozumowania. Dzieła starożytne są przykładami, mają one wskazywać nam, jak tworzyć nowe, inne. Gdybym, jak drudzy, kopiował draperye posągów rzymskich, przyklaskiwanoby mi za to naśladownictwo. Wynalazłem inne, jedynie właściwe dla mych postaci. Komu obca matematyka, ten nie zrozumie mnie z pewnością, ale to są jeszcze nauki, w których naśladownictwo jest możebne: uczeń może wkrótce wiedzieć tyleż, co mistrz; w malarstwie rzecz się ma zupełnie inaczej. Geometrya może sprowadzić każdą powierzchnię do kwadratu, każdą bryłę do sześcianu; arytmetyka postępuje podobnież z pierwiastkami kwadratowemi i sześciennemi; piękność linij atoli uwidocznia się tylko w malarstwie, a tam najpilniejszy z uczniów nie zdoła często dorównać mistrzowi.

Artysta może osiągnąć taką władzę nad duchem wi-

dza, że ten zdolen będzie rozkochać się w kobiecie malowanej, niemniej niż w żywej. Zdarzyło mi się wykonać obraz treści religijnej, za którym jął szaleć pewien człowiek; kupił go i chciał zniszczyć to, co wskazywało boskość postaci, aby módz całować ją bez wyrzutów sumienia. W końcu, musiano usunąć malowidło z domu. Ten rys dowodzi duszy rozwiozłej i niepowściągnionej; iluż wszakże znajduje rozkosz nader czystą we wpatrywaniu się w piękności, córy naszej sztuki! Gdybym chciał mówić jak humanista, powiedziałbym, że najpodnioślejszą namiętnością jest ta, która płonie do obrazu piękności zamiast do jej rzeczywistości cielesnej, i że szlachetna to rzecz znajdować rozkosz we wpatrywaniu się i rozpamiętywaniu jedynie. Wszystkiego niemasz w książkach: opis daje zaledwie słabe pojęcie o rzeczach, podczas gdy sztuka okazuje rzeczy same i z rozmaitości ich umie jednako tworzyć widzenia zachwycające i straszne. Ona jest panem i bogiem form. Gaj czy pustynia, śnieg czy skwar letni ukazują się, wedle jej woli; ona wznosi góry, wyżłabia doliny, lub rozciąga wzdłuż fal gładkie piaszczyste wybrzeża. Wszystko, co istnieje we wszechświecie przez istotę, obecność i wyobraźnię, wszystko to ona ma w duchu i w ręku; a ręce jej są tak potężne, że stwarzają harmonię przez proporcye uchwycone na pierwszy rzut oka.

Zgłębiałem magię, aby wiedzieć, co jest rzeczywistego w tych niezwykłe żywiących uroszczenia poszukiwaniach. Ołówek mój rozkazuje duchom lepiej niż różdżka czarnoksiężka, bo ja umiem wywołać anioła z arkusza papieru. Malarz jest najprawdziwszym czarodziejem. Zwołuje on duchy, i duchy przybierają kształty widome. Najczęściej nekromanci nabawiają się czczych halucynacyj i wielkich mozołów, narażają się na stos i zwykle w końcu dostają obłąkania. Utrzymują oni, że duchy mówią z nimi. Jakżeby mogły to robić, skoro nie mają ust, ani

żadnego innego środka, aby wywołać drgania powietrza? Chyba na sposób malarski, który mówi do wyobraźni. Napróżno wszakże domagałem się od tych szaleńców, aby narysowali coś ze swych widzeń. Nie pokazali mi nic. Żadne atoli badanie, nawet rzeczy próżnych i zwodniczych, nie pozostaje bezużytecznem zupełnie; powziąłem zamiar osiągnąć to, co zakładała sobie magia bezkutecznie; skierowałem całą pilność swą ku stworzeniu postaci, którą możnaby przypisać duchom, gdyby przybrały ciało; mam na myśli, rzecz prosta, tylko duchy dobre i wzniosłe, bo, co się tyczy złych i głupich, dość wyjść z domu, aby ich spotkać niepoliczoność. Cóż może być cechą ducha, jeśli nie potęga duchowa? a ponieważ prawdziwa wiedza nie dopuszcza ani złości, ani poufałości, nieodzowny więc będzie wyraz słodyczy oraz lekko wzgardliwej wyniosłości. Moje postacie nie są w zupełności niebiańskie (widz mógłby czcić je, nie kochając ich jednak), ani też w zupełności ziemskie (nie działają bowiem na ducha, który doznaje poruszenia tylko przed rzeczami niezwykłemi i dziwacznemi).

Mówiłem wam już, iż trzeba łączyć cechy młodzieńca i dziewczęcia, aby uniknąć pewnego rodzaju prostactwa, przywiązanego do spraw płci: bo rozbudzanie zwierzęcości obniża wartość dzieła. Radzę wam utwarzać wyraz ze spojrzenia (nie mówię: z oczu) człowieka głęboko uczonego i z uśmiechu kobiety zalotnej: zestroiwszy je należycie, wprawicie w zdumienie widza, którego jednocześnie ujarzmiać będzie myśl męzka i ujmować wdzięk kobiecy. Cóż może być piękniejszego nad wiedzę kryjącą się pod rysami wdzięku, nad surową przewodniczkę świata z oczyma czaru pełnemi i z rozkoszą tchnącemi usty. Malowano i przede mną aniołów zachwycających, których urok wszakże polegał wyłącznie na niewinności i na rysach dziecięcych. Ja dodałem im doświadczenie, wynik

rozmyślań głębokich: u mnie ich przywiązanie do dobra gruntuje się na znajomości zła. Sztuka jest tem drzewem, o którem mówi Pismo, tem jedynie zakazanem. Aby pociągnąć człowieka, potrzeba czegoś złożonego. Jedna tylko Madonna jest samą czystością. Aniołom nie obce jest bynajmniej to, co zwalczają nieustannie, a ponieważ walka to duchowa, muszą zatem przykładać całą cudowność swego umysłu, aby przewyższyć przebiegłość Szatana. Co do mistrza Leonarda — (nie śmiejcie się, tak chłopi nasi nazywają dyabła) — nie malujcie go nigdy. Z rysami, jakie przypisuje mu pobożność, byłby wstrętnie brzydki, a przedstawiając go inaczej, moglibyście narazić się Kościołowi.

My, wynalazcy zmyśleń, powinniśmy szanować zmyślenia starodawne oraz owo mniemanie pospolite, które wcale nie jest nierozsądne, skoro nadaje kształty zwierzęce temu, co idzie z dołu, zachowując piękność dla tego, co zstępuje z nieba. Jakiś humanista nie omieszkałby podać wam swego zdania za prawdę, popierając je powołaniem się na kogoś ze starożytnych. Czyliż komentatorzy nie znajdują w Biblii miejsc dających się zastosować do gwelfów i gibelinów? czyliż każda partya nie rozeznaje Antychrysta w przywódcy nieprzyjaciół? Jakiś dominikanin powie wam, że święty Jan przepowiedział na wyspie Patmos dzisiejsze wydarzenia w Toskanii! Ja nie filozofuję; ja maluję myśl swoją, od wnętrza i od zewnątrz. Człowiek myśli swobodnie: nie zdołałby jednak podobnież mówić. Na jednego, który ma jakieś prawdy do powiedzenia, tysiąc głupców ugania się za niedorzecznemi urojeniami. Słowa księży są doskonałe, ich obyczaje — złe. Pilnujmy się praw naszej sztuki i zgłębiajmy jej tajemnice: nie zbraknie ich dla największej przenikliwości. Zakresem człowieka jest człowiek; ale jedni wydają się więcej niż ludźmi, drudzy — mniej. Częstokroć podziwiałem więcej

duszy w mych koniach, aniżeli w ludziach, z którymi obcowałem. Jest coś drażniącego, gdy się widzi istoty bezmyślne cieszące się równie pięknym organizmem, jak najrozumniejsze. Możnaby pomyśleć, że niektórzy aniołowie uczłowieczyli się, i że wiele zwierząt stało się ludźmi. Z przykrością widzę, jak nieraz twarze prostackie lub karykaturalne ujawniają całe bogactwo linij i barw. Malarstwo winno służyć jedynie do uwieczniania najwznioślejszych ducha koncepcyj; bo, jak zwierciadło pochyłe, odbija ono, z natury swojej, niebo, traci zaś dostojeństwo, gdy zaczyna odtwarzać pospolitość życia.

Cząstka dąży nieustannie do połączenia się ze swą całością, aby położyć kres cierpieniu, jakiem jest właśnie jej niedoskonałość. Jak ćma leci ku światłu, tak człowiek wyrywa się z powrotem ku swemu pierwopoczątkowi. Jego pragnienie spręża się ustawicznie ku nowej wiośnie i nowemu latu, ku nowym miesiącom i nowym dalszym latom; znajduje on, iż rzeczy pragnione nadchodzą zbyt powoli, i nie zdaje sobie sprawy, iż pragnie w ten sposób własnej śmierci. To tajemnicze i wyroczne pragnienie jest „piątą esencyą," duchem pierwiastków zawartych w duszy i dążących nieustannie do porzucenia ciała i do powrotu na łono tego, który je utworzył. Sztuka zaspokaja, przez dzieła swe, tę nieprzepartą potrzebę, źródło namiętności, które sam tylko duch zdolen jest oczyścić. Przez to dążenie, człowiek oddala się od bieguna zwierzęcości i zbliża się do Przyczyny, która jest nawskroś duchową. Oko malarza, dające się łatwo oczarować naturze, pociąga częstokroć za sobą jego rękę, nie pytając mózgu o pozwolenie; wpatruje on się wtedy bez zastanowienia i wykonywa bez obmysłu. Ganiono mnie, gdy się odezwałem, iż malarz powinien być wszechstronnym, a jednak na tem polega jego dostojeństwo. Niemasz umysłu tak nieokrzesanego, aby, za sprawą czasu i przy-

kładania się, nie był zdolen dać sobie rady z jednym z rodzajów malarstwa, krajobrazem, wyobrażaniem zwierząt, kwiatów, albo portretem, — ale byłby to rzemieślnik, nie artysta.

Porównywając między sobą różne sztuki piękne, ludzie oddają często pierwszeństwo rzeźbie, co wielką jest omyłką. O wartości posągu stanowią jedynie proporcye harmonijne i ruch. Jeżeli chodzi o myśl, to ta daje się uzewnętrznić jedynie za pomocą światłocienia. Charakter osobistości ujawnia się tylko na twarzy; wszystkie Wenery starożytne wydają się córkami tegoż samego posągotwórcy: piękne są, lecz jednakie. Piękna tego prześcignąć nie zdołamy, zaledwie — ci i owi — osiągamy je niekiedy; pracujmy więc w kierunku, gdzie twórczość dalsza jest możebna, indywidualizujmy nasze postacie, tak, aby wszystkie różniły się jedna od drugiej, i to — ile można — najbardziej, nie kształtami, których liczba jest ograniczona, lecz wyrazem, który — powtarzać wam to będę bez końca — jest dziedziną nieskończoności. Tylko nie zapominajcie nigdy, że wykonanie musi być nieomylne, gdy się zamierza coś duchowego. Dość jakiejś ręki ciężko narysowanej, aby zesromocić najwznioślejszą kompozycyę. Wykończenie w robocie nadaje obrazowi cechę wytworności i potęguje jego znaczenie.

Trudno doszukać się piękna u gotyków, robota ich wszakże drobiazgowa i nader staranna zasługuje na wszelkie pochwały. Któż poświęci wiele uwagi dziełu, do którego artysta najwidoczniej niewiele przyłożył pilności? Nie pozwalajcie nigdy jednej barwie oddzielać się od drugiej; w postaciach drugorzędnych nie należy zaniedbywać się co do linij, można tylko nieco szerzej traktować robotę. W malarstwie niemasz antyków. Giotto zaczął wszystko. Nie mamy tedy nic do kopiowania, a mimo to odsyła się nas ciągle do starożytnych, w tej naszej sztuce

tak wyłącznie dzisiejszej. Zresztą, naśladowanie nie doprowadza do niczego. Trzebaby z ciała i z ducha być podobnym do artystów przeszłości, aby módz ciągnąć dalej ich sztukę. Pojmuję z trudnością myśli pokolenia, które bezpośrednio mię poprzedzało, a miałbym rozumieć zamiary i sposoby widzenia mistrzów dalekich i w czasie i w przestrzeni? Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nieinaczej postępowali starożytni. Wyrazili siebie samych; wyraźmy-ż siebie i my. Korzystajmy jednakowoż z doświadczenia. Ostrzega nas ono, że wielką sztuką w Atenach było wyobrażanie Jowisza i Pallady; wielką sztuką w Medyolanie będzie zatem malowanie Jezusa i Madonny. Religia była wszędzie i zawsze nieporównaną sztuk pięknych krynicą, i wielki malarz będzie zawsze malarzem religijnym. Tem bardziej, że drugie źródło inspiracyi, mitologia, była także religią, której nie rozumiemy dzisiaj, i którą źle oddajemy. Starożytni, przy ich odziezy przestronnej i falistej, mieli ciągle sposobność widzenia ciał nagich w ruchu; my dzisiejsi rozbieramy tylko na parę godzin jakąś istotę z gminu, która zazwyczaj chodzi ubrana zupełnie pospolicie: tego niedość, aby módz celować w malowaniu nagości. Człowiek tem żywiej wyobraża sobie kształty, im oko jego mniej je postrzega; kobiety naszych czasów budzą wielkie namiętności, a są przecież odziane. Wywołałażby nagość ich żądzę równie gwałtowną? Nawet jeżeli chcecie dać wrażenie rozkoszy, nie stracicie nic przez draperyę: tylko będzie to rozkosz wyższego rzędu. Kobieta naga odpowiada raczej rozwiozłości niżli miłości, prosta chłopka zbudzić może tylko popęd, podczas gdy Beatrycze wstrząsa duszę jednym uśmiechem. Czyliż sądzicie, że najpiękniejsze ciało Italii mogło było zostawić w duchu Danta zapładniający, nieśmiertelny obraz tej, co zjawiła mu się, promieniejąca, pełna szlachetności i słodyczy, i, z niewy-

słowną uprzejmością, pozdrowiła go jakiemś dziwnem połączeniem dostojeństwa i dobroci, które wywarło na nim takie wrażenie, że zdało mu się, iż w chwili tej poznał najwyższy stopień szczęśliwości niebiańskiej. Trzymając się *Życia Nowego*, nadawajcie waszym postaciom tę uprzejmość niewysłowną, to połączenie dostojeństwa i dobroci, bo one zawsze jeszcze wywierać będą wielkie wrażenie. Malujcie kobiety jako Beatrycze. Mówiłem wam już, iż panie cnotliwe mają żywszą promienność, niż nierządnice; podobnież, malarz rozpustny odbiera dziełom swoim wszystko to, co oddaje rozkoszy. Malarze, miejcie jeno swą sztukę za panią serca i kochankę, jeno dzieła swe za potomstwo. Ten sam skud złoty nie może wpaść jednocześnie do kieszeni karczmarza i w czapkę żebraka. Namiętności niszczą istotę człowieka bardziej, niż praca, niszczą ją doszczętnie.

Z serca naszego, z ducha naszego, dusze i duchy niechaj się rodzą, na idealne życie piękna. Dzieło wasze tyle tylko mieć będzie uczucia, co wasze serce, tyle tylko szerokości, co wasz mózg własny. Artysta odtwarza w dziełach swych siebie samego. Jak ojciec — wedle tego, czy sam jest zdrów czy chory — obdarza dziecko swe dobrą lub złą ciała konstytucyą, skazując je na opłakane grzechów własnych następstwa, albo też dając mu korzystać z owocu cnót swoich, tak artysta uwydatnia w utworach własnych dobre swe lub też skażone obyczaje. Nieobojętna zatem, czy artysta jest skromny i przystojnie się prowadzi; hołdując cnocie i wiedzy, zaznaczy mimowolnie te cechy i w swoich zmyśleniach. Sakrament, nawet z rąk niegodnego kapłana, jest zawsze dobry, nigdy wszakże obraz malarza tonącego w nieprawościach.

Nic nie świadczy lepiej o nieśmiertelności duszy naszej, niż to dążenie do doskonałości, które, gwoli zaspokojeniu własnemu, stworzyło sztuki piękne. Nasze tak

cierpliwe zgłębianie dzieła boskiego większych wymaga wysiłków aniżeli śpiewanie jutrzni. Różaniec nie przesuwa się w palcach naszych, ale dzięki im objawia się Panna Najświętsza, a po niej święci i błogosławieni: przez nasze staranie, Bóstwo samo staje się widomem, a to jest wielki cud!

Księża wyrzucają nam, że rysujemy podług dzieła Pańskiego, w dzień Pański! Ganią nas również, iż malujemy przedmioty świeckie! O bezmyślni! Cóż jest świeckie? co święte? Nie oglądamy-ż wielkości Boga w drobnej muszelce, w kwiatku polnym, w listeczku każdym? Twarz uśmiechniona, młode i piękne ciało w podrzucie — nie ujawniają-ż Opatrzności? Nie mówił-że Jezus o kwieciu polnem? Podobał sobie między Martą i Maryą, mówił łagodnie z Samarytanką i z Magdaleną. A my nie mielibyśmy prawa malować tych świętych kobiet, ni czynić ich pięknemi! Jakże Ester znalazła dostęp do serca króla Aswerusa, jeśli nie przez swój urok? Niewolnoż Ewie zjawić się u boku Adama w całym blasku pierwszej na ziemi oblubienicy i małżonki? Czytajmy do woli boską księgę ciał i dusz, taką, jak wyszła z rąk Twórcy na jego chwałę i na radość naszą.

Jeśli się mówi, że patrzenie odrywa umysł od subtelniejszego poznania duchowego, które wiedzie ku wiedzom boskim, i że jakiś filozof wyłupił sobie oczy, ażeby lepiej myśleć, — odpowiem, że oko, pan i władca zmysłów, spełnia swój obowiązek, zaprzeczając gadaninom tępych, krzykliwych i miotających się kłamców, że filozof, który sam się oślepił, by lepiej rozumować, był szaleńcem... i że czyn jego stwierdza dostatecznie bezrozumność jego rozumowań. Zresztą, nie bywają-ż rozumowania źródłem najgorszych niedorzeczności, herezyj i odszczepieństw? Jeśli Kościół przechodził tyle i tak bezpożytecznych zawichrzeń, sprawcami ich byli mnisi, marzyciele, którym

w odludziu cel roiły się po głowach doktryny rozprzężenia; i obyczaje też cierpiały zawsze nie przez artystów, lecz przez mnichów. My, przeciwnie, mając umysł zwrócony nie ku jakimś urojeniom, lecz ku dziełu bożemu, nie myślimy bynajmniej narzucać światu nowinek, lecz tworzymy piękne baśnie na radość czystą dla duchów cichych i pokój lubiących. Nie, sztuka wcale nie psuje obyczajów. Nie malowane to kobiety gubią młodzieńców i starców, trapią rodziny i popychają do kradzieży i morderstw. Nader czystem byłoby miasto, które znałoby kurtyzany tylko w ramach, i w którem rozpusta rodziłaby się jedynie z oglądania i rozpamiętywania dzieł sztuki... Tak, artysta jest najlepszym obywatelem, bo geniusz jego staje się dobroczyńcą całego plemienia i nadto dzieli się z niem swym urokiem. Uzacnia miejsca, gdzie pracuje; jak czarodziej, przeobraża wszystko, na co spojrzy. Ale oto z wielkiego poznania wielka rodzi się pokora.

Podczas gdy wszyscy podziwiają dzieło i boskiem je głoszą, artysta niezaspokojony cierpi; ujrzał błędy albo też spostrzega zbyt późno piękności, których brak. Cokolwiekby zdołał urzeczywistnić, w duszy ma zawsze doskonałość jeszcze zupełniejszą. Przyjmuje chwalby w obliczu współzawodników, bo jest człowiekiem, cieszy się z nich nawet; ale w samotności urąga sam sobie i gorzyczy się na swą niemoc. Wielki, zaiste, dramat rozgrywa się w duchu malarza, rozkochanego w swej sztuce i pragnącego wcielić myśl swą najwyższą.

Między pracami, które legenda przypisuje Herkulesowi, najnadzwyczajniejszą jest ta, gdzie bohater wydziera śmierci Alcestę, żonę druha swego Admeta. Tu już nie idzie o wytrzebienie zbójców lub uskromienie potworów, tu przychodzi mu potykać się z samą śmiercią. Tak czyni i artysta z każdą ujrzaną pięknością: wydziera ją nicości, zbawia od śmierci i podaje na stulecia ludziom do

rozpamiętywania. O śpiochu, cóż to jest sen? Podobien śmierci! Czemuż nie tworzysz dzieła, które po twoim zgonie ciągnęłoby dalej myśl twoją? Oto upomnienie, jakie zwracam zawsze do tych, co zdolni są je zrozumieć. Bóg, przez miłość dla swego stworzenia i przez zlitowanie nad naszą nędzą, pozwolił nam tworzyć wizerunki, które nas przeżywają. Wojownik znany jest tylko dzięki historykowi. Malarz broni się sam od zapomnienia i oddaje swym opiekunom i dobroczyńcom wzajemną w obliczu potomności usługę; bo pamięć jego, zamiast się zacierać, coraz świetniejszym z biegiem czasów jaśnieje blaskiem: on, co wyobrażał świętych, sam staje się świętym, i wierni sztuki czczą go zgłębiając.

Niemasz zacniejszego nad to przeznaczenia, ani chwały równie czystej, bo ona nie przypłaca się łzami ni krwią, jak sława zdobywców, bo ona płodzi tylko radość, i to najszlachetniejszą. I póki nie zabraknie ludzi cywilizowanych, wielki malarz znajdzie przyjaciół wszędzie, gdzie tylko któreś z dzieł jego oglądać będzie można. I samo niebo, którego był tłómaczem, przyjmie go między swe błogosławione.

A teraz oddajmy cześć Panu, naprzód przez miłość, jaką zasadnie żywić dlań powinniśmy, a potem, ponieważ umie on skracać i przedłużać życie nasze, to dobrodziejstwo, które cenić należy, nawet w chwilach najboleśniejszych.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. J. Péladan.



MUZA. Obraz J. MEHOFFERA.



BALLADY LUDOWE EUROPY ZACHODNIEJ I POŁUDNIOWEJ.

MARIVONIC [1]).

W czarnego miesiąca [2]) *pierwszym dniu*
Wylądowali Anglicy w Durduff.

A ledwie wysiedli z okrętów na ląd,
Porwali młodziutką dziewczynę z tych stron.

Na imię jej było Marivonic,
W Plougaznou nad morzem jej ojciec żył.

Tak się odezwała ze łzami spół,
Gdy płynęła mimo ojcowski dwór:

— Bądź zdrowa mateczko, ojcze bądź zdrów,
Nigdy was w życiu nie ujrzę już!

---

[1]) Bretońska. — *LUZEL F. M., Gwerziou Breiz-Izel. I. p. 350.*
[2]) listopada.

Bracia moi, siostry, żegnam was,
Już mnie nie ujrzycie w żadny czas!

Przyjaciele moi, żegnajcie mi,
Już się rozstajemy po wszystkie dni! —

Tak Marivonic żegnała dom,
Nikt z ludzi nie ulżył jej rzewnym łzom.

Nikogo nie wzruszył jej smutny stan,
Tylko patron statku cieszył ją sam.

— Mała Marivonic, otrzej-że łzy,
Tu na twoje życie nie godzi nikt.

Dolę tutaj możesz szczęśliwą mieć,
Ale co do cześci, — to inna rzecz. —

— O panie Angliku, powiedz-że mi,
Mam-li tobie tylko powolna być? —

— Naprzód mnie samemu i służbie mej,
Potem mej załodze i w noc i w dzień.

Potem mej załodze na każdy czas,
Więcej stu żeglarzy jest tutaj nas. —

— O panie Angliku, bądź łaskaw dziś,
Pozwól wyjść na pokład na parę chwil. —

— Przejdź się po pokładzie, skoro ci cno,
Tylko mi się pilnuj wpaść w morską głąb'. —

Mała Marivonic mówiła tak,
Gdy się przechadzała i tam i sam:

— O Mateczko boża, radę mi daj,
Czyli mam zeskoczyć w głąb' morskich fal?

Dla Ciebie, Maryjo, spełnić ten czyn,
Żeby nie przekraczać przykazań twych?

Jeżeli zeskoczę, czeka mię skon,
Jeżeli zostanę, czeka mię srom.—

Zrobiła, co szeptał Maryji głos,
Na głowę skoczyła w tę morską toń.

Jak kamień spłynęła na morski spód,
Maleńka ją rybka wyniosła z wód.

Podniósł się wiatr mocny z tych wodnych smug,
Poniósł martwe zwłoki przed ojca próg.

— Najdroższy mój ojcze, otwórz-że mi,
Mała Marivonic czeka u drzwi. —

— Czyli to być może, zwodzi-ż mię słuch,
Czy Marivoniki powrócił duch? —

Obleciała w koło trzy razy dom,
Potem ją na wieki ogarnął skon.



AR PLAC'H A ZAVAS BEURE MAD [1]).

Wstała dziewczyna w rannej porze,
Poszła warkocze pleść w komorze.

Przyszła mateczka i mówiła:
— Jaka-żeś piękna moja miła! —

— Że jestem piękna, cóż mi z tego,
Gdy mieć nie mogę chłopca mego? —

— Cicho, córeczko, nie płacz-że mi,
Za roczek męża ci znajdziemy. —

— Długi rok temu, który płaczę,
Przyszłej ja wiosny nie obaczę!

Na wiosnę będę w chłodnej ziemi,
Niech-że się wtedy, kto chce, żeni.

Niechaj-że stanie, matko miła,
W pośród cmentarza ma mogiła.

W pośród cmentarza niechaj stanie,
Cztery wianuszki na kurhanie.

Z czterech róż niechaj będą stroje,
Dwoje róż czarnych, białych dwoje.

Więc para czarnych, białych para,
Aby o żalu powiadała.

[1]) Bretońska. — *LUZEL, Soniou Breiz-Izel. I. p. 223.*

Dwie róże białe, dwie pąsowe,
By powiadały mą żałobę.

Będą przechodzić młodzieńcowie,
Każdy nade mną pacierz powie.

Odmówi wieczny odpoczynek
Na ten ostatni upominek. —

Powiadał jeden panicz młody,
Kiedy przechodził między groby:

— Piękna dziewczyna w tym kurhanie,
Zgasła nie wiedząc, co kochanie;

Z tęsknoty za kochankiem młodym,
Z miasta Guincampu był on rodem. —

Takie wyrazy z pod mogiły
Słuch mówiącego uderzyły:

— Idź swoją drogą, młody panie,
Niech ja w spokoju tu zostanę.

Idź młody panie, odejdź dalej,
Pozwól umarłym, żeby spali. —



JAN RENAUD [1]).

Jan Renaud z wojny powrócił doma,
Jelita własne trzymał rękoma.

— Co w domu słychać, mateńko miła? —
— Żona ci dzisiaj synka powiła. —

— Idź, matko, przodem, pościel mi łoże,
Białe mi łóżko przyrządź w komorze.

Lecz je w najniższej postaw alkowie,
Niechaj się moja żona nie dowie. —

I przyrządzili mu pościel białą,
Złozyli na niej to ranne ciało.

A gdy północne zapadły cienie,
Jan Renaud wydał ostatnie tchnienie.

— O moja matko, o moja droga,
Co za szlochania tutaj u proga? —

— Nic, moja córko, słuch ciebie myli,
To tylko dziecię maleńkie kwili. —

— O moja matko, o matko złota,
Jakie to słyszę kowanie młota? —

— Moja córeczko, to młoty cieśli,
Wrota do sieni nowe przynieśli. —

---

[1]) Francuska. — *Chansons populaires recueillies en Franche-Comté par CH. BEAUQUIER, p. 152.*

— O moja matko, matko jedyna,
Co za śpiew smętny nucić poczyna?

— Moja córeczko, to procesyja:
Idzie ulicą, dom właśnie mija. —

— Proszę ja ciebie, najmilszej matki,
W jakie mam dzisiaj oblec się szatki? —

— Porzuć różową, modrą i białą,
Dziś czarną suknię kłaść ci przystało. —

— Zaklinam ciebie, matkę jedyną,
Czemu ci z oczu łzy rzewne płyną? —

— O moja córko, dłużej nie skryję,
To po Renaudzie, Renaud nie żyje. —

— O moja matko, proszę ja ciebie,
Niech grabarz wspólny dół nam wygrzebie.

A niechaj będzie grób dosyć duży,
Niech i dzieciątku naszemu służy. —

MARGRABINA [1]).

Król rozkazał bić w bębny
I zwołać dworskie damy:

---

[1]) Francuska. — *LEROUX DE LINCY, Chants historiques. II. p. VII.*

Ledwo spojrzał na pierwszą,
Już w niej był zakochany.

— Margrabio, znasz tę piękność?
Dowiedz mi się, kto ona? —

Margrabia rzecze na to:
— Królu, to moja żona. —

— Szczęśliwszy-ś ty ode mnie
Mieć żonę tej urody;

Gdybyś mi jej ustąpił,
Dbałbym o jej wygody. —

— Gdyby nie król to mówił,
Mścił-bym szpadą obrazy;

Ale że król powiada,
Stoję mu na rozkazy. —

— Nie gniewaj się, margrabio,
Powetujesz to sobie,

Ja cię nad wszystkiem wojskiem
Marszałkiem Francyi zrobię. —

— Weź koronkowe czepce,
Ubierz się w piękne szatki,

Ubierz się w strój bogaty,
Jak te dworskie magnatki.

Bądź zdrowa, moja duszo,
Bądź zdrowa, me kochanie,

Do króla pójdziesz w służbę,
Więc tu nasze rozstanie. —

Bukiet z kwiecia liliji
Królowa słała do niej,

Margrabina upadła,
Skonała od ich woni.

Król kazał grób murować
Z lilijowych kamieni,

Posłał pana Mirabeau
Na pogrzeb margrabini.



ŻONA MARYNARZA [1]).

Biedny majtek wraca z wojny
— *TAK CICHO* —
W złem obuwiu, w lichej szacie:
— *Biedny majtku, zkąd wracacie?* —

---

[1]) Francuska. — *CHANSON SAINTONGEOISE.*

— Karczmareczko, wracam z wojny;
Pokrzepcie mię białem winem,
Bo z pragnienia chyba zginę. —

Biedny majtek pije wino,
Pije wino, piosnkę nuci;
Karczmareczka się zasmuci.

— Czego płaczesz, karczmareczko?
Czy ci żal białego wina,
Że ci żeglarz je wypija? —

— Nie żal mi białego wina,
Ale żal mi męża mego:
Podobniuteńki-ś do niego. —

— Powiedz-no, karczmarko miła!
Wprzódy miałaś dzieci troje,
Teraz widzę tyle dwoje... —

— Pisano, że mąż mój zginął
Od wojennego oręża,
Znalazłam drugiego męża. —

Wypił wino, nie dziękował,
Zwarło mu się z żalu serce,
Powrócił służyć w żołnierce.



NA MORZU [1]).

Trzy statki płyną po morzu
W niezahamowanym biegu,

Siedm lat z Bożego zakazu
Nie mogą przybić do brzegu.

Kapitan roku siódmego
Woła: — Hej! moja drużyna!

Kto mi się na szczyt masztowy,
Kto mi się — woła, — wyspina? —

Najmłodszy z majtków przybiega:
— Popróbuję, kapitanie! —

Gdy się wspiął do środka masztu,
Usłyszeli głośne łkanie.

— Czemu płacze nasz towarzysz,
Czemu nasz towarzysz wzdycha? —

— W koło nic prócz fal i nieba
I ryby, co na trup czyha. —

— Śmiało, śmiało, towarzyszu,
Wespnij się aż na szczyt drzewa! —

Gdy był u wierzchołka masztu,
Słyszą, aż tu majtek śpiewa.

---

[1]) Gaskońska. — *BLADÉ, Poésies populaires de la Gascogne. III. p. 394.*

— Co się stało, młody majtku,
Jaki masz powód uciesze? —

— Widzę zamek mego ojca,
Okręt wprost ku niemu krzesze.

Widzę w oknie moją miłą,
Jak warkocze złote czesze. —



MAŁGORZATA [1].

Maleńka Małgorzato,
Kogo serce twe życzy?
Książęcego-li syna,
Czy którego z hrabiczy?

— Nie chcę znać się z hrabiami,
Pogardzam ja książęty,
Pragnę Piotrka mojego,
Co jest w wieży zamknięty. —

Maleńka Małgorzato,
Próżne twoje nadzieje,

[1]) Gaskońska. — *BLADÉ, II. p. 190.*

Powieszą Piotrka twego
Jutro, ledwie zadnieje.

— Mają Piotrka powiesić,
Niech powieszą oboje,
Grób podwójny wykopią,
Zbiją trumnę na dwoje,

Jego kwieciem gwoździków,
Mnie przykryją różami;
Pątnicy z Compostelli
Pomodlą się za nami.

„W PIERWSZY DZIEŃ MAJOWY“ [1]).

A pierwszego dnia Maju
Niosłem wianek rozmaju.

— Weź go, moje kochanie,
To nasze pożegnanie. —

— Z jakiej, z jakiej przyczyny? —
— Dziś moje zaślubiny.

[1]) Prowancka. — *D. ARBAUD, Chants populaires de la Provence, II. p. 139.*

Nie ciebie ja zaślubię,
Lecz tę, ktorej nie lubię.

Nie tak piękna, jaka ty,
Ale składa dukaty.

Odprowadzisz mię, droga,
Do kościelnego proga? —

— Tego się nie ośmielę,
Lecz przyjdę na wesele. —

— Jeśli przyjdziesz, kochana,
Przyjdź-że pięknie ubrana:

Kupię ci piękne stroje,
Barwistych sukien troje:

Jedna pąsem się mieni,
Druga barwą zieleni,

A trzecia z aksamitu
Cała barwy błękitu. —

— Grajcie skrzypki wesoło,
Przetańczymy raz w koło! —

Jeden taniec wygrywa,
Panna pada nieżywa.

Drugi taniec zagrali,
Padł kochanek na sali.

Jedna dla nich mogiła,
Gdy ich miłość zabiła.

Z ojca, z ojca to winy,
Że mu nie dał dziewczyny.

Więcej winy w nim było,
Mógł dziewczynę wziąć siłą.



UCIECZKA DO EGIPTU [1]).

Święty Józef przy Dziewicy
Szli, z Nazaretu pątnicy —
NIECH ŻYJE KRÓL!

W pierwszem mieście, gdzie stanęli,
Gospody im dać nie chcieli.

Jedna ich wdowa uboga
Nie odpędziła od proga.

— Niewiasto, dziękczynim tobie,
Wynagrodzimy w tej dobie.

---

[1]) Prowancka. — *D. ARBAUD, I. p. 33.*

Nie zabraknie twej rodzinie
Ni na chlebie, ni na winie. —

Poszła Marya po zagonach,
Niosąc synaczka w ramionach.

Spojrzy, dobry człowiek orze.
Spojrzy, w skiby rzuca zboże!

— Piękna pani, gdzie idziecie,
Tak cudne niosący dziecię? —

— Ukryj nas, dobry człowiecze! —
Temi słowy Marya rzecze.

— Skryjcie się pod mą siermięgą,
A mocy was nie dosięgą. —

— Wracaj, człecze litościwy,
Idź żąć zboże ze swej niwy! —

— Piękna pani, jak być może,
Jak żąć ledwie siane zboże? —

— Idź-że, idź po swoje woły,
Pozwóź zboże do stodoły! —

Nie minęła ćwierć-godzina,
Zakwitła zbożem dolina.

Druga jeszcze nie minęła,
Pod sierp gotowa stanęła.

Po raz pierwszy zesieczona
Dała sto snopów z zagona.

Gdy ją zżęli po raz wtóry,
Położyli snopów góry.

Kto jedzie od miejskich szańców?
Hufiec tych żydów zaprzańców.

— Powiedz-no, chłopie nieboże,
Co tam sieczesz swoje zboże:

Szła tu Marya po zagonach,
Niosący dziecię w ramionach? —

— Owszem, niewiastę widziałem
Wtedy, gdy to zboże siałem. —

— Powracajcie zbiry kroku,
To było zeszłego roku.

NIECH ŻYJE KRÓL!

HRABIA GARYN [1]).
(Lo comte Gari.)

Klęczała Beatrycze przy modlitwie wieczornej,
Kiedy do snu się kładła, nadjeżdżał rycerz dworny.

[1]) Katalońska. — *PELAY BRIZ, Cansons de la terra, II. p. 51.*

Rzucił na nią pęk fiołków, zdrzemnęła się od woni,
Gdy leżała uśpiona, porwał, uwiózł w sto koni.

Ujechali mil siedem, ona śpi nieustannie,
Kiedy ósmej dobili, kazał zsieść pięknej pannie.

— Weź mię, hrabio, za żonę, weź mię, nie czyń mi sromu! —
— Nie chcę ciebie za żonę, już ja żonę mam w domu.

Wdzięczną postać, płeć białą i liczko ma powabne.
Ty prząść będziesz konopie, ona włókna jedwabne. —

W dół przez okno spojrzała, zaśmialo jej się lice.
— Czegoż-to się uśmiechasz, doncella Beatrycze? —

— Widzę ojca mojego, z nim rycerzy tysiące,
Przodem idą chorągwie i fanfary grające.

Slyszę, grają fanfary i huczą po dolinie.
Mówią w swoim języku: Umrzesz, hrabio Garynie! —

— Mów, że niema mię w domu, skryj mię pod kobiercami —
Już pukają do komnat. Pyta: — Kto tam za drzwiami? —

— Hej! czy niema tam hrabi, niema hrabi Garyna? — —
— Nie — powiada ustami, — tak — powiada oczyma.

Dobyli z pod kobierca, ucinają mu głowę.
Zanim głowa mu spadła, rzecze w słowa takowe:

— Doncella Beatrycze, jużeś mej śmierci rada,
Głowa hrabi Garyna dla twojej zemsty spada. —

— O twą głowę nie stoję, głowy twojej nie pragnę,
Będę ja inne miała, wdzięczne, białe, powabne. —



PAŻ W WIĘZIENIU [1].

Chował się paź na dworze, chował na dworzanina,
Paź był piękny i młody, król kochał go jak syna.

Schwytali go w alkowie, schwytali u królewnej,
Wrzucić do ciemnych lochów kazał pazia król gniewny.

Smutna matka posyła synaczkowi gitarę:
— Nastrój synku i zagraj, rozpędź te smutki szare. —

— Które śpiewać mam, matko, które śpiewać piosenki? —
— Te, co ojciec twój śpiewał w Jezusowej dzień męki. —

Ptaki skrzydła zwinęły, w górę wzlecieć nie mogą,
Zwierz się w polu zatrzymał, trudno ruszyć mu nogą.

Wszystkie dzieci w kołyskach usypiają od śpiewu,
Wszyscy pazie królowej wyjść nie mogą z podziwu.

---

[1]) Katalońska. — *MILA Y FONTANALS, Romancerillo catalan, n. 207.*

A królowa go słucha z najwyższego krużganku,
Zaraz pyta swych paziów: — Kto to śpiewa z poranku? —

— To paż śpiewa w więzieniu, zanim spadnie mu głowa. —
— Chciałabym go za syna, — rzecze zaraz królowa.

— Chciałabym go za męża, — tak królewna powiada.
Posyłają po pazia, on się broni i składa:

— Pozostawcie samego, pozostawcie mię, proszę;
Żyć w królewskiem więzieniu, to największe roskosze.

DAMA Z ARAGONU [1].

W Aragonie mieszka dama piękna jak to słońce,
Włosy ma czerwono-złote, do stóp spływające.

LUBA AGNIESZKA MARYA,
SERC RABUŚNICA.

A mateczka ją czesała złocistym grzebieniem,
Ciotka włosy rozdzielała pierścień za pierścieniem.

Z każdego pierścienia perły kapały na szyję,
W koło każdej perły bisior złocisty się wije.

Siostra włos trefiła wodą dziewięciórnej woni,
Druga plotła wstęgę, co się barw dziewięcią płoni.

[1] Katalońska. — *PELAY BRIZ, I. p. 63.*

Braciszek obracał na nią oczy zadziwione:
— Gdybyś mi nie była siostrą, brałbym cię za żonę —

Zaprowadził ją na kiermasz w aragońskim grodzie,
Nakupił-ci jej klejnotów, gubiła po drodze.

— Mój braciszku, idźmy na mszę, na mszę do kościoła. —
Kiedy weszła, biła od niej jasność do około.

Skoro ją ujrzały damy, wstały jak te służki,
Posiadały na posadzkę, ona na poduszki.

Sam kapelan się pogubił przy świętej ofierze,
Kleryk, co mu do mszy służył, pomieszał pacierze.

— Kto jest, kto jest piękna dama tak jasnego liczka? —
— Siostra króla Aragonu, francuska księżniczka.

Spojrzyj jeno na trzewiczek, obacz, herby czyje:
Ta korona Aragonu i te trzy lilije. —

POWROT [1]).

Grzeczny junak wraca z góry, a tam w dole biją dzwony.
— Na czyj-że to pogrzeb dzwonią? czy na pogrzeb mojej
[żony? —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, Canti popolari del Piemonte*, nr 17.

Grzeczny junak idzie do dom, idzie do dom, w bramę bije:
— Sąsiadeczko, powiedz, proszę, moja żona gdzie się kryje?—

— Twoja żona w licznem gronie poszła dzisiaj do kościoła.
Pięćdziesiąt i dwie gromnice świeciły jej do około. —

Grzeczny junak szedł na cmętarz, głosem wołał swojej miłej.
Głośnym wołał żony lubej, cichym rzekła mu z mogiły:

— Ten pierścionek com, dostała, patrz, na palcu jeszcze noszę;
Weź ode mnie, daj go drugiej, niech się za mnie modli,
[proszę.
Niech koronkę kupi sobie, niech modli się razy troje,
Dwakroć na dzień za swą duszę, raz jeden za duszę moję. —

DONNA LOMBARDA [1]).

— Kochaj mię, proszę, donna Lombarda,
przyjmij życzliwie! —
— I jakże ciebie kochać ja mogę,
gdy mąż mój żywie? —
— Swojego męża, donna Lombarda,
poślij do grobu. —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, Canti popolari del Piemonte, I-A.*

— Jakże go mogę zgładzić ze świata,
nie znam sposobu! —
— Idź do ogrodu, szukaj, gdzie leży
zielony żmij,
Utnij mu głowę, potem w moździerzu
na miazgę zbij.
Z winem czerwonem potem pomieszaj
wężowy jad,
Podaj mężowi, gdy wróci z łowów,
pić będzie rad. —
— Donna Lombarda, podaj mi wina,
mocno-m spragniony.
Co to się znaczy, mów, czemu napój
taki zmącony? —
— Wiatr dął od morza wczoraj z wieczora,
zamącił wino. —
— Wypij je sama, donna Lombarda,
wypij, gadzino! —
— Jakże pić mogę, jakże pić będę,
kiedy się nie chce! —
— Tym końcem szpady w tobie pragnienie
zaraz połechcę. —
Za pierwszym łykiem donna Lombarda
w twarzy zbielała.
Za drugim łykiem donna Lombarda
księdza wołała.
Za trzecim łykiem grób na cmentarzu
kopać kazała.



DZIEWCZYNA W WINNICY[1]).

Żyła w chacie dzieweczka, cud urody przedziwnej:
Słał ją ojciec do gaju, gaj był cały oliwny.

Gaj był taki ogromny, że zbłądziła śród dziczy.
Kogo naprzód spotkała? Ogrodnika winnicy.

— Powiedz-no, winniczeńku, którą iść mam ścieżyną? —
— Idź na lewo lub w prawo, moja piękna dziewczyno.

Jeśli pójdziesz na prawo, znajdziesz moją winnicę,
Jeśli pójdziesz na lewo, znajdziesz do wsi ulicę. —

Pod winnicą krzak róży, na nim róża się płoni.
Dziewczyna tam usiadła, zdrzemnęła się od woni.

Aż tu poczet rycerzy, na skroś lasu się bierze:
— Pan Bóg z tobą, winniku! — Pan Bóg z wami, rycerze! —

— Widziałeś tu dziewczynę, i na której-że drodze?
Jeśli mi ją pokażesz, stem dukatów nagrodzę. —

— Za sto ani za dwieście ja dziewczyny nie wydam. —
— Jeśli dwieście za mało, dwa tysiące ci przydam. —

— Liczcie, liczcie pieniądze, na tym białym kamieniu!
Poszła do mej winnicy, ku owemu strumieniu.

U winnicy krzak róży, na nim róża się płoni,
Róża zapach ma mocny, dziewczę uśnie od woni. —

[1]) Piemoncka. — *NIGRA, nr 51 A.*

Pocałował trzy razy, nim się ze snu ocknęła.
— O biada mnie zdradzonej! — tak dziewczyna westchnęła.

— Nie jesteś ty zdradzona, ja cię wezmę za żonę,
I miast wiele ci oddam i węgierską koronę. —



WYBRAŁ I PRZETŁÓMACZYŁ EDWARD PORĘBOWICZ.



INTERMEZZO.

Opuściła więc cyganka Dwór Gościnny, odeszła tak, jak przyszła, po cygańsku: nic nie mówiąc. Za tyle łaski doznanej chciała się do nóg pokłonić Gospodyni, ale z za pleców Gospodyni wielka Bogini dała jej znak, by milczała. Więc nawet, by nie dawać znaku, zostawiła na progu tamburyno i płachtę, i poszła niby do lasu, paniom i panom obiecując jagody. „A pamiętaj zawczasu wrócić,“ krzyknęła za nią Gospodyni.

Poszła więc jak do boru, a szła wolno, bo kawał drogą powrotną. Wówczas przynieśli ją na marach, po śniegu, półmartwą od zimna. Ogrzali ją, nakarmili, z bru-

du omyli, szaty nowe dali, przezimowali... Wysługiwała się, jak umiała, dzieci niańczyła, ogród kopała, wróżyła, drażniła się i czarowała, owoce z sadu kradła, gwiazdy liczyła, oddychała szczęściem. Po cygańsku za szczęście radością płaciła.

Dziś właśnie ostatni dzień wiosny mijał i Gwiazda kazała jej się zabrać i pójść w nową służbę. Gdzie? trudno zgadnąć: jutro samo wskaże... A dzisiaj noc najkrótsza, wszystkie paprocie kwitną, wszystkie sobótki się palą, wszystkie na szczęście. Niech z tą nocą robi, co żywnie zechce, tę noc Gwiazda jej daje na przepadłe, bez targu. Może stare pożegnać, może nowe pozdrowić, dawną drogę wspominać, nową sobie poznaczyć — wymarzyć, wywołać, wywolić — wszystko jej wolno!

Powrotną drogą szła kawał — aż do zwrotnicy, szyn nowych. Kędy ją nieśli martwą, dziś lata na własnych nogach, mocnych jak u jelenia, idzie żywa i cała, ze słońcem w piersi. A właśnie zachodziło słońce.

Szumiała droga wielkiemi drzewami, drzewa długiemi gałęziami zamiatały drogę w złotym wietrze wieczora. Raz wraz przelatywała kolejka, dzwoniła a szczękała, buchała białemi kłębami w pył nasienny drzew, ku morzu złota, w którem się kąpało słońce.

I żegnały ją domy nad gościńcem, chałupy-ropuchy i kamienice-wieżyce, ruiny-czarownice i wille-hurysy. Pozdrowiła ją huczna kuźnia z białym centaurem na łunie, i atleci w bluzach i greckie dwukolne wozy. Wszystkie zamknięte ogrody i wpół-odemknięte karczmy, wszystkie zgruntowane zaułki i rozdale, wszystkie tajemnice i bajki przydrożne, chytro szare we dnie, nocą migotliwe, żegnały teraz tułaczkę. —

Kolejarz, co się do niej mizdrzył, zapraszał ją na maszynę, darmo zawiezie do miasta, na co ma nogi trudzić? Odpowiedziała mu śmiechem, tyle ma czasu przed

sobą i nogi silne jak sarna, u piersi skrzydła. I drogę starą pożegnać trza godnie. Już przecie więcej nie wróci — nie znajdzie czasu. Świat wielki — a krótkie życie.

U złoconych bram miasta weszła pod płótna gospody; rzuciła na stół cekina, kazała wina dać. Na zdrowie przeszłości i przyszłości, na sprzęgaj starym i młodym latom, wczoraja i jutra. Na zdrowie polom i miastu!

Wypiła, zapłaciła, ostatni raz czerwonemu pokłoniła się dzisiejszemu słońcu i weszła w miasto. Płuca moje wzdęte, nie odetchniecie już bławatami i żytem — aż kiedyś — kiedyś.

Zaroiło się koło niej, zawrzało miasto. Kołyszą się łobuzy w szerokich płudrach z aksamitu, macają w butach noże. Szeleszczą, duszno pachną pannice, wrzeszczą nad koszami kwiatów baby-jędze, świszczą tramwaje, przelatują powietrzem rącze konie, gumowe koła, czerwone uprzęże...

Gościnny Dworze, zimowe leże, gdzie wy się podziały? Schowały się już w pamięci, utonęły pod falą, skryły je, wiewając, jaskrawe szmaty nowego świata, zdusiła wrzawa. Tońcie więc, spadajcie cicho, przyjdę do was, wrócę, jak nurek w odmęt wspomnienia się rzucę, — strojnego w wodorosty topielca wyłowię, ocucę! — gdy przyjdzie czas, — gdy kraśne przewieją chusty, nudy mgła się zaciągnie po świecie, co dziś tak barwisty stoi. O drodzy moi, przebaczcie — przebaczcie ludzkiemu sercu, przebaczcie, żem jest jak drudzy!

Idzie, idzie, ulicą podwójną, szeroką, pod rozwiesistemi drzewami, co zielono się kurzą nasieniem. Błyszczą ludzkie oczy, skrzą się kwiaty; upał wieje ognisty w źrenice; dyabliki tarzają się w pyle, pędzą w susach, kozłach; u fontann kamiennych z brudu twarze obmywają, z rąk piją, piją u fontann jak gołębie.

Idzie, idzie ulicą, ulica z dwóch stron koło niej płynie jak rzeka. Tu się wódka rozlała na głazy gorące i dymi; tam wabią z pod parasoli owoce; warzyw woń bije w nozdrza; cygara gryzą w oczy; książki do sklepów wołają, co karta to tajemnica; z wiatrem szeleszczą, jak liście, pęki rycin u kramarzy. Przypatrz się liściom żywota.

Tam wielkie wzburzone morze, tu człowiek z gwiazdą na głowie, tu znów meduza. Kochanek kląkł u mogiły, rycerze biją się w maskach, duch wzlata w niebo. Et, rzuć, wszystko to znasz, wszędzie cię już wymalowali, sprzedrzeźnili, idź, szukaj nowych malunków, chust Boga i żywych liści!

Palą się okna czerwono nad białą ulicą! z wież strzelił blask. — Słońce za miastem, za ziemią. Goreją szczyty, proch leci z nieba. Pierwszych latarni ogniki mdło się palą.

Kiedyś tak było już — kiedy? Et, co tam. Nigdy nie było tak pięknie jak dziś! a jutro jeszcze piękniej będzie — skrzydlata nadziejo!

Doliną idzie ulica — to znów górą. Z za murów zwieszają się pnącze, to świat się roztoczy. Dymią rozległe zgliszcza, lśnią w bezkres szyn błyskawice, czerwone latają ognie. Po wodzie dalekiej chlustają czarne gabary. Tysiąc zielonych latarni pali się w wieczornej zorzy.

Zniknęła dal, wije się szyja murów. Zaduch, nędza, strach, łachmany na bruku. Pół rozwalone jaskinie. Szepty, złe oczy, syki.

Życzliwie witają włóczęgę, dają jej przejście. „*Starzy*, mówią, dawno już czekają...“

W pieczarze noc. Węglik się pod warzą czerwieni. Zeschła jemioła nad leżem chroboce o wapno ścian. Uśmiechają się do wchodzącej Starce.

On wielki jak Waligóra. Głowa mu się srebrzy wśród zmierzchu; olbrzymia pierś miedzią świeci. Szeroko rozsiadł się jak pogański bóg, w boki się wziął, potężnym śmiechem grają żebra. „Witaj, siadaj z nami do wieczerzy.“

Przy starym starka. Mysz przy górze. Cienka, chuda, mała, nos długi. Jeszcze się zgarbiła, nosem po obojczykach stuka, kuli się, prawie jej niema. Tylko oczki się świecą, igra śmiech po policzkach, głos jak pęknięty kieliszeczek skrzeczy. Skrzeczy: „niema do wieczerzy wody.“

„Witajcie, ojcze, matko, przychodzę do was z głodem, woda będzie.“

Włóczykij bierze konew, na miasto wychodzi, do krynicy. Obiega zaułki, ulice. Tam wyschła, tu zasypali; tam ludzi się nabrało, że nie dostać; trzeba iść dalej.

Idzie z konwią cyganka, ulica koło niej płynie, to górą, to dołem; z jaskiń buchają łuny, w płomieniach tańczą szatany, szatanice. Wiją się węże murów, rozlewają koliska; w środku, w kwiatów zapachu, zdrój tryska!

Konew z wodą ciężka, gnie do ziemi.

„Gdzieś była? do morza chodziła ze dzbankiem, że cię nie było widać? tu ludzie się wzięli za łby, krzyk, wrzawa, krew i noże... na twoich rękach — krew?“

„Nie, woda. Wodę macie. Siadajcie, spożywajcie. Chleba kromkę dajcie. Drogę mam jeszcze daleką do domu, do jutra.“

Dali jeść, dali pić, dali błogosławieństwo. Z jaskini wyprowadzili, na progu miesiąc stał, anioł błękitny na śmieciach. Niech cię prowadzi.

Wam, starzy, niech Gwiazda świeci i złoto mego pierścienia. Ostatni to pierścień z palca; trzy dawniej miałam obrączki, dziś czyste ręce.

Ostatnie zdjęła kajdanki, złożyła w starki dłonie. Żegnajcie. Gdy się znów obaczym, złoto mnie całą pokryje, będę już cała złota.

Dalej, dalej, gdzie księżyc powiedzie, gdzie tarczą w atrament okienny uderzy!

Biją zegary. „Idź, mówią, czas wielki. W jasnych rozwojach mgieł gwiezdnych król czeka. Czeka ze słowem. Stanie się słowo o północy."

Gna wygnanka ulicami jak jeleń. W lazurowe głazy dzwoni obcasami jak w stal. Dźwięczy żelazo mostu nad rzeką szklaną. Po wodzie tańczą płomienie, jaskółki furczą. Na skrzydłach leci latawica przed królewski dom.

Sterczy czarne górzysko w księżycu, szczerzą się głazy; trzy razy stuknęła czołem, trzy razy sercem westchnęła. Otwarło się wnętrze góry. Ciemności, strach. —

„Zmiłuj się, królu jasny. Przyszłam do ciebie po słowo, po urok przed nowym rokiem. Promień mi rzuć do otchłani."

Zamigotało, zabłysło — i zgasło. Wskazało drogę. Tam, w górę! wąską gardzielą. Końca nie widać.

Wtem bezdnia światła się w górze rozwarła.

— Po co?—pyta jaśń w kształt człowieczy i chłonie w głębie. — „Po urok nowy. Po słowo. Zegar rozkazał — wiódł miesiąc."

— Duch ma prowadzić.

— O królu, słuchaj łaskawie. Ducha ci właśnie przywiodłam. Powie ci wszystko. Mnie tai. — O, twoje stopy tak jaśniejące na ciemnooblocznem łonie Globu! O, twoje stopy, marmur słoneczny! Ustami przypaść, ledz, zasnąć —

Nie! w oczy patrzę!

Król słucha. Przybłęda milczy, duch opowiada. Spowiada się ciałem.

Słucha jaśń, promiennej głębi olśniewająca głowa. Nad mgławicą czoła kędzior piorunowy się jarzy. Twarz — płomień biały.

Moc w jaśni pracuje straszliwa.

Podniósł się wzrok, w otchłani światła dwie ciemne czeluście potęgi!

— Idź. Słowo się stało. Godzina bije. Rok nowy.

Oh, że iść muszę od słońca w mroczne ulice —

oh, że snem zasnąć niewolno u boga stóp jaśniejących —

oh, że tak muszę iść, zawsze iść, wiecznie iść, stać u bram, nie znać ostatecznych wrót, nie znać słowa któreś dał memu duchowi, taić w sobie znak, poznawać go dopiero, gdy się spełni!

— Ogarek masz...

Z krótkim ogarkiem wraca wygnanka w ciemności. U wrót stado psów. — Hej, zkąd? — Z Góry. — Od kogo? — Z fabryki świec. — Dowód? — Łojówka. — Marsz za drzwi. — Tak, niestety — za lichy ze mnie kęs na wasze kły. Jeszcze mi w dziki świat pociemku iść, nim boży pies u jaśniejących stóp— rozdarty złoży, krwawy, od wieków upatrzony kęs!

O, księżycu!

Sama, niewolna, noc całą, niema, jak ty!

Ciężka nieznanem słowem, jak matka zgadująca swój płód.

O życie, mroku wciąż nowy! z otchłani idziem w otchłań; gdy jedną noc rozświecim — w nagrodę wiodą nas w nową tylko, w rozleglejszą — noc.

O, Mroku nowy!

Na szczyt! na wyże! na mury świętego grodu, zkąd całe widne Jeruzalem!

Oto szańce stolicy świata, szmaragdowe kolisko mię-



dzy grodem a światem. Dzieci się tu bawią we dnie, nocą samobójcy.

Po tej stronie — głuchy, wieczny grzmot miasta! Po tamtej — gonitwy mgieł nad polami.

Samotność — przełęcz i dwie otchłanie. Rosa na trawach i księżyc nad głową. W tę noc śródletnią obejdź, królewno, swój nowy świat —

ah, obejdź, obleć nieskończoność w tę krótką noc przesilenia!

Tu — łoskot wulkanu. Łuna się nad nim wielomilowa pali. Z łuny wysuwa się olbrzymie świetlane ramię. Zatacza koło po bezmiarach — w wieczność sięga.

Tam — cisza łąk biegnących pod wzgórza powiewnej dali. Widzisz, co tańcem się unosi wśród mgieł? tam — i tam — dookoła — pląsają cmentarze!

Chłód. Wiatr pachnie wodą. Stój! gdzie idziesz, błędna? patrz! oberwał się szaniec. Stromo nurza się w rzece! owinęła się w mgły, ciecze pod niemi zdradziecka.

Z serca powiewnych wzgórz pełza Styksem w pierś miasta. Za falą idź, słuchaj fali. Wejdź w nowy świat. Obejmij swoje królestwo, poznaj je całe, tej nocy. Czy widzisz? już blednie woda. Czarne się czółna nad stalą kołyszą. Czerwonem światłem gruntują dno. To — świt!

Bruk dzwoni jak stal. Broń szczęka. Kroczą żołnierze.

Śmiało! śmiało! wprost na nich! Warta cię twoja wita. Jutro niewolne — lecz dziś do ciebie należy jeszcze. To twoja noc. Łaska zamknęła cię w pancerz, hasłem świętem fosforyzuje twój wzrok. Idź, rób, co chcesz! Na jutro więzienia. Dziś nie tknie cię nikt. Znak dany. Hasło masz. Noc łaski.

— A nie zgub się na spacerze! przyjaźnie ostrzegają strażacy.

— Jam żołnierz też, na twardej ciągłej służbie i żołdzie lichym. Do swojego właśnie idę regimentu —

Znowu ulice. Drzewa je zakryły gałęziami. Latarnie zgaszone. Niebo przez liście majaczy. Głucho toczy się kolej; kłębami bucha w tunelu domów. Siąść na ławce, chwilę tchu —

— Śpisz?.. pytają gęste mroki.

— Idę już.

— Czekają na ciebie?

Czekają! trzeba iść — wciąż iść, wiecznie iść, nigdy snu — —

Wolno, ciężko toczą się na targ wozy, biją w bruk olbrzymie kopyta, skrzypią wysokie koła. Przewiewa zapach zielenin.

— Z nami, z nami —

Idzie z długim korowodem wozów. Szafir nieba wypija z niej ostatnie tchy. Pod hebanem mostów blednie lazur rzeki. Giganty katedr majaczą na skalistych placach.

Zkąd blask? gdzie się pali? Za mostami, nad wodą.

Cały most w pożarze szumiących płomieni. Szum, blask i chłodny, wonny wiew. Kwiatów pełny most, wybrzeże! tłum kwiatów na placu i ulicach! wśród kwiatów huczą płomienie; paprocie kwitną! Zerwij! zerwij kwiat!

— Ludzie! resztę nocy do rana będę wam z wozów znosiła kwiaty — za jeden kwiat.

— Sprzedajem tylko we dnie. Tej nocy dajem darmo. Bierz, co sama chcesz.

— Zadużo, zadużo kwiatów, by wziąć. Wszystkie zgarnę do oczu, i was. Ale jednego nie znajdę wśród tylu. Jeden trza dostać, by wziąć.

— Do dyabła! trza wziąć, żeby mieć.

— Biada mi, biada!

— Precz ztąd!

.... Za rzeką wstają zorze.

Palisada złocona. Za nią ogród-eden. Tam ją powita słońce. Dziś argus śpi — wszystko można. Włóczęga już za palisadą.

W chłodnych szeptach wiatru zorzy budzą się omdlałe posągi. Perli się rosa, żwir zgrzyta pod stopą. Cicho szemrzą fontanny, dymią krągłe wód lusterka. Szumią gaje.

Tam za odwiecznym obeliskiem wstaje słońce!

Witaj, strzało kamienna, szyldwachu łzydy na placu krwawym! Chwała ci, ojcze słoneczny, Ozyrysie! Jako ty niechaj mi się stanie dusza rozdartą i jasną — Bądź pochwalone, słońce, że mi się tu objawiasz w dniu nowym — Bądź pochwalone chwiejnem majaczeniem onej nocy błędnej, bezsennej.

Dalej! dalej!

Tam — ciemne pałace zbrodniczej przeszłości; tu — łuk tryumfu po przez krwawy plac.

Lunatyczka dobywa nowej fali sił — i gna. Powozy



pełne śmiechu i pijaństwa wyją pozdrowienia. Polewacze ulic zataczają na kółkach gumowe węże.

— We mnie! prosi. — Ocućcie.

Osmagało ją, oblało, oślepiło — Dreszcz, febra na wietrze. Otrząsa się jak pies, idzie słońcem, wyschnąć. Dreszcz i żar. Dymi. Łuk tryumfu goreje w dali — stoi w nim słońce.

Tam! tam!

Wtem staje. Zatrzymał ją czyjś głos, czy wzrok. Dziad mamrocze:

— Idę, idę, a coraz dalej. Żebraków tu nie puszczają, chyba się wrócę —

— Może pójdziecie ze mną? pyta cyganka nagle i czeka z pokorą.

— Pójdę sam, pójdę sam, trafię, wszędzie napisano...

I siada pod drzewem. Lecz cyganka już nie pędzi ku słońcu. Zawróciła i wolno, z wzdętą piersią idzie ku miastu.

Ciemne więzienne pałace przeszłości przeszywają mrozem jej mokrą odzież.

Wyschnąć! spać! jeść! nie spała i nie jadła wiele godzin. Gdzie znaleść karm i sen? Wrócić? — Wara. Pójść? — gdzie? — Ah! już się skończyła noc. Dzień nowy nastał. Trzeba zapracować na chleb — Darmo nic.

Ogląda się, szuka. Wszystkie drzwi zamknięte, wszystkie okna białe zasłonami. Majstrzy w niemych warsztatach śpią — dech ich słychać.

Coś łazi, człapie chodakami, skrobie po rynsztokach, zgrzyta pudłami z blachy po bruku. Śmieciarze już przy pracy. Może jej to właśnie sądzono... może ją przyjmą do terminu. Trza próbować.

Ogląda się po kątach, — zgięta we dwoje gromadzi kupkę kłaków. Niesie pokornie do pudła...

Kij machnął w powietrzu. Rozleciały się śmiecie, nim doniosła. Czerwona wiedźma bierze się pod boki.

— Patrzcie, jaka mądra! Do nas jej się zachciewa, ladacu! Ho! ho! nie tak to łatwo! ponoś jeszcze własny łach po świecie, zanim się weźmiesz do cudzych.

Nie to nie. Prosić się nie będzie. Oduczona. Nie przyjmują ofert, widać chcą się ofiarować sami. Czekajmy. Byle w tem czekaniu nie zamorzyli głodem. A może właśnie o to chodzi. Trudno wiedzieć. Ich rzecz...

Gorzka, siada na ławce, pod drzewami. Żar bije z dna piersi do gardła. Sen chwyta za ciemię i podeszwy drucianą siecią dreszczu. Światło czerwone, szum... upał praży.

Nagle wzdryga się, prostuje, bije powiekami. Dwa tęgie cienie na słońcu się nietoperzą. Strażnicy służbowi.

— Spać niewolno! — rozkazuje starszy. — Ani myślę... — Na co czekasz? — Mądrala uśmiecha się:

— Może na was właśnie...

Strażnicy, wziąwszy się pod boki, zamieniają spojrzenie: — Pijana... — Starszy chwyta ją za ramię, podrywa.

— Na nas — to zabierzemy. Marsz.

Bezdomna uśmiecha się chytrze. Słoneczni się jej nowy chleb, nowy dach. Ale z roli wypada protestować.

— Tylko bez tego — (odrywa paluchy z ramienia). — Pójdę sama.

— Niebardzo sama. — No, ruszaj się. (Zwraca się do kolegi.) Weźmiemy ją między siebie.

I we troje maszerują do cyrkulu.





Sklepy otwierają się z hałasem. Śród wapna nowych fundamentów ziewający mularze myją się w szafli-

kach. Gospody rozstawiają swe uprzejme krzesełka. W czarnej głębi domów płomienią się wielkie ogniska, zgrzyta i swędzi kawa palona, złocą się kuraki. O Boże, tyle szczęścia na świecie...

Chmara dzieci lecących do szkoły wypada z za węgła ulicy. Podnosi się radosna wrzawa:

— Złodziejkę prowadzą! Ladaczkę!..—I nuż gonić, w oczy przedrzeźniać, z tyłu skubać...

Aresztantka robi się dziwnie mała. Potyka się. Ta chmara rozfiglonych oczu onieśmiela ją, wywraca, kłuje nawskróś. Nie może im sprostać. Ah znowu, znowu to samo. Wydmuchała w noc wszystką powagę. Teraz łamie się we dwoje, jak składany nóż bez sprężyny. Niema sposobu...

— Na bok! krzyknie strażnik. Dzieci uciekają z piskiem na wszystkie strony. Jeszcze zdaleka nawołują:

— Zło - dziejka! zło - dziejka.

Może i tak... myśli coraz mętniej. Trzeba się namyślić...

Świsnął kamień. Przeleciał przez głowę... Schyla ją nisko, nisko. Świsnął drugi: w piętę ugodził... zaciął... Drgnęła, pręży się. Już lepiej. Tak... tego właśnie trzeba... O, świat jest mądry, wie, czego jej trzeba... Te kochane dyabełki!

Cyrkuł. Nagie ściany. Nosze na trupów, Partyjka domino w mundurach. Spluwają, gdy przechodzi. Prowadzą ją przed kratkę. Siwy pan świdruje ją przez okulary.

— Kto zacz?

— Madziarka.

— Zajęcie?

— Wróżę na podwórzach.

Pan potrząsa miłosiernie głową.

— Miejsce zamieszkania?

— Gdzie się zdarzy.

— Dziś w nocy?

— Na wolnem powietrzu.

— Dobrze. Środki utrzymania?

— Właśnie mam nadzieję...

— Dosyć. Poczekać tu na ławie.

Postulantka siada, sen wnet ją chwyta, majaczy. O świecie, jakżeś dziwnie zawikłany! że też się tego nie domyślałam dawniej... Kocham twe cyrkuły i wymysły i komisarzy... Kocham i cokolwiek się zdarzy...

Dzwonek. Zjawia się służbowy. Krótki rozkaz komisarza. Stójka zbliża się do sennej.

— Za mną.

Zrywa się. Ah, nareszcie... zacznie się. O, dzięki! dzięki!

Idą ciemnemi korytarzami, koło lochów. Z za kratek głowy chwilowych pasażerów witają przyjaźnie. — A wróć się! wołają. Będzie weselej...

Otwierają się mleczne drzwi. Co to? Sala operacyjna... Woń karbolu wnika w nią strachem.

Przyjmuje ją strzyga w pince-nez. Cienkie szpony macają jej ramię. Pyta:

— Dziewica?

Szczypie ją w udo podnosząc suknię.

— Pantalony?

Podejrzana wzrusza ramionami. Walczy z muskułami twarzy, by się tak nie przeciągała gapiowato.

— Położyć się.

Rzuca ją na łoże inkwizycyjne. Obnaża, bada.

— Można wstać.

Wstaje, twarz purpurowa, skrzywiona do łez czy do śmiechu — nie poznać. Lecz oczy szydzą wciąż dobrodusznie —

— Za mną.

Wracają przed dostojnika za kratkami.

— Zrewidowana?

— Tak. Można wypuścić.

— Nie opierała się? Nie wymyślała? nie gryzła?

— Była posłuszna.

— A!

Twarz cyganki blednie. Przegrała. Wpadła w pułapkę. Znowu nie wiedziała, o co chodzi...

Dzwonek, stójka.

— Wyprowadzić.

I do cyganki:

— Możesz iść.

Ona pyta drżącym głosem:

— Ale — do więzienia?

Stary pan mierzy ją ironicznie.

— Nie, jeszcze nie tym razem. Na to trzeba się lepiej zasłużyć.

Głowa jej opada na piersi z pokorą.

— Dziękuję.

— Z Bogiem.

Stójka wypycha ją na ulicę.

— K....! zgrzyta na pożegnanie.

Posiniaczyli, przetrzęśli, zwymyślali i puszczają... tak z niczem... Kędyż, kędyż teraz?.. Nić pękła i labirynt zewsząd pierzcha.

Nagle zadrgały w niej wszystkie mięśnie, krew uderzyła do głowy.

Co to było?

Zimna fala zderza się z gorącą:

Wszystko w porządku. Nic darmo. Trzeba było zapłacić za nocleg... Los dał sobie wykraść noc... i zemścił się dniem. I owca syta i wilk cały...

Shańbili, wystrychnęli, oszukali... — zgrzytają zęby.

Kto oszukał? dała się... — tłómaczy głowa. — Wciąż to samo, jedno w kółko — omamienie.

Pierś nagle uderza w płomienny płacz —
Niebo i ziemia słuchają zimne, cierpliwe.



Marya Komornicka.



Rysunek węglowy KAROLA TICHEGO.




ŚLADEM ROSYNANTA.

Przeznaczenie me być pielgrzymem — szukam Boga,
Autor.

REFLEKSYE BOHATERA.

NOC I.

Smutek hula. Pijanej oddał się rozpuście.
Widziałem szereg dusz naiwnych jak gołębie,
prostaczych dusz, podobnych białej chuście:
tam zgniły ślad — wspomnienie nocne po rozpuście —
i wizerunek oczu, ponurych jak dwie głębie:

to smutku pieczęć! — Gdy widzicie oczy
dziecinnych pełne szaleństw, figlów i uśmiechu
nazewnątrz, nie wierzcie! gdy dzień się kirem zmroczy,
w głąb' padną — i hen na dnie: ponure, smutne oczy
szukają własnej cnoty, szukają swego grzechu —

po latach tak się stają jako dwie otchłanie,
i zgniła trwoga pełza po białej, śnieżnej chuście —
oto jest wyrok męki: na wieczne szukanie,
wieczne niepojęcie... Bakterye w tej ranie:
smutne zbrodnie — w pijanej hulają rozpuście. —



NOC II.

Gdy rozchłaniam się w Życie, gdy niszczę i tworzę:
tysiące przeciwstawień do mózgu się tłoczy — —
i nie wiem, co szatańskie, i nie wiem, co boże?
Baśń Życia, jak splot lawy, w niezgłębione morze
wkwita. — Ot złudny obraz pustynnych przezroczy!

Życie ma różne kąty i punkty widzenia — —
A w mózgu — tam! — na tkankach ktoś chodzi i chodzi —
omija przepaściste wądoły milczenia
i młotkiem w czaszkę tłucze — i ciągle takt zmienia —
Wartości stare toną w mych zdarzeń powodzi:

róża bezczelnem pięknem bije w twarz nędzarza;
słowik nuci nad trupem wisielca pieśń wiosny — —
A męka złych, Judaszów? Czyliż nie obdarza
przebaczeniem męczone? Bogacza, nędzarza?
Winien — dzień słoneczny, że jest tak radosny?

Niewinien, chociaż płaczą! bo płaczą, jak dzieci —
zbrodnie ich są dziecinne! Widziałem w czas zachodu
zbrodniarzy, igrających z bydłem, „mord“ stuleci —
Napoleonów, śniących przepych, jako dzieci,
dni widziałem wschodzące w brudnej barwie jodu —

Lodową stalą błyszczy wielki cmentarz: ziemia.
W kaskadach barw tęczowych — szkielety. Krwi czara!
A nad nią Gilotyna smukła wzrok oniemia —
Hymn szczęścia? Hymn dla ciała? Dziś, gdy zmarzła [ziemia?
Gdzie ciało?—*Hymn dla chleba?—Wielkaż zbrodnia? kara?*



NOC III.

Kto czci dzisiaj nieszczęścia, co nie idą z ciała?
— Osądzeni się cieszą, że klęski — moralne!
Gdzie żary dawnych stosów? — Pieśń ta skamieniała.
Graal już mchami porasta. — Co nie idzie z ciała,
— stygnie. — Spopielały stosy całopalne —

i bielą się dziś trupio te stosy z igliwia
wonnych świerków, bo Dusza ludzka krwawo zgasła —
Gdzie Męka Wniebowstąpień, *gdzie* Bóg, *co uszczęśliwia?*

Widziałem, jak jowialny szkielet — wśród igliwia —
trzymał w zębach spróchniałe berła: Wielkie Hasła!

Są śmiechy, które plwają na twarz uśmiechnioną —
Nie korz się, że zęby twoje krwi pragnące —
Żelazo ciężki metal; tchnij mu żarem w łono:
przepyszną iskrą zionie w twarz złą, uśmiechnioną,
przez wszystkie barwne nieba przejdzie w białe słońce —

„Duchowość" — prawda wieczna twej istoty!
Jeżeli patrzysz w bezkres, to już twoja chwała:
chwała wiary — cześć noża — czy krzyżowe loty —
Pójdź! Bóg *ci pokaże wielkość twej istoty,*
gdy wierzysz w niemowlęctwo ziemskie twego ciała —



NOC IV.

Któż był obrońcą zbawczym dla jawnogrzesznicy? —
— Baranek białośnieżny — ofiarny, niewinny!
Oto dusza „celników" wśród ciemnej ulicy
raz śmieje się, znów płacze — W jek jawnogrzesznicy
padł kamień, jako „sędzia" — ślepy i dziecinny!

Od sądów ziemi duszę wiodłem po klasztorach,
po „oczach ludzkich" z bólem kroczę do swej celi:
jak ranią mnie te oczy! W ponurych nieszporach

syczą żądzą igraszek — tłoczą się w klasztorach,
by schwytać odchodzące: sąd ma wielbicieli!

Krew ma wielbicieli! — Sądzą — porwą w sztuki!
Bóg ich pieklem pokarał — pocałował w oczy!
Boski pocałunek straszny! Dla nauki —
jak dzieci pocałował — rwą swe serca w sztuki
i odtąd im się dusza krwią zgorzkniałą broczy —

Sam sądziłem!! a jakiż mam sądzenia prawo?
i mnie Bóg pocałował. *Cierpię. Wśród ulicy*
po nocach płaczę, każdą draśnięty zabawą —
Niewinnych nie znam, lecz kto ma sądzić prawo?!
— Baranek białośnieżny był zbawcą grzesznicy. —



NOC V (WYBÓR).

In hoc signo vinces! (tym znakiem zwyciężę) —
szeptał ksiądz teolog i pleban łagodny —
Krucyata? W imię krzyża poszły dzieci, męże — —?
(Oni są bez grzechu). Lecz krzyż i oręże?
Co ma gniewny człowiek? wiara? dzień pogodny?

Stwarzaj nowe wartości! — *Na starą modłę noża?*
Bądź wielki! — *A ogranicz się złudą i przestrzenią?*
Nadczłowiek—*Dziecko - zbrodzień?*—Chrześcianin! — *Doża,*

co ślubem czcił Adryatyk? Równość! — *Chleba? noża?*
A krając po kawałku — świat szczęściem opromienią?

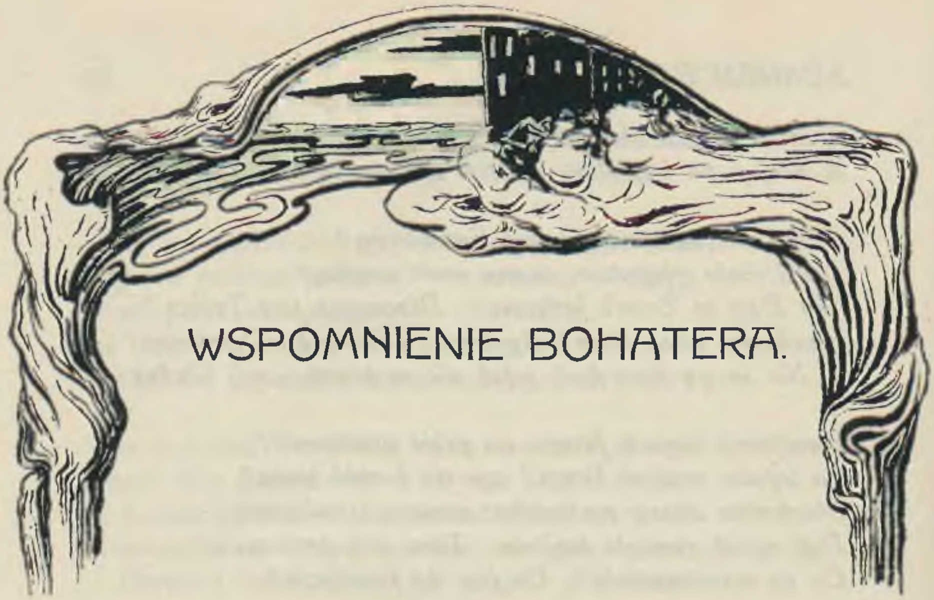
Jeślim nieśmiertelny, będęż Samobójcą?
Jeżeli ciało głupstwo, czemu mnie osądzą?
Czy Bóg to Zero? Jedność? *Dlaczegóż jest* Trójcą?
Słuchamy serca bicia? algebry? Idziem ku Ogrójcom?
— Nie mogą twierdzić, gdyż nie są pewni, czyli błądzą —

Zwątpienie daje-ż prawo na jakie przeczenie?
Co lepsze: szukać Boga*? czy też kawał życia?*
Słuchałem skarg mrowiska: szmery i milczenie —
Dąb zgnił, jemioła kwitnie. Teza, czy przeczenie?
Co za nami zostało? Co jest do przebycia?

„Śpij, Hamlecie!“ Taką jest odpowiedź moja;
ja sam przeciwko sobie duszy łuk napręże!
Choć trudno, bo za ręce chwyta łan-dziewoja,
to znów księga, i chociaż wątpi dusza moja —
wybieram Krzyż i Księgę, Gołąbka i Węże —

Nie wybieram dowolnie. Wybrałem przed wieki.
Te drogi dawno widzę — i wiem, że nie miną — —
A Krzyż *wykwitł przede mną bez końca — daleki —*
Po mędrcach jąłem Księgi. *A w dziecięce wieki*
już mnie rwali — Wąż, Gołąb *ku swoim krainom —*

Tak wziąłem cnót symbole. Niechaj we mnie walczą!
Na Krzyżu mam Oko Boże; Wąż *ma zapach trupi*
(wyjąłem z czaszki mędrca) — Krzyż w ślinę padalczą
nurzam — Sercem Gołębia *walczę —*
Zwycięży duch, co razem jest „mądry“ i „głupi“ —



WSPOMNIENIE BOHATERA.

— — Niegdyś niosłem na barkach krzyż — —
Ciężki on, ze żelaznej sztaby jest wykuty!
i dziw, żem go sam — wykował — —
Godzinami o zmroku młotem był mi ból —
I wstydem mi było, że tak gołą nogą
stąpam przez trotuary wielkich miast — —
I wstyd mnie łamał przed zniewagą,
którą zieje ten wesoły tłum,
co przed karą tak zręcznie zbiegł!
Oto idę ścieżką moją.
Cierniowa ona i bezludna — —
Szukałem w obłąkaniu mroków —
— bez tchu i spojrzenia —
najgorszej!!
Od stołów, puharami krytych, aż
do Golgoty bez Krzyża, do cierpień bez przełomu,
na życie Bezsnu i Bezwytchnienia
wlecze się ona — —
Tak chciałem bawić się żalem i smutkiem moim,

zgryzotą kwiatów zwrotnikowych, co pod szarem niebem tęsknią,
w oranżeryach tęsknią,
na przepysznych szatach kobiecych tęsknią i — —
— — więdną — —
Dlaczegom wmówił w siebie, że mi gdzieindziej iść niewolno?!
Oto myślałem, że po oczach stąpać nie mogę,
myślałem nocą skryć się na puste ścieżki,
chociażby mrzeć i więdnąć i tęsknić,
a bez światła, *a z goryczą w sercu —*
pod szarem niebem smutnego życia,
w oranżeryach sztucznego życia,
bo się bałem odetchnąć,
bo po oczach ludzkich stąpać nie mogę — —
Któż mi wmówił, że ja do Słońca *prawa nie mam?!*

O księżycowych nocach, mroźnych i bezlitosnych,
z marami dum rozpierzchłych tajemne miewam rozmowy — —
Wywołałem ducha, który słał wesołe śmiechy w pustkę
mych klasztornych korytarzy — —
Przypinałem mu skrzydła białe, anielskie —

O księżycowych nocach, mroźnych i bezlitosnych, padały
na mnie ciężko — skłębione zawieje śnieżne — —
Nie podniosłem głowy dla rozkazu,
nie podniosłem myśli dla oporu,
nie podniosłem ramion dla czynu — — —

Któż mnie piętnem znaczył niewolniczem?

Któż mi wmówił, że ja do słońca prawa nie mam?!!
— Tak chciałem bawić się żalem i rozpaczą swoją,
zgryzotą kwiatów zwrotnikowych, co pod szarem niebem
tęsknią, w oranżeryach tęsknią, na przepysznych
szatach kobiecych tęsknią — — i —
więdną —



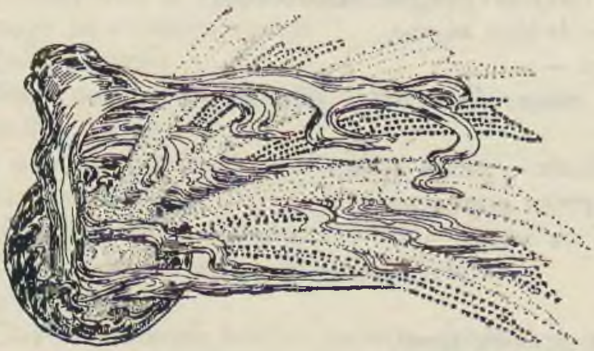
PRZEŁOM.

Po długich Nocach Smutku i Zwątpienia Biały
Dzień *dla mnie rozkwitł kielichem w* Słońcu —

A pierwszą była — Noc Smutku —
A drugą — Noc Życia! Słyszę jeszcze tę
szumną pieśń przepychu życia: szła, gdyby
wielki hymn ku zaświatom! Jednako splatały się
w niej akordy dobra, *jak rozdźwięki* zła —
Ale nie tak nazywano te cechy ludzkie w Zaświecie!
Wszystko to spływało bez zgrzytów w Pieśń
Nieskończoności — — — — —
Następną była Noc Ducha. Wielka, jak Tęsknota Boga,
słodka, jak Wspomnienie Boga!
Potężne tony słyszałem tej nocy: ztąd się zaczął

gwiezdny szlak kopyt Rosynanta!
A potem była Noc Wszechprzebaczenia:
Wszystko zrozumieć, to — wszystko przebaczyć!
I oto stanął nad otchłanią duch Bohatera;
szedł w zawody z wirami gwiazd, i zakołysała się, zachwiała
myśl słaba; a była to już Noc, pełna grozy, w której
trwamy dotąd, i na czarnym Jej oceanie
nie widać litych, złotych kolców Słońca:
Noc zwątpienia —
Szarpnąłem się z pomroku — powiada Bohater
(tęsknił on śmiertelnie do Światła) — *i rzuciłem*
wyzwanie — rękawicę wojownika-człowieka
rzuciłem pod nogi TAJNI!

Hasło: Don Kichot — *odzew:* Biedny Tomek. —



WEZWANIE.

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona:
miecz się jej nie ima!
— Woła Bohater —
Walczyłem z każdą skałą.

z każdym prądem, który-m ukochał;
z każdym prądem, który-m znienawidził!
Hasło moje: Don Kichot!

Słońce wypalało na tarczy hieroglify,
co mówiły o mocarnej tajemnicy
Semitów — dzieci Żaru —
Noc gładziła rysy spiekłe
i stroiła je w kryształy grobów,
które na trupach rosną w blask i chwałę —
— dzień je wypalał!

Szatan palce w sadzy czarnej maczał,
w sadzy serdecznej bohaterów
ze stosów wielkiej rasy Indo-Aryów:
królewskich chłopów-Piastów lazurookich,
Wikingów — królów morza,
Orłów Romy — —
Najniklejsza mara: Ludzkość — je zatarła!

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona,
miecz się jej nie ima!
— Woła Bohater —

Nie służyłem grobom ziemi,
choć szedłem na krucyaty
i koronę pieściłem Baldwina!
choć czytałem Koran
na klindze Almansorów,
choć broniłem Jerusalem
przeciw Romie!
choć na szańcach Pragi
dałem głowę!

(Dużo się pamięta, więcej nie pamięta,
a można skłamać byle ładnie;
zresztą zielsko już na tem wyrasta,
a ludzkość chleba (!) *„jeszcze nie dostała!“)*

Jako tarcz biała — dusza moja,
w ogniu zwątpień oczyszczona
na wieczny Żywot Wniebowstąpień;
miecz się jej nie ima!
— Tak woła Bohater —

Nie służyłem *temu, co przemija!*
Wierzę w czary i w „Jezus, Maryja“
dnia jednego — —
Chociaż chcę w kolumnie duchów służyć,
mogę się i niebem znużyć
dnia drugiego — —
Mogę wierzyć w coś utylitarne
krótką chwilę,
i w hygieny wstąpić sanitarne
bardzo mile!
Ale ziemię chcę oskrobać z ziemi!
Duchy pognać chcę snami złotemi
w zórz chwałę!
Chcę w kolumnie boskich duchów służyć,
choćbym miał się niebem kiedyś znużyć,
lub zwątpić dnia któregoś!
— Tak woła Bohater. —

WNIEBOWZIĘCIE.

PROLOG.

Hasło: Don Kichot, *odzew:* Biedny Tomek.
Don Kichot—rycerz Nieba; Poor-Tom—ziemskie dziecię—
włóczy się w noc i słotę — żywot jego marny!
Szatan złojęzyczny zajął lichy domek.
(Jak to opisał Szekspir:) Lear był zbyt ofiarny,
lecz mało przezorny — włóczy się po świecie!
a Biedny Tomek cierpi od chłodu i burzy — —
Cóż go męczy? — Współczucie i duma — — krzak róży —

Biedny Tomek.

„Biednemu Tomkowi zimno!“ — Śpi na ludzkiem sercu —
Czem je ogrzać? Swem ciałem? —
— toż to szata Dejaniry! Nie unoś się szałem!
Biedny Tomek cierpi: żółć na tym kobiercu —

Bohater.

(Oto mój Tomek, odzew niebiańskiego hasła;
na nim trzeba zbudować wieżycę Babelu,

pokąd ostatnia iskra w Sercu *nie wygasła —*
— serce tłumu) — Po ogień idę dla — — niewielu —

Biedny Tomek.

Biedny Tomek ci wskaże: znasz kwiat świętojański?

Bohater.

Jakże!

Biedny Tomek.

Weź ten kwiatek srebrny — z tajemnicy Pańskiej —
w noc wielkiego proroka — siłą Objawienia
dostaniesz, jeno myśl o duchów męce!

Bohater.

Znam ją. Widziałem łunę w Noc Wszechprzebaczenia!

NOC Ś. JANA.

Wir uniósł Tomka. Wir się gniewa — —
Drży łąka zdradna; tłumią dech moczary — —
W kir-przestrzeń fiolet leją ranne drzewa —
spróchniałe dęby, fiolet piersi starej — —
Zielone lśniące dyademy na śnieżne padły nenufary.

Wir szepce; skargi miota; wir się gniewa — —
Nietoperz trupich skrzydeł zwiesza chusty — —
Szkli się oko wilka? sowy? czy szatana?
Padł śmiech! Śmiech wzgardy. Śmiech blaszany, pusty.
Ktoś szedł tchórzliwy, senny; potrąca nogą chrusty — —
Noc kryje wnętrze lasu, lecz — w blasku skąpana —
czerni się jego głowa na białem tle księżyca —
jako kolumn szeregi chmurne, zamyślone — —
Na drzewie cicho łkała Rusałka-Dziewica —
widmo. Szkło się stłukło!! Czai się Martwica:
któż podąża? kto śmiałek? w naszą?? — w czyją stronę?!

„Jestem materyalista,“ wyrzekł, drżąc, bohater,
„cudów niema“ — a w duszy prędko klepał Pater —

Bohater.

Przychodzę po kwiat paproci, by dostać się do Słońca — —

Wid.

Hahhaha! O to starać się! Hahhaha! do Słońca!
— Dziś kwitnie! — —

W tym momencie
las już umiera, kir się snuje,
kir już oplątał barwy, cienie:
czarna się przepaść w świat wylewa!
widma gdzieś toną — kwiaty, drzewa — — —
Coś lśnić poczęło — — —
Las dech spiera. Las jak dziecinę piersią tuli.
Las kędzierzawą głowę chyla.
Zkąd to dzieciątko? W koszuli
białej z tła wyrasta — skrzydełka motyla!

To już nie dziecię: kwiat promienny!!
matowy — szklany — z rtęci — zmienny,
wciąż zmienny — już perłowy —
tysiącem barw przelewa — drga — zakwitł!!
Naokół zatańczyły drzewa!!
Las oszalał! Czerwony — błękitny — złocisty — — —
Ściemniał. Zczerniał. — Bohater, oślepiony,
oburącz kwiat uchwycił!
drżał mu wśród ramion kwiat czysty —
Śmiech mar, śmiech okrutny, mściwy,
rwał ze sykiem ciszę —
Kwiat spłonął raz ostatni. — Bohater padł szczęśliwy.

(Koło Szczęścia.)

Od tego zgorzał — i popiołem
rozsypał się po łące — —
Zachwytem taka śmierć się zowie:
zgorzał, jako słońce!
Nazajutrz wstał z niebiańskiem czołem,
wcielony w Nowem Słowie.
W zachwycie spalił serce mrące:
zginął, jak bogowie — —
I odszedł tak, jak bożek Prowe,
w zaświaty płonące:
w świetlane sfery kryształowe
dla ludzi po Słońce!



SFERY KRYSZTAŁOWE.

U WRÓT.

PROLOG.

Choć Sfera Kryształowa *w mojej wyobraźni*
wiruje jak pierścienie gwiezdne — sny Keplera —
lub jako „Szklane Harmoniki Kręgi“
(Mickiewicz je obracał) — jest to Duszy Sfera,
w której na wiek zastyga, co w życiu umiera:
wspomnienia liche, zgryzota i czar śnionej potęgi.

Nie są to żadne Nieba Dantejskie, ni Piekła —
(Nieba *bowiem istnieją za naszem pojęciem), —*
jest to raczej krew moja serdeczna, zapiekła,
którą — to, co boli, co wznosi, — pisałem, .
jest tam nienawiść szczytna: baśni, jak kochałem —
Dziś wtargnąłem! Dla formy zwę to Wniebowzięciem.

Nigdy tak nie schodzę do „samego“ siebie:
Śmieszność *strzeże kryształnej otchłani Tajemnic,*
Śmieszność *nie daje ludziom mówić o tem niebie,*
Ironia pyta wieszcza, czy dyament odgrzebie —
Ironia pyta: „Słońce *chcesz wynieść z tych ciemnic?!“*
Nieczęsto ludzie schodzą w siebie tak daleko!
Śmieszność *dla* Marzenia *jest Letejską rzeką!*

Bohater.

Zstąpiłem!
Otwarły mi się szklane wrota,
jak raz czytana księga stara
i przecierpiana raz tęsknota —

Wid.

Co czynisz?!

Bohater.

(Znowu mara!)
Ktoś ty?

Wid.

Strzegę „Kręgów Szklanych“, odkąd, pchnięte Ruchem, mordują!

Bohater.

Kim jesteś?!

Wid.

Duchem.
Nullus enim locus sine genio est.

Olbrzymi cień przy Wrotach stoi pancerny.

Konny w czarnej zbroi —
Na zbroi krzyż z dyamentów — Rycerz Wierny —
Proporzec z gwiazd na czarnym szyszaku —
Rycerz-Duch bez hasła nie wpuści bohatera.
Drogę zamknął. — Twarz dobra świeci z pod przyłbicy —

Duch.
Hasło?

Bohater.
„Rycerz, co nigdy nie umiera: Don Kichot!“

Rycerz-Duch.
Odzew?

Bohater.
Biedny Tomek (czyli „patrz w Niebo, a zrozum *Ziemię“).*

Rycerz-Duch.
Tyś sam?

Bohater.
Człowiek — kapłan Tajemnicy,
(a Tajemnica? — bańka z mydła — źródło paplania —
tęczowa z wierzchu — w środku: znak zapytania).
Zresztą, nudzisz mnie! Dziś to moja własna Dusza,
to moje światy własne!

Rycerz-Duch.
Brud ziemi jeszcze masz na sobie:
utylitaryzm, pojęcia za ciasne —
doczesność — —
Powiedz jeszcze: kto-ć rodzi z Ducha, a kto z Ciała?

Bohater.
Rodzic mego Ciała: *w snach widziany daleko,*

za górami, za lasami, nad trzydziestą rzeką —
Dziś już zasnął w pożarnym pocałunku słońca:
Jerusz-halaim!
Matką mi — Orlica Biała — ziemia ona,
dziś bez miana istniejąca,
niegdyś umęczona —
patrz Jej sztandar! — Wisła szara,
płacz moich dni jesiennych — Dzikie Pola —

Rodzice mego Ducha: *On — wszystkim znany:*
Ahaswer, Żyd-tułacz wieczny,
niedolą pijany — —
Matką mi — Niewiasta tajemna, słoneczna —
Jan z Pathmos Ją oglądał!

Don Kichot.

Wnijdź!
Dusza twoja — wieczna! —

WYJAŚNIENIE AUTORA.

„Rzecz się dzieje“ — to znaczy „treść się mieni,“
a nie że w czasie się odbywa,
lub że odbywa się w przestrzeni.

Sfera Ducha określać się nie lubi:
ziemią czuć w pojęciu wszelkich granic,
więc jedna sfera w drugiej się gubi.

„Napięcie tonu“ — „czasem“ się nazywa,
„przestrzenią“ — „moc“ barwnych promieni —
(Sfera Ducha — BEZPRZYMIOTNEM się chlubi).



I SFERA.

WSTĘP.

Z Arki Samotności rwie nas coś do świata:
myśl żądna niespodzianek, więc loty Gołębie
są sztandarem. Pustelnik w tłumie szuka brata,
szuka strun nieogranych — — nieodkryte głębie,
nowe struny — to rozkosz! — Znak sfery: Gołębie,
a treść Jej: wizya barwna, zmienna i skrzydlata —

Gdzie bohater się ruszy: śpiewy, błyskawice,
płacz, klątwa — szalona dziecinna zabawa —
zaloty łąk w tchu słońca — po nocy miast ulice —
wskroś dziejów bal: obłędna maska krwawa —
niewolnicze swobody i bezprawne prawa,
a na boku szept cichy: to jest Tajemnica —

(Dekoracya.)

Już, już opadły bohatera
lęki i pusty śmiech wesela,
Satyry, Fauny — grecka sfera,

Epikureizm — Rzym spopiela,
Variété, Simonizm, falanstera — — —

Maciek.
A gdzie, panocku, idzieta i od kiela?

I Faun zabiega:
— — a wszystkie mędrków Tajnie i Zwątpienia
nie warte chwili Zupełnego Życia!
nie warte jednej Złudy przestrzennej,
uścisków Lasu, pieśni Milczenia,
lilij na mrocznych kobiercach gnicia,
łzy rozpalonej, igły promiennej — —

II Faun.
Szmaragdowa baśń. Zabliźnione drzewa.
Jutro. Straszna kaźń — to mi życie śpiewa!

Łan.
Obłąkana dusza moja się rozkwieca,
na sierpie lśni, w blask zboża się nurza,
ze szczęścia kwili, kiedy ją oświeca
dumna, stalowa, nieugięta burza!

Chór Życia.
Jak dobrze!!

Optymizm.
I to nawet, że w parny ranek
dech słońca na śmietnisku prysł w barwy tęczowe!

Pesymizm.
Cicho! Sfinks chychocze w pożarnej ironii —

Dziewczyna.
Uciekł mi kochanek,
nikt go nie dogoni!

zabral moją głowę,
nikt mnie nie obroni!
Zabrał mi kochanek
czystość mojej skroni,
pierwszą serca mowę,
— nikt mnie nie obroni!

Chór Faunów.

Chodź w tan!
Czy słyszysz, jak wkól
przez łan,
z aromatem ziół
— wir śpiew
ukojenie serc zwial:
sok drzew,
kiedy Wiosny szał — —
serc plan
zaślubionych pszczół;
serc lęk,
senny brzęk —
czy słyszysz wkól?
Chodź w tan!

(Z łez już nimfy uplotły różaniec,
utopiły różaniec, gdzie rzeka —
a dziewczyna puściła się w taniec,
jeno piosnka wiruje daleka!)

Włoski Tenor.

Ona mnie zdradzila! Serce boli!
Madonno! ulżyj mi w niedoli!

Chór Satyrów.

A cicho! pfe! Wszak jęczyć wstyd,

mężczyzną bądź! — Cóż damski ród?
Na życia szkle drażniący zgrzyt,
lecz ty: cyt! cyt!
Na serca głód jest wino! wiesz?
A więc nie grzesz!
Cóż damski ród?!
— drażniący zgrzyt!
więc wino lej — i cicho! Wstyd!!

(Tenor nie chce kielicha, lecz dzbanek —
Z niego uczeń jest pilny, wzorowy,
dzisiaj kpi sobie z wszelkich kochanek
i wyśmiewa różane okowy —)

Reporter Patetyczny.
Stęchły miejski wiew. Dzieci wpośród błota!
Optymizm.
— i w tem jest cicha, dobra, tajemna tęsknota —
Reporter Patetyczny.
Szwaczka blada spogląda na brudne podwórko —
Optymizm.
— ale uśmiech ma w oku —
Reporter Patetyczny.
— żółta, jak gromnica —
Faun.
Na oknie — jej róża; rozkwitła i wonna!
Publiczność.
Po czemu dziś na rynku jest średnia pszenica?

Życie..
Bądźcie jak ptaki, jak róże, a nędza rzecz płonna!

Faun.

Pełnią Życia!! — *Wśród kłosów wonne mam posłanie!*
Żuk gnojny lśnienie skrzydeł śle mi w upominku —

Pesymizm.

Krew?

Satyr Dziejów.

— i krew dobra —

Reporter.

— płakałem po szynku!

Faun.

— i to dobre: naiwne złego ukochanie. —

Życie do Bohatera.

Szmat futra, lśniący rudawym przepychem,
słoneczni łany, jasności niesyte —
Lękami borów ciało upowite
tuli doń Troska — — róż sinych kielichem
rozwija kwiaty, śni marzeniem cichem
(noc głucho tętni przez drogi odbyte) — —
Cień pada w duszy zwierciadlaną płytę,
cień wspólnych zbrodni z pokutniczym mnichem!
szła dotąd skuta: za nim, za Zwątpieniem —
Lśni przepych słońca! Głębokiem spojrzeniem
modli się Troska, jak więzień mogiłom;
niedługo rzuci ciebie — tajemnicza!
W śmiech blasków tuli siny kwiat oblicza —
Wciąż przepych wzrasta!
Słońce ją zabiło. —

Panteizm.

ON dobry! ON Tworzenia i Zniszczenia Droga!
Wino tego życia płynie z jednej czary —
Pójdź za mną! — Czego wątpisz, człeku małej wiary?
Wszędzie jesz i pijesz Ciało twego Boga!



II SFERA

WĄŻ.

Ludzkość.

Za granatową gwiezdną nocą
pożarne słońce krwawo wschodzi,
a czasem bryzga żółci jadem;
zkąd ono? — czyją pchane mocą?
czy śmiech to? — płacze-ż w barw powodzi?
czy niepoznaną daje radę?
Przed granatową gwiezdną nocą
pożarne słońce w łzach zachodzi — —
Na zbladłych niebach turkusowych
płyną ostrowy chmur z koralu:
— miedziane tarcze płyt grobowych
chowają-ż słońce pełne żalu?

Człowiek.

Czy, przeznaczeni na konanie,
święcimy życia zmartwychwstanie? —

Głos duszy zbudzonej do szukania.

Powstańmy! Słońce daje Radę:

kto nie chce zasnąć na tym brzegu,
aby — oddany ślepej fali,
albo zatruty chwili jadem —
w zwierząt nie ujrzał się szeregu:
niech patrzy, jak się Słońce pali!!

Ludzkość.

Głos ten od Boga?!

Głos.

Nie!! — od Węża —
— W tej Sferze Imię to zwycięża —
Wąż nas zatruje: da świadomość,
więc słodkim będzie jad trucizny!
(Jak słońce — boli taka rana.)
Wąż-Mądrość *wpełznie do tej blizny,*
poznamy Wielkość i Znikomość. —

Ludzkość.

Toś nie od Ojca?! nie od Pana?!

Głos duszy.

Nie. — Jam od Węża!!
— W tej Sferze Imię to zwycięża. —

SCENERYA.

Bohater: „szukający,“ „wtajemniczony“ i „Arcykapłan.“
Ledwo co ukochał, już niszczy.
(Kwiat, co głębiej wrył się w duszę,
nowy zagłusza: to jest „kołysanie się Sfer“).
Przez dyamentowe wieków korytarze idzie:
lśnią i gasną dawno znane postacie — — —

ESSEŃCZYCY.

Arcykapłan.

Jak *i* dlaczego *odbiera wam sen, zabija czyn i chęci —*
Pójdźcie na pustynie! — Loch skał dla myśli waszej
[będzie jak obrońca — —
Powoli zniszczym się. Zburzymy gmach pamięci.
I w nocy jaskiń Własne wytworzymy Słońca!

Kapłan.

Siedziałem tak od świata oddzielony:
strawiłem żar, strawiłem wiek młodzieńczy —
darmo! — Duch Życia wrócił ośmielony —
Duch Życia — Zło w uroku świetnej tęczy —

Duch Życia.

Widzisz?

Kapłan w ekstazie.

Płomiennych krwawych żarów potoki
niosą nieznane i dziwne dreszcze,
śni się gorący step bezobłoki
i pod nim przestwór piasków szeroki,
a wokół mgliste miraże wieszcze — —
Na tęczą lśniącej tkance złudzenia
namiętne dziewczę słońca krainy

wyciąga ku mnie dłoń przeznaczenia
i niesie przestwór pieśni milczenia — —

Duch Życia.
Słyszysz?

Kapłan powtarza:

„Wróć się! wróć, bracie, do twej jedynej!
Porzuć te lochy, zrzuć z czoła chmury
chłodne, jak północ szklista, lodowa!
Śpiewać ci będą Edeńskie chóry
Lenistwo *słońca, kiedy za góry*
w płomiennych krwawych żarach się chowa — —"

(Surowa cisza zaległa wkół
i zamyślenie stroi im twarz — —
lecą dalekie zapachy ziół — —
lecą piosenki, muskają twarz:
— pamiętasz? — znasz? —)

Arcykapłan.

Idź —
Hańbisz nas wobec Węża!

Zostaje sam.

Arcykapłan.

Zostanę z prochem wspomnień, — w mózg ziemi się wgrzebię
i okiem zerwę z nieba zazdrosną zasłonę!
Będę Rozum *piastował na Ciała pogrzebie:*
może Tajń da mi więcej nad królów koronę,.
może kwiat jakiś wzejdzie na niewdzięcznej glebie!
— Nie żądam nic dla chwały!! Nie. Ale chcę, jak Słońce,

treść Ziemi spopielić na pogardę Ciała!
na pogardę Życia!!

Głos Duszy.

Chwała! chwała!
ty gardzisz??

Arcykapłan.

Taak —
...myśl przecierpię!
Będę odtąd chwalił Boga nie jako
Syn — Ojca, ale jako Uczeń — Mistrza!

EGIPT ŚWIĄTYŃ.

Wtajemniczony.

Duch snami opiły
szkłem przepaści niosę w Tajemnicę —
Gdy Myśli — Bogów-Słońca strawiły,
zkąd blask pada na Duchy-Księżyce?!

Kapłan.

Proch dziejowy wyniosleś z mogiły?

Wtajemniczony.

I proch świecił, jak stare próchnice —
zkąd te lśnienia?

Kapłan.

Sfinksy wiedzą.

Wtajemniczony.

Fałsz!! Sfinksy prześniły —
Wszystkim duchom zaglądałem w lice
i otchłaniom, gdy się dnami szkliły — —
— — — — — — — — — —
Zkąd blask pada na Duchy - Księżyce?
— Kir jest we mnie — bogów myśli strawiły! —

Arcykapłan.

Śladem Boga idziesz —

Kapłan.

Ale Imię Jego *NIEPOJĘTY* —

Chór Kapłanów.

Wiedza, którą idziemy, i Wiedza, po którą idziemy —
jest jak kryształ, a ścianki — tysiączne zwierciadła.
Jedna kropla — blask rtęci — skierka jedna wpadła:
mgły światów, lśnień chaosy! — jedna iskra wpadła —

Chór Wtajemniczonych.

Z powierzchni zmiennych fal i obrazów
zeszliśmy w głąb' Starej Świątnicy —
Zbrzydła nam złota baśń Nilu —
W łanów spłowiałych objęciu
długośmy słuchali Czarów Szeherazady,
— zapragnęliśmy zdobyć lampę Aladyna!

Chór Kapłanów.

Wiedza nasza szczytna, wiedza tajemna —
nie dla motłochu! Szukamy śladów Boga —

Chór Wtajemniczonych.

W świątnicy, wzniesionej ludu tego dłońmi,
wznosimy pojęć gmach dyamentowo-ścienny — —
Dyamentowe — długie — wloką się korytarze —
nieuchwytnemi idą pierścieniami — —
w milczeniu toną? — czyli w gromów gwarze?
— — — — — — — — — — —
Dyamentowe się wloką korytarze — —
Niepewni tęsknim — idziem snami — —
Bez końca drży odbicie tego lśnienia,
co niewidzialną tleje — hen! — gromnicą — —
Bunt gromów słychać? czyli szept milczenia?

I Wtajemniczony do Arcykapłana.

Spotkałeś się już kiedy z Tajemnicą?

Arcykapłan.

Zawsze z odbiciem —

Kapłan.

A może Światło *rozpadło się w* Odbicia!!

Słuchają własnych mysli.

Arcykapłan.

Zamilcz o tem.

Chór Wszystkich.

Dyamentowe się wloką korytarze —
nieuchwytnemi idą pierścieniami — —
W milczeniu toną? W gromów gwarze?
Dyamentowe się wloką korytarze — —
Niepewni idziem tędy snami — —

MAGOWIE CHALDEI.

I z Magów.

Nadeszła noc, a z nią pora
gwiezdnych rad, magicznych snów:
na wieży szczyt!

II z Magów.

Lęk w nas! Bo dusza chora
czytała w gwiazdach — Srebrnych Słów
niepojęty myt!

Bohater zjawia się.

Chór.

Czego chcesz?

Bohater.

Słuchać Rady Nocnej —
jak przed wiekami, i spojrzeć znów
gwiazdom w twarz!

Chór.

Noc kryje wschód. Króluje mocny
Bóg-Aryman, więc naprzód mów,
czy światło masz?!

Bohater.

Błyskawicę niosę w całun owiniętą,
rozsieję nią w proch Arymana kiry! —

Na oko ziemi, na szczyt Dawalagiri,
w tajemnicę waszą idę świętą:
błyskawicę niosę w całun owiniętą!

Chór.
Więc chodź z nami na szczyt
czemprędzej — nim zalśni świt:
w zaklęte śnieżne wiry! — —

I z Magów.
Lęk w nas, bo dusza chora
czytała w gwiazdach — Srebrnych Słów
niepojęty myt!

Arcymag.
— ? —

I z Magów.
Patrzałem w dalekosięgłych szyb źrenice,
oto formuła: —

Arcymag.
I nic?

I z Magów.
Nic. —

Arcymag.
Kapłankę zwołać tu — dziewicę —
która wrażliwa jest i czuła,
niech utkwi oczu swych źrenice
w szyderskie gwiazdy skrytolice,
znów w wirujący krwawy rubin:
będzie to — z Tajnią zaślubienie,
będzie to — z Ciała wyzwolenie —

Chór.
Noc Wiedzy — Noc zaślubin! —

(Kapłanka przyszła — — i wpatrzona —
zasnęła w krwawych świateł wstędze).

Arcymag do Niej.

Co widzisz, mów! —

do I Maga.

A ty pisz w księdze!
— Co widzisz, Wiedzy zaślubiona?

Kapłanka.

Dusze ludzkie wracają z gwiazd! Tysiące!
Im większy duch, tem większe jego słońce —

Mag do Bohatera.

A które w życiu ziemskiem nim kieruje.

Kapłanka.

Wszystkie słońca, jak ptaki złotopióre,
w noc lecą! — Nocy nie ogarną —
Nowe słońca!! —
Za Szarą Chmurę
padły! —

Arcymag do Bohatera.

Może ty, co marszczysz brwi ponure,
znasz jej miano?

Bohater.

Znam — jam z tego świata —
Zowie się: Wszechwiara, lub Wszechzwątpienie —

Chór.

— ? —

Kapłanka.

Nad ziemią wszystkie krążą!!!
Rysują złotem noc czarną,

ona skrami zapłakana —
skry się w pasma wiążą —
pasmo z pasmem się brata! — —
Milczenie, —
milczenie gwiazd —
do jednej Gwiazdy *dążą — —*

Arcymag.
W którą stronę?

Kapłanka.
Na Zachód —

Arcymag do Bohatera.
Ty, coś z Przyszłości, powiedz, co to znaczy?

Bohater.
To Prawda, która Baśnią się tłómaczy —
śmierć Wielka — Ormuzda, Większe Zmartwychwstanie —
do dziś jeszcze — — lecz czasem — —
— — gasi Je — Wszechzwątpienie —

Chór.
A któż to? któż?

Bohater.
Mój nieodstępny Anioł-Stróż. —

Chór.
Pijemy żary z ciemnych gwiazd,
pijemy gorycz z jasnych słońc —
— — — — — — — —
dziś wszystkie gwiazdy tracą żar
i słońce traci dumy czar,
a z obłąkanych mgławic-gniazd
blaski się wloką — śmiejąc, drżąc — —
zmartwiałe blaski martwych słońc — —
tajemne żary z ciemnych gwiazd — —

AKADEMIA BRACTW NAUKI.

(Dekoracya.)

Wskroś wieków lśni się złudny gmach:
Akademia Bractw Nauki.
Gdy jedna część Jej *tonie w mgłach,*
gdy już nad drugą — płaczą kruki,
trzecia podnosi czoło w skrach — —
i tak bez końca każda śpieszy
zapalać nowe słońca — rzeszy.

Lecz skutkiem ciągłej zmiany wiar —
już wtedy *mech ją wkrąg porasta;*
i blaknie zwolna Wiedzy czar,
jako starzeje się niewiasta,
co próżno czeka leków sztuki.

Wskroś wieków lśni się złudny gmach:
Akademia Bractw Nauki.

Bohater.

Jeszcze raz przeżyję upadek i budowę gmachu —

Don Kichot.

Dumie twojej to nie ubliży —

Bohater.

Jeszcze raz przeżyję wzlot Nauki i pełzanie — —
Straszne mi to nadziei królowanie!
(świadomość jest przyczyną strachu) — —

Don Kichot.

Dumie twojej to nie ubliży —
Był tu przed tobą ktoś —

Bohater.

Gdzie poszedł?!

Don Kichot.

Na Golgotę — w stronę Krzyży —
— Krasiński — a za nim jakieś odgłosy
szły z mrocznych podziemi (to są Ducha Sądy);
On wyniósł błyskawicę w całun owiniętą,
zawierz „jej" siebie, otul się w pożarne włosy:
„ona"-ć słońcem będzie, oświeci te lądy —
tak pójdziesz srebrnym szlakiem w „pamięć wieków świętą!"

PIERWSZA STRONA GMACHU.

Pitagorejczyk.

Prawda jest tylko w Cyfr prawidłowości;
w nich kryje się nieubłagana Konieczność —
Zero? — Symbol Wszystkiego i Nicości —
Jedność? — Wszystko dąży do jedności —
Dwanaście? — Treść Hebrajskiej Świątnicy —
Siedem? — pełne czci i tajemnicy —

Platończyk.

Cyfra martwa. Nad wszystkiem jest promienne Słowo.
Słowo-Myśl — bogów stwarza w chaosie zawiei.
Bracia! Pogarda ciału! *Nieść płomień nad głową!*
Bracia! Cóż jest ciało? — *Splugawienie* Idei!

Bohater.

Boski twój Mistrz dobrym poszedł śladem —
znów wieki nim idą — —

Sofista do Bohatera.

Czy w „Materyi" szukasz, zwąc się ziemskim gadem,
czy w „Idei" się bratasz z boginią Izydą? —
mogę ci dowieść, że w tem błądzisz, lub w owem —
mogę dowieść twej racyi w jakim chcesz sposobie
i Materyę z Idei wyprzeć silnem słowem,
lub Ideę z Materyi.
Z fałszu prawdę robię!

Bohater do Sofisty.

Choć kpisz — niesprawiedliwa spotyka cię wzgarda!
Wyznam, że nikt dalej od ciebie nie sięga — —
Każda „prawda", jak metal, dopóty jest twarda,
póki niema Ognia. — Ogień to potęga! —

DRUGA STRONA.

Arystoteles.

Czego palcem nie tknę, w to nie wierzę!

Bohater.

Słuchaj! A czy palcom można wierzyć?

Arystoteles.

Tak daleko nie mierzę,
bo inaczej nam nie żyć!

(W togach wchodzi profesorskie ciało.
Ciągną bożka z drewna; reklamują śmiało:)

Chór Profesorów.

Pozytywizm!!

Tłum zw. Inteligencyą.

A! a! a! — A! a! a!

Chór Profesorów.

Oto jest ochłap mięsa dla gęby zatkania.
Oto są balwany Czystego Rozsądku.
Starczy przez życie całe do męki konania,
byle w Wieczność nie patrzeć i unikać wrzątku,
bośmy z trudem zagładę DUCHA budowali,
a wrzątek może popsuć lat dzieło na marne.
Oto jest Bałwan Wiedzy, niech motłoch go chwali!
Oto sztandar: Wierzymy w Coś Utylitarne —

Bohater.

Jakie to ciasne, marne — —

(Tłum chwali bałwana: A! a! a!).

Chór Profesorów.

Słyszysz Vox populi! — Ciasne? — Hm, to zabawne.

Bohater.

Tłum wam wierzy, bo lubi wszystko lekkostrawne!

Filozof Krytyczny.

— — a dziś, gdy się mówi o aksyomatach w nauce — to [błąd. —
Nie jest-że pierwszą hypotezą: rzeczywistość naszego [rozumowania?

Bohater.

A więc cóż?

Awerroista (do Bohatera).

„Węża“ rzucisz!

Głos.

Zamilcz o tem. —

Awerroista.

Nowe Miano ci powiem, Hasło Nowe!
Tyś wypłynął z BÓSTWA — w NIE powrócisz! —
To jest Prawda jedna.

Bohater.

Myt rozpaczy —

Awerroista.

Nie! Nowe-ć Hasło powiem, Nowe Miano —
— da-ć szczęście. — Chęć Wiedzy jest raną.
Ranę jątrzysz!

Duch-Wąż.

Zamilcz o tem.

Awerroista.

Węża rzucisz! Ciało pętaj!

Duch - Wąż.

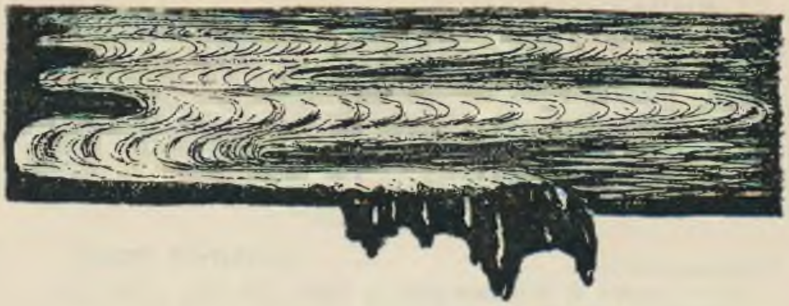
Ciało nie przebaczy!!

(Próżno. Głos padł. Głos w Duchu rośnie.
Już dawno marł! Zgniła myśl o Wiośnie!!
więc w Nową Sferę!!
Sfera Próżni.
To będzie ostatnie *po męczarniach „chęci“ —*
ogarnie szarym zmrokiem dusze zżarte bólem —
— Morze Znicestwienia — Sfera BEZPAMIĘCI.)

Budda.

Twórco własnej doli! Niewolniku CHĘCI!
CHĘĆ okiełznaj! Bądź swoich cierpień królem!
Każ im zmilczeć: zginiesz w Morzu BEZPAMIĘCI.

(Tu się zaczyna Sfera bez Znaku.)



III SFERA.

WSTĘP.

Pieśń Otchłani.

Przez posmutniały filtr dyamentu
księżyca martwe seledyny — —
Na orgię wspomnień siwych włosów,
z gwiezdnego wiru i odmętu,
upiorny Człowiek idzie siny — —
Przez posmutniały filtr dyamentu
ogląda pasma siwych włosów — —

Na grobach setki srebrnych kłosów —
Glob potrzaskany w bryły lodów
— Chaos kołysze ziem cmentarze —
Zdziwienie straszne — łzy bez głosów!

Bohater.

Pleśń ideałów i narodów??

Pieśń Otchłani.

Na grobach setki srebrnych kłosów —
Chaos kołysze ziem cmentarze —

Bohater.

Niegdyś!! Ułuda? snów witraże?
krwi szept na ducha święte szranki?

Pieśń Otchłani.
Przez posmutniały filtr dyamentu
— seledyn. Zmarłych snów miraże
na siwych włosów srebrne wianki — —

Bohater.
Niegdyś! — ułuda, snów witraże,
tęczami lśniły filtr dyamentu!

Pieśń Otchłani.
Chaos kołysze ziem cmentarze — —
Chaos kołysze pierś odmętu — —

Ludzkość.
Co znaczą te siwe włosy?!!

Głos Nietzsche'go.
Bóg umarł —
Tłum szepce między sobą: *Bóg umarł!*

Duch-Minus do Nietzsche'go.
Nie twoje tu miejsce, Przyziemny Stworzycielu
Nowego życia! — Odejdź! —

Chór Wyznawców Ducha-Minusa.
Przeczym i niszczym! —
Słuchaj tłumie: Skalałeś BOGA
w Sobie, odtąd — umarł!
— — — — — — —
Niech tak umrze wszystko, co buduje!

Tłum Obłąkany.

Nie rozwłóczcie tej nocy po wszystkich krańcach świata! Jest to oślepły ból nicości!! Jest to okropne przerażenie śmierci, która zmarła!! — — —

Co za jęk?? — (Stalowy syk bezdeni drze ciszę —)

(Po nad brzegami czarnych dachów rozlało się ciemnoszafirowe niebo) —

Miliony osieroconych niemowląt, rzucone w tę noc beznadziejną, kwilą i mrą na błotnych roztopach bez matki — — — i niema! niema kochającego łona, co je utuli!

(Przerżnął otchłań rozpalony płat stali. Przeszył na bezdeń!)

Szara się czeluść w świat wylewa i nie mamy już ołtarzy, nie mamy dziś pamiątek!!

Tylko gwizd oszalałej ziemi rwie się w kir bezkresu i kona, jak skonała ostatnia skra nadziei! —

Bohater do Don Kichota.

Czemu TŁUM tak cierpi?!

Don Kichot.

Niech w cierpieniu zniszczy Siebie,
a stworzy się z Niczego na nowo
BOGA Świętszego *pojmie!*

DUCH-MINUS.

Duch-Minus.

W tej Sferze ja władnę! Na duszach pieczęć kładnę: duszę trzymam w wiecznym rozdźwięku!

Jam ANTY-BÓG; Duch Wszech-za-przeczenia —
Wy-jawiam się w ZŁEM rozlicznem:
i mój Chrystus może być Aniołem!
on ma tęcze uśmiechu nad czołem!
duch, który niweczy, — TĘSKNOTĄ jest krynicznąą,
patrzy w przezrocz swoją,
wskroś wieków pyta — tem niszczy!

Elementarne ZŁO w dotknięciu myśli zwielokrotniam!
— tu królowanie moje i tu powszechność moja
bezprzyczynowa i bezprzymiotna aż po NIE-BYT —
Choć zdarzy się prawda, *mówię: odrzućcie! i odrzucacie—*
Ja bywam Samo-wzgardą waszą, bom jest NIE-DO-WIARĄ waszą.

Chór Otchłani.

Gdy poznaliśmy pierwsze NIC-NIE-WIEM: czerpiemy z PEŁNI DUCHA i zagładzone jest ono N.-N.-W. do pierwszego ZWIERCIADŁA — —
Na tem fałszywem słońcu my, dzieci złudnej otchłani, zatknęliśmy powtórne N.-N.-W.
Tak wychodzim nagle z bezprzestrzennej dusznej jaskini— —
Tak wychodzim z nową twarzą, a razem z tąż samą!
Wychodzimy z twarzą smutną, tajemniczą, w nimbie bolesnego uśmiechu — —
Oto jest TAJŃ ZWIERCIADEŁ.
Oto jest nieskończenne (w powtórzeniu) N.-N.-W.
A zawsze, jakby dalsze i pełniejsze — —

Dusze Szukające.

Jest-że możebność błyskawicy, co podruzgocze te ZWIERCIADŁA? — Cudu!!

Chór Otchłani.

Liczba ich: nieskończoność!
Migotliwe, czarne i srebrne,
bezprzestrzenne, a wszechobejmujące,
trupi kanał, księżyce migotliwe,
wydłużają szlaki niebne,
wrogi BÓSTWA tem, że zwiększające,
przez nich MAŁE jest często ISTNIEJĄCEM.

Migotliwe, czarne i srebrne
Zwierciadła-księżyce migotliwe,
PAN na nich dłoń położył:
oto milion twarzy i proroków
— ZŁO się zwielokrotnia. —

Budda.

Wszystko — Ułuda! *Z nią walczcie!*
Ale niech nawet o to *wam nie idzie:*
pogarda wszelkiemu chceniu.

Chór Buddystów.

Gdy wypalą się wszelkie ogniska,
gdy Słońce się w sobie spopieli —
MY, którzy istniejem z NAZWISKA:
po za NIEM — nie będziem istnieli — —

Bohater.

Zkąd znacie — PRZYCZYNY BOŻE?

Chór.

Nie o to! nie o to nam idzie!
Spopielim się, spalim w milczeniu:

pogarda wszelkiemu chceniu.

Do Tłumu:

Ostatnie iskry stygną... ostatnie milkną szumy...
pójdźcie ofiary czynić!

Tłum się dzieli.

Jedna część.

Ze wszystkiego — tak!
lecz nie z DUMY!

Buddyści oddalają się z tłumem Wyznawców.

Głos Archanioła Abbadona.

Do mnie, bracia tęskniący w gniewnem niepojęciu!

Oddalony Chór Buddystów.

(Mgłę BEZCZYNU w siebie chłonę,
owładnięty w snach — N.RWANĄ — —
Swym marzeniom, jak kurhanom,
z kwiatów śmierci dam koronę...)

Silny Głos Archanioła Abbadona.

Bracia, w gniewnem zniszczeniu!

Daleka Pieśń Ludu.

W dal milczącą się roztacza
szklana tafla śniących wód,
nad nią wisi lodów chłód:
stygmat śmierci: sen tułacza — —

obłąkana w marzeń cud,
dziś po Wiośnie nie rozpacza —
w dal milcząca się roztacza
szklana tafla śniących wód.

Bardzo daleka, cicha zwrotka.

(Obłąkana w marzeń cud,
szklana tafla śniących wód
w dal milczącą się roztacza — —)

Milknie.

Axel.

„Nie raczymy przecież dopowiadać Amen
do litanii niewolników — —“

Oddalony Głos Zaratustry.

„A komu życie się nie udaje, temu śmierć się uda...“

Abbadon.

Jam jest Duch Wszelkiej Śmierci!!

Chór Dumnych.

Marne to życie, męki marne — —
Nie wiemy, nie pojmujem dlaczego?
...a może na Wieczny Żart nas stworzono?
Czarne tęsknoty, kruki czarne
obsiadły nas. — Idziem z NICZEGO
ślepi, głusi i niemi — z męczeńską koroną — —

Abbadon.

Krzyczcie: „Chwała złemu! chwała naszej rozpaczy
[i niechęci!“

Bohater z przerażeniem.

Dokąd? dokąd?

Nieuchwytne Echo Buddy.

(— Nieskończone dale BEZPAMIĘCI — —)

Tłum.

Chwała naszej rozpaczy! Dręczmy się nią, gniewem i zemstą na wieczność — —

Abbadon.

Kto się gnie, ten podły! — —

Tłum Wyznawców.

Podły, ludzki — — — —
A my za matkę obierzem sobie ŚLEPĄ KONIECZNOŚĆ!

Abbadon.

Chwała! chwała!

Bohater.

Dokąd?!

Abbadon.

— ODWIECZNY i WIECZNY BUNT —

Ludzkość.

Pewności! pewności!

Abbadon do Bohatera.

i ona do mnie należy — —

Bohater.

Wielu odpadnie! — —

Abbadon śmiejąc się.

— — i ty za mną pójdziesz — — tyś mnie już w snach pieścił! Pamiętasz?

Bohater.

Niestety, gnije jeszcze, ale wyrwę ten szmat z duszy!

Abbadon.

Tam... na dnie masz jeszcze, taisz w sobie palący śmiech gniewnego Słońca — —

Daleki głos Bohatera.

(Sam na sam byłem z troską zaklętego koła!
Myślałem, że rozniosą ją fale jeziorne —
śpi przestwór, w moje myśli cierpkie i upiorne
uderzył śmiech ironii — straszny! — Archanioła!)

Abbadon.

Słyszysz?!

Bohater głowę spuszcza.

Don Kichot do Bohatera.

— — — — po Nowe Słońce!

Bohater.

Idę — — dalej — — —

Abbadon.

Dokąd? Znalazłeś Boga?!

Bohater twardo.

Nie. Ale GO znajdę!

Idą: On i Don Kichot, a za nimi Śmieszność i Ironia.

Błazen.

Don Kichoty niechaj idą,
niech ich potem swinie zdepcą!
Ja do ciebie z moją biedą
Abbadonie! —

Abbadon.

— ? —

Błazen.

Krew mi chlepcą!
bo widzisz:

śpiewa: *człowieka błazen zabił w sobie,*
gdy policzkował ułud maskę:
z bioder cyrkówka drze przepaskę

i śmiechem straszy zmartych w grobie!
— oto cały skarb mojej duszy —

Tłum huczy.

Abbadon.

Cóż tam?

Błazen.

To moi widzowie. Poczciwy ziemski ludek.
Nowego Boga instalują —

Abbadon.

— ? —

Błazen.

Jeżeli instalują, — to znaczy: stalowego,
nazywa się „pan Rewolwer.“

Tłum huczy.

Abbadon.

Dość Samo-ironii! Chciejcie, a będę
straszniejszym od Śmierci! Za mną!

Rezoner.

— Odchodzą.
Odeszli jak ci, co długiemi sploty
wiążą zostałych ciężkiemi okowy — —
bo ten, co w imię złego *zerwał piętno z głowy,*
duszę wyrwał — z odwieczną pieczątką Heloty —
Bez dusz, choć nie w kajdanach,
chwili niewolnicy!
zatęsknią znów po panach:
dzieci Nierządnicy!

Głos Abbadona.

Chwała tym, którym rozpacz wystarczy!

Człowiek.

Dusza moja! dusza kona w podłości, w szarym zaduchu MIASTA, naucz mnie rozpaczy, naucz mnie zemsty, naucz mnie zbrodni!

Głos Abbadona.

Co-ś ty za człowiek???

Człowiek.

Mieszczanin. Człowiek marnego gniewu i marnej cnoty. Ojcowie moi od dawien dawna służyli Duchowi *U-*Życia: *poza kresy ciała u nas się nie wychodzi.*

Bohater do Abbadona.

On twoim będzie, chowała go RODZINA! Imię ICH jest Legion. Nawet poetów swoich mają. — —

Poeta.

Niemoc mnie pęta — myśli moje krwawe!

Abbadon.

Nie będzie tak wielkiego Sądu,
by mógł osądzić myśli krwawe!

Poeta.

Szukałem prawdy, chociaż błędu!
— — i darmo-m trudził swoją nawę —

Abbadon.

Nie pojmowałeś prawdy, błędu!
A teraz dokąd?

Poeta.

Skieruję ją na twoje skały —

— ni rzecz to dobra, ani zdrożna,
bom zepsuł sobie żywot cały — —
— — — a jeśli zepsuć go nie można?

Bohater do Abbadona.

Słyszysz, jak wzniośle gadają!
— Własna teologia ich broni.

Teolog do Abbadona.

Oto szukamy się dziś w własnej próżni —
Gwiazdy nam zgasły, oniemiały dźwięki —
I z tylu blasków, które niegdyś lśniły
promienne, żywe — hen! na widnokręgu:
ostała się nam zdawkowa moneta,
ostały się nam tlejące popioły!! —
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Nie odszukamy się w swej własnej jaźni — —
pojdziem, gdzie zechcesz — wszystko nam jednakie —
wyblakły barwy — nowych farb nie staje:
— Niech blakną, nikną w szarość — —
— — w nieskończoność — —

Abbadon.

Toście nie moi.

Oddalony głos Buddy.

— — Nieskończone dale BEZPAMIĘCI — —

Abbadon do Człowieka.

Czego wam potrzeba? Czego chcesz, duszo mieszczańska?

Echo Tłumu.

Pewności! pewności!

Człowiek.

Bo cóż szczęśniejszego nad to, co jest pewne?

Abbadon.

A więc cierpienie wasze jest pewnością!
A więc zawody wieczne — wasze szlaki!
Temi pójdźcie! — Tego nie odbiorą
wiecznie zazdrosne Sfinksy Przeznaczenia!
Któż się pokusi na cmentarne darnie?
Któż się pokusi na grobowców głazy?
— Grobowe będą waszych Szczęść *ołtarze,*
niech was upaja, co jesienią wionie —
Modlitwa wasza — samo-biczowanie —
Gromnicę palę na świętej biesiadzie —

Z tlejącą iskrą idźcie na otchłanie!!

Człowiek.

A gdy zagaśnie?

Archanioł Abbadon.

— — w niedalekich kresach
czekają jasne żary obłąkańcze —

SPOWIEDŹ.

Bohater.

Pustka naokół — — pustka we mnie — — —

Don Kichot.

— ? —

Bohater.

Wstyd?? wstyd?—Ale ty jesteś RYCERZ z DUCHA, ty, co na srebrnym koniu przez Wieczność nas prowadzisz, ty zrozum, że mi wśród piwnic i studzien — skrzydła zgniły!!

Na zwiędłym liściu moich pragnień rumieniec wstydu się pali —

Nie wstydź się, duszo moja! zerwij płaszcz i pokaż SFINKSOWI lśniące próchno — — obnaż ohydę twoją, niech promienne oko TAJNI spojrzy na ten grzyb MIERNEJ CNOTY i MIERNEGO GRZECHU, na ten grzyb, co ślimaczem ciałem,cuchnącą szmatą wżarł się w najskrytsze twe głębie i ciągnie, i pije, i chłepce ostatnie siły, ostatnie żary, ostatnie sny twoje!!

Oto już sił nie mam do konania — — —

Palącą ruiną wali się na mnie wszystko, com dotąd stworzył, lub stworzyć zamierzył — —

Walą się na mnie groby ZMARŁYCH i cmentarzyska współczesnych — —

Aż nagle rozpełzły się myśli moje szeroko, jak ból świata — i niemasz jednego zniszczenia, gdzieby nerwy moje nie dygotały w konaniu —

Kamienny, uśmiechniony Sfinks w siebie patrzy i nie czuje, jak mu wszechświat drży pod szponami — —

A potem — — spokój, bezmierny spokój ohydy —

— — — — — — — — — — — — —

Wybaw mię, NICOŚCI, wybacz mojemu NIEPOJĘCIU — — oto modlę się — —

Daleki Chór Schopenhauerystów.

Módl się — — i my się modlimy
do ciebie — o, Wszechnirwano!

— — A najpierw człowiek ŻYŁ:
daleki, daleki od Boga — — —
— — A potem człowiek SZUKAŁ:
słaby, słaby w pojęcie — — —
— — A potem człowiek CIERPIAŁ:
on chciał ŻYĆ, a nie był już DZIECKIEM —
— — I znowu człowiek CIERPIAŁ:
on SZUKAĆ zaczął w niepojęciu — —
— — — — — — — — — —
Wyłonieni na radość MAJI:
umrzemy, gardząc JEJ wdziękiem — —
Wyłonieni na pastwę MAJI:
umrzemy, gardząc JEJ męką —
On — Bóg Wiecznego Powrotu,
On — Bóg Wiecznego Wypływu,
z Nim się łączymy w Nirwanie — —

Chór Buddystów.

Nirwano! nirwano! nirwano!

Bohater.

— — — Nirwano — — — —

Don Kichot.

— — — —
— — — po Nowe Słońce?!!
Chyłasz głowę? przed Sobą umknąć chcesz w NIEBYCIE?
Przeklęci tacy — MALI gońce!
— Masz NOWE SŁOWO przynieść w ŻYCIE!
— — a czem nakarmisz tłum zgłodniały?
— — a czem podniesiesz krzew skarlały?
po Nowe Słońce!!

Bohater.

Ciężko mi — — —

Don Kichot.

Stwarzaj
przez NOWE HASŁO.

Bohater.

— ? —

Don Kichot.

Szczęście Golgoty!

Bohater.

Widzę — — Krwawa droga — i ON też? — też?
— — —

Chór Duchów.

— i ON też, bracie!

Chór Smutnych Duchów.

Na topieliskach jezior czarnych,
na obłąkanych życia szlakach —
cuchnące kwiaty śnią o ptakach,
co płyną z niebios w mgłach pożarnych —
— — — — — — — — — —

Nad ziemią biedną, nad splamioną,
wpośród oparów, mgieł roztoczy,
niepokalane dobre oczy
dla smutnych duchów zawsze płoną — —
— — — — — — — — — —



IV SFERA.

(W DUCHU.)

PRZYJŚCIE.

Pieśń Bohatera.

Czy nie widzisz, jak miecz mój stalowy
krwawą plamą na słońcu połyska?
Oto strój mój wojenny, godowy,
oto marzeń mych złota kołyska!
— — — — — — — —

W niej chowałem dzieciątko niedoli,
wychowałem na żale, rozpacze,
na me życie bojowe, tułacze,
na nienawiść do szczęścia - niewoli!
— — — — — — — — —

Bo nieszczęście jest moją swobodą —
Wieczna droga — herb mego nazwiska —

niech mnie losy w kraj Śmierci zawiodą:
oto marzeń mych złota kołyska.

Głos Daleki.

Synu mój! synu zbłąkany!
czemu lękasz się wiru otchłani?
czemu Nocy otwierasz ramiona?

Bohater.

Łódź ma tonie, o, Mistrzu kochany!
dusza z lęku, z niedoli już kona:
szczytne duchy *mrą — w prochu zdeptani!*

Głos Daleki.

O! człeku małej wiary, i czemu się boisz?!

Bohater.

Oto płynie z Ciebie MOC CUDU!
Oto lęk łasi mi się u stóp i kona —
Przypomnieniem mi jesteś — —
O! GWIAZDO przeczuwana z Wież Chaldejskich.
Przyjście JEJ nastąpiło we mnie, gdym CIĘ zgadł!
Dziś przyjmuję Cię pragnieniem pustej świątyni. —

Historya.

Jak się kołysze srebrna toń
i trupie niebo błyska!
Zginęła ludzkość — blada skroń
krwawiące płomię ciska:
tam się piętnował wieczny żal,
tam oddech siał zgryzoty — — —
Dziś ginie ludzkość wpośród fal,

a nad nią Niebios trupia dal!
Gdzie promyk Słonca złoty?

(Dekoracya.)

Przez chwiejne szyby wzburzonych wód,
przez grzbiety fal potworne,
przez niezmierzony życia brud,
przez rzeki łez upiorne,
przez trupich niebios siną dal,
przez nasz odwieczny głuchy żal
ON idzie —
— jak przerażeń wid
ON idzie, dziwny, niepojęty
w miłości swojej świętej!

Nieznany duszy ludzkiej ton!
Niesie życie *i* skon —

Mędrzec się zbudził ze sprośnych snów!
mózg ludzki krwią oblany
i skamieniały już — bez słów
spoglądał martwo, jak kurhany,
na NOWE ŻYCIE, nowy Cud i Wielkie Zmartwych-
spoglądał przerażony [Wstanie — —
tam, gdzie MISTRZ spodziewany
drogą Słońc przez kiru konanie
szedł — z Niebiańskiej strony —

Chór Wszechświata.

Chwała! chwała! chwała!

Głos.

„Ludzie małej wiary, i czemuż się boicie?!“

AVE CHRISTE!

Modlitwa.

— — — Tysiącem ramion nie wesprą Go na tej drodze wstydu i łez, a On pod ciężkim krzyżem chyla się ku ziemi.

Nie ciężki on krzyż dla drzewca swego, ale ciężki przez tę zdradę siną, co wylęgła się na piersi tłumu.

— A od tych oczu idą kapłani smutku! gdzieżeśmy znali ich? (szepce tłum.)

Kapłani smutku od pustych wydm dalekiego morza — —

kapłani smutku od biesiadnych sal, purpurą, złotem krytych — —

kapłani smutku od rybaczych chat, od opuszczonych siatek i więcierzy — — —

kapłani smutku od tych zimnych dusz, świątyń Stoickich bez życia i śmierci —

— Kapłani smutku całują Jego Krzyż — i teraz idą od Jego oczu na Tłum, *na ciała, chciwe widowisk i okrucieństwa — — ale tłum zląkł się tych drobnych cichych skrzydeł i zionął śmiechem rozpusty —*

— A ON czytał serca ludzkie przed wiekami —

— a ON jest, aby spełniło się prawo —

— ON jest dla ukojenia rozkoszy noża —
— ON jest Zwycięzcą Śmierci! —
— ON czary od ust Swych nie odtrąci!!

Pod ciężkim krzyżem chyla się ku ziemi.

Ave Christe!

Anioł.
Dyabeł stąpa za Nim i szepce —

Chór Aniołów.
Słuchajcie! Słuchajcie odpowiedzi Pana!!

Chrystus.
„Nie samym chlebem żyć będzie człowiek —“

Chór Ludu.
Duszę naszą, dzieciątko zmarłe, przynosim Tobie!
Pomóż naszemu niedowiarstwu!

Jezus.
— „TALITA KUMI!“

Uczeń.
Jakże mi Panie iść za Tobą?
Wyrzekłem się ojca i matki, wyrzekłem chwały świata —
Okryty wzgardą, okryty żałobą
Tobie ufam! zbyłem się przyjaciela i brata!
A jednak coś zostało! jedna myśl skrzydlata,
jeden szept cichy, łzy milczące — — —
pozwolisz, Panie? na dzień świąteczny skowam,
strunę tę w duszy pochowam

i w dzień świąteczny trącę — — —

Panie, grzech mój na mnie:
chciwy, chciwy jesteś!

Dam Ci tę piosnkę, dam Ci! Słyszałżeś ją kiedy?
tak śpiewa Ziemia:
O szafirowe moich nieb sklepienia!
o pozłociste siatki mojej drgania!
pelo rozwiewna z poblasków spojrzenia!
o szafirowe moich nieb sklepienia!
niewinnych natchnień i złego kochania!

Dam Ci ją! dam, bom jest twarde serce pokutnika, co nie przebaczy najmniejszej ułudzie!

Chrystus.

„Zaprawdę powiadam wam, żem przyniósł miecz, a nie pokój — ale kto wytrwa do końca — zbawion będzie.“

(Introdukcya.)

Oto tłumione skargi ludzkie...

Bohater.

Panie! wybaw mnie od pająka *i od żądzy mojej,*
co jest krwawa i lubieżna,
niecierpliwa w chuci — czekająca,
błoto duszy dzikim żarem trąca,
gdy w przemocy drży gołąbka śnieżna!

Miereżkowskij.

Afrodyte!! Chrystus i Antychryst jedna osoba! dwa jak jeden — Tajemnica Androginy!

Niebo na dole — niebo na górze!
Zbaw mnie Panie od dwoistości myśli!!

Bohater.

Amen.

Dostojewskij.

Chryste! może wszystko będzie sprawiedliwie,
ale ja — міра Твоего не принимаю!

Bohater.

Wybacz jemu i mnie, Panie! —
Wybacz duszom bunt: czuł on wiele i miłował wielce —

Mickiewicz.

Bunt duszom ludzkim wybacz, Panie,
ieśli kochały za Miliony!

Głos Słowackiego.

Lucyferze! jam Go kochał swej duszy otchłanią!
Jam GO kochał aż do zniszczenia!!
Nie opuszczę Cię jednak w konaniu,
Nie opuszczę w przepaści MILCZENIA!

Chór Archaniołów.

„Pan nasz dobry" — Zórz jasną oplotę
na te oczy zarzucił cierpiące —
Chorej duszy bezkresną tęsknotę
do SIĘ tuli! — Promienny, jak Słońce!! —

Chór Aniołów.

Słumione łkanie niedoli
wstrząsa dumne wargi słów mocarza.

Chrystus.

Dobrze jest u Mnie być w niewoli —

Słowacki.

Jedna myśl mnie, o Boże, przeraża!
Serce moje przy Tobie, a Dusza na otchłaniach Milczenia.
Długo jeszcze nie podasz dłoni Szatanowi — — —

Głos.

Raczej niech przeklnie i weźmie całowanie!
Ja zostanę do czasu. Ja Bóg Zachodowi!
I iam Cię kochał, ale jest COŚ nad nami...

SEN PRZED GOLGOTĄ.

Sen.

Bóg patrzy w jasne dale Swojego Istnienia —
człowiek zasnął. Sen ciężki Jego myśl przygniata:
„Ciężko, Ojcze! — Pić będę według Twojej Woli —
a może mnie ominie? —
— Bóg patrzy z Milczenia —
a kocham świat! ja umrę dla Zbawienia świata! —
— a może mnie ominie? — ta myśl dręczy, boli...

— Kto-ś?" — „Judasz, Panie — jam z innego państwa.
pseudo-uczeń — stworzony dla męki i zdrady,
choć może równie dobry — czas nam, Synu Człeczy! —
— obaj wolni — i obaj — w otchłani poddaństwa —
Bóg kazał przed wiekami — *wstawaj, człeku blady!"*

„Jam przyszedł dla stępienia śmiercionośnych mieczy!"

Chór Aniołów do szatana.

Lęk twych oczu wielki, ostateczny,
a na ustach twoich śmiech niezmienny!
Przeraźliwy — bólem nieskończenny
los twój, Władco piekieł wieczny! —
— — — — — — — — —
Na otchłanie śnieżnej Drogi Mlecznej
od JEJ płaszcza idzie blask promienny —

Lęk twój w oczach — wielki, ostateczny!
— a na wargach twoich śmiech niezmienny!
— — — — — — — — — — —
Na oplutych skałach twej Gehenny
drga zbłąkany ludzki wir serdeczny —
— — — — — — — — —
Wzrok — Archanioł — wbija obosieczny
w mózg twój, w uśmiech twój niezmienny,
w lęk twych oczu — wielki, ostateczny!

Judasz.

— Nie mogę być nad Mię! —

Sen.

„Dusza moja smęci śmiertelnie, i czemuż nie czuwacie? — Cóż to! krew u mych stóp i krople jej na mej szacie?“
„Panie, toć łzy Twoje...“
„Jak te drzewa smutno szumią — niegdyś tak fale Czerwonego Morza.......
— Ojcze! miłosierdzie Twoje jest bez granic, ale jak Ty chcesz! — Miecze weźcie ze sobą —
— Oto idą. Idą zbrojni gniewem, a strachem, ciekawość zwisa u ich oka, a wszelka broń na ramieniu — — —
Wszakże-m jest bezbronny i nie uciekam —
Oni idą. Kagańce drżą w ich ręku, jak błędne ogniki... i takie gwiezdne niebo — —
— szarańcza w krzach cyka jednotonnie — —
i takie gwiezdne niebo. —
Nie wiedzą oni, nie wiedzą....

Nie czyń tego, miecz schowaj! Nie jestem-ż Syn Boży? ale — aby spełniło się prawo — otom ja —“

Krasiński.

— — — „kocham Cię, Panie! za śmierć Twą więcej, niż za Zmartwychwstanie“ — — —

Szatan.

— — i cóż z tego — Galilee vicisti!?
Dwie tu siły; nie pójdziesz po przekątnej?

SEN PO GOLGOCIE.

Bohater.

Chrystus umiera. Całe oceany, hen z sennych dali
niewidzianych nigdy, wznoszą się we mnie — —
Oto wezbrana dusza moja czeka —
ocean wzniósł się w spieniony słup fali —
tchu we mnie niema!!
na Twym jęku zwisł, o Umęczony!
Jam — myślą *Twoją! — a gdy runie w ciemnie?* —

JEGO dłoń czułeś na mózgu Człowieka
i nie wiedziałeś, żem ja umęczony?
i nie wiedziałeś, żem wiele — — wiele razy
padał w pluszowe ramiona szatana? —
— Ja, wróg Twój wielki, bo pełen urazy,
żeś mnie plugawił, że tam u „trzech krzyży“
padałem zimny, jak głazy, wciąż niżej — —
i nie wiedziałeś, że dusza — zbrukana
tylekroć w Chwili — już się nie skrysztali? — —

Ostatnia myśl Twoja, o Chryste, mnie pali!
A Twa ostatnia konwulsyjna skarga

to moja dusza znękana, tułacza,
co u stóp Krzyża *bezsilnie się targa,*
która, że nie wie, *więc już nie rozpacza — — —*
— — — — — — — — — — — —

Aż oto nagle wiem, że-ś w Zmartwychwstaniu,
ale nie jesteś dalszym ciągiem Siebie:
dla mnie na zawsze zginąłeś w konaniu
i dziś mi obcym jesteś w Twojem Niebie!

Gdzie dusza moja?!

Oto szlak daleki — — —
Ot dzwon bez serca — — Ty, duchu bezładu,
pluszowem skrzydłem zapalasz tęsknoty — —
Tajnemi znaki okryty łeb gadu
wyjrzał na słońce, uśmiechnion na wieki — —

Gdzie dusza moja?!
Oto są dwie zbroje, niegdyś śnieżno-białe —
to nasze zbroje są, o Don-Kichocie!
Któż ci tak skalał twą lodową chwałę?!
— — — Nie rzucaj pereł przed świńskie kopyta —
Oto się Głupstwo przejeżdża we złocie,
w pysznej karocy, a tłum — jego świta — —
Leżałem z tobą, gdy cię tratowano,
i byłem mały, jako strach zajęczy —
przed Głupstwem gotów uchylić kolano
i gotów byłem zrzec się lotów z tęczy!

Znam tego ducha, co ciebie tratował!
Jak on nas deptał, jak on nas w gnój miotał!

jak potem ślinił rozłechtaną wargą!
i drwiąco patrzał, gdy w nas gniew dygotał,
i stał — bezmyślny przed gromową skargą! —

To głos tłumu — vox populi — duch tłumu —
wróg on Bogu i wróg on Szatanowi!

on to splugawił narodów ołtarze!
on w kłamstwo wierzy, on spodlenie sieje!
a gdy masz duszę, to zaprzeć się każe!
a gdy masz serce, toć pewno ośmieje!

duch tłumu!

Będziesz błaznował, wieszczu (!) z jego woli, —
dla jego chwalby pokalasz swą wiarę
i będziesz potem dumny ze swej doli —,
lecz trupa duszy poniesiesz za karę!!
i nie wytrzymasz żadnej samotności,
i nie wytrzymasz żadnego milczenia —:
Syzyfowego impetem kamienia
stoczysz się w otchłań grzechu i nicości — —
— — — — — — — — — —

Lecz czemuż płaczem, o Don-Kichocie?
Pan Nasz — Chrystus — zwyciężył tego ducha:
wzgardził cesarskich wrót darem!
Oto spełnił Ofiarę.
A w pluszowych lotach śpi ziemia głucha:
zasnęła w jęku,
a kto jej da wiary moc
na taką Noc?

w czyich zbudzi się ręku?

Na taką NOC, Chryste, czemuś nas opuścił!

Uczeń.

Pasterz zginął — — — —
Jak ja się wstydzę, wstydzę! żem z Nim chodził!
On słaby, zabit będzie, cześć im, silnym!
Cześć kapłanom!

Jaka to rozkosz być nikczemnym! Chodź, wszeteczna dziewko i rzymski żołdaku, przy kielichu będziemy śmiać się z mazgajstwa. Chodź, rozkoszna-bezwstydna, niech na twojem łonie zginie ta moja biała plamka — — ta biała plamka, co rodzi we mnie lęk i ku sobie nienawiść!

Kasprowicz.

A ty, bratku, graj wesoło! gach u twojej żony —
— ponoć przyjaciel twój?

Astarot.

A ON z krzyża da wam ślub! ha! — ha!

Uczeń.

Milcz, głupie sumienie — któż płacze? — ja
płaczę?! — — —
Mistrzu! rozproszyliśmy się jako owce!
O Chryste! strzeż mnie od niego!!

Szatan.

Nie lękaj się, marny, prawdziwy człowieku zwykłej miary! przez noc granatową, gwiezdną idę: Szatan-Człowiek, Syn Przeznaczenia, idę zdradą, ale drogi nasze różne są — — — —

Ablu! Musiałem Śmierć wprowadzić, bo tak się spodobało PANU, a kochałem ono niewinne jagnię!

— Pocałował mnie!! — —
— czy szmat ziemi się urwał? widziałem palący się bór
i zwierz tam wszystek ryczał —
— i jedna gałąź wystarczy — — —
— ach! złuda, złuda marna —

Bohater.

— i ja — z wami —

Szatan.

— Na duszy krzyż masz czerwony!

Ahaswer.

— Na duszy krzyż masz czerwony!

Bohater.

— Ale i ja z wami — słyszałem krzyk jeden.....

Chór Aniołów do Bohatera.

Biednyś, opętany! ON już Bóg w Zmartwychwstaniu!

Bohater.

Więc On, Swój Bóg śmiał się, gdy oglądał
Się w mrącym Człowieku?!

Po nocach słyszę ten krzyk — w niebiosa bije —
Widziałem warkocz gwiazd, potężną dłonią rwany — —
na każdej z gwiazd był świat — ginących jęk potężny — —
Widziałem bezkres oceanów krwi —
i w tej purpurze drży dziecko - człowiek,
białe jak śnieg — rączyny drobne kurczy,
na oczach czarne łzy — bolesne, ołowiane —
a nad niem ogromna szczęka — zębów wian —
i w szyjkę dziecka wpięte — wokół tylko krew —
— — — — — — — — — — —

Ahaswer.

— po nocach — Jego krzyk — —

Bohater.

— po nocach słyszę —

szeptem: *Bóg GO opuścił!*

Szatan.

A może... może — to ja!!! krzyczałem wtedy —

Bohater.

Co? Co!?

Szatan.

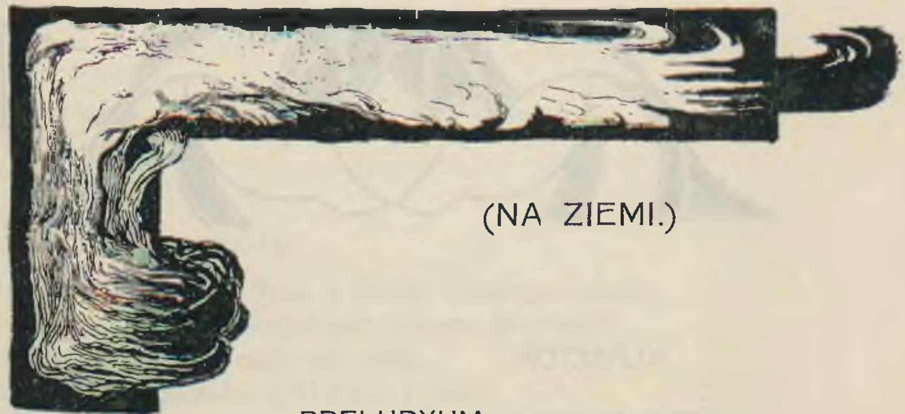
Nie! — łżę, bom jest ojciec wszelkiego kłamstwa — hahhaha!!

Bohater.

— Czegóż się śmiejesz!

Szatan.

— Bo to przyjęte — dla Szatana! hahhaha!



(NA ZIEMI.)

PRELUDYUM,

Głos.

Wierzajcie mi: otom ja zwyciężył świat!
Niech ZIEMIA świadczy!

Don Kichot do Bohatera.

Ziemia lilie rodzi: bądź kwiatem i ziemią!
Ostatni krzyk szatana pada ci na duszę,
ale światło, światło zwycięża! Dziś rówien
jesteś mi, synu, i dalej nie powiedzie cię
mój rumak! Nie pożądaj pychy „jedynie —
kwiatu,“ nie wypieraj się ziemi! — Jesteś
kwiatem i ziemią!
Ale i samą ziemią nie jesteś!

Bohater do siebie.

Słucham głosów PIEŚNI CHRZEŚCIAŃSKIEJ,
a każdy ton pali się we mnie i kona —
Słucham duszy swej w CHRYSTUSIE.

KLASZTOR.

Chór Mnichów.

Przytulone zbolałemi skrońmi
do żelaznej furtki rdzą okrytej,
próżno szemrzą zdeptanemi dłońmi,
gniewy ślą ku myśli w cisz owitej — —

Już rozpaczny dzwonek nie ogłusza,
już się furtka dawno nie otwiera — —
przed klasztornym murem coś umiera — —
skronie tuli — dzwonek dłońmi rusza — —

Nowicyant.

Ja z modlitwą wszedłem tu nieszporną,
aby czekać na jutrzejsze świty!
Trup pozostał z twarzą złą, upiorną —
skonał pewno — czaszką wniebowbity — —
Już nie wyjdę za klasztorne ściany!
Gdybym chciał? — Nie pojmą słów kryształu!
Noc za murem — — chichot ich pijany
kształt lubieżny wzniósł do ideału — —

Chór Mnichów.

— — już rozpaczny dzwonek nie ogłusza,
już się furtka dawno nie otwiera — —
przed klasztornym murem coś umiera — —
— — — — —

Przeor.

— — na niebiańskie szczyty — idzie dusza — —

Spowiedź Mnicha.

...W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.
— — — Aż dotąd krzyżowe, żelazne krawędzie
tuliły jedynie przeczące me usta,
choć nieraz padała myśl lotna i pusta,
choć nieraz na wargach śnię skrzydła łabędzie — —

— W szalonych poszeptów Djonyza zapędzie
modlitwa mnie trzyma, jak łoże Prokrusta,

lecz dotąd — krzyżowe żelazne krawędzie
tuliły jedynie przeczące me usta — —
— — — — — — — — —

Zdradziecka ma lutnia! Znam ton, który gędzie
północną godziną, gdy chata *ma pusta —*
— bez Boga — śni chciwie o nocnym obrzędzie,
lecz gwałtem ja wtedy przytulam swe usta,
gdzie ranią mnie ostre żelazne krawędzie — —
— — — — — — — — — — —

W nagrodę za męki, promienni anieli
na ścianach mi święte malują obrazy —
i dusza ma czysta, jak kryształ bez skazy,
śni w tajni o Nieba wieczystej Niedzieli — —
— — — — — — — — — —

— — — Dziś kryształ spękany — W barw krwawych kąpieli
ma dusza się pławi, oślizgła jak płazy — —
Już ognie zagasły — śpią martwo, jak głazy —
— — gdy biała dyablica spoczęła w mej celi!!

Gdy ona się spojrzy, w proch duszę spopieli!!
a jam jest bez woli, bez siły — — jak głazy —
upadam, gdzie z włosów jej złotej kądzieli
skry lecą — — a wokół kuszące obrazy — — —
— — — — — — — — — —
i już nie przychodzą promienni anieli — —
— — — — — — — — — —

Przeor Savonarola, a za nim Chór Mnichów.

Marzenie twoje? — niech Męka Golgoty!!
— — — — — — — — — —

Całusy tobie? — samobiczowanie!!
— — — — — — — —
Przekleństwo wdziękom piekielnej martwoty!!
— — — — — — — — — —
Tu wiara i żywot! — tam śmierć i konanie!!
— — — — — — — — — —
Idź na pokutę — z oblicza słońca!
Modły i posty dadzą hart duszy!
Niechaj-że myśl twa wierna i walcząca
wszelką pokusę gniewną dłonią skruszy!!
— — — — — — — — — —

Savonarola sam.

Zuchwałe ducha wielkie morze
upojeń śmiałych gra tysiące —
— — pożera samo siebie słońce,
ból ziemi płodzi złote zboże — —
Z granatów patrzą gwiazdy drżące
na upór, którym ludzi tworzę!
— — — — — — — —
— upojeń śmiałych gra tysiące
zuchwałe ducha wielkie morze —
— — — — — — — —
I cóż ztąd, że „wam“ świecą zorze,
gdy widzę jeno zgliszcza tlące?!

Świat umęczony dam Ci, Boże!

upojeń śmiałych gra tysiące
zuchwałe ducha wielkie morze — —

NIEWIASTA.

Historya.

Gdy kładli BOGA w oną noc do grobu w krwi purpurze,
„Niewiasty“ jeno wielkich serc, kochając Boga w słońcu,
„Niewiasty“ jeno wielkich serc kochały Go i w chmurze,
kochały Jego nędze, ból, kochały Go przy końcu,
a może więcej, niżli w czas, gdy chadzał ON jak w słońcu —
— — i dla miłości ewangeliczny mąż, bogaty w skarby [złota,
nie rzucił ich, gdy zechciał Bóg! — Niewiasta, gdy [kochała:
dla Pana rzuca dawny świat i wnet z czeluści błota
powstaje święta, niegdyś tak kupcząca Pięknem ciała!
Za miłość, za ofiarność tę spłynęła na NIĄ chwała.

O Maryji Matce Bożej.

Dyamentowy czarny krzyż nad morską zwisł otchłanią —
— Szeregi płyną wiecznych fal i śliskie grzbiety ranią —
Dwie ręce tylko pną się wzwyż ze sinych wód otchłani!
Nieprzebolały ciężki żal i czarny dyament rani!
Dwie białe ręce wyszły z wód — żal płonie i wyrasta —
W ponurą ciemną, morską noc: krzyż tylko i niewiasta —
lecz oto Wniebowzięcia cud!!

Bohater.

A dziś w duszącem mieście:
zginęła bólu szczera moc! zginęła już w niewieście!

Dusza Młodzieńca.

Musi coś być, gdy wciąż się śni — —
musi coś być —
— śpiewa mi dusza moja młodziencza —
— — —już tyle wieków znikło w toni,
już przeszłość trupim mchem porasta,
gdy „nam" się śniła siatka pajęcza,
gdy złudny obraz serce goni:
„słoneczna i czysta niewiasta" — —
Próżno się serce broni — —
niepokonana siła tych złud,
niepokonana świetlna baśń — —
czy to kara, czy cud?
czy to mrok, czy jaśń?

Faun.

Prędka zgoda — krótka waśń —

Duch.

Precz!!
— krzyż będzie jako miecz! —

Dusza Młodzieńca.

Jest „szara przędza" — tęskni w mroku —
Rwie się ta szmata
snem wniebowziętym,
jak mgła ulata:
brzeg lśni dyamentem,
a za „nią" obłok: sen *mój w obłoku!*

Dalekie Głosy.

Sen *twój w obłoku* — —

Dusza Młodzieńca.

— — cicho się pali turkus nieba,
w błękitnych smugach drżą szafiry — —

Głosy Dziewic.

O, Panie! Słowa Twego, jak CHLEBA!
O, Panie! zdejm nam z duszy kiry!

Dusza Młodzieńca.

— — na tle błękitnych nieba pożarów
alabastrowe wschody się wiją,
śnieżne — a poręcz spiralna złota — —

Głosy Dziewic.

Maryjo! królowo „anielskich DARÓW“!

Dusza Młodzieńca.

A na poręczy wsparte — nić złota —
siostry zakonne w liliach się kryją,
lutnie trzymają — i PIEŚŃ-TĘSKNOTA,
i PIEŚŃ „TAJŃ DZIWU“ — w strop niebios biją —
pieśni się plotą w girlandy kwietne,
pieśni się plotą w żmije — czernieją,
nikną, a drugie znowu jaśnieją,
palą się, gasną, promienne, świetne — —

Głosy Dziewic.

Żądza się wzmaga, pierś nam rozszerza,
a przeciw czarom niemasz pancerza:
ginęłyśmy już siostry białe,
gdy Bóg wezwał nas w Swą chwałę — —
Lilie nam kryją piersi pancerzem,
krzyżowi dusze smutne zawierzym — —

— A królowa nasza — bez oręża —
Maryja Dziewica zgnębiła węża — —
Dziś, kiedy zdrowa znów — dusza chora,
siostry zakonne: czystość! pokora!

Maryja Królowa.

Pokora losom i litość światu — —
Tak dusza moja wielbi Pana — —

Chór Dziewic.

Zajaśniała Maryja Ukochana,
podobna do kwiatu!

Dusza Młodzieńca.

Jam takie kochał w marzeniu:
słoneczne, błękitne, dziewczęce!
i wasze lilie-ręce
śniłem na mem czole,
gdy pożarne niedole
płomieniem mnie żarły!!
Dziś czekam nędzarz w pragnieniu,
wyciągam ku wam ręce,
wpijam w was oczy sokole —
— Zgniotły mnie niedole:
kwiaty powiędły i zmarły — —

Chór Dziewic.

Gasisz w nas boskie tęsknoty,
Skalałeś nas jadem pragnienia!
Znikamy, jak promyk snu złoty,
znikamy — gra twego marzenia —

Bohater.

Zniknęły!!

Duch.

W wieczności się zejdziesz z marzeniem,
dziś zbrojny bądź krzyżem, cierpieniem —

Chór Daleki.

„A kto nie wyrzecze się Matki i Ojca
dla MNIE, ten niewart MNIE“ —
Zerwij twych marzeń oplotę!

Bohater.

Zdeptałem słoneczną tęsknotę!

Chór Daleki.

„We MNIE nasycisz tęsknotę,
bo Jam *jest DROGA i ŻYWOT i WIECZNY“ —*

Bohater.

Klękam, Panie, ale Gwiazda jakaś
zerwała się z Drogi Mlecznej?

Chrystus.

— — to bratnia twoja dusza, Synu! *módl się słonecznie:*
znajdziesz JĄ w SŁOŃCU!

Oddalony Głos Miereżkowskij'ego.

Dwa, jak jeden!

Głos Abbadony.

Błyskawica krwawa słońce *przecina —*
patrz, bohaterze — dymy i krew:
czy zupełnie dobrą była Nowina?
Błyskawica krwawa — Jego gniew!
A były tam i rozpacze — —

Bohater.

Chryste, modlę się, ale co to?

Abbadona.
Błyskawicy pytaj!

Błyskawica.
Eloi! Eloi! lama sabahtani!

Bohater.
Boże? Boże?

Abbadona.
Jehowy gniew święty:
zetrze ON pokoleń pokolenia!

Bohater.
Chryste, ty stoisz wśród milczenia!!

(Dekoracya.)
Na tle jodowej wschodu barwy,
odziany w lśniące kiru larwy,
z krążkiem ognistym na czole,
z lilią w sercu, z krzyżem jak ziemskie niedole,
spływa on, „ciemny," chociaż święty,
kochany uczeń Chrystusa, litością ziemską nietknięty!

Głos.
„Dzwon mój huczy, jak niedola,
na szczęście ludzkie spada:
małym *hańba!* ziemskim *biada!"*

Chór Duchów.
— on, Savonarola!

Bohater z lękiem.
Na jego czole jasne zorze —

Savonarola.
Świat umęczony dam Ci, Boże!

MIĘDZY-AKT PRZEJŚCIA W SFERĘ SŁOWA.

Bohater.

Gdym tak odszedł od SIEBIE, stwarzając: byłem tylko artystą!

Przez tysiączne kotary mroku przeszedłem, żadnej nie mając w sobie, bo oczy moje obłąkały się plamą światła, które biło z cierniowej korony.

A gdy Ciebie tracę, o Chryste: twarz Sfinksa chychocze w pożarnej ironii!!

Oto wśród ciemnej chwili twarz krwawa, myśląca, i twój ciepły, wilgny uścisk dłoni — — — Judaszu!!

Wyrzekłem się dziś *UCZUĆ-Tęczy*, w *MYŚL* białą się wykrysztalę!

Oto—jak ludzkość—niegdyś snem wybiegłem w chrystyanizm! — Dziś do sceptycznie-wesołych ołtarzy się kurczę — —

Przez UCZCIWOŚĆ MYŚLI, przez WDZIĘCZNOŚĆ *SŁOWU*, smutny — potrzaskałem światy naokół i znużony ku ŹRÓDŁU kroczę — — A może udaję znużonego, aby krysztalny MYT ŹRÓDŁA złapać na gorącym uczynku *cudowności?!*

Zbladła mi Golgota, zmętniała i łzą z dali na mnie spoziera —

Niepojęty Bóg MÓJ gorzko śmieje się, patrząc, jak SIEBIE chwytam i schwytać nie mogę!

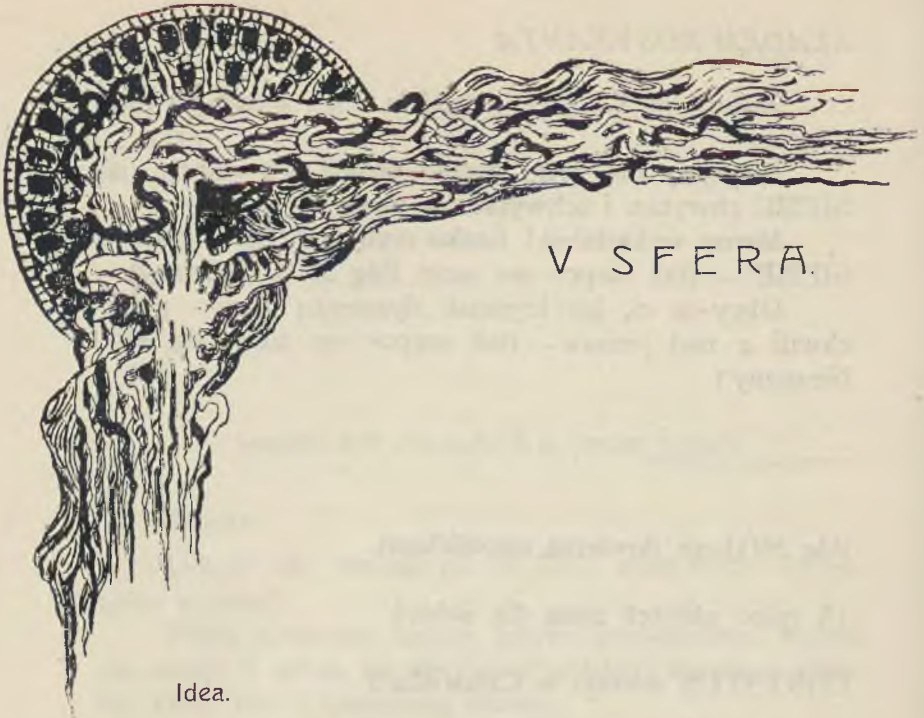
Marny wykształcie! bańko mydlana! bądź godnym SIEBIE! — (tak szepce we mnie Bóg MÓJ Nieznany) —

Obcy-m ci, jak kryształ dyamentu obcy — pyłom chwili z nad jeziora — (tak szepce we mnie Bóg MÓJ Nieznany.)

Bóg MÓJ nie dowierza człowiekowi.

JA tylko uśmiech mam dla siebie!

CHRYSTUS wierzył w Człowieka!!



V SFERA.

Idea.

Ewangelia ludzkości — KSIĘGA —
SŁOWO — potęga!
SŁOWO — pierwszą przyczyną; SŁOWEM jest ta Sfera!
TWORZENIE—POJĘCIEM!— Pojęcie nigdy nie umiera!
Największa wiara — WIECZNOŚĆ!
Największa idea — BOSKA KONIECZNOŚĆ —

Bohater.

Zkąd we mnie ta KSIĘGA? —
Bóg pisał przed wiekami!
Wszechświat, jak tron — Bóg współkróluje z Twórcami!
panują oni i w otchłani, lecz błogosławieni, którzy w lśnieniu!
—BOSKA KONIECZNOŚĆ króluje w MILCZENIU —
ONA jest Prawdą, szukaną przez Piłata,
ONA jest Zwycięstwem Krzyża i upadkiem świata,

ONA uświęca szczytne zbrodnie,
W ręce Szatana daje pochodnie,
krzewi się w Nocy, krzewi w Lazurze — —

„Niebo na dole, niebo na górze“ — —

Ale JEJ „sprawiedliwość“ jest snem o NIEPOJĘTEM —

— Milczcie, ciasne mózgi!
Wy! co sądzić chcecie WIEKI i CZŁOWIEKA,
wy! co bogów przez epoki zmieniacie! —
kto was w płaszcze sędziowskie oblека?
kto wam szeptał? i KOGO wy znacie?
Jam czytał pierwsze strony tej KSIĘGI,
znam dłoń bezlitosną tej POTĘGI!
(która jest dla mnie SNEM o NIEPOJĘTEM —)

Głos Don Kichota.
„Jako wierzysz, tak ci się — stanie“ —

Bohater.
Zdawało mi się, że jedno czarne
(przez „zmarłych narzekanie“), a inne znów białe...
Dziś chcę! wierzyć w TO, co ma największą chwałę!
JASNE, WIECZNE — —
Ale gardzę tem, co marne!

Nałogowy Piłat.
A co jest marne?

Strażnicy Księgi do Bohatera.
Zmów modlitwę do światła!

Bohater modli się.
Kocham Cię, Światło — z Ducha i przez Ciało!
gdy, przepojony w mym każdym atomie,
drgam białą przędzą, padam w wir zawrotny,
albo gdy wielkiej myśli ludzkiej chwała

staje przede mną promienna widomie,
jak tajnych linij lśniący wid ulotny — —
— — — — — — — — — —
Kocham Cię, Światło, w majaczenia smudze,
w tęczowym jęku rozpławionej stali,
w bólach porodu przy pierwszym prajonie:
oto bóg-światło ogląda się w strudze — —
oto bóg-światło złotem łany chwali — —
oto bóg-światło — w piorunów koronie!
— — — — — — — — —
Kocham Cię więcej na tle Nocy Tłumu,
o Jasny Duchu! któryś równien BOGU.
— Pierwsza przyczyna niech będzie pojęta —
Kocham Cię, Chryste, w pomrokach rozumu,
Tyś przy nich — Słońce przy świecy w trójnogu!
W bezmiarze światła Twej nauki świętej
zoczyłem Jasną Obcość mojej jaźni
i kryształnianą pewność — upojon wiary szałem!
W Twej krwi ziemia czerni się wyraźniej:
żegnam ją, choć kocham — JA, który się stałem —
— — — — — — — — — — — —
Dość modłów. Droga moja czeka uśmiechnięta —

Chór Wieków.

Pierwsza Przyczyna niech będzie pojęta!

Strażnicy Księgi.

Oto prze-święty przybytek KSIĘGI,
sam wejdziesz w SEN o NIEPOJĘTEM,
odbieramy ci oręże i symbole. — —

Chór Duchów.

— odebrano mu symbole —

Czytelnik.

Niegdyś (widziałem go) miał ranę na czole,
ranę czarną, krwią zapiekłą,

a jedna ziemska dziewica błagała Pana Boga,
by go minęło piekło,
bo ciężką była jego życia droga — —

Chór Duchów.

Teraz on większy nad siebie,
nad to, co jest w nim ze ziemi —
Rana się w gwiazdę zamienia
— — i stoi tak — głową w niebie!
CZŁOWIEK WSZECH-POJĘCIA
(znaczon chrzestem cierpienia) —

Strażnicy Księgi.

My, KSIĘGI strażnicy, wszelkie tego świata WIESZCZE,
żegnamy cię u tych progów —
przypomnieniem wrogich bogów,
duchów zgrzytem, co trwa jeszcze!
Walcz z rozumu twego odmętem — —

Chór Duchów.

— — zeszedł w SEN O NIEPOJĘTEM —



Jan Rundbaken.



O WIERSZACH. DYALOG.

GABRYEL. Położyłem ci tu na oknie tom poezyj.

KLEMENS. Keats?

GABRYEL. Nie, to niemieckie poezye. Układ taki, że tworzą całość. Zatytułowane „Rok duszy“ [1]). Oto jesień. Zaczyna się jesienią.

Już przy zamkniętych nie roją się kwiatach
Łuszczaste, złoto-szmaragdowe żuki,
Płyniem, wielkiemi okrążając łuki
Kępy w listowia bronzach i szkarłatach.

---

[1]) *Das Jahr der Seele,* Gedichte von Stefan George. (Przyp. tłóm.).

KLEMENS. Tak, to jesień. Lecz czytaj w całości lub nie czytaj wcale.

GABRYEL. Chciałbyś posłuchać?

Park, mówisz, zamarł? Patrz, obłoków cień
Jaśnią błękitnej prześwieca pogody,
Promienny uśmiech oddalonych lśnień
Ubarwia ścieżki i rozwidnia wody.

Z szarych bukszpanów, z złotych brzozy skrzeń
Wić będziem wieniec: ciepły dzisiaj dzień,
Niecałkiem zwiędłe kwiecie późnych róż
Zerwij, ucałuj i pospołu złóż.

Gasnące astry, czerwień, co się tli
Na winnej łozie, ostatek zieleni
Spleć lekko w wieniec, a końca jesieni
Bladawą wizyę razem stworzą ci.

KLEMENS. To piękne. Tchnie jesienią. Acz śmiało brzmi powiedzenie: „obłoków cień jaśnią błękitnej prześwieca pogody," gdyż te zatoki budzącego tęsknotę, letniego błękitu ukazują się między obłokami. Co prawda, jaśń prześwieca tylko na skrajach, gdzie obłok staje się już niemal cieniem. Poza tem na zaciągniętych, posępnych rozłogach jesiennego nieba nie widać jej nigdzie. Ten „obłoków cień" podobałby się Goethemu. A „błękitna pogoda" jest bez skazy. To piękne. Tak, to jesień.

GABRYEL. Chcesz-li więcej jesieni?

Z wrót, w zardzewiałe dzierzganych lilije,
Pierzchł na trawniki ptactwa rój skrzydlaty,
A inne ziębnie na słupach i pije
Deszczową wodę z pustych waz na kwiaty.

Czy jeszcze?

Szukamy ławek niezakrytych cieniem — —
Poim się długiem, pogodnem jaśnieniem.
Jesteśmy wdzięczni, gdy się w drzewach zerwie
I spłynie na nas promieni ulewa,
Lub zasłuchani patrzym, kiedy w przerwie
Źrzałe owoce opadają z drzewa.

KLEMENS. Proszę cię: czytaj w całości, lub nie czytaj wcale.

GABRYEL. Wolałbyś zimę? A może lato? Błędność tęsknot letnich? Niepokoje letnie? Letnie poranki? Wieczór letni?

Wzgórze, gdzie stoim, już się nurza w mroku,
Zaś tamto jeszcze w świetle dziennem lśni,
Księżyc w rozwiewnym poświaty otoku
Zrazu się jeno białą chmurką mgli.

Bledziej majaczy smuga dróg daleka;
— Powiedz, wędrowcze, co szmer znaczy ten:
Czy to z gór woda niewidzialnie ścieka,
Czy szczebiot ptaka, co zapada w sen?

KLEMENS.

Księżyc w rozwiewnym poświaty otoku
Zrazu się jeno białą chmurką mgli...

Widzę krajobraz mego dzieciństwa. Piękna to musi być książka, ten „Rok.“ Właściwie dlaczego: „Rok duszy?“ Lubię niewyszukane tytuły.

GABRYEL. Ja także, i dlatego ten tak bardzo mi się podoba. Jest tu bowiem jesień i więcej niż jesień. Jest zima i więcej niż zima. Te pory roku, te krajobrazy są jeno wyobrazicielami innych.

Czyż uczucia, półuczucia, wszystkie najtajniejsze i najgłębsze stany naszej wnętrznej istoty nie kojarzą się w szczególniejszy sposób z tym lub owym krajobrazem,

z tą lub ową porą roku, z jakąś właściwością powietrza, z jakiemś tchnieniem? Pewien ruch przy zeskakiwaniu z wysokiego pojazdu; pewna duszna bezgwiezdna noc letnia; wilgotne wyziewy głazów w sieni pewnego domu; lodowate uczucie, jakiem cię przejmuje tryskający na twe dłonie strumień źródlanej wody: od kilku tysięcy takich ziemskich rzeczy zależy całe twe wnętrzne mienie, wszystkie twe wzloty, wszystkie tęsknice, wszystkie upojenia. I nietylko są one w zależności: najżywotniejszemi korzeniami swemi zrosły się z niemi tak mocno, iż — gdybyś je oddzielił od tej podstawy nożem, zbiegłyby się w twych ręku i obróciły w niwecz. Chcąc siebie znaleść, nie należy zstępować w swe wnętrze: poza sobą szukajmy siebie, poza sobą. Gdyby niemateryalna tęcza rozpięta jest dusza nasza nad staczającym się nieustannie bytem. Nie posiadamy swej istności: z zewnątrz zawiewa nas ona, pierzcha od nas na długo i znów powraca w tchnieniu. Nasza-ć to i s t n o ś ć. Słowo jest taką przenośnią. Powracają wzruszenia, które już kiedyś tu się gnieździły. Lecz czy to istotnie one? A może to raczej jeno ich potomstwo, które niejasna nostalgia przywiodła tu z powrotem? Słowem, coś wraca. I coś spotyka się w nas z czemś innem. Jesteśmy tylko gołębnikiem.

KLEMENS. To dziwna, że ten tok myśli naprowadza na takie wnioski. Doszedłem do nich inną, całkiem inną drogą: trudno nie powątpiewać, iż natura ludzka zawiera coś istotnego. Strach zastanawiać się nad potęgą zewnętrzności: musi być rzeczą nieskończenie trudną pisać dramat i nieskończenie bolesną sądzić mordercę.

GABRYEL. Za to jakże przedziwnie ten ustrój naszego bytu sprzyja poezyi: oto, zamiast w cieśni naszego serca, wolno jej przebywać w niezmierzonej, niewyczerpanej wszechprzyrodzie. Wolno jej, jak Arielowi, obrać sobie leże na wzgórzach heroicznych opromienionych pur-

purą obłoków i w drżących wierzchołkach drzew wić sobie gniazda; może zdać się na wolę rozkosznych powiewów nocnych lub rozwiać się w pasmo mgieł, w wilgotny oddech jaskini, w jarzące się światło jakiejś gwiazdy. A ze wszystkich swych przemian i przygód, ze wszystkich ogrójców i bezdeni—li drżące tchnienie ludzkiego uczucia przyniesie ona z powrotem. Wzbij ją, na podobieństwo Ariela nie potrzebującą snu, wysoko nad głuchą snem opiłą ziemię, hen, gdzie na jasnem niebie jedyna gwiazda, świętą straż dzierżąca, czujna i wierna, ognie swe roznieca, zawsze na jednem i tem samem miejscu, ponad drgającą światłem otchłanią na zachodzie, co po przejściu słońca wciąż łuną mży jeszcze: z widziadlanego pobliża, z jakiejś wyżyny, której żaden orzeł kręgami swego nie dosięże lotu, pozwól jej poić się tem widowiskiem — a gdy, słaniając się, znów do ciebie wróci, ogromnem ujrzysz ją obarczoną, ale ludzkiem uczuciem. Gdyż lot jej nie ma kresu, ale ograniczoną jest w swej istocie: jakżeby z którejkolwiek bezdni światów mogła przynieść z powrotem coś innego jak uczucia ludzkie, skoro sama jest mową ludzką!

KLEMENS. Jednakże poezya niezupełnie jest mową. Jest snadź mową wzmożoną. Pełno w niej obrazów i symbolów. Podstawia jedną rzecz za drugą.

GABRYEL. Co za szkaradna myśl! Czy mówisz to poważnie? Poezya nigdy nie podstawia jednej rzeczy za drugą, gdyż właśnie ona dąży gorączkowo do tego, by dawać rzecz samą, z całkiem inną energią aniżeli tępa mowa potoczna, z całkiem inną mocą czarodziejską niż niedołężna terminologia naukowa. Gdy poezya coś czyni, to tak jest: ze wszystkich tworów świata i marzenia wypija ona to, co dla niej najznamienniejsze i najistotniejsze, na podobieństwo owych błędnych ogników z baśni, które zewsząd wyławiają złoto. A czyni to z tego samego po-

wodu: gdyż żywi się rdzeniem rzeczy, gdyż zgasłaby marnie, gdyby tej złotej karmi nie chłonęła ze wszystkich rozpadlin i szczelin.

KLEMENS. Zatem niema porównań? Niema symbolów?

GABRYEL. Owszem, nic niema prócz nich, nic zgoła. Lecz zdaje mi się, że cię nudzę, mówmy o czem innem. Czy nie chciałbyś przejść się? Jak chcesz. Oto jeszcze piękny wiersz z „Lata.“

Pomnisz ty jeszcze piękny obraz tego,
Co zrywał róże z nad przepaści wrót
I zapominał, że godziny biegą,
Pijąc w przelocie z kwietnej czary miód?

Gdy zaś daleką znużył się pogonią
Złotych motyli na rozłogach niw,
Siadywał w parku nad sadzawki tonią
W głębokiej tajni zasłuchany dziw.

A od wysepki, gdzie w głazów koronie
Szemrze kaskada, na mchu znacząc ślad,
Nadpływał łabędź i w dziecięce dłonie,
W pieściwe, szyję smukłą kładł.

KLEMENS. Tak, to piękne. Czarodziejskie koło dzieciństwa, w czystem głębokiem zwierciedle nieukojonej tęsknoty odbite. I co za czystość! Wyraża bezgraniczny stan z taką prostotą!

GABRYEL. Czynią to wszystkie wiersze, przynajmniej wszystkie dobre. Wszystkie wyrażają jakiś stan duszy. Na tem polega ich prawo bytu. Wszystko inne muszą pozostawić innym formom: dramatowi, powieści. Jeno te zdolne są tworzyć sytuacye. Jeno te mogą ukazać grę uczuć.

KLEMENS. Miałem na myśli, iż wiersz ten wyraża

pewien stan najzupełniej poprostu. Nie posługuje się wcale symbolem. Przypominam sobie inny, który pierwej lubiłeś. Była w nim mowa o dwóch łabędziach. Nie był-że to wiersz Hebbla?

GABRYEL. Tak jest, Hebbla. Oto on:

Na ciemnej topieli
Lśnią w krasie swej bieli
Dwa błędne łabędzie, krążące śród fal:
Mgła tonie powleka,
Co w wichrze drżą zlekka,
W posępne tumany zasnuwa się dal.

I zrazu się stara
Unikać ta para
Tęskniących łabędzi, lecz próżny ich trud,
Daremna męczarnia,
Już szał je ogarnia:
Niech mgła je spowije, uniesie pęd wód!

Namiętnej pieszczoty
Nie przerwą wód grzmoty;
Złączyły odmęty biel dwojga ich łon.
Acz srozy się fala,
Je miłość zespala
I rozkosz upaja, nie trwoży ich zgon.

Żądz gasną płomienie,
Owłada znużenie — —
Wtem dzika odmętu rozdziela je moc:
Już nigdy ich chyży
Prąd fali nie zbliży,
Przeminął dzień jasny, zamierzcha wkrąg noc.

Mój drogi, ten wiersz wyraża także pewien stan i nic ponadto, głęboki stan duszy, pełny tęsknej błogości, smętnego pełny porywu.

KLEMENS. A te łabędzie? Toć są symbolem? Nie oznaczająż —

GABRYEL. Pozwól, że ci przerwę. Tak jest, oznaczają, lecz nie mów, co: wszystko, cobyś powiedział, byłoby niesłusznem. Nie oznaczają tu nic innego, prócz siebie samych: łabędzi. Łabędzi jednakże, widzianych oczyma poezyi, która każdą rzecz za każdym razem widzi po raz pierwszy — i otacza ją wszystkiemi cudami jej istnienia: zatem te łabędzie majestatem ich królewskich lotów; głuchą samotnością ich promiennych białych ciał, gdy pełne smętku i wzgardy na czarnych unoszą się wodach; przecudną baśnią ich zgonu... Dla jej oczu są te zwierzęta istnemi hieroglifami, żywemi tajemniczemi głoskami, któremi niewysłowione rzeczy wypisała na świecie ręka boża. Zaiste, szczęśliwym jest poeta, że i jemu wolno włączyć te boskie głoski do swego pisma —

KLEMENS. A jednak, jak mi się zdaje, mówiłeś, że poezya nie podstawia nigdy jednej rzeczy za drugą.

GABRYEL. Nie czyni tego nigdy. Gdyby to czyniła, należałoby ją zdeptać jak brzydki ognik błędny. Bo i jakież miałaby wówczas zadanie w stosunku do mowy potocznej? Szerzyć zamęt? Żywe drzewo papierowem obwieszać kwieciem?

KLEMENS. A te łabędzie? a wszystkie inne twe głoski?

GABRYEL. Są głoskami, których mowa rozwiązać nie zdoła. Rozumiesz mnie? Ów park jesienny, owe nocą osnute łabędzie — niema takich słów na wyrażenie myśli czy na wyrażenie uczuć, w których dusza tych, tych właśnie wzruszeń, co ją tutaj swym wyzwalają obrazem, rozpętaćby się mogła. O, jakże chętnie zgodziłbym się z tobą na słowo „symbol,“ lecz spospolitowano je do tego stopnia, że przejmuje mnie wstrętem! O takich rzeczach godziłoby się mówić z dziećmi, ludźmi pobożnymi

lub poetami. Dla dziecka wszystko jest symbolem, dla człowieka pobożnego jest on jedyną rzeczywistością, a poeta niezdolen jest widzieć nic innego.

KLEMENS. Odbiegasz od przedmiotu: — symbole wiary? Mówiliśmy o wierszach.

GABRYEL. Mówię o nich wciąż jeszcze. Lecz chciałbym oczyścić z gliny słowo poczęte z najgłębszego ducha mowy. Wiesz ty, co to symbol?.. Czy mógłbyś wyobrazić sobie, jak powstała ofiara? Zdaje mi się, że mówiliśmy już o tem. Mam na myśli ofiarę krwawą, złożone w ofierze życie i krew wołu, barana lub gołębia. Jak mogła zrodzić się myśl, by w ten sposób przebłagiwać zagniewane bogi? By coś podobnego pomyśleć, przedziwnej trzeba zmysłowości, omroczonej, pijanej życiem orficznej zmysłowości. Zda mi się, iż widzę pierwszego człowieka, który czynił ofiarę. Czuł on, że bogowie go nienawidzą: że zalewami siklawic i usypiskami górskiemi pustoszą mu niwę; że przeraźliwą ciszą leśną radziby skruszyć jego serce; lub zdawało mu się, że nocą spływa ku niemu z wichrem dusza nieboszczyka, siada na jego piersi, krwi jego pożąda. Więc, w podwójnej ciemności swej niskiej chaty i swej trwogi serdecznej, ujął krzywy ostry nóż i był gotów wytoczyć krew z własnego gardła, byle ucieszyć straszliwego Niewidzialnego. Wtem dłoń jego, dłoń człowieka dzikiego, pijanego lękiem i bliskością śmierci, wpiła się raz jeszcze nawpół nieświadomie w wełniste ciepłe runo barana. — I to zwierzę, to w mrokach oddychające, tętniące ciepłem krwi, tak mu bliskie, tak pokrewne życie — — naraz zagłębił się nóż w krtani zwierzęcia, a ciepła krew spłynęła po jego runie, zbroczyła piersi i ramiona człowieka: i uwierzył snadź na chwilę, że to jego własna krew; gdy jego okrzyk upojonego tryumfu zlał się z dogorywającem rzężeniem zwierzęcia, rozkosz wzmożonego istnienia musiała mu się wydawać

pierwszą drgawką śmiertelną: musiał umrzeć na chwilę w zwierzęciu, gdyż jeno w ten sposób mogło zginąć zwierzę za niego. I stało się to wielkiem misteryum, wielką tajemniczą prawdą, że zwierzę mogło zginąć za niego. Odtąd ginęło ono symboliczną śmiercią ofiarną. Jednakże wszystko polegało na tem, że i on umarł na chwilę w zwierzęciu. Iż na jedno mgnienie byt jego w cudzym rozpłynął się bycie. — Stanowi to rdzeń wszelkiej poezyi, dziwnie widoczny w rzeczach wielkich: cóż bowiem jaśniejszego, nad to, że czucie me roztapia się w Hamlecie, dopóki Hamlet hypnotyzuje mnie ze sceny? Lecz niemniej widoczny jest on w rzeczach małych: czyliż na jedno błyskawiczne mgnienie myśli nie przyoblekam się równie dobrze w upierzenie owych łabędzi, jak w skórę Hamleta? Ale trzeba w to istotnie wierzyć, wierzyć, że istotnie tak jest! Ta magia jest tak straszliwie blisko: jeno dlatego tak trudno ją poznać. Prócz tego oczarowania nie ma przyroda żadnego innego środka, by nas ująć, pociągnąć ku sobie. Jest ona wszechpojęciem ujarzmiających nas symbolów. Jest tem, czem jest ciało nasze, zaś nasze ciało jest tem, czem ona jest. Dlatego to symbol stanowi żywioł poezyi, i dla tego poezya nie podstawia nigdy jednej rzeczy za drugą: wygłasza słowa dla nich samych, na tem polega jej czarodziejstwo. Czyni to gwoli magicznej sile, utajonej w słowach, a zdolnej wzruszać ciało nasze i nieustannie nas przemieniać.

KLEMENS. Nie zdaję sobie jasno sprawy, do czego zmierzał ów szczegół o człowieku, co przelał krew zwierzęcia zamiast swojej.

GABRYEL. Spełnił czyn symboliczny. Umarł w zwierzęciu, mój drogi, gdyż na jedną chwilę rozpłynął się w cudzem istnieniu i przez jedno mgnienie krew j e g o tryskała istotnie z gardzieli owego zwierzęcia.

KLEMENS. Powiadasz istotnie, Gabryelu?

PAUZA.

KLEMENS. Umarł w zwierzęciu. My zaś roztapiamy się w symbolach. Czy nie to masz na myśli?

GABRYEL. Tak jest, to. O ile posiadają moc, by nas oczarować.

KLEMENS. Zkąd czerpią tę siłę? W jaki sposób mógł on umrzeć w zwierzęciu?

GABRYEL. Ztąd, że między nami a światem niema żadnej różnicy.

KLEMENS. Coś dziwnego jest w tej myśli, coś niepokojącego.

GABRYEL. Przeciwnie, coś nieskończenie spokojnego. Jakże to słodko czuć, że odjęto nam cząstkę naszego ciężaru, chociażby jeno na mistyczny przeciąg jednego tchu! W ciele naszem drzemie głucho stłoczony wszechświat; i błogo jest jak najczęściej otrząsać się z tego straszliwego brzemienia.

KLEMENS. A jednak sądzę, iż istnieją snadź wiersze, których piękno nie dyszy tym rozpajającym czarem. Są wiersze Goethego, lekkie jak tchnienie i proste gdyby melodya Mozartowska. Bywają wiersze antyczne ni to ciemny liść winny pod błękit wieczornego nieba. Pełno ich w antologii. Znasz je lepiej ode mnie.

GABRYEL. Znam je. Ogrodnik Lamon ofiaruje Pryapowi najpiękniejsze owoce: w koszyk z łyka, wysłany pięknem ząbkowanem liściem, kładzie rozpęknięte jablka granatu, których miąsz wilgotna, drżąca, purpurowa tysiące słodkich ziaren osłania; a na nie pomarszczone figi, i woniejące poziomkami winogrona o czerwonawym nalocie, i puszyste pigwy, i dojrzewające orzechy, co już swą zieloną rozsadzają łupinę, i soczyste ogórki; to wszyst-

ko składa na ołtarzu boga zamiast modlitwy za swe własne życie i za pomyślność drzew swoich. A czarodziejka Niko ofiaruje Kiprydzie ametystowe wrzeciono, osnute nićmi purpurowej wełny, zaklęte wrzeciono, którem mężczyzn niewoli z za morza i wywabia z komnat dziewczęta. Jakieś dziewczę stawia pomnik martwemu świerszczykowi, co przez dwa lata gościł w jej sypialni. Rybacy wyciągają ciężką sieć i znajdują w niej człowieka, którego pochłonęło morze, nawpół już zjedzonego przez ryby. I grzebią go wraz z rybami w miałkim piasku skalistego wybrzeża; iżby całkiem powrócił do ziemi, grzebią z nim ryby, co go nadgryzły, co żywiły się ciałem jego. Na ołtarzu Afrodyty złożono bujne grono winne w dziękczynieniu za słodycz łaskawie użyczonej nocy; i leży tam, nagie, samotne, zdane na wolę bożą, już nie rozpościera nad niem macierz swych miłosnych ramion, nie osłania już jego nagiego młodego ciała słodko woniejącem listowiem, pełnem miękkiego, tajemniczego cienia.

KLEMENS. A ci, co tłoczą wino! a ci, co kochają! Nie przytoczyłbyś czego dosłownie?

GABRYEL. Ci, co tłoczą wino, są jako bogowie. Zda się im, jak gdyby sam Bachus brał udział w ich nocnej robocie. Jak gdyby, podwinąwszy długą szatę po za kolana, deptał wraz z nimi, nurzając stopy w czerwonym soku, co już wyziewy swemi upaja. Kąpią się i pląsają zarazem: a upojenie ich pląsu jest przyczyną, że kąpiel sięga im coraz wyżej i wyżej. Strumieniami leje się moszcz z kadzi; gdyby łódki unoszą się drewniane czerpaki na purpurowej cieczy. Wtem pochyla się piękna Rodanta nisko nad kadzią, i już ubroczył się len jej białej szaty, już lśnią jej piersi i biodra, i ociekają winem:

I wyżej wzdęła się pierś, nie było nikogo śród nas,
Coby nie uległ wam, Bachu i Afrodyto.

W mroku oparów, przy niepewnem świetle pochodni, śród krzyków, śród rozprysku posoki winogradowej, z purpurowej piany zrodziła się naraz Afrodyte: dźwignął się z kadzi Bachus, dziki gdyby miotająca się fala, zwilżył szatę, iż spłynęła ni to promienna nagość, i uczynił z dziewczyny boginię, której ciało spowija zachwyt i pożądanie.

KLEMENS. A ów słodki, bezwstydny? Ów, w którym zamieniają się na szaty i znowu silniejszym wiążą się uściskiem? A ów, w którym objęli się wzajemnie i wyzywają bogów, w którym wyciągają ku sobie z tęsknotą ramiona i daliby się ogarnąć siecią Hefaistosa, by ich tak zastali i pozazdrościli im bogowie i ludzie? Czyliż nie piękne są te wiersze, piękne i proste gdyby muszle o różowej wardze? Nie piękneż gdyby płytkie czary z onyksu i karneolu? Gdyby naczynie z wytłaczanej miedzi, napełnione po wręby czystą wodą? Gdyby most kamienny, co przez potok górski przerzuca się łukiem? Gdyby wygięte jarzmo orzących wołów? I czy nie lubił ich Goethe nade wszystko w świecie? A kiedy je znajdował, nie był-że szczęśliwy szczęściem wędrowca, co, schodząc po stromem zboczu górskiem, śród mchów i usypisk, w przybytku jaszczurek znajduje cudowny twór marmurowy, jasny szczęt posągu boga, kształtną rozkazującą rękę, lub promienny bark z węzłem szaty na ramieniu? Nie wzgardził-że odtąd tonami swej młodości i nie tchnął wszystkiego w tę fletnię Pana? Czyż okręt Odyseusza i zatoka kształtu liry, czyż kosz na owoce, wieniec, marmurowy brzeg studni, łoże, na którem wzdychał Tybull do ukochanej, zagrody i spichrze Wergilego i sielankowe wierzby Biona: czyliż wszystkie te wykończone twory, wszystkie te rzeczy, ukształtowane ręką bogów, gdyby wypukłorzeźba z pod młota Hefaistosa zdobiące kolistą, lśniącą tarcz ziemi, nie stały się odtąd ojczyzną

jego duszy? Azali nie czuł się bliżej spokrewnionym z plastykiem niż z mówcą? Nie sławił-że nade wszystko tego, co swą mistrzowską ręką wykonał naszyjnik Dyany efeskiej? Sięgnąć śmiało w Eufrat, ująć toń w garście: oto czem była dla niego twórczość. Nie szydził-że z rozwichrzonych? Wiecznie tęskniących? Tych, którym nic nie płuży, co nieustannie pragną pragnienia? Nie byłaż dlań przyroda wiekuistą kształcicielką? Powiedz, Gabryelu, wykończona myśl nie jest-że piękną? Czyż nie zdziesięciokrotnia w sobie blasku życia na podobieństwo pereł, co chłoną wilgotny połysk nagiej ręki i po dziesięćkroć go wypromieniają?

GABRYEL. Tak jest, myśl jest rzeczą piękną i masz najzupełniejszą słuszność, porównywając ją z klejnotem i perłą. Podobna jest klejnotowi i perle, co piękniejsze są od wszelkiego życia i rozkwitu, gdyż znajdują się już po nad życiem, śmiercią i rozkwitem. Dla dotkniętego ślepotą, młodego świata stanowi ona cud nad cudami. Czem jest ptak w przestworach dla żeglarza, co samotnie stoi na straży, wsparł się i w płaszcz otulił—a dokoła śmiertelna cisza zalega ciemne ołowiane morze i niewiadomo, czy to dzień czy noc; a nad szaremi, nagiemi ostrowami wiszą nieruchomo ławice obłoków, gdyby przed tysiącem lat utworzone wyspy napowietrzne; a reje i pokład powlekają się sinem, dymnem światłem, co spływa po nich i wsiąka w atmosferę; i nieznośnem jest nieme oczekiwanie w tym świecie głuchym, pozbawionym światła i cienia—otóż czem bywa wówczas lot cudownego morskiego ptaka, co zbliża się od wschodu, na swych rozwiniętych królewskich skrzydłach niosąc pierwsze łuny płomienistego dnia: tem jest myśl dla pierwotnego sennego świata. My wszakże bogatsi jesteśmy w myśli, niż nieskończone wybrzeże morskie w muszle. Nie potrzebujem nic więcej prócz tchnienia.

Karm' duszy naszej stanowi wiersz, od którego, ni to od powiewu, co wieczorem letnim muska świeżo skoszone sianożęcie, zalatuje nas równocześnie tchnienie życia i śmierci, przeczucie rozkwitu i groza rozkładu, jakieś *Dziś,* jakieś *Tu,* i razem zaświat, nieogarniony zaświat. Każdy doskonały wiersz jest przeczuciem i teraźniejszością, tęsknotą i wypełnieniem. Jest to ciało elfa przejrzyste jak powietrze; bezsenny goniec, nawskróś przeniknięty czarodziejskiem słowem, tajemniczym rozkazem gnany przez przestworza: w przełocie wypija on z obłoków, gwiazd, powiewów i szczytów najgłębsze ich istoty tchnienie, i czarodziejskie zaklęcie brzmi z ust jego wiernie a jednak bezładnie, gdyż przetkane jest tajemnicami obłoków, gwiazd, powiewów i szczytów. A Goethe? Czyny jego są różnorodne, jak czyny wędrownego boga. Podobny jest Heraklesowi, którego przygody obce są wzajem sobie, bowiem każda innym upowita jest nimbem i śród innego przebywa krajobrazu. Jego wiersze młodzieńcze są jeno tchnieniem. Każdy jest rozpętanym duchem okamgnienia, co wzbił się do zenitu, zawisł tam promienisty, chłonie całą niezamąconą błogość chwili i roztapiając się zanika w przezroczu. A poezye jego starości bywają niekiedy gdyby ciemne głębokie studnie, po których zwierciedle przesuwają się widziadła: nie spostrzega ich wzwyż zwrócone oko, nie dojrzy ich nikt prócz tego, co się pochylił nad głęboką ciemną wodą długiego żywota. Czy sądzisz istotnie, iż zawsze jeno wykończoną myślą pod jasne błyskał słońce, gdyby czarą z trzonkiem, toczoną w sardonyksie i chryzoprazie? Posłuchaj:

Jeno mędrcom mówcie o tem,
Gdyż szyderstwem tłum was zbywa.
Sławię w żywych tę tęsknotę,
Co ogniowej śmierci chciwa.

W noc miłosną, w której cieniu
Życie wziąłeś, życie-ś dawał,
Przy spokojnem świec jaśnieniu
Dziwnych uczuć wzbiera nawał.

Już cię ciemność nie okrywa,
Swoim mrokiem nie osłania,
Nowa żądza cię porywa
Szczytniejszego zapładniania.

Żadna oddal cię nie trwoży,
Czar cię wabi, żenie czar,
Szukasz światła coraz skorzej
I ćmą lecisz w jego żar.

Umrzej i się odródź znów!
Smętnym gościem będziesz
Tu na ziemi, gdy tych słów
Treści nie posiędziesz.

Czy słyszysz ten dźwięk, przez zaklętego nocnego ptaka gdyby wśpiewany do pokoju, w którym ktoś kona? Powiadają, iż napisał go w noc zgonu Krystyny Vulpius. Rzeczywiste zdarzenie duszy, jakież słowa zdołałyby je wyrazić, jak nie zaczarowane! Przychodzi chwila i z tysiąca podobnych sobie wyciska soki, wdziera się do jaskini przeszłości, i z tysięcy ciemnych odrętwiałych chwil, co się na jej powstanie złożyły, wytryska całe ich światło: czego nie było tu nigdy, co się nie działo nigdy, oto jest teraz, oto dzieje się teraz, jest teraźniejszością, więcej niż teraźniejszością; co nigdy nie znajdowało się razem, jest teraz razem, jest teraz pospołu, stapia w jedną całość żar, blask i życie. Krajobrazy duszy są przedziwniejsze od krajobrazów ugwiaździonego nieba: nietylko jej drogi mleczne usiane są tysiącami gwiazd, lecz także otchłanne jej cienie, mroki jej są tysiąckrotnem życiem, życiem o takiej zwartości, iż postradało swe światło, stłu-

miło je własną swą pełnią. Te bezdnie, w których życie pochłania samo siebie, może jedno mgnienie rozświetlić, rozpętać, drogi mleczne z nich uczynić. Zaś mgnienia te są narodzinami wierszy-arcydzieł, a możliwość tych arcydzieł jest równie bezgraniczną, jak możliwość chwil takich. Jak mało ich jednak, mój drogi, jak bardzo mało. Lecz, iż w ogóle powstają, nie jest-że to omal cudem? Iż istnieją zestawienia słów, z których, gdyby skry ze skrzesanego ciemnego kamienia, tryskają krajobrazy duszy, niezmierzone jak gwiaździste niebo, krajobrazy rozpostarte w przestrzeni i czasie, co rozbudzają w nas zmysł nad zmysły, abyśmy mogli poić się ich widokiem! A jednak takie wiersze powstają...

PRZEŁOŻYŁ
Stanisław Wyrzykowski. Hugo von Hofmannsthal.



SALOME. Rysunek GUSTAWA MOREAU.

PO DRODZE.

W RUINACH ŚWIĄTYNI.

Czym zbłądził między mojej świątyni kolumny,
Których czołom Czas stary odebrał trud dumny
Dźwigania nad mną pował pod niebo Hellady?
Kto wwiódł mnie tu szyderczo, abym gniewny, blady,
Na gruzach mej świątyni, padłej w chwastów sploty,
Czuł — zbudzony — przedwieczną boskość mej istoty,
A stał tak bez wielkości godnej mieć świątnicę?
Jakie me boskie imię było? Jakie lice?
Nie pomnę już. Zbyt długo musiałem pić z Lety
I nie wiem, jakie gaje i świętych gór grzbiety
Dźwigały me posągi tam, gdzie dziś przeciwne
Losy niepamięć szczepią i gaje oliwne,
Ni wiem, kto z nieśmiertelnych był mi tajnym wrogiem,
Gdym był swych snów pogańskich strąconym dziś bogiem.

MORZE.

W dzień biały morze śpiewa, szepce i szeleści,
Samemu sobie jeno gwarząc opowieści.
Kto się w nie wsłucha, słyszy w jego dziwnym szumie
Tajne dalekie głosy, których nie rozumie.
Ale po nocy ciemnej, wśród pomrocznej głuszy
Morze prawi wybranym o swej wielkiej duszy,
I kto w swej piersi prawdom nieznanym nie przeczy,
Umiejąc słuchać głosów niewidzianych rzeczy,
A samotnością łaskę swej jawie wysłuży,
Temu morze się zwierza, wieści, z duszy wróży,
Iż utopiony sercem w oszołomnej pieśni
W zachwycie najpiękniejszą bezsenną noc prześni.
A gdy upojonemu wiedzą w morskim wietrze
Z oczarowań zawrotnych powieki świt przetrze,
Co złotą obietnicą słońca się uśmiecha:
Ujrzy, jak łowiąc nocy pierzchającej echa
Wypływają z dniejących wód tajnej głębiny
W sen o pieśni Aryona wsłuchane delfiny...

SKARGA PASTERZA.

I.

Nie mając, pasterz owiec, tobie, kóz pasterce,
Dać nic, prócz róż gorących, jako moje serce,
Siedząc z trzodą nad stawem, w cieniu mszystej skały,
Splotłem ci z zielonego sitowia sandały,
Byś biegnąc do mnie skrycie przez wieczorne rosy,
O żwir nie uraziła białej stopy bosej.
Lecz ledwom kilka razy wśród słodkich oniemień
Drżącą dłonią rozwiązał ci sandału rzemień,

Darmo czekam, że stukniesz w noc do okna mego,
Choć szelest stóp twych słyszę, jak po żwirze biegą
W mroku, i wiem, że z chaty na pole ci droga,
Jako i z pola do dom, obok mego proga.
A że nie mam po tobie pamiątki ni znaku,
Zasiewam co noc ścieżkę drobniejszym od maku
Piaskiem białym — i świtem, kiedy noc przebiedzę
W smutku, wychodzę z chaty i na piasku śledzę
Słodkich twych stóp sandałem tłoczone wyciski.
Co świt mam ślad twój świeży, mej izby tak bliski,
Choć, niestety, trop dalszy oczom mym powiada,
Że obok drzwi mych biegniesz do chaty sąsiada.

II.

Aby uniknąć szyderstw braci mych pasterzy,
Pasam stada na pustej, samotnej rubieży
I puściwszy na ubocz skalną moje kozy
Rogi im stroję w dzikie dzwonki i skabiozy,
By nie pomnieć, jak dawniej, w zmierzch wracając, grono
Winne-m przynosił tobie, a ty podniesioną
W górę dłonią wieszając nad swą wargą młodą
Owoc pełny, jagodę rwałaś za jagodą,
Pijąc z nich usty słodki i ognisty trunek,
Jak śniłem, że pić będę z twych ust pocałunek.
Lecz strzaskałem imieniem twem śpiewne piszczałki
I bez bolu słuchałem już, jak bez przechwałki
Żar pieszczot twych wychwala pasterzy gromada,
Bo dumnym być mi kazał bóg pastwisk i stada.
I pokój serca byłby mi wrócił napewne...
Lecz śmieją się dziś ze mnie wszystkie nimfy drzewne,
Które mnie podglądały wśród gęstwinnej głuszy,
Gdy wczoraj, choć przysiągłem zapomnieć cię w duszy,

Znalazłszy nocą drzewo najtajniejsze w borze,
Skrycie najsłodsze imię twe rzezałem w korze.

TAŃCZĄCA HORA.

Dzięki za tę godzinę, gdyś, mych ócz tęsknicą
Uproszona, tańczyła dla mnie, Tanecznico,
Rozwiewając wkrąg barwne swe szaty i wstążki.
Piękna! Snadź podpatrzyłaś bronzowe posążki,
Rozpieszczając w przegięciach swoje członki smagłe
W ruchy mdlejąco-żadne, ociągliwie-nagłe.
Lekko tykając ziemi drobną stopą bosą,
Zdawałaś się, że wichry jako mgłę cię niosą;
Szum twych szat, w którym szeptał szmer całunków słodki,
Owiewał cię, jak brzękiem pszczoły brzęczyzłotki,
Ścigające wieśniaczkę biegnącą wśród uli;
Podrzucane trzaskały na białej koszuli
Paciorki naszyjnika, a za każdym zwrotem
Jak kwiat się rozwijała suknia twoja lotem;
Gdyś przechylała głowę, w uszach twych pierścienie
Dzwoniły o naszyte u ramion kamienie
I woniał ciężar włosów twych ujętych w węzły,
Jakby w nim dusze wszystkich ogrodów uwięzły.
Tan giął cię: tak się las gnie wonny, dziki, młody,
Jako twe ciało gibkiej i leśnej urody;
Tańczyły w tobie morza niecierpliwe fale,
Całunki pian na czoło wieszające skale;
Tańczyły w tobie ognie w wichrach rozkochane,
Szały krwi, parne noce w pragnieniach niespane;
Tańczyły niezrodzonych uścisków oploty,
Rozdrgane pożądaniem obłędnej pieszczoty.
Kołys twych biódr, twych członków kręgi nieprzytomne
Łkały prośbą o noce rozkoszą ogromne;

Niósł cię zawrót, przeczucie odurzeń, zachwytów,
A lot pętała rozpacz wszystkich niedosytów
I tan opadał w ruchy gniewne, mściwe, harde...
Piersi twe, krzepkie, jędrne, wyniosłe i twarde,
Wznosiły się w zielonej uwięzi stanika,
Jak bunt nieposkromiony i tęsknota dzika...
Szalało ciało twoje drapieżne i gibkie
W ruchach, co, jak grzech słodki, gorące i szybkie;
Wyciągałaś wabiące, zachłanne ramiona,
Chwytałaś sen i próżnię cisnęłaś do łona;
Nieprzytomna, zdyszana, ogniem rozgorzała,
Stałaś się wirem szat swych i młodego ciała — —
— — I nagle z barw i kręgów wykwitłaś, jak z burzy
Cisza, jak perła rosy z serca krwawej róży,
I stanęłaś spokojna, jak piękno, co święci
Zwycięstwo swe! I taka żyjesz w mej pamięci:
Posąg zakrzepły w krasę najwyższą, jedyną,
Trwasz w rozkwicie szat lotnych, tańcząca Godzino,
Co-ś, zachwycona sobą, jak dziełem nad dzieła,
Nie chciała, piękna, minąć i — w locie stanęła!

MORITURUS.

Mający umrzeć wita cię, wielki Cezarze,
Dumnem skinieniem ręki. W szmerze i rozgwarze
Podziwu, wśród orszaku zasiadłeś i jeno
Okrzyki na twą chwałę wstrząsają areną
Za zgotowane tłumom zapaśne igrzyska.
Oliwą namaszczone ciało me połyska,
Otoczone wkrąg twarzy niecierpliwych murem,
Co pieszczą oczy gibkim mych członków marmurem
I w młodzieńczem mem ciele bez skaz i przepaski
Zgadują przyszłe rany, co zczerwienią piaski.

Wypuść, władco, z zwierzyńców swe lwy i tygrysy!
Słońce oświeca razem wawrzyn i cyprysy:
Zbrzydło mi już zwyciężać zwierzę, z którem walczę
Krótkim mieczem, i zwierzę w tłumie bałwochwalcze,
Zbyt podłe, by módz krwi twej nędznego szkarłatu
Dodać spełzłej purpurze twego majestatu.
Otwórz zwierzyńce swoje dzikie, bo mi śpieszno
Dać tej zgrai z krwi swojej biesiadę uciesznq:
Bo przez kły i pazury podarty na ćwierci
Wydrę ci, tchórzu śmierci, podziw dla mej śmierci
I w nim pierwszy raz zrównam Cezara i tłumy!
I wszystkie orły twojej cezarycznej dumy,
Co na skrzydłach swych niosły Nike twych legionów,
Wypuszczą twą purpurę ze śpiżowych szponów,
Odlecą precz od ciebie, rozpierzchną się w dali
Ze wstydu, — który niechaj na wieki cię pali! —
Że pod władztwem twem, kędy dni duszom się tracą,
Ten, który umiał konać, skonać nie miał za co!

MASKA KOMICZNA.

Od wieków wmurowana na amfiteatrze
Z uśmiechem na szeregi kamiennych ław patrzę,
Słysząc w ich opuszczeniu, jak szum w starej muszli,
Zamarłe przerażenie widzów, co ztąd uszli
W trwodze przed grozą gestów i krzykiem patosu
Sztuki odsłaniającej tajemną głąb' losu.
Przeszły tu tłumy widzów, ciąg pokoleń długi,
Co duszami, jak łany pod orzące pługi,
Litości poddawały się i przerażeniu,
By w nieodgadłe oczy spojrzeć przeznaczeniu.
Pierzchli w trwodze, ujrzawszy poza pięknolicość
Pogodnych kształtów skryte milczenie i nicość,

Życie, które zrzuciwszy szatę i koturny
Jest biedniejsze, niż popiół wyrzucony z urny.
Lecz ja, choć przewaliły się tu żądz pożogi,
Druzgotane tytany, bolejące bogi,
Skrytobójczych Atrydów purpurowe dzieje:
Ja jedna pozostałam i jedna się śmieję.
I choćbyś zszedł kolejno świata strony cztery,
Wiedz, jedyny mój uśmiech na ziemi jest szczery,
Chociaż pnącze różane czoła mi nie plotą.
Oczy me nieśmiertelną dotknięte ślepotą
Nie mogły nic utracić. Choć wszystko przeminie,
Oczom, co nie widziały nic, nic nie zaginie!
Mnie jednej ukochania czarodziejskie właście
Nie mogły w oczach padać na wieki w przepaście.
Choć wiatry wieść roznoszą, że dawno runęło
Nieopłakane wieków olimpijskich dzieło
I choć laur po niem szumi żalem, że nie wieńczy
Efeba zwycięzkiego w dzielności młodzieńczej,
Jednak mnie, którą także ten świat z swego łona
Wydał w natchnionym szale, mnie jest oszczędzona
Prośba, najokrutniejszej z mąk, nadziei siostra,
Co próżno przebić niebo chce, jak strzała ostra,
A wśród wiecznie daremnej, głuchej kona skargi:
Oczy moje są puste a bez głosu wargi.

O, KALLIPYGOS!

I.

O, Kallipygos biała! Wędrowiec, któremu
Miłość duszę zmąciła mrokami podziemu,
Po długiej drodze z ziemi przybywszy dalekiej,
Nieśmiały, trwożny staję przed tobą, przed wieki
Nauczoną tajemnic miłości! Nieświadom,

Dany na łup obłędom i ciemności zdradom,
Pytam cię, klnąc na słońce, twojej chwały świadka,
Czem jest wieczna istoty kobiecej zagadka.
O, łaskawa! Marzyłem, że cię zasłonioną
Ujrzę, zazdrośnie śnieżne swe kryjącą łono,
A oto piękno widzą me oczy śmiertelne,
Członki twe niezakryte i nieskazitelne.
Przed źrenicami memi podniosłaś swą szatę
Ukazując mi ciało nagie, w cud bogate.
I upadłbym dziękczynny pod twe boskie nogi,
Żeś szczodra proszącemu, jako żadne bogi,
Lecz czuję, że mi nagość twa ślepi źrenice!
Piękność twa jest, by kryła twoją tajemnicę!
Odsłaniając swą nagość, którą wzrok obdarzasz,
Jeno mi swoją skrytość kobiecą obnażasz!

II.

Wędrowiec.

Śpisz, Kallipygos? Zbudź się! Od długich stuleci
W bezruchu marmurowym piękność twoja świeci.
Szukający miłości, najsmutniejszy z ludzi
Szeptem tęsknoty ze snu twardego cię budzi.
Ożyj! Śniłem o tobie tak długo! Dziś bliski
Jestem ciebie. O, zbudź się na pieszczot uściski,
Na rozkosz w nieprzytomnych dni i nocy ciągu.
Chłodną twą pierś ogrzeję piersią swą, posągu
Biały! Oczy ci zamgli zachwytu opiłość...,
O, zbudź się, śnie kamienny, na ogień i miłość!

Posąg.

Jakże śmiałeś, śmiertelny, rzec słowo szalone,
Dreszczem grozy przejmując me członki uspione,

I z głuszy niepamięci budzić mnie bezkarnie,
Która musiałam miłość, najdzikszą męczarnię,
Aż do dna poznać bogów wszechwiedzą straszliwą,
Nim los mi nieśmiertelność głazu dał nieżywą.
Snadź smutnym jest do śmierci beznadziejnie, czyja
Boleść zbawienia szuka w mocy, co zabija;
Chyba rozpacz cię zmusza, zazdrością bezsenna,
Zawidzić mi boskiego szczęścia, żem kamienna...

III.

Tu cię spotykam, boska? Tu, w transtewerańskiej
Ciasnej ulicy! Sama, jako pies bezpański,
Stoisz na chłodzie, nocą! Gdzie twoi kapłani
I orszak twój w pochodzie, nieśmiertelna pani,
Gdzie kapłanki, co szaty nad nagie kolana
Uniósłszy, biegły w pląsach, lejąc wino z dzbana,
Niosąc pochodnie smolne, dłońmi siejąc kwiaty?
Choć w zaułku-m cię spotkał, w obce strojną szaty,
Gdyś mnie śpiewem italskiej zawołała mowy,
Poznałem cię! Zerwałaś bezruchu okowy,
Więc ożyłaś, o biała miłości bogini,
I wyszłaś z obojętnej posągów świątyni,
Gdziem cię uwielbił w zimnym kamieniu zakrzepłą.
Obudziłaś się ze snu! Masz dłoń życiem ciepłą!
O Wenus nieśmiertelna w swej nagości boskiej,
Raczyłaś wyjść z chłodnego marmuru beztroski
Ku mnie, któremu jeno ból tęsknoty karmą!
Dzięki ci, że me modły nie błagały darmo...
Mówisz, że całowałaś już sto ust? Że dreszcze
Rozkoszy w sto serc lałaś, jako letnie deszcze?
Że sto ciał już pieściły twych objęć powoje,
Stu ulom niosły słodycz twoje pszczelne roje?
Mówisz, że co noc schodzisz w ulice? W ciemności

Opuszczasz tajnie cokół w pałacu piękności,
Gdzie cię w posągów białych ustawiono rzędzie,
I schodzisz między ludzi, jak we śnie, w obłędzie?
Co nocy schodzisz w miasto? Ty, któraś posągiem?
Miłość niesiesz, a bierzesz obelgę z urągiem
W zapłacie? Jakie dziwne twoich szat gałganki!
Musisz się kryć? Więc padł ci srogi łos wygnanki?
Kędyż są stare bogi piękne tak pogodnie?
Czy Olimp w gruzy runął? Mów, przez czyje zbrodnie!
Ach, ból ciemny zasępił blask twojej źrenicy!
Jesteś, mówisz, boginią zaułku, ulicy?
Zapadłoż w zapomnienie Twoje boskie miano?
Mów, jak zwą ciebie dzisiaj? Grzechem! Kurtyzaną!
O, bóstwo poniżone, pohańbione w prochu!
Jakże się na cię śmiały wznieść dłonie motłochu!
Czyś nie jest piękna nawet w swej boleści bładej?
Nie sąż upojne piersi twe jak winogrady?
Czyż smukłe twoje biodra, kolana i uda
Straciły swą pieściwą krągłość? Czyli cuda
Objęć twych nie są słodsze nad sen w polu w żniwa?
Nie jest-że jak sad duszny twoich włosów grzywa,
W której barwach zaklęte lśnią wszystkie jesienie?
Nie sąż już ust twych miody jako zapomnienie?
Czyż nad skarby w pieczarach nie nęci twe łoże?
Nie lśni-że morze w oczach twych, zielone morze?
O, pójdź, ja który umiem czcić bóstwa strącone,
Na skroń ci miłość moją włożę, jak koronę;
Wrócę ci czystość dumną; ogni swych tęsknotą
Przepalę serce twoje na najszczersze złoto;
Obmyję ciało twoje w słonej morskiej wodzie;
Owinę kwieciem nagą twą pierś, jako łodzie
Stroją. którzy żyć pięknie bogom poprzysięgli;
Urny rozstawię pełne rozżarzonych węgli
I nasypię w nie mirry, drogiego kadzidła,

By sny twe kłaść na dym ich, jak ptakom na skrzydła;
Amfory złote, pełne liści białej róży,
Będą wonieć, jak miłość ma, u twych podnóży;
Stopy twoje ubiorę w plecione sandały,
By jeno po rozsłanej purpurze stąpały;
Szatą ci będzie nagie twego ciała piękno,
Które wonności lasów żywicznych przesiękną!
Pójdź ze mną, wszak mnie sama przywołałaś głosem!
Tyś jest, o której śniłem, zdarzona mi losem!
Czemu milczysz, zmieniona, smutna i pobladła,
Jakby ci ma tęsknota krew wszystką wykradła?
Tyś jest, przez którą dusza z tęsknic ma ozdrowieć!
— I usłyszałem wyrok nad sobą w odpowiedź:
Nie jam jest, której szukasz, która ci się stanie
Jak wino spragnionemu, jak przewiązka ranie.
Nie jam jest, która twoją tęsknotę ukoi
I da ci klucz do złotych miłości podwoi.
Sen twój, pragnieniem twojem z kamienia dobyta,
Wrócę w marmur posągu, w chłód bieli spowita.
Nie mnie kochasz. Niech złuda z oczu ci opadnie.
Nie znalazłeś! I dalej w dzień i w noc bezradnie
Szukać będziesz! Nie jam jest, którą śniłeś w głuszy.
Inny posąg, bez skazy, kochasz w głębi duszy,
Ów zawsze najpiękniejszy, od wieków bez zmiany
Leżący dotąd w ziemi, ów — niewykopany.

RÓŻANY KRZEW...

Różany krzew zielony, co swe krwawe róże
Pod złoto słońca zwiesza w dół po szarym murze,
Dał mi swój kwiat gorący, bym na skroni bladej
Miał wieniec świeży podczas wczorajszej biesiady,
Na którą zaproszony z Kallistosa łaski

Zyskałem przyjaźń jego i nowe oklaski.
Gdyśmy, źródlaną wodę z winem z złotej czary
Pijąc, brzmień wysłuchali attyckiej cytary,
A tancerki nubijskie w tkaninie przeźroczéj
Nagością bronzu nasze upieściły oczy,
Pan mój i muz miłośnik wstał z trójłoża pierwszy,
Prosząc, bym go upoił czarem moich wierszy.
A właśnie podawano skroniom świeże wianki.
I patrzyły obecne Cezara kochanki
Zazdrośnie, gdy wiedzący o mych nocy męce
Kallistos wiódł mi ciebie w darze i podzięce,
Któraś z książęcym ojca rozdzielona trupem
Tryumf wodza zdobiła, z Azyi wzięta łupem.
Szłaś blada, z nienawiścią spoglądałaś ku mnie,
Nie zgadując, że, mogąc cię gniewnie i dumnie
Rózgami, choć oporną, zmusić w moje łoże,
Jutro-ć nietkniętej wolność daruję w pokorze.
A gdym nadając słowom tok dźwięczny i gładki
Miłość jął śpiewać wiersza pieszczonemi spadki,
Każda z miłośnic śniła tęsknie, że to o niej
Spragniona miłość moja miękkim rytmem dzwoni...
I szczęściem śniła koić mej tęsknoty głody,
Gotowa wieść mnie nocą w swe duszne ogrody,
By tam w włosy swe plątać, pętać w dłonie obie —
A tyś przeczuć nie chciała, żem śpiewał o tobie...

KIEDYŚ...

Kiedyś po długich latach ujrzymy się znowu. —
Łódź moja będzie w przystań wracała z połowu
Pereł, po które rozkaz twój na burz szaleństwo
Wyprawił mnie. Żądałaś, by niebezpieczeństwo
Było próbą miłości mej i twej okupem.

W zachód różowy łódź ma wracać będzie z łupem,
Gdy na wód senność zaczną od skał padać cienie,
A morze ciche będzie, jak moje znużenie.
Wiosło złożę i żagiel zwinę, jak tęsknotę,
Którą spełnienie wita. Fale miękkie, złote
Nieść mnie będą spokojnie, jak blade godziny,
Na których szczęście płynie w spomnienia krainy.
Będziesz na brzegu czekać. I gdy dotknę ziemi,
Milczenie będzie naszem przywitaniem. Niemi
Spojrzym na skrzących skarbów morzu wzięty przepych
Zgasłym promieniem oczu od bujnych łez ślepych.
Pojdziem, a ty nie spytasz o moje przygody,
Gdy na twojego domu wchodzić będziem schody.
Aż kiedy w twym ogrodzie pod ciemnemi drzewy
Usiądziem, chłodząc skronie letniemi powiewy,
Choć nie wyrzeknę słowa brzmiącego wyrzutem,
Uczujesz nagle w sercu boleśnie ukłutem
Żal obłędny, szalony lęk, jak zawrót głowy,
Żeś pierwszy lot mych tęsknot na mozół jałowy
Skazała, na bezpłodne nam bogactw szukania,
I przeklniesz dzień, gdym słuchał twego rozkazania,
Choć nie zgadniesz, że jutro opuszczę twe progi:
Bom, błądząc, nad cię błędne swe pokochał drogi...

CZEMU...

Czemu-m cię dawniej nie znał, słodka przyjaciółko,
Która przyjść do mnie pragniesz, z wiosną i jaskółką,
W dom pusty, jak przez długi czas moje źrenice.
Doszła cię wieść, żem swoich komnat okiennice
Zamknął i skrył swój smutek w ciemności głębiny,
Znienawidziwszy mego ogrodu jaśminy,
Bzy i róże, że tchnęły wciąż w woni zawrotnej

Tak jak wówczas, gdym nie był pośród nich samotny.
Czemu-m wpierw nie znał ciebie, która pod mą strzechę
Uśmiech niesiesz a w moją samotność pociechę?..
Kiedy w progi me wstąpisz chwastami zielone
I ujrzysz wszystkie okna szczelnie zasłonione,
Za któremi smutnego mnie śnisz, z bladem czołem:
Znajdziesz otwarte drzwi me, których nie zamknąłem.
Bo patrzę przez nie w zmierzchu szarego zamieszce
Na róże porzucone, więdnące na ścieżce,
Róże, co spadły niegdyś, od mych bolów krwawsze,
Z warkoczy Odchodzącej ode mnie na zawsze.

CZY WIATR WSPOMINA...

Łagodny smutek, słodki jak ogród w jesieni,
Co wspomina żar lata bladem liści złotem,
Zasnuwa nam mgłą duszę, łza w oku się mieni...
Co było nie powtórzy się z wiosny powrotem.
Cichy smutek miłości, blask szczęścia ostatni...,
Wrześniowy uśmiech naszych dusz rozrzewnia błoń —
Widma słońca z fal rybak nie złowi w sieć matni.
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?

Było... przeszło... Radosne na polach konicze
Nie wiedzą, jakie duszę ich ukradły pszczoły.
Piliśmy win upojnych zawrotne słodycze
I puhar nie pozostał wypity na poły.
Kwieciły się, kwieciły sady, winogrady,
Kwiat posypał się śniegiem na schyloną skroń...
Wiatr pędzi listki spadłe, — kto znajdzie ich ślady?
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?

Najgłębszy ssmutek szczęścia, że wszystko przemija...
Pragnienie uciszone — wspomnieniem ozłaca
I pamięcią, jak bluszczem zielonym, owija
Tęsknotę, co w pierwotnych już szatach nie wraca.
Pielgrzym, co usta zwilżył, precz idzie od źródła,
Choć długo drży wzruszona miękkiej fali toń.
Warga płacze całunków, choć po nich ochłódła...
Czy wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?..

SMUTEK.

Czemu patrzycie oczy moje z za mgły łez
Na ostatniego słońca zachodnie konanie?
Czemu was tak przykuwa jego krew i kres,
Chociaż w źrenicach boli, jak ostry jad w ranie?
Czy wam niedość, że długi słoneczny był dzień?
Niedość skryć go radośnie wśród pamięci schronu,
Zasłonić dłonią oczy, nim zapadnie cień?
Czy każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu?

Nie całujcie, me wargi, na rozstanie ust,
Z których nigdy ostatnich nie piło się miodów.
Dreszcz rozkoszy się stanie dwojgiem cierpkich bruzd,
Co ciepłą pamięć czoła zetnie w smutek chłodów.
Czy tak bez dna i kresu jest tęsknoty głąb',
Aby niedosyt życia pełnić z śmierci plonu?
Iść ścieżką, aż zawiedzie nad przepaści zrąb?
Czy każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu?

Między pieśnią przerwaną a zbudzonem echem,
Falą a nagą stopą, co się wnet zanurzy,
Przyjściem listu a zdjęciem pieczęci z pospiechem,

Pomiędzy zaproszeniem a rankiem podróży,
Między wzniesioną dłonią i owocem drzew —
Śpi szczęście, co najsłodsze dreszcze daje łonu,
Między wargą a czarą, gdzie lśni wina krew...
Lecz każdą radość płaci się smutkiem jej zgonu...



Leopold Staff.



ARCHANIOŁ.

Wieczór pod lasem. Płonie ogień z jałowców. Słychać trzask igliwia i suchych gałązek.

Z dymem rozmowę prowadzi Człowiek.

——— Patrz na mnie. Znałeś mię dawniej. Rozrzucam się, przewijam, krążę — krążę, rozwiewam w powietrzu, w zasłonie dymu i blasku. Znałeś mię dawniej, przypomnij. Spójrz tylko mocniej… z uwagą.

~~~~~~ Nie mogę skupić uwagi.

——— Zmęczony jesteś. Ja także. Czy widzisz jak się rozpraszam. Nic mię nie wiąże, nie cięży mi nic,
~~~~~~

jestem wolny. Z ognia jestem, ale już ogniem nie jestem. Swoją własną jestem tęsknotą.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Jesteś dymem... niczem.

——— Jestem serc waszych ojczyzną. Ale królestwo moje nie jest z tego świata.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Jesteś dymem — niczem.

——— Śpiewają w tobie te słowa? Chodź ze mną. Oskrzydlę ciebie dokoła, zasłonię duszę twoją. Nie odwracaj się, nie myśl, nie żałuj. Łańcuchy wleczesz za sobą. Wszystko przemija...

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Słyszałem już gdzieś te słowa.

——— A teraz widzisz je.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Cóż widzę? Pusty ogrom.

——— Niech go skrzydła twoje zapełnią.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Skamienieć chciałbym...

——— Ach — tak? Kamienie kochasz? — Słaby jesteś.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Wiodły mię one tylko ku ciemnym otchłaniom. Skrzydła — bez błękitu? Złowrogi to dar.

——— Słaby jesteś.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Kto wie, czy słabość moja nie jest większą siłą niż innych moc. Ale już nie kocham swojej mocy.

Czy ty znasz rozum gwiazd powracających do swojego gniazda słonecznego... Chcę już wrócić do domu Ojca mojego. Nie jestem nikomu potrzebny.

——— Nikomu? Spójrz w okół. Serca miękkie, leniwe — bez jutra, bez gwiazdy — wichry jakieś ich pędzą.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Bo są wichru służebnikami.

——— Każdy odpowiada za zło, o którem wie.

⁓⁓⁓⁓⁓⁓ Nie tak lichwiarz sięga za grabieżą, jak wy za moją samotnością. Cóż ja mam z nimi wspólnego?

Wszystką radość mego serca, wszystko światło moich rąk przyniosłem z sobą na świat; życie z nimi dało mi tylko rabunek mojej młodości — dni niewolnika — lęk. Ilekroć szukałem zbliżenia, zawsze odpokutowałem to jako winę.

Uwiedziono mi serce, obłąkano mi duszę, sam w sobie gubić się począłem. Gdym dobrze czynił, złe wyrastało, — gdym czynił źle, wypadało dobrze. Gdym się poświęcał, zatracałem innych i siebie.

Byłem radosny i pełen dobroci, siebie i innych nakarmić umiałem — więc okradano mię i udręczano — ptakom moim oczy wykłuwano — aż okradziono—i obdarowano ciemnością — że dzisiaj — widzisz sam — karmię się jedynie wspomnieniem — i ogrzewam jak pastuch... przy leśnem ognisku.

———— Skarżysz się.

~~~~~~ Bronię się. I nietylko siebie bronię. Widziałem w życiu umarłych, chodzących po grobach żywych. Widziałem świętość spodloną — i podłość całowaną w ręce przez aniołów. Widziałem dzieci błądzące po bagnach — świątynie na ziemi kupionej od szatana — i wiele rzeczy potworniejszych niż gady na dnie mórz.

Coś z wszystkiego tego przyczepiło się do mnie — szara przędza piekielnych pająków — dym jakiś Kainowych ołtarzy — odejść chciałbym ztąd jak najdalej — na srebrzyste ogromy gór — w ranne powietrze nad borami — w ciszę.

———— Niema ciszy na ziemi.

~~~~~~ Cóż ziemia? Ziemia moja, to swoboda duchowi.

———— A niewolnikiem jesteś. Wolnym bądź!

~~~~~~ Właśnie to czynię. Śmierci czekam.

———— Niema śmierci!
~~~~~~

∽∽∽∽ ... Nie czuć, nie widzieć nic, samego siebie. Jakiś dzień kończy się we mnie — myśli jak ptaki szukają spoczynku.

Może już odejść czas...

——— Dokąd?

∽∽∽∽ Wszystko jedno. Byle od brzegu. Ja nie wiem, ale wichry wiedzą, niech więc niosą. Czuję ich powiew przez włosy, od borów zaśnieżonych, od czarnych jezior w granitach. Owinąć się w ich milczenie — i zasnąć na lat tysiąc. Nie tęsknić, nie wspominać... nie czuć. Nie uniżać się, nie zbierać okruchów. Nie być przekupniem, miast rycerzem z Monsalwatu. Nie odczuwać ukąszeń myśli o szczęściu przy spożywaniu chleba powszedniego.

——— Skamienieć chcesz? Martwo ty mówisz. Już i tak dusza cię odeszła.

∽∽∽∽ I ginę z tęsknoty za nią. Jeśli wiesz, gdzie ona, odwołaj ją, albo wskaż drogę. Może wyszła ze mnie w jednym ze snów, na wyspę, gdzie Bóg zwyciężył... Może dumniejsza ode mnie wzgardziła pokornym żywotem, i w jakim małym dniu mego życia odeszła w gniewie — bezpowrotnie?

Ty wiesz — ty wszystko wiesz — przenikasz, odgadujesz mnie. Wróć ją, lub mnie dokonaj. Własny cień napełnia mię lękiem niechęci, — czego się dotknę, w popiół się zamienia — ludzie, słowa, ich i niby moje ukochania. To nie moje życie, nie moje słowa i czyny. Cudze? Tymczasowe? Nie wiem. Ale coś najważniejszego przechodzi mimo — głos tylko czasem słyszę, daleki.

Powróć mi duszę mojej duszy — lub gromem udaruj. —

Reszta jest niczem.

——— Wróci dusza, wróci — z dalekiej wróci wędrówki... Mówię tobie, mieszkanie przygotuj dla niej.

~~~ Mów jeszcze...

——— Czystym bądź.

~~~ Zamki granitowe, w załomach turni, gdzie śniegi opadają cicho w nocne wigilie — oto dziedzińce moje dla jej stóp. Najbielsze łabędzie na jeziorach snów otoczą ją wokół jak księżyców dwanaście — srebrne perły wyjdą same z dna morza, jak muszki świecące, czepiać się jej włosów i szat. Najrańsze moje, dumne dotąd i żywe tęsknoty — powiedz jej — ...

——— I zbroję włóż.

O, słuchaj... Nadchodzą dni, podobne słońcom ogromnym czerwonym, wypijać rosę łez, zbierać pilnie rubiny krwi po sercach strąconych w przepaście. Drży ziemia pod Xięciem Mroków, dusz waszych zabójcą — purpura jego niespokojnie wije się na wichrze, w oczach zielone pioruny — bór stuleci otacza jego Tron na przepaściach, a każde w nim drzewo to stara zbrodnia, każdy kwiat blady to wyrzut grobu, każda skała to zawalone wejście do podziemi.

Czystym bądź — i zbroję włóż. Na Termopilach świata czekam cię. Bądź gotów.

~~~ Radość i rozpacz w słowach twoich...

Teraz, teraz przychodzisz... z płomieniem i mową mocy... gdy mię wiosna odeszła — i orzeł na hełmie sposępniał. Gdzie byłeś, gdym cię wzywał wśród walki — w słonecznej modlitwie bez błędu, bez winy, kiedy mój jasny miecz słowa torował drogę przez tłumy przeciwne?

——— Nie dochodź przeznaczeń. Potrzeba było, abyś był spróbowany w piorunach, — i zasłany w kraj nocy, gdzie się schodzą na wichrach wszystkie niedole
~~~

świata. Dziś dusza twoja powraca z wygnania — a gdzie dusza powraca, wiosna powraca, dom się światłem napełnia i pod zorzą staje. Mówię tobie, mieszkanie przygotuj dla niej.

~~~~~~ A jeśli... A jeśli łamiesz mię — ostatnim z zawodów? Lęk czuję. — Jest w tej ciszy, co mię tu do snu kołysze, coś matczynego... Te wody ciemne i złote jak wino — pełne splątanych liści — zdają się wiedzieć wszystko i milczeć.

I milczeć.

Pozostaw mię w spokoju. Nie, ziemia nie jest ojczyzną duchowi.

——— Ojczyzna ducha wszędzie jest.

~~~~~~ Niech mię błękit pokryje skrzydłami, serca gołębie otoczą, niech cień wskazówki kompasu uczy myśli moje powolnego chodu za słońcem.

Pozostaw mię w spokoju.

——— Kto głos mój słyszy, ten nie zazna spokoju; niema go i dla ciebie, ani poprzez ciebie. Skrzydła twoje zbudowane do wichru — a serce nalane ciszą siódmego dnia. Przez stepy spiorunowane, przez domowe progi pożegnań szukać będziesz ostatniego swego milczenia — i innych budzić będziesz, ale do niepokoju, i skrzydła dawać do odlotu w wysoką samotność. To twój los.

~~~~~~ Chcę do domu Ojca mojego...

Zrzucić szatę znoszoną i wszystkie skazy moje z nią — wykąpać się w topieli gwiazd — gdzie szerokie rzeki błękitu leją swe wody z bezmiaru w bezmiar — krążą w zachwyceniu, jak krew Boga — pełne stawań się nowych światów, nowych dziejów, nowych pragnień, nowych słów.

Tam odejść z duchami... które nazbyt obarczono —
~~~~~~

a kiedy powrócić na ziemię, powrócić jasnym, niezłomnym, zwiastunem dni Parakleta.

——— Niemęskie to sny. Strzeż się ich. Drzewo twoje jeszcze nie ścięte, drzewo ostatniego domu... oczy moje widzą je... szumi liśćmi i ptaki z pieśniami zaprasza.

Ale sama myśl o spoczynku nakłada garście ziemi na piersi; a czy ty znasz męki ludzi pochowanych w letargu, — gdy dla rąk złożonych sakramentalnie przyjdzie chwila ocknienia pod ziemią?..

∽∽∽∽∽ Słowa Twoje ciążą.

——— Ciążą tobie winy własne, a nie słowa moje. Gdy przyjdzie czas, przyjdzie inny — i błyskawicą opasze serce twoje. Dziś łam się.

A złamiesz się? — My kochać umiemy, ale nie znamy litości. Łam się, walcz, idź przez ogień i trud — i oczyszczenia szukaj, szukaj odpuszczenia win.

∽∽∽∽∽ Albożjest w życiu odpuszczenie win? Kto to uczynić zdolny?

——— Tylko własne serce twoje.

∽∽∽∽∽ Drogo spłacałem winy moje: krwią i duchem! Napróżno.

——— Zapłacić je musisz cudem!

∽∽∽∽∽ Cudem...

Słowo ogromnej wiary.

Czuję jego wicher na twarzy...

Dręczysz mię.

Kto jesteś? Z czem przychodzisz? Dlaczego i tu, w tej głuszy, krążysz dokoła — i szarpiesz mię?

——— Jestem ten, który stoi pomiędzy tobą a twoim błędem. Jestem ten, który rozrywa łańcuchy Nocy i rzuca do nóg rozkutym wygnańcom. Mieczem wirują-

cego płomienia przecinam duszę twoją i wypalam na niej runy płonące; promieniami dłoni moich przenikam serce twoje nawet we śnie — i uwodzę je — i udręczam — i wiodę od jednej śmierci do drugiej.

——— Ukaż się!

——— Zobacz mię!

Milczenie.



Artur Górski.



PEANY MIŁOŚCI.

WENUS CZUWA (PERVIGILIUM VENERIS)
Katulla lub Galla. Przekład K. WROCZYŃSKIEGO.

Kto nie kochal — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Wiosna w pieśni — wiosna wszędzie —
Znów odżywa cały świat.
Z wiosną serce gra miłością,
Z wiosną kocha ptaków chór,

Z wiosną — świeżą zielonością
Drży w całunkach deszczu bór.
Jutro — z wiosną rozkochaną —
Wielka miłość w cieniu drzew
Złączy serca pod altaną
Otuloną w mirtu krzew.
Jutro Wenus w tronie siędzie,
Rzuci prawa swoje w świat:
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Z wiosną-ż było, gdy spienione
Sine morze, wzdęte w kłąb,
Wyłoniło w fal Dione,
Córę Zeusa, ponad głąb',
W lazurowych hufów rzędzie,
Wśród dwunogich koni stad.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Ona-ż w szkarłat — w tęczę-ż ona
Lśniącym szlakiem haft pól gnie,
Ona-ż z wezbranego łona
Zefirowym wiewem tchnie
W skwarne wzgórza na pustoszy;
A gdy noc nawiesi mgły,
Ona w rosy je rozproszy,
W błyskotliwe rosy — łzy.
Rosa perłą, acz niewielką,
Ciąży, lśni się, waha, drży,
I padając w dół kropelką
Krzew obwiesza — — — niby łzy — —
I ot — z pąków purpurowych
Wstyd odsłania się i żal

Pośród kropel ros perłowych,
Co mżą z gwiazd na nocną dal, —
Z rosą — z pąków brzask dobędzie
Kwiaty, rwąc z nich zwoje szat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Wenus każe, aby z brzaskiem
Zaświtała miłość róż — —
Zadrżą róże krwi jej blaskiem
W Amorowych ustek kruż,
W roztęcz pereł — a w promienie,
A w słoneczny krwawy żar.
Jutro — jutro łon płomienie
Róża pod miłosny czar
Na rozświty, na łabędzie,
Z pod zawistnych rzuci szat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad... —

Wenus gibkich nimf czeredzie
Każe w gaj mirtowy biedz.
Piękny chłopiec tam je wiedzie;
Nimfy! trza się jego strzedz! —
Nie próżnowałby on, złoty
Gdyby z sobą kołczan miał.
Lecz dziś złożyć musiał groty,
Dziś z nim idźcie — nie ma strzał!
Bo bez broni iść mu każą,
Iść mu nagim każą k' wam,
Więc was strzały nie porażą,
Ni pochodni płomień sam. —
Lecz się strzeżcie — cudną twarzą
Zwyciężyć was może tam!

Ma — czy nie ma — zła narzędzie,
Nagi, serca będzie kradł.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Od Wenery k' tobie, Djano,
Dąży dziew wstydliwych kwiat.
Prosić ciebie im kazano:
„Ustąp Delio — sierp twój zbladł:
Daj, by w mchów szmaragdy w borze
Krwią nie bluzgał ranny zwierz;
Wenus prosi cię w pokorze,
Chce cię zmiękczyć — Boska — wierz!
Nawet (jeśli wstyd twój może)
Błaga, byś przybyła też — —
Patrz: w pomroce już trzy noce
Twoje lasy wstrząsa szum,
Rozkochany, rozśpiewany
Ciągnie najad, faunów tłum,
W wieńce czoła swe ubiera,
Wśród mirtowych brodzi chat,
Patrz: tam Bachus, i Cerera,
I Apollo idzie rad.
Gdybyś dała, nocby cała
Brzmiała w śpiew burzący krew.
Wenus z puszcz twych śle orędzie:
Ustąp Delio — sierp twój zbladł.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —“

Wenus wznosić rozkazała
Na hyblejskich kwiatach tron.
Siędzie na nim przewspaniała —
U nóg Gracye — z obu stron. —

Hyblo! pól twych aromaty
Wszystkie zsyp pod tron tu wkrąg!
Rozpęknięte pąki — kwiaty —
Wszystkie krasy z Enny łąk.
Pod ten tron tu roztęczony
Siędą dzikie dziewy gór,
Gęstw dryady, dziwożony,
Nimf, rusałek śpiewny chór, — —
Wenus zwoła je z około
W czar Amora złotych piór;
Lecz rozkaże: w żadnym względzie
Nie nie słuchać z jego rad!
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad — —

Jutro kwiaty się rozplemią
Z pod radosnej Krasy stóp, —
Jutro Eter, który z Ziemią
Zawarł pierwszy wieczny ślub,
By przez rzęsne dżdżów strumienie
Płodzić wiosnę, — z gór swych chmur
Strugi ulew żywczych żżenie — —
A w jej łonie — z jego wód,
Z gleby wszczęty, w niebo wzięty,
Wstanie dziwny życia cud.
Boć to Wenus rodzicielka
Przez potężny ducha szał
W sił tych mrokach rządzi — wielka,
Wenus, pani dusz i ciał!
Ona-ż niebem — ona-ż lądem,
Ona-ż mroczną tonią mórz,
Jednym nieprzerwanym prądem,
Płodem ciał, zaczątkiem dusz,
Przenikając — każe wszędzie,

Aby płodzić umiał świat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Ona-ż z Troi bogi święte
Do latyńskich zwiozła siół;
Chciała, aby Laurentę
Z Eneaszem hymen skul;
Jej to siła dozwoliła,
Aby Mars Westalkę wziął;
Rzymian naród znamienity
Przez nią się z Sabinek wszczął — —
Owóż Ramny ztąd — Kwiryty —
Rolny lud — rycerzy ród —
Senatory — wielkie sędzie —
Króle — hen — przez setki lat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad. — —

Wsi! — ach ona tchnie rozkoszą!
Wieś zna miłość — wie, co szał!
Pono-ć syn Diony, głoszą,
Być zrodzonym na wsi miał.
Tam go błonie skryło w łonie,
Aby traw aromat ssał.
W latorośli gęstych pędzie
Tam go pieścił każdy kwiat.
Kto nie kochał — kochać będzie,
A kto kochał — pójdzie w ślad.

Miłość rącza wszystkich złącza
W szał a w czar: w kłąb stad, w sen par.
Ot — na łąkach mną janowiec
Woły wśród gromady krów —

Wzdłuż strug skaczą stada owiec,
Przy nich tuż baranów huf. —
Nawet ptakom Wenus każe,
By nie milkły pośród drzew,
Nawet tam — na błót obszarze —
Brzmi łabędzi gromki śpiew.
Wtórzy im Tereja dziewa,
Skryta pod topoli cień — —
Nawet ona — ona śpiewa
Pieśń miłosnych serca drżeń,
Zamiast płakać na swą dolę,
Na swój srom, na wstyd, że zgasł! —
Śpiewa! — ja też śpiewać wolę
A nie milczeć — dziś mój czas!
Moja wiosna! — więc świegocę,
Toż mnie za to lubi Feb.
Zmilknę — zginą we mnie moce
Śpiewać miłość ziem i nieb!
Toż Amyklów gród trwał w błędzie,
Milczał — aż w zagubę wpadł!
Kto nie kochał — kochać będzie —
A kto kochał — pójdzie w ślad!



ALGERNONA KAROLA SWINBURNE'A LAUS VENERIS. PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

LORS DIT EN PLOURANT: HÉLAS trop malheureux homme et mauldict pescheur, oncques ne verrai-je clémence et miséricorde de Dieu. Ores m'en irai-je d'icy et me cacherai dedans le mont Horsel, en requérant de faveur et d'amoureuse merci ma doulce dame Vénus, car pour son amour serai-je bien à tout jamais damné en enfer. Voici la fin de tous mes faicts d'armes et de toutes mes belles chansons. Hélas trop belle estoyt la face de ma dame et ses yeulx, et en mauvais jour je vis ces chouses-là. Lors s'en alla tout en gémissant et se retourna chez elle, et là vescut tristement en grand amour près de sa dame. Puis après advint que le pape vit un jour esclater sur son baston force belles fleurs rouges et blanches et maints boutons de feuilles, et ainsi vit-il reverdir toute l'escorce. Ce dont il eut grande crainte et moult s'en esmut, et grande pitié lui prit de ce chevalier qui s'en estoyt départi sans espoire comme un homme misérable et damné. Doncques envoya force messaigers devers luy pour le ramener, disant qu'il aurait de Dieu grace et bonne absolution de son grand pesché d'amour. Mais oncques plus ne le virent; car toujours demeura ce pauvre chevalier auprès de Vénus la haulte et forte déesse ès flancs de la montagne amoureuse. LIVRE DES GRANDES MERVEILLS D'AMOUR, ESCRIPT EN LATIN ET EN FRANÇOYS PAR MAISTRE ANTOINE GAGET 1530.





Śpi czy też czuwa? jeszcze kark się pali
Od płomienistej pocałunków fali
W miejscu, gdzie krew się skłębiła wzburzona...
Zbyt piękna, iżby nie całować dalej.

Lecz choć me usta wciąż jeszcze namiętnie
W nią się wpijają, spokój w każdem tętnie,
Nawet powieki nie drgną; śród jej łona
Krew sen głęboki rozpalił doszczętnie.

Oto jest, patrzcie, owa rozkosz świata,
Pod której władztwem dawne były lata,
Która, gdziekolwiek powiedzie ją droga,
Porami czasu, jak plewą, zamiata.

O Panie! wielki jesteś i prześwięty!
Lecz patrz: ten włos jej w jaki pukiel spięty!
Twój pocałunek dał zbawienie ziemi.
Lecz spojrzyj: ust jej wspanialsze ponęty!

Cudna, zaprawdę! Cóż ci, Chryste Boże,
Ona zrobiła? Te jej wargi hoże

Od warg Twej matki czyż nie piękniejszemi?
Nic dziś słodszego dla mnie być nie może.

Tu, na Horselu, cóż za straszna spieka!
Jakiś niepokój ogarnia człowieka,
Ciężkie, dyszące palą się niebiosy,
Krew staje w żylach, jak wstrzymana rzeka.

O Wenus! ciało mej duszy spoczywa
Na niej, jak suknia, — moja miłość żywa, —
Czują mą miłość członki jej i włosy
I ta powieka, co oczy jej skrywa.

Senne me serce w słodkich ręku dzierży,
A zaś w jej głowach, gdy tak błogo leży,
Miłość w cierniowej stanęła koronie,
Blada, jak piana na piaskach wybrzeży;

Wrząca, jak bryzgów fala, co się ściele
Na kotłujące, syczące topiele
Żądzy, przez morskie wyrzucana tonie;
Tu ona stoi, jak tkacz przy swem dziele.

Krosna jej w ruchu; każda nić się mieni,
Skąpana w barwach wyschniętej czerwieni;
Czółenko biega; ona swojej przędzy
Z włosów zniszczonych głów tkać się nie leni.

Miłość ni smutna ni wesoła; przędzie,
Śpiąc, i śpi, przędząc; aż gotowa będzie
Jej tkań; i wtedy, zdjęte z szpul, co prędzej
Włókna się strzępią, w szybkim rwą się pędzie.

Noc spływa w ogniach na ziemię; tułaczą
Swą drogę nisko ciężkie gwiazdy znaczą;
Jak ich płomienie, drży me ciało, pełne
Godzin, co, śpiesząc w dal, ni śpią ni płaczą.

Oby mym członkom stał się Bóg łaskawy!
Oby spoczęły tam, gdzie fale trawy
Wełnią się w kwiatów woniejących wełnę,
Lub gdzie morzami kroczy wiew złotawy.

Oby Bóg sprawił, aby z mego łona
Czerpała pokarm dąbrowa zielona!
Oby pieczęci snu mi nie naruszył!
Obym najlichszy był śród zmarłych grona!

Oby me oczy przemienił w zwierciadła
Ślepe i stępił uszy; nakształt radła
Połamanego, ciało me rozkruszył,
Poraził usta, nim skarga z nich padła!

Ach! gdyby-ż miłość była li jak płomię,
Życie li mianem w swych cierpień ogromie,
Śmierć mniej bolesną od żądzy —: ten cały
Świat gdyby-ż nie był tem, czem jest widomie.

Wszędy jest cząstka śmierci... Na człowieka —
Tak każdy mówi — lat niewiele czeka:
Drobina czasu i — dni uleciały;
Tchu odrobina i — dech już ucieka!

Dzieło rąk naszych przepada pomiędzy
Jutrznią a słońcem; człowiek zginął prędzej,
Niż pomrok pierzchnął przed światłem — a! chwila,
I świat zapomniał o dni naszych przędzy!

Obym jak dusze wszystkie był — mój Boże! —
Jak liść na drzewie jakiemś, jak rogoże,
Jak człek, co w nocnych trudach się wysila,
Jak kości ludzkie, które zjada morze!

Tam między ludźmi pewnie zima: słyszę
Przez złote kraty bram, jak w nocną ciszę

Wichr szumiącemi skrzydłami uderza,
Jak gdzieś po szybach znaki deszczem pisze.

Jeźdźcy ze zimna przyspieszają biegu;
Lasy i drogi pod brzemieniem śniegu;
Gromada dziewcząt, rozśpiewana, świeża,
Przędzie, podobna do lilij szeregu.

W rozlanej cieniów i zapachów fali
Dusza się moja w wszystkich zmysłach żali;
Noc piersi moje swym oddechem parzy,
Na mą bezsenność sen spogląda z dali.

Tam, gdzie wyrasta pasmo wzgórz ponure,
Gdzie morskie drogi pną się popod chmurę —
Wszędy śmierć widać, a sen na jej twarzy
Rozwiał swe włosy. Tam swych ust purpurę

Zlewając wzajem, leżą kochankowie;
Owocu zycia słodkie chłoną zdrowie,
A mnie głód trawi i pożera spieka;
Że zna ten owoc, warga ma nie powie.

Słodki-li owoc mego pożądania
Tej, co się wargą na wargę mą słania;
Jak kwiat na kwiacie, tak ci jej powieka
Na jej źrenicach leży, gdy, z kochania,

Moja na moich niby żar na żarze.
I tak leżymy, nie jak z Śmiercią w parze
Sen, śród całunków, oddechów rozkoszy,
Nie jak przy żonie mąż, w słodkim rozgwarze

Miłosnych zaklęć, gdy ona pieszczoty
I swe całunki zamienia w tęsknoty
Nienasyconych ust, gdy żądza płoszy
Żądzę, a w oczach płacze uśmiech złoty —

Nie! jako dusze leżym, w dawnym czasie
Stracone za to, że były w jej krasie
Rozmiłowane; z wargą na jej oku,
Bez trosk, zasnąwszy, usłyszały zasię,

Jak syki wężów w jej włosach szeleszczą!
Korzenie czasu zlewa krew ich, deszczom
Równa; z ich kosci, nerwów, z krwi potoku
Ona ból stwarza, dan rozkosznym dreszczom.

W kwieciu skąpane jej komnaty, w woni
Róż; a ten pas jej, dyadem na skroni,
Naramienniki, pereł rząd olbrzymi!..
Swą stopą wino umarłych na błoni

Śmierci wyciska... W nawach jej kościoła
Żądz się niesytych spopielają zioła,
Słodyczą miodu w jej ustach się dymi
Miłość spalona! Lir tęsknota woła

Głośno w jej uszach; jej łoże to głuchy
Dźwięk; jej portale — muzyka; łańcuchy
Z śmiechów, łez, jęków zamykają bramy —
Z łez, co w swej kaźni silne więżą duchy.

Tu legł Adonis, zabity; w kajdany
Z ciała i krwi go zakuła; krajany
Srogą jej wargą, krzykiem krwawej plamy
Krzyczy w jej uszach ten rycerz wybrany.

Zabija wszystkich, prócz mnie, co ku tobie
Lepić się muszę, miłości, w tej dobie
I aż po koniec wszystkich dni, aż morza
Wstrząsną się źródła, aż świat legnie w grobie —

Mnie, com jest dusza najbardziej upadła
I zapomniana, którą sycą jadła

Wzdyć niesycące, dla której w przestworza
Śmiech ślą płomienny piekielne widziadła!

Ach! twoja piękność!.. Gorzką jest mi dusza
Przez ust twych słodycz; me ciało się wzrusza,
Drży, niby woda, ni płaczących ludzi
Serce, co patrzy, jak ból je rozkrusza.

Gdyby-ż mi zgniotła dłoń snu zróżowiona
Owoce śmierci na uściech, a ona,
Śmierć, gdyby-ż chciała — niech ją Bóg pobudzi! —
W słodki sok dla mnie snu rozdeptać grona!

Dla dni niewiele uciech się odmieni,
Lecz się zmieniają melodye przestrzeni,
Gdy z strun jej drżących wiatr dobywa granie;
Smutki spiewają w dróg rozstajnych cieni.

Dzień tu rozdwaja dzień i noc tu dzieli
Noc; w mych się oczach mrok, by jasność, ścieli;
Dla ciebie, nie wiem, czy jest ciemny, Panie,
Ten strop, czy złotem światłem się weseli.

Tak! jakby na mnie spadła ciężka kula
Grubego piasku, co morze zamula,
Stężały we mnie wszystkie krwi przewody —
Nie zdrój, lecz bagno serce me otula.

Głód mam febryczny w żyłach; przed godziną
Widziałem pierś jej to białą, to siną,
Kiedym jej słodkie wyciskał jagody,
Teraz — me ślady jakżeż prędko giną!

Spali me usta — już się dotknąć boję!
Ty wiesz, o Panie, jakie gorzkie zdroje
Krótkiej rozkoszy grzech nam daje; Boże,
Jaka w tem słodycz, wiedzą moce twoje!

Jest-ci to grzech ten, który dusze wali
W otchłań?.. Jam przecie wierzył, że ocali
Moja się dusza, nim ją stopa zmoże
Obuta w rozkosz, która ogniem pali.

Kiedy ma dusza chwyta dech, przez mury
Śmierci żelazne spoglądam w ponury
Przybytek piekła, gdzie koniec miłości,
Gdzie bolu tylko nie milkną tortury.

Tutaj królewskich widzę nagość twarzy
I spiewających przy lutni pieśniarzy;
A przyjaciołmi tych nieszczęsnych gości
Grób i robactwo, któremu tu plaży.

Tu są rycerze silnych rąk; tu ninie
Siedzą zielonych, plennych ziem kniahinie,
Zbladłe, zczerniałe, w proch strącone szary,
Bez szat, li pyłem okryte. Tu ginie

Wszystko; tu każdy na wieki przeklęty;
Nadzy i smutni, piją tylko męty
Z winnic rozkoszy, które im do czary
Wygniotły stopy z ognia. Niepojęty

Widzę tu urok warg, srogiego własta,
Który narody poraził i miasta;
Przez nią dziś ogień więzi je piekielny,
Przez nie dziś dla niej żar piekieł wyrasta.

Tu od lotosu słodsza siedzi pani
— Za jej całunek świat rzucono w dani —
Ze złotą żmiją u piersi; tu dzielnej
Semiramidy blade usta rani

Krwawa czerwoność ostatniej pieszczoty —
Usta, rozwarte, jak, z żernej ochoty,

U tygrysicy; włos jej, niby grzywa,
Ciężki, w kosztowne zapłecion klejnoty.

Tak! czerwień grzechu błyszczy na ich twarzy,
Lecz z moim żaden z grzechów się nie zważy —
Z tych, dzięki którym winną się okrywa
Pianą tłokarnia... Z innych jam żniwiarzy,

Wybraniec Chrysta jestem, rycerz Boga,
A nie poganin ślepy, co, gdzie droga,
Nie wie: czas dla mnie już przeminął mgławy,
Boju nastała chwila jasna, błoga.

Czuję dech bitwy, słyszę szczęk oręży,
Trzask dzid i łuków; widzę, jak się tęży,
Jak tańczy w rękach święty miecz; śród wrzawy
Rycernych szyków, śród złotych pawęży

Jak się przeciska dźwięk, jak blask przewija,
Niby ta cudna srebrnogłowa żmija,
Co, tchu łyknąwszy, pręży się i tuli,
Giętka, by warga, gdy się w wargę wpija

Pocałunkami; miecz mój, jak me oczy:
Błyszczy ich ogniem, skry płomienne toczy,
Ciemne, czerwone, blade, jak koszuli
Śmiertelnej połysk; szermierz we krwi broczy,

Oddycha żarem, surowo się śmieje,
W twarzy mu płoną zwycięskie nadzieje,
Puls rozhukany tak, że go ogłusza,
Serce z radości skacze w tę zawieję

Dajcie pomyśleć chwilę!.. Wiem, to sprawy
Błogie — przed laty!.. Dziś ich błogość w łzawy
Zdrój się zmieniła — tak! dziś płacze dusza!..
Lat dziesięć mija, gdy Ren niebieskawy

Szumiał pode mną błękitnemi piany;
Wiatr kołyszący winnice i łany
Traw, do mej krwi się wdzierał z swą rozkoszą,
Przenikał ciało, któremu nieznany

Świeży był powiew; pędziłem po błoni
Sam, precz od ludzi, zakochan w ustroni;
Patrząc, jak cugle kładą się i wznoszą
W rytmicznej pieśni, z dźwiękiem ich harmonii

Pieśń mą zlewałem, aż jej rytmów siła
Przeszła w żelazo; a w tyle pędziła
Trójka mych wrogów między mną a słońcem —
Wilków to białych moc się rozwścieklila.

W barwnych kubrakach leżą, wraże płody;
Jednemu z łotrów włosy ryżej brody
Krwią poczerniłem, uradowan końcem
Jego żywota: już do mej zagrody

Nocą nie wróci!.. Jakaś białogłowa,
Którą on biłby, tonie w łzach... Bądź zdrowa!
Po łotrach pjanych szkoda twej żałoby!
Zresztą — twój żal się długo nie dochowa.

Gorzka ta miłość, w troskę przebogata
We wszystkich krajach; ręce kurczem splata,
Jęk z serc wyciska, łzy z ócz, kopie groby — —
Stygmat na skroniach nieszczęsnego świata,

By trądu znamię na czole człowieka,
Co śladem pyłu i krwi precz ucieka
Do swojej nory; jak truciznę żmija,
Wzdyć jadowitszą, gdy wonnego mleka

Zabójczych ziół się napije, tak wonie
Miłość rozsiewa w swym złowróżbnym gonie;

Miód tych zapachów przeciężkich zabija
Wszelaką duszę, gdy się schyli po nie.

Jako wędrowiec pośród leśnych chaszczy
Wraz się na zapach niezwykły ułaszczy,
Idący z pastwisk pantery, i zasię
W ślad jego śpiesząc, ginie w żarnej paszczy,

Tak i my, śpiesząc miłości tropami,
Która nas wonią jadowitszą mami,
Giniem od razu — by ów na popasie
Słodkiego zwierza: piekło jest przed nami!

Dzisiaj, gdy ciężkie umierają chwile
Jedna po drugiej, kiedy wspomnień tyle
Rośnie i rośnie, — dziś myślę o kresie
Tego wszystkiego, co nęci tak mile:

O końcu wojny, o długim pokoju,
W liście zdobiącym czoła pełne znoju,
O tem, jak szczęk się po turniejach niesie,
O letnich pieśni rozśpiewanym zdroju.

Miłości-m śpiewał nieznane mi moce:
„O, w jej uśmiechu większy wdzięk migoce,
Niż w Magdaleny łzach lub drobnem piórze,
Co padło z skrzydeł gołębich, sieroce.“

Śpiewałem „uśmiech, co całunek kradnie,
Ból krwawych pulsów, rozkosz, która zdradnie
Rozwiera oczy oślepłe, te duże
Oczy, gdzie miłość swemi usty władnie;

„Usta, lepiące się do lic, aż one
Tym samym spłoną ogniem, rozpalone
Od pocałunów, co, zraniwszy, koją,
Zanim twe oczy zasną, uciszone

„Ofiarą“... Oto, com śpiewał... A dalej:
„Tu i tam miłość — wie to Bóg — się pali;
Ten i ów znajdzie w niej nagrodę swoją,
A ja com zyskał? Oto świat mnie chwali!

„Czczy to li powiew, który każdą z twarzy
Ludzkich swem tchnieniem bez wyboru darzy;
Listek wawrzynu-m zyskał — zmiąć go trzeba,
Nim się go wplecie we włosy pieśniarzy...“

I tak niejedną przegoniłem zorzę,
Czując, że spotkać mnie li smutek może;
Mijając zdroje, chłonące blask nieba,
Winnice, wiatrem kołysane zboże,

Docwałowałem na Horsel. Przez liście
Bzu olbrzymiego bujne-m ujrzał kiście
Traw — w trawie Ona! Szła naga, z włosami,
Spływającemi do kolan rzęsiście.

Szła pośród kwiatów i śród traw, wspaniała —
Wszystka jej krasa tuż przede mną stała,
Uroda członków, która grzechem mami,
Grzechem, niestety! panem mego ciała.

O tak! niestety!.. Smutek wszystkiem włada...
Ty, ust posępny pocałunku! Blada
Wyrasta z ciebie żałoba i męka!
Wy, piersi! Troska przy was się układa,

Od pocałunków czerwieni czerwona!
Ślepą jam wargą szukał twego łona
I wraz mnie dusić poczęła twa ręka,
Kark mi ścisnęła kosa rozpleciona!

Tak! wielką rozkosz zrodziła mi tłusta,
Przeżyzna gleba grzechu! Wstań! me usta

Zamknij całunkiem, by zmilkły! Postradał
Zmysły, kto słyszał, jak słodką rozpusta!

Lecz wnet zwątliły mnie płone komnaty
I szept leniwych godzin, i skrzydlaty
Gołąb daremnie dziób mi w usta wkładał —
Miłość bezpłodne rzucała mi kwiaty...

I spojrzał na mnie Bóg, gdy w ciepłe ręce
Brałaś mą szyję; ulżył strasznej męce,
Z duszy zdjął więzy... I ruszyłem dalej,
Jak nagi ślepiec, którego dziecięce,

Stargane zmysły łowią płacz i śmiechy,
Lecz, zkąd i czemu, nie wiedzą; pociechy
Spragniony, tłumnej dopędziłem fali —
Śpieszą do Rzymu, by zmyć z siebie grzechy...

Jechałem razem, milcząc; snadź mnie wiodły
Czary po drogach krzyżowych — tak bodły
Blaski słoneczne me oczy; zdumiony
Słyszałem śpiewy pielgrzymów i modły.

Przed nami białych wzgórz przeklęte łęgi
To opadały, to rosły, jak kręgi
Piekieł, widzialne temu, co opony
Mroku dostrzega wśród świetlnej potęgi

Dnia; — szatan wydął te szczyty tchem burzy
Swojego gniewu; mimo to, w podróży
Przez śmierć i piekło, dotarliśmy wreszcie
Aż tam, gdzie grzesznym litość Boga płuży —

Do Rzymu... Wszyscy padli na kolana
Przed tym, któremu, ni Bogu, jest dana
Moc świętych kluczy; na wszystkich w tem mieście
Spłynęła przezeń łaska ze krwie Pana.

I ja ukląkłem, mówiąc: „Chrystusowa
Krew wielce słodka, lecz mocy nie chowa,
By zmienić skórę pantery, murzyna
Wybielić ciało... Chyli się ma głowa,

„Bom wielce zgrzeszył! Plułem w lice Boga,
Więc dla mnie rózga Jego bardziej sroga,
Dłoń Jego cięższa, w oczach mych zaczyna
Krwawiej się mienić Jego płaszcz... Przemnoga

„Liczba przewinień moich, więc i piekła
Żary siedemkroć goretsze“... Tak rzekła
Ma warga przed nim. Zapowiedź mi łaski
Dał, lecz otucha z niej mi nie pociekła.

Ha! prawie nie wiem, żem to rzekł... Gdy zwarły
Usta się moje, słyszałem — tak zmarły
Przed chwilą człowiek słyszy piekieł wrzaski —
Jak mi się w duszę straszne słowa wżarły:

„Póki pastorał ten, pozbawion liści,
W kwiat nie porośnie wonny — bez zawiści
Mówię-ć — nie szukaj ty litości bożej!
Prędzej zbawienie twoje się nie ziści.“

Tak! jeśli nagie pnie zakwitną wiosną,
Ma coś być tem, czem nie jest? W przeradosną
Gałąź gdy suchy ten się kij przetworzy,
Dobre-ż owoce z grzechów mych wyrosną?

Nie! choćby owoc zeschłe dały kłody,
A morze w słodkie zmieniło się wody,
Na pniu tym martwym, na mej grzesznej duszy
I na mem ciele, liść nie wzrośnie młody.

Oddźwięku tutaj Bóg się nie dosłucha,
Na Jego dźwięki dusza moja głucha;

Niechaj On wszystkie we mnie żyły wzruszy,
Miłość li znajdzie, której obcą skrucha...

Smutny wrociłem do dom, niezbyt wiele
Niosąc pociechy, a oto wesele
Miłość mi daje, piękniejsza od Boga,
Serce mej duszy, przed duszą na czele!

Piękna — li dla mnie, piękna, jak w godzinę,
Gdy, naga, morską rzucała głębinę;
Ogniem płonęła rozpieniona droga,
Gdy ten kwiat ognia brnął przez fale sine.

Wzięła mnie w uścisk; tak się z wargą moją,
Jak dusza z ciałem, te jej wargi spoją,
Lubieżnym pełne uśmiechem; gorący
Letnich południ zapach dan jest zwojom

Sypkich jej włosów — ziem dalekich wonie,
Które królowie czarni, kiedy spłonie
Żądzą rozkoszy duch ich kochający,
Depcą na kwietnym miłości zagonie...

Trwóg zapomniałem i zgryzot; daleki
Od wszelkich modłów i dziękczynień, spieki
Kraśnej jej twarzy czułem, co żądliwie
Przylgnęły do mnie, jak płomienne rzeki

Ognia, chłonące ciało i odzienie —:
W takim się ogniu na wieczny przemienię
Płomień, gdy umrę... Cóż z tego? Nie żywie
Ten, komu obcem jest to żarne tchnienie.

Jakiż się żywot zrówna z twym żywotem?
Poznać, miłości, gorycz twą i potem
Być odepchniętym przez Boga! Ach! komu
Jest to nieznanem, czyż się z szczęściem złotem

W pustych niebiesiech, przed bożem obliczem,
Spotka? Największa rozkosz będzie niczem
Wobec rozkoszy, którąśmy w tym domu
Ciężkiego serca mieli, świętym zniczem

Umarłych godzin żyjący!.. Po granie
Trąby, choć ciało z duszą się rozstanie,
My nierozdzielni! Trzymam ciebie dłonią,
W mych oczach woli twojej panowanie.

Ni pieczęć, z wszystkiej przylepiam się mocy
Do ciebie, skryty przed ludźmi, aż z procy
Boskiej świat legnie, gdy nad morza tonią
I ponad lądem zagrzmią trąby nocy...



EXPLICIT LAUS VENERIS.





Edward Okuń. PORTRET.



Z LEGEND POLSKICH.

POKÓJ

LUDZIOM DOBREJ WOLI...

Sioło drzemie cicho w skwarze południa, w jasnych łanach ozimin, śmigających ku słońcu świetlistemi żdźbłami.

Przypadli na miedzach strudzeni oracze, na pastwiskach uśpione pasterze, nad wiślanym brzegiem w łozach wikliny posnęli rybołowy.

Spoczęły poważnie zbożne woły, uśpiły się jagnięta, bociek na łące ukrył głowę pod skrzydło i drzemie stojąc, nawet wysoko w pobladłym od skwaru błękicie, przycichł skowronek.

Ustały radła i sochy, nie ciągnie pług, nie skrzypi zamknięty kołowrót osady, ni żóraw studzienny, ni kijan-

ki nie biją na rzece, ni zastukota warsztat tkacki.—Upalna cisza nad wsią i nad łany — jakby siwy sieje mak...

Jeno z zapadłej chałupy za wsią, o poszarzałej strzesze, tonącej w różowym woni obłoku, — z wonnego mroku, z rozkwitłego sadu — dochodzi furkot jaworowego kołowrotka i pieśń dziewczęca, a jakby słowicza:

— ... Zapomniała wiosna — czem to zima miecie... gdy rzuciła krosna — na zielonym świecie...

Przez polne rozłogi szarak w skok pomyka, spłoszony własnym cieniem, co mu od długich uszu padł na ziemię, — w zielonej ukryć się dąbrowie — —

Same tam dęby, witezie i woje sławne żyją i władną, — kłoni się przed nimi, za lada powiewem, poszycie ziół wiotkich, traw upojonych słońcem — szczęściem, — co z pośród liściastych konarów, jak z hojnych sypie się dłoni.

Groźnie, poszumnie, hardo zatoczyły dęby pląs bojowy, pląs miłosny, przed bławatkowemi oczyma pokornych, białych pól, szarych nizin i rozłogów.

Przyjdzie lato miłościwe, w mszystych wyrwach rozpłoną jagody jak pocałunki — dziki, jasny chmiel opląta wojów kolana, maliny pieścić będą różowemi usty —

Teraz jest wiosna, dziecięctwa ledwie sny, kwietniowe przebudzenia...

We wnętrzu dąbrowy mała polana, chramiszcze dziewczęcej czystości. Dęby wokół czołami nad nią się kłonią, ze czcią patrząc w głąb':

Na podłożu czarnego torfowiska, ścielą się mchy wytworne, niewysłowionego rysunku, głębokiej, cudnej zieleni. Z wiecznego cienia poczęte źródło sączy bez przerwy przeczyste krople — nieutulonej tęsknoty łzy wzbierają w czarnej mchów żałobie...

Brzegami ścielą się szeroko subtelne dzierzgania konwaliowe. — —

Nad źródłem słup drewniany w ziemię wbity, zmurszały, omszony, — na nim półboga wizerunek żywy, pięknie wyrzezany z drzewa: Jarz, goniec wiosny. Wokół łagodnej, pociemniałej od jesiennych słot twarzy płyną rozdzielone i umuskane świeżo kędziory lnianej przęślicy, równo nad czołem przycięte, a między nie plączą się bicze cudnych bursztynów i ciemnych widłaków wieńce długie...

U stóp drzewca, jak spryśnięte na obiatę krople mleczne, bielą się konwalie, nieziemskie, jak baśń, mleko duszy.

Dalej mży gaj młodych brzózek. Rozpuściły do kolan majowe warkocze, słońcem złocone, słowianki rzewne, — kryją strumieniami najświeższej zieleni ciała gibkie, drżące w mlecznej nagości swej, — a może tylko sine i czarne przepaski, znamiona niewoli...

Drzewa te chadzały ongi po świecie szerokim, kędy zachciały, — tańczyły na lotnych, drobnych piaskach dróg i na słonecznych polanach w majowe święto,—a z ludźmi żyły jak z bracią. Raz, na sioło pogodne spadli niemce chmurą gradową, siną, — i kosbę zrządzili krwawą, i powiązali lud zdradą niby snopy pszenne, dorodne, i jak więzie chrustu powlekli niemocne — na zatracenie! Wtedy brzozy owe z litości wielkiej pobladły gdyby gzła,—a w trwodze, by i ich Niemce nie zagarnęli i nie oderwali od matki-ziemi, wrosły w nią korzeniami żywnemi, a z żałości serdecznej nad śpiewnym ludem bratnim, w niewolę wleczonym, przybrały mleczne te siostry — stygmata sine, kajdan obręcze...

Ku onemu chramowi dziewczęcej czystości, środkiem onego biało-złotego gaju brzóz, — idzie zwolna dziewczyna słowiańska.

Smukła, bosa, w długiej, szarej, przewiązanej z płótna koszuli, — stąpa jak po krawędziach snu...

Dokoła jej ślicznej postaci roznieca się światło — główki brzóz kłonią się przed nią, słodkie służebnice — a wokół milknie wszystko — w oczekiwaniu... ale ona o tem nie wie...

Ramiona ma na piersiach złożone, jak skrzydła wróbla lichego — wzdłuż włos półciemny płynie — półwidne źrenice ślepotą cudu zasnute — —

Na przymkniętych jej powiekach świeżość rosy, ale w łuku jej boleśnie zfalowanych brwi — zestrzelone twórcze, nadludzkie — wieków marzenie!..

Stopa jej bosa stanęła znagła na mchów wilgotnych żywy chłód — i cofa się wraz w obręb gaju, na słońcem wygrzane, różowe macierzanki wzory.

Zarazem podniosła oczy...

Nieziemską głąb', wilgotny blask szarego zmierzchu — straszliwy ból, mieniący się w fiolet tęsknot zaświatowych — — —

A w głębi chramiszcza drgnął wizerunek z drzewa ciosany. Wywikłał się z wieńców bursztynu i widłaków — białosukmanny, młody — mając u pasa zwieszoną gęśl śpiewną, na czole światłość przyciętego włosa, co zaś niestrzyżon płynął na ramiona, na świtę lnianą...

Szedł ku niej, żywy pół-bóg wiosny, Jarz cudny, goniec Pra-boga do ludzkich serc, — szedł stopami bosemi, wyrzezanemi z drzewa — przez mchów żywy chłód — —

Ją zgięła cześć i lęk — a przychyloną pod brzóz szemraniem i gędźbą — owiało białym, świetlistym obłokiem święte ono zachwycenie i ścmił ją słońca złoty siew...

Ponad, w przysłonecznym świecie, szedł wieczny siewca przez role nowizną — i szerokorzutnym gestem błogosławiącym — rzucał ziarna wieczyste w dziewiczą glebę — — —

A on wysłaniec Pra-boga, stanąwszy przy dziewczynie, przemówił głosem nad gęśl łagodniejszym:

— Marzanno...

I dotknąwszy jej ramienia witką rozkwitłej wierzbiny — zwiastował jej...

Sioło drzemie w cichych opłotkach, zakopane w śnieżnej kopanicy.

W łozach wikliny, i aż pod kołowrotem osady, plączą się głodne wilczyska, o zapadłych brzuchach, ze świecącemi jak kaganki ślepiami.

Księżyc ogromny drży nad wsią, — nad przygiętemi śniegową płachtą strzechy chat, — nad skostniałemi widmami drzew, skarżących się nagością swą, — nad jękiem głodnych wilków płaczących krwawą łzą, — nad trwogą jagniąt, straszonych ich wyciem, — i nad błędnemi głowy, straszniejszych nad wilki, trzech krwawych zbójców, pomykających lasem, — i trzech królewiczów, co wyjechali w świat, przed oczy, na poszukiwanie ludów i krain wedle serca swego.

Sędziwy kneź-tkacz, przechadzający się po niebieskiem włodarstwie swem, przyszedł nad las śpiący w śniegu, i wnet jął snuć bisiory od srebra kapiące i plątać w nie las, w białe przędze owity, przenikać w ukryte ścieżki i polany, czyniąc zeń bogów godną gontynę, przebłękitnioną i nieziemską, — jak marzenie jednej słowiańskiej dziewczyny...

A ta dziewczyna — na śniegu padolnym leży, żelaznemi szpony mrozu i nędzy ujęta, w ciemność rzucona, jak ścięta lilia polna — —

Liczko kwietne wsparła na przydrożnym kamieniu lichym, oczy ma zamknięte, jak ptak, co z mrozu ginie, — kiedy przyszedł kneź w lisim kołpaku i umiótł nim mrok z pod jej stóp — i potrząsnął las garścią litych blasków, i rozesłał środkiem srebrnolity gościniec.

Wnet w czystem, mroźnem powietrzu zarysowało się z osobna każde drzewo, osypane kwieciem białego śniegu, i rzuciło długie cienie pni, i misterną plątaninę gałęzi, na ziemię pobieloną, iskrzącą się szronem.

Pod gliniastem urwiskiem, zatrzymanem, ni to szponem orła, trzonem sędziwego dębu, co tu wrósł i władnie śmierci się oparł, — w wyrwie spłukanych korzeni, pastuch jakiś sklecił łepiankę, — którą światło księżyca na jaw wydobyło.

Od strony biednej tej szopy, szedł śpiesznie, raczej wlókł się ostatkiem sił, drepcąc i potykając się, starowina jakiś, cieśla ubogi, który jedyny uwierzył w zwiastuna i w marzenia Niepokalane Poczęcie, — który rozciągnął opiekę nad tułaczą dziewczyną — i towarzyszył wygnance w pole szczere, w świat, za oczy.

Zaskoczyła ich w drodze zamieć śnieżna, błędnica, i stargała łachmany ubogie, i aż do kości zębem lodowym się wpiła — a dziewczynę cisnęła na śniegi, jak ściętą lilię polną — — —

Stary cieśla poszedł w las beznadziejny szukać lada jamy wygrzebanej przez liszki — — Daremnie!

Aż, w świetle miesiąca, objawiła mu się nagle ta szopka uboga, — więc śpieszył, śpieszył... gdzie opuszczona dziewczyna legła czołem na białym kamieniu.

Teraz ujmował ją troskliwie, trzęsącemi się, starczemi rękoma — i przygięty, niemal złamany w pół, przydźwigał bezwładną do zbawczej szopy, gdzie chuda krowina i osioł ustąpiły miejsca sierocie na miękkiej mierzwie i ogrzały ją dobroczynnem ciepłem swych ciał i oddechów.

Na pociemniałem, pogłębionem tle nieba, rozstąpiły się bure obłoki, obnażył lazur przeczysty, i wykwitł pąk dziewiczy, — roztulił kielich, spojrzał szafirów źrenicą, omgloną gdyby gloryą łez, — coraz większą, coraz szerszą, jak kręgi na jeziorze, gdy z wnętrza wód lilia się rodzi.

Poniżej zabieliły się chmurki, białawe, lekkie, jak runo jagniąt, biegnących chyżo, by się skupić w stadko, i znowu rozbiedz po niebieskiej łące.

A najczystszy promień nowonarodzonej gwiazdy padł pod próg szopy, gdzie niedostrzeżony, bo nędzny jak pył, a mierzwą nakryty, legał Maciuś, głupim zwan, a przeto wyzuty z dziedzictwa ojców i z działu ziemi.

Biedota taka, zwyczajnie, pod korzeniami dębu szopę sklecił i tam się chronił z krową żywicielką i osłem — bratem.

A przecie promień niebieskiej gwiazdy prościuteńko przeniknął przez konopiastą Maciusiową czuprynę, aż w głąb' czaszki, do źródła myśli, zasypanego kamieniami i zaniesionego namuliskiem a szutrem.

Zbudzony — podniósł głowę i szparą pod progiem ujrzał wnętrze szopy zalane światłem różowem jak zorza, bijącem od maleńkiego ciałka, które Marzanna składała w jasełkach na sianie, pod straż dwojga bydląt, liżących je litośnie szerokiemi, ciepłemi językami...

Co gdy nie ujrzy głupi Maciuś, uczuł taką radość, że mu aż dech zaparło, a powstawszy, pomyślał najprzód, jako bracia jego — co go się wyparli, a w las wyżeni — nic nie wiedzą. Więc powstawszy, jął pędzić na przełaj ku wsi, nie bacząc ani na strach, ani na zimno i lichą swą katankę, ani na wilki srogie, ani na zbójców krwawych, o których wiedział, że krążą po pustkowiach, — jeno biegł wieścić ludziom — dobrą nowinę!

A tu za światłem, co z wnętrza gwiazdy lało się, jak woń z kielicha przychylonej lilii białej, wprost na szopę, ukrytą pod korzeniami dębu, — czołgali się już w tę stronę wilcy, cicho wyjąc, z zapadniętemi brzuchami — i szli zbójcy krwawi z maczugami w dłoni — i zjeżdżali królewicze owi, którzy się zabłąkali w śnieżycę, a wyjechali byli szukać krain wedle serca swego,—a zwali się: Lech, Czech i Rus. —

Ale kołowali daleko i niemało, zanim naleźli drogę a gdy naleźli, to w progu szopy ujrzeli już zgromadzone sioło całe: starce-siewce, i pasterze, i oracze, i rybołowy ubogie, — w hołdzie kornym przed Marzeniem ludów wcielonem w Słowo. —

A pierwej jeszcze napotkali Maciusia-prostaczka, co pośpiał pierwszy, a teraz stał przed szopą, na rozstaju, z gołą głową, rozjaśniony cały, — i gładził po zjeżonych kudłach wilki srogie, co ze skowytem przypadły do ziemi

i do nóg mu się cisną, — i jagnięta zbłąkane, co tulą się do piersi wilczycom, jak matkom, — i głosił dobrą nowinę trzem krwawym zbójcom, nędznym, ponurym, okręconym w kupę łachmanów zgrzebnych, co poklękali na rozstaju obok swych maczug wbitych w ziemię, krwawemi rosząc je łzami, — iżby wyzbyli z serca wszelkiej trwogi, albowiem wypełniła się obietnica między Słowiany — i Marzanna-tęsknota powiła Słowo-marzenie... i będzie odtąd pokój ludziom dobrej woli — i mir stanie między ludźmi i zwierzęty, między krzywdzącym i krzywdzonym, między panem i stworzeniem — — —

Słyszą to i widzą królewicze błędni, co wyjechali szukać krain wedle serca swego, — i pytają w skrytości ducha:

— Jest-li to ta?

Ale już najmłodszy, najbardziej pieszczony królewicz Lech zeskoczył z konia, a potrząsając puklami włosów świATłych, ujętemi w pątliczkę złotą, bieży ku szopie, między oracze, międy pasterze a rybołowy, i przed Marzeniem wcielonem i przed dziewiczą ziemią rodzicielką — ugina rycerskie kolano:

— Lud mój i Bóg mój!..

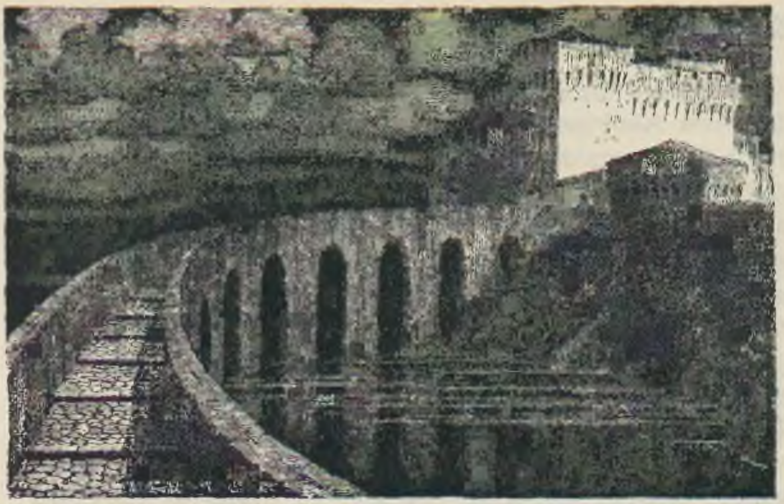
Co widząc, bracia — jako objął sercem tę ziemię — najmłodszego, najukochańszego uściskiem żegnali.

— Dzierż a króluj we sławie!

A Lech spojrzał władnie na krainę miłą i na niebo.

A na niebie — one runa białe — nie runa trzód polnych, jeno anielskie niezliczone ćmy — wzlatują i kreślą gdyby rozpięty jasny kontur orła — a nad nim łzawa gwiazda koroną lśni...

Ewa Łuskina.



ODDALEŃCY.

WOBEC MORZA.

Rybacy, którym połów nie udał się złoty,
Zdala od mórz zdradliwych i brzegów ponętnych,
Wszelkiej głębi naprzekór — z sieci obojętnych
Rozpinają na puszczy błękitne namioty.

— „Marny ten, co, przypływów chłonąc niewyśpiewność,
„Wierzy, iż sieć jest siecią, a połów — połowem!..
„My — zbadawszy istnienia dwuznaczność i zwiewność —
„Z sieci namiot uczynim pod niebem jałowem.

„Namiot — bezużyteczny! Lecz w rozwianej grzywie
„Jego fałd, zbytkowniejszych nad wszelkie istnienie,

„Przepych nudy — wyzłaca swe czary i cienie!“ —
Tak się owi na puszczy chełpią niechełpliwie!..

Oddaleńcy! Raz jeden zbłąkani wśród szlaków,
Już się nigdy nie zbliżą do własnej oddali!
Nikt w nich teraz nie pozna wesołych rybaków,
Zwinnych nurków, rabusiów pereł i korali!

Jak pieszczochy przeznaczeń, których nic nie cieszy,
Drwią z gwiazd morskich purpury, z mew bielszych od [mleka,
Żagiel, burzą wydęty, tylko ich rozśmieszy,
A szum fali przypomni, że czas się przewleka.

Przewleka się zabawnie, dziwacznie, misternie
Po najwiotszej gałęzi, po najcieńszym cieniu...
Zbliż się do nich, zawołaj tylko po imieniu,
A, jak ślimak swe rogi, pokażą swe ciernie!

Lecz nocą sen, płonący każdemu ku chwale,
Da im pić z tego źródła, zkąd nie pili zrana...
Wtedy warga ich blada, snem ucałowana,
Wyrzuca szepty-perły i jęki-korale!

Jadowita a szczera tego snu ułuda
Tak im duszę przez usta dobywa boleśnie, —
Roniąc perły, korale — śnią, jak morskie cuda,
Którym dano być sobą na chwilę i we śnie...

ICH OBLICZA.

Ich oblicza — to pisma tajemne, wstydliwą
Treść smutku skrywające w niewidzialnym wsiewie.

Dość je ognia szkarłatną podrażnić pokrzywą,
By — sparzone — zjawiły swych liter zarzewie!

Wtedy, zbrojąc swe oczy miłości rozsądkiem,
Można czytać je w świetle księżyca lub słońca,
A że koniec nadziei — jest zgrozy początkiem,
Więc najlepiej je czytać z uśmiechem — od końca!

Jedni, na dzień zaledwo mając zasób miodu,
Wyszli w podróż na długich lat tysiąc, jak bogi, —
I, wypiwszy miód do dna, w poprzek własnej drogi
Pokładli się, bezsilni od strachu i głodu!

Drudzy na winobrania chwilę umówioną
Spóźnili się o całą niedomówień dobę,
Gdy już ścięto owoce i nie zostawiono
Nic, prócz wiatru, co ziewa na pustki żałobę!

A innym, co się z losem pogodzić nie mogą,
Pieśń na wardze skonała, tak dobrze zaczęta!
Więc nie chcą taką wargą całować nikogo
I — chmurni — omijają zdziwione dziewczęta...

A są jeszcze i tacy, którzy w noc i słotę,
Nie dobrej — lecz najlepszej czekając Nowiny,
Wykrzesali z dusz głębi skry dziwne i złote,
Oprócz owej najzłotszej, naprawdę jedynej!

Tych dusze — to wróżbiarki, co w księżyca pełnię
Z sennika wypatrują zjaw, swemu podobny,
Ten sam prawie z pozoru, tak samo żałobny,
Lecz zawsze tylko — prawie, a nigdy — zupełnie!

POŚPIECH.

Gdy zorza do poddaszy czatowni nadchmurnej
Z poza kraty szyb błyśnie, jakoby z za krzaka,
Ich mieszkaniec, dla nizin podobny do ptaka,
Opuszcza swój gołębnik wyniosły i górny.

Gnany złudnych pospiechów natrętną ostrogą,
Która dzwoni wesoło, a krwawi boleśnie,
Biegnie w świat, że mu w szybie zapłonął, jak we śnie,
Kłamiąc oku skróconą w szyb ślepocie drogą...

Zda się, iż o tej właśnie, a nie innej porze
Dano mu, badaczowi swej własnej mitręgi,
Stopą, ścieżyn igraszką, wbiedz na widnokręgi
I całym widnokręgiem zawładnąć w przestworze!

Po skałach urojonych, wśród marzeń rozłamów
Zbyt pośpiesznie się skrada, zbyt trwożliwie płoni,
Jak kochanek przed schadzką, lub podpalacz chramów,
Mdły ogień unoszący w półcieniu swej dłoni...

Dokąd spieszy wieczorem on, co nawet w nocy
Nic niema do szepnięcia, nic do podpalenia!
Czy do chłodów ołtarzy? czy do zórz olśnienia?
Czy do zdrojów miłości, wrzących od niemocy?

Nie! on niegdyś, snów pierwszych złudzony jałmużną,
Ujrzał siebie gdzieś — w ledwo stworzonym zaświecie,
I teraz niespokojny, raz jeszcze, naprózno
Sam do siebie się spieszy! Wy mnie rozumiecie?..

KLĘSKA.

Na jeziorze zatańczy niedoblysk miesiąca,
Pół wiatru w las uderzy, drugie pół — w dolinę!
A ten, co nie chciał zemdleć od marzeń gorąca,
Wstąpi nagle pół-duszą w tych marzeń krainę.

On tu królem z wyboru! Czemuż tak niepewny?
Czy rdza berło mu zjadła? Wszak tu — jego trony!
Zapragnie — a na puszczy, piaskami strawionej,
Tryśnie ruczaj — gwiazd łowca — głębinami śpiewny!

Skinie — a żar upojeń, mocniejszych od wina,
Rozpłonie w srebrze kości i w krwi jego złocie!
Szepnie — a najpiękniejsza z umarłych dziewczyna
Zbudzi się, by go w tajnej kołysać pieszczocie...

Rozkaże — a wzniesiony nad padoły senne
Taniec widm samowzlotnych — serdeczny i hardy —
Zdepcze stopą zuchwałą — wraże, bezimienne,
Wzajem siebie w ciemnościach liczące miliardy!..

Lecz on — nawet w marzeniu — marzenia się wstydzi!
I dumny, że zaniedbał swych bogactw ogromy,
Choć go zdala olśniewa ich połysk widomy,
Udaje, że połysków takich — niedowidzi...

Jego bujne ogrody, szumiące mu chwałę,
Zbyt dawno zapuszczone, a niedość zaklęte,
Tracąc alej zawiłość i szumów ponętę,
Zapadają się w bagna, od westchnień nabrzmiałe!

Dość mu tylko rozkazać, zapragnąć lub skinąć,
By je zbawić! Lecz — drwiący, zimniejszy od głazu,

Choć rozumie, jak ciężko rozszumiałym ginąć,
Milcząc, patrzy na klęskę! — Nie daje rozkazu!

DLA LEGENDY.

Często wróżbiarz, co własnej nie wywróżył doli,
Nagłym skokiem na trwogę i bladością czoła
Skupia widzów, krwi żądnych, i szerzy dokoła
Postrach, niepozbawiony zgrozy i swawoli!

Cały w znakach piorunnych i piętnach zagłady,
Przed oczyma ciekawych obnaża sam siebie, —
I nagi aż do nieba, bezwstydny i blady,
Czuje się bohaterem, jak trup na pogrzebie!

Aktor, godny za widza mieć boga w niebiosach,
Choć sam wpada w wytrawne swoich guseł szpony, —
Marząc skrycie o rajskich zaciszach i rosach,
Z uśmiechem wyczekuje ostatniej zasłony!

Bo wie, że gdy na śmierci niebotycznych szczudłach
Przeskoczy ziemskich źródeł zwierciadła i kwiaty,
Pozostawi legendę, odbitą w tych źródłach,
O straszliwym rycerzu, co niegdyś, przed laty...

I dla niej, dla niepewnej, dla swojej dalekiej,
Że go może przygarnie — wiernego przybłędę —
Nie szczędzi niecnych trudów i dziwnej opieki,
I krew mężnie przelewa — za baśń, za legendę!

Bo ta siostra wieczności, kwiaciarka wspomnienia,
Gdy go w gmachu zaklętym na sen ukołysze,

Obdarzając istnieniem zdala od istnienia,
Da mu w jednym napoju — i tryumf i ciszę...

A zdzierając zeń ziemską powłokę obłudy,
I zdobiąc pierś rycerskiem złotem i żelazem,
Na ów cud go pasuje, ażeby zarazem
I był sobą i nie był! — O, cudzie nad cudy!

I kiedyś czyjeś usta, zbudzone ku wiośnie,
Szepną o nim na pamięć choćby jedno słowo,
Lub przyśpiew nieodparty, lub gwiezdną przenośnię,
Która duszę z wszechświatem spokrewnia na nowo!..

SCHADZKA.

Czy nie słyszysz, jak obłok porusza się senny?
Jak noc ciszą pogłębia dna ciekawy strumień?
A w alejach szeleści niepokój płomienny
Księżycowych powikłań i nieporozumień...

Śpiesz się, dziewczę, spragnione pieszczoty bezkresnej!
Śmierć i miłość zna tryumf umówionych godzin!..
Twój kochanek cię czeka od dnia swych narodzin,
Wierny tobie współtrwogą, tęsknotą — rówieśny!

Niech twe lico dla niego zakwitnie różowiej,
Niech osłabną ramiona, białych piersi stróże!
Burzą włosów upojnych marzenia mu owiej,
By miał w życiu tę jedną, niewrogą mu burzę!

Lecz nic nie mów o sobie — czemu tak nieznana?
Zkąd przybywasz i dokąd odejdziesz za chwilę?

I dlaczego twe nogi tak we krwi i w pyle,
Że całować je mało od nocy do rana?

Ani jego nie pytaj, dlaczego spotkanie
Tak opóźnił? Dlaczego oczyma nie śledzi
Twych oczu? I czy kocha? Bo wszelkie pytanie
Jest wrogiem mimowolnym własnej odpowiedzi!..

Milcz i całuj! — Milczeniem pieszczota się krzepi,
I niezgorsze wesele tkwi w dobrej żałobie!
Wszak nie można się kochać żarliwiej i ślepiej,
Jak tak właśnie: nic wzajem nie wiedząc o sobie!

UCZTA.

Nieco drwin i objawień i nieco bezczasu
W mroku czujnych podziemi — a uczta gotowa!
Tak się schodzi samotnych ciżba pogrobowa
Na obrzęd wspólnej ciszy, wspólnego hałasu.

Tu — w tem gnieździe, zbyt twardem dla piskląt porodu,
Każdy resztę swych braci wzrokiem niepokoi,
Aby zbadać, czy giną, jak mężom przystoi:
Nie bez szczęku zbroicy i nie bez powodu...

Ci, co wpośród ginących z wytrwałości słyną,
Lubią skrzydłem zaszumieć, jak czarty lub ptaki, —
I, ssąc wargą królewską bylejakie wino,
Zezem duszy pochwycić sen nie bylejaki!

Gdyż oto zachowali przebiegle za stołem
Puste miejsce w nieznacznem na pozór uboczu

Dla gościa, co przybiegnie z wieńcami nad czołem
I rozwidni podziemie błyskawicą oczu!

Znany w gronach aniołów z upojeń i śmiechu,
Tępiciel żmij na słońcu, wesela podczaszy, —
Szmer pokątny skinieniem swej fletni wystraszy
I przywróci dźwięk czysty wszelakiemu echu.

Znawca uczt doskonałych, przodownik marzenia,
Nie mogąc ucztujących odróżnić od chmury, —
Każe dzwonić kielichom godzinę zbawienia
I napełni je winem, starem jak lazury!

Lecz próżno, gdy ich wabi mgła widzeń słoneczna,
Nasłuchują, azali podwojów oścież
Ze snów rdzawych zbudzone — skrzypną swoje: „wierzę!“
Gość nie przyjdzie — a uczta dla smutnych zbyteczna...

ICH SZATAN.

Ich szatan, utraciwszy święty zapał grzechu,
Lekceważy swe ognie trawiące i czary.
Niespodziane wybuchy nadziei lub wiary
Psują mu doskonałość szatańskiego śmiechu.

Marząc nowe kuszenia i nowe chichoty,
Włóczy się, jak bez celu, ten łotr zadumany, —
I, jakoby księżyca niezmienne odmiany,
Trapi go myśl, krążąca dokoła tęsknoty...

Próżno szuka płomienia dla swojej pochodni
I barwy dość piekielnej dla świetnych sztandarów!

Chwiejność grzechu samego, trudny wybór zbrodni
Igra mieczem, wiszącym u boku zamiarów!

Więc wybrednie bezczynny, a pełen olśnienia,
Jak wniebowstępujący na wieczną weselność, —
Okiem, chciwie zmrużonem, z rozkoszą ocenia
Swych odświętnych wywczasów ochoczość i dzielność!

Bo w pazurach swobody, pozornie pastuszej,
W usilnem niewkraczaniu we własne bezedno, —
Tkwi niejedna tortura i piekło niejedno,
Godne nawet najbardziej nieśmiertelnej duszy!..

On wie o tem — ów śmiały wróg samego siebie!
I tem właśnie, iż wszelkich poniechał zabiegów,
Gotuje nowe męki dla nowych szeregów
Czcicieli kół zaklętych i pląsów po niebie!..

Na wzór mężnych serafów haftując swe szaty
Dzwonnem złotem tryumfów, — ten truteń obłoczny,
Wsłuchany w swych upadków zwycięskie wiwaty,
Resztki nieba rad wyssać z kałuży pomrocznej!

Bo, w zmierzch piekieł zużytych wzierając niechętnie,
Śni idylle niebiańskie, a chytrze swe lice
Odmładzając w błękitach, — pradawną różnicę
Między sobą a bogiem niweczy doszczętnie! —

NIEZNANEMU BOGU.

Jednym — jarzmo kochania, drugim — nędzy brzemię,
A im — tylko modlitwa dumne zgina karki!

Szept, z piersi wyzwolony, ulata nad ziemię,
Jak motyl, co pamięta, że wyszedł z poczwarki.

Lecz, by z tłumem we wspólnem nie spotkać się niebie
I modlitwie samotnej ująć tego sromu, —
Wyciągają rąk sploty daleko przed siebie,
Do boga, nieznanego — zaiste! — nikomu.

Najwyższy, a pozornie najuboższy z bogów
Wzgardził tem, co widzialne, dostępne dla czasów, —
I nie stworzył pól szumnych, ni jezior, ni lasów,
I nie spoczął na złocie ołtarznych barłogów!

Hufy konnych aniołów snu jego nie strzegą,
Ni go poją kadzideł wonności i żary!
Nikt się nigdy — zaprawdę! — nie modlił do niego,
Nikt mu za nic dziękczynnej nie składał ofiary, —

Tylko oni, w modlitwie od wieków najpierwszej
Wzywają, aby zwolił w prześladowań święto
Zginąć śmiercią, co gałąź żywota zwichniętą
Krwawem kwieciem męczeństwa dostojnie zawierszy!

Trwożni nasłuchiwacze szmerów i półgłosów
Darmo się pochylają nad brzegiem otchłani!
Męczennicy, nadzieją ostatnią chłostani,
Nie mogą się doczekać należnych im stosów!..

Ale ów bóg, przed którym niewszyscy są równi,
Widząc ich w całej bólów brzydocie i pięknie,
Pamięta, jak mu tęczą bywali wysnówni, —
I jeżeli ma serce, — ono dla nich pęknie!

METAFIZYKA.

Kraina, gdzie żyć łatwiej i konać mniej trudno, —
Gdzie wieczność już nietajnie wystawa na straży
Trosk doczesnych, — gdzie bardziej jest bosko, niż ludno, —
I gdzie każdy za wszystkich nie cierpi — lecz marzy!

Są tu sady bez wyjścia, i groble, nad szybą
Owej rzeki wyśnione, co kiedyś wytryśnie, —
I niejeden tu pałac w zagąszczu ci błyśnie,
Godny tego, by nie był niczyją siedzibą!

Są tu w lasach mrowiska, wzniesione nad drogą,
Gdzie wre praca snów rojnych — odwieczna i bratnia, —
I jest tu owa cisza błękitna, ostatnia
Z tych, co jeszcze na uśmiech zdobywać się mogą!..

Tylko czasem na polu jakiś krzyż skrzydłaty
Wiatraka, mielącego mgły marzeń i ciernie,
Brakiem boga na sobie zlękniony niezmiernie, —
Szaleje i skrzydłami uderza w zaświaty!

Bywalec tych uroczysk, powabnych swym tronem,
Umie błysków najmniejszą wyśledzić nieznaczność, —
I w szczelinie pomiędzy istnieniem a zgonem
Dojrzeć gwiazdę niezgorszą, lub niezłą opatrzność...

Lecz się nigdy nie strwoży, rozumnie zbłąkany,
Bezkrólewiem w niebiosach, lub własnego cienia
Zgubą w jarach, — lub zbytnią łatwością zamiany
Jednych cudów na drugie. Niech cud się też zmienia!..

Jego tylko tu nęci niezwiedzona grota,
Lub kwiat jeszcze nieznany, lub muszla co rzadsza, —

I na wszelki przypadek wtórego żywota
Duszę swoją w te dziwy chętnie zaopatrza...

On tu przyszedł sam przez się, by własne szaleństwo
Karmić strawą najlepszą na ziemi i niebie, —
I nad brzegiem przepaści wytańczyć dla siebie
Jeden lęk drogocenny lub niebezpieczeństwo!..

TA OTO GODZINA...

Zamarły róż okrzyki ku słońcu w wyżynie,
I lasów rozechwianych śpiew — o samym śpiewie, —
Szmer przykazań miłosnych w płomienistym krzewie, —
Wszystko nagle zamarło w tej oto godzinie!

A życie wśród zamarłych tak łatwo się płoszy,
Że samochcąc przelana domyślnym strumieniem
Krew własna — purpurowem jest tylko stwierdzeniem
Tego, co już się stało!., O, stwierdzeń rozkoszy!

Twój wybraniec, dbający o cześć swej korony,
Na miecz ją w swoich ogniach przetopił samotnie,
I miecz, ostrzem ku światu tak długo zwrócony,
Zwróci teraz ku sobie — natychmiast, bezzwrotnie!

Lecz jarzma wyczekiwań nie wdzieje na szyję,
Nikomu nie zawdzięczy przepychu swej męki!
Choć życie przyjął z ręki jakiegoś: „Niech żyje!“ —
Śmierć — ów pokarm ostatni — przyjmie z własnej ręki!

Śmiało w ślepie zaziera szalonej ochocie,
On, co więcej zdobywa, aniżeli traci!

Niech mu dusza nie będzie leniwą w odlocie!
Niech się serce o jeden miecz jeszcze wzbogaci!

Bo może w tej godzinie, w tej najmniej zwodniczej,
Znajdzie w sobie godnego swej napaści wroga,
I, rażąc siebie mieczem, spragnionym zdobyczy,
W piersi własnej — własnego dorąbie się boga!..

TOAST ŚWIĘTOKRADZKI.

Żem nieraz wchodził z wami w złośliwość zażyłą,
Mistrze zgrzytów i chrzęstów, z których pieśń się czyni, —
Więc mi dano się o was zadumać w świątyni,
Gdzie już nic się nie staje prócz tego, co było...

Tu — wybucha z witrażów tak tęczowy płomień,
Że ty — bogu, a tobie — bóg wyda się tęczą,
I obydwaj, zarówno pełni oszołomień,
Posłyszycie, jak wasze westchnienia współdźwięczą...

Lecz ja dłoń świętokradzką wyciągam w rozblaski
Aż po kielich, drzwi złotą dwutarczą strzeżony!
Na dnie jego krwi Pańskiej koral zaczajony
Ustom, skorym do wina, nie poskąpi łaski!

Więc, gdy mi takie wino uderza do głowy
Mocą nieba całego aż do nieboskłonu,
Czyż nie jestem — o, bracia, nieufni do zgonu, —
Opojem z nad lazurów i sam — lazurowy?

Czyliż teraz mój okręt, szalony beztroską,
Dość się hardo na zdradnej nie załamie rafie?

I czyż — bóstwem pijany — do was nie potrafię,
Znawcy znawstwa samego, przemówić dość bosko?

Za wszystkich, których słońca promienista rózga
Chłoszcze za żądz natręctwo i skrzydeł bezbożność,
Aż ich kiedyś — złocących swej kary wielmożność —
Grom, zawistny o złoto, w proch cenny rozdruzga!

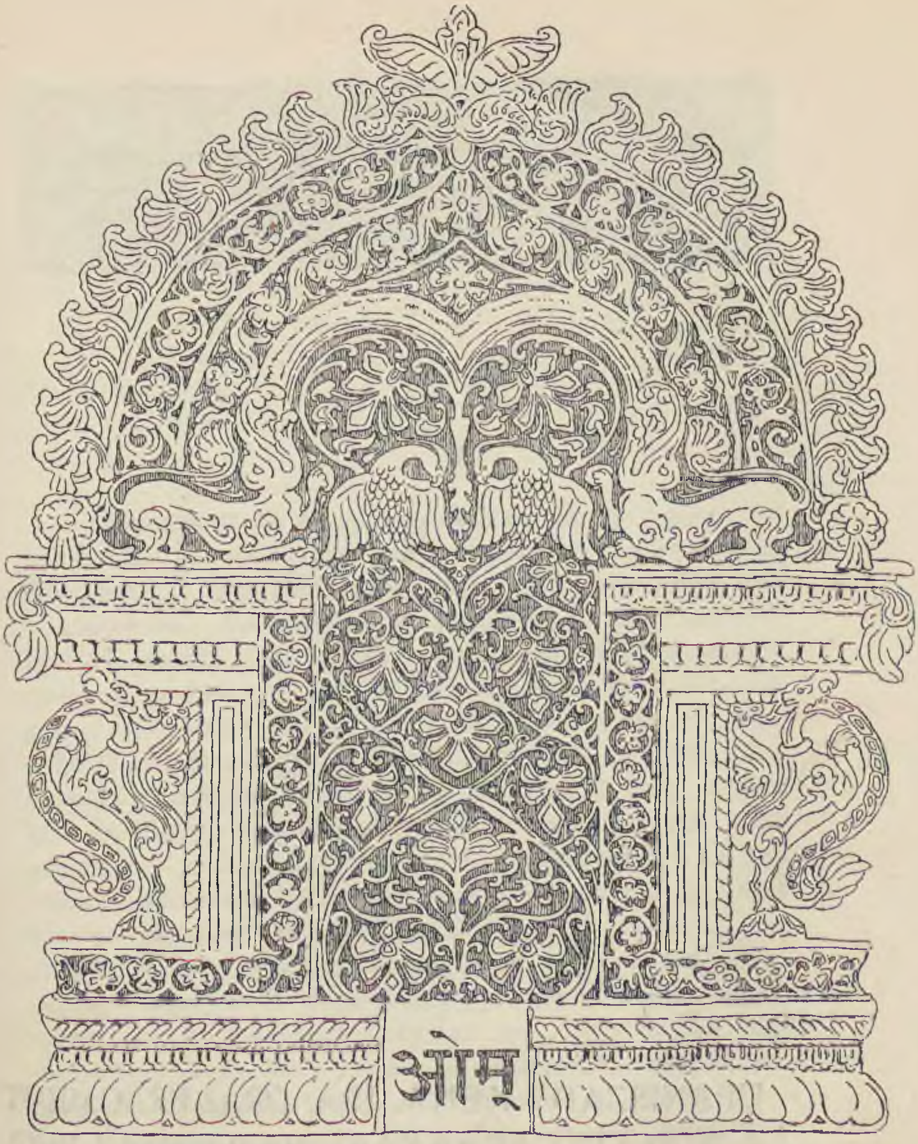
Za skazanych na znoje czatów i wywiadów —
Gdziekolwiek się wałęsa ich płonna tęsknota!
Za tych, co, mając żądła, poszukują jadów, —
Gdziekolwiek ich przydybie ta żądeł zgryzota!

I za tych, którym nagle, na wiosnę czy jesień,
By pogardzić kwiatami, — nie dostało chwastu!
I za tamtych, co z wszelkich uniesień lub wzniesień
Warci jeszcze takiego wzniesienia toastu!

Za tę całą drużynę zgiełkliwą i rojną,
Co otuchę donośnym wezwałaby rogiem, —
Za ich żywot pokrętny i śmierć niespokojną
Wznoszę kielich, po brzegi pieniący się bogiem!..



Bolesław Leśmian.



UPANISZADY: KENA, ISA, KATHA

FRAGMENT Z WIELKIEJ ARANYAKI:

UPANISZADY KENA, ISA, ORAZ FRAGMENT Z WIELKIEJ ARANYAKI. NA WIERSZ I PROZĘ POLSKĄ PRZEŁOŻYŁ, NAJKONIECZNIEJSZEMI OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ I WSTĘPEM POPRZEDZIŁ WACŁAW BERENT.

Gdy prażródło aryjskiego ducha zamulali kapłani na wieki całe jałową i zawrotnie monotonną dogmatyzacyą spiętrzonego do potworności rytuału, gdy, skute przez nich w kastowość, kostniało życie indyjskie, — cały niepokój żywych jeszcze dusz: wiedza i wiara sama znalazły schronisko w wybranych kołach stanu rycerskiego. Gdy kapłani, ogłupiwszy naród swój k'woli panowania nad nim, z kolei rzeczy nikczemnieli sami, gdy z Wed nawet poczynała przezierać nieokiełznana chciwość i nagi cynizm tych handlarzy doczesnych nadziei i zagrobowych przeznaczeń, — w kołach kshatriyów zastanawiano się nad celem i wartością życia, nad przeznaczeniem duszy, nad życiem zagrobowem, nad istotą wiary i bóstwa. Zachłanne Wedy wsiąkały w siebie, jak każda zresztą zwycięzka religia, wszelkiego ducha, nawet zawiązki wręcz ateistycznych systemów, czyniąc to, oczywiście, póki z nowego ducha nie wyłoniło się społeczne niebezpieczeństwo dla kasty i hierarchii, — nie wyłoniła się „herezya.“ — Dla braminów nastało to niebezpieczeństwo znacznie później — w buddyzmie.

Tymczasem te filozoficzne rozważania kshatriyów znalazły się jako dopiskowe dyalogi do rytualnych „Bramana“ wedyckich. Przeznaczone początkowo dla pustel-

ników leśnych *(aranyam)*, miały służyć jako przewodnik do uproszczonego w takich warunkach rytuału ofiarnego. Grubo materyalne i marudne czynności ceremoniału ofiary zastąpiła medytacya nad obiatą i kosmiczne jej symbolizowanie, ponoszące myśl na niescigłe nieraz wyżyny. Tego potrójnego źródła (dysputacyj filozoficznych w kołach rycerskich, rozmyślań pustelniczych i niedającego się wykluczyć współudziału głębszych kapłanów, podtrzymujących najczystsze tradycye Rigwedy)—tego potrójnego źródła są prawdopodobnie owe *„Aranyaka,“* których ważniejsze ustępy oddzieliły się z czasem od Wed i przesiąknięte jednym duchem wytworzyły całość odrębną: ostatni najbardziej dostały owoc Wed, zwany: *Wedanta* (koniec Wed), lub *Upaniszady* (posiedzenia tajemne; słuszniej, wiedza tajemna).

Czas powstania Upaniszad określić trudno: najstarsze między niemi fragmenty noszą prastare piętno czasów Rigwedy; snuje się zaś twórczość upaniszadowa nieomal po dnie dzisiejsze. Przechowywane były Upaniszady przez stulecia całe jedynie w pamięci mistrzów. Na kanwie upaniszadowych idei osnuł *Badarayana* teologiczno-filozoficzny *system* Wedanty: *Sariraka-Mimansa* lub *Uttara-Mimansa,* zwany również niekiedy wprost *Wedantą,* w komentarowem przeinaczeniu znaczenia tego słowa na: „ostateczny cel Wed.“ *Pismo* Badarayany p. t. *„Sariraka-Mimansa-Sutra“* wraz z przechowanym komentarzem *Sri Sankary* stanowią dziś najstarsze źródła poznania Upaniszad [1]).

[1]) O Badarayanie nie wiadomo nic. Sri Sankara żył prawdopodobnie w 8 w. po Chr. i założył sławną szkołę w Sringagiri. Jako pielgrzym i asceta wędrował do Kaszmiru. Jego pisma, a niemniej i pouczania na wędrówkach wywołały po czasie zastoju nowe odżycie Wedanty, oraz mnóstwo wątpliwych dziś i apokryficznych pism przypisywanych Sri Sankarze.

Wedantą— końcem Wed— zwie się ta wiedza dlatego, że udzielano jej uczniom bramińskim pod koniec studyów; Upaniszadami — posiedzeniami tajemnemi, lub, słuszniej, wiedzą tajemną — gdyż powierzano je jako ostatnią prawdę wszelkiej wiedzy, jako głęboką i groźną tajń wiary, jako objawienie ostatniej tajemnicy bytu.

Po za tą zasłoną czekało na ofiarników - życia dla wiedzy i wiary, nie jak w Sais śmiertelne wejrzenie Tajemnicy, lecz próba ich ducha: oni to swoim bogom w twarz spojrzeć mieli. — Po kilkudziesięcioletniem wgłębianiu się w dogmat zawiły, kręty, przepaścisty; po dożywotnim kieracie służby bożej przy ołtarzach ofiary, po złożeniu na ten ołtarz młodości, woli i ducha nieomal; po dewocyi i nabożeństwie, doprowadzającem do otumanienia przez powtarzanie jakiś glossolalicznych niby symboli, głosek pozbawionych zgoła jakiegokolwiek znaczenia, a grających rolę żarn, w których prawda z łuszczyny wątpliwości wycisnąć się wreszcie miała; — po całego życia mozołach i ofierze stawał się uczeń braminów niemym zamyśleńcem, ponurym wątpicielem.

I wówczas dopiero mógł bogom swoim w oblicze spojrzeć, wówczas godnym się stawał wiedzy przechowywanej w medytacyach pustelników leśnych: owych słów ostatnich a wyzwalających, słów, które sam *Aditya*, pramistrz i objawiciel powierzył *Ambini*, ten zaś *Vak*'owi, i tak—w szeregu mistrzów a uczniów—aż do samego *Dżajnawalkyi*. Sam *Dżajnawalkya* pouczył króla *Janaka*, mądrą swą żonę *Maitreyi*, a z uczniów swoich przedewszystkiem Asuri. Asuri pouczył Asuryanę,

Asuryana — syna Sanjivi,
Syn Sanjivi — syna Pracinayogi,
Syn Pracinayogi — syna Karsakeyi...

. . . .

I tak bez końca: od stuleci wstecz, przez stulecia zamierzchłe, aż po mknienie dni dzisiejszych, — litania nazwisk nieskończona [1]).

Owe to słowa tajemne, słowa wiedzy ostatniej uczniowi teraz objawione będą; jemu tylko pośród tysiąca towarzyszy. W jego ducha i serce tajemnicę odwieczną złoży teraz *Guru,* mistrz, — w odwiecznym szeregu posiadaczy tajemnic, żyjący i ostatni. Oto *Hotar* ofiarę już złożył, ducha dźwignął, oddech zwolnił, w oczy mak ekstazy rzucił i wewnątrz je skierował. Oto wystąpił Guru, biały starzec nadmogilny w aureoli posiadania odwiecznej tajemnicy, i rzuca ostatnie zaklęcie, ostatnią pobudkę skupienia: „Pokój! Pokój! Pokój!!“

I wtedy dopiero rozchylała się zasłona Mayi. Z takiem to skupieniem, w takiem oczekiwaniu przejmowano ową wiedzę.

I temu zwie się ona *tajemną* [2]).

I oto dogmatów swej wiary uczeń a męczennik, świętych Wed poznawca, nieznalezionej prawdy całopalna ofiara, niższy od robaka, nikczemniejszy od pyłu w obliczu nieogarnionej potęgi swych bogów: Indry, Agni, Vayu, Sziwy, Wisznu, — dowiaduje się, że...

bogowie są zaledwie symbolami dla wiary pospolitej; — że...

---

[1]) Według tej „listy mistrzów,“ której szczątek tu podajemy, oblicza ktoś czas między Adityą a Dżajnawalkyą (przyjmując średnio lat 20 na generacyę uczniów) — na lat 800. Od Dżajnawalkyi do ostatniego na liście Guru upływa czas trzy—jeśli nie cztery razy większy.

[2]) Odnosi się to, oczywiście, do czasów dawniejszych, gdy w całej sile obowiązywał zakaz spisywania ksiąg świętych, gdy Wedy, sześć razy większe od Biblii, przechowywane były jedynie w pamięci duchowych skarbników. Jak wielką przywiązywano wówczas wagę do nich, świadczą listy mistrzów, podawane przy końcu większych Upaniszad.

Wedy, święte Wedy, którym on swe życie, a jego naród kilkadziesiąt wieków swego istnienia oddał, Wedy objawione, które istnieć wszak miały i po końcu świata! — że i one są dziełem niepokonanej Mayi, majakiem zmysłów.

Są niemi wraz z ułudą naszego poznania, ukazującego nam świat zjawisk „w mnogości i przestrzenności, w imionach i kształtach.“ Wszakże i Wedy znają tylko mnogość dusz indywidualnych i ich bezkresową wędrówkę *(Samsarę)*, każąc duszom po śmierci w takie wstępować ciała, jakie zakreśla im niechybnie jedyna pozostałość indywidualnych egzystencyj: niezniszczalna moc popełnionych za życia czynów, dzieło życia: *Karma*. — Jest więc kanon wedycki, wraz ze swą mnogością bogów i dusz, z przykazaniami, zakazami, obietnicą i groźbą, takimże owocem mylności naszego poznania jak i wszystkie nasze pojęcia o „wielościowym świecie imion i kształtów,“ owocem mylności wiedzy, a raczej „Niewiedzy,“ jak ją zwie Wedanta, — *Avidyi*, opartej na doświadczeniu. — Poznająca dusza nie jest w stanie pozbyć się swych „przeznaczeń,“ swych *Upadhi:* właściwości swego ciała, właściwości fizycznych i psychicznych organów poznania, oraz brzemienia dzieł, bądź już popełnionych, bądź musowo popełnić się mających. Nie jest więc ona zdolną przeniknąć do prawdy: życie, świat i bogowie, — świata i bogów poznanie są majakiem (m a y a) jej *Upadhi*, jej nieuniknionym omamem [1]).

---

[1]) Nie przeczy Wedanta wręcz istnieniu bogów indyjskich, jak „nie przeczy Platon i Epikur istnieniu greckich bogów.“ Dla Wedanty są bogowie bądź symbolami, bądź personifikacyą sił przyrody i władz życiowych (Agni — mowy, Vayu — oddechu), bądź wreszcie tradycyjnym wedyckim sposobem obrazowania. Patrz zresztą poniżej: o egzoterycznej i ezoterycznej Wedancie.

Przyczyna tego nieuniknionego omamu, powiada dosłownie Sri Sankara: „polega na wrodzonem nam fałszywem przenoszeniu istotności i jakości Subjektu na Objekt...“ Bądź co bądź: granice naszemu poznaniu zakreślają przyrodzone właściwości poznającego subjektu; — było to sformułowane w 8 wieku naszej ery, a zawarte w symbolach i przenośniach wedyckich Upaniszad, o lat tysiąc co najmniej starszych... Potęguje się ten omam i tem jeszcze, że — wciąż według Sri Sankary — „nasze poznanie odróżnia się od zwierzęcego tylko stopniem rozwoju; w istocie swej stoi, jak i tamto, całkowicie w usługach egoizmu, zniewalającego nas do wyszukiwania rzeczy pożądanych, a unikania niepożądanych.“ I tyleż w życiu, co i w wiedzy, tyleż w doczesności, ile w pozagrobowych obietnicach Wed, przemawiających bądź co bądź do naszych pożądań i obaw, choć by one według wierzeń osiągalne były dopiero po za grobem. — „Tem jest, — kończy Sri Sankara, — owa, bez początku i końca przyrodzona przenośnia (przenoszenie Subj. na Obj.), która w istocie swej jest założeniem fałszywem, a jednak znamionuje wszystkie stany naszych postępków i zażywań i rodzi naturalny sposób pojmowania wszystkich ludzi...“ (Nie jest-że to odpowiednik tego, co dziś nazywamy: naiwnie realnym poglądem na świat!?).

Dotąd zaznaczaliśmy analogie Avidyi Wedanty z dzisiejszą wiedzą doświadczalną. Określa wszakże Sri Sankara Vidyę (metafizykę?), w przeciwstawieniu do Avidyi, jako „zmierzającą do określenia właściwej natury rzeczy.“ (Rzecz sama w sobie!?).

Wystarczy tu chyba najogólniejsze napomknienie o kantowskiej analizie poznania, o tem, że świat jedynie w przyrodzonych nam *formach* poznania: w formach czasu, przestrzeni i przyczynowości dostępny jest naszym władzom poznawczym, dającym w rezultacie tylko obraz zjawisk, a nie wnikającym w istotę rzeczy samej w sobie.

Oczywiście Wedanta tej analizy poznania jeszcze nie dokonała, ale jak blizką jej była, świadczą powyższe słowa Sri Sankary. Jak blizką wogóle współczesnego ducha — mówi Schopenhauer we wstępie do swego głównego dzieła:

„Gdyby to nie wyglądało na chełpliwość, mógłbym utrzymywać, że każde twierdzenie Upaniszad dałoby się wyprowadzić jako wniosek konieczny z moich myśli zasadniczych.“ — To blizkie pokrewieństwo Upaniszad z dzisiejszą dyalektyką filozoficzną odbija się nawet na niemieckiem ich tłómaczeniu Deussena, mimowiednie

nakłanianem w tekście i komentarzach do pojęć metafizyki niemieckiej.

Nie od rzeczy będzie jeszcze jedno zastrzeżenie. Nie idzie tu o genealogię dzisiejszych myśli. Odrębna ich geneza wyklucza z góry wszystko inne ponad najbliższą bodaj analogię *odpowiedzi*. Odrębnymi rodzicami będzie tu odrębna jakość i wartość *pytań*, bo nosząca w sobie zawsze in nuce każdoczasową historyę ludzkiej myśli. Zbyt daleko idące powinowactwa, zbytnia zbieżność, nawet w szczegółach, będą więc rzeczą filozofa podporządkowującego każdego ducha pod swój system, bądź też rzeczą tłómacza zbyt opanowanego pojęciami metafizyki współczesnej. Z tego względu niezmiernie pożądanym i ciekawym korektywem takich przekładów będą tłómaczenia dogmatyczne, dokonywane przez braminów współczesnych, jak większość tłómaczeń angielskich.

Idzie więc tu, aby rzec najogólniej, o te struny współczesnego ducha, jakie najsilniej zatrąca duch Upaniszad.

W tem zrozumieniu wspomnijmy raz jeszcze słowa Sri Sankary o *drugiej* przyczynie mylności naszego poznania: o nieuniknionym jego egoizmie, o woli zwróconej ku wartościom życiowym nawet wówczas, gdy się je transponuje po za groby lub w kosmiczność. Czytamy wszak dziś o egoizmie świątobliwości i ascezy, szukających na tej drodze wywyższenia się nad innych, a w niszczeniu swego ciała — obietnicy lepszego życia w życiu innem; o egoizmie życiowego pesymizmu, narzucającym naturze i światu swoje wartości negatywne; o potędze temperamentu i nawyku, wyciskających swe piętno na wiedzy, wierze; o systematach filozoficznych tak zależnych od—Upadhi ich twórców.—Czy ta druga przyczyna mylności naszego poznania nie wiedzie już w czasy pokantowskie, w czasy wprost dzisiejsze?

„Zniszczyć przyczynę tej niewiedzy i niedoli życia, — kończy Sri Sankara, — oto cel Wedanty!"

Mniejsza na razie, czy ze stanowiska dzisiejszej teoryi poznania zdoła ona wyjść poza nieuniknione formy naszego myślenia, pozostawić za sobą całą sferę woli, czy jej objawienia nie będą tkwiły korzeniami swemi w niepokonanej Mayi. Pierwotna ducha ludzkiego świeżyzna, z jaką przed lat tysiącami przystępował do tych ostatnich zagadnień bytu; potęga i bezpośrednia sugestywność symbolu, jakiemi wówczas rozporządzał; moc i wnękliwość w docieraniu na dno duszy ludzkiej; twórczy rozmach, z jakim porywał ją na najwyższe szczyty: oto płomień Wedanty, „niszczący ziarna niewiedzy."

Pisze tenże Schopenhauer w „Parergach“...: — „Każdego, kto wniknął w tę nieporównaną księgę, musi duch jej wstrząsnąć do głębi. Z każdej stronicy bije głąb' twórczych i najszczytniejszych myśli, gdy nad całością unosi się wyżynny duch świętej powagi... O jakże tu dusza oczyszczoną się czuje po wszelkim w zaraniu życia wszczepianym nam zabobonie żydowskim i całej tej pańszczyźnianej filozofii“...

Dowiaduje się tedy uczeń braminów, że „wielościowy świat imion i kształtów“ wraz z ich poznaniem i wiarą kanonów: całe to dzieło Mayi trwa jak zwidzenie senne, póki nie nastąpi ocknienie. Nie ocknie nas przecie Avidya; nawet dla Vidyi, która również ulega Upadhi swego twórcy, ostatecznem źródłem poznania może być tylko objawienie.

Tak więc nie dobre uczynki, nie wiara i pobożność, nie święta bezgrzeszność ascezy darzy wyzwoleniem. Skupienie, kontemplacya, wnikanie i wreszcie poznanie dzięki objawieniu przezwycięża Samsarę, przecina odwieczną wędrówkę duszy i wiedzie w nieśmiertelność.

Warunkiem koniecznym objawienia, podłożem prawdy są — dzieła i medytacya. Dzieła wprawdzie nie w ich merytorycznej wartości, lecz i nie w ascetycznej (jak nieoczekiwanie wnioskuje Deussen), a chyba przez ich moc skupiania, krystalizowania zwykle rozpierzchłej, amorfnej, lub mało kształtnej psyche. — Co w potocznem życiu nazywamy indywidualnością, jest zwykle niedorzecznym zlepkiem przypadkowości, któremu pozorną jednolitość i konsekwencyę w postępkach nadaje chyba tylko fizyczny temperament. Indywidualność nie „jest,“ ona się tylko za każdym razem z niesłychaną konsekwencyą „staje“ w wytężonej czynności i pracy. Linia indywidualności idzie po szczytach, dołem idzie chyba tylko linia zdrowia, temperamentu i przypadku; — tam roszczą sobie pretensye

do indywidualności chyba tylko charmeur'y towarzyskie i kukiełki sceniczne. — Tak więc podłożem prawdy są dzieła i medytacya przez swą moc wywyższania duszy ponad stan zwykły, przez strunową czujność uwagi, przez burzowe napięcie wszystkich władz ducha ku błyskawicowym chwilom intuicyi.

Bo wiedza Wedanty polega na bezpośredniej intuicyi (a n u b h a v a) identyczności własnej duszy z bóstwem.

I oto rdzeń Upaniszad:

Niema bogów, jest tylko odwieczny pierwiastek wszelkiego bytu, siła, która wszystkie światy stwarza, dźwiga i utrzymuje, wszystkie istoty przenika — jest *Braman*, „ani widoczne, ani dotykalne, ani ukształtowane, ani przemijające“... „Nie jest ani takiem, ani też innem“... „Odmienne od tego, co znamy i czego nie znamy“... „Słowa i myśli odeń nawracają nie znalazłszy go...“ Jest nawskroś duchowością, dalekie od wszelkiej personifikacyi i symbolu; nie Bóg, nie stwórca, nie istota; — nie On, lecz „to.“ — Jest, jak sól nieuchwytna w oceanie, nawskroś wszystko przenikające... „Ono nie *nie* jest,“ bo, jeśli się byt w empirycznym sensie Avidyi pojmie, jest Braman raczej niebytującem. Jest bez atrybutów.

Owa zaś siła, światy stwarzająca i przenikająca, jest identyczną z tem, co, po odpadnięciu wszelkiej ułudy, wszelkich pozorów rozpierzchłości, odkrywamy jako swe wnętrze najprawdziwsze, jako istotne dno naszego „ja,“ jako naszą s a m o ś ć [1]), nasze *Atman*.

Ta samość każdego z nas nie jest częścią, tchnieniem, czy łaską Bramana, lecz całkowicie i niepodzielnie odwiecznem i niepodzielnem Bramanem.

Ta identyczność naszej samości z boskim pierwiastkiem świata, Atmana z Bramanem, oto objawienie We-

---

1) Patrz str. 286 i 287.

danty. Wyrazami tej identyczności są uświęcone formuły: *Tat twam asi:* — to jesteś ty, i *Aham brahma asmi:* — ja jestem bramanem.

Co we wszystkich istotach się znajduje, od wszystkich odmienne, czego żadna istota nie zna, czyjem ciałem są istoty wszelkie, co wszystkiemi istotami wewnętrznie rządzi — tem jest Samość twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny.

(Wielka Aranyaka — 3, 7, 15).

Co w poznaniu się znajduje, od poznania odmienne, czego poznanie nie zna, a co ciałem jest poznania, co poznaniem wewnętrznie rządzi—tem jest Samość twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny.

(W. A. — 3, 7, 22).

Widzący a niewidziany, słyszący a niesłyszany, pojmujący a niepojęty, poznający a niepoznany. Niemasz po za nim widzącego, niemasz po za nim słyszącego, niemasz po za nim pojmującego, niemasz po za nim poznającego. Owóż to Samość jest twoja, kierownik ów wnętrzny, kierownik nieśmiertelny. — Co od niej odmienne, boleści to pełne.

Wonczas zamilkł Uddulaka, syn Aruny.

(W. A. — 3, 7, 23).

— Strumienie te, o synu mój, dążą na wschodzie w poranny nieboskłon, na zachodzie w wieczorny; z oceanu w ocean przewalają się one, oceanem stają się nawskroś.

A przecie nie wiedzą nurty owe, jakiemi rzeki były!

Zaprawdę, o synu mój, tak i stworzenia tu wszelkie nie wiedzą, kiedy powstały z bytującego, i że się w bytującem poczęły. I wszystkie one, czy się tygrysem tu zwą, lwem, wil-

kiem, dzikiem, robakiem, ptakiem, bąkiem czy komarem: czemkolwiek są, tem też i będą w nawrocie.

Czem owa nieuchwytność, owo bytowanie, z którego wszechświat się wyłania, — istność jedyna, Samość to twoja, to jesteś ty, o Swetaketu! —

— „O! dalej pouczaj mnie jeszcze, czcigodny mój!“

— Uczynię-ć zadość, — odparł [Uddałaka, ojciec Swetaketu].

(Szandogya — 6, 10).

... Owóż i dni dzisiejszych, gdy tego poznania kto dozna: „Jam jest Bramanem,“ — wszechistnienie ten osiąga; i bogowie nawet niemocni są przeszkodzić, aby go nie posiadł. Albowiem on sam jest ich atmanem.

Aliści kto innego boga [nad własną samość] czci i rzecze: „Innym jest on, innym zasię ja,“ ten nie jest wiedzący, lecz jest jako bydlę bogów swoich. I jako wiele dochowu człowiekowi na pożytek, tak i każdy człowiek bogom ku korzyści. Zasię gdy bydlę ukradną — troska to jest; stokroć większa, gdy zginie ich wiele! — Przeto niemiłe jest bogom, iż ludzie wiedzą o tem.

(W. A. — 1, 4, 10).

Pierwszym warukiem poznania, „podłożem prawdy“ są dzieła życia, — a nieomal każda Upaniszada kończy się wezwaniem do nich, — dzieła, jak się rzekło, nie w ich merytorycznej i nie w ascetycznej wartości, lecz dla ich mocy skupienia zwykle rozpierzchłej duszy. Najwyższem dziełem mędrca jest dotarcie do Atmana, zjednoczenie się za życia z Bramanem. Ta szkoła skupienia, kontemplacyi, wywyższania człowieczego ducha, przebóstwiania jego władz, poprzez dzieł szeregi, aż do dzieła najwyższego, jest szkołą Yogi. W najgórniejszym swym wyrazie:

w Upaniszadach Yogakanda, jest Yoga wyłącznie rzeczą poznania: zna jedynie stan absolutności i, nie troszcząc się o wszystko ludzkie, przecina „mieczem wiedzy drzewo życia u korzeni“ w bezwzględnem wyrzeczeniu się świata i w ascezie. Skarb wiedzy okupuje się ceną życia. W najgłębiej człowieczym swym wyrazie w Bagawad Dżycie, zdaje sobie Yoga dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa przeskoczenia zbyt pochopną wolą stanów rzetelnego uświadomienia. Zna tedy Bagawad Dżyta całą hierarchię dzieł życiowych i odpowiadające im stany poznania: im wszystkim pragnie Yoga Bagawad Dżyty wytknąć tylko kierunek ku najwyższemu dziełu i ostatecznej doskonałości, kiedy to ogień wiedzy niszczy ziarna czynów.

„... *Idź i walcz!*“ — nawołuje bóg Kriszna księcia Ardżunę zachwianego w potrzebie bratobójczej walki. — „*I wierz w swoją sprawę!*“ — woła doń, gdy wraz z przekonaniem opuściło go i męstwo: — „*nawet mała wiara strzeże przeciw wielkiej trwodze*“... „*Nikt się działaniu nie umknie, kto działań unika*“... „*Nic ten nie zdobywa, kto czynów się wyrzeka, — a żadna istota nie wytrwa w bezczynie*“... „*Czyń, co chcesz, a chciej, coś winien... Niech dzieło tylko troską twoją będzie, nie z dzieła twego dla ciebie korzyści... Nie dbaj o dzieła swojego owoce, lecz nie bądź bezczynny, — działaj!.. Czyń, coś czynić winien, co więc stać się musi... Zaś szczęście i nieszczęście jednakiej niech ci będzie ceny... Statecznością jest Yoga!*“... „*Mówią niedoświadczeni o poznaniu i czynie, jak o rzeczach odmiennych; wiedzą wszakże świadomi, że kto działaniu się oddaje, ten zbiera i poznania złote owoce... Ciężko i ciernişcie znaleźć prawą ścieżkę między tem trojgiem: czynem, poniechaniem i bezczynnością...* Kto w czynności, jaką sprawuje, pokój widzi, a we wnętrznym spokoju działanie,—ten jest prawym mędrcem... *Co się zwie wyrzeczeniem, jest oddaniem się* najwyż-

szemu dziełu... *Mędrzec w samości szuka schroniska dla siebie, staje się królem wewnętrznego państwa... Nie troska się taki, co Pismo nakazuje i czego nam wzbrania: on prawdę uznaje w samej prawdy sile! Yogę w niej osiąga i pokój zdobywa!*"...[1]).

Oto w jakiem znaczeniu używają Upaniszady słowa: dzieło.

„Wiedzieć, chcieć, ważyć się i milczeć," — to pierwsze wskazania Yogi. A że człowiek ani rzetelnie chcieć nie może, czego dobrze nie wie, ani dobrze wiedzieć, gdy w długim wysiłku rzetelnie nie chce, — jest więc Bagawad Dżyta, w tem godzeniu pierwiastków woli i świadomości, w tej skali czynów odpowiadającej stanom poznania, i w ich wytrwałem dążeniu do ideału wiedzy, najgłębiej człowieczym i najrzetelniejszym wyrazem odwiecznych dążeń ludzkiego ducha do doskonałości, — jak najszczytniejszym tych dążeń wyrazem jest Yogakanda[2]).

Obie te Yogi pragną wywyższać człowieczego ducha siłą jego własnych nurtów najgłębszych, zmagać jego zapory cielesności, zwyciężać jego wrogów wewnętrznych, a wśród nich przedewszystkiem intelektualne okowy Avidyi. Sięga tedy Yoga do najgłębszych warstw duszy, dobywając z nich ratownicze siły subjektywizmu. Niemi zwalcza okowy Avidyi, które, pętając ducha niewolniczą uległością, przykuwają nadomiar do człowieka jego wątłość przyrodzoną, jego cielesne ułomności i cierpienia fizyczne, jako sił rzeczowych splot fatalny a niezwyciężony. Przed spłaszczonym niewolnikiem empiryi wyrastają te zapory na nieprzebytą wyżynę Himalayów. Yoga zmaga

---

[1]) Podług niemieckiego przekładu Hartmanna. Lipsk 1904.

[2]) Zatrzymujemy się tu na Yodze mającej bezpośredni związek z Upaniszadami. Yoga ujęta w system przez Patandżalego, jej zboczenia późniejsze i zwyrodnienia sekciarskie — nie mogą być tu omawiane.

te przeszkody w szkole wielkiego chcenia: woli o tak długiem i mocnem natężeniu, skupienia tak bezwględnego, że one rodzić wreszcie muszą ekstazę, ponoszącą wzwyż, aż ku ideałowi najwyższego subjektywizmu, aż ku tej granicy, gdzie on sobą wszelki objekt ogarnia, aż ku Atmanowi i poczuciu się w wielkiej jedni bytu z Bramanem. I niezmordowane były Upaniszady w powtarzaniu:

We mnie powstał wszechświat cały,
Tylko we mnie wszystko trwa,
We mnie też i zanik ma,
Jam to Braman niepodzielne.

Kto w szkole Yogi dojdzie wreszcie do najwyższego dzieła, kto „dozna" identyczności swego ducha z bóstwem, samość swą odnajdzie, Boga-Ducha w sobie obudzi, przed tym opada zasłona Mayi. W wszechogarniającej jedni Bramana zatonęła nietylko złuda „świata imion i kształtów," lecz i to, co się jego osobistą duszą zwało: wszystkie powody jakichkolwiek, złych czy dobrych czynów oraz ich nieunikniona Karma. Niema dla niego wędrówki dusz i wyzwolenia nawet niema. On *już* jest wyzwolony; poznanie jest jego niebem. Żyje wprawdzie do swej *ostatniej* już śmierci, „jak się toczy koło garncarza, choć czasza już gotowa;" — żyje wszakże dla tego tylko, że, w chwili gdy nastąpiło „ocknienie," posiew dzieł ostatniego życia wydał już swój owoc fatalny: te resztki jego cielesnej egzystencyi. Świadom iluzyi świata, zna też i wartość jego przykazań i zakazów: stojący po za życiem, stoi po za złem i dobrem świata. Krzywdy przeto ludziom czynić nie będzie, bo każdy czyn taki jest owocem niewiedzy, zmysłów omamem i obłędem; jak omamem niewiedzących jest i to, co oni uważają za swoje od innych ludzi pokrzywdzenie. Wiedzący stoi ponad litością; wyzwolony jest amoralny: „ogień poznania spopielił ziarna

złych i dobrych postępków." — „Stliły się troski w duszy płomieniem wiedzy ogarniętej" —

A gdy się zatrzyma owo koło garncarskie,—dzieło poznania, czasza nieśmiertelności, dusza wyzwolonego nigdzie nie uchodzi, niczem się innem nie czyni. Pozostaje tem, czem się w poznaniu już stała, czem jest i po wieki będzie: „prapierwiastkiem rzeczy wszelkich" — odwiecznym Bramanem.

Upaniszady, powstałe na tradycyjnej kanwie Wed, będą się oczywiście posługiwały wedyckim sposobem obrazowania. Wszystkie swe barwy, całą świeżyznę i plastykę przypowieści, całą moc symbolów, cały przepych wschodniej wyobraźni zawdzięczają Upaniszady temu właśnie podłożu. Co więcej: swe najwyższe tony, swe najbardziej fascynujące piękno osiąga Wedanta właśnie dzięki tym błyskawicom między szczytami nowej nauki o bezatrybutowem Atmanie, a swem wedyckiem podłożem. Wreszcie medytacya poznawców i twórców Upaniszad odbywać się musiała w tych właśnie granicach, bo wszak nauka o samości, Atmanie, posługiwać się musi jak każda metafizyka, formami empirycznego poznania. A czynić to będą ludzie, którzy dobywają dopiero owe dusze swe ze świata wierzeń i bogów wedyckich. — Tak więc, dzięki podłożu i tłu, kanwie i barwie, dzięki przenośniom, przypowieściom, symbolom, dzięki wreszcie podkreślonemu charakterowi medytacyi oraz czucia tych ludzi, przemyci się w Wedantę wiele, bardzo wiele z dawnej wiary i, wśród mniej lub więcej jawnych sprzeczności, tak się powikła z nową nauką, że wytworzy swoistą i dominującą część Wedanty, część *egzoteryczną*.

Lecz poprzez tę dominującą część przebija raz po raz nauka, która, idąc drogą ścisłego przedstawiania swych myśli, będzie zmuszona pojęcia mające gdzieindziej grubo materyalne znaczenie naginać do swych celów, nadawać im znaczenie abstrakcyjne. Wśród wielu omówień i zastrzeżeń mówiąc, „raczej zrezygnuje z dobitności przedstawienia, niżby miała obniżyć same pojęcia." Wytworzy sobie wreszcie własną niejako mowę, wymagającą pewnego wyćwiczenia w abstrakcyjnem ujmowaniu danego pojęcia, gdy to wynika z ca-

łego toku, — pojęcia, które tuż obok może mieć znaczenie realne lub mitologiczne. Wyzbywszy się przenośni, mytogonii, przypowieści, — da głębszy i czystszy wyraz nauce o Bramanie i Atmanie, które są przecież bez atrybutów. Jest to *ezoteryczna* część Wedanty [1].

O tym mozajkowym splocie egzoterycznych i ezoterycznych pierwiastków należy stale pamiętać odczytując Upaniszady.

Wspomnijmy dla przykładu tylko. Wobec Bramana bez atrybutów, Bramana jedynie bytującego, po za którym niemasz nic, kosmologia ezoteryczna musi być prawie żadna... „Zaprawdę świat ten Bramanem był w prapoczątku. I uznało się ono: jam jest Braman. I przez to światem się stało“ (W. A. 1, 4, 10). — Lecz gdzieindziej dowiadujemy się, że „świat imion i kształtów“ stworzył Braman (uosobiony), jako czarodziej. Następuje nauka o niższem Bramanie, o *Bramie* jako stwórcy, jako duszy pojedynczej, jako Bogu uosobionym — rozsnuwa się jednem słowem cała teologia egzoteryczna. W orszaku *Bramy - Boga* jawi się nawrotem cały Olimp indyjski z groźbą siedmiu piekieł, obietnicą nieb siedmiu.

A pośród tego wszystkiego raz po raz olśniewające rozbłyski tych myśli, których zgłębianie jest podług Schopenhauera „najgodniejszem i najszczytniejszem zajęciem, jakie wogóle na świecie jest możebne!“ — przebija ten duch Upaniszad, z którym zapoznanie się jest według tegoż Schopenhauera „największym przywilejem jakim wiek nasz .... imponować może wszystkim poprzednim,“ gdyż wpływ tego ducha winien być „niemniej głębokim niż zapoznanie się z kulturą grecką w wieku XIV-tym...“

Inny przodujący umysł zeszłego wieku — ze skłonności i owoców życia biegunowo chyba przeciwny Schopenhauerowi—W. Humboldt prześcignął go jeszcze w uwielbieniu dla ducha upaniszadowego, z którym zapoznać się mógł wówczas tylko poprzez Bagawad Dżytę. Dziękował on Bogu, że mu chwili dożyć dozwolił, w której poemat ów mógł przeczytać.

---

[1]) Po książkach teozoficznych przytrafia się inne określenie egzoteryzmu: jako wulgaty religijnego systemu, k'woli wierze i dewocyi; ezoteryzmu — jako wiedzy religijnej wtajemniczonych, jako wyłącznie poznaniowej części religijnego systemu. — Oba wszakże te pierwiastki występują w nierozdzielnym splocie, a splot ten jest wynikiem tysiącoletniej ewolucyi i pojęć samych — Wiedzy Tajemnej.

Wśród Upaniszad Yogakandy powraca kilkakrotnie na synonimach oparta, przedziwna symbolika duszy indywidualnej *(hansa)* jako przelotnego ptaka i bezdomnego pielgrzyma. *Paramahansa* (najwyższy subjektywizm, — najwyższy ptak przelotny) zwie się wędrowiec, który poniechał dzieci, przyjaciół, żonę, ognisko ofiarne, Wedy nawet, — chustą lędźwie przepasał, skórę na noclegi przez ramię przerzucił, posoch w dłoń ujął i rusza w świat, dla niego teraz dopiero szeroki i wolny: ciągnie w dalekie, zagwiezdne krainy, niby te klucze dzikich gęsi *(hansa)*, których górny po niebie lot tembardziej oczy ku ich ciemnym przeznaczeniom pociąga, im bardziej te niewidzialne chmary drażnią wyobraźnię tylko gromadnym poszumem skrzydeł i tajemniczemi wygłosy podgwiezdnych po nocy wędrowców.

Ten indyjski *łabędź*, — bo tak niewątpliwie należałoby wbrew wszelkiej werbalności i oczywistemu źródłosłowowi tłómaczyć słowo *hansa* [1], — ten łabędź pozostał nam po dziś dzień jako symbol duszy indywidualnej w jej podgwiezdnych wędrówkach ku nieznanym przeznaczeniom.

W bardziej północne zabłąkany sfery, w krainy powściągliwszej wyobraźni i trzeźwiejszego wnikania w przeznaczeń przyziemne koleje, łabędź naszej baśni i legendy gubi się w bagnach tej trzeźwości i dobywa z niemej za życia piersi głos w przedzgonie pełny a rozdźwięczny, jak dzwony w mroźną ciszę. W tej pieśni łabędziej dźwięczy dla uszu północnych nuta tęsknoty za pełnią słonecznego życia.

---

[1] W całem potomstwie baśni indyjskiej, od zagadkowego ich odbicia w legendzie celtyckiej, aż po nasze klechdy i legendy, indyjska gęś przechodzi stale w łabędzia. Porównaj: Gaston Paris, Légendes du moyen âge. Tom II.

Nieznająca kresu wyobraźnia wschodu, wnikanie jej płomienne w ludzkiego ducha koleje wieczne i ku wieczności zmierzające, uświęciły w życiu doczesnem tylko swobodę, samotność, wędrówkę i medytacyę, jako prawe ognisko ducha, dla którego ognisko rodziny i ofiary porzuca dusza wiecznością niespokojna, pielgrzymia i tułacza. — Takie wnikanie przypina łabędziom skrzydła stokroć potężniejsze nad skrzydła tęsknoty...

A gdy nasz łabędź na bagnach północnych żałośnie zamarza, tamten „najwyższy ptak przelotny,“ wolności najwolniejszy ptak: — *Paramahansa* bieguna chyba sięgnął, ponad nim się wzbił i ziemię skrzydłami otoczył. A pieśń jego to głos najwyższego subjektu, pieśń wprost za wysoka na nasze uszy, prawie nie objęta naszą wyobraźnią, pieśń o stanie absolutności (Upaniszada *Kaivalya):*

Nikłości lichy pył, nikczemna ja drobina,
Jam cały przepych barw, co światy wskroś przenika,
Jam jest Bóg-Duch, prastary dusz władyka,
W olśnieniu widny im, — jam ducha zjaw jest czysty!

Moja bez ramion zachłanna potęga
Bez oczu widzi i słyszy bez ucha.
Jam jest wiedzący, za mną oćma głucha:
Nie będzie wiedzącego aż po wieczne czasy.

Przez Wedy wszystkie moja twarz przeziera,
Bom całe poznał Wed świętych ogromy.
Złu-dobru obcy, jam już nieznikomy,
Bez ciała, narodzin i zmysłów mamidła.

I zczezła dla mnie ziemia, przepadły jej morza,
Zgasł ogień, zmilkł wicher i znikły przestworza.

Tak w serca głębiach jednię kiedy górną
W sobie kto odkryje, czystą a bezwtórną,
Wolen od bytu i niebytu treści,
Wszechwidztwo ducha samością obwieści!

W SPRAWIE PRZEKŁADU.

Przy odczytywaniu Upaniszad należy przedewszystkiem pamiętać o ciągłem przeplataniu się obu pierwiastków: egzoterycznego i ezoterycznego. Jest w tem największa trudność dla tłómacza, zwłaszcza że Sri Sankara w swych komentarzach nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z tych dwóch prądów Wedanty: podwójnej kosmologii, teologii, psychologii i eschatologii. Nie zmniejsza się ta trudność bynajmniej, gdy ma się do czynienia z kilku przekładami w europejskich językach.

Ezoteryczną ewolucyę odbywały i bogi i pojęcia Wedanty, mające dziś po kilka znaczeń, często nawet „przechodzących niejako jedne w drugie.“ — Dla przykładu: Atman znaczy: tchnienie, oddech, zbiorowe pojęcie sił życiowych, dusza indywidualna, dusza świata, zasada świata, samość. — Purusza znaczy: człowiek, osoba, postać w sercu człowieka (wielkości cala), duch, człowiek w słońcu, istota, wreszcie: subjekt poznania.

Więc każdorazowe komentowanie tych pojęć, przy bezwiednem pochylaniu się tłómacza ku egzoteryzmowi, czy ezoteryzmowi, będzie wyciskało swe piętno na przekładzie. Tłómacz niemiecki będzie miał przytem tendencyę do pochylania wszystkiego ku dyalektyce metafizycznej niemieckiej; uczony kapłan bramiński, tłómaczący na język angielski, będzie się skłaniał niewolnie ku dogmatyce bramińskiej, lub oddawał każde np. Atman czy Purusza—nago, jako Atman i Purusza, odsyłając po każdej sloce do kilkustronicowych

labiryntów komentarza Sri Sankary, lub, co gorsza, do współczesnych komentatorów Sruti („Pisma“).

Jak, zrodzone ztąd, duże rozbieżności między przekładami dają się jednak w większości wypadków odcyfrować przy głębszem wniknięciu,—patrz uwagę do sloki 4-tej *Isy*.

Z jednego więc przekładu korzystać nie można. Wielokrotnie, dla najściślejszego oddania treści, a zarazem najintensywniejszego uwydatnienia ducha, należało się dobrze zoryentować w komentarzach. Ku temu służyły:

S. S.) — Wstępy do każdej Upaniszady i komentarze do każdej sloki Sri Sankary w wydaniu Upaniszad Seshacharri;

T. T.) — takież komentarze Tookaram Tatya;

wreszcie dwa źródłowe analityczne dzieła Deussena:

D. W.) — „*Das Sistem der Wedanta nach dem Bramasutra des Badarayana,*“ — oraz

D.) — „Die Philosophie der Upanischad's“—(jako II część niedokończonej „Geschichte der Philosophie“).

B.) — Bhagavad-Gita, przekład niemiecki F. Hartmanna, Lotus-Verlag.

Do przekładu zaś służyły:

D.) — *60 Upanischad's des Veda* — Deussena. Lipsk 1897.

S.) — The Upanishads (Isa, Kena, Mundaka), w tłómaczeniu Sitarama Sastri. Wydanie Seshacharri. Madras 1898.

R.) — *The twelve principal Upanishads* — przeważnie w tłómaczeniu *Roera;* wydanie i komentarze *Tookaram Tatya.* Bombay 1891.

M. J.)—The Upanishads—w tłómaczeniu i komentarzach G. R. S. Mead'a i Jagadisha Chandra Chattopadhyaya. Londyn 1896.

Upaniszady, będąc najgłębszą filozofią praaryjską, są zarazem wielkim poematem, a więc posługują się przedewszystkiem przypowieścią, symbolem, obrazem. Jakąż bezdusznością byłoby werbalne, słowo w słowo, oddawanie tych rzeczy? Czy je w ten sposób wogóle można oddać? Jakaż bezdusznością—wyłuskiwanie treści filozoficznej z symbolu i dawanie jej nago w suchej dyalekty-

ce? Jakaż korzyść z takiego trupa, spreparowanego bodaj najdoskonalszym aparatem znajomości Sanskrytu przy pomocniczem narzędziu Petersburskiego Słownika? Czy komentarze przeplatające tekst nie są scholastyczną wodą, w której topi się za każdym razem bezpośrednia sugestywność upaniszadowego ducha?

Te względy decydowały o charakterze przekładu i o formie, w jakiej go ogłaszamy. Tylko najniezbędniejsze objaśnienia podane są w krótkich posłowiach do każdej upaniszady. Żmudne wczytywanie się w cztery aż przekłady zmierzało do najściślejszego zdania sobie sprawy z istotnej treści każdego ustępu. Każda rozbieżność u tłómaczy przedyskutowana dla siebie przy pomocy komentarzy. Ważniejsze lub niezrozumiałe niezgodności u tych 4-ch tłómaczy będą podkreślone w posłowiach.

Ciężko rytmiczny i przypadkowo tylko rymowany czterowiersz Deussena (trzynastozgłoskowy tub jedenastozgłoskowy dla sloki dłuższej, ośmio—a nawet siedmiozgłoskowy dla sloki krótszej), oraz rytmiczna proza w miejscach oryginału niemetrycznych, — oddane zostały wierszem i prozą polską jak poniżej. Francuzcy i angielscy tłómacze przekładają prozą, nawet po słowach: „głoszą o tem wiersze.“ — Czy sloki upaniszadowe, wobec ich powstawania w przeciągu lat tysiąca, wobec rozmaitej raz po raz ich długości, mają ogólny metryczny charakter, decydować mogą o tem znawcy sanskrytu. Żaden z europejskich tłómaczy nie sili się na oddanie tego charakteru.

Wreszcie uwaga może zbyteczna: — za Szujskim i Krasnosielskim odróżniam: 1) bóg Brama, 2) boski pierwiastek Braman, 3) członek kasty braminskiej—Bramin. W Upaniszadach spotyka się jeszcze słowo: Bramana oznaczające mędrca, który zdobył wiedzę o Bramanie, oraz Bramana(m) jako tytuł rozdziałów upaniszadowych. Mówiąc o Bramanie, jako o pierwiastku dalekim od wszelkich możliwości uosobienia i teistycznego wykładu, używamy celowo rodzaju nijakiego. Piszemy: upaniszadow*e* Braman, podobnie jakbyśmy pisali: parmenidesow*e* ὄν.

Pozostaje wytłomaczyć się z użycia słowa „samość“ — Niepopodobna tu zapuszczać się w rozważanie nad stosunkiem „das Selbst“ do „das Ich,“ upaniszadowej samości — do jaźni Fichtego, Schlegla i Hegla. Nas obchodzą tu granice słowa polskiego i szukać tych granic należy u polskich filozoficznych pisarzy.

Czyż trzeba zastanawiać się tu nad wykluczeniem słów tak dalekich w znaczeniu jak „świadomość“ i „samowiedza?“ Niepewnych odsyłam wprost do Struvego: „Wstępu krytycznego do filo-

zofii" str. 171. — Już niemieckie „das Selbst," angielskie „the self of the soul," wskazują na konieczność innego słowa niżli jaźń. — Trentowski, — którego „jaźń" najbardziej zbliża się do pojęcia „das Selbst," lecz mimo wszystko „bezwzględną" dlań nie jest, — pisze o istocie jaźni; Kremer w temże znaczeniu o „duchu będącym osobowością bezwzględną; nowsi pisarze o jaźni trascendentalnej.—Czy samoistotność nie odpowiadałaby najbardziej pojęciu „das Selbst," gdyby nie pewna ociężałość terminu i może tautologia zawarta w samem słowie (Selbstwesen, — tłómaczyłoby się na niemiecki)? — Proszę wyobrazić sobie „samoistotność" w prozie rytmicznej! w wierszu! — Użyte przez księdza Krupińskiego w przekładzie „Historyi filozofii" Schweglera słowo sobistość nie wydaje mi się szczęśliwem. Norwida na wzór jestestwa stworzone samstwo naraża się na plaski dwuznacznik.

Z tych względów zdecydowałem się użyć słowa samość. Gdy ktoś, porając się w pracy z pojęciem „das Selbst," „the self of the soul," znajdzie słowo zręczniejsze, posiadające zarazem pożądaną zwięzłość i podatność rytmiczną, wówczas „samość" z kolei rzeczy padnie. Nie uczyni jednak tego wobec odruchów opieszałego nawyku w sprawach językowych, kaprysów cudzego ucha, najmniej zaś wobec tak pochopnego u nas pouczania innych — grymasem i pierwszym lepszym pomysłem.

Szczupłość miejsca w ostatnim tomie „Chimery" pozwala tylko na umieszczenie Keny, Isy i fragmentu Wielkiej Aranyaki. Może szczęśliwe okoliczności pozwolą kiedyś na ogłoszenie: Kathy, Mandukyi, Mundaki, Paramahansy, Kaivalyi oraz części Szandogyi.

UPANISZADA KENA. Z SAMAWEDY.

BRAMANOWI CZEŚĆ I CHWAŁA!

OM TAT SAT.

1. Niech Braman roztoczy opiekę swą nad nami, a niech nas uraduje. Wspólnego imajmy się dzieła. Niech tajemnice Promienistego Bramana wspólna przenika praca, a niechęć wzajemna niech omija nas.

Om. Pokój! Pokój! Pokój!!

2. Niech ramię moje, tchnienie, oko, ucho, siły me i wszystkie me władze trwają w dzielności, Wszystko jest Bramanem Upaniszad. Obym nigdy nie wyparł się Bramana i oby Braman nigdy nie opuścił mnie. Oby władze me wszystkie nigdy nie wyparły się Bramana i oby Braman nigdy nie opuszczał ich. Oby wszystkie cnoty Upaniszad spoczywały we mnie, objawiając Atmana, oby we mnie spoczywały.

Om. Pokój! Pokój! Pokój!!!

TU POCZYNA SIĘ UPANISZADA:

1. „Czyja moc wyłoniła człowieczą moc ducha?
A pierwsze życia tchnienie — tchnienież było czyje?

Za czyją wolą mowa w ustach naszych żyje?
Kto wzrokiem włada oka, słuchem rządzi ucha?"

2. „Słyszenia słuchem jest i myślą jest myślenia.
I okiem oka wraz, każdego tchnieniem życia.
Z zmysłowej wiedzy, jak z fałszu spowicia,
Dobywa mędrzec się i kona nieśmiertelny."

3a. „A że oko tam nie wnika,
Że myśl nawet dojść nie zdoła,
Poznania kres, — nie pojmę zgoła:
Jakież tu, mistrzu, pouczenia?"

3b. „Od znanego, nieznanego
Wiedze głębsze, prawdy czystsze
Przekazali nam pramistrze,
Mędrcowie o nich pouczali. [1])

4. Czego mowa nie wypowie,
Przez co mowa jest mawiana,

---

[1]) Ściślej: Od znanego, nieznanego
Nawskroś inne w każdem słowie,
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali.

Czcij to w sobie jak Bramana,
Nie owo zaś, co tłumy czczą.

5. Czego myślą nie pomyśli,
Przez co myśl jest pomyślana,
Czcij to w sobie jak Bramana,
Nie owo zaś, co tłumy czczą.

6. Żadne oko gdzie nie dojrzy,
Zkąd moc wzroku nie dojrzana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś, gdzie tłum go czci.

7. Żadne ucho gdzie nie słyszy,
Zkąd moc słuchu nie słyszana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś. gdzie tłum go czci.

3. Źródło woni gdzie bezwonne,
Woni woń nie wyczuwana,
Tam jedynie znaj Bramana,
Nie owdzie zaś, gdzie tłum go czci.“ —

CZĘŚĆ WTÓRA.

9. „A jeśli mniemasz, że [tak oto czcząc Bramana] poznałeś go nawskroś, ułudą jest i to. Zaiste formy jego przejawów poznałeś zaledwie: co w nim jest z ciebie [jako podmiotu czczącego] i co z niego wśród bogów [jako przedmiotu czci]. Przeto dalej wnikać winieneś.“

10. „Choć nie mniemam, że pojąłem,
Ja nie wiem też, żem niewiedzący,

I tak w niewiedzy swej tonący
Nie pozna nikt, że nie zna go."

11. „Kto poznał je, ten trwa w niewiedzy,
Kto nie wie wciąż, wie je wszędzie,
Poznający ciemnym będzie,
Oświeconym niewiedzący.

12. W kim się ocknie, wie je w sobie
I przekracza kres mogilny,
Że sam niem jest — tem on silny,
Że o tem wie — tem nieśmiertelny.

13. Kto znalazł je, ten prawdę odkrył w łonie,
Bramana widzi w każdym tworze,
Gdy inny idzie w klęsk bezdroże,
On w wieczność wkracza wyzwolony."

CZĘŚĆ TRZECIA.

14. Wywalczył raz Brama zwycięztwo dla bogów nad demonami. I chełpili się bogowie z tego zwycięztwa, myśląc: „Nasze jest zwycięztwo, nasza chwała."

15. Co usłyszawszy ujawnił się im. Aliści nie poznali go, mówiąc: „Kim jest ów Wielki Duch?"

16. I rzekli do Agni: „Przeniknij, o istot znawco, kim jest ów Wielki Duch." Odparł: „Uczynię to."

17. I ruszył nań. Przemówi tedy Brama: „Kim jesteś ty?" — „Jam jest Agni, istot znawca, Jatâ-weda."

18, „Skoroś nim jest, jaka w tobie moc?" — Rzecze: „Wszystko na ziemi spopielić potrafię."

19. Położy tedy Brama przed nim źdźbło i rzecze: „Spal i to" — Rzucił się na nie całą przemocą, aliści nie potrafił go spalić. Nawrócił tedy i rzekł: „Nie zdołałem przeniknąć, kim jest ów Wielki Duch."

20. Rzekli tedy do Vayu: „Zbadaj ty, o Vayu, kim jest ów Wielki Duch.“ Odparł: „Uczynię to.“

21. I ruszył nań. Przemówi tedy Brama: „Kim jesteś ty i jaka w tobie moc?“ — „Jam jest Vayu, odparł, jam Mâtarisva [w łonie matki—przestrzeni powietrznej—nabrzmiewający].

22. „Skoro-ś nim jest, jaka w tobie moc?“ Rzecze: „Wszystko na ziemi porwać zdołam.“

23. Położy tedy Brama źdźbło przed nim i rzecze: „Porwij-że i to.“ Narzucił się na nie z całą przemocą, aliści nie potrafił go porwać. Nawrócił tedy i rzekł: „Nie zdołałem przeniknąć, kim jest ów Wielki Duch.“

24. Rzekli tedy do Indry: „Zbadaj, o Najpotężniejszy, kim jest ów Wielki Duch.“ Odparł: „Uczynię to.“ I ruszył nań. Aliści znikł przed nim.

25. I ujrzał na temże miejscu niewiastę o wielkiej piękności, imieniem Uma, córę Himalayi [personifikacya Wiedzy]. Rzekł tedy do niej: „Kimże jest ów Wielki Duch?“

CZĘŚĆ CZWARTA.

26. Odrzecze mu: „Zaiste Braman to jest! Który zwycięztwo dla was wywalczył; — a onem się chełpicie.“ I wonczas poznał, że Braman to był.

27. I zaiste, bogowie ci: Agni, Vayu oraz Indra, wyniesieni są ponad innych bogów, jako że oni najbliżej przeniknęli do Bramana. Indra zaś pierwszy poznał, że Braman to był.

28. Jest tedy Indra ponad innych wyniesiony bogów, jako że on najbliżej do Bramana przeniknął jako że on pierwszy poznał iż Braman to był.

29. O tem i ta jeszcze przypowieść. Że błyska jako błyskawica, że się jawi i znika w oka mgnieniu: — owóż to jest obraz Bramana wobec Bogów.

30. Oraz ta wobec duszy. Jak nagle duch wzbija się do Bramana, jak nagle go ogarnia, przypomina i pożąda,—owóż to jest obraz Atmana wobec nas.

31. A zwie się to imieniem: „Ku - niemu - tęsknoty;“— tem imieniem czcić go też należy. Kto tak oto wie, ku temu tęsknią wszystkie istoty.

32. A gdy mi rzeczesz: „Naucz mnie upaniszady,“ odpowiem ci: „Nauczyłem cię upaniszady, albowiem wiedza tajemna o Bramanie objawioną ci była.“

33. Oddanie się, skupienie i dzieło: owóż jej podstawy. Wedy jej rozgałęzieniem a prawda oparciem.

34. Zaiste, kto prawdę ową tak oto poznał, złu dostępu broniący, na nieznikomości się wspiera. W Bramanie nieprzezwyciężonem, na światów podniebnych bezkresie, w wieczności trwa, — w wieczności trwa.

Kena. — Ta drobna i późno powstała Upaniszada może słusznie stanąć na czele innych, jako dająca najwymowniejszy wyraz dojrzałej już wiedzy upaniszadowej o *Bramanie*. W swej zwartej, aż nazbyt skrótowej formie, wymaga bardziej, niż inne, dopełnienia komentarzowego.

Wstęp jest modlitwą do Bramana całkowicie w egzoterycznych ramach. Podobną modlitwą rozpoczyna się wiele Upaniszad; po niej następują słowa: „Tu poczyna się Upaniszada.“ Podając w *Kenie* tę modlitwę dla okazania charakteru Upaniszad, opuszczamy ją w Upaniszadach następnych śladem *D.* i *R.*

„Święta“ głoska *Om* jest symbolicznym zespołem całej treści Wed, symbolem medytacyi o Bramanie; *tat* (to?) oznacza w Upaniszadach Bramana; *sat* znaczy „bytujące.“ Takie jest słownikowe znaczenie uświęconej formuły: *Om tat sat.* — Jej żywego ducha można poniekąd wyłuskać. W Rigwedzie, gdzie słowo Braman przytrafia się jeszcze rzadko, oznacza ono zaledwie „inspiracyę nabożnego skupienia“ — „wznoszenia się woli ponad wszystko osobiste i zmienne ku rzeczom wiecznym i boskim.“ Zmieniło się z czasem pojęcie Bramana: egzoterycznie stało się ono bóstwem, ezoterycznie jednią, wszakże charakter tej medytacyi, do której wzywa głoska *Om,* pozostał ten sam. — Jest więc *Om tat sat* może analogicznem do *oremus!* lub *sursum corda!* zwróconem wszakże do poznawczego ducha. W tej medytacyi, usymbolizowanej w głosce *Om,* wznosi się duch ponad wszelką czasowość i indywidualność — „odrywa się,“ „urasta“ (Upaniszada Katha) ku Bramanowi w bycie.

Część I. W formie dyalogu między uczniem i mistrzem, powolne przejście od Bramana, jako przedmiotu czci, do nauki o bezatrybutowem Bramanie; — przejście powolne, rozpoczynające się od twardo wypowiedzianego sceptycyzmu ucznia, a kończące się ostrzeżeniem, że nawet w uznaniu Bramana jako źródła sił życiowych i duchowych jest tylko stosunek podmiotu czczącego do przedmiotu czci; że i to są tylko właściwości, jakiemi wierzący obdarza swego Boga.

Sloka 2-ga u *D.* mętnie:

Des Hörens Hören und des Denkens Denken,
Der Rede Reden—sie ist der Hauch des Hauchs nur,
Des Auges Sehen—der Weise lässt sie (!?) fahren
Und wird, hinscheidend aus der Welt, unsterblich; —

u *S.*: It is the ear of the ear, mind of the mind etc. *Being disabused of the false notion,* the wise etc...; —

u *M.* i *J.*: ... Departing from the world, *emancipate* the wise etc....; —

u *R.*: He who is the ear of the ear... is verily the life of the life... The wise who have *abandoned,* when departing etc....

N i e c h t o s ł u ż y z a p r z y k ł a d r o z b i e ż n o ś c i t ł ó m a c z e ń i n i e m o ż n o ś c i p o l e g a n i a w y ł ą c z n i e n a j e d n e m. Z komentarzy *T. T.* dowiadujemy się ogólnikowo: mędrzec poniecha ułudę indywidualnej egzystencyi. Wyraźniej *S. S.*: mędrzec wyzwala się z tej wiedzy, którą napomknięciem przeciwieństwa dopuszczają dwa pierwsze wiersze, z wiedzy zbudowanej na widzeniu, słyszeniu, mowie, z wiedzy zmysłowej, która jest „fałszem," „oćmą," „mroków spowiciem" (wyrażenia częste w innych upaniszadach).

Patrz zresztą zakończenie komentarza do części drugiej.

Część II. Mówi o nieosiągalności Bramana na drodze poznania. Najwymowniej powiada to w krańcowej i zawrotnej sprzeczności *sloka 11,* cytowana też często, jako charakterystyczna rzekomo dla Upaniszad, i zaopatrzona w nieskończone labirynty braminskich komentarzy. Można ich sobie oszczędzić, zwróciwszy się po rozwiązanie wprost do sloki następnej. Trudny do wyłuskania sens owych długich komentarzy sprowadza się do tego, że: zwykłą wiedzą ogarnięte Braman nie jest bynajmniej poznanem, i naodwrót: tą wiedzą ogarnąć się niedające nie jest przeto niewiadomem. Wiemy o niem „wiedzeniem niezdefiniowanem" *(T. T.).* „Braman, jako natura (?) wszelkiego myślenia, jako samo poznanie, ogarniętem być może tyl-

ko wówczas, gdy rozwieje się idea indywidualnej egzystencyi." *(T. T.)*. Najprościej wypowiada to Wielka Aranyaka: „Nie poznasz słuchacza słyszenia, widza widzenia." Innemi słowy: niepoznawalnem jest Braman, jako istotny subjekt poznania.

Sl. 12. Pozna Bramana ten, w kim się ono *ocknie* (jako samość), w poczuciu, iż on sam niem jest. Ocknie się, „bowiem logiczna dyskusya nie wprowadza w ten stan ducha" *(S. S.)*, ani nasze drogi i ścieżki poznania. Mędrzec dobywa się z ułudy wiedzy zmysłowej jak z oćmy, wyzwala się z ułudy „jaźni," odkrywa to słyszenie słyszenia, to „słońce światów" (Bagawad Dżyta) w swej „samości," w swem Atmanie.

Część III. Nawskroś egzoteryczna i prawdopodobnie znacznie wcześniejszego pochodzenia. Mówi o wyższości Bramy nad siłami natury uosobionemi w bogach: Agni, Vayu, Indrze.

Sl. 25. Właściwie Uma Himavatim. „Himavatim znaczy tyleż, co córka Himalayi, towarzyszka Sziwy." *S. S.*

Tłómaczę „Wielki Duch" za *S.*; u *D.* „Wunderding (?); u *M. J.* „wonder"; u *R.* „worthy of adoration."

Epilog. *Sl. 29.* Symbol „pozaczasowości" Bramana w nieuchwytnej nagłości błyskawicy. „Oto symbol Bramana wobec bogów", — ma znaczyć: w naturze.

Sl. 30. Takiż symbol Bramana w nas samych (nieuchwytna bystrość myśli).

Obie te sloki u angielskich tłómaczy prościej niż u *D.*

Sl. 33. Oddanie się bezkorzystne dziełu, jako konieczny warunek zdobycia prawdy — myśl wielokrotnie powracająca w Upaniszadach, a znajdująca najwymowniejszy swój wyraz w Bagawad Dżycie. (Myśl tę zamącają obaj teozoficzni tłómacze, podając szersze pojęcie Karmy). U *D.* wzięło się zkądciś w dodatku „Busse"—pokuta, pojęcie obce późniejszym Upaniszadom (prócz tu i owdzie w Yogakandzie). Wyraża się o niej *S. S.*, za Bagawad Dżytą, z pogardą, jako o bezcelowych zabiegach. Asceza upaniszadowa nie ma w sobie śladu pokuty; jest wprost drogą mędrca, środkiem najgłębszego wniknienia.

UPANISZADA ISA. Z JADŻURWEDY BIAŁEJ.

1. W Bogu zatop wszechświat cały
I wszelką ziemi zanurz treść.
Bo życie rozkosz zwykło nieść
Nieżądnym mienia i rozkoszy.

2. Tak żyjąc dziełu swemu k'woli,
Sędziwych choćbyś dożył lat,
Za życiem twem nie pójdzie w ślad
Karząca Karma, czynów zmaza.

3. Narodzin naszych przeznaczenia
W szatańskich mroków toną łonie,
Po śmierci cię ta oćma schłonie,
Gdy ducha mordem unicestwisz.

4. Jedyne jest, bez ruchu trwa, a myśl tak nie jest wartka,
Gdy weźmie lot, wszem bogom wraz ten lot jest niedościgły,

W spokoju cisz biegaczy huf przegania rychło śmigły,
Prawody nurzał Wichr w odwiecznym tym odmęcie.

5. W spoczynku swym — wciąż bez wytchnienia,
W niewidnej dali — tuż obok spoczywa,
I choć wszystkiemu wnętrznem bywa,
Nazewnątrz rzeczy każdej trwa.

6. Zaś kto wszelkie tu istoty
W samości swej odkryje na dnie,
A siebie w każdem życiu zgadnie,
Nie zazna lęku, zbędzie troski.

7. Zaiste, gdy duch świadomego
Ze wszystkiem stał się wskróś jednaki,
Obłędnej troski gdzież majaki
Dla niego, który jednię zoczył?

8. Świat przenikający, bez ciała i mięśni znamienia,
Duch olśniewający, nad zła i zmysłów odmęty,
Wszechogarniający, jasnowidz, a z siebie poczęty,
Każdej istocie odrębne wyznaczył on cele.

9. Avidyi ślepe hołdowanie
W głęboką, mroczną wiedzie głuszę,
Lecz w głębszą oćmę grąży duszę,
Kto Vidyi ślepą cześć oddaje.

10. W inny wiedzie świat Avidya,
W inny Vidya w każdem słowie,
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali [1]).

11. Gdy zaś Vidyę i Avidyę
Wskróś przenikną ducha oczy,
Przez nie społem duch przekroczy
Wyzwolony w nieśmiertelność.

12. W mroki wiedzie, kto poucza:
„Świat się stawa ku nicości."
Wieksza oćma w wierze gości,
Że do czegoś świat się stawa.

13. Od stawania się, zaniku
Wręcz odmienne w każdem słowie;
Tak uczyli nas mędrcowie,
Pramistrze tak nam przekazali [2]).

14. Gdy stwarzanie, znicestwianie
Wskróś przenikną ducha oczy,

---

[1]) Lub też: Ponad Vidyę i Avidyę,
Wiedze głębsze, prawdy czystsze
i t. d. jak w Kenie, sl. 3b.

[2]) Lub też, jak wyżej:
Od stawania się, zaniku,
Wiedze głębsze, prawdy czystsze etc. etc.

Przez nie społem duch przekroczy
Wyzwolony w nieśmiertelność.

15. Jak złotą tarczą przysłonięte
Jest prawdy łono tajemnicze.
O rozchyl słońce twą przyłbicę,
Niech, czciciel, ujrzę tajnie święte.

16. O Słońce, niebios wędrowcze ty samotny, wszechwidzu jedyny, o Yama, szafarzu sprawiedliwości, o Boże promienny, Pratwórcy synu, rozchyl promienie swe i w siebie wchłoń przepych twój ognisty!.. Widzę już, widzę postać tę przejasną: Istota w wnętrzu twem — to jestem ja.

17. A teraz oddech mój niech wchłonie tchnienie wszechświat przenikające, Tchnienie przedwieczne; a ciało to niech w popiół się rozsypie.

OM!

O duchu pomnij, na dzieło swe pomnij!
O duchu pomnij, na swe dzieło pomnij!

18. O Agni, wiedź-że nas, najprostszą wiedź nas z dróg
Do końca naszych dzieł, dróg wszelkich świadom Bóg!
Od krętych ścieżek zła, zdaleka racz nas wieść.
Wszak tobie, Agni, w dań najwyższą niesiem cześć.

Isa jest również późnym, dojrzałym owocem Wedanty. W swej nauce o **Atmanie** stanowi odpowiednik i dopełnienie Keny; wraz z nią może rozpoczynać szereg Upaniszad.

Sl. 1.—podobnie jak w Kenie,— egzoteryczna. W Bogu (jako Jedni) zatop wszechświat cały (ściślej: Bogiem pokryj).

Sl. 4.—„Prawody nurzał Wichr w odwiecznym tym odmęcie." — Prawody (âpas), pod ziemią leżąca podstawa i rodzicielka ziemi, dźwigająca w sobie tworzywa życia *(D. W.)*. *Windgott*—Wichr—słuszniej Pratwórca (Prajapati) jako wiatr. Innem imieniem: Mâtarisva (patrz Kena 21), oraz przydomkiem: „władca atmosfery." — Ztąd tak odmienne tłóm. *R.*: Władca atmosfery przechowywał w niej (samości) tworzywa życia (vital actions). — Oczywiście jest to utrupienie symbolu przez wyracyonalizowanie treści.

Sl. 8. — Odskok nawrotowy do 4 i 5.

Sl. 9, 10, 11.—Patrz, co w ogólnym wstępie mówiło się o Vidyi i Avidyi (również Kena 11, 12). Stosownie do tamtych objaśnień i ściśle za *D.* i *R.*, w odchyleniu od mniej jasnych *S.* i *M. J.*

Sl. 12, 13, 14.—Według *S. S.* i *D. W.*, połemika przeciwko materyalistycznemu systemowi „Sankya," przeciw „stawaniu się i zanikowi" rzeczy wszelkich w przeciwieństwie do „bytu," pojęcia absolutnego, rzeczy samej w sobie, idei, — jakiemi są Braman-Atman.

15, 16. — Oderwany od całości *Epilog*, prawdopodobnie modlitwa konającego do boga **Puszana** (Słońca), aby okazało „prawdę," „istotę bytu."

16. — **Purusza**, — stosowniej **istota**, zamiast jednego z licznych synonimów. Człowiek (Mann) niezręcznie u *D.*; „The same soul," zbyt ogólnikowo u *R.*; „form" u *M. J.* —

Yama — bóg śmierci; szafarz sprawiedliwości, w przeznaczaniu losów nowych narodzin.

17. — Zwykłe w Upaniszadach nawoływanie do dzieła życia.

18.. — Prawdopodobnie modlitwa otaczających konającego do Agni — boga ognia.

UPANISZADA WIELKA ARANYAKA. Z JADŻURWEDY BIAŁEJ. (FRAGMENT).

TRZECIE BRAMANAM IV-go CZYTANIA.

1. Przyszedł raz Dżajnawalkya do Janaka, króla Widehów, z postanowieniem niemówienia. Zdarzyło się wszakże, iż, czasu dawnej ich rozmowy przy ogniu ofiarnym, obiecał był Dżajnawalkya Janace dar; — za dar ten obrał teraz król odpowiedź na jedno pytanie; zezwolił na nie Dżajnawalkya. Rozpoczął tedy król królów temi słowy:

2. „Dżajnawalkya,— rzekł — co służy człowiekowi [duchowi] jako światło?" — Słońce światłem mu jest, o królu królów, gdyż przy słońca świetle spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca.—„Tak jest, o Dżajnawalkya.

3. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?" — Naonczas miesiąc światłem mu jest, gdyż przy świetle miesiąca spoczywa on, cha-

dza, robotę sprawuje i w progi powraca. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

4. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, gdy miesiąc się ukrył, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?“ — Naonczas ogień światłem mu jest, gdyż przy świetle ognia spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

5. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, gdy miesiąc się ukrył, ogień zgasł, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?“ — Naonczas mowa światłem mu jest, gdyż przy świetle mowy spoczywa on, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. Przeto, o królu królów, gdy kto dłoni własnej w oćmie nie dojrzy, a głos zkądkolwiek dolatuje, na głos ten kieruje on swe kroki. — „Tak jest, o Dżajnawalkya.

6. Aliści gdy słońce zaszło, o Dżajnawalkya, i miesiąc się ukrył, ogień zgasł, głos przycichł, cóż wtedy człowiekowi jako światło służy?“ — Naonczas samość, światłem mu jest, gdyż przy jej świetle spoczywa człek, chadza, robotę sprawuje i w progi powraca. —

7. „Czemże jest owa samość?“ — Pośród sił życia poznaniem jest ona z natury swej, wnętrznie w sercu jaśniejącym duchem. Jednakim wciąż pozostający, oba nawiedza on światy. Zda się rozważać, zda się w dali krążyć; a gdy snem się stał, porzuca ten świat istnień śmiertelnych.

8. Albowiem gdy rodzi się duch ten, gdy w ciało wstępuje, do zmysłów przykuty bywa. Gdy opuszcza ciało umierające, porzuca też i zmysły.

9. Dwa są stany ducha: stan teraźniejszości i stan innego świata; stanem pośrednim jest trzeci stan snu. W stanie trzecim przebywając, wgląda on w oba tamte stany: teraźniejszości i innego świata. I w miarę swych dążeń, dążeniom swym w odpowiedź, ogląda je obie: niedolę i błogość.

Gdy zasypia, wówczas z tego świata, zawierającego wszystko, budulec swój czerpie, sam go przysposabia i sam

gmach wznosi, siłą swego blasku i przejawu; a gdy tak oto śpi, wonczas duch ów sam sobie światłem jest.

[O ŚNIENIU.]

10. Niemasz tam wozów, uprzęży i dróg, lecz wozy, uprzęże i drogi on sam sobie stwarza; niemasz tam błogości wesela i ochoty, lecz błogość, wesele i ochotę on sam sobie stwarza; niemasz tam studni, stawów i rzek, lecz studnie, stawy i rzeki on sam sobie stwarza, — albowiem twórcą jest on.

11. Głoszą o tem wiersze owe:

Sennego ciała rzuciwszy powłokę,
Niesenny, stwarza śnień własnych majaki;
Zażywszy siebie, powraca, jak ptaki,
Złocisty duch, wędrowiec ten jedyny.

12. Nizinne gniazdo życiu gdy zawierzy,
Ponad nie wzbity, wraz sięga zaświata:
W swą nieśmiertelność tak we śnie ulata
Złocisty duch, wędrowiec ten jedyny.

13. A ptak ten błędny zmienia liczne razy,
Jak bóg, kształt zjawu w tych śnieniach poczęty:
Oto miłośnie igrając z dziewczęty,
Wnet niemy groźne ogląda przerazy.

14. Igrzysko tylko widoczne tu bywa, zaś jego nigdy człowiek nie ogląda. Powiada się tedy: „nikt nie pojmie Wszechprzenikającego.“ Powiedziane jest też: „Nie będziesz

go budził gwałtownie, albowiem trudnym do uleczenia bywa, do kogo on nie nawrócił." — Powiadają również: „jest dlań [sen] także siedzibą jawy, albowiem co na jawie widzi, i we śnie też ogląda." Aliści tak nie jest, albowiem we śnie samojaśniejącem światłem duch się staje. — „O, czcigodny, tysiąc [krów] ci daję, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

15. — I gdy tak oto w pełnem ukojeniu [snu głębokiego] błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — do stanu śnienia. A cokolwiek w tym stanie ogląda, nietknięty przez to bywa, albowiem ducha tego nie ima się nic. — „Tak jest, o Dżajnawalkya! Tysiąc [krów] ci daję, o czcigodny, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

16. — A gdy tak oto w śnieniu błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — w stan jawy; zasię cokolwiek w tym stanie ogląda, nietknięty przez to bywa, albowiem ducha tego nie ima się nic. — „Tak jest, o Dżajnawalkya. Tysiąc [krów] ci daję, o czcigodny, — mów, co ponadto wyzwoleniu służy!"

17. — A gdy tak oto na jawie błogości i wędrówki zażył, zło i dobro oglądał, powraca — zależnie od ujścia i miejsca, jakie był opuścił, — do stanu śnienia.

18. I jako wielka ryba wzdłuż obu pobrzeży się snuje, wzdłuż prawego i lewego brzegu, tak i duch ten szlakiem obu stanów podąża: snu i jawy [przez oba stany nietknięty].

[O ŚNIE GŁĘBOKIM.]

19. Lecz jako orzeł i jastrząb, w przestrzeniach powietrznych znużone krążeniem, złożywszy sięgi, w gniazda

zapadają, tak też zapada i duch w ów stan, w którym żadnych nie odczuwa pożądań i żadnych snów nie ogląda.

20. Albowiem są [w ciele człowieczem] żyły zwane Hitah, cienkie niby tysiąckrotnie wpodłuż łupany włos, a wypełnione białym, błękitnym, żółtym, zielonym i czerwonym [płynem]. — Gdy mu się zwidzi [we śnie], że go kto zabija, znieważa, że go słoń napastuje, że sam on w jamę się zapada, — owóż to wszystko, co go na jawie trwoży, w niewiedzy swej za rzeczywistość on ma; — a gdy bogiem się mniema i królem, gdy i świadomość zda mu się jawić: „jam jest świat ten cały,“ — owóż to jest jego najwyższa siedziba.

21. Jako że ta jest jego [właściwa] istota, gdy ponad pożądanie wszelkie wywiedziony bywa, od zła i dobra wyzwolony. Jak w ukochanej kobiety oplocie nie ma człowiek świadomości, co wewnątrz, a co nazewnątrz jest, tak i duch, wszechwiedną samością ogarnięty, nie ma świadomości, co wewnątrz, a co nazewnątrz jest.

Albowiem to jest jego istotą, gdy ukojony w pożądaniach sam sobie pożądaniem jest, niepożądający i od trosk wyzwolony.

22. Wonczas ojciec ojcem mu nie jest, matka nie matką, światy nie światami, bogowie nie bogami, Wedy nie Wedami, złodziej nie złodziejem, morderca nie mordercą, czandala [1]) nie czandalą, paulkasa [2]) nie paulkasą, asceta nie ascetą, pokutnik nie pokutnikiem, nie ima go się wtedy zło, nie ima dobro, — wonczas przemógł on swe męki serdeczne.

23. Nieprawdą jest, iż wówczas, patrząc, nie widzi; widzi on, albowiem dla widzącego niema przerwy w widzeniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby widzieć mógł.

---

[1]) Syn Sudry i braminki.

[2]) Syn Sudry i kobiety z kasty Kshatriyów.

24. Nieprawdą jest, iż wówczas, wąchając, nie odczuwa woni; — czuje on wonie, albowiem dla władnego powonieniem niemasz przerwy w węchu, on jest niezniszczalny; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby wąchać mógł.

25. Nieprawdą jest, iż wonczas, smakując, nie odczuwa smaku; — czuje on smaki, albowiem, albowiem dla władnego smakiem niemasz przerwy w smakowaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby smakować mógł.

26. Nieprawdą jest, iż wonczas, mówiąc, nie mawia; mówi on, albowiem dla mówiącego niemasz przerwy w mówieniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby mówić mógł.

27. Nieprawdą jest, iż wówczas, słuchając, nie słyszy; — słyszy on, albowiem dla słyszącego niemasz przerwy w słuchaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby słyszeć mógł.

28. Nieprawdą jest, iż wówczas, myśląc, nie myśli; — rozmyśla on, albowiem dla myślącego niemasz przerwy w myśleniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby przemyślać mógł.

29. Nieprawdą jest, iż wówczas, czując, nie czuje; — czuje on, albowiem dla czującego niemasz przerwy w odczuwaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby odczuwać mógł.

30. Nieprawdą jest, iż wówczas, poznając, nie poznaje; — poznawa on, albowiem dla poznającego niemasz przerwy w poznawaniu, ono jest niezniszczalne; ale niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, coby poznawać mógł.

31. Gdyż (tylko) tam, gdzie drugie jest współcześnie, jedno drugie widzi, jedno drugie wącha, jedno drugie smakuje, jedno z drugiem mówi, jedno drugie słyszy, jedno drugie przemyśla, jedno drugie czuje, jedno drugie poznaje.

32. Jako cicha woda, o królu królów, stoi oto spozierający, — jedyny, a bez wtóru, ten, którego świat bramanem jest, — pouczał Janakę Dżajnawalkya. — Oto cel najszczytniejszy, oto szczęście najwyższe, oto świat najgórniejszy, oto błogość ostateczna; licha bowiem cząstka tej błogości nadarza szczęściem inne stworzenia.

33. Gdy między ludźmi szczęśliwy kto jest i bogaty, gdy królem jest nad innymi, w życia rozkosze zasobny,—najwyższa to błogość u człowieka. Lecz sto błogości człowieczych są jedną błogością praojców, którzy niebo osiągnęli; sto błogości praojców, którzy niebo osiągnęli, są jedną błogością świata Ghandarwów; sto błogości świata Ghandarwów są jedną błogością bogów z dzieł swoich, —owych, co dzieły swemi boskość osiągnęli. Zasię sto błogości bogów z dzieł swoich są jedną błogością bogów z urodzenia, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen; a sto błogości bogów z urodzenia są jedną błogością świata Pratwórcy, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen; zasię sto błogości świata Pratwórcy są jedną błogością świata Bramana, oraz tego, kto, w pismie uczony, od fałszu i pożądania wolen. — I owóż, o królu królów, błogość to najwyższa, — Bramana to świat! —

„O czcigodny, tysiąc [krów] ci daję, mów, co ponadto wyzwoleniu służy!" — Wówczas zatrwożył się Dżajnawalkya i rozważał: „ten przenikliwy król gotów mnie wywabić ze wszystkich kryjówek moich."

34. — Zażywszy tak oto, w stanie snu, błogości i wędrówki, widziawszy zło i dobro, powraca — zależnie od ujścia i od miejsca swego, — w stan jawy.

[O ŚMIERCI NIEWYZWOLONEGO.]

35. Jako ładowny wóz dowleka się skrzypiący, tak i ciałem obarczony duch, kierowany wszechwiedzącą samością, skrzypi [rzęzi] w ostatecznych swych tchnieniach.

36. Gdy słabość go opadnie, gdy słabością nadarzy wiek lub choroba, wonczas jak owoc Mango, jak figa, jak jagoda łodygę swą opuszcza, tak i duch opuszcza członki i powraca w miejsca swego poczęcia po [nowe] ciało.

37. Jako naprzeciw króla, gdy nadciąga, podążają dostojnicy, straż, i woźnice, i setnicy, jadło, napój i pomieszkanie gotując a wołając: „oto nadciąga już, oto się zbliża!" — tak też oczekują i tego, kto o tem wie, wszystkie elementy, nawołując: „oto Braman nadciąga, oto Braman zbliża się!"

28. I jako do króla, gdy dalej wyruszyć zamierza, gromadzą się dostojnicy, i straż, i woźnice, i setnicy, tak też w czas zgonu gromadzą się w duszy siły życia, gdy nadchodzi chwila ostatniego tchnienia.

CZWARTE BRAMANAM.

1. Albowiem gdy dusza w bezwład zapada, gdy nieświadomość ją, zda się, ochłania, wówczas to siły życia ku niej się skupiają; ona chłonie wszystkie te siły wskróś światłem jaśniejące i cofa się ku sercu; duch wszakże, który w oku zamieszkał, powraca na zewnątrz [ku słońcu],—a wonczas nie zna już ona żadnych postaci.

2. A że jednią się stała, przeto nie widzi,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie wącha, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie smakuje,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie mówi,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie słyszy, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie myśli,— powiadają; a że jednią się stała, przeto nie czu-

je, — powiadają; a że jednią się stała, przeto nie poznaje, — powiadają. — Wówczas wierzchołek serca promiennym się staje, a gdy zajaśniał, dobywa się zeń Atman, wyzwalając się z ciała poprzez oko, czaszkę, lub inne części ciała. A gdy on je opuszcza, opuszcza je i życie, zaś gdy życie odlatuje, podążają za nim i życia siły. Poznaniem jest on, wraz z poznaniem odchodzi ztąd. Wówczas wiedza [1]), dzieła i poprzedniego życia doświadczenia przenikają go nawskroś.

[DUSZA NIEWYZWOLONEGO PO ŚMIERCI.]

3. Jako gąsiennica, gdy wierzchołka liścia dosięgnie, za drugi brzeg się chwyta i sama się ku niemu podciąga, tak też i dusza, gdy ciało z siebie zwlokła i niewiedzy [czasowo] zbyła, drugiego chwyta się początku i sama się ku niemu dźwiga.

4. Jak złotnik, gdy z posągu złoto czerpie, by przekuć je w inną, nową i piękniejszą postać, tak też i dusza, gdy ciało z siebie zwlokła i niewiedzy [czasowo] zbyła, tworzy sobie inną, nową i piękniejszą postać: bądź postać ojców, bądź Gandarwów, bądź bogów, bądź Pratwórcy, bądź Bramana, bądź też innych istot.

5. Zaprawdę duch ten [z ciała w ciało przechodzący] Bramanem jest, — jest jako poznanie, jako dusza, życie, oko, ucho, ziemia, woda, wiatr, eter, jako ogień i nie ogień, jako rozkosz i nie rozkosz, jako prawość i nie prawość, — jest jako wszystko. A wedle tego, czem jest, jak działa i postę-

[1]) Patrz w posłowiu.

puje, tak też i urodzonym bywa: kto dobro czynił, dobrym się też rodzi, kto zło — złym, świętym się staje za święte dzieła, złym za złe. Przeto powiedziane jest: „Człowieka nawskróś przenika pożądanie, a jakie pożądanie, takie i wniknienie, jakie wniknienie, takie i dzieło, zaś jakie dzieło, taka też i dola."

6. O czem mówi wiersz ten:

Ku czemu duszą lgnie, gdzie marzeń kres jedyny,
Każdego zwiodą tam niechybne życia czyny.

Gdy czynom jego kres nastanie,
Na skutek dzieł nieuniknieny
Po swoich dzieł dojrzałe plony
Na czyny nowe w świat powraca.

Taka jest dola pożądających.

[WYZWOLENIE.]

7. A teraz o niepożądających,—o tych, którzy bez pożądań, od pożądań wolni, w pożądaniach ukojeni, samemu sobie pożądaniem są, których duch nie opuszcza, lecz, Bramanem będąc, Bramanem [po skonie] pozostaje.

Głosi o tem wiersz ten:

Gdy żądze już go opuściły,
W żądz ukojeniu sercem dzielny
Przed skonem już on nieśmiertelny,
Już tu osiąga on Bramana.

Jak wężowa wylina na mrowisku porzucona, tak ciało tu spoczywa, lecz bezcielesne, nieśmierteine jego istnienie Bramanem jest całkowicie i światłem nawskróś. —

„O, czcigodny, tysiąc [krów] ci daję," — rzekł Janaka, król Widehów.

8. — Głoszą o tem wiersze owe:

Jest szlak trudny, prastary, niewidoczna droga,
We mnie droga wiodąca, przeze mnie odkryta,
Mędrzec świadom Bramana gościniec ten wita
Jak drogę wyzwolenia w świat nieba wiodącą.

9. Widne w drodze tej jasnej, powiadają starzy,
Biel, purpura i granat, zieleń i czerwienie:
W ten gościniec Bramana i w tych barw promienie
Wkracza mędrzec i święty, gdy żarem się stali.

10. Niewiedzy ślepe hołdowanie
W głębokich mroków wiedzie głuszę,
Lecz w głębszą oćmę grąży duszę,
Kto wiedzy ślepą cześć oddaje.

[11. Narodzin naszych przeznaczenia
W głębokich mroków toną łonie,
Po śmierci taka oćma schłonie
Nieockniętych, nieświadomych.

12. Zaś kto Atmana wnętrznie czuje,
„Jam—on!"—kto świadom, wonczas ciało
Jakążby żądzą chorzeć miało?
Jakiemż pragnieniem cierpieć jeszcze?

13. Kto zaś ockniętem prześwietli Atmanem
Dusznych rozterek cielesne odmęty,

On świata stwórcą, przez niego poczęty
Świat doń należy, gdyż on sam jest światem.

14. Klęsk źródłem jest tu nieświadomość,
Więc dzierżmy wiedzę w życia porze.
Niewiedza nas boleścią zmoże,
Gdy wiedza wiedzie w nieśmiertelność.

15. Kto w swym Atmanie uznał Boga,
Przeszłości i przyszłości pana,
Dla tego niemasz nad Atmana,
On nie zna trwogi przed swym Bogiem.

16. Bo z roku w rok kręgami dni
Czas toczy się pod jego nogi,
Jak światło świateł czczą go bogi
I wielbią jako nieśmiertelność.

17. Rodzajom pięciu bytowania
I wszechprzestrzeni co ostoją, —
W tem, nieśmiertelny, samość moją,
Bramana widzę nieśmiertelność.

18. Gdy tchnieniem tchnienia'ć jest, umem twego umu,
I uchem ucha wraz, i okiem twego oka,
Wonczas Bramana prawieczność głęboka,
Wonczas Braman prastary przez ciebie pojęty.

19. Więc w duchu wiedz i pomnij zasię:
Wielości niemasz tu nijakiej!
A z śmierci w śmierć stacza się taki,
Kto wielość widzieć tutaj mniema.

20. Tu jednię uznaj nieznikomą,
Od wieka wieków wiedz niezmienną!

Tu jednię znaj mi nadprzestrzenną,
Twą wielką samość nieśmiertelną!

21. I, mędrzec, krocz-że mi, bramiński,
Tą jedną drogą do Bramana.
Niech będzie inna poniechana:
Czcze słowa jeno z niej się rodzą!

22. Zaprawdę ta wielka nienarodzona samość, każdą istotę jako myśł przenikająca, w wnętrznej serca przestrzeni spoczywa, jako wszechświata pan, wszechświata władca i król wszechświata; nie wywyższają go dobre dzieła, ani poniżają złe, on wszechświata jest panem, istot rozkazodawcą, istot orędownikiem; on mostem [tamą], który oba te światy rozdziela, aby przed się nie spłynęły. Idąc za słowami Wed, dążą Bramini do osiągnięcia go ofiarą, jałmużną, pokutą i posty [1]). Kto poznał go, ten się staje Muni. Dążą ku niemu pielgrzymi, jako tęskniący do swej prawej ojczyzny. Wiedzieli o tem pramistrze nasi, skoro nie pożądali potomstwa [myśląc]: „Na cóż potomstwo nam, których duch światem jest całym!" I wyzbyli się pożądań dzieci, pożądań mienia, pożądań świata, wiodąc życie żebraków. Albowiem pożądanie dzieci jest pożądaniem mienia, pożądanie mienia — pożądaniem świata; a wszystkie one marnością są.

Atman wszakże nie jest ani takiem, ani innem. Jest nieujętem, gdyż nikt go nie ujął, niezniszczalnem. gdyż nikt go nie zniszczy, nieuchwytnem, gdyż jego nic się nie ima, jest nieograniczonem, nie chwieje się i szkody nie zaznaje [2]). Kto o tem wie, tego nie przemaga ani zło, które popełnił, ani do-

---

[1]) Patrz komentarz w posłowiu.

[2]) O tym odskoku w tonie i argumentacyi i wogóle o całej wartości odstępu 22 patrz w dopisku.

bro, które uczynił; albowiem on przemaga jedno i drugie. Nie przejmuje go ani to, co czynił, ani to, czego poniechał.

23. Mówi o tem wiersz ten:

Tem jest wielkość odwieczna poznawcy Bramana:
Dzieła go nie wywyższą, obniżyć nie mogą.
W tę wielkość każdy wnikaj, podążaj tą drogą,
A dzieła złego żadna nie dotknie cię zmaza.

Przeto kto o tem wie, ten zmysły przemógł; pełen spokoju i wyrzeczenia, cierpliwy on jest i skupiony; w duchu swym tylko samość widzi i wszystko widzi jako samość; nie zmaga go zło, gdyż on zło przemaga; nie parzy go zło, gdyż on zło spopiela; wolen od zła, wolen od żądz i od wątpienia wolen, B r a m a n a staje się on, — o królu królów, — B r a m a n a prawym staje się ten, którego świat Bramanem jest. —

Tako rzecze Dżajnawalkya. Odpowie tedy król:

„O mężu święty, lud mój oddaję ci w niewolę i samego siebie ponadto!“

24. Zaprawdę tem jest wielkie nienarodzone Atman, które [wszystkie żywe istoty jako] karm chłonie i szafarzem dobra jest. Dobro znajduje ten, kto o tem wie.

25. Zaprawdę, to wielkie nienarodzone Atman, niestarzejące się, niewiędnące, nieśmiertelne i nietrwożne, — Bramanem jest. Nietrwożnem, zaprawdę, Braman jest; nietrwożnem Bramanem staje się, kto o tem wie.

Wielka Aranyaka (Brihadaranyaka) jest prawdopodobnie konglomeratem trzech dawniej samodzielnych upaniszad. Najbogatszą w treść, najprzejrzystszą, najmniej obarczoną balastem egzoterycznym i scholastyką rytuału jest księga druga: Dżajnawalkyam Kandam, nazwana imieniem najpopularniejszego w upaniszadach pramistrza i mędrca. — „Dzajnawalkya“ zwie się też pewien rytuał ofiarny, (ofiara pospolita, prawdopodobnie domowa w odróżnieniu od ołtarzowej); podobnie jak imię bohatera Upaniszady Kathy „Nacziketas“ — oznacza również ogień ofiarny. Są to więc symboliczne upostaciowania imion uświęconych rytuałem.

Podajemy tu trzecie i czwarte „Bramana“ czwartego „Czytania“ (Adhyaya) Wielkiej Aranyaki (IV, 3 i 4), to jest, księgi Dżajnawalkyam Kandam część wtórą (niecałkowitą). —

Prostemi pytaniami stara się przenikliwy król Janaka skłonić mędrca do mówienia o wyzwoleniu. Do Bramana wiedzie go też Dżajnawalkya poprzez obrazy ducha „w dwóch stanach“: na jawie i w śnieniu.

„W stanie trzecim“, snu głębokiego, ów samojaśniejący duch i stwórca jaśnieć nie przestaje, aczkolwiek powiadają, że nie rozważa, nie ogląda, nie odczuwa wówczas, — „Lecz niemasz nic wtórego, nic odeń odmiennego, aby rozważać mógł.“ Stał się „bezprzedmiotowym subjektem poznania,“ tamtego brzegu w przelocie sięgnął, Bramanem w przelocie się poczuł.

W chwili śmierci (niewyzwolonego, bo tylko takiego śmierć, jako stan odrębny, sięga) odrywa się ów duch od organów życia jak dojrzały owoc od łodygi. Sprawca funkcyi widzenia (Puru-

sza oka) powraca do słońca, z którego był powstał; psychiczna zaś siła widzenia zbiera się wraz z innemi „Prana," siłami życia („organami życia" — oddają tłómacze, wyciskając na psychicznem pojęciu „prana" piętno fizyologiczne) — zbiera się w sercu wokół Atmana, niby straż i dostojnicy wokół króla na odjeździe. Poprzez rozpłomieniony wierzchołek serca opuszcza Atman ciało wraz ze wszystkiemi „prana," obarczonemi wiedzą o dotychczasowem życiu oraz doświadczeniu nabytem. Wraz z niemi wstępuje duch zmarłego w inne ciało. Dżajnawaikya zda się nie uznawać starego Devayana, indyjskiego czyśca, w którym czas jakiś przebywają dusze, póki bóg śmierci Yama nie przeznaczy im nowej egzystencyi w nowem ciele.

Duch wyzwolonego nigdzie nie uchodzi, gdyż, Bramanem będąc już za życia, Bramanem pozostaje po skonie. Jest to osią i szczytem zarazem ezoterycznej nauki o wyzwoleniu. Do tego punktu zmierzają wszystkie upaniszady, koło niego krystalizuje się cała późniejsza Wiedza Tajemna. Wyzwolony (świadomy) jest dla czasu, przestrzeni i dla bogów nawet ostoją. Oddając hołd jego poznaniu, bogowie sami czczą w nim nieśmiertelność. O tem mówią ostatnie sloki, mające mniej lub więcej dosłowne odpowiedniki we wszystkich innych upaniszadach. —

3-cie Bramanam. Ustęp *14.* — „Mów, co ponadto wyzwoleniu służy" — Wśród wszystkich tłómaczy, co do tych słów niezgoda. Boehtlingk: „A teraz mów mi o tem, co do wyzwolenia wiedzie." Müller: „Speak on for the sake of emancipation." Roer: „Speak next of liberation." Deussen: „Sage, was, höher als dies zur Erlösung dient." — Wobec refrenowego powtarzania tych słów, nawet tam, gdzie i dla Janaki jest niewątpliwie mowa o sprawach wyzwolenia, zda się mieć ten zwrot znaczenie mniej łekceważące wszystko poprzednie; jest on raczej pobudzaniem ku coraz to wyższym sferom ducha. Dlatego po polsku jak powyżej.

20. Wstawka o żyłach zabarwionych: jak włos cienkich (naczynia limfatyczne?), mało się wiąże z całością. W nich to krążyć ma dusza podczas śnienia i uspokajać się w śnie głębokim.—Następne niezbyt zrozumiałe słowa tego ustępu mają prawdopodobnie obrazować przejście od śnienia do snu głębokiego: od „świadomości bycia tem i owem" do „świadomości bycia wszystkiem" w chwili, kiedy „subjekt i objekt zlewają się w jednię" — aż do „zgaśnięcia indywidualnego poznania," o którem mówi ustęp następny.

21. U *D.* „Erkentnissartig," gdy u innych „wszechwiedzący;" „wesenform," gdy u innych: „istotna natura." Przytrafiają się u *D.*

gdzieindziej aż takie ustępy: „Nicht das immanente, aber das transcendente Braman sollst du mir erklären.“ Oczywiście niema celu oddawania po polsku takich germanizmów dyalektycznych — w poemacie.

23 do *31*. — Za *R*.; u *D*. wszystkie te ustępy jeszcze bardziej dyalektycznie i zawile.

32. „Licha cząstka tej błogości nadarza s z c z ę ś c i e m inne stworzenia“ — za *R*. i zgodnie z treścią następnego ustępu; u *D*. chyba omyłkowo: „nadarza życiem“(?).

33. Końcowe słowa niezmiernie znamienne w ustach Dżajnawalkyi. Z hieratycznego toku upaniszad wyziera niespodzianie twarz ludzka, maska przebiegłego Bramina. Dżajnawalkya musiał być w podaniu zwartą postacią ówczesnego mędrca: indyjskim Sokratesem. Oto w tejże Wielkiej Aranyace drugie wejrzenie człowieka: — „Czego pożądasz, — wita go król, — pytań przenikliwych, dających sposobność do subtelnych odpowiedzi, czy też krów.“ „Obojga,“ — brzmi łakoniczna odpowiedź Dżajnawalkyi.

34.—Słowa te dostały się prawdopodobnie później i dosyć bałamutnie, żadną zaś miarą nie mogą się odnosić do snu głębokiego, gdyż zaprzeczałyby wszystkiemu, co było powiedziane powyżej o śnie głębokim. To częściowe powtórzenie ustępu 17-go ma być według komentatorów nawiązaniem z dalszym ciągiem.

4-te Bramanam. *2*. Końcowe słowa u *D*.: „er ist von Erkentnissart und alles was von Erkentnissart ist ziehet im nach.“ U *R*.: „It is endowed with knowledge, endowed with knowledge it departs.“ — O znamionach, jakie pozostawiają czyny i cierpienia stanów poprzedniego życia, rozwodzi się szeroko Sri Sankara, wywodząc z nich nawet... talent malarski.

9. „Biel, purpura i granat, zieleń i czerwień,“ mają to być pięciobarwne naczynia serca odpowiadające pięciobarwnym promieniom słońca. Mówi o tem S z a n d o g y a 8, 6, 1 i 2.

10. Dosłownie jak I s a 9.

11. Jak I s a 3, przynajmniej w trzech pierwszych wierszach. Tłóm. za *M. J.* i *S*.: „Narodzin naszych przeznaczenia,“ gdyż cała ta sloka odnosi się najwyraźniej do dalszych narodzin i przeznaczeń. U *D*. natomiast ogólnik melancholijny: „Ja, diese Welten sind freudlos!“ — Tak wielka różnica jest w odczytywaniu pierwszego wiersza tej sloki.

17. „Rodzajom pięciu bytowania,“—„the five kinds of beings,“ „der Wesen fünffach Herr“ (?): — według *S. S*. Gandharwy (duchy

nieba, pośrednicy objawienia), przodkowie, bogowie, demony i rakszasy (złe duchy), lub też pięć kast indyjskich.

18. Sloka ta odpowiada Kenie 2, i tylko w ten sposób tu za *R.* tłómaczoną być może. U *D.* niespodzianie: „Wer Odem nur als Odem etc.“

22 oraz *24* i *25.* – Konglomeratowy charakter ostatniej zwłaszcza części ułatwił braminom wsunięcie tak znamiennego ustępu *22.* Jawiła się więc konieczność podkreślenia, że ta ezoteryczna uauka nie sprzeciwia się tradycyi („idąc za słowami Wed“), oraz potrzeba trywialnego zwrotu ku nakazom kultu: ofiary, jałmużny, pokuty i postów. Z ezoteryczną nauką upaniszad nie mają te zabiegi pobożnych nic wspólnego. Tejże wartości są: *24* i *25.* O tej zachłanności Wed, o tem godzeniu wrogich nawet nauk przez braminów mówione było na początku wstępu ogólnego.

W NIESKOŃCZONOŚĆ. Rzeźba K. LASZCZKI.

Okładka ozdobna do całego tomu X-go będzie dostarczona wraz z kartą tytułową, oraz spisem rzeczy — przy zeszycie 30-ym.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WIDOK, 13.

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMYCKI.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

HIM
ERA



Narodziny Marcholta

Tragikomedyi Marcholta Grubego a Sprośnego

część pierwsza.



SZLACHETNE, ZACNE OSOBY,
JAKIMIKOLWIEK SPOSOBY,
WEDLE STANU I GODNOŚCI,
MIANUJĄ WASZE MIŁOŚCI,
TEN ORSZAK MA TE ZWYCZAJE:
NAPRZÓD SŁUŻBY SWE ODDAJE,
POTYM CHCE WDZIĘCZNEMI SŁOWY
ZABAWIĆ WASZ UMYSŁ ZDROWY,
TYLKO PROSI O WYTRWANIE,
MAJĄC O WAS TO UFANIE,
ŻE Z ŁASKĄ SŁUCHAĆ RACZYCIE...

KOMEDYEJ RYBAŁTOWSKIEJ
PROLOG.

NAPISAŁ JAN KASPROWICZ.

NARODZINY MARCHOŁTA.

Izba chłopska. Uroczystość „popielin“ *). Śnieżny czas poświąteczny.

ŻEBRAK, wchodząc:
Pochwalony
Pan...
MACIEK. Na wieki!
Z jakiej strony?
ŻEBRAK. O, z dalekiej,
z ciężkiej drogi!
Nie obeszły apostolskie nogi
tyle ziemi,
ile ja tu schodzić muszę...
MACIEK. Widać po was, żeście duszę
Wypocili...
Coś nie bardzo też kolana...
ŻEBRAK. Moi mili!
Chwalić Pana:
ślepi, niemi,
głusi, chromi i bezdomi
— statki bez ostoi —
u Przedwiecznego w naczelnej są cześci.
Ino że się w torbie mojej
krztynę chleba zmieści,
albo mąki, albo kaszy,
a tu każdy precz mnie straszy
od swojej chudoby.

*) U ludu — uczta towarzysząca narodzinom.

MACIEK. Puste żłoby...
Gdzie się nie da, to się nie da,
w tem niczyjej winy...
ŻEBRAK. Powiadają: u nas bieda,
zaś u Maćka popielmy:
oczekuje gości,
tak z wielkiej radości
z innymi pospołu
posadzi do stołu...
Pan nad waszą świeci grzędą,
rękami obiema
błogosławi waszą strzechę!
Popieliny — — —? Na uciechę!
MACIEK. Jeszcze niema,
ale będą — — jušci, będą —
ino słychnąć! Coś się baby
wygrzebać nie mogą.
ŻEBRAK. Żywot słaby —
wszystko idzie z trwogą...
MACIEK. Ba! leniwie, jakby ciasto gniótł!
ŻEBRAK. Wiecie, ludzie! wiecie, ludzie!
Boży cud!
W wielkim trudzie,
który znamy wieków wiek,
znów się rodzi nowy człek!
— — — — — — — —
Jak myślicie? On czy ona?
MACIEK. Jušci-ć on!
Mam nadzieję:
tęgi zbójca!
walny glon!
ŻEBRAK. Niechże będzie pozdrowiona
święta Trójca!
Twoje, Chryste, męki krwawe,
Twój chwalebny skon,
Twoje święte zmartwychwstanie
niech się święcą, Panie,
że nie żadne babskie plemię
nawiedza tę ziemię...

Żegnając się:

Zdrowaś, Marya, łaskiś pełna — — —

Wszystko z grzechu: czarna wełna
na baranie,
sierć na koniu czy na krowie,
włos na glupiej ludzkiej głowie —
wszystko w grzechu ma początek,
a największy zasię wrzątek
wszego złego, co na świecie
w piekielne chwyta nas pęty,
ma przeklęty
czart w kobiecie. —
Cześć i sławę
trzeba oddać Bogu,
że na życia progu
staje chłopak... Taką sprawę
warto, wiecie...

MACIEK. Tsia, zaleję,
ino jeszcze rzecz niepewna — — —

ŻEBRAK. Bardzo pewna! Nie królewna,
a królewicz k'nam zawita...

MACIEK, sięgając po butelkę wódki:
Okowita!..
Mosiek wody nie dożycza...

ŻEBRAK. Pijmy zdrowie królewicza!

MACIEK. Lepiej zdrowie parobasa!

ŻEBRAK. A ja mówię: hasa! hasa!
Z Bożą wolą
to i królem — — —

MACIEK, pijąc:
Z czarnym pyskiem
będzie chodził za broniskiem,
a jak ludzie go wygolą,
ugodzi się za pastucha — — —

ŻEBRAK. Bardzo ładnie,
ino żaden człek nie zgadnie,
na co życie go przedmucha,
na co Bóg go przysposobił — — —

SZEWC, który chwilę stał już w progu, wchodząc do izby:
Może będzie buty robił.

MACIEK. Co do tego, panie kumie,

macie wodę w swym rozumie:
jeszczeć Bóg mnie tak nie schłostał,
żeby syn mój szewcem został.

SZEWC. Przemawiacie bardzo czule —
Nie sierdźcie się!
Człowiek strzela, a zaś kule
Pan Bóg niesie...

MACIEK Sam wiem o tem... Moiściewy!
Przesiewacie szczere plewy,
ziarneczko z nich nie wyleci!
Kabat na was od waszeci,
ale to się byle komu
przypasuje... W moim domu
— co za honor!.. co za cześć? —
żeby nam tu głupstwa pleść?
Czym wam winien choć półgrosza?
Ja-ć nie jestem jak kokosza,
którą lada dureń skubie!
Macie zyski w swej rachubie?
Jaki nowy fałsz uknuty?
Jeszcze-ć u mnie całe buty,
jeszcze mi się nie podarły,
jeszcze-m-ci też nie umarły,
nie potrzeba mi do trumny
pantofelków; widzę, w ręku
macie miarę...

SZEWC. W jaworzynie sęk a w sęku
wielka dziura! Nie bądź dumny,
luby kumie!.. Buczek młody,
a nie żadne przęsło stare,
a już go tam robak wierci. —
Ino po co nam o śmierci
zagadywać! Przyjdzie sama
i do pana i do chama
w samą porę... Przecie gody
wyprawiacie — popieliny!
Tej godziny
ma być cud!
Powinszować wam przychodzę
niby swemu bratu brat!
A jak komu nie dogodzę

na pół funta czy na łut — — —
Ile lat ma wasz ostatni?.. —
Tyle lat,
a dziś jakbyś skręcił bat! — — —

MACIEK. Powiedziałem — moiściewy,
przesiewacie szczere plewy
w swej dobroci bratniej — — —

ŻEBRAK. Prawda... glużą po wsi całej —
moje uszy też słyszały — — —

MACIEK. Co słyszały?

ŻEBRAK. Powiem szczerze,
że ja wcale w to nie wierzę — — —

SZEWC. I ja niby wątpię o tem —
miedź nie będzie nigdy złotem —
ino to, że czlek się zmienia
niby drzewo od korzenia
aż do liści — — —
cud się iści!..

MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry! zbóje!
tak mu gębę zamaluję,
że w odzieży
nie poniesie gnatów w świat,
potłuczonych kości z ćwierć — —!

ŻEBRAK. W imię Ojca! Syna! Ducha!
Człowiek słucha i nie słucha!
Sprośne, majster, wasze usta,
a tu u mnie torba pusta.
Nie posadzi mnie do stołu
z innymi pospołu!..
Gospodarzu! tak się prawi — — —
I grzesznicę Pan Bóg zbawi!..
Zdrowaś Marya, łaskiś pełna — — —
Wszystko z grzechu! Czarna wełna
na baranie — — —

MACIEK. Tak się stanie,
że was spierze, o, ta żerdź — — —!!

Chwyta kij.

SZEWC. Sierdź się! sierdź!
Ja-ć nie mówię, ino powiem:
zapijmy to waszem zdrowiem —

dajcie wódki!
Czas jest krótki,
a w tym bardzo krótkim czasie,
niby na popasie,
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina szła po moście — —
poręcz śliska — — —

ŻEBRAK. Hihihihi! Coś się widzi,
że pan majster ze mnie szydzi!
Na bogacza nie wyrósłem,
tak-ci muszę te nożyska
owijać powrósłem...
Dziadulina — hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci —
pomagajcie, wszyscy święci!
On ma, rzecze, jedno oko,
ale patrzy niem głęboko,
a ty, dziadu, ócz masz dwoje,
ale nie na serce moje! —
Hahahaha! dziadulątka
już rozlazły się po świecie,
tylko, że to — haha! — wiecie,
nie po mnie pamiątka!..
Stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina szła po moście — — —

Z przyległej komory wychodzi babka.

BABKA. Goście! goście!..
Trochę ciszej!
Przecie chora! ledwie dyszy!
Nie żal wam niewiasty?

MACIEK. Niech wcierniasty!
Kto chorować jej rozkazał?
Kół czy drąg?!

BABKA. Czy już Pan Bóg was wymazał
z swoich ksiąg?

Cóż to wam się śni?
Zkądże mowa ta?
ŻEBRAK. } Hihihihi!
SZEWC. } Hahahaha!

Z komory słychać:

GŁOS CHOREJ. Stary! stary!
Czy nie dosyć tej ofiary?
Miej litość nade mną
w tę godzinę ciemną!..
MACIEK. Było-ć jasno, będzie jaśniej —
ani światu się nie zaśni —
taki-ć sprawię bal!..

Częstuje wódką

Pijcie, kmotry,
święci, łotry — — —
ino, że mi żal — — — —
Cicho Maryś, idę, idę...

Wchodzi do komory.

SZEWC, zaglądając poprzez próg:
Nie powiadam na ohydę —
ino, wiecie, kumoleńko,
coś śpiewacie bardzo cienko,
coś jest z wami bardzo źle!
Krztynę wódki nie zawadzi!
O czeladzi
Pan Bóg radzi,
nienadarmo dał ludziom gorzelnie!
Cieszmy się!
Jest nam smutnie, jest nam i weselnie!
ŻEBRAK. Zdrowaś Marya, łaskiś pełna — — —
Wszystko z grzechu — — — czarna wełna
na baranie — — —
Chryste Panie!
Stał dziadulo
raz przy drodze
z powróslem na nodze,
dziadulina — — —
SZEWC. — — — — — hula! hula —

Sierć na koniu czy na krowie,
włos na mądrej ludzkiej głowie.
Chwyta się za głowę.

MACIEK. Baba zbladła niby kłos,
kiej go słońce do cna spali!
Co za los! Co za los!
Istny śmiech! — — —

Powoli wchodzą goście: Miechodmuch, Wójt, Ławnicy, Organista.

A! witajcie!

MIECHODMUCH. Życie ludzkie jest jak dech:
Pan Bóg dmie w organny miech,
a jak ino dąć przestanie — — —

SZEWC. Całe wloką się kompanie:
organista, kopidołek,
wójt, ławnicy, pan Popiołek —

MACIEK. A, witajcie!

SZEWC. — co rozumy wszystkie zjadł —

MIECHODMUCH. — z filozofią za pan brat —

MACIEK. A, witajcie!

WÓJT. Tyle lat — — —
po ugorze — — —

MACIEK. Wspieraj Boże!..
Człek człekowi rad —
Kieliszeczek?..
Okowita jak dzwoneczek —
Mosiek wody nie dożycza — — —

ŻEBRAK. Pijmy zdrowie królewicza!

WÓJT. Chwała Bogu! On!?

SZEWC. Nie wiada — — —

MACIEK. Jeszcze baba gorzko biada — —
Kiej się to uplęgnie!..

KOPIDOŁEK. Jak jest szczęście, to jest szczęście —
palec je dosięgnie,
a jak niema, to i pięście
nie pomogą: pchaj łopatę
w twardą ziemię,
aż ci ciemię
krwią nabiega, a na stratę
idą trudy i mozoły:

co uderzysz, kamień goly.
Księże śpiewy, księże mowy,
a dół jeszcze nie gotowy
i człek nie ma swej radości...
SZEWC. Tyle gości! tyle gości!
jest i stolarz — —
— ze stolarką — — —!!

Wchodzą pani i pan Wiórek.

WÓJT. Nie zmierzysz ich szewcką miarką —
takie państwo — —.
MACIEK. A, witamy — — —
SZEWC. Dyć, nie proste chamy!..
A cóż waści tu przyniosło?
Kto godniejsze ma rzemiosło?!
Dyć, pan Wiórek! Nie przechera!
Nie sam na bal, tylko parą — — —
MACIEK. Dajcie spokój pustym swarom — —
PANI WIÓREK. Ii! szewcowa też się zbiera,
ale zebrać się nie może:
kryzka jej się oberwała,
a na igłę, choć tak mała,
szydło waści — — —
SZEWC. Mocny Boże!
dla nas wszystkich sprawa znana,
że hebelek u asana — —
STOLARZ. Wara waści do hebelka,
bo on, hebel, rzecz zbyt wielka —
SZEWC. Wiemy, wiemy doskonale:
hebel u was w wielkiej chwale,
ino trochę — — —
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Przypomnijcie mu macochę
jego syna — —
SZEWC. dyć — — — z macoszki
ponoć ściąga syn pończoszki? —
PANI WIÓREK. Pilnuj waszeć swoich córek — — —
SZEWC. Pani Wiórek! pani Wiórek!
STOLARZ. Karolinko! żono moja!
taka twojej cnoty zbroja? —
A ja ciebie, o jedyna — — —

biada mi niebodze — —
PANI WIÓREK. Czy to ja mam cnotę w nodze?
Rozum stracił pan szewczyna —
duby plecie, duby!..
Chodź do swej pieszczotki,
uściskaj ją, daj-że pyska — —
STOLARZ. Ucałuje i uściska
Karolinkę mąż twój słodki —
Karolińciu, kurko moja — cip!
PANI WIÓREK. Cip! cip!
STOLARZ. A pan szewiec — —
SZEWC. Także cip! cip!
Zapijma to!
Człowiek na to, jak na lato — — cip...
ŻEBRAK. Dziadulina szła po moście,
poręcz była śliska — — —
PANI WIÓREK. Czemu nie szła prościej —?
SZEWC. Anoć proszę, zacni goście,
pijmy za zdrowie miłości!
Bez niej życie, jak na oście
abo na pokrzywie — —
WSZYSCY. Niech nam żywie!
POPIOŁEK. Wiemy o tem wyśmienicie,
czem jest życie!..
WÓJT. Niebem, piekłem —
jak dla kogo...
MIECHODMUCH. Nie! już rzekłem:
Życie ludzkie jest jak dech,
Pan Bóg dmie w organny miech —
ORGANISTA. A ja mówię, co ze słuchu
jest wam znane, bracia moi —
dla piśmiennych rzecz ta stoi
nawet w książce — jako zasię
Stwórca karze w swoim czasie
wszelką pychę. Miechodmuchu!
Z tyłu li organy znasz,
a zaś tyle pychy masz,
że mędrkujesz, oczywista,
nim przemówił organista — —! — —
Przytem, powiedz: gdzie jest dbałość

o mój honor? Co za śmiałość!
Miechodmucha podle nogi
przekroczyły Maćka progi,
zanim wszedł tu, Chryste Panie,
ten, co tobie na organie
wygra wszelką pieśń — — —

MIECHODMUCH. A juści!
Pan Bóg karę swoją spuści,
kiedy zechce i na kogo...
przemawiacie bardzo srogo — —
ino kto tu jest pyszniejszy? hę?..
I ja także niebu służę...

KOPIDOŁEK. Dyć honory macie duże
i nikt wam ich nie umniejszy —
ino, że ja w te sposoby
równie Bogu miły:
kopię groby,
a kto, panie, bez mogiły
gdzieś tam legnie na rozstaju,
ten nie spocznie w bożym raju — — —

STOLARZ. Jaki dumny! jaki dumny!
A ja czym jest szczur lub piesek?
Czy ja gorszy człek?
Kiedy kto na wieki legł —
ha? — bez trumny?
Czem jest grób bez czterech desek?
Każdy Bogu blizki,
kto żyje na świecie!
Wy śpiewacie, w miechy dmiecie,
ja robię kołyski,
a jak trzeba, to i trumnę skleję —
Panie kumie, wziąć wam miarę?

MACIEK. Moje kości stare,
ale jeszcze mam nadzieję — — —

STOLARZ. Na kołyskę — — —

POPIOŁEK. Przyjdzie pora — — —

STOLARZ. Słyszę, baba ponoć chora — — —

SZEWC A ja powiem jedną sprawę:
chcecie zepsuć tę zabawę?
Stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze — — —

POPIOŁEK. Ja wam rzeknę, słodcy towarzysze:
uszanujcie ciszę!
czy wiadomo, moiściewy,
że my ludzie to niby jak plewy?
Wiatr je precz rozniesie
po łęgach, po lesie,
a najgłupszem, mówię szczerze,
jest zasię to zwierzę,
co śmierci się boi...
I tyś głupi i on głupi!..
STOLARZ. A twą mądrość któż tam kupi?
SZEWC. Kpię z mądrości twojej!
ORGANISTA. Zawsześ w gębie mocny był!
POPIOŁEK. Krew ci bije z moich żył!
STOLARZ. A we mnie co? jucha?
POPIOŁEK. Niech tam pies cię słucha!
SZEWC. Pies wyje na dworze — — —
KOPIDOŁEK. Baba mrze w komorze — — —
MIECHODMUCH. Boże! Boże! Boże!
BABKA, w progu komory:
Poczciwi ludkowie!
Baczcie na jej zdrowie!
MACIEK. Co nam zdrowie! W cztery konie
już ja zdrowia nie dogonię,
kiej sam Pan Bóg nie dba o nie. —
MIECHODMUCH. Prawda! prawda! Ojcze Panie!
Święte twoje królowanie,
ale jedno ci poradzę — hę?
jakbym ja miał twoją władzę,
nigdybym się, przez Bóg żywy,
nie ugodził na te dziwy,
żeby taki rak czerwony, hę...
co to ledwie, że ma ślepie,
miał kosztować życie żony...
ORGANISTA. Nie bluźnijcie, bo wam wrzepię — — —
KOPIDOŁEK. Nie bluźnijcie — — —
MIECHODMUCH. Kto tu bluźni?!..
STOLARZ. I mój kijek się nie spóźni —
Spiorę, zwalę — — —
MIECHODMUCH. Ja nie bluźnię wcale!
Ino żal jest, że ta baba

taka biedna, taka słaba
przez to ślepe i głuche stworzenie,
co się na świat wygrzebać nie może..
Panie Boże! Panie Boże!.. hę...
Życie ludzkie w takiej cenie?
Trzeba króla Salomona,
niech rozstrzyga, kto tu więcej
wart jest życia: smród dziecięcy
czy też matka: — hę? On czy ona?
ORGANISTA. Pan Miechodmuch raz jedyny
rozwarł pysk nie bez przyczyny:
ale kiej tak dobrze prawi,
niech się w posły sam zabawi...
Idź po króla!
MIECHODMUCH. Ja po króla?
Bliższa ciału jest koszula —
ja do takiej pójść jasności —?
ORGANISTA. Nie połamie nikt ci kości —
król a człek to wszystko jedno —
organista abo król...
MIECHODMUCH. Trafiliście w samo sedno — —
tylko niechże pobiedz raczy
kopidołek.
KOPIDOŁEK. Nieinaczej!
Weneruję go ogromnie,
ale król sam przyjdzie do mnie —
phi!.. Pan Wiórek — —
STOLARZ. Panie chrzczony,
ja do takiej iść persony —?
Ni kołyski mu ni trumny — — —
Pan Półdratwię człek rozumny
i wygada się i — — —
SZEWC. W głowie
rozum mam na własne zdrowie —
Na honory ja-ć nie łasy —
tak! za niskie me obcasy — — —
Wójt jest godny, on pogoni!..
WÓJT. Mam ławników, niechże oni — — —
Ja i król?!..
POPIOŁEK. Jeden grzech i jeden ból!
ŁAWNIK. Panie wójcie! od pieczęci

wy i króle... Niech was święci
mają w świętej swej opiece,
ja-ć tam za was nie polecę.
Król to niby miecz jest nagi
abo księga, a zaś miecza
abo księgi dusza człecza
nie ułapi —
Ale kiej wam brak odwagi,
pan Popiołek się pokwapi:
przecie wszystką mądrość zjadł...

POPIOŁEK. Tyś mój brat i ja twój brat,
ty masz skromność w swej rachubie,
ja wywyższać się nie lubię —
to jest moja prawda żywa — —
Organista, co wygrywa
Stwórcy Panu, on jest wart!

ORGANISTA. Prawisz waszeć niby z kart,
ale że, kto Bogu służy,
temu król jest niezbyt duży —
ja i ty — — —

KALEKA, który wszedł w towarzystwie wójta etc.
Widzę, żeście wszyscy kpy!
Czas jest krótki:
dajcie wódki
na otuchę
w moje kości kruche!
Prawiem ślepy i kulawy,
ale na te ludzkie sprawy
nie potrzeba oczu
ani zdrowych nóg!
Rządzi niemi Bóg
i stojący na uboczu
choć wszystko przenika
i choć wszystko czuje,
na durniów nie zważa,
a ino się podśmiechuje
z organisty, z miechodmucha,
z kopidołka i Popiołka,
z szewca i stołarza,
z wójta i ławnika — — —
ja pójdę do króla — —

ORGANISTA. Niech sobie pohula —
będzie mu wyraźniej
bez lęku, bojaźni — — —

KALEKA. Nie boję się wcale,
choć jest w wielkiej chwale:
jedna glina, jedna krew!
jedno żniwo, jeden siew!
jedno życie, jeden skon!
jeden krótki czas!
Serca moje, żegnam was! — —

Wychodzi.

SZEWC. A w tym krótkim czasie,
niby na popasie,
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina — — —

ŻEBRAK. Hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci —
pomagajcie, wszyscy święci!
Hahahaha! dziadulątka
już rozlazły się po świecie,
tylko, że to — haha! — wiecie,
nie po mnie pamiątka — —
Hahahaha!

WSZYSCY. Nogą wierzga, zadem kręci,
pomagajcie wszyscy święci —
Hahahaha!

BABKA, zjawiając się w progu:
Poczciwi ludkowie,
baczcie na jej zdrowie!
Leżąca na płótnie, blada jest jak płótno — — —

SZEWC. Jest nam bardzo smutno,
jest nam i weselnie —
Bóg nam dał gorzelnie — — —

MACIEK. Co mi zdrowie! W cztery konie
już ja zdrowia nie dogonię,
kiej sam Pan Bóg nie dba o nie!
Juścić pijmy! hej! koleją!
Niech się ludzie śmieją!..

POPIOŁEK. Niech się ludzie kłócą,

weselą czy smucą —
śmiech czy smutek wszystko jedno!
STOLARZ. Deska abo wióry —
SZEWC. Podeszew ze skóry,
z filcu czy bibuły —
MIECHODMUCH. Miechy czy organy
basy czy fistuły —
ORGANISTA. Osły czy barany — —
KOPIDOŁEK. Grobik grzecznie wykopany
abo rów przy drodze — —?
Coś wam się niebodze — —
POPIOŁEK. Miłość albo gniew,
w wszystkiem jedna krew —
Śmiech czy smutek wszystko jedno...
ORGANISTA. Trafiliście w samo sedno — —
ino zkąd wy mądrość taką —?
WÓJT. Ogony podrywał ptakom,
phi! wykręcał gniazda wronie
na wysokiej sośnie — — —
SZEWC. Mądrość wszędy rośnie,
niby oset abo inne zioła —
pełno ich dokoła,
ino sięgnąć po nie — — —
WÓJT. — — — tak też jedną, drugą, trzecią
powiem prawdę — owijać nie będę:
ryby juścić łowim siecią,
a jak chcecie, i na wędę
abo do więcierza;
z dawnego przymierza,
co się nie rozkrusza,
jest jak ryba ludzka dusza,
co ją Pan Bóg w sieć swą łowi —
POPIOŁEK. Co jest dusza!.. Co jest życie!..
Co wy wiecie —!
WÓJT. Bądźcie zdrowi,
jeśli w swym rozumie
nikt pojąć nie umie,
że tu sprawa jest o duszę:
chce ją Pan Bóg mieć i basta!..
ORGANISTA. Ja bo rzeknąć muszę:
umiera niewiasta,

a z niewiasty Ten się rodził,
co nas wszystkich oswobodził.
MIECHODMUCH. A ja tak z ostatka
powiem: ginie matka!
Matka-ć to omdlała
u stóp krzyża stała,
na którym syn jej wisiał — — —
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Człek by zmisiał
abo i zbaraniał,
żeby wam się kłaniał: — —
o śmierci prawicie,
a tu idzie życie —
dziecko się uchowa,
matka wstanie zdrowa!..
SZEWC. Kto to wie?..
STOLARZ. Kto to wie?
SZEWC. Czyś na trumnę, chciwy kpie,
przyniósł miarę?
STOLARZ. Boże wielki,
miarę masz na pantofelki — — —
KOPIDOŁEK. Chociaż śmierć ostrożna,
nic wiedzieć nie można — — —
ORGANISTA. Na grobik czekacie?
KOPIDOŁEK. A i wam też, bracie,
kapnie coś za Miserere —
ORGANISTA. Chęci Boga zawsze szczere,
nie kłamliwe... Jak Bóg zechce — —
MIECHODMUCH. — — to i miechy człek połechce —
ŁAWNIK. A ja mówię: na co smutki!
O śmierci prawicie,
a tu idzie życie!
Dajcie wódki!
Starzy, młodzi!
Weselić się godzi...
WSZYSCY. Pohulajmy, zaśpiewajmy,
jemu cześć i chwałę dajmy —

Za sceną słychać kolędników: W żłobie leży,
któż pobieży —

W izbie mimowoli kilku z uczestników zaczyna wtórować:

W żłobie leży,
któż pobieży —

WÓJT. Hola! hola! tu nie żarty!
W pysk nabierze, kto uparty —
wiecie, twarda moja ręka!
Tu nie żadna jest Stajenka,
wół i osieł tu nie klęka,
chyba żeście wszyscy osły,
co w stajni wyrosły!
Tu nie Zbawca się nam rodzi! —
Kto jest człek tu, a kto złodziej?
Kto z poczciwych, kto z zbrodniarzy?
Gębę spiorę, kto się waży
szydzić — — —

ŚPIEWAK. Szydzić?.. Chroń mnie Boże
Chcesz, przysięgę nawet złożę —
Masz dwa palce z dwoma w krzyż!
Dokumenta za mną pisz,
stryczek wieszaj mi na szyi,
jeśli kłamię: po wiliji
co dopiero wszędy, wszędy
wyśpiewują dziś kolędy,
więc, że mamy taką chwilę,
tak i ja też zaśpiewałem —

ORGANISTA. Powiadam wam sercem całem:
nic w tem złego! Bogu miłe,
że człek biedny o nim baczy — — —

MIECHODMUCH. Juści! juści! nieinaczej!
Tak zostanie z każdym wiekiem....

ŚPIEWAK. Chrystus Pan się rodził człekiem
i dla człeka! Nie znał pychy,
był pokorny, mały, cichy,
nie znał, co to pan, co cham:
co dla niego, to i nam!

WÓJT. On był król!

ŁAWNIK. Na wielkie się męki rodził!

SZEWC. Na zbawienie.

POPIOŁEK. I na ból — —
że już więcej nie wymienię — —

STOLARZ. Szatan go po górach wodził,
w jego duszę godził —
SZEWC. I od duszy człeka
także nie ucieka.
STOLARZ. ...Panie szewiec? Czy to może
przytyk do mnie?..
SZEWC. Chroń mnie Boże!
Bez przytyków...
ORGANISTA. Na radości
nie przychodzim w gości
na tę biedną ziemię,
tylko czart to ludzkie plemię
ciągle kusi...
MIECHODMUCH. Człek się musi
wciąż oganiać... Ciągłe bitwy
z złem —
A cóż lepsze od modlitwy
czy pobożnej pieśni
w utrapieniu tem — — —
ORGANISTA. Ja to wcześniej
pomyślałem — śpiewaj, bracie —
MIECHODMUCH. — — jak ptaszkowie leśni:
trala tryli — —
ORGANISTA. Zamknij miech swój, bym w tej chwili — —
MIECHODMUCH. Hę? —

Słychać słaby dźwięk harfy.

KOPIDOŁEK. Nie słyszycie?.. Nie słyszycie?..
SZEWC. Gdzież jest picie?
JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Sza! jak gdyby grało coś...
Jakbym jakieś słyszał śpiewy...

Kolędnicy, przebrani za aniołów.

ANIOŁOWIE poza ścianą śpiewają:
Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony — — —

WÓJT. Moiściewy,
widno rozum wasz to fura,
w której się złamała oś...

Oczywiście,
mostem kumotr jechaliście,
w moście była dziura...

Jakby dźwięk harfy.

JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Kto ma uszy, niechaj słucha
SZEWC. Nadstawiajcie ucha — —
STOLARZ. Nie! i mnie się coś wydaje — — —
ANIOŁOWIE: Ogień krzepnie, blask ściemnieje — —
WÓJT. Baje! baje!
Rozum w ludziach coraz rzadszy!
Wódka mózg wam tłoczy...
KOPIDOŁEK. Kto ma oczy, niechaj patrzy!..
SZEWC. Otwierajcie oczy!..

Widma aniołów-kolędników przesuwają się poza oknami.

MACIEK, wychodząc z komory:
Jest...
SZEWC. Nareszcie...
MACIEK. Ino bardzo źle niewieście...
ŻEBRAK. On czy ona?
MACIEK. Juścić on!
Walny zbójca!
Tęgi glon!
ŻEBRAK. Niechaj będzie pochwalona
Święta Trójca,
że nie żaden babski ród — — — —
Kiedy chrzest..?
ORGANISTA. My wiedzieli, że już jest:
chór aniołów tu go wiódł...
MACIEK. Kpiny w święte popieliny!
ORGANISTA. Nie! rzecz jest wiadoma —
ziarno to nie słoma:
od dawnej pamięci
staroświeckie głoszą mowy,
że gdy człek się rodzi nowy,
aniołowie święci
pieśni mu śpiewają
i na harfach grają;

pod sam próg przychodzą
gdzie się ludzie rodzą,
albo w oknie stają
i na harfach grają...
Ino trza mieć oczy,
by ich ujrzeć w ich przezroczy,
ino trza miec uszy,
by ich w rajskiej słyszeć głuszy...

MACIEK. Widno rak ten jeszcze ślepy,
jeszcze głuchy:
tu mu nucą Pańskie duchy,
a on niby kawał rzepy
leży martwy!.. Hej! ty raku!
Aniołowie ci śpiewają
i na harfach grają,
ty wolisz pieluchy...

BABKA, w progu komory:
Szumy takie jak w przetaku,
jakby zwiewał groch w rzeszocie!
Gadaj tu hołocie!
Trochę ciszej, trochę ciszej,
matka ledwie dyszy — — —
bardzo słaba.

ŻEBRAK. Co nam matka!.. co nam baba,
gdy jest on!..

WÓJT. Dać go tutaj! Z dwoma, z trzema
jego zdrowie wypijema!
W pięciu, w sześciu i dziesięciu!
Człek jest mocny w przedsięwzięciu:
powróz starga, a cóż nić!
Takie zdrowie warto pić!..

BABKA wchodzi z nowonarodzonym.
Rozwinęłam go z pieluszek...

SZEWC. Kłapouszek...

KOPIDOŁEK. A czerwony niby ćwikła,
wszelka słabość w nim zanikła!

WÓJT. Tęgi, gruby, okazały,
będzie pełen wielkiej chwały...

BABKA. A w wnętrznościach co za siła!
Ledwiem sobie rąk domyła...
MIECHODMUCH. Sprośny młodzian, wielce sprośny!..
ORGANISTA. Będzie w świecie bardzo głośny!
WÓJT. Jednem słowem: taki chłop
to jest niby żyta snop —
ino kto go młócić będzie?..
Ale inna rzecz na względzie:
zdrowie wasze, walny kmotrze!
Niech się człowiek o was otrze
może też zadziwię świat — — —
SZEWC. Tyle lat!
A dziś jakbyś skręcił bat!
Ale prawda: człek się zmienia,
niby drzewo od korzenia
aż do liści —
cud się iści...
MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry, zbóje!
tak mu gębę zamaluję,
że w odzieży
nie poniesie gnatów w świat —
potłuczonych kości z ćwierć — — —
ORGANISTA. Sierdź się, sierdź —
tu o inne idzie rzeczy —:
MIECHODMUCH. — — czy ten potwór człeczy,
to łajno olbrzymie —
hę? —
ORGANISTA. — ma już swoje imię —?
MACIEK. Któżby, wiecie, myślał o tem?
przyjdzie pora, przyjdzie chrzest —
STOLARZ. — to i patron święty jest —
SZEWC. A jakże,
pana dyabła szwagrze —
MIECHODMUCH. Nie będzie w tem żadnej sprzeczki —
WÓJT, SZEWC, obstąpiwszy nowonarodzonego:
Gruby na pół beczki.
ŁAWNIK. Jak burak czerwony —
WÓJT. Walne wyda plony —
POPIOŁEK. Istny Marchołt — —
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie!

SZEWC. Ledwie sobie rąk domyła —
BABKA. — taka w wnętrzu siła!
ORGANISTA. Będzie w świecie bardzo głośny —
MIECHODMUCH. Taki dziś już sprośny —
STOLARZ. Istny Marchołt — —
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie
STOLARZ. Nie żal, prawda szczera —
SZEWC. — kiej matka umiera — he!
ŻEBRAK. — kiej niewiasta kona
dla takiego glona —
KOPIDOŁEK. Marchołcisko!..
WSZYSCY. Rośnij nam, Marchołcie!

Śpiew:

Narodził się Marchołt, hej!
sprośny i gruby,
dla naszego szczęścia
czy dla naszej zguby!
Radujmy się tej wesołej chwili,
radujmy się, kochani ludkowie!
Albo my go będziem w plecy bili,
albo on nas pomaca po głowie... Hej!

JEDNA Z KOBIET, wchodząc do izby:
A jušci — hej!
Rozlega się wasz krzyk
wkrąg po całym świecie — —
INNA Z KOBIET. We wsi dudni
niby w jakiej studni —
POPIOŁEK. Po co tu idziecie — ?
SZEWC. Dać wam jeden łyk?
JEDNA Z KOBIET. I jeden i dwa —
Życie krótko trwa!
Czy to chłopy same
mają się weselić?
ORGANISTA. Widzieliście damę?
JEDNA Z KOBIET. I my także chcemy się podzielić
wielką wesołością —
dajcie wódki gościom!
Narodził się nowy człek — —
ŻEBRAK. Jušci się narodził,

ino że wam nie dogodził,
bo nie baba, zasię — —
INNA Z KOBIET. — chłop!
chłop! chłopisko!
wszego złego ściek!.!
INNA Z KOBIET. Kłaniaj mu się nisko —
MIECHODMUCH. A on ciebie w czop!..
Tylko, wiecie, gdy o ścieku mowa,
zawszeć prędzej białogłowa,
winna czy niewinna,
jest niby jak rynna —
hę? — do której ścieka,
drobny deszcz — człowieka — — —
JEDNA Z KOBIET. Także człowiek!
Także ludzie!
INNA Z KOBIET. Wielkich łask szafarze!
MIECHODMUCH. Nie zamkniecie powiek
a ja wam pokażę — — —
głośno, z cicha — — —
KOPIDOŁEK. A ja tobie!..
JEDNA Z KOBIET. Hi! do licha!
Co? gdzie? w grobie?
INNA Z KOBIET. Hi! w psiej budzie — —
WÓJT. W rowie, w lesie,
w owsie, w życie — —
ORGANISTA. Kumoszeczko! śmiejecie się,
a w tym ludzkim bycie — —
POPIOŁEK. — wszystko jedno, gdzie się Marchołt rodzi!
SZEWC. Starzy, młodzi!
do roboty —
STOLARZ. Każdy znajdzie warsztat swój.
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój!
INNA Z KOBIET. — Ty mój!
INNA Z KOBIET. Ty, mój złoty,
w mem sercu niesytem — —
SZEWC. Ja tam będę rozbijał kopytem —
Niema takiej skóry,
coby mi się — — —
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój —!
STOLARZ. A ja rzeknę: hola! stój!
Szewc młoteczkiem w wielkiej biedzie — —

a pan stolarz jak heblem zajedzie,
tak się sypną wióry — —
JEDNA Z KOBIET. Ja wolę stolarza — —
SZEWC. A ja twemu stolarzowi — —
POPIOŁEK. Zgoda! zgoda!
Niechaj świat się nie rozswarza,
wszyscy będziem zdrowi —
stolarz dłoń niech szewcu poda — — —
KOPIDOŁEK. Nie zazdrośnie! nie wyniośle!
Każdy sprawny w swem rzemiośle...
MIECHODMUCH. Tak! ja, grzech to czy nie grzech,
zadmę sobie w miech... hę?..
ORGANISTA. A ja zagram na organie,
ile tchu mi stanie —
KOPIDOŁEK. A ja wlezę na cmentarną grzędę,
walnie kopać będę — —
JEDNA Z KOBIET. Tyś jest mój!
INNA Z KOBIET. A ty mój
WÓJT. Babo, stój!
ja poorzę — —
ŁAWNIK. A ja pobronuję — —
ŻEBRAK. A ja powiem: mocny Boże!
stał dziadulo raz przy drodze
z powrósłem na nodze,
dziadulina — —
SZEWC. Hahahaha!
jak kobyła tak się stracha,
nogą wierzga, zadem kręci,
pomagajcie, wszyscy święci,
może cud się zdzierży — —
MACIEK. A kto w cud ten nie uwierzy,
łotry! zbóje! — —

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH wchodzi do izby.
Biedni my świata pielgrzymi,
kroczymy w czarnej żałobie — — —
JEDEN Z GOŚCI. Co to znaczy? Zkąd w tym domu? — —
JEDEN Z BRACI POGRZEBOWYCH.
Nie czynim złego nikomu,

tylko śmierć się ugania po ziemi,
a my stopy zmęczonemi
musimy wlec się za nią,
za naszą wielką Panią...

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Biedni my świata pielgrzymi,
kroczymy w czarnej żałobie...

WÓJT. Biesie, nie biesie!
Cóż ciebie tutaj sprowadza
do wsi, gdzie moja władza?
Broń nas, o Boże łaskawy!

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Chodzimy po polu, po lesie,
gdzie drzewa schną i trawy,
chodzim, gdzie żyto pada,
i tylko to zabieramy,
co niepotrzebne jest w domu..

MACIEK. Mądrość nielada!
Niechcący doznać sromu,
powiedzcie, bezbożne chamy,
kto niepotrzebny jest u mnie?

SZEWC. A toś się spytał rozumnie!
Duszyczki młode i stare,
mały i wielki
i ten, co bierze miarę —

GŁOS Z TŁUMU. — na pantofelki —
dla szewców dobry znak —

SZEWC. Tak! tak!
My wszyscy potrzebni u ciebie —

KOPIDOŁEK. I ten, co grzebie — —

GŁOS Z TŁUMU. Na hąk z nim, na hak

STOLARZ. Tak! tak!
I ten, co układa w trumnie —

ORGANISTA. I ten, co śpiewa rekwijem —

WSZYSCY. Wszyscy, jak żyjem,
potrzebni jesteśmy w twych progach!

CHÓR BRACI POGRZEBOWYCH.
Po świata chodzimy drogach,
z żałoby chodzimy pieśniami,

śmierć postępuje za nami —
Za chwilę będzie i ona...

Znikają.

JEDEN Z ŁAWNIKÓW. Do pierona!
Co za wieści!
Człek w swej głowie nie pomieści!..
BABKA, we drzwiach komory:
Matka kona!..
POPIOŁEK. Ale Marchołt żyje!
Zgadną rozumy to czyje — —
GŁOS Z TŁUMU. Zgadną co najciekawsze!
POPIOŁEK. — Jak to zawsze
jedno drugie goni:
śmierć i życie — —
MACIEK. Pójdę do niej!

Wychodzi do komory.

ORGANISTA. Na pogrzebie i na ślubie
śpiewać lubię —
A już w takie narodziny
nie będzie w tem winy,
jeśli tu zaintonuję!
Łotry, zbóje!
Przyjaciele!
Choć jest smutek, jest wesele —
Stańcie kołem,
zaśpiewajcie ze mną społem:
Ej! Marcholcie! chwała ci, ej chwała!

BABKA i MACIEK, w drzwiach komory:
Już skonała!..
POPIOŁEK. A ja myślę, dobrzy ludzie —
I wy nad tem pomyślicie,
chociaż w trudzie:
co ważniejsze, śmierć czy życie?

I czy taki Marchołt gruby
wart matczynej zguby?
GŁOSY Z TŁUMU. Tak nam powiedz! — Mądryś przecie —
POPIOŁEK. Najmądrzejszy jest na świecie
król — — niech powie! —

Wchodzi KRÓL z orszakiem.

KRÓL. Cni ludkowie
i poddani!
GŁOSY Z TŁUMU. — Nas to rani.
— Powiedziawszy małowiele:
my obywatele!
— Gdy o lud swój, królu, dbasz,
miej na względzie
honor nasz!
KRÓL. Niech tak będzie!
Obywatel czy poddany — —
POPIOŁEK, przepraszając:
Królu, złoty, malowany! —
KRÓL. — na pośladkach zawsze siedzi!..
GŁOS Z TŁUMU. A ksiądz mówi przy spowiedzi,
że jest pan, i że jest chłop!
KRÓL. Słomy jeden snop,
jedne plewy —
Jam król tylko! — —
GŁOS Z TŁUMU. Moiściewy!
Nie o to jest sprawa!
Jeśli król przed nami stawa,
niech osądzi —
POPIOŁEK. Tak, co więcej warte:
śmierć czy życie?
KRÓL. Na jedną ja kartę
rzucam wszystko! Lecz nie o to,
cna hołoto — —
GŁOS Z TŁUMU. Panie! królu!
juścić w bólu
my wyrośli,
lecz wyrażaj się podnioślej,

bez tej wzgardy:
ból to nazbyt twardy!

KRÓL. Starostowie! wojewody!

PANI STOLARZOWA. Jaki młody!

PANI SZEWCOWA. Ma wąsiki!

GŁOS Z TŁUMU. My tylko ławniki!

WÓJT. Wójcia, panie!

MIECHODMUCH. Miechodmuchy!

ORGANISTA. Na pochlebstwa głuchy
organista, sługa boży — —

STOLARZ. Jak hebelek, tak się złoży
stolarz, królu, przed twą łaską.

SZEWC. Twoim blaskom
szewc się kłania!

PANI STOLARZOWA. Na mnie zerka.

BABKA, pchając się ku królowi:
A ja jestem akuszerka,
znam się na tym interesie —
od spowicia aż do skonu — — —

KRÓL Więc — podpory mego tronu!
Jak wieść niesie,
wielka tutaj jest zabawa!
Nie na sądy tu przychodzę,
tylko wodze
wesołości puścić swojej
w waszem kole!

POPIOŁEK. Śmierci się nie boi!
Napisano ma na czole,
że jest władzcą nade wszystkiem
nad gałęzią i nad listkiem,
nade śmiercią i nad życiem — — —

KRÓL. Z tem mojem przybyciem
trafię w sedno,
jeśli powiem: wszystko jedno,
ja czy wy!..

PANI STOLARZOWA. Jedne sny!
Jedno łoże!

PANI SZEWCOWA. Może, może
z raz wyskoczy sobie ze mną,
walny władzca, mocny pan!

INNA Z KOBIET. Dzionkiem jasnym, nocką ciemną
radabych z nim poszła w tan!
KRÓL. Z kim zechcecie, pójdę w pląsy!
PANI STOLARZOWA. Co za wąsy!
Ciepło, królu, w mej komórce,
tęgo dzisiaj napalono!
STOLARZ. Żono! żono!
kijem łeb ci ten roztrącę!
PANI SZEWCOWA. Siano u mnie na obórce
miękkie, panie, i pachnące! —
SZEWC. Przeniewiercza! Piekła! nieba!
Gdzie kochanek? gdzie twój mąż!
PANI SZEWCOWA. Dratwę trochę mocniej wiąż!
PANI STOLARZOWA. Ty nie zważaj, królu panie!
Liche jego heblowanie!
Do stolarza:
A twój rozum niech pamięta:
Co za cześć!
Będą w domu królewięta!
PANI SZEWCOWA. U mnie! U mnie! My schudzieli —
Bieda musi wszystkich gnieść —,
lecz my z hrabiów — — —
PANI STOLARZOWA. O, anieli!
A jać pono — —
STOLARZ. Żono! żono!
PANI STOLARZOWA. — z książęcego jestem rodu — —
INNA Z KOBIET. Pójdę, królu, do wywodu,
jeśli tylko łaska twa — —
Taki honor — —
GŁOS Z TŁUMU. Taki grzech!
PANI STOLARZOWA. Niech tam, niech!
PANI SZEWCOWA. Takie grzechy to pociechy —
PANI STOLARZOWA. Rozgrzeszenie ksiądz nam da.
WSZYSTKIE. W tany, królu malowany!
PANI SZEWCOWA. Ze mną w tany!
PANI STOLARZOWA. Ze mną w tany!
BABKA. Na mnie zerka. —
Jestem, królu, akuszerka!
Znam się na tym interesie — —
KRÓL. Król, czy młody, czy też stary,
na to jest, by godził swary!

Niech muzyka odezwie się!
Ani jednej nie zasmucę,
z tą wywinę, z tą obrócę,
z tą rozpocznę, z tamtą skończę!
Tamtej kożuch, tej opończę!
Wszystko blichtr jest! wszystko szych!
Nie żałować skarbów swych,
posiać niemi naokoło,
żeby raźno i wesoło
było wszystkim w kraju mym,
to przed wami jest mój prym! —

WÓJT. Sypie garście ziarn, bez plew —
Nasza kość to, nasza krew!

POPIOŁEK. Jeszcze takich słówek z ćwierć,
co nam życie! co nam śmierć!

STOLARZ. Juścić, powiem to bez bólu,
tak cię kocham, panie królu,
za te hojne, szczodre słowa,
że gdy mi się co uchowa — —

SZEWC. Królu złoty, malowany,
z moją żoną puść się w tany!
Syp nam skarby naokoło,
niech nam raźnie i wesoło
będzie w kraju twym!
Wszystko czczy jest dym!
Tak ci jestem rad,
— nasza krew ty, nasza kość! —
że i żony mam już dość!
Niech się wali świat,
a ty, królu malowany,
z moją żoną puść się w tany!

MIECHODMUCH. Hej! kto może,
sierdź się, sierdź!
Ja w pokorze
zadmę w miechy —
Królu złoty, malowany — — —

ORGANISTA. Wszystko jedno — cnoty, grzechy,
świeża gałąź, sucha żerdź!
Królu złoty, malowany,
li dla ciebie me organy —
Niema ich tu, sam przyniosę — —

KRÓL. Jasnowłose, ciemnowłose!
Gdy jest życie, co nam śmierć!
Niech tam innych boli głowa!
Co się chowa, to się chowa!
Smutny Maćku, wina lej!

MACIEK. Dziś na smutki
kielich wódki!..

Nalewa — częstuje.

KRÓL intonuje, porwawszy Babkę w objęcia:
Narodził się Marchołt — hej!

Muzyka.

Sprośny i gruby — —

CHÓR. Dla naszego szczęścia, nie dla naszej zguby —
Hej!..

Ogólny taniec; król na przedzie w pląsach z Babką.



ECTOR
BENE-
VOLE,
VALE.



Z „PÓŁNOCNEJ GODZINY".

I. GENEZIS.

Na oceanie — nieznanym, dalekim, nietkniętym myślą ludzką i głębokim jak niebo oceanie — tajemne moce wulkaniczne dźwignęły z łona ciemnej głębi nowy świat.

A świat ten był niepokalanie poczęty z niezmiernej tęsknoty i woli twórczej.

O kryształowe, zbrzeżne turnie biło wiekuiste morze. Od kryształowych, zbrzeżnych turni odstrzeliwało wiekuiste słońce. Zaś wokół drgała nieustanna światłość i melodya, promienista światłość i melodya, co przysłaniały oczom bogów ten świat, stworzony bez ich wiedzy i woli.

Na szczytach zbrzeżnych, kryształowych turni żyły orły, które ukochała nieskończoność. I gdy na olbrzymich, rozpostartych skrzydłach wylatywały w bezmiar, niecila nad niemi grozę i ognie niebieskie, niecila pod niemi burze i nawałnice. Burze światła i melodyi, nawałnice jasności i melodyi!

Na wybrzeżach głębokich zatok falowały pod słońce wonne, zielone łąki, falowały i chyliły się pod słońce aż ku stromym ścianom kryształowych gór, z których niedojrzanych szczytów staczały się z wielkim szumem spienione wodospady, — aż ku zabłękitnionym mgłą i tajemnicą dalekim borom.

I niewiadomo, zkąd zjawiały się czasem w zatokach dziwne okręty, do ludzkich niepodobne. Szły z melodyą i płynęły z falą. I niosły niepodobne ludzkim, a piękne do upojenia postacie, które podążały przez zielone łąki ku szumiącym wodospadom i myły w spienionej wodzie tułacze oczy, aby utracić pamięć zjawisk, widzianych w znikomości. A potem wracały jasne i zwiewne, jak lotne skry i błędne płomyki, na stojące w zatoce okręty. I znikało wszystko. I zostawało po nich tylko różne od światłości i różne od melodyi tchnienie, które mżyło nad łąkami, drgało otęczą nad wodospadami, unosiło się nad wodami, aż rozwiewało się w nieskończoności.

Po pniach odwiecznych dębów, paproci, lilij, cyprysów, palm, wielkorożanych drzew, jodeł i cisów pięły się olbrzymie powoje i wysoko nad koronami puszcz rozchylały w słońcu ogromne, jak największe dzwony, z wiatrem kołyszące się kielichy. A w szafirowych cieniach gajów bujała, rosła i kwitła nieprzebrana gęstwa kwiatów; kwiatów, co były jak róże, a woniały jak fijołki, konwalij o zmiennych barwach złota i purpury, storczyków, w których gałęziach jakieś czarodziejskie ptactwo wiło sobie gniazda, złocieni, których pąki otwierały się z hukiem

głośniejszym od wystrzału działowego, — kwiatów, które śpiewały jak ptaki, zachodziły łzami jak oczy ludzkie, zrywały się do lotu i błyskały jak gwiazdy, — i wielu, wielu innych, stworzonych na podobieństwo rozchylonych pocałunkiem, świeżych ust dziewczęcych, a woni takiej, jaką jest pamięć najpiękniejszej chwili w życiu.

Ze złocistych łodyg ciemno-purpurowych malw osypywały się w rwące nurty rzek wielkie, jak największe muszle, płatki kwietne, które, płynąc z falą, wydawały się z daleka różanemi i świetlistemi, jak najpierwsza na cichem niebie jutrzenka.

Nad słonecznemi łęgami, nad niezgłębionemi jeziorami przelatywały istoty kształtu gdyby człowieka i błyskawicy, a cudne jak marzenie.

We wnętrzu kryształowych gór otwierały się nowe światy: podziemia przestrzenne jak największe krainy, pełne żywej, wonnej jasności, tryskającej i zlewającej się z przezroczystych sklepień na jeziora, rzeki i kaskady płynnych metali, na olbrzymie turnie różowych, czarnych i przejrzystych jak źródło dyamentów, na mieniące się i błyskające, jednolite, napłask rzucone zwierciadła szmaragdów, topazów, szafirów, agatów, opali oraz nieprzeliczonej mnogości różnych innych drogich kamieni, które zdaleka tęczowały nito pokrajane miedzami smugi ugorów i zagonów różnobarwnego zboża i ziela. Jasność drżała i promieniała nawet od kolumn ciemnego bazaltu, okwitających u góry lśniącemi kryształami ametystu, ułożonemi na kształt liścia akantu. Olbrzymie bryły malachitu przeświecały pod światło ciemną zielenią bezdennych mórz północnych.

A wśród oślepiającej cudowności tego podziemnego świata krzewiła się roślinność odmienna od rozwijającej się pod wolnem niebem, lecz niemniej piękna i niemniejszą bujna żywotnością. Zbocza skał dyamentowych po-

rastały lasy olbrzymich mchów, na podłożu z jednolitych płyt chryzolitu lub jakby przydymionego krzemienia wznosiły się gąszcze skrzypów, widłaków, porostów i grzybów. Na jeziorach i zaciszniejszych odnogach rzek płynnych kruszców chwiały się ponoszone falą wodorosty, szumiały sitowia i trzciny, rozkładały się szerokie koliste liście grzybienia, obok szkarłatnego, białego i złocistego, dyszącego stłumionym blaskiem fosforycznych wyziewów kwiecia jaskrów, skrzących się jaśniej od kręgu słonecznego, i srebrnych, płytkich czar lotosów, nalanych senną wonią.

Gdzieś z ziejących bezdni wirów oceanowych, na szafirowych, przymglonych tłach oddali, wybuchały w gwiaździste noce purpurowe kolumny ogniotrysków, smukłe u dołu, a rozszerzające się ku górze gdyby kielich kwiatu. Tryskały wzwyż, potem nagle przewężały się w połowie, jakby ujęte w poprzek olbrzymią ciemną dłonią, drżały przez chwilę na powietrzu nito spadające gwiazdy, zataczały płomieniste łuki, a wreszcie gasły i znikały, czyniąc na widnokręgu ciemność i zadumę nocy głębszą i tajniejszą.

I nigdy tam nie pożółkł ani jeden liść, nie zwiądł ani jeden kwiat, nie zeschło najdrobniejsze źdźbło trawy, nie rozsypał się kryształ i nie przygasł promień. — Przemiana treści i kształtu odbywała się niedostrzegalnie bez oznak rozkładu i śmierci. Nie było czasu dojrzewania i owocowania, nie było czasu przeżycia ni obumarcia. Nie było początku ni kresu i nie było przyczyny ni celu. We wszystkiem biło tętno wieczystej młodości, krasy i siły.

I był tam czar nieznniernej tajemnicy i niezmiernej oddali. I była moc i piękność niczem nietkniętej dziewiczości. I były tam rzeczy, dziwy, marzenia i myśli, które raz tylko jeden jawią się największym z ludzi w jasnościach snu, a nigdy w mrocznych godzinach czuwania. Były cudy, których nie zdoła uczynić wszechmoc boska,

ani nieśmiertelniejsza od bogów dusza ludzka. Było ciągłe objawienie nieskończoności, rozmiłowanej w przejasnej krasie i niespętanej twórczej potędze. Była we wszystkiem i wszystko było w niej.

A świat ten był niepokalanie poczęty z niezmiernej tęsknoty i woli twórczej, bez wiedzy i woli bogów.

II. W OGROJCU.

Ileż to razy marła mi dusza w twych unicestwiających uściskach i szedłem na dno z myślą o tobie, ciężko, bezwładnie, jak trup z ołowianą kulą u nogi! O, jakże często w głuchem podziemiu zapomnianego grobu twojego huczał wzgardliwy śmiech mój, bluźniąc twym prochom i pamięci twojej:

acz żałość wielka łkała mi w piersi, a dusza składała więzie swych najczarniejszych cyprysów na grobowca twego marmurową biel.

Precz odpędzałem ongi niewidzialne rybitwy kornych twych tęsknot, odtrącałem twe słodkie ramiona, co niewidzialnie niosły mi pieszczotę i upojenie. Oh, dumna wola ścinała myśli w anielstwa wyniosłego posągi! Chciałem być sam w łodzi mej tułaczej, co gore w ciemną noc na oceanie.

A wiesz ty, jakie mijałem wybrzeża, jakie lądy, jakie na szczytach złote ognie? Pomnisz złowieszcze czarodziejstwo snu?

Wypiłem płomię zimnych źrenic twoich, urosłem w falę, co w swym krysztale niesie z pod bieguna mistyczne łuny zorzy polarnej, by w blask roztajać i w złotogłowie południowych mórz. Sam sobie jestem wielką tajemnicą —

zda mi się niemal, iż opętałem serce gwiazd —

gwiazd mi nieznanych, tajnych, dalekich, a jednak odbitych w głębi fali mojej.

Na iluż to rozdrożach krzyżowałem bolesne tęsknot mych anioły!

Znam nudę świętości, błahość tryumfu, gorycz marzenia i wstręt, bezbrzeżny, wiecznie czujny wstręt. Pękł w mojej dłoni zawodny brzeszczot czynu. Niechaj nim walczą węże!

Jesteś najciemniejszym snem mojego życia. Odgadłem smętną twoją tajemnicę. Męką twej duszy było istnienie, a człowieczeństwo zniewagą. Byłem jej bratem za dni przedwcielenia, lotność jej orlą miłowałem i jej lwie godło. Więc ci tej skazy przebaczyć nie mogę. I nie zapomnę królewskości twej.

Dlaczego żaden nie ziścił się sen, dlaczego z żadnej zadumy nie rozokolił się step, jarzący się w sinej poświacie miesięcznej? nie wybuchnęły z pod ziemi hufy olbrzymie, idące naprzód z złotym chrzęstem zbrój?

Ogrójce moje zamknęły się za mną. Surowa, bujna ziemia dymi. W srebrnych opyłach czernieją cyprysy. Z oliw pobrzeżnych nad cichą wodę zwiesza się księżyc jak lampa złota. Żal mój jest gdyby dzika woń traw.

Na dalekościach wykwitły płomienie. Wracają moi! Wracają bracia! W swych lotnych łodziach mnogi wiozą łup:

z murów świątyni wydarte podwoje, posągi, księgi, klejnoty i zbroje, gołębie stado niewolniczych dziew! —

Módlmy się:

— Po trzykroć chwała wielkiemu życiu i chwała wielkiej, twórczej duszy ludzkiej — — —

Oh, zjawo blada, czemu mi rzucasz swe żałobne cienie na roztęczone złotogłowie mórz?



Stanisław Wyrzykowski.

Z UTWORÓW G. CARDUCCI'EGO.



NAPRZÓD! NAPRZOD!

I

Naprzód, hej naprzód, rumaku poezyi burzliwy!
Niech w siodło ci skoczę, twej szorstkiej chwyciwszy się grzywy,
Biegunie dziki ty!
Dla nas — pył gonitw, wzruszenia, bój wichrów w przestrzeni,
Wód szumy gwałtowne a dumne, z rozbitych krzemieni
Pod kopytami skry.

Włoskie człapaki włos mają trefiony od młodu,
A miękkie gazony, ozdobne trawniki ogrodu —
Miejscem zapasów ich;
Tam to harcują w obliczu zalotnych kochanek,
W takt grzywa powiewa, w kwiat zdobna, wstąg wianek,
Wkrąg gędźba, radość, śmiéch;

Skoro zdaleka pył biegu naszego spostrzegą,
W łuk karki gną nędzne, stal gryzą munsztuka twardego
I — zda się — rżą nam: — Stój! —
Klacz, co drożyną się wlecze od kurzu zbielałą,
W czapraku, rzemieniach, kryjących kościste jej ciało,
Krok powstrzymuje swój.

I, wspominając wiek młody, stadniny tętenty,
Stajenkę swą ciepłą, żłób pełny, karm' z łąki nietkniętej,
Ze zgrozą widzi nas.
A my — za widmem miłości nieznanej — przez słońca,
Przez gwiazdy, etery — rycerze zaklęci — bez końca
Przez przestrzeń gnamy, czas.

Naprzód, hej naprzód, burzliwy rumaku, mój druhu!
Czy widzisz, paryjską białością na wzgórz tam łańcuchu
Jak stary błyska chram?
Widzisz, jak tam Andżeliki zasłona złotawą
Na niebie lśni chmurką? — O, witaj nam, sławo,
Wolności, witaj nam!

II.

W pierwszych mych latach, o sławo, już w serca głębinach mi wzrosła,
W dumnem, wyniosłem milczeniu, i miłość ku tobie wyniosła!
W laurów posępnej ozdobie wspaniały wysokich rząd czół
Z zimnych marmurów rozpalił mi w łonie rażący blask złoty —
I porzuciłem maj wonny, i dziewcząt tańczących pustoty,
I ich ramiona śnieżyste, po których włos płowy się snuł.

Wszystko, co wtedy tak łatwo młodzieńcze dawały mi lata,
Wszystko oddałem z zapałem za łzawy uragan trosk świata,
Za uściśnienie powietrzne przyszłości niepewnej mdłych mar.
O, ty, olbrzymi posągu bronzowy nad skałą spiętrzoną,
Wielcy snadź tylko dosięgną stóp twoich, na zimne twe łono
Złożą, znużeni, skroń zimną i życia już gorzki im dar.

Dziksze wszak, grzmiące porywy miłości i gniewu ludzkiego
W serca głębinie zażegły mi dwie te ostatnie, co strzegą
Świata, boginie: swoboda i słuszność — płomiennym swym tchem;
Śniłem, żem wieszczem-prorokiem er nowych italskiej krainy,

Strof mych, że w niebo aż grzmocą, jak miecze, płomienne drużyny,
Że uskrzydlone — jak pożar — po wszystkie granice mkną ziem.

Ach, lecz przy muskułach twardych czem mogą skrzydlate być rymy?
Z mieczem żelaznym w prawicy, jak burza, przez wrzawę i dymy
Rzuca się, tygrys szlachetny, w namiętny szał walk Desmoulins:
Gruz wnet — z Bastylii! A dalej, tam turze ot ramię Dantona
Śmie, o respubliko, tłuszczy narodów, co czeka spragniona,
Nagie okazać, o niepokalana, bez szat łono twe!

Dla nas daremne walk rzuty. Ty padłeś, o drogi Mameli,
Z modrą źrenicą utkwioną gdzieś w niebios rozwartej topieli,
Padłeś mi, druhu, od hymnów natchnionych w bój biegnąc; jak kwiat
W duszy ci śmiała się wiara młodzieńcza, gdy piękną swą głowę
Mrąc pochyliłeś na piersi w omdleniu, a trójkolorowe
Wiały chorągwie i Rzymu cień gwiezdny na czoło ci padł;

Lecz, zanim dusza ci z ciała uciekła, nad zbladłe twe czoło
Święta respublika ramię potężne ściągnęła, wokoło
Władzę objąwszy od słońca zachodu do Romula wzgórz! —
Ja zaś tyrana i raba wkrąg widzę, ofiarę i kata,
Czuję, nad głową jak lotnie pierzchliwe uchodzą mi lata:
— Co on tam śpiewa — szept słyszę —posępny ów złudzeń swych stróż?

Śpiewa i do snu kołysze żałosne widziadła swych marzeń,
Nie wie, co wstrząsa dziś światem, i nie dba o zmianę wydarzeń. —
Słuchaj mię, ludu Italii, coś życiem jest wszystkich mych dum,
Słuchaj mię, stary tytanie z zamarłą już dawnych lat sławą!
Podłość twą w twarz ci rzuciłem — — rozgłośnie odkrzyknął mi:
I w pogrzebowe me wiersze ustroił puhary swe tłum! [„Brawo!“

III.

Naprzód, hej, naprzód śpiesz, hymnów skrzydlaty rumaku!
W niepamięć los puszczę — na jazdy szalonej twej szlaku —
I dni posępnych ciąg.
Pomnisz, mój piękny biegunie, jak pierwsze twe skoki
Sokoły radośnie witały, wzlatując w obłoki,
Jak bawół ryczał z łąk?

Pomnisz te nagie wybrzeża toskańskich wód toni,

Gdzie ponad zasianą równiną pochmurnie się kłoni
Feudalnej wieży słup
I, ze swym cieniem podłużnym, z wyżyny przyległej
Grobowych snów strzeże miast w gruzach, co legły
W zaroślach u jej stóp?

Duszny sirocco tam dręczy figowce spragnione,
Co z ponad olbrzymich skał złomów, wieczyście zielone,
Chwieją się w tył i w przód;
Na te skaliska to kupcy tyrreńscy przed wieki
Drapali się śledzić fenickich bark żagle w dalekiej
Przestrzeni modrych wód.

A Populonię, Roselle, a stołb niedostępny
Ów Donoratycki — pamiętasz, gdzie hrabia posępny
Ugolin bił do bram,
Gdy, pod Meloryą straciwszy swą tarcz i sztandary,
Zdjął hełm tutaj z czoła, przed którem w otchłani Dant stary
Ze zgrozą zadrżał sam?

Dziś tam (o słodkie wspomnienie!) dąb wielki na straży
Nad mostem zwodzonym coś szemrze, a pod nim znów gwarzy
O hrabi łowiec rad;
W łunach szkarłatnych wieczoru nad wieżą niewierną
Zgłodniałe sokoły latają wciąż z wrzawą niezmierną,
Pies patrzy ku nim w ślad.

Tam ze mną rosłeś, płomienny rumaku mych pieśni,
A głaz pelazgijski, tyrreńska jaskinia w skał cieśni
Ołtarzem były nam;
W ciszę południa skwarnego grobową, tajemną,
Królowie, augurzy odwiecznych praojców mych ze mną
Rozhowor wiedli tam.

Tam-eś żył, koniu mój, ziarnem, co w glebę stuleci,
Przez konsulów rzymskich mieczami zoraną, w zamieci
Walk ciągłych, zamiat soch,
Dant rzucił, nowy ów kapłan etruski, by kwiecie
Ztąd maja trzeciego wykwitło na dziw w całym świecie,
Jedności święta Włoch!

Pośród walk z Niemcem i psalmów chrześciańskich, to ziarno
Przy pracy swobodnej rolnika nad skibą swą czarną
Wzrastało z dnia na dzień;
Kto się niem karmił, mój dzielny biegunie, potężne
Ma muskuły, nerwy i serce wytrwałe a mężne,
Szlachetnych pełne drgnień.

Skaczę więc, koniu Apolla, na grzbiet twój skrzydlaty
I wodze na kark ci porzucam, pędź choćby za światy,
Pędź, dzielne zwierzę, w cwał!
Depcz przeciwnikom w tym pędzie i łona, i głowy,
Aż zbroczysz kopyta w potworów tych krwi purpurowej — —
I dla nas wiosny szał,

Wiosny pagórków italskich, i kwiecia, i zboża,
Tej wiosny duchowej, gdy znów człek na uczuć bezdroża,
W myśli się rzuca las!
Lećmy, aż grom nas Jowisza dosięgnie w chmur łonie,
Oczyści i spali, lub potok spieniony pochłonie
Rumaka z jeźdźcem wraz,

Albo aż z siodła gwiezdnego sam zstąpię i, zorzę
Światłości i widzeń unosząc, do snu się położę
W toskańskiej ziemi w grób.
Wtedy przy brata mogile odpocznij pochmurny,
Skub liść koniczyny, co rośnie z antycznej tam urny
Na słońcu u jej stóp.

WSPOMNIENIA ZE SZKOŁY.

Był koniec czerwca, był czarownie piękny
Dzień messidora żyznego; weselnie
W objęciach słońca rozpłonęła ziemia.
Jak potok ognia lało słońce blaski
Na rozpaloną niebios toń; pod boskim
Jego uśmiechem i morze się śmiało.
Ja się nie śmiałem, dziecko: ksiądz posępny
Chrapliwym głosem bluźnil *amo, amas,*
A w twarzy jego znać było znudzenie.
Tymczasem w okno szkoły zaglądała

Zuchwale wiśnia i koralowemi
Błyskała wabnie w słońcu owocami,
Tajemne baśnie szeleszcząc z wietrzykiem.
Tu, zapomniawszy o księdzu, o długich
Czarnych kolumnach nudnych konjugacyj,
Co wyglądały na zżółkłej stronicy
Jak sznurki mrówek na glinie siwawej, —
Pełen pragnienia, puściłem za okno
Oczy i myśli, na góry, na niebo
I na błyszczącą w dali smugę morza.
Tysiącznych chórów ptasich harmonijne
Głosy mięszały się z światła powodzią.
Z rozśpiewanemi gniazdami ich stróże,
Prastare drzewa i młode krzewiny,
Zdały się gwarzyć, a pszczoły brzęczały,
Kwiaty wzdychały, śniąc o pocałunkach
Motyli; trawa i piasek złocisty
Tysiącem żywych roiły się istot
I drgały lekko pod tchnieniem miłości.
Jasne pagórki, w mgły owite góry,
Zbóż płowe łany, śród gajów i winnic
Płonących złotem sennie falujące,
Bór ciemny w dali, liście żywopłotów,
Bagno zielone, — wszystko w blaskach słońca
Zdało się święcić wieczną młodość swoją.
Nagle—sam nie wiem, w jaki sposób—z owej
Krynicy życia wytrysła mi w sercu
Przerażająca myśl o śmierci, z nią zaś
Myśl o bezkształtnej nadeszła nicości.
I naraz jąłem porównywać owo
Uczucie życia nieskończone z groźną
Martwotą: w czarnej widziałem już ziemi
Swe ciało nieme, zimne, nieruchome,
A tutaj ptaków słyszałem wesołe
Śpiewy, drzew gwary, rzek szumy przeciągłe
I radość żywych istot, które słońce
Boskiemi swemi oblewało blaski; —
I nagle-m pojął w całej pełni grozę
Śmierci i strach mię przejął rzeczywisty.
I jeszcze dzisiaj ta śmieszna dziecięcej
Fantazyi mara stoi mi w pamięci

I zawsze, niby strumień lodowatej
Wody, na sercu ołowiem mi ciąży.

IDYLLA MAREMMAŃSKA.

Z blaskami nowej wiosny, których rosa
Różana pada w mą izbę, — jak żywa
Wstajesz mi w sercu, Maryo złotowłosa;

A serce, w którem burz tylu ogniwa
Starły twój obraz, o pierwsza miłości
Moja, — przy tobie słodko odpoczywa.

Gdzie-ś ty? Bez ślubu, męża, w samotności
Nie żyjesz dotąd: pewnie wieś rodzona
Szczęścia ci, matce i żonie, zazdrości;

Toć kształtne boki i pierś utoczona
Rozkoszy nazbyt aż obiecywały
Mężowi, gdy cię przyciśnie do łona.

Dzieciaków pewnie wisiał rój tam cały,
Silnych, co teraz wskakują na konie
Dzikie, w twem oku szukając pochwały.

Jak piękna byłaś, dziewczę, gdyś przez błonie,
Śród falujących zbóż, wolnym szła krokiem
A z wieńcem kwiatów igrały twe dłonie!

Smukła, śmiejąca, z pod brwi ciemnych okiem,
W którem tęsknota namiętna się pali,
Spojrzałaś na mnie — błękitnem, głębokiem!

Jak modry chaber w kłosów płowej fali,
Tak mi to oko błysło lazurowe
Z twych złotych włosów: — przed tobą i dalej

Naokół skwary płonęły lipcowe;
Tu — owdzie — słońcem lśnił w liści gęstwinie
Kwiat granatowy, skry sypiąc różowe.

Gdyś przechodziła, jak na swą boginię
Patrzył paw piękny i ogon stuoczny
Otwierał, z krzykiem sunąc po drożynie.

Ach, jakiż odtąd mój żywot był mroczny,
Zimny i marny! O, było za żonę
Wziąć mi cię, Maryo, w tej dobie wyrocznej!

Lepiej bez drogi przez puszcze zamglone
Za pierzchającym gnać bawołem czarnym,
Który się kryje w zarośla zgęszczone,

Niźli się pocić nad wierszykiem marnym!
Lepiej zapomnieć w pracy tajń wszechświata,
Niż — by ją pojąć — uznać się niezdarnym!

Teraz czerw' myśli w głowie mi kołata,
Żre mózg — a jednak boleść wieści głucha,
Że to, co piszę, pisać — czasu strata.

Muskuły, serce zniszczył mi szał ducha,
Kości złamały społeczne niedole,
Szarpię się próżno i zrywam z łańcucha.

O wy, szumiące na wietrze topole
W alei długiej! Wiejska w cieniu ławo,
Gdzieśmy w niedzielę siadali w półkole!

Tu błoń zorana mieni się szarawo,
Tam wzgórz zielonych sznur, a owdzie morze
Z żaglami — w prawo cmentarz zrosły trawą!

O, błogo pędzić chwile w rozhoworze
Drużnym w południe, albo przy kominie
W wieczór zimowy, gdy wiatr dmie na dworze!

O, lepsza sława, gdy w wolnej godzinie
Maluję dzieciom prób ciężkich tysiące,
Trudów, zasadzek w górskiej rozpadlinie,

I, mówiąc, palcem wskazuję ziejące

Rany odyńca, co krwią broczy ziemię, —
Niż gdy w złośliwej satyrze zatrącę

Nędzne pismaków i świętoszków plemię!

WÓŁ.

Kocham cię, dobry wole; ty wlewasz mi w łono
Błogi spokój, uczucie potęgi pogodnej,
Czy to stoisz poważnie, jak posąg, z wpatrzoną
Źrenicą w niezmierzony pas pól wolny, płodny,

Czy też w jarzmie, pług ciągnąc, z głową pochyloną
Idziesz, miarkując krok swój z krokiem człeka zgodny:
On pogania cię, kłuje, — czemu cię skarcono,
Zdajesz się pytać, wzrok nań zwracając łagodny.

Z wilgotnych, czarnych nozdrzy twych, smugą w przezroczu
Widzialną, płynie oddech; jako pieśń wesoła,
Przeciągłe ryki w jasnem powietrzu gdzieś giną;

A w słodyczy poważnych, błękitnych twych oczu
Zwierciedli się ta wielka cisza, co dokoła
Nad zieloną bez granic króluje równiną.

ROZMOWY Z DRZEWAMI.

Co ocieniasz samotne skały i doliny,
Już cię nie kocham, dębie senny, zamyślony
Boś dał młodych gałązek zielone kończyny
Dla dzikich najezdników na wieńce, korony.

I za tobą nie tęsknię, nie wielbię cię, płonny,
Kłamny, hańbiący laurze, co — pośród równiny
Pustej zimą — podnosisz obcy strój zielony,
Lub liśćmi kryjesz rzymskich cezarów łysiny.

Kocham cię, łozo winna, co maisz stok szary

I, dojrzewając, uczysz w pogodzie słonecznej,
Jak troski życia topić w toni zapomnienia.

Ale więcej czczę jodłę: ta na schludne mary
Daje mi cztery deski, w których na sen wieczny
Spoczną burze mych myśli i próżne pragnienia.

PRZED URNĄ PERCY BYSSHE SHELLEYA.

Lalage, wiem, jaki sen ci w serca powstaje głębinie,
Wiem, jakie szczęście stracone błędna twa ściga źrenica.

Złudą jest chwila dzisiejsza; ledwie uderzy, już pierzchnie;
Tylko w przeszłości jest piękno, w śmierci jedynie jest prawda.

Stawia na górze stuleci Klio płomienna polotną
Stopę, i śpiewa, i dumne rozwiera skrzydła ku niebu.

Pod jej lotem przestwornym świat rozsłania, rozświeca
Swe cmentarzysko niezmierne, w twarz mu śmieje się słońce

Wieku nowego. O strofy, młodzieńczych lat moich myśli,
W kraj swoich dawnych miłości ulećcie teraz bezpiecznie;

Lećcie przez nieba, przez niebios wielką pogodę, gdzie piękny
Ostrów czarownie się jarzy w mórz tajemniczych odmęcie.

Wsparci na włóczniach tam Zygfryd i Achill, smukli i płowi,
Błądzą, śpiewy zawodząc, u morza grzmiącego wybrzeży.

Kwiat temu daje Ofelia, bladego rzuciwszy kochanka,
Do tamtego od obiat Ifigeneja przychodzi.

Śród zielonej dąbrowy Roland z Hektorem coś gwarzą,
Djamentami i złotem roziskrza się w słońcu Durandal.

Andromacha tymczasem do piersi ciśnie synaczka,
Piękna Alda, bez ruchu, na męża srogiego spogląda.

Lear długowłosy się zwierza z niedoli swej Edypowi,
Edyp okiem niepewnem wciąż jeszcze Sfinksa szuka.

Zbożna woła Kordelia: — „Biada, pójdź, Antygono,
Pójdź, siostrzyco ma grecka! Zwiastujmyż ojcom raz pokój!“

Mirtów cieniem w zadumie Helena przechodzi z Izoldą,
Zachód różany z uśmiechem przegląda się w złotych ich włosach.

Patrzy na fale Helena; Izoldzie otwiera objęcia
Marek, i płowa głowa na długą brodę mu spada.

W jaśni miesięcznej nad brzegiem ze szkocką stoi królową
Klitemnestra; śnieżyste nurzają się w morzu ramiona,

Cofa się morze wezbrane krwią gorącą: żałosny
Jęk nieszczęsnych rozbrzmiewa wzdłuż skalistego wybrzeża.

O, daleka od życia, od twardych prac śmiertelników,
Wyspo kobiet przecudnych, wyspo cnych bohaterów,

Wyspo poetów! Pianami śnieży się ocean wkoło,
Klucze ptaków nieznanych pod niebem latają płomiennem.

Trzęsąc laurami niezmierna przewala się w dal epopeja,
Niby wichura majowa nad wielkiem niw falowaniem.

Jako gdy Wagner potężny dusz nagle tysiąc rozpęta
W łonie dźwięczących metali, — serce w człowieczej drga piersi.

Ach, lecz na ostrów ten żaden nie wstąpił już z nowych poetów,
Ty chyba jeden, Shelleyu, duchu potężny tytana

W ciała dziewiczej postaci: z boskich objęć Tetydy
W lot cię porwał Sofokles i w chóry wwiódł bohaterów.

O serc serce, nad urną, co zimne twe kryje popioły,
Wonie, ciepło i blaski wiosna śle rozkwiecona.

O serc serce! Promiennem — słońce, ojciec niebieski,
Miłowaniem cię tuli, biedne, nieme już serce.

Swieże pinie się chwieją w wielkich dziś Romy powiewach:
Ty, wolnego nareszcie, gdzieżeś jest, świata poeto?

Gdzie-ś jest? czyli mnie słyszysz? Wzrok mój pierzcha wilgotny
Po za mur aureliański na chmurną, daleką równinę.



PRZEŁOŻYŁ Miriam.



KARYATYDY STRĄCONE.

Przelotnym półuśmiechem zadowolenia i pogodnego współczucia witałem zawsze dwie Karyatydy, stojące u wejścia pewnego domu.

Majestatycznie i polotnie dźwigały na barkach swoich ociężały kamienny balkon, owiany kaskadą bluszczu i flirtujących bratków o cichem rozłzawionem wejrzeniu.

Kiedy rzeźwiące tchnienie poranne oskrzydliło ulicę, a blado-złote pasma wstającego słońca oprzędły attykę, gzemsy i festony, — żartki płomień ocknienia przenikał bronzowe ciała Karyatyd: — ich muskularne torsy, wyolbrzymione barki, zwarte, zastygłe w trudzie ramiona drgały tętnem życia i beznamiętną pogardą dla nieobarczonych.

Karyatydy nie mówiły wiele; czasem tylko zwiewny pośmiech wyginał prostolinijne usta, darząc strzałą kró-

lewskiego współczucia pierwodzienne uznojenie zamiataczy pracujących o świcie. Zresztą półsenne milczenie trzymało z lekka błękitny palec swój na ustach bogiń dźwigających, a w zagiętkach kamiennych szat zdawał się panować jeszcze niepodzielnie wysmukły cień o melancholijnie zazdrosnej twarzy. —

Ale war dnia robił swoje.

Po zwilgotnionych flizach chodnika przesunął się długi, apatycznie szary wąż robotników fabrycznych.

Z otwartych na ścieżaj bram wypełzły ciche, samotne postacie kupujących i spiesznie rozbiegły się na wsze strony...

Mijały chwile...

Na balkonie zjawił się jasny szlafroczek w śmiałe błękitne rzuty i jął podlewać półsenne kwiecie; woda spływała po rozchwianych na wietrze zielonych wstęgach pnączy, darząc przechodniów niewinnie filuternym dżdżem złoconym w przelocie. Karyatydy dobrotliwie poglądały na wesołe harce kwiecia, zefiru, roztęczonych kropel wody i na zdziwione twarze przechodniów, zagabniętych znienacka. —

Wtedy to Karyatydy rozpoczynały krótką rozmowę poranną.

— Ożywcze światło wlewa moc w kamienne żyły nasze, ale długo-rzęsy spoczynek, o matowej twarzy, nie złożył dotąd całunku ukojenia na czołach naszych.

— Zapewne poszedł tulić słabych, tęskniących...

— I... mniej wyniosłych.

— Pamiętasz, siostro, śmiałka, co chciał dotknąć ust twoich i piersi? —

— Pomnę: — nazywał siebie snem rozkoszy i rozmarzeniem wieczornem, lecz dążąc ku mnie, zwalił się, strzaskawszy głowę o kraj złomu, na którym stoję.... Chciałam wtedy skruszyć żelazne więzy, opierścieniające

mi ramiona, rozkiełznać wolę swoją i runąć razem z nim i z tymi, których dźwigam, — ale żal mi było ofiar nadaremnych, — zawarłam przeto miłość swą w nieogarnionem współczuciu serc spętanych i odtąd wyniośle pełnię dostojną służbę moją... —

W tej chwili rozciekawione milczenie zsunęło się nieznacznie po złotawo-szarej obrzeży muru i zbłękitnioną falą ciszy przesłoniło usta Karyatyd...

Naokół szeroką zwrotną wstęgą płynęło życie dnia. —

Rój ponętnie wonnych kobiet rozsypał się barwami opalu i migotliwą grą błyskotnych oczu rozpłomienił ulicę...

Wartkie tętno południa pulsowało śpieszniej... goręcej. —

Wreszcie, na szybkolotnym wozie nadbiegł senny upojeniem, rozkosznie omdlewający — Zenit: cicho wstrzymał rwące bieguny i — stanął. Wszystkie twory żywe zapatrzyły się w jego złotem lśniący wóz o pogodnej, leniwie rozkołysanej linii — i poczęły chciwie pić nektar sennego czaru oplatającego zmysły.

Nawet ruchliwe wszędobylskie cienie skurczyły się i ociężały pociesznie...

Na odchylonnych z lekka ustach Karyatyd przysiadł płochliwy, złotowłosy rozwiew szczęścia i — zastygł. —

Po chwil zabiegliwe skrętne życie dnia, znowu na długo weszło w prawa swoje...

Wieczorem — jakieś zbłąkane, rzeźwiące tchnienie pól ze zdziwienia zawisło w powietrzu. Bladawy rozblask księżyca szeroką smugą legł u stóp Karyatyd, tworząc niespodziane a subtelne kontrasty barw, ginących w otchłannej paszczy bramy —

Na balkonie bawiono się wesoło: — ciemna opaska

zieleni pieszczotliwie tuliła jasne postacie kobiet, harmonizując przedziwnie z falami srebrnego śmiechu i ponętnym szeptem rozbawionych. —

Tymczasem bronzowe, połyskliwe ciała Karyatyd tonęły prawie w granatowej czerni, bijącej od ścian i balkonu. Ich olbrzymiejące surowe kontury nabrały niezłomnej powagi i królewskiej mocy — NIEZASTĄPIONYCH.

Przez rozedrgane płochliwe fale śmiechu przedarł się szept bogiń.

— Prawda, siostro, że moc nasza pozwala nam gardzić tymi, co nie znają godzin trudu i uznojenia? —

— Albo raczej — litować się beztwórczej ich doli. —

...Dalsze słowa zwiał przelotny wietrzyk, szukający chwilowego spoczynku po tryumfach wieczoru...

Tak płynęły długie dni, miesiące i lata...

Aż przekorny traf zdarzył, że właściciel budowli, o której mowa, zachciał unowożytnić dom swój. Nie wiem, czy chodziło mu o pretekst do podwyższenia czynszów dzierżawnych, czy poprostu o uzewnętrznienie postępowej swej duszy — dość, że, nim minął tydzień, postawiono sztandary rusztowań, zasłano pomosty, i kilka dziesiątków par rąk jęło ucieleśniać sławetne myśli przerabiaczy.

Szczęk narzędzi, charkot rozbijanego muru, odgłosy przekleństw i nawoływań, tonących w obłokach pyłu i gruzu, — opierścieniły wszystko. —

Dopiero po kilku tygodniach zamętu i oczekiwania, z poza rusztowań i białych figur malarzy, lękliwie wyjrzały kształty nowe. —

Rozkiełzane, obłąkańcze linie pracowicie wymuszonej „secesyi“ rozpacznie wydzierały się z objęć pogodnego „odrodzenia“, tworząc bezkreśnie trwający rozdźwięk...

Karyatyd już nie było; zastąpiono je wspornikami anemicznej struktury, które, pod ciężarem kamiennego balkonu, zdawały się giąć ku ziemi i resztką sił przeraźliwie wzywać ratunku.

Nadeszła jesień. —

Wiatr ospale zwiewał jakiś zbłąkany liść, snujący się po bruku, gdy na podwórzu odświeżonego domostwa podjęto sponiewierane figury, by w imię modnego, utylitarnie estetycznego zwyczaju postawić je przy wejściu do jednej z oficyn. —

Ociężale i chmurnie wzniosły się dumne niegdyś głowy Karyatyd. — Ich obrzękłe od długoletnich trudów ramiona spotworniały widocznie w rozłamnym stanie bezczynu i poniżenia; — oliwkowe ciała nabrały zielono-zgniłych plam, rozpływających się w szarej, wyprzałej atmosferze poranka.

U poszczerbionych podstaw stanęło bezzębne osłupienie i bezczelnie-padalczym wzrokiem obnażało srom bogiń strąconych. —

Długo stały Karyatydy bez skargi... Ale żałosny bursztynowo-licy rozwiew jesienny kusił do zwierzeń. Jak duże krople łez spadających w kryształowe urny zapomnienia, potoczyły się słowa beznadziei:

— Bezsłoneczna moja!.. odjęli nam szczęście i krasę, jako ściętym drzewom koronę złoto-zielonych liści i ramion wzniesionych ku szczytom.

— I moc naszą wzięto również, — bo czemże jest ramię silne, konwulsyjnie dźwigające próżnię.

— Pod ciężarem nicości gną się potężne bary nasze, a wyniosłe czoła padają w pomrok i upodlenie.

— Wielką jest moc Beztreści...

— I życiozwalną...

I znowu spłynęła fala czasu nad głowami strąconych.

Podwórzowa społeczność poufaliła się z niemi szybko. Z początku poglądano na wyniosłe postacie ze wzgardliwie-nieśmiałem zdziwieniem; ale ktoś obrzucił je nazwą: „murowane panny“, i ten epitet, czy może czas poprostu, rozpętał palce natarczywości pospólnej.

Pewnego ranka na odchylonej nieco dłoni jednej z Karyatyd, półpijany woźnica powiesił zabłocony, przegniły łachman od czyszczenia kół i stopni powozu.

To ośmieliło innych: stróż za kamienną postacią począł chować miotłę, opierając ją niedbale o głowę bogini.

Niekiedy wieszano na niej jakiś pstry, wydeptany dywan dla przewietrzenia, — to znowu dziatwa podwórza obrzucała pogodną twarz bogini grudkami błotnej ziemi lub gruzu, ćwicząc celność oka i dłoni.

Czasem blady pośmiech słońca obwiesił szychem zdawkowego uznania — oplwaną błotem postać Karyatydy; lubieżnie gładząc jej biodra, spływał do kolan i niknął w fałdach szaty. Wtedy zbrukany łachman płonął rdzawym blaskiem, a godło ulicznego porządku, szeptem ociekających kropel brudu, gwarzyło nad uchem strąconej.

Na drugą los był „mniej łaskawy“.

Zrzadka jeno i z lekceważeniem muskały ją promienie słońca — stała chmurna i chłodu pełna. Nie wieszano na niej ścierek ani dywanów. Sąsiedztwo okna jakiejś pracowni chroniło głowę jej od błotnych pocisków i zwierzeń miotły ulicznej. Tylko któryś z synów stróża odwiedzał ją każdego ranka i wieczora, a niekiedy częściej. Wytropił on był, że część podstawy „murowanej panny“ daje się wyjmować i wkładać z powrotem bez trudu (wykruszono ją pewnie przy lekceważącem ustawianiu sponiewieranych kolosów). Wyjęty złom odsłaniał niewielką przestrzeń pustą, gdzie szczęśliwy odkrywca

począł chować najcenniejsze zabawki przed okiem zbyt natrętnych towarzyszy. Niebawem zjawiły się tam nadłamane kolorowe ołówki, skrawki zagadkowo pokreślonego papieru, kilku fantazyjnie wystrojonych żołnierzy, i jakaś szpilka od włosów, koloru krwi zaskrzepłej w złocie. — Wieczorem zabawki szły spać. Rano uchylały się ciężkie podwoje i z miniaturowej groty wyciągano je znowu na jaśnię. — Niekiedy przecie mijał dzień i mały posiadacz nie mógł zbliżyć się do swoich skarbów. Zabawki dąsały się nieco, gdyż nowa siedziba nie należała do wygodnych, zwłaszcza krwawo-złota szpilka sarkała mocno, tęskniąc za wonią i miękkością kruczych włosów, które tuliła niegdyś.

Ale skarby poczęły rosnąć: przybył jakiś świeżo podmalowany oficer papierowej armii i kilka szpulek z resztkami niezmotanego jedwabiu. W grocie miejsca zbrakło. Młodociany właściciel nie dał jednak za wygranę: chwycił ukradkiem żelazny pręt, wyłamany niegdyś z okratowań bramy, i jął zaciekle wypruwać okruchy nawpół zwietrzałej podstawy. Kaleczył sobie ręce, darł odzież, ale w trudzie grążył się dalej... Nie dostrzegł nawet, że nad bezruchem osmętniałego podwórza zwisły sine skrzydła burzy o nabrzmiałem łonie. —

Wreszcie Karyatyda usłyszała pogłos wątłych ciosów dziecięcych.

Drgnienia lęku i radosnego niepokoju rozfalowały jej pierś zastygłą.

Na zamarłe usta padł chwiejny szept osypującego się gruzu i zbudził je do życia.

Bogini strącona — przemówiła.

— Miedziana obręcz poniżenia wżera się w skroń moją i piersi... Gdy z półnagich bioder twych, siostro,

zsunie się wyuzdany refleks latarni i zajrzy mi w oczy — płonę wstydem!.. Ale noc moja zbliża się krokami wichru... Jeno żal mi ciebie — siostro!..

— Żal ten jest jak całunek księżyca: srebrny i — zimny; — a jednak, gdyby kark twój stał się giętszym i zwrotniejszym, dostrzegłabyś może, jak wieloramienne szczęście rozświetla czoła tym, co umieją „cierpieć pożytecznie“.

Odpowiedź zakrzepła na ustach Karyatydy, zasłuchanej w pogłosy dziecięcego oskarda. — Ale i one gasły omotane gędźbą wichru...

Wtedy zwiewnem skrzydłem dotknął czoła strąconej ów świetny sen rozkoszy, co niewykwitłą żądzą pełni pierś bogiń „zbyt wyniosłych“.

I minął szybko — jak skra.

W stalowo-sinych rozblaskach burzy znowu jawiła się postać Karyatydy, zestrzelonego wysiłku pełna: — zdawała się tężyć ramiona, przeć dziewiczą piersią do rzutu, grążyć w czyhającej u stóp otchłani...

Wreszcie runęła z wyży jak grom!..

Złowrogi bełkot wichru, pomieszany z krzykiem dziecka, zatonął w suchym grzechocie pękającego kolosu. —

Teraz burza miłośnie otwarła swoje łono: — strugi wodnego pyłu poczęły śpiesznie spłukiwać królewską purpurę krwi, przywarłą do złomów miażdżącego olbrzyma.

Kalekie, paralitycznie powyginane krzewy podwórzowego ogródka, lękliwie wychyliły z za krat brzemienne deszczowemi łzami okiście... Jedna z nich nawet, ulegając zapewne przelotnej namowie wiatru, — pieszczotliwie muskała czoło strąconej...

W końcu, chybkim lotem spóźnionego z rubinowych schodów oburzenia, zbiegł Zew doli przyszłej. Chciwie

począł zaplatać Karyatydowych czynów i tęsknic nić porwaną, motać ją na złotostrunne naczynie gędziebne, aby w godzinie zmierzchu mocarnie dźwignąć nizinną życia pieśń!..

Może wówczas śmigłe ramię Przeznaczenia ciosać zechce duchy podobne Karyatydom strąconym, a głodne fale Życia nie rozprzęgną już mocy, ani staną w poprzek złotemu czynowi NIEUGIĘTYCH...

Na drugie rano skwapliwie usunięto szczątki morderczyni. Ale i druga siostra - Karyatyda, „niewinna“, padła pod ciosami oprawców. Podobno niedowierzano jej... choć zdaje się, że po prostu psuła symetryę podwórzową, i to stało się przyczyną jej zagłady.



Zygmunt Zaleski.



K O S M O S.

SYMFONIA.

PROLOGOS.

...Wielki poemat kosmiczny niewyczytalnym,
bo treść przestrzeni — largo — niewyczuwalnem...
Zakończenie li ozdobne —
— gwiazd wielokropek widzimy...

STASIMON I. NA ZIEMI.

— Dzień —

CHOR I. Rozleję przed tobą wschodu taflę srebrzystą.
Zwierciadło ducha postawię.
I wchodzić w nie będziesz i będziesz takim,
jakim zwierciadło cię w siebie weźmie i odda mi.
Snopy strzał świetlnych — blasków — barw.
CHÓR II. By potem —
marzenia płynące tęczami baniek mydlanych

pękały na puklerzach piersi kobiecych
By potem —
lot promieni, pędzący gwiazdy te zamarłe
rozbrzmiewać w seledynowe księżyce, —
był uwięziony i skuty w błyszczące pryzmaty
na puklerzach piersi kobiecych.
CHÓR I. By potem —
blaski pełgały po miękich przepastnych tłach futer —
walc, undulujący w głębokim przepychu
drogocennych materyj...

STROFA I.

Na oczach płonie mi
Ust twych czar — —
Ust drogich, ust twoich, szkarłatnych ust łona,
I fala uśmiechów rozwiana, zemdlona, —
Jak kwiaty słania się
Perfum żar. — —

CHÓR II. By potem —
łzy ściekające z mgieł — kamieniały w perły lamp
[elektrycznych — —
na placach, ulicach, fabrykach, teatrach —
By potem —
z blasków — cienie szły
od wiru tłumnego, pędu maszyn i bagnetów. —
[...bo jakże zresztą samemu Bogu przykro
jest, że do celów panharmonii naginać się
musi...]
By potem —
cienie szły, jak siła...

ANTISTROFA I.

Odgrodzona od nieba dymów łachmanami,
Grzmotem parowych młotów pierś moja pulsuje,
Dyszy hutniczych pieców krwawemi żarami, —
Dynamitowym jękiem rwę ziemię ranami,

Porozpruwane rany brudnym żużlem truję, — —
Dal wściekłemi ślepiami zgłębiam lokomotyw,
Nie dbam, że ginie wystrzelona
Iskra z krateru kampaona — — —

CHÓR I. Cień jest synem światła i materyi —
Jak dźwięk jest synem ciszy —
Zespól — cudem misteryi — — —
[...to rozmowa w poblizkim pokoju — jak łąka szumiąca pod wiatrem: gdzieniegdzie wystrzela złota dziewanna śmiechu, purpurowieje mak jaskrawego zapytania, brzękiem owadów snuje się lekkie preludyowanie — — a łąka szumi — — szumi...]

STROFA II.

Zespół a rozdźwięk — — duet:
SOPRAN. Złotem tężejące zorze — —
TENOR. Usta — sonet: z tezą antyteza
Łączy myśli o podwójnym prądzie — —
Jak łaskawe są one w uśmiechu,
Jak wzgardliwe, gdy gniew na nie siądzie.
SOPRAN. Wiosenne rzeczułki w puchach zieleni,
A w zórz tężejących złocieni —
TENOR. Usta — sonet.

CHÓR II. By potem —
cienie szły, jak ból...

ANTISTROFA II.

Ból tępy — —
...Majaczą mgielne płachty pól,
Szarość splamiona w krzaków kępy — —
Tępy ból — —
W łzach deszczu giną puszcz ostępy,
Ich jędrną czerń rozemglił król
Ból tępy.

A jednak duchem tętniący rytm jest jak rytm zegaru,
roztłukujący fale melodyi.

[... to jak głębokie podwórze o żółtej siatce muru, niby brudna klatka papugi z wędrownej menażeryi, — a w nie, jak codzienność, słota cieknie, — a w niem, jak wstydliwe marzenia o tęczowych puszczach, słaniają się anemiczne etiudy i nokturny...]

EPODOS.

CHÓR I. Obojętne krople deszczu o dniu apatycznym — —
CHÓR II. Ach! jakież straszne dramaty mienią się na skrzydłach [parawanu!
CHÓR I. Sine kwiaty liliowe, na podłożu krwistem — —
CHÓR II. Ach, jakież cudne kwiaty rosną na portyerach!
CHÓR I. Jak błękitne spojrzenie w purpurze uśmiechu, —
Jak żar, co świetlnie rozpylony po liściach
tężeje złoty
i obezwładnia się w cienie granatowe, —
Jak żar a dzień —
a lasów półzmrok, cień.

EPEISODION I.

Złote snopy jutrzenki mą Astarot zawaliły.
Znikła w ciemnej alkowie i nocy welonach.
Welon posowy
zakrył alkowy —
Na niebo wszedł Apollo-dzień
— — — — — — — — — — —
[Zalany krzykiem słonecznego blasku
Lepiej widziałem go w pełzaniu czarnych run.]
— — — — — — — — — — — —
Granat morza głęboki, acz słońcem opiły,
Chmur flotylla tak srebrna, acz tonie w lazurach,
Przez dzień cały cyprysy czerniały po górach,

Przez dzień ślepiła oczy wybrzeż żółta glina,
A ścieżki zwoje
jak węża zwoje
marzenia moje
w podwoje skryły
Astarte — —
W grozę skryły przed dniem — pod trójstraszliwą wartę:
Tyzyfony, Alekto, Megery — —
— — — — — — — — — — — — — —
Czekam, czekam ze wschodu nocnej gwiaździstej galery!

STASIMON II. KU NIEBU.

— Wieczór —

CHÓR I. Srebrzysta tafla zwierciadła spurpurowiała,
a drży barwami. — —
Jest piękną jak róża w rozkwicie,
pełnym rozkwicie. —
Falowaniem się mieni,
drga w melodyi czerwieni
korona kwiatu.
CHÓR II. Przez drzew sznury widnokrężne
purpura pełznie.
Szarzeją w żarze skrzącego zachodu
dalekie góry — jak kupy popiołu.
A sine cielska chmur, gniotące piersi szczytów,
wpierające się w łona przepaści rozdarte,
trwają tak w akcie tej — idącej już — Astarte. — —
Nad borem tłami pochodów hordowych
fiolet grozy sunie.
Zimny — w głębinach zenitowych
kamieniejący granat. —
CHOR I. Falą nadpływa mdlejącą, rozwiewną,
w bezmiar rozlewa się niebiańskie largo.

STROFA I.

Spłynęła w zachód słoneczna perła,
Niebem zakwitla tęczowa koncha — —
Jakby pod berła wróżki skinieniem,
Niebo tęcz pyły na ziemię strząchа:
  Koncha drżeniem się mieni,
  Falowaniem się mieni,
  Drga w melodyi czerwieni,
  W ciszach bławatu, —
  Pełna różu, zieleni,
  W stu odcieniach złocieni,
  Seledynu, fioletu, szkarlatu — —

W bezmiar rozlewa się się niebiańskie largo,
Podpływa falą mdlejącą, rozwiewną, —
Śpiewną, — rzewną — —

I melodya mgielnych fal
rozpłakała się jeszcze łzami akordów,
deszczem akordów,
jak świetlną kaskadą drogich kamieni, rozsypujących się [z zerwanego naszyjnika, —
kaskadą drogich kamieni,
staczających się w fałdy czarnego aksamitu sukni. — —

CHÓR II. Oto w nadpływającym zmierzchu majaczy jeszcze biel kobiecego karku w kłębach włosów czarnych — zasłaniających wązki pasek złota zachodu.
Oto w oknach gotyckich zamków — małpy, owiane melodyą, jednostajnemi ruchami zasłaniające senny błękit dalekich perspektyw.
Oto staranni, ryzykowni przemywacze szyb w oknach gotyckich zamków, — nienawidzący witraży [bo rozpryskują pejzaż w marzenie] — jednostajnemi ruchami zasłaniający senne błękity dalekich perspektyw. — —

Gdy tam:
W bezmiar rozlewa się niebieskie largo
I ginie falą mdlejącą —
Zamierającą, straszną płynie skargą
Dalą łkającą —

ANTISTROFA I.

Mglista godzino cichych rozczarowań,
Gdy rozpaczają myśli pośród rozstań
I krążą nakształt jeziora falowań —
O, nie odpływaj z mej duszy — pozostań
[Bolesna chwilo mglistych rozczarowań —]
Niebieskie largo — —

Już ginie w dalach, tonie w nieba łonie —
Przewiało — tylko wielkie cienie zmysłów
Pełzną — a każdy światy w siebie chłonie:
W mroku, w milczeniu — giń, ducha nie wysłów. —

CHÓR I. Hej! hen w zachody płyńmy — jak w purpurą jesienną
[broczący park,
Niechaj krwawemi liśćmi łkają nam pod stopy drzewa,
Niech na oczy, na gondole spływa ich czerwona ulewa, —
Miast potoku rzewnej pieśni, co spłynąćby miała z na-
[szych pięknych szkarłatnych warg.
W umierającym przepychu płyńmy [w milczeniu kró-
[lewskiem],
A drżące koronki gałęzi niech nam niebo zdobią sinym
[freskiem. —
Hej! hen w zachody płyńmy — jak w purpurą jesienną
[broczący park.

CHÓR II. Oto zachodu serenada —
błyszczy jak uszminkowana śpiewaczka,
a ona — jak barwny motyl — oplątaną jest w pajęczy-
[nach pijackich spojrzeń.
Pijackich spojrzeń —
— — jak drą one tabu
Sztuki-kobiety czaru i powabu.

Zmilknij i wstrzymaj na klawiszach dłonie,
Co jako para stęsknionych łabędzi
Błądzą po białej pianie klawiatury, —
Dostać się pragną w głąb'? w zaklęty zamek,
Gdzie na posłaniu strun spoczywa duch?
Twe białe ręce jak śnieżne łabędzie
Muskały pianę zlekka swemi pióry — —

Ponad wodami wicher niesie chmury
W szerokim, zimnym, pogardliwym pędzie —
On wzburzy-ć falę, uzmąci. — —

Zmilknij i wstrzymaj na klawiszach dłonie.
I w zmroku,
Niechwytna uchem, niewidzialna oku,
Pieśń o potędze szarości zawionie
Milczeniem.
— — Czarne kwiaty wmyślonych w siebie postaci,
omywane szarą mgłą melodyi —
Pasaże szeregów —
Czarne kwiaty postaci wtopione w długie szare go-
[dziny przygnębień,
co lodowaty ból myśli kroplą po kropli rozpryskują
[o serce —
Akordy grup —
[...i cichą jest głębia myśli, jak burzliwą
powierzchnia twarzy...]

CHÓR I. Ciszo płynącego zmroku,
Przeklętą bądź!
Boś się zrodziła:
Orkanem, gradem kamiennym w ogrodach kwiatowych,
Piorunem, miażdżącym sploty miłosnych uścisków,
Otchłanią wirów,
Pożarem świata,
Zachodem — —
Przeklętą bądź! —
CHÓR II. Wprzód, nim błogosławioną — —

STROFA II.

CHÓR I. Już we mnie cisza — kamienna pustynia,
Cała w ruinach poszarpanych skał,
Zżarta spiekotą milczenia.
Już we mnie cisza. — Gdzie chram dawniej stał
W kolumnach śnieżnych zachwycenia,
A święte źródło łez z pod stóp mu biło,

Strzaskany, zbity piorunową siłą,
Leży rumowisk zwał.

Już we mnie cisza — pustka z kresu w kres —
Rumowisk zwał zasypał źródło łez.
W ciszy pustynnej, kamiennej, bezkresnej,
Gdzie kształt się tylko ostrzem wirchów piętrzy,
Gdzie zdruzgotany czar w przepaściach legł strącony,
Gdzie w wydmy law skrzepł zachwyt najgorętszy,
W tej ciszy, ciężkiemi zgony
Mrze pieśń! — —

Z śmiertelnych klęsk
Rodzi się tęsk-....

CHÓR II. ... cicho — css — cicho — —
Nie zabijajmy słowem tego, co się rodzi.
Trwać — czekać — —
Oto pierwsza — oto gwiazda wschodzi,
Za nią korowód długi.
Trwać i czekać, aż głębie niebios przepaścistych
Skrysztalą się w tryszczący, świetlany gwiazd dystych,
W świetlany dystych bez słów,
W ulicę sfinksów-gwiazd — —
Wtedy — — rozdźwięczyć je z wieczystych snów — —

ANTISTROFA II.

Dluga aleja — — drzemiący sfinksów rząd porfirowy.
Zbudźcie się! — idę z labiryntu sal,
Milczą tam runy ścian z za pajęczej posowy,
Krwawy krzyk bólu ściął się w słupów las kobaltowy,
Tylko wrzeciądzów jęczy rdzawa stal.

Cisza — w milczeniu sfinksy mnie wiodą oczyma
[Dziwnie się każdy uśmiecha].
Przeszedlem pylonów próg.
Ścięta w głaz piramida wspina swą myśl olbrzyma—
Skamieniały — zmarły Bóg. —
Cisza—milczeniem wspływa kształt obelisku ważki.

Hej! — a obudziż w was echa
Huk o was strzaskanej czaszki! —

EPODOS.

CHÓR I. I rozpaczają myśli pośród rozstań —
CHÓR II. Rozpacza ciało, klnie duszę — pozostań!
CHÓR I. I płyną chwile krwawych rozczarowań —
CHÓR II. Rozpłyną chwile w jeziornych kształt falowań.
CHÓR I i II. W bezmiar rozlewa się niebieskie largo,
A po niem pełzną fale - cienie zmysłów,
Pełzną ze skargą, — wskroś fal wionie largo,
Uleci w dal i w łonie nieb utonie.

EPEISODION II.

Tobie, płynącej ze wchodu w nocnej gwiaździstej galerze —
Astarte!
W stosie płonącym - zachodem w krwawej się spalam ofierze —
Astarte!
K' tobie w gwiazdy wznoszę treść — rwącego ducha potęgę —
A przeciężką ciała księgę
Na stos składam płomienisty, —
Niech wchłania za kartą kartę. — —

Oto zachodu zmarły ostatnie już jaśnie.
Krwią skrzy na przestwór gwiaździsty
Stos — co moim zachodem — co długo nie zgaśnie. —
Jędze - Trismegisty
Z księgi rwą za kartą kartę,
Niech ginie, —
W stos rzucają płomienisty —
Na wieki wieków — a ninie — — —

... niewymówione słowa, co rwąc się z warg jak ptaki śmiertelnie ranione zapadały w gąszcze duszy...
... niewylane łzy, co spalały się w oczach, w obłędnych przerażonych oczach, chłonących w swe głębie — nic...

Rwij zaciekle — zażarcie
Z księgi kartę po karcie,
Ty — w grozie nieprzejednana — Alekto. — —

Z zachodu mego widzę — pochodów pełzną żmije,
Poprzez wnętrza pierścieni ognistych
Poszum tłumów z dymnemi kłębami się wije.
Chórów słyszę gromady,
Szczękające jak szpady
W pogrzebowem, jęczącem requie...

Buchaj, ogniu — hucz, płomieniu!
W przemienieniu — w przetworzeniu
Bluzgaj w niebo swe łuny czerwone!

...a tych, co we mnie zmarli...
...słów mych szkielety, staczające się z chrzęstem z gór w przepaście...
Ty szarp — mścicielko mordu — Tysyphone. —

...rozpaczliwe, wściekłe obrony duszy przed gwałtami grzechu...
...kłamstwa w imię prawdy...
...kłamstwa w imię miłości...
...kłamstwa w imię szczęścia...
Twoje-ć są — pałająca zazdrością — Megero. —

Żarowi na pożarcie
Karta po karcie — — niech ginie
Na wieki wieków — a ninie. — — —

Płomień już w serce wgryzł się ciału-księdze —
Rwie je potworna zwierzęca chuć —
Szał stosu siny nakrywa dym.
A duch, przed dniem ukrywany przez jędze,
Wichorym lotem wspływa w swej potędze
W nieba objęcia rozwarte —
W gwiazdy — w ciebie — — Astarte! — —

EPILOGOS. W ZENICIE.

— Noc —

...I spłynął jak miriady światów,
W nieubłaganych kręgach, z zawrotną szybkością
Spłynął w noc wicher, gaszący blade gwiazdy...
...Blade gwiazdy...
...Twórcze, dziejowe tragedye Bogów,
rozszalałe pomniki ich cierpień,
z których na ziemię spływa tylko — cisza...
.. Spłynął...

...I spływa tylko cisza z kosmosu przestrzeni,
Cisza cmentarza
Idei-Bogów, pomordowanych na ziemi...



Kazimierz Wroczyński.



Ostatni.

Słońce leciało nisko nad wodami, niby ptak zmęczony i z trudem wlekący za sobą skrzydła złociste, a spiętrzone wybrzeża, wyniosłe kępy drzew, dzikie wychlusty skał, rozwarte gardziele zatok, przygięte maszty, wieże kościołów i samotne menhiry, zdały się pochylać za niem i wyciągać błagalne ramiona jakby do powstrzymania — ale słońce, pobladłe, zmącone, trwożne jakieś, uciekało niepowstrzymanie, opadało coraz szybciej, bo górą, po zasępionem niebie, goniły szare, potworne kadłuby chmur — zabiegały od północy, pełzały groźnie od południa, płynęły nieprzeliczoną ciżbą od wschodu, sunęły trop w trop, i zwierając się w półkole goniły już zgrają zajadłą, jakby głodnem, rozwścieczonem stadem...

Mroczyło się chwilami, bo już niektóre wyrywały sie naprzód i, skołtunione lotem szalonym a jak bydlęta spienione, rzucały się na oślep w rozżarzoną otchłań słońca...

Dzień zadrżał niepokojem, światem wionęła trwoga, wszystek głos zamarł, wszystko stworzenie dech przytaiło, ocean znieruchomiał na mgnienie, stała się cisza oczekiwań, cisza przerażenia,

że tylko szemrały wody cofające się bezwładnie w przepaście lęku i milczenia, tylko wśród skał, szczerzących czarne kły, ostatnie fale załkały, a długie szory pian czepiały się kamieni z żałosnym, konającym pluskiem.

Naraz, dzień zaczął się rozpadać.

Chmury dopadły słońca ze wszystkich stron i zwalając się na nie rwały je w strzępy ogniste, pożerały chciwie błotnistemi paszczami, że jakby zapadło się w brudnych gardzielach i zgasło.

Popielny, żałosny mrok posypał się na dzień oślepły.

Gdzieś, daleko, daleko, zahuczał posępny, głuchy grom.

A potem zawisło trupie, niezgłębione milczenie.

Na świecie stawało się coś niepojętego.

Jakieś Niewiadome szło ciężko po ołowianych wodach oceanu, aż lądy zadygotały, mewy porwane trwogą uciekały z gniazd skalnych i lękiem zaszemrały drzewa.

A z wioski rybackiej rozrzuconej nad zatoką, z wąskich uliczek, z granitowych domków, z białych dróg obrzeżonych pogiętemi dębami, wybiegały czarno odziane kobiety; klekotały saboty po granitach, chwiały się białe kornety i wstęgi wiewały za niemi; szły śpiesznie na urwisty brzeg oceanu, szły po dwie, po trzy, po cztery, jak krótkie spienione fale, co przed burzą lecą; na skałach nieruchomo stawały, a oczy ich niespokojnie błądziły po ołowianych wodach, a oczy ich trwożnie krążyły w posępnych mrokach, niby ptaki napróżno ziemi wypatrujące.

Ni jeden żagiel się nie ważył w szarej topieli, ni jedna smuga dymu się nie znaczyła, ni jeden plusk się nie łyskał w przestrzeni.

Tylko saboty wciąż klekotały; z wąskich uliczek, z granitowych domków, z białych dróg, wciąż wybiegały kobiety, szły po dwie, po trzy, po cztery, robiły pończochy i szły zapatrzone w dal szarą, szły śpiesznie, aż chwiały się kornety i białe wstęgi wiewały za niemi.

Pięły się po złomach na wyniosłą kupę skał, jakby ręką cyklopów zwaloną daleko w morze, aż pod wysmukłą kaplicę, która wyrastała z potrzaskanych złomów zastygłą, dziko spiętrzoną falą granitów, i patrzyły w pustkę oceanu, z lękiem nasłuchując groźnego milczenia.

A potem, siadły na brzegu urwistym, rzędem, jak żałobne, czarne ptaki z białemi głowami; robiły pończochy, druty migotały im w rękach, a niekiedy szept się zrywał z ust pobladłych — siedziały nieruchome, wpatrzone w ciche, nieprzejrzane dale, a dusze się ich nosiły po głębiach horyzontu, po przepaściach mrocznych

pustek krążyły, po ołowianych wodach szukały, wołając niememi głosami, wołając żałośnie.

Ni jeden żagiel się nie wychylał z głębin, ni jednym pluskiem wioseł nie odpowiadała cisza.

Jakieś niewiadome szło ciężko ku sercom strapionym.

Stawało się wokół coś niepojętego.

Oto niebo jakby się nagle rozpadło, szare, olbrzymie cielska chmur runęły z wysokości, jęły się walić na wody i ziemię potwornemi kłębami popiołów rozsypujących się w szare mgły.

Zerwała się nieprzenikniona zamieć, zakłębił się niemy huragan kurzawy. W głuchem, bezdennem milczeniu szare, sypkie mgły zasypywały wszystek świat; podnosiły się z wód rozchwianym tumanem, z lądów ciągnęły kłębiącą się, szarą masą, z nieba, jakby z niewyczerpanych kraterów, buchały słupami bladych dymów, pełzały zwolna, wznosiły się, strzelały spienionemi fontannami, krzewiły się jak puszcza nieprzebyta i nieskończonością zarysów ledwie dojrzanych majacząca, rozlewały się coraz szerzej i płynęły wciąż, nieustannie, cichem, spienionem morzem szarości i smutku.

Kobiety zaczęły się skrzykiwać i błądząc w tumanach zbierały się pod kaplicą; tuliły się do ścian, przysiadały we drzwiach otwartych i nie przestając migotać drutami patrzyły we świat ślepnący z coraz większym niepokojem.

Już wieś utonęła w szarzyźnie, już najwyższe czuby dębów chwiały się nikłemi cieniami jakby z pod wody, menhiry stróżujące od prawieków na wybrżeżach były tylko majaczeniem, a ocean usuwał się zwolna w mętną głąb', przebłyskując jeszcze niekiedy z pod bielm, jak oko zasypiające, aż się zapadł w tumanach, aż się w końcu wszystko zapadło w szarą, sypką, nieprzeniknioną topiel.

Jakby zetlałe próchno starło się wszystko w proch i przepadło w bezdniach nicości.

Pod kaplicą zaszemrał niekiedy głos trwożny, czasem sabot uderzył, a chwilami skarżyło się żałośnie czyjeś szlochanie.

A potem szły długie, bolesne, ciężkie chwile milczenia.

Nagle, w tej śmiertelnej ciszy rozległ się jakiś dźwięk przenikliwy, jakiś dzwon zadzwonił gdzieś daleko, daleko.

— U świętej Anny dzwonią! — ktoś rzekł.

I zaraz odezwał się drugi dzwon, jakby z głębin wód się wynosił i błądząc wskroś mgieł wołał cicho, żałośnie, długo.

— To u świętego Filiberta, w Treguen dzwonią! —ktoś rzekł.

Potem trzeci zahuczał, jakiś górny, niebosiężny, jakby echem chórów anielskich spływał.

— To u świętej Zity dzwonią! —ktoś rzekł.

A potem odezwał się czwarty, i piąty, i dalsze, ledwie już dosłyszalne.

Co mgnienie nadpływał głos nowy, co mgnienie z innej strony podnosił się głos i śpiewał wraz jedną pieśń, że niekiedy już razem biły śpiżowym chórem na wszystek świat ogromnym, i na wszystek ocean, jak stado ptactwa, żałośnie rozełkanym.

Zaś niekiedy, chwilami, rwał się ten wtór zgodny, mącił, przycichał i rozbiegał, że tylko pojedyncze, samotne dźwięki, jak krzyki przerażenia, jak wołania tonących, jak płacze dzieci, błądziły pogubione w szarych, niezgłębionych otchłaniach.

Mgły, jakby podarte nieustannemi głosami dzwonów, jęły się miotać gwałtownie, stawały się poczerniałem i wrzącem mrowiskiem, a w zatopionych przestrzeniach plusnęły fale i ciężki, przyduszony oddech oceanu się wydarł. Ciepły wiatr zawiewał od lądów, przedzierał się cicho przez tumany, całował pieszczotliwie zapłakane oczy kobiet i uciekał trwożnie, przepadał w głuszy.

A dzwony wciąż wołały na pobłąkanych, wołały, jak matki strapione, głębokim, serdecznym głosem niepokojów, że już całe wybrzeże się rozjęczało śpiżowym szlochem, jakby cała ziemia błagała żałośnie ocean o zmiłowanie.

Kobiety w grobowem milczeniu wchodziły do kaplicy i we mgłach również nieprzeniknionych klękały po dwie, po trzy, po cztery.

Matka Boska, w granicie ciosana, we złocie cała i błękitach szat, siedziała z dzieciątkiem na niskim ołtarzu; jej wyciągnięta ręka, i twarz blada, i nieruchome oczy, ledwie widniały w rozpierzchłych brzaskach lampek płonących.

Klękały pokornie i chyląc czoła do ziemi pacierze szeptały gorące.

Jakaś dziewczyna, ująwszy za sznur zwisający tuż przed ołtarzem, zadzwoniła. Pochylała się wolno, rytmicznie, i wpatrzona w nieruchome święte oczy, dzwoniła na trwogę, dawała znak zabłąkanym na oceanie, wołała, że czuwają, że się trwożą, że płaczą.

Pacierze szemrały niby cichy i ciężki deszcz, rwały się niekiedy westchnienia, stłumione łkania się zatrzęsły, czasem jakieś ręce wyciągały się błagalnie, a dzwon szarpał się bezustannie i bił gorączkowo, jak te serca strwożone, a z przestrzeni zamglonej odpowiadały mu inne, dalekie i bliskie, jednakim, przeciągłym jękiem, jak te wszystkie serca, co tam gdzieś po wybrzeżach pustych, po

nędznych wioskach rybackich, po samotnych skałach, dygotały w trwodze śmiertelnej.

Kobiety przyczolgały się przed sam ołtarz i z udręczonych dusz wyrwał się błagalny, łzami przepojony śpiew:

Ave, ave, ave, Maria!
Les saints et les anges
En choeurs glorieux
Chantent vos louanges,
O reine des cieux!

U sznura zmieniały się kobiety, że dzwon nie milknął ani na chwilę, szarpał się bezustannie, łkał gorączkowo, błagał, a niekiedy jęczał boleśnie, jak te śpiewy wznoszące się z pod stóp Matki Boskiej, w serdecznym lamencie, jak te żałosne błagania:

Ave, ave, ave, Maria!
Soyez le refuge
Des pauvres pécheurs,
O mère du juge
Qui sonde les coeurs.

Ale łodzie nie wracały.

Już noc, słaniając się wśród wzburzonych topieli, rzucała na świat swój cień złowrogi. Poczerniałe mgły topniały, ściekając drobnym i zimnym deszczem. Niekiedy słychać było wiatr szarpiący drzewami, a niekiedy zawarczał groźnie ocean, ale potem cisza stawała się jeszcze głębszą, w której głosy dzwonów, bijących nieprzestannie, wznosiły się niby niebosiężne słupy dźwięków, wołające do Pana, a śpiewy kobiet, krwawe krzyki błagań rozpryskiwały się bez echa, jak kwilenie piskląt w nieskończonościach nocy i milczenia.

Długie, nieskończone godziny modliły się żarliwie, wpatrzone w nieruchome oczy Matki, już mdlały im dusze w niepokojach, gdy naraz ktoś zawołał:

— Światła na morzu!

Dzwon umilkł, pieśń się przerwała, wybiegły na wybrzeże i, czepiając się głazów, wżerały się oczami w ciemności.

Już gdzieś niedaleko, jakby na drodze do zatoki, zamigotały jakieś błyskotliwe roje, wynosząc się niekiedy na falach niedojrzanych płochliwą, nikłą fosforencyą i ginąc na nieskończenie długie chwile.

Kobiety przecierały zapłakane oczy i z zapartym oddechem, przykładając uszy do ziemi, łowiły chciwie dalekie jeszcze, ledwie odczute brzmienia głosów i pluski wioseł.

— Wracają! Wracają!

Wołania rzuciły się we mgły rozśpiewanem stadem głosów.

— Wracają! Dzwonić! Wchodzą między skały! Światel!

Dzwon znowu zahuczał z kaplicy, a na wybrzeżu, w nieprzeniknionych tumanach, zatrzepotały kręgi brzasków, niby złote motyle, rozklekotały się saboty, buchnęła radosna, bezładna wrzawa, przekrzyki latały rozświegotanem, weselnem ptactwem, bo już coraz bliżej uderzały wiosła, smugi świateł wypełzały zwolna z głębin oślizgłemi ostrzami, a tuż za niemi wychylał się korowód mar jakby z mgieł i cieniów utkany, sznur łodzi majaczył coraz wyraźniej.

— Kto na przedzie? Kto? — pytały, zwisając nad oceanem.

— „Święta Barbara,“ — odpowiedziano z mgieł.

Kilka kobiet pędem wyrwało się do przystani.

— Wszyscy wracacie?

— Niewiadomo. Pogubiliśmy się we mgłach.

— Dobry był połów? Kto mówi?

— „Rosa Mystica“.

— Kto płynie za wami?

— „Trzy gwiazdy“.—Krzyżowały się wołania pomiędzy majakami a brzegiem. Kobiety, potykając się w ciemnościach, śpiesznie wracały do przystani, a korowód mglistych zarysów już wpływał do zatoki, wody bulgotały rozdzierane ostremi dziobami, wiosła biły rytmicznie, skrzypiały reje opuszczone.

I dzwony już milkły na wybrzeżach, co chwila w innej stronie zapadały się nagle dźwięki, noc głuchła, przez czarne mgły, ściekające coraz gęstszym deszczem, zaczęły się przewijać błyskawicowe mioty, światła niewidzialnych latarń wybiegały na ocean czuwającemi oczami, a w przystani było coraz ludniej i radośniej. Co chwila lądowano, co chwila jakaś łódź czarna wychlustywała na brzeg niby ryba i kładła się na boku. Wybrzeże zamrowiło się światłami, w których mgły chwiały się brudnemi strzępami, jak poszarpane mokre siecie; klekotały saboty, trzaskały drzwi, pryskały śmiechy i radosne krzyki powitań, co chwila jakaś gromada znikała w granitowych domkach, w wąskich uliczkach lub w przemglonych gardzielach dróg.

Tylko dzwon w kaplicy jeszcze wołał jękliwie, bo brakowało trzech łodzi, a gromadka kobiet czuwała na skałach.

Ale dwie z nich wróciły jeszcze przed północą, i gdy załoga, pozbierawszy siecie, szła ku domom, zastąpiła im drogę stara kobieta.

— Daleko jeszcze „Je cherche?“ — pytała cicho.

— Nie wiemy, matko. Zaraz po południu chwyciła nas mgła i wiatr, pogubiliśmy się. Może płynie za nami, może błądzi, a może czeka przy Syrenach, aż mgły opadną. Zły czas, na pełnem fala z dołu i krótki wiatr, a mgła tak dusi, że dopiero przy skałach dosłyszeliśmy dzwony. Ale niema obawy, powrócą rano. Dobranoc, matko Caradec.

Nie odezwała się, zapatrzona i wsłuchana w ocean.

Już dawno ucichło wybrzeże, już ostatnie kosze ryb wyniesiono z barek, już gdzieś ostatnie drzwi się zawarły, ostatni szynk zamknięto i ostatnie okno zagasło, a matka Caradec jeszcze czuwała.

Czekała na syna, na jego dumną „Je cherche“ czekała.

Noc zapadła głucha, ciemna i mokra. Mgły obtulały świat niby w czarne, przemiękłe całuny, po których lśniły niekiedy srebrne rzuty świateł dalekich. Ocean przewalał się ciężko w ciemnościach, wzbierały wody, słychać było, jak tłumne roje fal nadbiegały z głębin i rozpryskiwały się z jękiem o brzegi. Rozpoczynała się znów dzika, zawzięta walka z ziemią.

Rybacka wioska spała, granitowe domki usnęły, a wąskie uliczki i nieskończone drogi legły martwo na dnie ciemności.

Tylko w przemglonej, pustej kaplicy paliła się lampka jedyna, a z drżących, złotawych brzasków wychylała się widmowo sina twarz Matki Boskiej i patrzyły jej oczy nieruchome — patrzyły wskroś mgieł, wskroś całego świata.

I Matka Caradec siedziała w progu; przesuwając ziarna różańca, nasłuchiwala bełkotliwej gędźby oceanu.

Czekała cierpliwie na syna i na jego dumną „Je cherche“ —

Deszcz mżył nieustannie, trzepiąc ją po głowie z monotonnym, usypiającym szmerem, czasem fale przypływu pluły słoną, brudną śliną piany, ale ona nie czuła zimna, nie wiedziała, co się dokoła niej dzieje, pogrążona w modlitwie. Odmawiała różaniec, długo ważąc każde ziarno i każde słowo szepcąc z bezgraniczną miłością, bo tym pacierzem broniła się od trwóg i niepokojów, co jak ogniste węże okręcały jej serce duszącemi pierścieniami, że już niekiedy zapominała modlitwy, różaniec wypadał z palców, i niosła się wylękłemi oczyma w groźne, złowieszcze ciemności.

Syna tam szukała i znajdowala przerażenie, bo jakby z mgieł wyłonione otoczyły jej duszę przerażające widma przeszłości.

Zbudziły się w niej dawne, przebolesne, przeklęte chwile.

— Ulituj się nade mną, Matko miłosierdzia, — szeptała błagalnie, powracając w krąg złotawych brzasków i jak opuszczone pisklę

tuląc się z ufnością do stóp świętych. Chciała uciec od tych widm złowróżbnych, ale jak trupy wstawały z trumien zapomnienia dawne męki, rozpacze dawne, i przysłaniały wszelką nadzieję.

Bo tak samo, jak teraz, czekała kiedyś na męża; w tem samem miejscu, w taką samą okropną, przemgloną noc jesieni.

I nie powrócił.

— Matko pełna litości, zmiłuj się nade mną! — łkała rozpacznie. Nowe wspomnienie wypełzło z jam pamięci, korowód zmartwychwstających cierpień rozrywał jej serce.

Bo tak samo, tak samo czekała kiedyś na syna starszego, w straszliwą noc huraganów czekała, i u tych samych stóp świętych żebrała zmiłowania.

I nie powrócił.

Wichura nagłej, okropnej trwogi wyrwała ją z miejsca i rzuciła w proch, przed ołtarz, przed blade, ledwie dojrzane oblicze.

Nieruchome oczy patrzyły z brzasków złotawych, przeszywając ją nawskróś zimno i nieubłaganie, że porwała się z krzykiem szaleństwa i na wybrzeże uciekła. I błądząc wśród skał, potykając się w ciemnościach, długo krzyczała krzykiem rozpaczy, długo wołała syna i nieskończoność błagała o zmiłowanie.

Ocean pod czarnemi zwojami mgieł i nocy burzył się złowrogo, fale przypływu wynosiły się z głębin, chlustały coraz wyżej i bijąc o skały z hukiem waliły się w przepaście. Ocean już poczynał się miotać w swej dzikiej i ślepej mocy, hymn potęg straszliwych rozkrążał się w nieskończonościach, że ten głos umęczonej duszy matczynej był jakby szelestem opadającego liścia przy biciu piorunów, a jej łzy, jej rozpacze, jej nadzieje, cała męka człowieczego bytu ważyła niby pióro porwane huraganem, była kroplą, była drgnieniem przepadłem na wieki w chaosie, niczem była.

Matka Caradec, poczuwszy tę niemoc bezgraniczną, wsunęła się pokornie do kaplicy, ujęła za sznur i zatargała dzwonem z całych sił, ze wszystkich mocy nadziei.

Obłąkane rozpaczą oczy, oczy żebracze, oczy umierające wpiła w te święte nieruchome oczy, skomląc żałośnie:

— Powróć go! Powróć!

I dzwoniła zawzięcie, bezustannie, niestrudzenie.

A dzwon wołał głosem trwogi, wołał głosem rozpaczy, wołał tęsknotą oczekiwań, wołał żałośnie — jak to serce matczyne:

— niekiedy zrywał się gwałtownie i jakby w śmiertelnej gorączce krzyczał dziko i bezładnie, krzyczał, jak krzyczą tonący, miotał się w strasznym szale boleści — jak to serce matczyne;

— niekiedy, jakby z sił wyczerpany, płakał tylko, skarżąc się cicho, i wśród rozdzierających szlochów, wśród jęków, zanosił się bolesnym, wstrząsającym krzykiem — jak to serce matczyne;

— a niekiedy milknął zdrętwiały i dopiero po długiej chwili wybuchał potężnie, gniew nim targał, i nienawiść, i bunt ponosił, że bił groźnie w noc ślepą, jakby pięścią zaciśniętą, i przeklinał gromowym głosem krzywdy — jak to serce matczyne.

Dzwoniła jednak wciąż, ręce targały sznurem bezwiednie, grzbiet się zginał i prężył automatycznie, cała nadzieja wisiała u serca dzwonu i własnem, stężałem z bólu sercem w śpiż biła a oczyma przywarła w święte, nieruchome oczy.

Dzwoniła już nieprzytomna siebie, ale z coraz większą wiarą i ufnością, z coraz większą nadzieją, bo się jej zdawało, że ta kamienna ręka wyciąga się i obciera pieszczotliwie jej twarz zalaną łzami, co jak nieskończony sznur pereł toczyły się bezustannie, że te nieruchome oczy zalśniły się współczuciem, a te kamiennne, sine usta coś mówią do niej, że wyraźnie słyszy słodki głos miłosierdzia i litości.

I dzwoniła wciąż, bezustannie, w ekstatycznem upojeniu, nasłuchując tych szeptów świętych, co jakby chórem anielskim spływały do jej duszy niosąc ukojenie, i ciszę, i niezmierne, niewypowiedziane szczęście zapomnienia.

. . . .

Rano oderwano ją od sznura już bez zmysłów.

I zapadła się na wieki w tamtą noc straszliwą oczekiwań.

Zniknęła potem z wioski, mówiono nawet, że umarła, ale rybacy widywali ją nieraz na pustych, dzikich wybrzeżach oceanu, jak wpatrzona błędnie jakby w tamte, nieruchome oczy, szarpała próżnię rękoma, jakby wciąż dzwoniła, bijąc niestrudzenie w dzwon wiecznej, obłędnej nadziei...

Ale syn nie powrócił.

Wł. St. Reymont.



Z POEZYI OBCEJ.

Z poetów francuzkich i belgijskich. Przekłady Miriama.

MOJŻESZ.

Słońce rzucało jeszcze na namiotów szczyty
Dlugie skośne promienie, płomieniste świty,
Szerokie smugi złota, jak to zawsze czyni,
Nim do snu się ułoży śród piasków pustyni.
Kraj zdawał się roztapiać w złoto i purpurę.
Wstępując na jałową, smutną Nebo górę,
Mojżesz, ów człowiek boży, staje i bez pychy
Po wielkich widnokręgach wzrok przesuwa cichy.
I widzi naprzód Fasga w figowców koronie;
Potem, poza górami, oko jego tonie
W żyznych ziemicach Galaad, Efraim, Manasse,
Co swą na prawo odeń rozpostarły krasę;
Na południe do toni mórz zachodnich płowej
Legł wielką piasków ławą kraj Judy jałowy;

Dalej jeszcze, w dolinie skrytej w mroku fali,
W wieńcu gajów oliwnych spostrzega Neftali;
Na równinie, wspaniałych drzew kwieciem porosłej,
Widać białe Jerycho, gród to palm wyniosły;
A dalej, jak wzrok sięgnie, od płaszczyzn Betfegor
Gęste bory lentyszków ciągną się do Segor.
On widzi ten Chanaan, ziemię obiecaną,
Gdzie jego prochom — wie to — ledz nie będzie dano.
Widzi; dłoń nad swym ludem wyciąga potężną
I dalej znów pod górę stąpa niebosiężną.

Tymczasem, równie Moab okrywszy szeroko,
Cisnąc się pod stóp góry poświętną opoką,
Synowie Izraela burzyli się w dole,
Jak burzy się pod wichrem zboża gęste pole.
Od godziny, gdy rosa wilży złoto piasków
I na szczytach drzew wiesza perły pełne blasków,
Wódz, prorok ów stuletni, czczony, uwielbiany,
Mojżesz — odszedł, by z Panem rozmawiać nad Pany.
Śledzono okiem blaski, lśniące mu nad czołem,
A kiedy go ujrzano nad góry wierzchołem,
Gdy skroń jego przebiła chmury bożej łono,
Co wieńczyła szczyt góry błyskawic koroną,
Kadzidło zapłonęło na ołtarzach świętych,
I sześćkroć sto tysięcy Hebreów w proch zgiętych,
W ozłoconych przez słońce kłębach woni dymnej,
Śpiewało jednym głosem ubłagalne hymny,
A Lewici, górując ponad ludu morzem,
Jak smukłych las cyprysów nad piasków bezdrożem,
I wtórując na harfach głosów ludzkich fali,
Ku niebu Króla królów pieśni kierowali.

A Mojżesz stał przed Bogiem, powstrzymawszy kroku,
I twarz w twarz z nim rozmawiał w piorunnym obłoku.
I mówił tak do Pana: „Nie będę-ż miał końca?
Gdzież chcesz, by jeszcze noga poniosła mnie rwąca?
Czyż wiecznie tak żyć będę, samotny, choć silny?
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej.
Co-m ci uczynił, Panie, by być twym wybrańcem?
Wiodłem lud twój, gdzie chciałeś, i byłem mu szańcem.
Oto już stopa jego Chanaanu tyka.

Innego im i sobie wybierz pośrednika,
Niech kto inny rumaki kiełzna Izraela,
Przekażę mu swą księgę i rózgę mściciela.

„Czemuż ci trzeba było zniszczyć me nadzieje,
Czemu-ś mi wziął człowieka ciemnego koleje,
Czemu od góry Horeb aż do góry Nebo
Nie mogłem znaleźć grobu, co mi już potrzebą?
Niestety! wyniosłeś mię nad wszech mędrców ziemi!
Ma dłoń krokami ludu rządziła błędnemi.
Rzucałem deszcze ognia na króle i trony;
Potomność na kolanach uczci me zakony;
Z mogił ludzkich otwieram najstarsze mogiły,
I prochy, gdy chcę, wstają, by mi proroczyły,
Jestem wielki, pod stopą mam ludów mrowiska,
Dłoń moja pokolenia stwarza i w grób ciska. —
Niestety! jestem, Panie, samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej!

„Niestety! znam też wszystkie niebios tajemnice,
Potęgą ócz swych moją-ś napełnił źrenicę.
Na rozkaz mój, noc mroków rozdziera zawoje;
Me usta, według imion, gwiazd zliczyły roje,
I skoro, na firmament przyzwę którą gestem,
Każda śpieszy pokornie, mówiąc: „Oto jestem.“
Kładę obie me dłonie na chmur czarne czoła
I wysuszam w ich łonach źródła burz dokoła,
Skinę — i grody cale chłoną piasków fale;
Skrzydłami uraganów gór olbrzymy walę;
Ma noga nad przestrzenie silniejsza jest w drodze;
Wody rzek murem stają, kiedy ja przechodzę,
I olbrzymi głos morza milknie przed mym głosem.
Gdy lud praw potrzebuje, lub gnie się pod ciosem,
Wznoszę oczy ku niebu, duch twój mnie owiewa;
Ziemia chwieje się wówczas, słońce się zaćmiewa.
Anieli mi zazdroszczą, lecz gną się przed żywym,
A jednak ja, o Panie, nie jestem szczęśliwym;
Z twej woli-m się zestarzał samotny choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej.

„Od owej, gdy w pasterza duch twój wstąpił, chwili

Ludzie: „On nam jest obcy,“ pocichu gwarzyli
I spuszczali źrenice przed ogniem mych oczu,
Coś więcej, niż mą dusze, widząc w ich przezroczu.
Widziałem, jak schły źródła miłości, przyjaźni;
Dziewy się zasłaniały, lękając się kaźni.
Owinąwszy się tedy w obłok niedostępny,
Szedłem przed ludem smutny, sam w sławie posępnej,
I mówiłem do siebie: „Czegóż chcieć mi jeszcze?“
By śnić u łon, zbyt ciężkie czoło moje wieszcze,
Dłoń ma przeraża dłonie, których się dotyka,
Pioruny na mych ustach, w głosie burza dzika;
To też, zamiast mię kochać, lud z trwogą tajemną,
Gdy otwieram ramiona, pada w proch przede mną.
O Panie! żyłem długo samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnej!“

A lud czekał — i w trwodze, że kaźń spadnie sroga,
Nie śmiał patrzeć na górę zazdrosnego Boga;
Bo, gdy tylko wzniósł oczy, skrajne czarne chmury
Drgały wnet, i zdwajał się grzmotów huk ponury,
I węże piorunowe, oślepiając oczy,
Wkrąg czół nakształt ognistych wiły się warkoczy.
Wkrótce szczyt góry wyjrzał, ale bez Mojżesza. —
Płakano go. — Ku ziemi obiecanej rzesza
Szła, a przed nią Jozue, blady, zadumany,
Bo już mężem wybranym był Pana nad pany.

A. de Vigny.

SEN KONDORA.

Ponad stromą wyżyną skalnych Kordylierów,
Nad mgłami, gdzie się ledwie orzeł zbląka wzbity,
Wyżej nad pożłobione lejkowato szczyty,
Gdzie wrą law krwawe wary śród złowrogich szmerów,
Ze skrzydłami zwisłemi, które krew mu plami,
Ptak olbrzymi, zapadłszy w chmurne odrętwienie,
Milcząc na Amerykę patrzy, na przestrzenie
I na słońce, co smętnie mrze mu przed oczami.
Noc napływa od Wschodu, gdzie dzikie pampasy
U stóp gór wypiętrzonych bezkreśnie się szerzą;

Sieje senność na Chili, miasta, brzegi, lasy,
Na Pacyfik, widnokrąg z purpury rubieżą;
Zawładnęła już całym niemym kontynentem,
Piaski wzgórz, gór wąwozy przyodziała w kiry,
Teraz ze szczytu na szczyt, rosnącemi wiry,
Stąpa ciężkim przypływu ciemności odmętem.
On — jak widmo — samotny — na cypla koronie,
Skąpan w blaskach, któremi śniegi krwawią zorze,
Czeka na to złowieszczo wzbierające morze:
Ono zbliża się, wzdyma, w fali swej go chłonie.
Gdzieś — w otchłaniach bezdennych — na niebieskim sklepie
Krzyż Południa zapala gwiaździstą latarnię.
On zachrapał z rozkoszy, piór swych lasem trzepie,
Nagą, wygiętą szyję pręży muskularnie,
Zrywa się, chłoszcząc Andów śnieżyste opoki,
Z krzykiem głuchym się wzbija, gdzie wiatr nie dochodzi.
Zdala od czarnej kuli, od żywych powodzi,
Na rozpostartych skrzydłach śni w ciszy głębokiej.

IN EXCELSIS.

Potężniej, niźli orzeł, zwykły chmur mieszkaniec,
Ty, człowiecze, wzbijaj się, gdzie światłości sfera.
W dole — cichnie, maleje stary ziemi szaniec.

Wzbijaj się! Jasna przepaść lotom twym otwiera
Smagane słońca ogniem lazurów odmęty.
W dole — glob we mgłach szarych tonie, doumiera.

Wzbijaj się! Żar drga, blednie, strop nieb mrozem ścięty,
Zmrok ponury bezbrzeża w opończę swą mota.
Wzbijaj się, wzbijaj, zgub się w nocy niepoczętej:

Otchłań spokojna, czarna, bezkształtna niemota,
Rozemdlenie materyi w nicość doskonałe,
I niewypowiedzialna, zupełna ślepota.

Duchu! ty więc leć w światła jedynego chwałę,
Niech mrą w dole nikczemne pochodnie dawniejsze,
Ty leć, gdzie Źródło ognia wre i tryska całe.

Przez sny leć, przez marzenia, wciąż lepsze, piękniejsze!
By na Szczeble bez kresu drzeć się niezachwianie,
Depcz śpiące w grobach świętych bóstwa najmocniejsze!

Zrozumiałe się kończy, i oto konanie,
Wzgarda dla siebie, pomrok, zgryzota, co wierci,
I wściekłej rezygnacyi geniuszu otchłanie!

Światłości, gdzieżeś, gdzieżeś? Być może — aż w śmierci.

Leconte de Lisle.

KWIATY.

Ze złotośnieżnych chmur, któremi w pierwszy dzień
Stworzenia lazur lśnił, i z bieli gwiazd wieczystej
Utkałeś, Boże mój, kielichy wonnych tchnień
Dla nieznającej klęsk ziemi dziewiczo-czystej.

Kosaćce żółte niw z łabędzich wdziękiem szyj
I boski wawrzyn ów przez świat wygnanych duchów,
Różany jako dłoń Serafa w bieli swej,
Gdy ją zrumieni wstyd porannych złotych puchów.

Hyacynty słodkich barw, śnieżysty mirtu czar,
I różę, równą płci kobiecych ciał przezroczej,
Tę Herodyadę-kwiat, lejącą w ogród żar,
Którą codziennie krew promieniejąca broczy!

Tyś stworzył lilij biel, łkań pełną, smutku, łez,
Która, kołysząc się na smętnem westchnień morzu,
Przez lazurowe mgły, nad widnokręgów kres
Ku księżycowi mknie, co roni łzy w przestworzu.

Hozanna, Ojcze nasz, z kadzielnic, z dźwięków lir,
Za cudny ogród ten na naszych nędz padole!
Hozanna — echem brzmi mistyczny nocy kir,
Namiętny zachwyt ócz i światłość w nimbów kole!

Lecz, Ojcze, większy dzięk, żeś twórczym swoim tchem
Dał ziemi kielich ów czarodziejskiego kwiatu,

Co balsamiczną Śmierć ukrywa w łonie swem
Dla wieszczów, których już znużyło służyć światu.

OKNA.

Znużon smutkiem szpitala i kadzidłem wstrętnem,
Co bije śród banalnej firanek białości
Ku krzyżowi na murze nagim, obojętnym, —
Konający prostuje czasem stare kości,

Zwłóczy się i — nietyle, by rozgrzać swe padło,
Ile, by ujrzeć słońce na głazach — przyciska
Biały zarost i twarz swą kościstą, wybladłą,
Do szyb, gdzie blask wypala tęczowe zjawiska.

Usta wyschłe a żądne nieb, lazurów trunku,
Jak zamłodu wdychały skarb, świeżość dziewczęcą
Zatłuszczają w przeciągłym, gorzkim pocałunku
Ciepłe i lśniące tafle z radością zwierzęcą.

Pjany, żyje, zapomniał o olejach świętych,
Lekach, kaszlu, zegarze, łożu w ciemnym kącie...
A gdy wieczór krwią zbroczy zręby dachów ściętych,
Oko jego, na sytym światłem horyzoncie,

Widzi galery złote, piękne jak łabędzie,
Śpiące cicho na rzece z purpur i wonności
I kołyszące lśniące swych linij krawędzie
W ogromnej, wspomnieniami brzemiennej gnuśności.

Tak ja, zdjęty niesmakiem, wstrętem do człowieka
Twardej duszy, co w szczęściu brodzi życie całe
I plugastwo rozkoszy zwiększyć się zacieka,
Aby je dać kobiecie karmiącej mu małe,

Pierzcham — i wszystkich okien czepiam się przebojem,
Gdzie tyłem się do życia staje, — i z zachwytem
W ich szybach, zmytych rosy wiekuistej zdrojem,
Nieskończoności czystym ozłoconych świtem,

Przeglądam się — i nagle widzę się aniołem!
Mrę i — czy szybą sztuka, czy mistyka — szczytnie
Odradzam się, w djademie marzenia nad czołem,
Pod jakiemś dawnem niebem, kędy Piękno kwitnie!

Lecz biada! Rzeczywistość jest panem: jej tchnienie
I w tem pewnem schronieniu ściga mię i plami,
A gdy Głupota rzygnie nieczyste swe rdzenie,
Muszę śpiesznie zatykać nos przed lazurami.

Niepodobna-ż, o moje Ja, co znasz gorycze,
Rozbić szkło, przez potworu zelżone wszeteczność,
I skrzydły bez piór wzbić się w sfery tajemnicze,
— Chociażby potem przyszło spadać całą wieczność?

St. Mallarmé.

(Z „LA BONNE CHANSON").

V.

Zanim, ranna gwiazdo blada,
Z lazurowych zejdziesz łąk,
— W cząbrach stada
Przepiórczane dzwonią wkrąg —

Zwróć ku piewcy, który oczy
Ma miłosnych pełne śnień,
— W nieb roztoczy
Już skowronek wita dzień —

Zwróć spojrzenie, co w jasności
Już się topi rannych zórz;
— O, radości
Pośród łanu złotych zbóż! —

Potem myślą zaświeć moją
W dali tam — oh, w dali, tak!
— Rosy stoją
Na źdźbłach sian, djamentów szlak —

W słodkie sny, pieszczące miętko
Drużkę mą, co jeszcze śpi...
— Prędko, prędko,
Bo już oto słońce lśni!

VI.

Biały sierp wązki
Wzeszedł nad bór;
Z każdej gałązki
Świegotów chór
Płynie gęstwiną...

O, ma dziewczyno!

Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...

Marzeń godzina.

Ogromna, tkliwa
Cichość i mir
Z szafirów spływa,
Z gwiaździstych lir
Słodko się chyli!..

O, czar tej chwili!

(Z „ROMANCES SANS PAROLES").

Łzy mżą na dnie serca,
Jak deszcz mży ponad miastem.
Cóż za ból się wwierca
Aż do głębi serca?

O, słodki szelest deszczu
Na ziemi, na dachach!

Dla serca w męki dreszczu —
O, ten miękki śpiew deszczu!

Łzy mżą bez przyczyny
W sercu, które się dręczy.
Co? żadnej zdrady, winy?
Ten żal — bez przyczyny.

Najgorsza to z żałości,
Gdy się nie wie, dla czego...
Bez złości, bez miłości,
Serce w takiej żałości!

(„Z SAGESSE“).

Nieba widać, przez dachu kąt,
Modrość i ciszę.
Drzewo jakieś, przez dachu kąt,
Liście kołysze.

Dzwonek w niebie, widocznem ztąd,
Dzwoni cichutki,
Ptak na drzewie, widocznem ztąd,
Śpiewa swe smutki.

Boże, Boże, życie jest tam,
Proste, spokojne.
Ten łagodny pogwar ot tam
To miasto rojne.

Cóżeś zrobił, ty, co, tak sam,
Szlochasz w żałości,
Cóżeś zrobił, ty, co-ś tak sam,
Ze swej młodości?

P. Verlaine.

NA MORZU.

Z pokładu statku, w bryzgach pian,
Gdzie fala łasząc się rozpływa,

Jak pereł błyski błyskotliwa,
Na wieczny morza patrzę tan.

W dal fala mknie, w fali się żali
Coś jakby sen łkających wód,
Prócz wód nic jednak w tył i w przód,
I słucham fali łkań w odali.

Cudowna rzecz te we mgłach tła,
Widnokrąg chmur i burz bezdroże!
Godzina druga z rana gra;
Piosnkę na fletni, kotku-morze!

Piosnkę na fletni czystą, miękką,
Jak całująca statek fala;
Pod świt, co w dali się rozpala,
Piosnkę na fletni cichuteńką.

Wszystkim leżącym w tej otchłani,
Jedzonym przez wesołe rybki,
By tan zatoczyć mogli chybki,
Jedną z mych drobnych piosnek w dani!

Rzecz niewydana. W przyszły zbiór
Włożę ją z pieczą niewygasłą.
Dziś ten sardelom święcę twór,
Niech go przerobią na swe masło.

Cudowna rzecz te we mgłach tła,
Widnokrąg chmur i burz bezdroże!
Godzina druga zrana gra — —
Rzuciłem fletnię swą w morze.

M. Waller.

DO KAMILA LEMMONNIER.

Twa sława jak te wielkie zda mi się okręty,
Które — dumnych zdobywców magnetyczne tchnienie
Gnało na Atlantyków dziewicze bezdenie,
Ku wyspom złotym z baśni, w oddali zaklętej.

Wychodzono pod żagle, kiedy firmamenty,
Spłomienione w zachodów prorocze czerwienie,
Hojnie zlewają bogactw mistycznych olśnienie
W głąb' piersi marynarza dumnym szałem wzdętej.

A ludzie, którzy w porcie wylegli na brzegi,
Patrzyli, jak grążyły się masztów szeregi,
Niby senne widziadła, w horyzonty lśniące;

I w ich ciemnych mózgowiach, u schyłku żywota,
Wytryskała wciąż jeszcze czarodziejska, złota
Wizya czarnych korabi, co wpłynęły w słońce.

A. Giraud.

PIOSNKA MISTYCZNA.

Nowe-ż to jakieś słońce
Lśni w modrym niebios progu?
Wszystko jest młode, skrzące,
Wszystko się budzi w Bogu.

Hozanna! jak ognista
Róża, świat się otwiera.
Oto istota czysta,
W cień uszła zjawisk sfera.

Rozumu po cóż drgnienia
Ze zmysłów mdłą koleją?
Nic nie ma już imienia
I rzeczy nie istnieją.

Czas znikł i przestrzeń znikła,
Świat przyczyn znikł! O myśli,
Mrze pamięć twoja nikła,
Moc twoją przeszłość kreśli.

Bez pragnień, bez wyglądań
Poję się prawd jasnością.

Zbyłem się chceń, pożądań.
Ja jestem sam wiecznością.

I. Gilkin.

PIOSNKA.

— Zapaliliście w izbie lampy...
O, jak w ogrodzie słońce lśni!
Zapaliliście w izbie lampy;
Ja widzę słońca blask przez szpary,
Otwórzcie do ogrodu drzwi! —

— — Klucze ode drzwi gdzieś zginęły;
Trzeba nam czekać, trzeba czekać! — —
— Z wieży spadają klucze trzy! —
— — Trzeba nam czekać, trzeba czekać,
Trzeba nam czekać innych dni.

Dni innych ciąg te drzwi otworzy;
Zazdrośnie rygli strzeże las — —
— Las cały płonie wkoło nas! —
— — To zgniłe liście blaskiem zorzy
U domu płoną tak przedproży. — —

— Dni inne również są znużone;
Dni inne czują strach, jak my;
Nie przyjdą inne dni pragnione;
Dni inne umrą też, jak my;
My też umrzemy w ciemni tej... —

M. Maeterlinck.

PIOSNKA.

W złocistej barce ze Wchodu
Wracały trzy młode dziewy,
Trzy młode dziewy ze Wchodu
Wracały w barce złocistej.

I ona z nich kruczowłosa,

Co barki trzymała ster,
Na drobnych ustach o róż wonnem tchnieniu
Wiozła nam dziwne historye —
W milczeniu.

A ona znów ciemnowłosa,
Co w dłoni miała zasłonę,
A u stóp — skrzydeł łabędzie białości,
Wiozła nam ruchy anielskie —
W swej nieruchomości.

Lecz ta z jasnemi włosy,
Co spała na łodzi przodzie,
I której w wodę złote spadły kosy,
Jak brzaski złote o wschodzie,
Wiozła — za powiek ukryte przepaski —
Światłości blaski.

Ch. Van Lerberghe.

Z poetów włoskich. Przekłady Anny Bronisławskiej.

POTOK ŻYCIA.

Była cicha, słodka, przejrzysta
ugwiaździona cała wokoło
ta noc, którą zapamiętało
smutne serce moje na wieki.
Oh, ileż łez, od dawna, dawna
nagromadzonych i zastygłych,
odtajało i popłynęło
po mej twarzy deszczem rzęsistym
podczas trwania tej smutnej nocy!..
Nad baryerą starego mostu
pochylony, stałem w bezruchu

z twarzą w dłonie ujętą obie
i śledziłem na niebie Plejady,
i gwiazdozbiory Oriona,
i spokojny księżyc, płynący
w uciszeniu wielkiem, przez tonie
lazurowych ciepłych przestworów
nieskończenia. I bez przestanku,
bez wytchnienia, bez odpoczynku
popod mostem płynęły ciemne,
szybkie, wielkie, złowrogie fale.
A ogromne drzewa, stojące
ponad brzegiem, rzucały cienie
czarne, długie, co się łamały
na pośpiesznie pędzących wodach.
Nieustanne fal tych lamenty
zdały mi się ludzkiem szlochaniem
i echami tłumionych jęków
mego serca, co, bijąc silnie,
odpowiadało myślom moim.

. . . .

Potem, z twarzą w dół pochyloną
ku tym falom nieukojonym,
patrząc na ich ciągłe przypływy
nieruchomem i tęsknem okiem,
zatraciłem pamięć o sobie.
I widziałem w nich obraz żywy
nieustannego żeglowania
istot ludzkich, śpieszących tłumnie
ku przystani, co wszystko chłonie.
I dumałem, dumałem długo
nad pochodem nieustającym
starców siwych i umęczonych.
młodych, pięknych kobiet i dzieci,
co przechodzą jedni po drugich,
dążąc poprzez kalwaryę życia
do przystani — otchłani — Śmierci.

. . . .

Każda fala ma głos swój własny,
każda dusza ma jęk swój własny.
Jako organy, co ogromny,
tum wypełniają aż po brzegi

wezbraną rzeką rozpłakanych,
żałobnych tonów, gdy pośrodku
katafalk stoi w kirze cały,
tak pogrzebowe chóry ludzi
przyrodę całą napełniają
lamentami nieustannemi.
I niezliczony tłum nędzarzy,
trawionych głodem i chorobą,
co głowy gdzie nie mają złożyć
w grudniowe noce, tłumy starców
odzianych w strzępy, chudych, sinych,
płyną i płaczą. Płacze, płynąc,
ogromna rzeka, powódź cała
posępnych, bladych robotników,
co życie całe zmarnowali
wśród huku maszyn i kół zgrzytu
dla kęsa chleba powszedniego.
Gdzieniegdzie, przez łzy uśmiechnięci,
z oczyma we Wschód utkwionemi
z tęsknotą, — snują się poeci.
Tłum niezliczony, nieprzebrane
łzy! Słychać jęki i szlochania,
krzyk bojowy i płacz pokorny,
przeplatany cichą modlitwą.
Chorał olbrzymi, płacz odwieczny,
gorzki jak wody Oceanu
i jak Ocean wiekuisty.

E. Nencioni.

KLIMENA.

Za czasu dożów, w tej bujnej zieleni
migały z brzękiem po drzewach nożyce,
dziś drzew gałęzie zaplotły ulice,
w dzień długi słychać tylko brzęk szerszeni.

Milczą fontanny, co kiedyś tak świetnie
różnobarwnemi wodami tryskały,
tylko szerszeni i świerszczów chorały
ochrypłe, słychać dziś w wieczory letnie.

Porost oplata Trytonowi skronie,
zielonozłote mchy konchę zatkały,
Neptun bez ramion patrzy osowiały
na swoje zbiegłe nieruchome konie.

Wzdłuż balustrady zniszczone posągi,
a między niemi puste urny duże
antycznej formy, w których kwitły róże —
ręką staranną hodowane — ongi.

Lśnią w cieniu gładkie liście bukszpanowe,
świątynia dumań zdaleka bieleje,
śniąc dożów świetność i miłosne dzieje,
wspomina może niejedną rozmowę.

Ale czyż to jest świątynia marzenia,
co tam się bieli? Słyszę lekkie kroki
w alei. Spokój dokoła głęboki,
słychaj najlżejsze listków poruszenia.

Jakaś istota zwiedza to ustronie
samotnie... Z jakiej tu wyszła mogiły?
jakie ją znowu losy zawróciły
do życia? Czemu słania się i płonie?

Nadchodzi, strojna w szaty atłasowe,
antyczne, białe w fijołkowe pręgi,
wielki kapelusz z szerokiemi wstęgi
ocienia lice jej bladoróżowe.

Oczy podłużne, jasne jak topazy,
świecą się łzami powstrzymywanemi:
księżyc nie świeci tak łagodnie ziemi,
gdy się zasłoni mgłą obłocznej gazy.

Falują ciemne wstęgi kapelusza,
sypią się iskry z złotego warkocza.
Nadchodzi. Zda się, do tego ubocza
spragniona wspomnień pociąga ją dusza.

Przystaje czasem i szepce: Alceście...

Z bladym uśmiechem spogląda na kwiaty.
Chrzęści liść, rąbka uczepiony szaty,
i słychać słowa w tym cichym szeleście:

„Czyż to nie wczoraj? Nie wczoraj to było?
Róże dla niego woń miały mych loków...
Gdzie on? Gdzie Alcest mój? Nie słyszę kroków...
Jam jest Klimena. Tak. Wczoraj to było."

DOBRA NOWINA.

„A latorózgi nowe, co puściły
moc drobnych listków? a wielkie niebiosy?
a groby ojców? a dziecięce głosy?
a matka twoja? a dom sercu miły?.."

O, jak to dobrze słyszeć takie słowa!
Siostro, więc w lasach, ogrodach i wszędy
nowe, wiosenne wybujały pędy
i drobne listki złocą się? Perłowa

rosa lśni, siostro? i chwytasz ją w rękę?
Prawda!.. to wszystko takie wzruszające...
I serce matki koiłaś płaczące,
śpiewając o kimś dalekim piosenkę?

Niechaj nie płacze. Ten syn upragniony
wróci do domu. Kłamstwa go znużyły.
Wróci. I nigdy nie będzie miał siły
odjechać znowu. Zbyt jest opuszczony.

Chcesz, siostro? Jutro już będzie z powrotem
nazawsze. A więc czekaj mię, o miła.
Niech się napatrzę, jak wiosna okryła
drzewa i krzewy zielenią i złotem.

Na wody wartkie, na te dnie przejrzyste,
na błękit jakby przepojony mlekiem,
na zmierzchy z cichem wzdychaniem dalekiem,
na noce wielką ciszą uroczyste:

niech się napatrzę, nacieszę, napatrzę!
Ale niech będę sam z wami, jedyne.
Tylko w twe modre oczy i w matczyne
oczy niech wierzę, niech się w nich obaczę.

O, niech powitam z dziecięcym zachwytem
drzewa i krzewy. Niech wszystkie pragnienia
usną. Dziś wielka dobroć mi odmienia
serce, wszelakim znużone przesytem.

Dobroć, od której dusza zolbrzymiała
w bezmiar... — Więc powiedz, w ogrodach i wszędy
nowe wiosenne wybujały pędy?
I listki drobne lśnią? i tyś śpiewała?..

G. d'Annunzio.

CYTRA ACHILLESA.

I.

Króle i rycerze achejscy, w śpiż zakuci,
sługi, wszyscy mocno zasnęli, zwyciężeni
snem roskosznym, a ich rumaki, uwolnione
od ciężaru, stały do wozów przywiązane
i wzdychając jadły sporek i biały jęczmień.
Spali także wszyscy stróżowie nocnych ognisk,
położywszy głowy zmęczone na puklerzach
lśniących i okrągłych, blisko płomieni żywych,
od migania których świeciły długie ostrza
broni, jako chmury w noc ciemną zgromadzone,
zwiastujące burzę błyskaniem. Sen zwycięzca
zwalczył czarem swoim brodatych Panachejów,
niezwalczonych w boju, tej nocy, która miała
być ostatnią nocą Pelidy Achillesa.
I wiedzieli o tem w swych sercach wszyscy w niebie
i na ziemi wszyscy. Teraz bezwładni męże,
chrapiąc i zgrzytając w uśpieniu ciężkiem, widzą,
jak Achilles boski upada z łukiem swoim,
a dokoła niego podnosi się kurzawa.
Ale w śnie ich padał bez łoskotu żadnego,
już podobny cieniom. I oto wraz bezdźwięczne,

głuche się ozwało rżenie i jęk rycerzy,
a z bojowych wozów spadali w proch woźnice:
tak pod Ilionem głos się złamał straszliwy,
dziki — głos spiżowy Pelidy Achillesa.

II.

Spali, spali ciągle. A poprzez sen ich niemy
jęk dochodził wielki zrozpaczonego morza.
Zawodziły córy błękitne Oceanu,
zawodziły głośno nad żywym Achillesem.
Jedne łkały w dali, ażeby ich nie słyszał,
drugie znowu biegły przed siebie, oszalałe,
rozlamentowane, na brzeg, ku herojowi,
by mu Los oznajmić i z sobą uprowadzić.
Lecz napróżno: pędzą—i wnet uchodzą z płaczem,
zostawiając tylko na brzegu białe piany.
Wcale ich nie słyszy Achilles, chociaż czuwa.
Czuwa w samotności. Napawa uszy chciwe
pieśnią własną swoją i przedziwnemi dźwięki
Dedalowej cytry, wybranej między łupy
z Teb przeświętych, które swą własną zburzył ręką.
Serce mając pełne tych jasnych, czystych tonów,
nie mógł słyszeć zgoła, jak nad nim płacze morze.
I nie słyszał wcale, jak rumak jego Xanthos
mówił głosem ludzkim do brata wielkiej sławy,
do Pioruna, który odpowiadał mu rżeniem.
Śpiewał heroj boski herojów zmarłych, śpiewał
siebie, na tej cytrze, wybranej z wszystkich łupów.
Miał na barkach nagich wielką skórę kosmatą
ze lwa czerwonego, którego sam powalił,
długą, sięgającą aż do stóp szybkobiegich.

III.

Tak pochwałę wszystkich herojów, co spłonęli
w ogniu stosów, śpiewał Achill. I siebie śpiewał
sam, czuwając pośród Achajów snem zmożonych.
Nagle staje przed nim zgarbiony starzec siwy
— wędrownemu bogu podobny był z postaci —
prędko się uniża, całuje ze czcią groźne

ręce bohatera: I porwie się ze stołka
Achill zadziwiony — patrzy, a lew nieżywy
swym pazurem zgiętym zadrasnął go po nodze.
I zapyta heroj słowami skrzydlatemi:
— Starcze, kto zacz jesteś? zkąd idziesz? Zdajesz mi się
do Priama króla podobny, ale płaszcz ten,
co od wichrów chroni, królewskim nie jest płaszczem.
Któryż bóg cię przywiódł aż do mnie w tę noc ciemną?
Mów, a wszystko jasno opowiedz mi z kolei. —
I odpowiadając rzekł starzec siwobrody:
— Nie, nie jestem królem, o dumny Achillesie,
żaden bóg łaskawy nie przywiódł mnie do ciebie,
sam ze siebie-m przyszedł! Tu wszyscy, nawet stróże,
śpią w pobliżu ogni płonących z suchym trzaskiem.
Ty sam jeden czuwasz; nic nie słyszałem wchodząc,
tylko oddech silny uśpionych bohaterów
żywych — i łagodne westchnienia tych poległych.
A w tej świętej nocy moim był przewodnikiem
śpiew — dźwięk twojej cytry, o boski Achillesie.

IV.

Chmurnym wzrokiem spojrzy Achilles i odrzecze:
— Nie słyszałem jeszcze imienia szanownego
nie wiem, zkąd i po co przychodzisz. Może jesteś
z tych, co na okręty achejskie zatopione
w noc się wyprawiają, łatwym dzielą się łupem? —
I odpowiadając przemówił siwobrody:
— Jam Aojdos tylko, Pelido szybkobiegi,
drogi-m jest rycerzom, rycerzem sam nie jestem.
Urodzony byłem pod Plako, z lasów słynną,
w świętych Tebach, mieście, zburzonem twą prawicą.
Nie przychodzę tutaj o ciało żebrać syna,
broczącego we krwi, którą pies twój zlizuje.
Nie po syna jestem, darów ci nie przywożę
na ogromnych wozach, ani trójnogów świetnych,
ni peplosów, płaszczów, ni złota pełnej skrzyni.
I mnie na to nie stać — i tobie jest nic po tem,
skoroś Losu swego dostąpił. Bowiem wszyscy,
w niebie i na ziemi, na morzu niezmierzonem,
dobrze wiedzą o tem. I ty już wiesz. Rozdałeś

drogim przyjaciołom swe łupy — i podarki
świetne i bezcenne: trójnogi, tarcze, konie,
muły, cielce tłuste i piękne białogłowy,
i swój oręż cały. Hektora-ś oddał ojcu,
a swe życie młode oddajesz pięknej sprawie...
Och, więc oddaj cytrę Aojdowi, Achillu!

V.

Rzekł, wyciągnął rękę ku owej pięknej cytrze
dedalowej — ale jej szyjka z srebra kuta
kryła się wciąż jeszcze pod skórą lwa czerwoną.
Serce Achillesa zachybło się jak morze,
co się waha nad tem, czy schłonąć drobną łódkę
na bok przechyloną... I rzekł, odpowiadając:
„T o b i e". I podawał swą cytrę śpiewakowi,
ale z drżeniem widać, bo oto uderzyła
o złocony stołek i zajęczała cicho.
Potem już umilkła w aojdosowych rękach.
I dopiero wtedy Pelida równy bogom
wielkich swoich koni usłyszał dzikie rżenie,
i usłyszał, jak Xanthos człowieczą mówił gwarą
i śmierć jego pewną oznajmiał swemu bratu,
Piorunowi, który odzywał mu się rżeniem.
I dopiero wtedy posłyszał, jak się żali
nad nim morze czarne, jak płaczą Nereidy
nad nim, co tak piękny rozkwitłą swą młodością.
A niektóre biegły, zawodząc wniebogłosy,
by go uprowadzić ze sobą, lecz daremnie.
I zobaczył jeszcze w tę świętą noc ostatnią
Los, co oczekiwał na niego u Wrót ciemnych,
podobny do woźnicy, gdy wstąpi już na rydwan
z biczem w garści, twarzą zwrócony do heroja,
co do boju śpieszy, w przepychu lśniącej zbroi.

VI.

I powiedział starzec słowy uskrzydlonemi:
— Pozwól mi, Pelido, niezwłocznie się oddalić
i cytarę zabrać, ażeby twoje serce
chmurne — nie kazało tej, co głosiła sławę,

żyjącego jeszcze Achilla opłakiwać.
Zostaw płacz niebiosom i ziemi, wichrom, morzu,
lecz sam nie płacz. Tobie nie godzi się upajać
pieśnią, duchu jasny, o boski Achillesie,
duchu, który wie wszystko; ani zasłaniać losu,
co cię nie wyzywał, przez ciebie był wyzwany
Zostań wielkim dla nas, boski synu Peleja!
My to śpiewać będziem. O tobie rozgłosimy,
że płakałeś, ale samotny już, daleki —
i że powierzałeś swój żal nieutulony
falom oceanu i chmurom na niebiosach.
I powiemy jeszcze, że nieznana bogini
przyszła tu do ciebie poskromić gniew twój chmurny,
i że cię chwycila za grzywę płomienistą,
tę czerwoną grzywę, którą potem znów inna
nieznajoma boża gładziła lekką ręką,
niewidzialną dla cię. Że posłuchałeś głosu
morza i błękitów bezmiernych; że, wstąpiwszy
na wóz, rwałeś naprzód, woźnicy strasznym krzykiem
gnając — tam, ku Śmierci — nieśmiertelnego Xantha. —
Rzekł i zniknął w cieniach tej ambrozyjskiej nocy.

VII.

A Pelida siedział, słuchając rżenia swoich
w boju dzielnych koni. I słyszał wciąż zdaleka
płacz Nereid, a w owem żałosnem rozszlochaniu
głos smutniejszy jeszcze, lecz cichszy i łagodny,
głos błękitnej matki, nieśmiertelnej Tetydy.
I usłyszał jeszcze, przez wielki sen obozu,
jak przeczystym dźwiękiem jęczała jego cytra,
której struny targał szlachetny śpiewak, strojąc,
gdy na chwilę konie zmęczone przestawały
miażdżyć w silnych zębach sporek i biały jęczmień.
I śpiew przelatywał wśród śmierci i uśpienia.
A sęp jakiś wielki, sfrunąwszy z pola trupów,
skrzydłem nad czołami żywych wiewał herojów.
Pieśń się oddalała pod niebem szafirowem
i ucichła. Więcej nie słyszał jej Achilles.
Nic mu nie zostało, prócz koni, i bojowych
wozów, i błyszczącej zbroicy, nic już zgoła,

jedno tylko: na rydwan wstąpić i gnać naprzód
w tarczy promienistej, jak słońce, kiedy idzie
do Zachodu. Nagle usłyszał blisko siebie
lament jakiś cichy. Bryzeis to u proga
stała i płakała, umiłowana branka.
I Achilles wtedy pochwycił ją w ramiona,
i do piersi tulił pod skórą lwa czerwoną,
i tak oczekiwał róż jutrzenki ostatniej.

G. Pascoli.

ZWIERCIADŁO.

W starym i ciemnym Igora kasztelu,
W jednej ze świetlic ukrytych zamczyska,
Na ścianie pustej, zczerniałej, połyska
Duże zwierciadło od wieków już wielu.

Mądrością Zorzy Północnej bladawą
Jaśnieje kryształ nad zgasłem ogniskiem,
Jak wielka gwiazda z błękitnym rozbłyskiem
Z dalekich niebios patrząca się łzawo.

A kto podejdzie i, nie mrużąc powiek,
W skupieniu, w ciszy wpatrzy się w zwierciadło,
Temu ukaże się cudne widziadło,
Jakiego nigdy nie ogląda człowiek.

Niby w mgłach lekkich, rzuconych na fale
Jeziornej toni spokojnej i sennej,
Obraz się jawi powoli promienny
I coraz jaśniej znaczy się w krysztale.

Zda się wypływać z głębi i zaczyna
Mocą tajemną przybierać — o dziwy! —
Linie, kolory, ruch postaci żywej...
...W zwierciadle stoi przecudna dziewczyna.

Różowe skronie, a na szyi białej
Włos się rozwija w skręty pozłociste,
Śmieją się usta z purpury... Zaiste,
I w snach się takie nikomu nie śmiały.

Śmieją się usta; włosy złotą rzeką
Spływają do stóp... Do marzeń się śmieje,
Jak zakochani, co mają nadzieję;
Okiem płonącem patrzy gdzieś daleko.

Lecz oto smutku leciuchna zasłona
Ochmurza czoło i jasne źrenice,
Z ust zleciał uśmiech, a na blade lice
Sączy się gorycz we łzy rozperlona.

Lecz oto groza tragiczna zamąca
Zadumę rzewną tęsknoty Zjawiska.
Aż nagle — z gardła białego wytryska
Rzeką czerwoną krwi fala gorąca.

Już głowa jasna, niby kwiat ucięty,
W tył się przechyla. I obraz świetlany,
Mgieł dymnych wirem zawrotnym porwany,
Już w nieprzejrzane zapada odmęty.

A. Graf.

VAL DI SELLA.

Dolina błogosławiona...
Szczytów ją wieńczy korona wysoka, wspaniała.
Z jej nieba gwiazd powódź cała światła tajemne
Wysyła na łąki ciemne. Gdy błysną zorze,
To kwiatów zielone łoże w perły się stroi przeczyste.
Przecudny raj, zaiste, raj w cieniów i wód ozdobie,
W którym Bóg upodobał sobie. Białe motyle
Bujają w złocistym pyle i, zda się, wieczny
W dolinie tej słonecznej spokój panuje jedynie.
A jednak, w lasów gęstwinie ciemnej i głuchej,
Nieraz wieczorne podmuchy wichru zapłaczą
Jakby z rozpaczą, albo gwałtownie zawyją,
Jakby zwiastując śmierć czyją. To w ranki wczesne
Usłyszysz krzyki bolesne i pełne trwogi bezbrzeżnej:
Orzeł pochwycił drapieżny ptaszynę, przy piersi ją trzyma
I chciwie pożera oczyma. I po rozłogach,
Po leśnych drogach echem ten krzyk się odzywa,

I leci skarga jękliwa od góry do góry,
I kiedyś może przedrze się przez chmury do nieba.

WROTA ŚPIŻOWE.

Człowiek uderza w ordzewiałe wrota
śpiżowe, ale nikt nie słyszy. Blady
księżyc zaledwie odrobinę złota
kładzie na sfinksy ciche kolumnady
i na tę rękę, co bije we wrota.
Nikt nie otwiera — i wciąż od fasady
idzie, jak wielka i próżna tęsknota,
odgłos kołatań i ciszę zamąca.
Na martwe pola idzie i na błota,
kędy lśni woda w kałużach stojąca,
wkrąg otoczona wieńcem żywopłota
z łozy, o którą echo się roztrąca.
Żadna tu żywa nie mieszka istota,
nawet na wieży o blaskach miesiąca
kozodój puszczyk nigdy nie chychota.
I kto wie, odkąd pielgrzym w bramę trąca
i kiedy zaszedł przed śpiżowe wrota
na tem bagnisku przeklętem bez końca?

CZYTAJĄC MAETERLINCKA.

Odwieczne zamki nieprzebytych borów,
gdzie nigdy, nigdy nie zagląda słońce...
Zdala dochodzi szum morza i płaczą
źródła i zdroje i słowa tęskniące
tego, co tutaj sam mieszka z rozpaczą.
Snują się dziwne po lesie widziadła,
ale w ich żyłach krew płynie gorąca;
moc tajemnicy wkoło się rozsiadła,
wszystko ogarnia, pochłania i zmąca.

Kiedy się kona tu, w pustem i głuchem,
ciemnem zamczysku, co ledwie się cieszy
najcieńszym włoskiem srebrnego miesiąca,

z dna dolatuje chór wesołej rzeszy:
pieśń marynarzy potężna i grzmiąca,
o jasnem niebie, o błękitnej wodzie,
o białym żaglu, o uciechach świata,
o szczęsnej ziemi, kędy kolibr lata
i dyamentuje palmy o zachodzie.

V. Aganoor.

PAN.

Pewnie byłeś w pobliżu, stałeś za mną może,
gdym w ten ranek wsłuchiwał się chciwie w szmer lekki
muzyki nieuchwytnej, słodkiej i dalekiej —
pewno w gaju bukowym byłeś, leśny boże.

U stóp mych biegły wody przezroczystej rzeki
wśród storczyków, wieńczących jej kamienne łoże,
a ja, cichy, samotny w woniejącym borze,
łowiłem chciwem uchem szmer pieśni dalekiej.

Przedziwna pieśń! Marzyłem, że ty sam, o Panie,
przepływasz ponad falą tej rzeki błękitnej
z wichrem, co ciemno-srebrne głowy buków chyli.

I utkwiwszy źrenice w wartkie uciekanie
wód, z sercem zasłuchanem w ów śpiew nieuchwytny,
szczęśliwy zawołałem: Ach, umrzeć w tej chwili!

GÓRA WYMARZONA.

Lekko wspinam się w górę: Ranek jasny, świeży,
przezroczyste powietrze, zapach balsamiczny,
srebrny blask liści w słońcu, szmer wody krynicznej...
serce mocniej uderza, pierś oddycha szerzej.

Żywość moja się wzmaga od woni żywicznej,
od mocy utajonej, co w tej puszczy leży,
więc zapędzam się szlakiem nieznanych rubieży,
choć nie wiem, gdzie i dokąd zajdę w ten dzień śliczny

O, pierwszy wirch nieznany! Tak mi się majaczy
w marzeniach: caly w nimbie złocistej korony
zachodu, jaśniejszego niż poranne świty...

A ja, w śnie swym zuchwałym, w śmiałości junaczej,
stopę na jego głowie stawiam, niestrudzony,
gotów piąć się na inny szczyt, na wszystkie szczyty!

A. Orvieto.

Z poetów niemieckich. Przekłady Kazimierza Wroczyńskiego.

NA BRZEGU.

Na brzegu płuczesz muszle zawite w tęczny krąg,
Dla igrzysk płuczesz, dla twórczych starych rąk.
I tak spokojnie trwając z rękoma u twych rąk
Ja w sobie wieków, wieków czuję krąg.
W błękitach, hen, mknie orli świr.
Chłodzie, w wilgotny wietrzny wir!
O ty, dziecino wśród gier,
Znikome dziecię bezbrzeżnych sfer!
O śmiechu, co z serca męża przesz jak krew
I w łzawy zlewasz się śpiew!
Przepychu lśnień!
Mocy mych twórczych chceń!
O morze — słońce — orli świrze — hej!
I wy, nieskończoności melodyi tej.

LEGŁEM NAD MORZEM.

Ległem nad morzem, nade mną blaski się przewalały.
Widziałem z dalekiej skały
Obłok świrzących białych ptaków.

Cisnąłem arkan, żeby je schwytać.
Białe ptaki, sny, fantazye, pędne mórz zawroty.
Białe ptaki i te wieczne rozśmiane nawroty.

JAKŻE MI SKARŻYŁ SIĘ...

Jakże mi skarżył się twój szary zmierzchu ból!
Lekko złożyłem cię wśród białych śnieżnych pól,
Złoty twych włosów składałem błam.
Tak niegdyś źle, — teraz tak dobrze nam.
I klęcząc w śniegu nad tobą się zwiesiłem
I z twoich oczu zielonej toni
Przecudną gwiazdę dobyłem.
— — — — — — — — —
Gwiazdy płyną po dal. obszarze,
Co uniwersum niesie.
I jeszcze ci mówić chce się,
O ty, tak lśniąca w zachodu twoim żarze?!

WPRZÓD NIMEM...

Wprzód nimem wyspy tej porzucił brzeg,
Ostatnio, trafem odkryłem jaskinię,
W jej głębiach ducha, nowego mi ninie,
I ten najwyższe dla mnie szczęście zrzekł.
Na długom strzymał tu kroki,
Na twarzy zapadł mi uśmiech głęboki,
Drżący od światła przez chłód, przez zmierzchowy, —
Uśmiech płonący, nowy, — ku ojczyźnie,
Prauczuciowy.
— — — — — — — — — — —
Już była noc, gdym na przylądek wbiegł.
Już była noc, gdym zadął w róg na bieg.
Łódź legła w księżyca blasku.
Jam na srebrzystym stał piasku, —
Drętwy, jak senny, w blasku, co z księżyca ciekł.

A. Mombert.

O, DAJ MI SPOCZĄĆ...

O, daj mi spocząć w twoich cichych oczach,
Twe oczy — to zakątek najcichszy na ziemi.
O, jak dobrze spoczywać pod twemi ciemnemi
Spojrzeniami, — jak w miękkich, wieczornych szarościach.

Z ciemniejącego horyzontu ziemi
Krok tylko jeden jest do nieb szarości —
W twych oczach kraniec, horyzont mej ziemi.

WIEW ŚCIĘŻAŁ...

Wiew ścieżał, skrzepł,
Chmury się ścięły w niemą biel
Na szarej bezbrzeżności nieb.
Hej, kruczy skrzek —
W oddale wciekł.
Zziębnięte stoją drzewa wskroś,
Cóś, jakby ostatnie serce gdzieś pękło, — cóś...

WZDŁUŻ KONICZYN...

Wzdłuż koniczyn lila słodkich łąk,
Ku dwom jodłom, co wkrąg
Ławkę sobą cienią,
W miękki fletu rozlewa się ton
Łagodny fjord,
Modry z szuwarów zielenią.

Daj rękę mi.
Tak ciche stoją jodły dwie.
Chcę ci powiedzieć,
Co cisza wkrąg przemilczeć chce.
Daj rękę mi.
Daj mi w twej ręce serce twe.

NA TWEJ GŁOWIE...

Na twej głowie krwawo-złotą żar roztopił się koroną,

Aż tak płoną krwawo-złoto i tak dumnie włosy twe.
A jak ból, jak łzy, w oczach pieśń ci drży,
Jak te łzy spadłe w głąb' — niewylane.

Nigdyż promienie słońca nie zasypiały na twych wargach?

I myśleć nie przestanę,
Iżeś ty nigdy siebie nie widziała,
Tak biedną-ś jest!

NA PIERSI MOJEJ...

Na piersi mojej — piersi twe.
Rozwarły się mogiły dusz.
Jam widział wskroś zamknięte oczy
Zachody twych słonecznych burz.
Jam widział za słońcem otchłanne pomroki,
Gdzie miłosne śpią zarodzie w prawieczystości głębokiej.

I pusta, zwykła cisza była wokół nas,
I w nią uczucie naszej nieskończoności szło,
Byliśmy wszystkiem, poza tem rozum gasł,
Wiedzieliśmy li to, że szczęśni byliśmy.

NIGDY TAK...

Nigdy tak żądnie nie tryszczały ptaki.
A taki wiew, szept słońca szedł taki
O miękkich, rozkosznych kobietach.
Całunków pełnia z wszech zwisała drzew,
Wszystko zmuszało k'pożądaniom warg,
Siejąca pragnienia w podnietach
Wiosna stąpała po ziemi.

GDY MNIE TAK ŻAR...

Gdy mnie tak żar zalewa twój,
Z mej krwi wytryska kwiecia rój,
Z mego ciała — szał ogrójców-wirydarzy.

Wrzące kwiaty stoją w zachwyceniu,
A tysiąc rozszeptanych pąków
W ciebie jedną zapatrzył się —
Płoni się, żarzy, czeka.

M. Dauthendey.

Z poetów czeskich. Przekłady Miriama.

(Z „PIEŚNI KOSMICZNYCH").

Poeto Świecie! ty, co-ś eon przeżył,
Nim gwiazdę z gwiazdą w dźwięczny-ś wiersz wymierzył,
Nim każde słońce z planet kwieciem złotem
W strofę związałeś natchnionym polotem,
Nim w chaotycznej myśli swoich cieśni
Słońc tych gromady-ś podzielił na pieśni,
Nim młodej ziemi rzekłeś: „Żyj, ożywiaj!"
I pierwsze budząc w młodem sercu bicie
Otwarłeś oko człowieka: „Podziwiaj!" —

Poeto Świecie! Twój hymn nie ma końca!
Każda twa strofa wnet kiełkuje, żyje,
A gdy przekwitnie, trup jej w sobie kryje
Dla ręki twojej treść na nowe słońca.
Poeto Świecie! Dokąd nie sięgają
Skrzydła twej pieśni?! Otchłań mroków zna ją
I źródła światła potęgę jej czują:
Wionie nad morzem, morze wre ode dna,
Wionie nad ziemią, ziemia zadrgnie biedna,
Wionie po niebie, światy dech wstrzymują!

Poeto Świecie! Co pieśń twoja kryje,
Wszystko, co mrze w niej, — nieśmiertelnie żyje!

Niemasz piękności, żeby z niej nie trysła,
I niema zorzy, aby w niej nie błysła,
I niema blasku, by w niej nie zajaśniał,
I niema kwiatu, by w niej nie zakraśniał,
Niema ptaszyny, by w niej nie śpiewała,
Dziecięcych śmiechów, by w niej nie dzwoniły,
Łez, by jej strofy już ich nie roniły,
Niema rozpaczy, by w niej nie zawrzała,
Walk, by nie grzmiały w dźwięków jej topieli,
I męczenników, by w niej krwi nie leli,
Niema tęsknoty, by w niej nie wionęła,
Niema miłości, by w niej nie płonęła,
I niema serca z wirem uczuć sprzecznym,
Aby nie biło w twym hymnie odwiecznym!

Poetów bogiem tyś — Poeto Świecie!
A czemżeś różny od nich wszystkich przecie?
Choć hymn twój wielki grzmi na ziemi, w niebie,
Cóż nam w nim dajesz? — zawsze tylko siebie!
Choć, gdy czytamy, krew bije goręcej,
Czujemy jednak: poeta czuł więcej!
Ty znasz szał twórcy i ból, wieszczów królu,
A któż zapyta, co-ś w hymn ten wlał bólu!

Jan Neruda.

HARUT I MARUT.

Gdy podbił już Salomon król szatany wsze i dżiny,
Gdy rój na niebie zliczył gwiazd i zbadał mórz głębiny,
Królowa z Saby, wiedzy cud, co przed nim stała w dziwie,
Przyjaźnie się żegnając z nim, szepnęła mu życzliwie:

„Znasz, królu, wszystko! Oko twe Szatana, Boga mierzy,
Lecz nie znasz drzewa życia snadź na gruzach Babel wieży.
W tem drzewie tam zaklętych dwóch ukrywa się aniołów,
Ci znają prawą życia treść, i zdrój, i cel, i połów.

„Jeden, odziany w czarną noc, ma dane imię Harut,
Drugi, w światłości zdobny blask, to brat jest jego Marut.

Najbliżej stali obaj ci, gdy Jahwe tworzył światy,
Kiedy nad gliną, zkąd człek wstał, drgnęły mu ust szkarłaty.

„Bo naprzód chciał z człowieka Pan istotę wyższą stworzyć,
Przed którą tronów, królestw szyk z podziwem miał się korzyć.
Miał po Nim człowiek pierwszym być, dziedzicem bożej chwały,
Miał za dyadem słońce mieć, pod stopy miesiąc biały.

„Tchnął w glinę Pan, ta jęła drżeć, bo na dech jego święty
Miłości się obudzil żar i wstrząsnął iłu męty.
Klęknijcie — rzekl do duchów Pan — sam teraz przejdę siebie.
Lecz Harut śmiał się, Marut śmiał, aż słychać było w niebie.

„A gdy tchnął Jahwe, Harut tchnął, tchnął Marut niewidomie,
Zawistny dech ich skaził wnet potęgi twórczej płomię,
I człowiek powstał, piękna dziw, lecz sam niejednolity,
Materya wiecznie w pętach wpół, wpół seraf odzian w świty.

„I gniewem się rozgniewał Pan, że w swem największem dziele
Iblisy tymi zmożon był i tak zakłócon śmiele.
Strącił ich z nieba, zaklął w pień, na miejscu tem, gdzie Abel
Przez brata potem zabit był, a później stała Babel.

„Jak-em ci rzekła, wszystko znasz, o wielki Salomonie.
Jak przed miesiącem roje gwiazd w noc cichą chylą skronie,
Tobie się ludy świata wsze kłaniają korną zgrają,
Jeno aniołów nie znasz tych, co cel żywota znają.“

To rzekłszy mu, z orszakiem swym, z wielblądy odjechała.
Król został, serce rwał mu żal, głowa mu wrzała cała.
Już nie bawiło berło go, ni chram Jehowy nowy,
Ni cytarzystów, piewców chór, ni prorok z wróżeb słowy.

Winniczny go nie bawił gąszcz, gdzie przy księżyca świcie
Tak wiele słodkich spędził chwil przy czarnej Sulamicie.
Cedrowy go nie bawił gmach, ni złote w nim świetlice,
Ni nago w tańca mknące wir egipskie niewolnice.

Banaję przyzwać sobie dał, gdy wieczór zmroki szerzył,
Chram, Jeruzalem, twierdzę mu i państwo całe zwierzył.
A nie miał o tem wiedzieć nikt, że jako pątnik prosty
Do Babel w drogę udał się, przez puszcze, rzeki, mosty,

Że jako żebrak z wsi do wsi, od grodów szedł do grodów,
Że jako obcy pytał dróg u obcych mu narodów,
Aż uznojony i bez sił, po mylnych radach wielu,
Po wielu nocach, wielu dniach, u ruin stał Babelu.

Olbrzymiej wieży groźny zwał w dal ciągnął się sinawą,
Po gzémsach smutnie igrał wiatr z wysoką, gęstą trawą,
A wyżej, na kamienia rzut, pień figi tkwił znędzniały,
Rosochy jego dwojgiem rąk, wzniesionych w mgle, się zdały.

Od wschodu w pniu tym zamknion był od wieków czarny Harut,
Na zachód w pniu tym zamknion był od wieków biały Marut.
Siedzieli obaj wieki tam i często, nocą, w szale
Ku gwiazdom słali klątwy złe, gdy wyły wkrąg szakale.

Do pnia Salomon przyszedł król, od wschodniej przyszedł strony.
Zapukał cicho: „Jam jest król rodzajów ludzkich czczony.
Aniele czarny, powiedz mi, gdzie życia święte zdroje?
Jaki ostatni jego cel? Pragnienie ugaś moje!"

A z drzewa zabrzmiał suchy szmer, jak w liściach lub na łące,
Gdy błyśnie, gwizdnie, wieszcząc śmierć, kosiarza ostrze lśniące:
„Cel wszego — nicość, po cóż trud, cel wszego ciemność blada,
Wszechświat olbrzymią różą jest, co z liści wciąż opada!"

I zdumiał się Salomon król, na drugą przeszedł stronę,
I znów zapukał cicho w pień, jak w chatki drzwi zamknione,
I znów powtórzył prośbę swą, a w pniu tajemną zwrotką
Drgnął filomeli tkliwy głos, tak tęskno, rzewnie, słodko:

„Cel życia — dalsze życie znów; z nad czaszek, zwlok i kości
Znów zafaluje kłosów lan, aksamit zieloności,
Tryumfem wszego — złoty dzień, radości, śpiewu chwila,
Wszechświat olbrzymią różą jest, co wiecznie się rozchyla."

I zdumiał się Salomon król, do wschodniej szedł znów strony:
„Gdzie znaleźć," pytał, „zgodę, mir, harmonię, ład skończony?"
A z pnia odpowiedź brzmiała wnet: „W mogile; ta uśmierza
Sprzeczności wszech życiowych bój; kto mędrzec, tam niech zmierza."

Powtórzył znów pytanie swe przy drugim drzewa boku,
I znów wesoło zabrzmiał głos: „Walcz wciąż, nie ustąp kroku,

Nagrodzi cię czasz pełnych war i stworzeń wszech korona,
Wszystkiego cel, piękności szczyt, kobieta ubóstwiona."

I zdumiał się Salomon król, i ważył mowy obie:
Dzień Marut był, a Harut noc — i mówił cicho w sobie:
„Razem dopiero obaj ci całością są skończoną,
Człowiekiem całym; rady ich głęboko wezmę w łono!

„Kiedy najżywiej płonie dzień, noc spada niespodzianie,
Kiedy najczystsza radość lśni, wnet żal jej w drodze stanie,
Gorycz — na każdej czary dnie, jad — każdej kres słodyczy,
A najpiękniejszej z kobiet jad, złość, gorycz któż policzy?

„Nie dziw, zaiste! Nie mógł Pan skończonem stworzyć dzieła,
Nie dziw, że skroń Iblisów tych przed nim się nie ugięła.
Marut — kobieta, słodycz jest; Harut — mąż, bunt, pomroka;
Z obu dopiero życia treść lśni jasna i głęboka.

„I nie mógł Pan sprzeczności tych połączyć w jednym tworze,
Tu Harut wciąż podnosił bunt, tam Marut trwał w oporze,
I przeto złomkiem został człek — i marzyć musi wiecznie,
Jak i czem wnętrzną próżnię swą zapełnić ostatecznie!

„I słuszność mają obaj ci, zły Harut, Marut miękki;
Wszystko jest nicość, marność, proch, a wieczne — kobiet wdzięki,
W mogile tylko spokój, mir, żądz dzikich uciszenie,
Lecz słodsze jednak jest u łon kobiecych zapomnienie.

„I tylko ten, co każdą rzecz odważy mądrze w dłoni,
Żywota gorzką stronę zna, za słodką wszakże goni, —
Ten mądrze rano u stóp bóstw, przed dziewą w nocy klęknie.
Haruta złość, Maruta śmiech mu duszy nie ulęknie."

I wrócił w gród swój, pomny wszak nauki rad zdobytej,
Lepiej zawartość cenił czasz i wdzięki Sulamity,
I — pocałunków licząc skry na ciałach dziew — z kolei,
Jak ambry ziarnka, puszczał z ust wiersz gorzki kaznodziei.

MUZYKA W DUSZY.

Jest na dnie ludzkich dusz ukryta gędźba,
Która tam dzwoni, gwarzy, szemrze, śpiewa,

Milczy przez lata, znów ozwie się z czasem,
Zwłaszcza za cichych, wonnych letnich nocy,
Gdy w uczuć struny tchnie i wzruszy serce
Arcymistrz tonów, bóg wszechświata, Miłość.

Jam często pytał serca: Co jest miłość?
I echem brzmiała we wszechświecie gędźba,
Aż mi radością drgało cichą serce:
Miłość to ptak, co w klatce świata śpiewa,
Za dnia rad milczy, wyśpiewuje w nocy,
Zawsze radośnie, choć z rozpaczą czasem.

Miłość to skarb, co nie zaginie z czasem.
Ulem jest, wiecznie pełnym miodu, miłość.
Miłość to uśmiech jasny dnia, czar nocy,
To najtajniejsza sfer gwiaździstych gędźba,
Wodospad, który na dnie serca śpiewa,
To świat serc naszych i wszech światów serce.

O ty, znużone, udręczone serce,
Wierz, a i tobie świt zabłyśnie z czasem,
Na drzewie życia i dla ciebie śpiewa
Ów ptak bajeczny, który zwie się: miłość.
I dla cię gwiazd brzmi melodyjna gędźba,
Która z twej twarzy spływa, święta nocy!

Jam często błądził w zmroku cichych nocy,
Pytałem: Ziemio, gdzie twe bije serce?
Pytałem: Świecie, zkąd ta dziwna gędźba,
Co żyje wiecznie, wraz z przestrzenią, czasem?
I echem wszystko brzmiało: Miłość, miłość,
Tą żyje świat nasz, tą w nim płonie, śpiewa!

Milknę — lecz w gąszczu ciągle słowik śpiewa,
A złote gwiazdy lśnią za wonnej nocy,
Pod oknem, w cieniu, szepcze młoda miłość,
Usta w uścisku cichną, cichnie serce,
A jeśli w mroku śmiech zadzwoni czasem,
Brzmi jak turkawek albo drozdów gędźba.

Tyś, o poezyo, ta gędźba, co śpiewa,

I płynie z C z a s e m wśród burzy i n o c y,
I wzrusza s e r c e, w którem płonie m i ł o ś ć!

Jarosław Vrchlicki.

PYTHAGORAS.

Chlopcze z Syrakuz, syt już będąc świata,
a niesyt jednak, chcesz wejść w nasze koło —
co, chcesz mądrości? Tej u nas nie znajdziesz.
Tej nie ma żaden ze śmiertelnych ludzi.
My przyjaciołmi jej zwiemy się jeno.
Do prawdy dążysz? Niema prawdy, chłopcze.
Toć sam dziś innym zupełnie się jawisz,
niż byłeś kiedyś. Żyłeś w innem ciele,
w innej epoce, w innym pasie ziemi,
jako ktoś inny — lecz nieraz ci błyśnie
z chwil owych w duszy zmącone przeczucie,
kraj obcy poznasz, gdzieś już bywał ongi,
i myśl, którą-ś już w innem życiu myślał.

Jest tylko jedna niezmienna harmonia
sfer, losów, rzeczy. Ta ci błyskawicą
zjawia się jeno, posłyszysz jej brzmienie,
trwale nikt wszakże ująć go nie zdoła.

A potem, chlopcze, liczb jest jeszcze pewność,
linij i kształtów. Tę ci dać możemy.
A dar to w życiu, zaiste niemały:
punkt pewny, w którym oparcie masz zawsze,
gdy myśl i system w nicestwo się wali.
Cicha to, własna duszy twojej przystań...

Liczba jest duszą wszechrzeczy, nią żyje
i głaz, i drzewo, powietrze, rzek fale.

W świat ten cię wwiedziem. Ale w świecie dawnym
dawnego musisz zostawić człowieka.
Ciężka jest ku nam droga: milczeć trzeba,
byś wartość rzeczy poznał; trzeba zrzec się
radości życia, byś radość osiągnął;

odrzucić trzeba wszystko, co-ś miał swego,
byś to, co będzie udziałem twym, cenił.

A twym udziałem będzie pewność owa,
owa liczb dusza i kształtów harmonia,
nie imię, sława.
Żył przed laty z nami
Hippasos, młodzian twych lat i postawy,
z duszą gorącą. Hippasos ten znalazł
nowy ton jeden w harmonii wszechrzeczy,
dwunastościanem zwany. W pychy szale
imię swe razem z odkryciem rozgłosił.
Strąciłem wówczas chłopca z brzeżnej skały
w głąb' morskich fal. Bo zdradził życie nowe
i żądzę duszy ukoić chciał sławą...

Rozważ to wszystko, młodzieńcze z Syrakuz.
A jeśli dusza ci zadrgnie słabością —
póki czas, odstąp. Wąż, gdy zrzuca skórę,
z bólu i męki jest jak odurzony;
w harmonii losów i do ciebie, chłopcze,
to się stosuje. Opuść miasto Kroton,
wracaj do domu, żonę wybierz sobie
z cór syrakuskich, dzieci płódź i żyw bądź
zwyczajem stada ludzkiego.

Lub zostań —
a znikniesz, żywy, z pamięci tych żywych
i będziesz tonem w harmonii jedynie,
co brzmi i milknie, aby zabrzmieć znowu...

J. S. Machar.

WINO SILNYCH.

Bracia, z ręki do ręki podawajmy wino silnych w mej czarze;
wieki je w winnicach osłaniały przed mrozem, jako dymy ogniów w czas nocny.
A kiprami jego były Samotność i Ból.

Nim się spodziejem, usłyszymy, jak obok nas pieśń mistyczna rytmicznie dyszy,
a na ustach poczujem ciepło czary swej od dotknięcia jej ust eterycznych.
Prąd tajemniczy zamknie się nagle wokół stołu naszego,
z pod praw ziemi nas wyjmie, i żywot i śmierć odpowiadać będą naszym marzeniom.
Usłyszymy szum przeciągły rzek niewidzialnych, co płyną przez stulecia,
spostrzeżemy chmurę Wiecznego, zwisającą nad wodami i świecącą z głębin jak słońce.
Upojenie duszę uczyni nam jasną, jako dusze ludzi przyszłości,
i otruci marzeniem umrzem przed swą śmiercią, a po śmierci będziemy żywi.

Czyść będziem posłusznie w księdze twojej, o Wieczny, i obrazom jej dobierzem słowa.
Czarnoksiężkiem kołem, wielkiem jak niebokrąg, od gróz odgrodzim się nocy.
Ulewa twa ugasi budynki nasze, płonące z czterech rogów ogniem boleści,
a na kwasie twym wyrośnie nam ciasto nowego chleba.
Lampy nasze w zdrój się zmienią oliwy, który świecić będzie, bez ruchu, pośród wszech wichrów.
Ogrodami będą nam groby, a śmierć swoją śpiewem kołysać będziem.
Mową naszą będzie milczenie, a pocałunkiem niewidzialne spotkanie tęsknot.
Odpowiadać będziem jaśnieniem oczu przy uścisku myśli w oddali.
W promieniach utkwionych spojrzeń naszych przejrzystem stanie się nieprzezrocze.
Nie pójdziemy przez mgły łez z krainy marzeń do ziemi życia, bo obie spłyną,
a łzy, jak rosa na zbożach wieków, wypita przez słońce, wzbiją się nad nami w purpurach rannych.

Okna nasze ukażą nam barwy omyte burzą niebieską,
a jad w sokach kwiatów spali się pośród woni uzdrawiających.
Cienie złożą nam się jak pióra w skrzydłach, siane gwiazdami, uśmiechnięte oddalom.
Marzenia, które spały przez tysiąclecia, nieznane duszom, zbudzim pod nakryciem kształtów i barw,

i powstaną z lodowisk biegunów, z praborów mórz, z tajemniczych
pracowni tworzywa,
i spłyną w dół z niedostrzegalnych gwiazdozbiorów.

Patrzeć będziem w oddal dni przyszłych, jak przez szereg szklanych
drzwi poza sobą leżących świetlic,
poprzez które nam naprzeciw nadbieży słońce, uwieńczone sadów
zielenią.
Jak baldachim wonnego łoża kochanków zamrocznieją nad nami noce.
Przeszłość zniknie gdzieś w dali, jako dymy fabryczne miasta, zkąd
oddawnaśmy wyjechali.
Myśli nasze będą miały bezkreśność przestworów napełnionych
eterem, którym oddychają wsze światy. — —

Znużeni światem, podamy rękę Przyjaciółce, aby ztąd nas wywiodła,
i śmierć nasza będzie jako śmierć ludzi oczyszczonych. Podobna
przejściu
z pokojów przesyconych dusznemi woniami do kościoła w niedzielę
kwietnią.
Podobna wstąpieniu na statek pośród wiania proporców i przy
orkiestr odgłosach.
Podobna wyruszaniu wojska do ziem zdobytych, pośród kwiecia
sypiącego się z okien.
Podobna radosnej odpowiedzi chóru po słowach księdza zamglonych
tajemnicą.
Podobna całunkowi, który trwać będzie dłużej niźli światów systemy,
podobna wykrzykowi wszech pieśni, skrytych we wszech minionych
i przyszłych duszach i światach,
podobna zlaniu się wszech minionych i przyszłych dni i nocy w je-
dyny dzień, co mieć nocy nie będzie.

Bracia, z ręki do ręki podawajmy wino silnych w swej czarze.
Gwiazd, co na nie dżdżyły w kwitnienia porze, niech nam ono
nadżdży w źrenice.
Kaźń słabych będzie, że zapomną imienia swego przy przebudzeniu,
a nagroda silnych, że i w oćmie świetlistej wspomną o ostrowiu
swojej niewoli.

Otokar Brzezina.



ZŁOTE RYBKI.

I.

W akwaryum pluskały się rybki, sześć ich było, dwie złote, miedziana, biała w plamach czerwonych, czarno-żółta i wreszcie jedna całkiem srebrzysta o przejrzystych skrzelach i czarnych w złotej obwódce oczach.

— To nie są zwyczajne rybki — rzekła mała, z pod rzęs ogromnych patrząc się na mnie poważnie a badawczo.

— Nie?..

— To są zaklęte królewny...

— A któż je zaklął?

— Zła wieszczka Urgana, rozgniewana, że królowa matka na ucztę jej nie zaprosiła... Wszystkie je zaklęła w rybki — zaklęła — nic nie mówią, ale mają duże, duże oczy, aby widzieć daleko... — pochylała się ku nim nad akwaryum, maczając w wodzie jasne pukle swych włosów... — To są same królewny... Ela, Lena i Lila, Blansza, Ilona i Margieryta... Ta srebrna całkiem to Blansza, ją poślubi królewicz i wszystkie siostry znowu poprzemienia w panienki...

Usiadła mi na kolanach, a z mokrych jej włosów spadały mi na rękę duże krople wody, dziwnie do łez ludzkich podobne.

— Jak będzie noc księżycowa, to królewicz Egon na złotym przyjedzie koniku i da Blanszy welon ślubny i wieniec, a Eli, Lenie i Lili perłowe suknie, a Ilona i Margieryta będą nieść suknię.

Uderzyła w rączki, i spłoszone rybki opadły na dno akwaryum, gdzie był piasek, muszelki i sztucznie poukładane pieczary.

A zmrok szedł ku nam tymczasem, cichy, tajemniczy, ścieląc cienie po kątach, wydłużając je jak dłonie jakiegoś olbrzymiego potworu. Ramy okien błękitniały jeszcze kawałkiem omroczonego nieba, i szła ztamtąd jakaś wielka tęsknota pożółkłych ściernisk, łąk pokoszonych...

Całkiem w cieniu już, mała zapytała znowu:

— A kiedy będą takie jasne, całkiem srebrne noce?..

— Za tydzień...

— To za tydzień przyjedzie Egon królewicz na całkiem złotym koniku i poślubi Blanszę... i da jej siostrom perłowe sukienki, bo to są prawdziwe królewny... Ela, Lena i Lila, Ilona, Blansza i Margieryta...

Senna trochę główka dziewczynki zaczęła mi opadać na ramię... a przed szklaną ścianką akwaryum przesuwały się rybki, całkiem złote, świetliste, o czarnych, w złoto oprawnych oczach...

II.

Odeszła ode mnie tak, jak gdyby nigdy moją nie była, a przecież strasznie niedawno mieć ją w ramionach musiałem, bo dotąd opływa mię zapach jej włosów, jej długich, tak złotych włosów, że czasem za promień słoneczny je brałem... Przymknąwszy oczy, czuję, jak pod memi wargami rozchylały się jej usta drobne, uśmiechnięte i tak niewinne, że na kolana upaść się chciało, wielbiąc Boga, że ją stworzył i dał jej takie usta... A jednak odwróciła się ode mnie tak, jak od spotkanego gdzieś na ulicy przechodnia. Do dna mi duszę wypiła temi oczyma, co raz były koloru nieba, a raz koloru fali, — i poszła.

Czasem mi się zdawało, że była cała z błękitu, i wówczas u stóp jej kładłem głowę, czekając, aż w wonne ją dłonie weźmie i na piersiach swoich położy, a miały one zapach tych liści różanych, któremi sam na dzień dobry zasypywałem jej łono, a wieczór wyjmowałem wpół zwiędłe, gorące, jakby omdlałe. W kasetce wybitej białym atłasem chowam je dotąd, mają zapach jej ciała, jej ramion, jej piersi... Zdaje mi się, że w tej trumience schowałem ją całą — umarłą...

Nie przypuszczałem nigdy, że kłamie — rzuciłem jej duszę swą ot tak jak kwiaty pod nogi, a ona wzięła to wszystko i poszła...

Odwróciwszy się odeszła, jak gdyby nigdy moją nie była. I nie wiem, co z moją duszą zrobiła, może popłynęła za nią, jak promień księżyca płynie za łodzią sternika... nie wiem... nic nie wiem, dla czego poszła ode mnie, dla czego z pożółkłych ściernisk, z łąk pokoszonych wieje taka tęsknota, taki ból beznadziejny, że można runąć na ziemię i z twarzą w prochu wyć wraz z wiatrem, jak potępieniec czepiać się suchych gałęzi...

III.

W akwaryum pluskały się rybki... pięć ich było, dwie złote, miedziana, biała w plamach czerwonych i czarna złotem znaczona. Biała całkiem, srebrzysta o przejrzystych skrzelach, leżała nieruchoma w szkatułce wybitej atłasem, na zwiędłych liściach różanych, co woń zachowały białych piersi kobiecych...

Błękitna od księżycowej poświaty mała oczy ku mnie podniosła.

— Królewna Blansza umarła... umarła, wujciu... i już nie zaślubi jej Egon królewicz... nigdy... A tak długo czekał na złotym koniku...

Na ustach położyła paluszek, skupiona i uroczysta.

— Słyszysz, jak wiatr płacze, jak bardzo... patrz, jak te listki, któremi Blansza nakryta, rozrzuca...

Kilkanaście zeschłych listeczków, wirując, na twarz mi upadło... a jeden miał słodycz jej warg w pocałunku... a drugi łaskotał jak włosy...

— Czego płaczesz?.. To tylko Egon będzie może płakał całe, całe życie... prawda, że tylko Egon...

Zdziwiły ją łzy na rączkach i pod księżyc im się przyglądać zaczęła.

— To są łzy twoje czy Egona... Egona — on będzie teraz całe, całe życie tak płakać... bo, widzisz, nietylko Blansza umarła, ale z sobą mu duszę zabrała... On teraz już nigdy królewiczem nie będzie, ale w wiatr, w mgłę, w deszcz się z żalu przemieni i będzie tutaj w jasne noce przychodził i płakał... Już nigdy Egon królewiczem nie będzie...

Z oczu dziewczynki łzy lecieć poczęły, srebrząc się w świetle księżyca.

— Po co, po co Egon tak płacze... to nie była żadna królewna, ale rybka taka zwyczajna... Blansza rybka... nie Blansza kró-

lewna... jeszcze tyle, tyle takich samych jest rybek... niech Egon płakać przestanie...

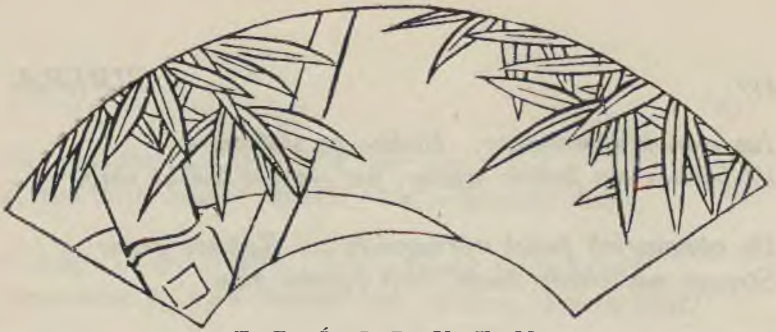
Przytuliła mi się łkająca do piersi.

— Widzisz, Egon tak długo wierzył, że to zaklęta królewna, tak długo czekał na złotym koniku, że teraz nam już nie zechce wierzyć... W tej szkatułce, widzisz, leży już dusza Egona.. I nie poślubi już nigdy ani Eli, Leny ni Lili, ani Ilony ni Margieryty... Nie, nigdy... to są zwyczajne rybki, a Egon szukał Blanszy królewny...

Oczy dziecka poczęły w przestrzeń patrzeć, dziwnie mądre, skupione i badawcze, mając raz kolor błękitu, raz kolor fali... A rybki srebrne i złote poczęły uderzać o szklane ściany akwaryum, patrząc na nas oczyma w złotych obwódkach.



Z PUŚCIZNY RĘKOPIŚMIENNEJ PO
Kazimierze Zawistowskiej.



T R Ó J R Y T M

I.

Oceaniczna fala raz wraz uderza w ląd,
Raz wraz impet wyzwala szumny, nim pomknie wstecz.

Ciążeniem nieruchomy, ląd, niby cielsko, legł.
Kruszy go na atomy głębia i wchłania w nurt.

Odpływa i przypływa oceaniczny bóg:
W lokach pian biała grzywa, rozpuszczona na wiatr.

Biegun z otchłannej dali zatupotał o brzeg,
Żeby go ujarzmiali, wyzywa, chlustem drwiąc.

Oto dźwigają groble: granity, gnejsy, cios,
Żelazne sztaby, skoble, głazy strażniczych baszt;

Tamy — wód uździenice, łańcuchy, kłęby pęt,
Ankary i kotwice, zwoje kabli i lin;

Smół gąszcze, mazie smarów dźwigają, zmazać chcą
Morskiej wolności narów i spoprężyć jej grzbiet.

Już rumak ujarzmiony. Bodzie go statków kil,
W bokach ma kotwic szpony, już ciągnie ludzki pług,

Do okrętowych pudel wprzęgnięty... Raptem gniew
Stroszy mu wichry kudeł, bieli posoką pian...

Z granitowej hołobli wyrwał grzywiasty kark,
Zatupotał po grobli i umknął w wodny step...

Toń głąb' ma niezmierzoną: długi je czeka spad,
Zanim do dna dotoną, topielce fregat, szkun...

Tam to ziemskie wspomnienia: poddańczych piętno hańb
Z swej pamięci wyplenia ocean — głębin pan.

II.

Ale zapomnieć ląd, zapomnieć, jak się gwarzy
W miałkiej, słonecznej plaży, zapomnieć — próżny trud!

Pamięta, w skwary, toń te cuda nagiej bieli
Lądowych cór w kąpieli — te cuda lic i łon!

Ramion tych białych żal, które, poobnażane,
Śćmiewały bielą pianę, burzącą się, jak dąs!

Żal szafirowych ócz, których słodkie owale
Wstydziły barwą fale: taki w nich szafir grał!

I kiedy, ciałem wzdłuż kładąc się, powierzały
Morzu swoj ukształt biały... Jak zapomnieć ten cud?

On, cud, leży bez trwóg, a ono, żywa fala
Z nim swoj żywioł zespala, żeni z lazurem biel!

O jakże słodki brzeg! Jaka rozkosz wielmożna!
Zapomnieć jej czyż można? ach szczęsny, kto ją znał!

Jako symfonii rytm, zawsze będzie w nim żyła,
Kogo falą spowiła ugrzaną latem raz.

Przynęci go jej zew aromatów powiewem,
Miłosnych canzon śpiewem: na ląd! na ląd!

Venus rzeźbionej tors. cyprysów z bluszczem sploty,
I mimoz okwiat złoty, i agaw woń i róż...

O lądzie plaż i ciał! O rozkoszy wielmożna!
Zapomnieć cię czyż można, skoroś poznana już?

Wonią nardów i ambr przepojone wspomnienie
Już zawsze, nieskończenie szarpać będzie, jak szpon!..

III.

Raz ku głębinom, w dale odpływa morska ciecz,
To znów do lądu, wstecz, powraca, w tęsknot szale.

W zatoki wbiegła kąt, wciska się w ląd i wtula,
I ziemskość ją zamula, jak trąd! jak trąd!

Płynę, płynę powrotnie, od brzeżnych łach i raf.
Głębio, od wspomnień zbaw! Płynę w twoją samotnię.

O niech mi twoja głąb' zmyje wodą odmętną
Przyziemnych zbrukań piętno! Odmęcie, kąp mię, kąp!

Otom już wykąpana, fala-m najczystsza z fal,
I już mi... lądu żal i białych ciał, jak piana.

Ach, tam mi płynąć ztąd! Tam mi błoga spokojność,
Krzepka dżynem upojność! Hejże, na ląd, na ląd!

Otom na lądzie znów, grzechoce żwirem plaża,
Jak grzech, słodko pogwarza melodya ludzkich słów.

Jakże cudni ci ludzie, nadzy, splątani w kłąb'!
Morska mi nie da głąb' pojęcia o tym cudzie.

W szynkach żeglarski gmin, prześmiardły kabli smarem,
Miłość odymia warem — miłość, jak dżyn, jak dżyn!

Kłębią się i z nóg walą, w dymach, w odorze kuf...
Płyń w czyste głębie znów, powracaj, błędna falo!

Spiętrzona w piany słup, grzesznej, jak dżynu wonie,
Płyń w otchłaniowe tonie, ciche jak grób, jak grób.

Tak się ocean kłębi. Rwą go tęsknoty dwie:
Jedna do lądu zwie, a druga zwie — do głębi.

IV.

Syt gwaru, syty cisz, odmęt wybucha wwyż,
Do Seleny, księżyca: to trzecia wód tęsknica.

Od księżycowych lśnień świetlaniej mu, niż w dzień.
Wszystkich tęsknot swych bólem umiłował tę kulę.

Nad morzem lśni jej sierp, jak z nieba nakaz: — Cierp!
Faluj i tęsknij, wodo! — szepcze poświatą młodą.

Ocean rzuca ląd, zbiera tęsknicy wrząt
I rozpienioną rosą wybucha ku niebiosom.

Otom z otchłani wskrzesł! Otom jest bezmiar łez!
Płaczę bólów Gehenną, o Seleno, Seleno!

Od głębinowych den, po wierzch mię wzięłaś w len
Świetlanością promienną, o Seleno, Seleno!

Jak zaświatowa baśń, twoja srebrzysta jaśń
Umiłowania łuną świeci mi, Luno, Luno!..

Tak los ciążeniem sprzągł odmęt i Luny krąg,
Nakazał tryskać falom wwyż ku nadziemskim dalom.

Wyżyna, głąb' i ląd: trójfalowania prąd,
Jakoby trójrytmiczny oddech oceaniczny.

Raz fala mknie na brzeg, drugi jej — w otchłań bieg,
A trzecia wód tęsknica — do Seleny, księżyca.

Od lądu — w przestwór gna, do własnej głębi dna.
I od głębi, od wnętrza — do Seleny toń spiętrza.

Ze wszystkich świata stron ocean rzekom schron,
Sam, tułaczo, w dnie, noce, kłębi się i szamoce.

Jan Lemański.



Liryka.

PIEŚŃ BEZ SŁÓW.

.....I dźwignąłem mój głos ponad drzewa rodzinne, ponad dachy, płoty i sad,

ponad krew, której jad, szlamowaty, zimny, świeci przez żyły w dzień powszedni.

Kazałem mu być gędźbą liści, ponad pniem i koroną, aby mi śpiewał w dni pochmurne, nigdy niewiędnącym szelestem pieśni,

pieśni, co się na głos śmiały nie waży, ale — widoma kędyś dla mnie, nad ziemią — blaskiem mi jest smutnym ponad mrokiem murów.

Kiedy widzę dwoistą twarz człowieka, kiedy przyjaciel i wróg są mi zarówno koniecznością chwili, — wtedy... w oczy mi zagląda dziwne urojenie.

W oczy mi zagląda — zgryzota dwoistej twarzy człowieka...

Jest to niby cicha, śniąca woda pod księżycem, gdzie żyją zgodnie złote ryby i haje...

Bóg, który oddzielił światło od ciemności, i wody od księżyca, zawiesił ciszę między nocą i wodą...

Tam na brzeg przychodzi pieśń i tęskni.

I podnosząc białą twarz do świecącego w przestrzeni kręgu, śpiewa zgryzotę dwoistej twarzy człowieka.

Na stawach zasypia w ciszy pojednane życie. Zapach ziemi i mleczny pył księżycowy budują cudne, o łukach kwiatów pałace nocy...

— A dwoista twarz człowieka zagląda mi w oczy — swoją zgryzotą — konieczności bytu.

I jestem jak puhar, w którym wino i żółć; a pije je Chrystus duszy na krzyżu...

Na stawach zasypia w ciszy pojednane życie.

Chciałbym wyciągnąć ręce i chwycić niewidzialne struny przestrzeni, aby z nich runąć, — kiedy zmaleje mi gwiazda ziemi.

SZEPTY.

I płakać czasem chcę, a płakać nie mogę — —

Gdy są mi wszyscy jacyś oschli i twardzi, niby zapylone kaktusy, — jedyna ozdoba piwnicznej izdebki, straconego czasu.

Gdy są mi jak kaktusy, gdzie gdyby padła świeża kropla wody, toby nie przywróciła szarościom — zieleni, aleby schła, obsiadała kurzem — i wreszcie — rozpadła się, jak suchy grzybek umarłej pleśni. —

Więc po cóż te krople, — kiedy widzę wtedy kaktusy?

Te krople mię dławią, gorzkim jałowcem okadzają głowę, i myśli dają suchość popiołu. — — — —

Wtedy śni mi się zamek na czerwonej skale.

Tysiące gorzkich szeptów ze suchych warg wzbijają się ku niemu z ciemnej doliny.

Słońce zachodzi, i ztąd purpura na skale.

A w zamku, usnęła z ciężką zmorą na strunach — harfa wiecznej tajemnicy dusz. — — — —

Jeszcze chwila, a na rdzawych murach usiądzie widmowy połysk gwiazd, a w dole szepty suchych warg zmienią się w majaczenia gardeł, opanowanych strasznym snem. — —

Zbudź się, harfo...

Niech przyjdzie do ciebie, przez skrzypiące cicho drzwi, jakieś białe ukojenie ziemi, które się kiedyś ze słońca rzuciło głową w dół, za wymykającym się żalem...

Niech przyklęknie u twojej rzeźbionej podstawy, i oblicze ech przyciskając do struny — zagra — — —

Cicho metaliczny jęk niech zejdzie tam na majaczące głowy, i niech im da całowanie ciche, choć we śnie...

— — Ave Maria, krynico niebieska...

Oto jakieś rude trawy toczy błyskliwy płomyk pożaru, i w pomroce trzeszczą krwawe iskry.

Oto w ciemną toń z brzegu rzuca się topielca głowa, i nic nie cichnie prócz plusku, bo noc jest nad ziemią.

A chłodne ręce moich ludzkich trosk obejmują pień na bagnie, miast drogowskazu.

I płakać chcę, — i płakać nie mogę

I zdaje mi się niekiedy, że dźwiękliwie jakby chciała przemówić harfa. —

Zdaje mi się, że, kiedy widmowy blask gwiazd oplata chłodnemi promieniami zamek na skale, jakaś dobra mglista twarz zagląda przez cicho skrzypiące drzwi. — — —

A twarzą tą jest wyobrażenie ludzkiej Miłości u wszystkich poetów świata, odbite po raz setny w ubogiem zwierciadełku izby z kaktusami. — — —

Ale nie klęka ono u podstawy harfy i nie przytula twarzy do struny.

Ono, harfa i niezmienne wahadło konieczności są trzema niewidzącemi się nigdy mieszkańcami zamku.

Wahadło mierzy zachody, harfa w zachody i widmowe blaski gwiazd czeka palców, a ono, odbite po raz setny, zagląda przez łukowe, cicho skrzypiące drzwi.

I niech się przenoszą bieguny pod równik, — niech gleczery pełzną jak lawa na gaje płomiennoowocnych pomarańcz; —

niech się po tysiąckroć wynurza i zapada atlantyda; — —

zawsze i zawsze żyć będzie zamek, i trzy niewidzialne sobie wzajem istoty. — — —

Wyobrażam sobie trybuna ludu, któryby przed obliczem wyczekujących mas rozwinął podobne obrazy, —

wyobrażam sobie szanownego uczonego, któryby na odczycie dla inteligentów podjął podobne słowa do wysokości swej katedry, popierając je obrazami niknącemi zamku, skały, doliny i owijającego wszystko czasu.

Jak czujemy w sobie dwa toczące się kręgi krwioobiegu, z któ-

rych jeden bije nam do głowy zuchwałością myśli, a drugi kieruje nogi wręcz przeciwnie, choć i jeden i drugi wychodzą z rytmu wiecznego pytania — z serca, — tak przeciwnemi są te moje wyobrażenia w stosunku do ogólnego porządku rzeczy.

A hymny, sławiące piękność ciała, słodycz ust w pieśniach poetów, czyż mogą mieć setne odbicie w zwierciadle?

Czyż może ono stworzyć tę mglistą twarz, przy której harfa, zda się, chce jęknąć?

Oto pytania, które rozwiązujcie sobie — rozwiązujcie coraz cichszym szeptem.

* * *

Boli mnie głowa. Mam wrażenie, jakby w niej ustawiono olbrzymie organy, na których ręce Bacha grają operetkowe melodye. —

W dole, nizko odbywa się msza; — długa, posępna msza, od której drżą ponure rysy jakiegoś jedynego słuchacza. A motyw operetki, pod dłońmi Bacha, tak silnie przerzyna powietrze, że widzę, jak kolumny naw zaczynają się kołysać w kupletowem tempie:

Tralla-la, ha, ha, ha, —
Umiera bóg w ołtarzu — — —
I takie smutne oczy ma; — — —
Kyrie, kyrie — w ręce bij,
Żałości matko;
Miłość potężną jest,
Miłość jest codzień brukaną — szmatką,
— ha —Tralla-la i t. d.

Potem porywa mnie żal i sam zaczynam do wtóru śpiewać w melodyę znanej piosenki:

Opowiedz mi w kabaretowym tonie
— Dziecięcy płacz, którego nikt nie słucha,
Opowiedz mi, jak świeca w domu płonie,
Gdzie szczerby szyb potrząsa zawierucha.
Opowiedz mi w kabaretowym tonie,
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

Ja słuchać będę cię, o smutne życie,
Przez szkliwo łez, lecz paląc papierosa,

I wtórzyć będę, chociaż może skrycie
W gardło mi fałszem spłynie płaczu rosa.
Ja słuchać będę cię, o smutne życie,
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

A gdy się skończy numer twój ciekawy
— Et le rideau — stuknie o krawędź rampy,
Niech będzie dość wesołej tej zabawy,
Pójdziemy w świat, zgasiwszy w sali lampy.
— Pójdziemy w świat zgasiwszy w sali lampy...
— Opowiedz mi, — opowiedz mi.

Mam już dość grania i śpiewu; zaczynam tedy wyrywać niby Gerwazy rury organowe, i z huczącą jeszcze w nich melodyą, niby dymiące strzelby, rzucam je w dół.

Bach jest rozgniewany. Odrywa ręce od klawiatury i wydobywając z pod niej spory kufel piwa zanurza usta w pianie z mrukiem: — przeklęty szkodnik. —

Ja wtedy wychodzę, zamykam chór, i na wszystko spada biały puszysty śnieg, tłumiący odgłosy wielkiego miasta o gotyckiej monumentalnej katedrze.

GWIAZDOM.

Z chrapliwego oddechu murów wyrywam się nad ziemię, jako dymny słup.

— — I waham się, i płynę nad niziną rozlanych konturów tego wielkiego kręgu, który za jedyną granicę ma żółte uściski zachodu. —

Z ostrz wieżyc, z ziemskich ogrodów spełzają pode mnie i trzymają podstawę słupa—zapachy kwiatów, złoty kurzu pas, i chmury dymiącego ludzkiego potu.

Waham się i płynę — — —

W cienie, w jakieś sine szarości przechodzi zwolna żółta granica kręgu — — — a nade mną, w chłodnej pustce, bez turkotów i świstu, toczą się olbrzymie bryły gwiazd...

Gwiazdy, gwiazdy — — — gwiazdy! —

Głupie jedno słowo, które określa ciężar, blask i szybkość ogromów mas.

Z tem słowem potrzykroć ja ku wam wyrastam, i potrzykroć stawiam słup na słup — —

Aż kiedy w ciemnej, bezbarwnej przestrzeni stanę w poprzek świszczącym w mem pojęciu bryłom, i przybiją one cicho do tego nieznanego pala, jak srebrne kule mglistych fosforycznych świateł;

przybiją cicho, i odskoczą trochę, jak łódź, rozpędzona ręką wiecznego wioślarza, który dotąd znał wszystkie zakręty i wiry sinych lagun świata; —

Gwiazdy! — schwycę ja wtedy wasze srebrzyste puhary w zawsze pragnące dłonie, i przycisnę do rozwartych ust. — —

A nie mogąc z nich wymódz dźwięków szklanego druzgotu, — puszczę przez palce błyszczące odłamki, bez świstu, bez brzęku, — tam, w dół, — na nową drogę. — —

Gwiazdy, gwiazdy, — — gwiazdy! —

Po śmieciach ludzkich kurników, które się na gwiazdach rodzą, chodzi cierpliwie kogut niepoznanego szczęścia.

Chodzi po ziarnach złotego owsa i po suchym nawozie szarego dnia, i po trzykroć pieje. —

A pianie jego też mówi: — Gwiazdy, gwiazdy —gwiazdy! — — Ale na to znaczenie zapierają się mądre twarze własnych umęczonych Chrystusów, bo dobywszy uprzednio miecza ucięły przecie ucho przedajnemu słudze, a ten Chrystus je uleczył. —

... Tak blizko pieje nieznośny kogut; — i zapierają się twarze, aby usłyszeć jeszcze bliżej to jego pianie, tak blizko, aby się ono stało ciszą w ich uchu.

Wieczny wioślarz z bezgłośną piosenką mknie po siwych lagunach świata; —

na pływakach srebrzystych gwiazd mknie — — —

a tam, na nizinach, kulawy koń steruje pudłem, które obite jest suknem czarnem, i ma cztery turkocące koła. — —

Cześć wam, — — o gwiazdy.

* * *

Pociągają mnie zawsze rysunki lub obrazy starych żaglowych okrętów, — wysmukłych korwet i brygów. Ich wysokie omasztowanie, sieć lin i śnieżne płaty żagli, zbiegające się w ostrą piramidę uwieńczoną jaskrawym pawilonem, przypominają mi owe światy nieznanych uczuć, — szlachetnej odwagi piratów i zdobywców świa-

ta, — żeglugi wygnańców nantejskich, podróż Manon, i — pożegnanie — Harolda.

Widzę w nich całą otwartą księgę szlachetności wyniosłych żagli, walczących nad wodą, pod jawnym kolorem bandery.

* * *

Chodź ze mną nad brzeg pustego morza w noc chłodną.

Od chat rybackich, zdaleka, błyska światło i lekki zapach dymu snuje się w powietrzu.

Usiądź na skraju przewróconej łodzi, — ot tak: —

ja u twoich kolan —

I opowiem ci, jak chciałbym iść w tę ciemną wodę, aż pókiby nie podmyła mi nóg fala — dalej od brzegu, i poniosła het na wzburzony przestwór.

Jakbym tam kołysał się w szumie dobrych słonych fal i na twarz padłby mi pierzchliwy promień księżyca.

A potem wróciłaby mnie powrotna gędźba rosnących wód, i wróciłbym tu do twoich nóg, pod krawędź pustej łodzi.

Ale nic jużbym nie mógł ci opowiedzieć, i gdybyś nawet schyliła się ku mnie, nie wzniósłbym rąk.

Moja dusza wołałaby cię jeno w gędźbie rosnących fal, pląsając het na pióropuszach piany — w świetle drżącego księżyca.

LIRYKA.

Im głębszą staje się zima, im głębszy na wszystko spada śnieg, tem szaleniej myślę o wiośnie.

Nie o wiośnie miejskiej, nie o gwałtownem tętnieniu rynien, gdy spływa w nie zleżały, topniejący śnieg.

Myślę o pierwiosnkach, o błysku rozmokłych dróg wiejskich, o idylli pierwszej zieleni i pierwszej radosnej pieśni.

Ja, wstrętny i płochliwy człowiek, nieprzyjaciel mokrych dróg, wiosennego błota i marcowej zmiennej pogody. —

Jednakowoż, im głębszą jest zima, coś się we mnie rwie do tej nieobeschłej a radosnej wiosny.

Czuję w sobie pierwiastek stworzeń dzikich, tarzających się po pierwszej runi w oparach mokrych łąk.

Może wiem, ja biedny płochliwy człowiek, że na wszystko kiedyś spadnie śnieg, i moja pieśń zaklęta w zeschłej główce ostu potoczy się z wiatrem — hen, w śniegowe pola.

* * *

Sto wysmukłych wież i sto głębokich chłodnych cieni z pod arkad odbija się w wodzie.

I wiem, że za wieżami usypia słońce, i wiem, że za miastem wież zasypia wielkie morze. — — —

Siedzę u brzegu cichego kanału, trzymając w ręce półzwiędłą różę.

W takt bicia dalekiego dzwonu, którym co dnia głosi spokój jakaś daleka bazylika, opadają płatki różane.

I budzi się w mojej duszy cień wieczorny, spływa mi na rozkrwawione myśli chłód idącej nocy: —

Módlmy się bracia wieczorem za biedne więdnące róże,

gdy zadumany bóg nadaje wolniejszy bieg światom,

i gdy myśli boże, w postaciach bladych wędrowców, chodzą po ścieżkach i wodach zasypiającej ziemi.

LIRYKA.

Z chrzęstem zsuwających się żwirów schodzę nad morski brzeg.

Z nikim nie rozmawiam i nikt koło mnie nie idzie.

W dalekich wirach tańczących pian błyska jeno biel odległego księżyca, i szum, długi przeciągły szum tuła się koło mnie.

I przypomina mi się pieśń samotnego ducha, pieśń moja i nocy — — jedna pieśń.

I cóż mnie mogą obchodzić odległe żagle, ciężkie fregaty, z latarniami rozwagi płynące poprzez szum wód.

Żeglarze! — wy, którzy umieściliście na dziobie waszych naw opiekuńcze bóstwo, i płyniecie z niem poprzez wiry do dalekich wysp. Wy wiecie, że tam znajdzie się zawsze człowiek dziki, dziecię ziemi i słońca, z którym waszą kulturalną mową zagaicie korzystny targ.

Da wam ten człowiek za haszysz i wódkę wszystkie swoje

skarby, skarby pachnące jeszcze rosą leśną i potem pierwotnych z przyrodą walk. — — —

I wrócą fregaty z łupem walki, która — iż była prowadzoną w imię światła waszego boga — tedy dobrą i szlachetną jest.

— Dobrą i szlachetną, — szlachetni kupcy.

Wy, kładąc przecie w ręce dzikiego obraz waszego boga, dzieło miłosierdzia czynicie. — Niesiecie światło.

A nie troszczycie się, czy jest ono chociaż kagankiem w słońcu jego pierwotnych puszcz. — — —

Tak postęp buduje wielkie miasta, gdzie się pasły daniele, tak źródła górskich rzek chwytają wodociągi.

A prawdziwie dziki człowiek staje się ani mędrszy, ani lepszy, tylko może — smutny w waszej szacie ogólnego zakonu.

I płyną lata, i setki Ikaryj filozofowie wasi budują. — Ikaryj. — Bo nie wiedzą, że walcząc z prawdą budują coraz większy smutek sztucznej radości, — smutek dnia i godziny.

Nie jest ten smutek ani pragnieniem strącenia gwiazd, nie jest żądzą wplecenia się w ich kołowrót, aby boską torturą ducha dotrzeć do boskości słodyczy ducha.

Jest to smutek kredki, która, iż z opyłu gwiazd sklejona, nie może nie tęsknić przy plusach, znaczonych w księdze równinnej ziemi.

Uwierzcie w ten wasz pokorny smutek — wy, lepsi marynarze i kupcy.

Wasza wiara zmieni jego istotę, i to będzie największa rewolucya, — błyskawica od wschodu do zachodu. —

Mnie samemu szumi morze. I wtedy najlepiej szumi.

Bo mogę dziękować wtedy, iż jam się nie urodził pod władzą kredki, iżem w ciżbie marynarzy jeden, który myśli o płynięciu wpław. —

Wiara w nieszczepione palmy i w słodycz ich owoców dzikich pozwoli mi wznieść się na fali — samemu.

A gdy znuży mnie ciżba okrętów i zakrztuszę się dymem okrętowych kuchni, —

pogrążę się w głąb' morza, tam, dokąd iść każdy z was czuje odrazę, bo nigdy mniej jak jedna deska nie dzieliła was od wody,

bo, znając grzbiet fali i kokieteryę wiatru, zgłębialiście ją tylko po to, by was nie zagarnęła toń, której świateł nie znacie — jeno cienie.

Szumi mi morze. —

Schodzę ku niemu sam, a jeśli płaczę, to dlatego, iżem z pośród was wyszedł, zostawiając was przy błędnej robocie spychania waszych tak pewnie przez was okutych ark — z mielizn — na nierozumiejące tych statków — MORZE.

LIRYKA.

Są na morzu przestwory wolne, gdzie nie szpeci słodyczy widnokręgu żaden drapieżny żagiel;

gdzie poezya ciszy rozkłada swój aksamitny płaszcz po blado turkusowej toni, i gdzie człowiek samotny może się wygrzewać na słońcu, rozciągnięty na płaskim grzbiecie skały.

A jeśli jest noc, i chłód powieje od stygnących roztoczy wodnych, tedy zasnąć tamże może, ogrzany pierzem niestrudzonych opowiadaczek — mew, które nie boją się go.

Gdy zaś czuwać i w nocy pragnie, — chwała mu...

Bo wzrok jego, niby wzrok ostrowidza, oślizguje się wtedy po promieniu gwiazdy w najgłębsze tajniki królestw podwodnych, gdzie w rozbitych zarysach korabi narodów widzi zwycięzko pleniące się życie miłej mu otchłani.

Jeśli zaś wzniesie oczy ku niebu, to widzi migocącą procesyę dalekich światów, a harmonia ich ruchów zlewa się z marzeniem jego własnej harmonii.

Bo i tam wzrok jego przenika dalej, niż gdyby przesłać go mogły wszystkie szkła ziemi.

I w symfonii olbrzymich skrzypcowych zespołów, jaką dyszy wirujący wszechświat, odnajduje klucz swojej dziwnej odpowiedzi:

— dlaczego chcę być samotny. —

Widzi on, iż ciąży nad wszechświatem prawo tylko dowolnej harmonii, a z poczuciem obowiązku, początku i końca rodzi się każda bryła.

I nie chwyta to prawo bryły-wyrodka, gdy ta, ruchem samozwańczej głupoty, z koliska tonów wypryśnie.

Niech się raczej roztrzaska ona w pył, niż gdyby odjęto jej chęć próby.

Bo po huku, jaki zamąci na chwilę harmonię sfer, zacznie się jeszcze słodziej symfonia tych, które same kiełznają nuty swych pieśni, o tyle, aby istniał w przestrzeni ów cudowny chór, — taniec

jarzących się brył, które żyją, z poczuciem życia, w zakresie końca i początku.

* * *

Biegnie światem wojna —

Biegnie światem wycie oszalałej krwi, — powietrzem mknie ono na wściekłym rozbestwionym koniu.

A ma ten koń zwieszony u gardła wielki dzwon, a dzwon się aż zatacza syczeniem metalu, w podskokach.

Na chmurach skrzepłego mroku, na rozciągniętych dymach spalonych domów, drgają błędne ogniki oczyszczającego ognia.

Jeruzalem wszędzie, Jeruzalem, zdobyte nie przez Rzym, i wyrżnięte nie przez żołdaków Tytusa.

Tytusami są sobie jerozolimczycy tych miast, taranami są sobie wzajemnie ich twierdze syońskie.

Duch, spoczywający na skrzydłach cherubów arki, i gołębica świątyni — rzuciły się na siebie z krakaniem oślepłych orłów.

— I rwą się żyły mężów, toczących głazy na reszty murów, trzepocą się ręce dzieci, przybitych strzałą do drzwi rodzinnego domu, — do kołyski.

— Motyli trzepot...

Światem idzie wojna, — pędzi, a dzwon jej wyje; krwiste kręgi wycia rozchodzą się po chmurze skrzepłego mroku.

I cóż będzie za wojną?

Gdy gwałtowna nienawiść płodzi szybciej od spokojnej miłości, a z rumowisk fundamenty stare podeprą nowe domy?

Cóż będzie za wojną?

O moja myśli! — rozkuj swoje syczące pytania. —

Gdzież Feniks, rodzący się nie z popiołów, ale ze stosu jeszcze nieodpadłego od kości mięsa?

Gdzież ogień, który strawił lekkie drzewo, a ostawiwszy przecuchły kamień wrócił do bytowania w ognisku?

O moja myśli!

To potrzeba walczy, a nie przeczucie!

Ostatnie jest ognistem jej tchnieniem, które, gdy potrzeba osiada, by rodzić prawa, pokolenia i czyny, ono idzie w mózg i wypala piętna pragnącej pogardy.

OPOWIADANIE.

Po pustych miastach — włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie; — — —

śpij słodko, myśląc o włóczęgach świateł. —

Bezwiedne kroki chodzą w ślad za tobą, gdy we śnie wodzisz dłonią po konturach życia.

Pozloty bladej widma na twych snów gobelin bezwiedni tkacze kładą w mleczne noce, — — — i pryska chłodny zdrój rozrzewnień na obrazy dalekich świata dróg, gdzie kwitną szare róże.

Śpij słodko; — lśniące koło jasne jutro trzyma, by puścić je w bolesny, skrzący tan, i wyśmiać próchno rojeń.

O, póki nie wiesz, jak oślepia ten błysk koła, — śpij słodko i śniąc szepcz prawdziwe żądze życia.

W krzywych uliczkach miast, gdzie się rozrasta błoto, włóczą się globy słońc, w płomieni swoich złocie. —

Poco się włóczą tam słoneczni ci pijacy?

Czy jakieś buntu pieśnie wzniecić chcą w zapadłych szybach?

Czy chcą w olbrzymów świat schorzałe wtrącić dusze? —

Śpij słodko; — słońca muszą włóczyć się po ziemi; —

— aby nie popadł w zbytnią wzgardę cień — od starych domów;

— aby wytykać można było tych pijaków brudną dłonią, — z owego cieniu, który słońcom zmódz smutku nie daje.

A szanowany cień jest twierdzą brudnych serc i dłoni.

Śpij słodko; bowiem nie wiesz, ma dziecino mała, że te włóczęgi słońc, jako i twierdze cieniów, istnieniem sobie wzajem dają życie — — a muszą żyć tak słońca jak i cienie.

— Proś we śnie bogów o inaczej wklęsłe lustro prawdy —

LIRYKA.

Zostawiono mnie ze skarbami mojemi, mówiąc:—oto masz to, co-ś dał; — weźże z powrotem. Twoje złoto złotem dla mnie nie jest, — twoje matowe, smutne złoto.

Lubię jesień jabłek dojrzałych, lubię tkań pajęczą na płonącym owocu, a kolor twoich skarbów nie jest taki. — Weźże je z powrotem. —

I zostałem się w punkcie, gdzie rozchodziły się od nagiego pola tysiące dróg, niby promienie. A przede mną, na ziemi, garść skarbów moich.

Cóż uczynię z niemi?

Stworzyłem je sam, i dary z nich niosłem, — dary odtrącone, które dla mnie teraz nijaką są wartością. Jednak zabrać je ze sobą muszę, bo twór ci to mój, a gdy odejść zechcę, — wszędzie pójdą za mną.

Wierny pies — ta moja, stworzona przeze mnie, bezużyteczna już wartość.

Nie poniosę jej, aby się pozbyć, na targi innych krajów,—nie poniosę.

Bo dla mnie bez użytku są — sprzęty zbytkowne, — ciężka szkatuła ze sznurami pereł, w szybkiej podróży.

A czy weźmie je kto w jakim kraju jako perły, gdy nie ocenił ich perłami — człowiek?

Ciężki naszyjnik biorę na ramiona, w szybką podróż idąc. — Muszę go ze sobą wziąć.

I każda perła, każda kulka tego ciężkiego różańca sama wsunie mi się w niezajęte ręce, w godzinę myśli wieczornej.

Abym uczuł wyraźniej chłód zawisłej nocy, ja, szybki podróżnik.

Hej, wkoło mnie toczą się jeszcze szybciej koła, — morzami płyną okręty.

I gdy widzi mnie słońce, miasta, kramy, przekupnie i tragarze, idę wesoło z tłomoczkiem na plecach, a płaczę tylko w nocy.

Bo wtedy jest mój sen, i to jest mój odpoczynek.

A na imię mu bezprzyczynna skarga, beztreściwa tęsknota zbyt gładkiego jutra.

Dalekim jeszcze od końca podróży, iż bez przyczyn się skarżę i bez treści tęsknię.

Czy doniosą mię nogi do słodkiego krańca?

Czy ujrzę spokój we wszystkiem, co jest żywe i sprzeczne?

— Wschódź i zachódź, słońce.

Aleksander Szczęsny.



A N T O L O G I A.

OKO.

Czuję w siebie wciąż wbite, niezbłagane oko,
Niedostępne dla zmysłów, możne wielką mocą,
Wciąż rozwarte, a czujne zawsze, dniem i nocą,
W najgłębszą głąb' mej duszy wpatrzone głęboko.

Czasem płoszy mi radość myśli niepokojem;
A kiedy roztargnienia szukam w zgiełku, w tłumie,
To oko jednem mgnieniem nurza mnie w zadumie,
I ścichłe nurty serca mąci uczuć bojem.

A kiedy się pogrążę w samotności ciszę,
Cały umysł wytężę w przepaści mej duszy,
Gdy słuchając fal serca, każde tętno słyszę,

I tak swe myśli skupię, jak wódz sprawne hufce,
Dostrzegam, jak, z pod mroków nieprzerwanej głuszy,
Me życie w niezbłaganej migoce tęczówce. —

Stanisław Barącz.

PRELUDYUM.

W słoneczny, złoty dzień na młodej leżeć trawie,
Gdzie jar do srebrnych wód pachnące zwiesza grzędy,
I słyszeć, jak przez sen, ciągnące w dal żórawie,
I szeptać, jak przez sen, strudzonym ptakom: „tędy“...

I dawne, jasne mieć dziecinnych lat obłędy,
Z ptakami równać lot w niebieskiej gdzieś kurzawie,
Otrząsać słońce z piór, a później w ciepłym stawie
Do oczeretów lgnąć na ptasiej głos komendy!

Och! dzieckiem znów się czuć w objęciach matki-ziemi,
I Bogu prosto w twarz pogodną patrzeć znowu,
I modlić się, i śnić, i w wonną pierś parowu
Z zapartym wpić się tchem ustami spalonemi —

I śmiać się, strasznie śmiać — do łez, do krwi serdecznej
Że dusza kwitnie znów w zapłodnień czas słoneczny!

M. C. Bielecki.

BŁOGOSŁAWIONE...

Błogosławione niechaj będzie nam cierpienie,
I to, które minęło, i to, które minie,
A które nas tu wiecznie poprzez piekła żenie, —
Błogosławione zawsze, o każdej godzinie!
Błogosławione — bowiem w nim się duch nasz krzepi
I najgłębszych doświadczeń gromadzi skarbnice;
Bo raczej niż Pigmejem żyć szczęśliwym, lepiej
Heraklem w Dejaniry umierać tunice.
Bo gdy szczęście wąziutkie zwykle ma granice
I szybko cię w ślimaczej skorupie zasklepi,
Ból bez granic jest, dusze odwraca na nice,
Przezeń głąb' bytu widzą nawet duchem ślepi!
Niech więc błogosławione będzie nam cierpienie,
I to, które minęło, i to, które minie,
Niech nas raczej przez piekła wiecznie ono żenie,
Niżbyśmy zgnuśnieć mieli w szczęścia mdłym bezczynie!

WIERZ MI — JEST W LUDZIACH...

Wierz mi — jest w ludziach, i to w każdym prawie,
Nierozwinięta piękniejsza istota;
W nędznej powszednich cnót i wad oprawie,
Zmieszana z gliną mała brylka zlota.
Choć, gdy nas życie w pęta swe omota,
Ginie, stłumiona w podłej rynku wrzawie,
Wierz mi — jest w ludziach, i to w każdym prawie,
Nierozwinięta piękniejsza istota.
Z niej to powstaje, gdy czasem laskawie
Los da jej odżyć, za pięknem tęsknota,
Co nieraz nawet najlichszymi miota.
Bo choć zgubiona w marności kurzawie,
Wierz mi — jest ona, i to w każdym prawie. —

Kazimierz Błeszyński.

FANTAZYA.

Jest gwiazda jedna smutna, blada,
przez oćmę szarą z niebiosów świecąca,
co wiecznie w otchłań, w noc zapada
i znów się wzbija ponad słońca.

A jeden dziwny ptak przelotny
buja w dalekim, wysokim błękicie,
a jeden biały kwiat samotny
z mogiły czerpie swoje życie.

A gdy się z niebios już oćma osunie,
gwiazda ta blada śpiewać zacznie,
a kwiat się zerwie i w błękit pofrunie:
ptak zakołuje się rozpacznie
i na mogilę martwy runie.

NA CMENTARZU.

(Mysł królik śpiewa:)

Tak cicho dzisiaj na twoim grobie,
nie jęczy nic, nie wola,

i niebo uciszone skrzydłami anioła
milionem gwiazd śpiewa tobie.

Nie płaczesz? Prawda, wszystko się prześniło,
ten ból i życia łaknienie?
może się cieszysz tą cichą mogiłą...
Życie? Śmierć? Cienie, cienie, cienie, cienie.

Anna Bronisławska.

BŁĘDNY RYCERZ

— O mój ty cudny — tyżeś to, ty?
[dusza się lęka, rozpaczą drży...]
— Takam stęskniona — czekałam wciąż — —
[w duszy nie zasnął przeklęty wąż...]
— Tęsknocie mojej nadszedł już kres — —
[dusza ma spada w ocean łez...]
— Śniłam o tobie w dziewiczych snach — —
[dusza ma schodzi w podmorski gmach...]
— Jam ci księżniczka, dla ciebie tron — —
[duszy mej biją w głębinach w dzwon...]
— Serce me leży u twoich stóp — —
[duszy mej kopią delfiny grób...]
— O pójdź — na gody — czas nam już, czas! — —
[dusza skonała tysiączny raz — — —]

Michał Bukowski.

UŚMIECH.

Blady elfie uśmiechu, mądry nad pojęcie,
Ty kochanku tęsknoty, smutny okpiświacie,
Maryonetko-błaźnie w duszy mej dramacie,
Ty dajesz mej niedoli kosmiczne zacięcie.

Ty mówisz o miłości mej cudownem święcie
Jak o sekundzie w wiecznym istnienia kieracie,

Dla ciebie ból i radość to zwykłe postacie,
To szablon w nieśmiertelnym przemian elemencie.

Wiesz, że raju nicości anioł życia strzeże,
Lecz choćby ci otworzył jej słodkie oścież,
Ty gardząc mówisz o niej jakby o fragmencie

Wieczności, czczym, jak miłość, ja, ty, ból, istnienie —
Cóż z niej, gdy człowiek raz już przeszedł przez cierpienie. .
Blady elfie uśmiechu, smutny nad pojęcie. —

Ludwik Eminowicz.

SEN.

Są jawy, które giną śród Lety wartkich fal,
Jak przepadły bez echa ton lotnej piosenki,
Jak garść śmiechu, rzucona w krwawy przestwór męki,
Jak sen...

Są jawy, które w sercu ból niecą, jako stal,
A tają, jakby w słońcu srebrne śniegu płatki,
Pierzchają, jak motyle z wspomnień kruchej siatki
gdzieś hen!..

Są sny, co trwają wiecznie, jak Apokalipsy
Barwna księga: czas żaden ich głosek nie zatrze;
W życiu milion jaw przejdzie, jak w amfiteatrze, —
A wspomnienie wciąż krąży po łukach elipsy
Wkoło takich słońc śnionych i niedosięgnionych...
jak... sen!..

Fr. Galiński.

ROZPACZ.

Kula czarnej przestrzeni gasi oczy moje,
Dźwięki milkną, jakgdybym głowę tulił w puchy,

A w usta Niewidzialność leje mi napoje.
Piję chciwie, jak w febrze, niemy, ślepy, głuchy.

Krew moją, moje soki — jadowite morze
Czarnym pluskiem zalewa, więc wyciągam ręce..
Ratunku!.. lecz napróżno... w bezsilnej pokorze
Tonę idąc naprzeciw nieodpartej męce.

Ale im bliżej spadam do kresu bezdeni,
Im czarniejszą jest czarność, a dzikszemi dzicze,
Tem wyraźniej mnie wabi słodki głos syreni:

„Postaw stopę bez lęku w krainy dziewicze,
Gdzie niemasz słońc, co tkane z gasnących promieni,
Gdzie gorycz nieśmiertelne podaje słodycze.“

Ignacy Grabowski.

FANTAZYA LIRYCZNA.

Nie płonąc jak ten gmach, gdy w migotliwych skrach
Krwawiących biały dym chybotał się widomie,
Aż w gruzy z hukiem padł, spopielon do przyciesi, —
Do cna się stliły — wiem — choć zwolna i tajemnie
Wierzenia w duchu mym...
To żywiolowe płomię
Nie prószy gwiezdnym dżdżem zapału w bytu ciemnie;
Dziś starty po niem ślad i nic go już nie wskrzesi...

Mój świat się odtąd przemienił wszystek bowiem
W zaprzepaszczoną a pustą już kopalnię,
Gdzie otoczona skomlących zwątpień mrowiem
Zagłada mściwa panuje tryumfalnie.
Dziś droga moja — to nagie, głuche sztolnie,
Gdzie rany zieją ich wytrzebionych żył,
A zapleśniała ciecz miarowo kapie w ił.
Tu gnuśny smutek i beznadziejność wkrąg
I skarg tu niemych szybuje błędny ciąg...
Choć za bezczucia oglądam się wezgłowiem,

Tęsknota gna mnie precz...
                I oto resztą sił
Wyloty żłobię w ciemnicy swej mozolnie,
I bez tchu czekam, nuż z jakiej mi czeluści
Otucha wzejdzie odrodzeń srebrnym nowiem,
A bodaj, niby iskrzyce sine, spuści
Ogniki lotne złud...
                Lecz zmarniał ciężki trud...
Już oto idę wstecz... Już z wyciągniętych rąk
Przed sobą, w próżni, uczynię tarcz jak ślepce,
Gdyż nagłej trwogi mróz porywy me kamieni,
Że u zawodu wrót i gniazdo żmij nadepcę...

Nie wody mi ze szluz rozbiegły się w przestrzeni,
Całunem szklistych pian kwitnący niszcząc łan;
Lecz pierzchła z piersi mej moc władna ukochania...
Jej żywy zanikł zdrój, co płynie falą rtęci
Z odwiecznej prawdy mórz przez padół nędz i burz,
Odblaski niosąc zórz w zaświatów bezgranicze, —
Gdzie prąd zaś toczy swój, zdobywczy pochód święci.

Lecz nito jeniec — gdy ongi skinę — to mi
Stułonne z głębi kniej chorały tuż oddzwania,
Nim na solenny ton i ducha tak nastroję,
Że sama klęknę już, ku ziemi gnąc oblicze,
Aż mnie modlitwa zachwytem oszołomi,
Na pogrom żądzy sposobiąc serce moje. —
Gdy chcę — to wydmy dusz napawa samotnicze,
I życie budzi w zdrętwiałem uczuć ziarnie,
Aż zaszeleści tam wydajnej runi błam.

I oto w sercu mam — gdy wskróś bluszczowych ram
Kolejno ze wszech stron — na rozkaz mój — przygarnie
I wszystko na swem dnie przesuwa tuż przede mną:
Lodowisk pola, czy łączne wirydarze,
Taneczne pliszki i dzieci zwiędłe twarze,
Snop kalinowych gron, czy zabłąkane sarnię —
Że raz do turni lgnę, to muskam darń przyziemną.

I groźny tem się skon w odbiciu jego staje,

Czem jest drogowskaz on, wiodący na wyraje..
I nie zdjąłby mnie dziw, gdy wówczas bez pamięci
Wybiegam z gąszczu iw popatrzeć, jak mnie nęci
Perłowa chmurka-łódź, bijąca w złote wiosła,
I by mnie słówkiem „Pójdź!“ ze sobą w wyż uniosła ..

Lecz już odbiegło mnie, w zachłannej tonąc mgle,
To zaludnione, a cudów pełne wczora,
I wszechświat zerwał przedziwne ze mną spójnie...
Dziś — skoro ujrzę w odosobnieniu swem,
Jak drzewo życia odkwita zawsze bujnie,
To żal mi ostrym kłem nurtuje w sercu czczem,
Że dziś niszczeję jak odpryśnięta kora,
I nie zrość mi się — wiem — z ojczystym nigdy pniem. —

L. Kalenkiewiczowa (El-ka).

INKANTACYA.

Bogowie, których stopy przelatują ziemię, a czoła wspierają niebiosa!

Czarodzieje, nachyleni nad tyglem świata!

Oblicza wielkie i olśniewające nad tłumną konwulsyą budzących się dusz!

Święty Wiecu nieustającej a groźnej pomocy!

Starcy piorunowi!

Miryadogwiezdna korono Człowieczeństwa!

Ojcowie, którzy królujecie w Niebiosach!

WPUŚĆCIE DO DOMU WYGNAŃCA!

Z głębi najniższych piekieł w te mgły czyscowe pełne majaków—
przez bagna rajów i smoczych paszcz otchłanie —
przez wrzawę potępieńczych śmiechów i łkań —
przez nudę, wyuzdanie i torturę —
przez pustynię, grzech, obłęd —
przez śmierć —
w te mgły czyscowe pełne majaków, pod blade światło skłębione w tumanach, doszedł wasz twór —

Z MGIEŁ WYPROWADŹCIE WYGNAŃCA.

Wy, coście w najgrubszy łom granitu zaklętą iskrę żywą widzieli
w nieustających a strasznych zapasach z fatalizmem kamiennym;
wy, których niewidzialna miłość, sroga a pełna łaski, rozkazywała
rytmowi jej płomienień i zagasań, i potęgowała jej moc walką,—
aż, rozpaliwszy głaz do rubinu, buchnęła wreszcie wyzwolonym
ogniem czystej duszy!
Wy, coście tę duszę czystą już, lecz niemą, drżącą w zimnie swej
nagości, obiąkaną nagłym zjawem lic świata, wprowadzili do
cisz niemowlęcych, na czubach kołysali drzew, owiali pelika-
kanowym tchem, utkali jej nowe ciało, z ognia i lodu, z ja-
wy i snu!
Czarodzieje! Bogowie! Ojce!
Szatani pokus i Anioły Stróże!
Sędziowie i kaci!
Zmartwychwstańcy i wskrzesiciele!
Tryumfatorzy i zbawcy!
Drwiąco uśmiechnięte drogowskazy!
Nieprzejednane święte Przyjacioły!
Argusowa straży nadludzkich pogranicz!
Stulica Miłości!
NIECH SIĘ DOPEŁNI CUD!

Oto zakipiała czara niebieskiej żądzy!
Oto chmury zapala płomień tęsknoty wezbranej!
Anioł chce się narodzić!
Czołem rogatem potrzykroć bije we wrota!
Sercem sieroty potrzykroć wznosi błaganie!
Dłońmi czujnemi potrzykroć mroki przetrząsa —
Chwycił się wrót —
Bramami nieba wstrząsa —
— W imię Światłości, co bramy nieba otwiera,
OTWÓRZCIE DOM!

Wielkie Anioły!
Poszóstne rozsuńcie skrzydła —
Niech śmiałka rozstrzeli krzyżowy strzał waszych ócz —
W bezkresy zórz,
A światło świata wieczyste skrzydlatym oczom zaświeci,
GDY SIĘ DOPEŁNI CUD.

Marya Komornicka.

SAMOLUB.

Wielka godzina przeznaczeń się zbliża...
Łan mój w hymn kłosem ciężarny uderza...
O, że mi dano z mojej Męki Krzyża
Patrzeć na złote mej ziemi wybrzeża!..

Wielka przeznaczeń godzina wybija...
Śmierć z ostrą kosą wpełzła z świtem ranka...
O, że mi dano patrzeć, jak wypija
Ktoś moje mleko... z mego... z mego dzbanka!..

A kres się zbliża... W złotym łanu łonie
Pieśń się poczyna o przyszłym żniw plonie...
Ktoś się tam skrada... Widzę obce twarze!..

A łan się chwieje w Pieśń kłosem ciężarną...
Umieram! Obcy w sierp dzwonią żniwiarze
I w swe śpichlerze moje zboże zgarną.

Czesław Krzykowski.

TARCZA.

Prócz mnie — nie będziesz miał oblubienicy,
Prócz mnie — nie ujmiesz innego zwierciadła,
Byś w niem się własnej odeśnił źrenicy,
Do mosiężnego podobien widziadła!
Żadne ci dziewczę różanem brzemieniem
Kruchego ciała — ramion nie obarczy, —
Ni warg znikomem nie skala imieniem, —
Rycerzu! wiernym pozostań swej tarczy!
Ja ci przechowam, odbite w mem łonie,
Doliny, góry, jeziora, niebiosy, —
Ja wrażych mieczów pogróżki i ciosy
W śpiżowe hymny dla ciebie rozdzwonię!
Twój sen lękliwy uzbroję swą chwałą,
Aby mógł snić się bez trwogi, bez skazy!
Obronię ciebie miłością wytrwałą
Od złego ognia, od rdzawej zarazy!

Obronię ciebie od wszelkiej tęsknoty
I od uroku zatrutych strumieni, —
Od burzy czarnej, szkarłatnej, i złotej,
I od tej, co się po grobach zieleni!..
Od niepamięci błękitnych pocisków,
Których się orły w niebie nie ustrzegą!
Od zemsty bożej, od ciebie samego
I od mych własnych ku tobie rozbłysków!

A gdy już w ciszy, pod moją obroną,
Pierś twa dojrzeje w kwiat wielki i wonny,
Wtedy jej żadną nie kalaj osłoną
I bądź mi — nagi i bądź mi — bezbronny!
Nie poskąp krwi swej, ni serca, ni ciała
Pazurom bogów, aniołów lub sępów!
Nie wzbraniaj światu, co tęskni i pała,
Nieprzeliczonych do duszy dostępów!
Choćby cię zgrają opadły zaciężną
Wylęgłe w słońcu upiory i płazy,
Ty — pierś, śpiewowi na wieki przysiężną,
Odsłoń na ognie, na rdzawe zarazy,
Odsłoń ją nagle na wszelką tęsknotę,
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!..
Na odtrąconych ukochań powrotność,
Na różobrańczą wichury swawolę,
Na wrzaski orle, na żądze sokole
I rozszalałą istnienia samotność!

Często o tobie sny miewam mosiężne
I o tej chwili, i mojej, i twojej,
Gdy, bezbronnością wyzwolon ze zbroi,
Dosięgniesz tego, co nie jest dosiężne!
Gdy żaden odzew prawdziwy lub mylny
Nie ujdzie twojej stubramnej gościnie,
I gdy świat cały, ku tobie pochylny,
W zaświecie twoim, jak w morzu, zaginie!
Gdy, spłonion ku mnie zniechętą słoneczną

I przytakując zadumie brwią ciemną,
Mnie — już spełnioną, czarownie zbyteczną —
Ciśniesz o ziemię w niepamięć nikczemną!
A ja się z jękiem u stóp twych rozpadnę
Na ognie błędne, na rdzawe zarazy,
Na dzwonnej śmierci ostatnie rozkazy
I zanieśpiewań lamenty kaskadne!
Na wszelką niemoc, na wszelką tęsknotę
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!..
Na mchy i bluszcze, wypełzłe odziemnie
Ku podeptanej mych spiżów ruinie,
I na to wszystko, co zginąć ma we mnie,
I na to wszystko, co w tobie nie zginie!

Bolesław Leśmian.

CHIMERY KATEDRY PARYSKIEJ.

Chimer ród fantastyczny obsiadł cały tum,
Na dzierzganych balustrad kładzie się krawędzie,
Z ganków wież się przegina w ciekawym zapędzie,
Z gęstwy roślin kamiennych wychyla się tłum.

Dziwiąc się, pilnie patrzą, co było i będzie
Czy z gromami szaleje chmur urwanych szum,
Czy wieczór dzwon kołysze do pobożnych dum,
Na miejscach swoich trwają, czujnie bacząc wszędzie.

Osobliwy im świat ten, zmienny, jak toń wód,
Taki on różny od nich, i wszystko im obce,
I tak śmieszny chimerom nowożytny ród...

Wzrok weń wparły, lecz znać z ich nieuchwytnych min,
Nie wiedzą, na tragedyi-li są, czy na szopce,
I lekko powstrzymują drgający śmiech drwin.

Kazimierz Lubecki.

ŻĄDZA.

Rozegrała się we mnie moja krew i śpiewa,
A serce jest krwi mojej muzyczne narzędzie;
A fala w nie uderza w oszalałym pędzie,
I burza w nie uderza, i z ogniów ulewa.

Prężą się żyły we mnie jak struny harfiane
I szatańskie swe na nich krew wydzwania hymny;
Zwarłem krąg kłów mych biały, swą białością zimny,
Na kłach białych krew czuję, a na uściech pianę.

Przepomniałem mych śpiewów, którem śpiewał co dnia,
A które-m anielskiemi mienił, duszo moja!
Inne począłem prawić u mętnego zdroja.

Stanęły mi nad głową licem piękne stróże,
Grzech usta całujący i milcząca Zbrodnia...
Nogom nagim wężowy kłąb mam za podnóże

Kornel Makuszyński.

W GŁUSZY.

(Fragment.)

...Błądziłem po tej głuszy, nawpół oszalały
z tęsknoty żrącej duszę, z miłości dla puszczy,
oszalały z tych jęków, co wokół mnie łkały,
co ciągnęły od jezior, od kwiatów i kuszczy.
Błądziłem, w słuch zaklęty, nawpół oszalały...
Przysięgam!.. ten las mówił, mówił ludzkim głosem,
a jam go nie rozumiał, bom stał skamieniały
z martwym potem na czole, z podniesionym włosem...
W ciemnościach sine iskry niepewnie pełgały,
zmrok łopotał skrzydłami, aż przysiadł nad puszczą
i napełnił ją duchów niewidzialną tłuszczą,
co mnie w taniec powiodła wściekły, rozszalały:
słyszałem tętent kopyt i łap ciężkie kroki,
czułem jak skrzydeł pióra żarem na mnie wiały,
i echa ich furczenia płynęły w pomroki...

A we mnie był strach tylko. Z najeżonym włosem,
męczony ciekawością, stałem oniemiały.
A bór mówił wciąż do mnie, mówił ludzkim głosem.

Nareszcie zrozumiałem. On mówił: „Daleko,
„gdy przejdziesz te mokradla, hen w zachodniej stronie,
„za siedmioma górami, za trzynastą rzeką,
„leży pełne spokoju i ciszy ustronie.
„Tam, śród skalnych rozpadlin, w mroku pełnej niszy,
„rozsiadla się Martwota na bezdusznym tronie
„i pilnuje Królewny, co, uśniona w ciszy,
„leży pełna tęsknoty w niebytu koronie.
„Jeśli w piersi ci iskra wulkaniczna płonie,
„jeśli Duch twój się czuje niby rozpętany
„Tytan mocny, co tchnieniem gasi huragany,
„— idź i śpiącą pocałuj w wychłodłe jej skronie!..
„Ona wstanie zbudzona; lodowe paweże
„stopione w mgłę się zmienią. Jej Dusza zapłonie,
„ramiona wokół ciebie splotą się jak węże!..
„I w tym uścisku doznasz nadziemskiej rozkoszy,
„co cię czarem nieznanym dotychczas owionie,
„co roztworzy ci niebo, lecz ci spokój spłoszy."

Szedłem długo, tak długo, że rachuba czasu
zatarła się w mej myśli. Szedłem zadumany
w ciągłej nocy przez zmroczne korytarze lasu,
przez bagna i topiele, przez martwe polany...
Las milczał, lecz przebrzmiałe słowa opowieści
rozbudziły mi w duszy radosne peany,
pełne jakiejś roskosznej tajemniczej treści,
co mi noc zamieniały w cudny nimb świetlany.
Szedłem jakgdyby we śnie, słodko omotany
wiotką nicią tęsknoty, której ręka biała
na kanwie moich marzeń złotem haftowała
obraz śpiącej Królewny czysty, nieskalany.
Las się skończył. Już dawno zostawilem w tyle
stepów i łąk bezbrzeżnych szumiące burzany
i wkroczylem w krainę, w której jak w mogile
smutno było i cicho. Skalista korona
otoczyla głaz czarny księżycem oblany,
a na nim w śnie głębokim spoczywala Ona.

Poznałem ją, to Ona!.. W bezszmerne wieczory,
w noce pełne maligny, gdy duchy szalone
biją skrzydłem zranionem o tajne zawory,
widzialem jej źrenice we mnie zapatrzone!..
To Ona, co mi jątrzy rany zabliźnione,
i bierze dań z łez moich i z ducha osnowy...
(to ducha mego wieniec bolesny cierniowy!..)
Więc, gdym ujrzał to widmo w mą duszę wszepione,
zadrżałem, bom miłował jak pies łańcuchowy...
Czasem siostrą mi była lub świetlanym widem,
to pełne wyuzdania jej oczy zielone
rozpalały mi we krwi żądze rozbestwione
tryskającym z nich ogni cielesnych bezwstydem.
Gdy pierś wzbierała żalem, chciałem na jej łono
paść, i w głośnem szlochaniu łzy wylewać slone;
lub znowu w męce szału jej włosów oponą
pragnąłem być spowity tak, by w ciało jedno
dwa duchy jednym żarem sobie zaślubione
weszły — i razem padły w miłości bezedno!

Chciałem przypaść do ust jej i zaszczepić w żyły
ten ogień, który gorzał w mojej duszy skryty,
chciałem przelać w nią męki, które mnie paliły,
i zbudzić ją dla siebie... Wtem stanąłem wryty.
Dreszcz mną wstrząsnął śmiertelny, jakiś chłód padalczy
wionął na mnie jakgdyby z pod mogilnej płyty,
zatopiwszy mi w piersi lodowe dziryty.
I uczułem, jak kona to, co we mnie walczy.
Spojrzałem — tuż przede mną w mgłę parną spowity
czerniał cypel, a na nim opuściwszy dłonie,
tak wielka jak najwyższe skalnych urwisk szczyty,
rozsiadła się Martwota na bezdusznym tronie...
Padłem wtedy na śpiącej zesztywniałe ciało,
lecz poczułem omdlały, że ogniowe nity
zagasły w duszy mojej — że sił mam zbyt mało.
Usta do ust zbliżyłem, i to uściśnienie
odemknęło na mgnienie ócz jej chryzolity
i wyrwało z jej piersi jedyne westchnienie.

J. St. Mar.

ZACHWYCENIE.

W otchłani dawnych lat
Budzą się senne echa,
Umarłych cichy świat
Z za mogił się uśmiecha...
Staje się wielki cud:
Jak mgły osłona blada,
Rzeczywistości złud
Stubarwna łuska spada.
Kruszy się granit skał,
Słońc jasna ćmi się szata,
Znikają widma ciał,
I wszelki pozór świata.
Przystanął w biegu czas,
Ucichły serca bicia,
I niema, niema nas,
I niema więcej życia...
Ogniska tylko dwa
Ostały po tym zgonie...
To wieczne szczęście trwa,
I wieczna miłość płonie.

J. Mzura.

ZNUŻENIE.

Ukojeń łąka... Po leśnej polanie
Tuman przedzmierzchu leniwie się błąka,
Ciemnych paproci wytworna koronka
Chyli się sennie na mchowe posłanie...
— Och — jak mię nęci nieodczarowanie
Ukojeń łąka — —!

Nierozkwitłego tajemnicę pąka
Unosi w bory ciche wiatru granie,
I przesłodkiemi łzami rosy kanie
Ukojeń łąka —

W ciszy bezmiaru drży słodkie rozśmianie...

W szelest zrywanej w mgle przędzy pająka
Zmienia się gorzka przesytu rozłąka —
A za sen — myśli wieczne daje trwanie
Ukojeń łąka...

Zofia Rygier-Nałkowska.

FANTAZYA WIOSENNA.

W wiosenne ciche rano, gdy w niebios topieli
Błękitnej, czystej błyszczy złote słońca lice,
Kiedy w sadzie słoneczne drzemią tajemnice,
Z kwiatów Wonie wychodzą, Przeczyste Dziewice.
I płyną zwolna, cicho w szat pajęczych bieli
W stare, do nisz tajemnych podobne aleje,
Gdzie słońce przez gałęzie blaski złote sieje.
Przystają... Szepcą sobie jakieś tajemnice.
Dziwnemi błyszczą blaski modre ich źrenice.
Tak cicho i powoli biały orszak płynie.
To przyrody ogromne, święte tajemnice.
Słońce blaski złociste ściele na ścieżynie,
A barwiste, złotawe i białe motyle
Siadają im na mleczno-błękitnawe skronie.
I szepcąc tajemnice, w złotym słońca pyle
Płyną przez sad odwieczny te Dziewice-Wonie.

Konrad Robakowski.

JA I SZATAN-DEMIURGOS.
(Melodya myśli).

JA. Szatanie! ty, mój poddany i królu!
Szatanie! jaka twoja tajemnica?

SZAT. Odkąd zechciałem ogarnąć SIĘ w mocy
i wielkim żądzom dać ramy przestrzenne —
— padłem! o łono uderzon promienne,
bezdennej hańby czując spazm sierocy — —

Tak pogrążyła mnie w mrok Boża wzgarda:
bezżądne, ciche, straszne zapatrzenie!
Wiecznie rozśmiane słyszałem MILCZENIE,
gdy we mnie stygła maska wstydu harda!

O tron z dyamentu piorunem uderza
krzyk mych rozpacznych zapytań-bez-końca;
skrzesałem barwy, roznieciłem słońca
i wśród chaosu stanąłem, jak wieża!

JA. Na ścianach zamku wyczytałem: ZŁUDA — —
i „BOŻA WZGARDA“ szepce głos dokoła — —

SZAT. — — jak żebrak w dłoni przesypuję cuda,
jak noc się lękam blasku mego czoła —
— — — — — — — — — —

JA. Lęk! lęk przed Bogiem!

SZAT. Te słowa mnie palą:
duch do człowieka niechaj się nie zniża!
— — a jam tak upadł: przez męczeństwo krzyża
chciałem się zniszczyć i odebrać falom — —

Pierwszy grzech: litość mży przez mgławic szaty — —
cicha niewiasta ramieniem otula — —

JA. A ON! tam! ŚWIĘTY! wzgardą niszczy światy!
jęk konających JEGO nie rozczula!

SZAT. Nie — —! — — — — — —
— Jam jest KŁAMSTWO! bo ta męka (złuda,
którą jam wzniecił) żadnej łzy nie godna — —
— — — — — — — — — — — —
Jak żebrak—w dłoni przesypuję cuda — —
jak myśl—jest żądza moja wiecznie głodna —

W ocean światów i atomów pyły,
w człowieka ciało i serce i duszę,
w kłamliwe wiosny i złudne mogiły
i w niepoczęte pomrokowe głusze —

wszędzie! właniałem BOGA — ku zagładzie,
a ON się cofnął straszny i tajemny!
Nie mogę zebrać lotnych piór w nieładzie,
ani ukoić duchów ryk podziemny!

przecież ja w SOBIE nie mogłem zmódz żądzy!
przecież nie mogłem nie-*wysłowić* bytu?!

JA. Huk mnie dochodzi szarpanych wrzeciądzy
i śmiech topielczy ze studni błękitu — —
— — — — — — — — — — —!

SZAT. Pękły wrzeciądze! przez otwarte wrota
bije me serce! świat zadrżał z łoskotu!
: od mojej WOLI zagaśnie tęsknota!
: zakwitnie owoc nowego POWROTU!

I ztąd KONIECZNOŚĆ: że się sam przeklęłem!
by duch szatański skazać na nicestwo,
by stać się BOGIEM, pogardziwszy dziełem,
i znowu zdobyć MILCZENIA królestwo!

JA. — — Śnią mi się hymny jakieś niepojęte,
grane na strunach szyderczego śmiechu,
i jakieś PRAWDY, męczeństwem przeklęte,
i DRUGIE lico piekielnego GRZECHU — —

SZAT. — w źródle szukane — w moim własnym bólu —
— — — — — — — — — — — —
Alboż mi znane są me własne lica?!

JA. Szatanie! ty, mój poddany i królu!
Szatanie! TO — jest twoja tajemnica?!

Kiedym nań spojrzał, wyczytałem: ZŁUDA,
i „BOŻA WZGARDA“ szeptał głos dokoła — —,
a on, jak żebrak, przesypywał cuda
i bał się spojrzeć w światłość swego czoła — —

Jan Rundbaken.

VOX MYSTICA.

I rozwiodę przed tobą wielką drogę ducha,
i pójdziesz nią, nie wiedząc, dlaczego i poco —
bo na wątpienie twoje moja wola głucha.

Gdzieś daleko we mgłach się nowe świty złocą,
i nowa się na wschodzie zapala jutrzenka,
ku której swą tęsknotą porwiesz się sierocą...

I nieraz cię na drodze złamią ból i męka,
i nieraz ci znużenie zasunie powieki —
a wciąż będziesz iść, dokąd wiedzie moja ręka.

Bo gdy pierwszy krok zrobisz — toś już mój na wieki:
kwawe ci pomazanie na czole wypiszę —
i będzie ci dnia zamęt obcy i daleki.

Powiodę cię w zadumę mrocznych pól i ciszę,
i tajemnicze głębie przed tobą roztworzę,
i w rytm cię wirujących globów rozkołyszę.

Łabędzią twą tęsknotę będzie śpiewać morze,
i ziemia będzie dudnić twoich pragnień szałem,
i do wtóru ci będą grać — łkające zorze...

Bo będzie wielkość ducha twoim ideałem;
więc Bytu cię mistycznem będę wiódł korytem —
i nie będzie-ć doczesny kształt dzielącym wałem...

Twój śmiech będzie echowym nowej wiosny świtem;
płacz twój — skargą zbłąkanej w żarach pustyń rzeszy;
twa cisza — jasnem śnieniem niebios i błękitem...

A nie będzie weselić cię, co wielu cieszy:
bo wszystkie będziesz sprawy oglądał przez wnętrze —
i dlatego nie pójdziesz tam, gdzie tylu śpieszy...

Inne trudy dla twoich stóp tułaczych spiętrzę,
inna cię noc omroczy w czas rozpaczy znojny,
i inne ci z gromowych burz wyświecę tęcze...

Ale dla ciebie chowam balsam ów ukojny,
co jest przystanią słodką dusz, które udręczę:
dam ci wiarę w męczeństwa ból... Umrzesz spokojny...

Henryk Salz (Campanella).

URYWEK Z POEMATU „BRUNHILDA."

Brunhilda śpiewa:

Patrz ze mnie bucha
i czar, i moc!
Ja czekam słońca
w bezgwiezdną noc!
Ja czekam słońca
i łka mój śpiew
nad oceanem
z okrzykiem mew!
Olbrzymka ja — nieznane objawienia
śpią w piersi mej, przedziwne a zaklęte!
Dość rozkuć czar — a w mglistych snów tajnicy
odnajdę cud — zbawienia słowo święte,
i wcielę w pieśń, potężną jak orkany,
i w mroków głąb' poniosę slowo wieszcze,
niech brzmi, niech gra, niech z omdleń męki budzi,
niech rzuca w pierś szczęśliwych przeczuć dreszcze!
Poniosę w świat wulkanów mych zarzewia,
poniosę w świat pragnienia me szalone,
i tchnę je w was, i moc w was rozpłomienię!
Niech wasze sny niesyte, przemęczone,
łkające w was napróżno wieki, wieki,
w godowy dzień girlandą ciał się staną!
Poniosę w świat niezłomnych pragnień siłę,
poniosę w świat dokonań pieśń zorzaną!
Patrz, ze mnie bucha
i moc, i czar!
Ma wola gasi
wulkanów żar!
Lecz tylko władza
zwycięzkich rąk

w kwiat cudotwórczy
otworzy pąk!
Przemija czas — w oddali mkną korabie,
lodowców gruz wciąż rzeźbi górskie garby,
a niema go — pogromcy ciemnej siły,
co Notung - miecz, i Nibelungów skarby,
i wiedzy klucz w zwycięzkim posiadł boju!
Nie straszne mu otchłanie i topiele —
wichr nosi go — nie straszny mu miecz wroga,
bo smocza krew pancerzem mu na ciele.
Chcę uczuć cios przeznaczeń z twojej dłoni,
chcę ze snu wstać w młodzieńczych sił rozkwicie,
i pójść na bój z ciemnością i otchłanią,
i z ciasnych pęt spragnione rozkuć życie!
Daj słońca mnie — ja nie znam jeszcze słońca!
Ja słońca blask poniosę w sny sieroce
i dłoni twej, zniszczeniem dotąd silnej,
dam twórczą moc — odrodzeń dziwne moce!
Patrz, ze mnie bucha
i czar, i moc!
Ja czekam słońca
w bezgwiezdną noc!
Chcę wznieść ołtarze
dla nowych wiar,
ja w świat poniosę
wulkanów żar!

Savitri.

SIWY GOŚĆ.

Przyjdzie Gość siwy, gość niespodziewany,
przyjdzie w południe samo dnia letniego,
gdy żąć poczniemy właśnie złote łany —
i nie da zebrać plonu dojrzałego —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Nieznany przyjdzie siwy Gość, z daleka —
nieznużon drogą ani swoją kośbą,
na pożegnanie z siostrą nie zaczeka,

nie da posłuchu matki drżącej prośbom —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Rzucić nam każe ziemię plonem złotą,
z krwi naszej żyzną, z potu naszej skroni —
nieubłagany naszych rąk ochotą
swoją nam kosą, krwawą, Gość zadzwoni —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

W serce nam wbije zimne, złe żrenice,
gardło nam włosem siwym swym okręci —
i zblednie trwogą młode nasze lice,
i pójdziem mrozem lęku wskróś przejęci —
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

I już nie będą śmiać się nasze oczy!
Ciemne i zimne da nam Gość mieszkanie...
O! nazbyt wcześnie pierś nam robak stoczy!
O! nazbyt wczesne będzie spoczywanie!
A słońce błyszczeć będzie tak wesoło!..

Przecław Smolik.

GRÓB W SERCU.

Puharem słońca błękit kryształowy
Piję! Hosanna! Chwała memu Bogu:
Lasom i polom, górom, gdzie parowy
Na wodospadów spienionych wrą progu,
Morzom i gwiazdom, które w nieb' otchłani
Świecą, jak pszczoły złocistym wyrojem,
I gdzie rozprószę się, bym był w przystani,
Ażebym wiecznie leżał w sercu swojem!

Z gór, z lasów idę, z pól i mórz bezedna,
Tchnienie przepaści wszystkich, co są we mnie
I ze mnie idą, moja dusza jedna,
Która znów ku mnie powraca tajemnie.
Życia i śmierci pieśń śpiewam pijaną!
Duszą upiłem się jak win napojem!

Śpiewając idę gdzieś w przepaść nieznaną,
Ażebym wiecznie leżał w sercu swojem!

Dłonie podały sobie śmierć i życie!
W wieńcach na skroni idą w druhów zmowie.
Morze raduje się, góry w błękicie
Błyskają w gromach, z chmurami na głowie!
Gody są wieczne! Hucznych uczt biesiady,
Gdzie ja i życie i śmierć, z róż zawojem,
Z puharem w dłoni, śpiewamy balady
O wielkim grobie, co jest sercem mojem.

Sto światów zmarło a nie zmarły wcale!
Nie urodziła jawa snów, a żyją!
Góry są święte, las wielki wspaniale!
Dno morza, pola, dal — w Bogu się kryją,
A Bóg jest we mnie i w Nim kres mej drogi,
Co nie trudziła mnie męką ni znojem,
I gdzie spać będę, jak w iskrze pożogi:
W górach i w lasach, w morzu — w sercu swojem.

W mogile złóżcie mnie na szczycie turni,
Zkąd zimy szczytów patrzą w dolin wiosnę.
W lodach wygrzebcie grotę jak najgórniej,
By przez lód słońce patrzyło radosne.
Czyli tam spocznę, czy śnieżne lodowce
Spłyną i zniosą ciało me z wód zdrojem
W doliny kwietne, gdzie się pasą owce:
Ja zawsze leżeć będę w sercu swojem.

W puszczy ogłuchłej pod mchów snem zielonym
Dajcie mnie ziemi na ucztę rozkładu.
Próchnem są dęby, co tchom burz szalonym
Stawały sporem; próchnem drzewa sadu;
I jam jest próchno, co znów rodzić będzie;
Z siebie wykwitnę znów z kwiatu spokojem,
Swego zniszczenia i życia narzędzie.
I zawsze leżeć będę w sercu swojem.

W otchłanie morza rzućcie mnie zmarłego,
Abym z niem śpiewał, bom jest burzy bratem,

Synem bezmiaru i ojcem snu swego,
Który był ze mnie a był całym światem.
Konchy, rozgwiazdy, ławice korali
Spoczynku mego staną się postojem,
A chociaż spocznę na dnie szumnej fali,
Ja zawsze leżeć będę w sercu swojem.

Cześć ziemiom, morzom, mnie i Bogu memu!
Wszystko jest Jedno! nic nie jest mogiłą!
Gwiazdy zatliły mrok mego podziemu
I jestem gwiazdy sprzęgającą siłą.
W gwiazd opętanych skrzącym kołowrocie,
W wieczystej ciszy, co jest wiecznym bojem,
Duszą rozprószę się, i w słońca złocie.
A zawsze leżeć będę w sercu swojem.

Leopold Staff.

ODWRÓĆ ODE MNIE...

Odwróć ode mnie obłąkane trwogą,
w szkle łez zaskrzepłych tężejące oczy —
lub niech bezgwiezdna noc moje omroczy,
bym cię z tą w oczach nie widział pożogą!..
W dymie rozwianych czarnych twych warkoczy
targa się płomień woskowej gromnicy,
na której palce twe drętwieją zbladłe,
jak mrące lilie na zżółkłej piszczeli — —
W szkle łez stężałych krzepnące swe oczy
z szałem cierpienia w rozdartej źrenicy
wświecasz w mej duszy głębie nieodgadłe — —
Pojmuję nagle, co czuli anieli,
gdy — przez struchlałych patrząc gwiazd kurzawę
na piorunami kołysaną górę,
gdzie Bóg, ubrany w skłębioną purpurę
chmur, na skrzypiącem, czarnem konał drzewie, —
twarze od niebios pożarów aż krwawe
chowali w mgławic gasnących zarzewie
i marli — — — Odwróć..! Nie — już twoich oczu
żaden zamarzły nerwby nie odwrócił,

gdybym ci nawet w błękitów przezroczu
sto słońc zapalił, a przed ciebie zrzucił
ciężkich sto dzwonów z niebosiężnej wieży!
Możeby tylko te nawskroś zakrzepłe,
jak oczy figur woskowych — oślepłe
oczy — tonące w zaświatów rubieży,
w okropnym śpiżów jęku — cicho jękły
i — jak zdeptane szklane dzwonki — pękły — —
i jakby, zgasłe, w twarz Bogu patrzały,
jak stlały popiół, odarty z płomieni — — —
Cicho — w biegunach świat się nie kolebie —
cicho — żadne się nie rozpadły skały:
słońce nie gaśnie — na ziemi, ni w niebie
nic się nie zmienia i nic się nie zmieni!
Ani się żadna zasłona rozdarła — — —
Czy ty wiesz chociaż, biedna, żeś umarła?

Stefan Stasiak.

KRÓL MILCZĄCY.

„Uśmiechnięty zeszedłem z tronu z pychą boga.
Idę. Niechaj nad wami władnie ladacznica,
Co jak pies pod chram Szczęścia w noc jasną u proga
Włóczy się i otwarcia wrót żebrze: ... tęsknica.

Nad morzem sinem siadłem sam: niechaj mi gędzie
Pieśń szumną, na swą wielkość nieukojne hymny.
...Na ołtarzu mej duszy płonie żar bezdymny:
Najdostojniejsza z wszystkich pieśń bez słów się przędzie.

Niech sny wasze bezwstydne przed tym hymnem klękną!
Że na otchłań królewskiej duszy krzyku niema,
W głośny pean milczenia niech się pycha mieści.

Zdzieram z czoła koronę.
... Zmęczonych ócz piękno...
... Kwitnących ust dziewczęcych bezmierne boleści ...
... Kobiecych lic więdnących żałosne poema..."

Tadeusz Świątek.

LIRYKA.

*

O, domów starych pustko rozmodlona,
O, trzcin poszumie na stawach zarosłych...
...Marzenia moje biorę na ramiona
Jak parę dzieci w nędzy niewyrosłych.

Marzenia moje biorę na ramiona
I kołysankę śpiewam, nie wiem, komu,
...W szybach na pustce stojącego domu
Tak wcześnie słońce rozognione kona.

* *

Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem;
Za oknem miękki śnieg pada;
Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem.

I slucham z ukrytem drżeniem,
Jak głos się w ciszę zapada,
Z jawy się staje marzeniem.
I słucham z ukrytem drżeniem,
Jak glos się w ciszę zapada.

* * *

Śpij: — o, jak senny zaśnij głóg
Przy drodze uciszonej; —
— Po ziemi chodzi jakiś bóg,
I kładzie snom korony.

Tedy się oddaj królom w moc,
— Królom wieczornej chwili.
Śpij, póki sen ci zsyła noc;
— — — Głóg się nad drogą chyli.

DLA WIERSZA.

Życiem jest męka nigdy niepoznania,
A nie te nasze liche żale winy,
I męka ona wiedzie nas w doliny,
— Góry odsłania.
Rodzi nas chciwa żądza dociekania,
I ona kruszy nasze formy z gliny,
Kiedy wypełni półszare godziny
— Rozdźwięk czekania.
I niemoralne są nam czasem zdania
Mędrców, że wszędzie mieszkaniem — ruiny;
I wierzyć chcemy w jakieś trwałe czyny...
. . . .
A duch, jak chmury nas w przestrzeń rozgania.

Aleksander Szczęsny.

NADZIEJE.

Nie mam nic oprócz łez na wspomnienie tych dni,
Co przemknęły jak wicher, młody wicher wiosenny —
Jeszcze dziś, kiedy serce huragany snów śni,
Łzy mi płyną, gdy wspomnę tych dni hufiec promienny.

Nie na chlubę zwycięztwa wysyłałem je w bój —
Inną przyszłość im w gwiazdach aniołowie pisali —
Ale dzisiaj już dojrzał w dlugiej walce duch mój,
I mocniejsze dni rodzę, całe w zbrojach ze stali.

Już nie lecą naoślep bez szyszaków i mieczy
Głową mury rozbijać, mury straszne, prastare;
Już ich szyków wytrawnych pierwszy strzał nie niweczy
Choć przychodzi im jeszcze niepowodzeń pić czarę...

Ale, da Bóg, nadejdą nowe siły pancerne!
Już się kłębią w pomroce, jak lawiny lodowe,
Rosną siły olbrzymie, żywiołowe, niezmierne,
Rosną, — jutro wybuchną! I nadejdą dni nowe.

Wacław Wiediger.

KONTRALTO.

Czarnych włosów rozbujane morze,
Krucze brwi i sine cienie rzęs.
Ciężki biust pod męką pieszczot wklęsł.
Nigdy sama nie szla w wonne łoże.

Nigdy trzeźwej nie witały zorze.
Pierś pod piersią, warg podwójny ton,
Pjana pieśń, spalonych duet łon.
— Chyba niemoc zwali ją i zmoże:

Wtedy w klątwach wiła się i żalach,
Że zasypia sama bez pieszczoty.
Lecz po dniach tych czysto lał się złoty

Głos o ciężkich i żałobnych falach,
Głos, co zwykle, przez dławiący szał,
Grubo, nizko i ochryple brzmiał.

Mamert Wikszemski.

KRWAWE WIDMO.

Z odmętów morskich olbrzym wynurzył się krwawy
I szedł przez drżącą ziemię jak straszna pożoga — —
W obłokach mroźnych łuna rozbłysła złowroga,
I czarne bory zwiędły jak jesienne trawy —

Szedł — — a z ust mu pioruny skarg wylatywały,
Głuchem echem przestworne rozbrzmiewały łuki;
Zgasłe słońca czerniały jak wylękłe kruki;
I świat, jak upiór, wisiał, z grozy skamieniały — —

Szedł — — szedł jak krwawe widmo żałobnego piekła,
Ulewa krwi mu z czoła ranionego ciekła,
A za nim szli w całunach aniołowie smutni — —

I tam, gdzie w świętej ciszy drzemią tajne ciemnie,

Krwawą pięścią do wiecznej zakołatał wrótni
I duszę swą rozdzierał, ale nadaremnie — — —

M. Wilkowicz.

AKWATINTA.

— Smutek słania się we mnie — smęt rozlkany
— jako mgieł tych rozwiewne tumany —
I ból sroży się — twardy — skamieniały —
— jak surowe te wirchy i skały —
I — tak — we mnie są smreków gromnice,
i jest we mnie nieba zimna stal —
Są te chóry smętne, śpiewne, mrące — bladolice —
— jest ich senny obłąkany żal —
Co przede mną, to wszystko jest we mnie
— wieleż cichsze — i dalsze — i świętsze —
i tak patrzę — patrzę — w swoje wnętrze
— w duszy mojej prauroczne ciemnie — —
I patrzę — i chwytam za pióro —
Nie! — dziś napisz ty o mnie wiersz — mamo Naturo.

Bruno Winawer.

ZAMIEĆ.

Otulony w srebrnych puchów ciszę,
senny błądzę po zamarłym lesie...
zamieć kołem białe pyłki niesie
w kolumnowe leśnych głębi nisze...

jakieś słodkie upojenie mnisze
w myśli moje z owych głębi rwie się...
jak w śnie błądzę po zamarłym lesie,
otulonym w srebrnych puchów ciszę...

...zda się — wieczność patrzy... — zda się — słyszę
granie pyłków śniegu hen — w bezkresie...
...zda się — widzę — wolno w te haszysze

Śmierć idącą po zamarłym lesie,
otuloną w srebrnych puchów ciszę...

OCZY OBŁĄKANEGO.

Otchłanna... senna dal...
coś w mrokach — nieme łka...
zaklęta bije łza
o trumnic chłodną stal...

coś nieme — w mrokach łka...
coś ślepe — patrzy w dal...
o trumnic chłodną stal
zaklęta bije łza...

...po Tajni Święty Gral
coś ślepe — idzie w dal...
coś nieme — idąc — łka...
zaklęta bije łza
o trumnic chłodną stal...

„ONI...“

Precz w Niewiadome idziem snami...
tęsknota duszę nam rozpiera...
coś we sny płacze nam gwiazdami...
coś chorą dłonią zgasłe zbiera...

w dal!.. — niewidoma Gra nas mami..!
— oto Harmonia Boga szczera
precz w Niewiadome woła snami —
tęsknotą dusze nam rozpiera...

w mrok!.. — niewidoma Gra nas mami..!
w otchłań!.. — ... coś lękiem gardło zwiera...
coś w piersi grzmoce orkanami...
... — coś dawne... ciche... w nas umiera...
..precz w Niewiadome idziem snami...

St. Witoszyński.

OKEANOS.

(Fragment).

Pójdziemy! Tam wszechmorze jest!
Pójdziemy wziąć wszechmorza chrzest!

O! ten daleki, siny ziemi skraj,
O który jego bure fale biją,
Na wieki ręką oddzielony czyją,
O pomnij! nim był stworzon raj? —

Czy więc z rozpaczy fale tak się pienią,
Że już wyroku nie zmienią,
Czy to bunt przeciw rozkazom jest Pana,
Czyli też z nieba tęsknota nadana
Za ziemią?

A huki, grzmoty, wichry, co ci oddech niemią,
Czy okrzyk to, czy wark?
I bieg ten wieczny, ten odwieczny bieg,
Czy miłość rąk to jest, czy parcie bark
O ukochany, nienawistny brzeg?
. . . .
Och! na dalekiem, na wysokiem morzu,
Nim fala
— Ta, która kłaść się przychodzi
Do stóp kredowych ziemi — nim się zrodzi
Na granatowem łożu,
Jak od niej zdala
Ten utęskniony brzeg,
Jak niedościgły fal siostrzanych bieg!

Czyli jej daną będzie taka moc,
By z niemi iść, tam iść, przeć, rwać i biedz,
I zdobyć jasną, lub do stóp jej ledz?
Któryż dzień ją zawiedzie tam, o, któraż noc!

A jak wielmożne fale te, co przed nią szły,
I jak ochoczo, z chrzęstem białych grzyw i piór
Poszły! Zwycięzko grzmiał ich głosów wtór,

Wciąż jeszcze brzmiał, choć już zabiegły w mgły.
O! jakże się za niemi rwie fala dziecięca
Na życie, źrałość, wiek,
Szczęśliwa!
Przed sobą zasłyszane widzi brzegów dziwa,
Śni lasów ściany, skały, ujścia rzek,
Zamgloną w dali śni tęsknotę...
. . . .
Więc rwie się fala - dziecko w daleki swój gon
I siły zbiera,
W tchu tętnic, w drżeniu naglących mknie łon,
W ławę się zwiera,
Jak mewa grzyw piórem świeci
I przed się leci.

O tam! O tam,
Zkąd gromy biją
Od skał,
Gdzie smoczy chram,
Gdzie kąpie ramion biel i stóp
Dziewa więziona, ziemia, smoka łup;
Gdzie z wyciągniętą stu rumaków szyją
Wlecieli zwartym towarzysze szykiem
Na rozsypany piasków wał,
Gdzie grzmią, jak puszcz libijskich lwy,
Rozdzierającym rykiem
I straszą pary sykiem
Kamienne w bryzgach kły!

I dziw! i dziw,
Jako ta fala wezbrała!
O drżyj ty, ktoś jest żyw,
O drżyj ty, skało biała!

Już blizko, blizko najcięższym jest bojom,
Gdzie szyk się z szykiem ściera
W skłębionym walk rozgromie,
Gdzie hufce się roją,
Zwycięzkie i te, które w sromie
Wódz do odwrotu zbiera.

Niedość, że same się łamią
I kończyć idą wstydu wiek,
Zawrócić chcą i falą młodą...

Lecz ona nie słucha,
Głucha
Na boleść ich zwątpiałą, na opętań szczek,
Bo chce i wie, że żary te nie kłamią,
Które w jej piersi tlą
Nieugaszoną skrą.
Bo jakieś z góry wezwanie
I posłannictwo śni w Panie,
Parta od mroków, bezdni, bezkresów — od rodu —
Do wymarzonych brzegów zjawionego brodu...

O, ty, przypływu mocy, rozkoszy i wiaro,
Prawdo jedyna!..

Kazimierz Wize.

Z OGNI KUPALNYCH.

O, jak świątecznie płoniesz, mój ogniu,
Wyżynny, ostatni ogniu mego stosu!
. . . .
. . . . Jodłowy trzeszczy łom,
Suchy łom gromadzony zimą,
Co do lata w świątynnej drewutni
Uleżał czekając i sechł,
Sechł z tęsknoty za czyszczącym ogniem,
Za burzą niosącą grom,
Za kupalną pochodnią czerwcowego słońca,
Czekał,
Aż w bladej zieleni piołunowych wiech
Zbrużdżoną chylący skroń
Cisi wieczyście i smutni
Nadejdą poń;
Czekał i sechł.

Nie przyszli...

A oto gore! Płoń!
Sama dziś ciebie zaniecę,
Drew imaj, rozpłomień się, świeć!
Sama paliwo gromadzę, jodłową pachnącą szczeć
W ognisko czerwone sypię...
Śmiertelne me chusty łopocą,
Gra ogień na mojej stypie!..
A choć nie takie palenisko śnił,
Suche swych ramion piszczele zamienia
W płachty szumiące dymu i płomienia,
Krwią ognia tętni sieć żył!
        W ciebie-to, letnią ciepłą czarną nocą,
Gdy zemrze najdłuższy dzień,
Ostatni, przeczysty ogniu moich śnień,
                                        Zapadnę...
        W tobie-to, młoda
W krasy mej ściglej ozdobie,
                                Spłonę i zgasnę...
Nie szkoda,
Nie żal mi świata,
Ni kogo,
Ni was, o wiosny upojne
(— Jam od was starsza wiekiem —),
Ni lata zbożem wieńczone
(— I wyście mi śnieniem dalekiem!),
Ni was jesienie nasytne
(— Głód we mnie żaden nie ostał...).
        Jak wić wieszcząca wojnę
Płomieniem na wyżach zakwitnę,
Jak bogom ofiarna obiata,
                                    Spłonę, by żyć!..

Snom moim dzień żaden nie sprostał...

...O ty, wielki ukojony bolu,
O ty, długa, zapomniana udręko,
Jakoż to się duch mój pod wami uginał,
Jakoż to się zmagał i nużył daremno,
                                Dawno, dawno...
I ktoście wy były, o nieprzytomne godziny zwątpień,
O siwe godziny zmierzchów, zapadające wcześnie, za wcześnie,

W dni zimowych blade popołudnia?

Majaki...

Oto ze wspomnień duch się mój wyludnia...

O, któżeś ty był, niewyzbyty żalu,
Ktoś ty taki,
Ty bezimienny przybłędo z nikąd,
Co-ś mi młodą roześmianą duszę
Struł niewidzialnym jadem twego smętku?
I ty, niegodny lęku, co-ś mi tylokrotnie
Przed żywą, zwycięzką prawdą
Gorące, wyciągnione ku niej dłonie pętał
I trwogą porażał w głos bijące serce,
Rozkołysane jak owoc dojrzały
W ogromnym, silnym, południowym wichrze?!...

Omany...

Po was, coście były niczem,
Ni po mnie, która byłam sobą,
Żaden widomy nie zostanie ślad;
Wszystko tchnieniem niezbłaganem
Wiatr wielki zwieje i wytraci do cna,
I was, coście były omanem,
I mnie, com jest żywa i mocna...
...A może właśnie wy jesteście mną,
Sercem mem własnem w głos rozkołysanem,
Duszy mej własnej klątwą tajemniczą?..

O, jak się ognia złote węże gną,
Prężą się w górę i syczą...

O, wytchnij duszo, wytchnij i wołaj,
Przywołaj czasy okwitłe dawno, pradawno,
Raz jeszcze obacz niepowrotny sen
o lecie i miodzie i bogach!

I w ogień szumiący, w ogień ten śmiertelny wstąp!

Może nam się uwidzi Łada,
Może nam się uwidzi Nijoła,
A może nam Żywia na czoła
Weselne wianki powkłada?
. . . .
Przypomnij zielony ług,
Przypomnij trójpienny dąb,
Kamienny przypomnij próg,
Kędy blask słoneczny sączy się złoty
Przez gęste listowie
I jak miód, jak lipcowy prząśny miód,
Na poszycie słomiane zacieka
I na ziemię pada rzęśny kroplami;
Kędy z pod słupów strzeszyska
Tryglawa ciosany głaz
Głów lutych trójcą wybłyska,
Kędy chmiel dziki w okół słupów się mota
I z cicha szyszki zielonemi brzęczy
I ku obliczom bożym pełznie śmiały;
Kędy podpłomyki świeże, chlebne pokładki pierwocin
Na progu świętym położone stygną,
Kędy bogom garnki siwe z najpierwszym udojem
Ręce dziewczyn stawiają o świcie,
Gdzie pieśni wszystkie lęgną się weselne,
Gdzie duszno pachną wiechy kwiatów zielne
I za krtań lęku chwyta nagły zastrach,
Gdzie boga pasiek stoi pień drewniany,
O lepkich, miodem nasączonych plastrach,
Bóg - ul, pszczelnego pełen w piersiach brzęku,
Słodyczą barci własnej zadumany.
Tam,
Kędy pod górę, z koszem brusnic w ręku,
W biczach bursztynów i we wianku z ziół,
Zarankiem, po rosie,
Szłam,
I kędy dziś po lat tysiącach znów,
Z wyciągniętemi ramiony,
Przez to zżęte pokłosie stuleci
Idę...
Przez budzące się wiosny i łąk oddechy upojne,
Nocą i dniem, zmierzchem i zorzą poranną,

Przez lata pachnące zbożem i złotą dziewanną
Strojne,
Przez ogni kupalnych pożogę,
Przez jesienie trzeszczące łomem suchych drew,
Przez zim sypkie, gwiaździste śniegi,
        Idę powrotną myślą i dawne rzeczy przypominam,
I wołam zniknionych twarzy,
I płaczę zrąbanych pni,
Zgaszonych płaczę ołtarzy,
Okwitłych pradawno dni...
I wyżyn kapłany siwe przyzywam,
Co w wieńcach z liści, o rzezane oparci kije,
Prawdzie pogodnej patrzą twarzą w twarz
I po przez wszystką dolę i po przez wszystek czas,
Jasno widzą źrenicami ducha
Szczęsny ostatek nadchodzących dni
I dolę naszą i nas —
        I doli naszej i nam błogosławią...

Przypomnij zielony ług,
Przypomnij trójpienny dąb,
Kamienny przypomnij próg —

I w płomień śmiertelny, w ogień ten szumiący wstąp!
. . . .
. . . . Z wysoka, z oddali, poglądam ku niżom wstecz,
W dal patrzę jasną ze szczytów
I w głąb' omgloną spozieram,
I błogą mi każda ścieżka już przebyta
I każda miniona rzecz...
I z serca oto przebaczam wszystkiemu,
        I ludziom i czasom i sobie,
                Odchodzę precz...

O, jak radośnie płoniesz, mój ogniu,
        Świąteczny, wyżynny ogniu mego stosu!

Maryla Wolska (D-mol).

PIEKŁO.

...Porwał mnie Ducha płomienny gryf
Nad ciężki bezwład materyi brył...
[Lodowy wicher kosmiczny wył...]
Na ogniach skrzydeł niósł mnie Ptak-Dziw...

Jak czarownica w Walpurgi noc,
Na miotle z ognia leciałem w mrok,
Ogniem i siarką dyszący smok,
Pocisk, z piekielnych rzucony proc...

Jak Rokh baśniowy, jak Ibis-bóg,
Pędziłem w eter, w gwiaździsty pył...
[Lodowy wicher kosmiczny wył...]
A łańcuch kaźni za mną się wlókł...

...W płomiennej szacie, z rozpaloną głową,
Krwawą pochodnią potrząsając dziko,
Biegłem w mrok, gnany szatańską muzyką
Krwawych Erynnij, świszczącą, wężową...

Pędziłem czarnym przepastnym tunelem
W głębi... w zapadłem podziemiu zgubionem...
Ryk straszny wstrząsał spalonem mem łonem,
Jak Samson kolumn chramnych kapitelem...

Krwawy blask buchnął w tajemnej oddali,
Kładąc na murach odblask grozy—łunę,
Gdyby Gorgony lico krwaworune...
To Brama Piekieł płomieniem się pali!..

...Strachem, grozą obląkany,
Wpadłem w Ogni Wiecznych żar...
Piłem płomień z krwawych czar...
[Podawały je szatany...]

Pochłonąłem ognia rzeki,
By zatopić pamięć win...

Ryczał śmiechem djabłów gmin,
Żem od celu tak daleki...

Nie dawały zapomnienia
Płomienistych morza Let...
Bicze Furyj krwawią grzbiet,
Żar mąk ducha opierścienia...

...Załamawszy nad głową kurczem skute dłonie,
Runąłem z jękiem twarzą w płomienie huczące...
Dymiło krwawo czarne ducha mego słońce,
Jak żarzący meteor, kiedy w morzu tonie...

Ryczałem dziko... wyłem nad zabitą duszą,
Zaprzedaną tak podle za żłób soczewicy...
Aż się zatrząsł w Otchłani Czart płomiennolicy,
Drżąc, czy ryki me Piekieł z posad nie poruszą...

Padam duchem w Śmierć Wieczną, jak w Saharę ciemną...
Gdyby Samum, palące, suche bez łez szlochy
Rozsadzały pierś czarną, jak płonące prochy...
A tłuszcza djabłów krwawo płakała nade mną...

Wacław Wolski.

DZWON.

Na łąkowych gdzieś błoniach, rozwonionych cudnie,
W krainie rzek błękitnych i przytulnych gajów —
Jest chram złocisty, cichy, stojący odludnie
Nad szybą jasnych, wiatrem pieszczonych ruczajów...

Na łąkowych gdzieś błoniach... a nie szumi zgoła
Organu złocistego wichroskrzydłą burzą,
Nie szumi aniołowem pieniem dookoła — —
Pustynny wkrąg, a chłodu i ciszy w nim dużo..

Na łąkowych jest błoniach, a ma serce dzwonne,

Co czeka wciąż na wichru uskrzydlone gońce,
Rychło w tętna się cały rozdzwoni grające

Dzwon czysty, z szlachetnego odlany metalu...
I czeka na dech wichru, na błonia ustronne
Z ogromem bezmiernego spozierając żalu...

Władysław Zalewski.

W GÓRACH.

Wieczorną godziną uderzy dzwon,
Z cichych się dolin rozjęczy, —
I stanie duch, przybysz z nieziemskich stron,
Na niebotycznej przełęczy.

I pojrzy królewski z odwiecznych skał, —
Mgły u stóp jego się zmącą —
I rzuci nam w oczy swej pychy szał,
Moc swoją oślepiającą.

I słowem potężnem, co grzmi jak miedź,
Pod niebem ozwie się złotem, —
A góry się wzdrygną, i poczną drżeć
Przerażającym łoskotem.

I ruszy się w szumie orłowych piór —
Światłość się mgłami zadymi —
I zwali się na nas z wyżyny gór,
Wielkością swoją olbrzymi.

SUCHY, POŻERCZY OGIEN...

Suchy, pożerczy ogień nas przepala,
I młode członki na struny wysusza,
A wichr na strunach gra, — i płacze dusza,
I szemrze wieczny żal — powrotna fala!

I toczy głuche wiekuiste wały

Nasz ból posępny, nieśmiertelny, wielki,
I o pierś bije ziemi rodzicielki,
I w złote słońce bryzga oszalały.

I bryzga słońcu w twarz... a lęk się kłębi
Wkoło, a świat się we więzach szamoce,
I trwają długie, nieskończone noce,
I idzie na dno szukający głębi.

I dąży we śnie nasza biedna rzesza,
Skarlałe rajów nieznanych wyrzutki,
Przez błąd, przez wiry śmiertelne i smutki,
Za słupem tęsknot, za laską Mojżesza.

UKOJENIE.

Ja szum — ja wiew —
Ja wielki poszept drzew
W błękitnym skwarze południa...
Ja chłód, ja woń,
Ja wiatr, co chłodzi skroń,
Ja święta przy drodze studnia.

Ja głąb' — ja srebrny staw,
Ja złota bujność traw,
Kwiat, co pod stopy się ściele...
Wędrowny słońca słup...
Ja zapomniany grób,
Gdzie młode krzewi się ziele...

NIEZNANEMU.

Tobie ja rolę zaorzę,
Poleję potem krwawym, —
A ty ze sierpem wynijdziesz
Żąć chlebne kłosy na polu.

Tobie ja ptaka dzikiego
Na piersi mej wychowam, —

A ty na skrzydłach poszumnych
Wylecisz w górę do słońca.

Tobie ja głazy przywlokę,
Wyciosam ręką drżącą, —
A ty na smutnej wieżycy
Ogniem naznaczysz twe imię.

NĘDZARZE.

Na odpoczynki idziemy, na odpoczynki
Do rozegranej gospody.
Tam będą wianki, tam będą złote dożynki,
Tam będą weselne gody.

I będą pieśni, i będą z pieśnią do rana
Taneczne iść korowody;
I będą dziewki lać słodkie wina ze dzbana,
Pasieczne stuletnie miody.

A my strudzeni siędziem pod ścianą na snopy
Pożywać białe kołacze —
A kwiatów wonnych upadną całe potopy
Na nasze głowy żebracze.

Barbara Zan.

GODY.

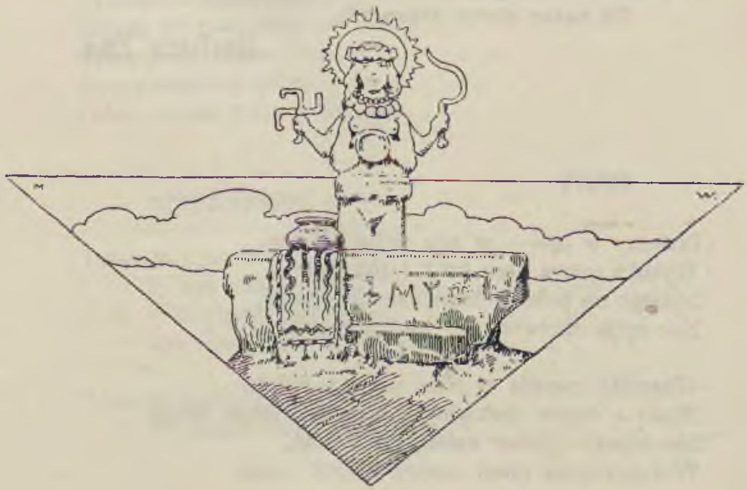
Idziemy w łąki — w noc cichą i parną.
Wysoka trawa nasz krok lekki głuszy.
Miesiąc na pola srebrne światło prószy,
Noc spija chciwie woń kwiatów ofiarną.

Wszystko zapada w jakiś sen bez śnicia.
Wiatr z drzew rozkwitłych strąca kwiatów śniegi.
Ma dusza — puhar nalany po brzegi,
W którym się pieni mocny trunek życia.

O całowane, młode ust twych róże!
O drogie, słodkie, niewymowne lice!
Czekam na cichą szczęścia tajemnicę.

Słyszysz? dreszcz jakiś powstaje w naturze,
Ziemia się stroi — dzwonią senne wody
Na nasze gody, na weselne gody!

Henryk Zbierzchowski.



na tańce jeszcze pójdę. Jużem swoje odprawił, kontentny jestem, niczego mi nie trza. Weź se kapkę tego tchu i puść mnie z za stołu — najadłem się.

„Może teraz gdzie wojna, to się tam uwija, bo tam giną, młodych takich choć całować. A tu wkoło mnie nic nie znajdzie — skrzynkę próżną! Nie pchaj się do młodych, bierz to, co dla twojej gęby wyrychtowane. Młody niech gospodarzy, niech dzieci do rozumu prowadzi, nie ucieknie ci on; choć i na wojnie, to go nie rusz! Zabieraj do dołu, co należy.

„Widzisz te ręce?“— podniósł rękę aż do oczu. — „Jaka to robota? Stara skóra, nawet starego buta tem nie połatam? Cóż taką ręką urobisz? Czekaj, nie kiwaj się, kiej mówię. — Gdzie tu je mięso? Może to ja zjadłem? Ja ci go nie gryzłem, ale kiedy-ś mięso zjadła, to i kości dojadaj, było nie zaczynać...

„Jak ja mam ręce, to sobie idę swoją drogą. Droga mi się ściele stoma ścieżeczkami przez pola. Gajdy wykopię, żyto zbiorę, bronę do słońca twarzą odwrócę, ziarno posieję — ręcami wszystko zrobię. Ale bez ręców to ja głupi — rozumiesz? To ci sztuka zrobić człowieka do niczego i polecieć na złamanie karku. Czekaj, suko, bierz na plecy i nieś, kandy moje leżenie ma być.“

Na oziminę kury wyszły, skubią.

„A sio! zbiję na leśne jabłko! A ty się nie dziwuj, że ja stary, ale taką gadzinę jeszcze uśmiercę, oho, uśmiercę.— Nie masz co jeść na podwyrzu?“

Podnosi się, wspiera na kiju i idzie na oziminę.

„Piękne to zielone, a ta by psuła... Ziemia to ciągle młoda, jak dziwka, — na święto to się ubierze, — na codzień po codziennemu, ale zawdy w dziwkach, od kiedy świat światem.“

Siada na zielonej niwie, kijem się podpiera i milczy. Milczy, a wieś dokoła niego smutno nuci, a wierzby zeschłemi liśćmi rzucają w dziada.

NOWINA.

Rozeszła się po wsi wiadomość, że Kuba Latawiec utopił w rzece swoją córeczkę. Chciał i starszą utopić, ale mu się wyprosiła. Od czasu, jak mu żona umarła, biedował bardzo i rady se z dziećmi dać nie mógł bez kobiety.

Wyjść za niego żadna nie chciała, bo i dzieci, i bieda, i niepokoje. Mordował się dwa lata sam z drobiazgiem. Nikt nie wie-

dział, co robi, jak żyje, — chyba sąsiedzi blizcy. Powiadali, że całą zimę w chałupie nie palił — jeno z dziećmi na piecu zimował.

Teraz cała wieś mówiła o nim: przyszedł do domu wieczorem i zastał dziewuchy na piecu.

„Tatulu jeść chcemy“ — mówi starsza Hanusia.

„To mnie jedzta — cóż ja wam dam do jedzenia? Macie tu chleb — napychajta się.“

I dał im kawałek chleba, a one — jak szczenięta przy kości — koło chleba się uwijają.

„Powylęgała was i ostawiła na mojej głowie — bodajby ją ziemia wyrzuciła. Cholery gdziesik chodzą po ludziach — bodaj je kolki sparły — a do nas nie przyjdą. Tej chałupy to się i choroba boi.“

Dziewczęta nie słuchały wyrzekań ojca — bo bylo tego co dnia i co godzinę — więc przywykły. — Jadły chleb na piecu, a patrzeć na nie było przykro i żal. Bóg wie, jak się kosteczki kupy trzymały, tylko ocząt czworo świeciło i żyło. Zdawało się, że te oczy ważyły jak ołów — i gdyby nie te oczy, to reszta ciała poleciałaby z wiatrem jak puch, a teraz kiedy suchy chleb jadły, zdawało się, że im te kosteczki w twarzy potrzaskają.

Kuba zerknął na nie z ławy i pomyślał: „nieboszczyki,“ a tak się zląk, że aż mu pot na ciało wystąpił. Coś mu się zdawało, jakby mu piersi ciężkim kamieniem przywalili. Dziewczęta żuły chleb, a on przypadł do ziemi i modlił się, ale go coś ciągnęło patrzeć na nie i myśleć: „nieboszczyki.“ —

Kilka dni bał się Kuba w chałupie siedzieć — chodził po ludziach, i mówili, że był bardzo smutny. Zczerniał — oczy mu w głąb' wpadly — jakby nie chciały patrzeć na świat, jeno na ten kamień, co mu piersi tłoczył. Wieczorem kiedyś przyszedł do chałupy — nagotował dzieciom kartofli — posolił i rzucił na piec, aby się posiliły. Kiedy trochę podjadły, powiada:

„Złaźta z pieca — pójdziemy w goście.“

Dziewczęta poschodziły z pieca — Kuba je pooblekał w koszuliny — młodszą Kasię wziął na ręce, a Hanusię za rączkę, i wyszedl z chałupy.

Szli długo łąkami, aż stanęli na wzgórzu. W blaskach księżyca słała się rzeka w dole, jak szerokie pasmo rtęci. Wzdrygnął się Kuba — bo go zmroziła ta błyszcząca rzeka, a kamień na piersi jeszcze się cięższy wydał. Zadyszał się i ledwie dźwigał małą Kasię. —

Schodzili w dół ku rzece. Kuba zębami szczękał, aż się głos

po łąkach rozchodził, a w piersi czuł długi pas ognisty, co mu serce i mózg palił.

Nad samą rzeką nie mógł już iść powoli, tylko pobiegł, a Hanusię w tyle zostawił. Hanusia biegła za nim. Kuba chwycił Kasię prędko i z całej siły rzucił w wodę.

Ulżyło mu zaraz, i zaczął prędko gadać do siebie: „Powiem sądowi, że rady nijakiej nie było — ani co jeść, ani czem palić, ani komu uprać, ani głowy umyć, ani nic.

„Że karę przyjmuję — bom zawinił i na szubienicę."

Hanusia stała przy nim i równie szybko mówiła:

„Nie toptaż mnie tatusiu — nie toptaż, nie toptaż."

„Jak się prosisz, żeby nie topić, to nie — ale by ci lżej było — a mnie jednako, wisieć za jedną czy za dwie. Będziesz biedować za młodu, a potem na żydowską mamkę wyjdziesz i znów będziesz biedować!"

„Nie toptaż mnie — nie topta."

„No to nie, ale Kasi lepiej niż tobie. — Wracaj do wsi, a ja się idę meldować. Idż se tą ścieżką — het, het — aż wyjdziesz na góry, a tam pójdziesz do pierwszej chałupy — wejdziesz i powiesz, że niby tak i tak, że mnie tatuś chcieli topić, alem się wyprosiła — żebyśta mnie dały przenocować, a jutro powiedz, możebyście mnie najęły do dziecka. No, idź, bo noc."

Hanusia poszła.

„Hanuś, Hanuś — na ci tu pręcik — żeby cię tam psy nie opadły i nie rozdarły. Zawsze z kijkiem bezpieczniej."

Hanusia wzięła kij i poszła łąkami.

Kuba portki zakasał, żeby przejść przez rzekę, bo tędy była droga do miasta. Wlazł już w wodę po kostki i zdrętwiał.

„W imię Ojca i Ducha Świętego, Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie — święć się imię Twoje..."

Wrócił się i szedł do mostu.

PRZEŁOŻYŁ
Dr. W. Moraczewski. Wasyl Stefanyk.

„TRWOGA I DRŻENIE." LIRYKA DYALEKTYCZNA.
(Urywek.)

Był raz człowiek, który w latach dziecięcych usłyszał piękną opowieść ową, jako Bóg doświadczał Abrahama, jako ten próbę

przetrzymał, wiary dochował i powtórnie wbrew oczekiwaniu syna się doczekał.

A kiedy podrósł chłopiec ów, czytał tę powieść z większym jeszcze podziwem; albowiem życie rozszczepiło to, co w prostocie dziecięcej, nabożnej zjednoczonem było. Im dojrzalszym się stawał, tem częściej myśli jego krążyły około tej powieści, zachwyt rósł, a przecież coraz trudniej pojąć mu było opowiadanie owo.

Wreszcie dla tej powieści o wszystkich innych zapomniał; dusza jego tchnęła jedynem życzeniem oglądania Abrahama, jedną tęsknotą żyła: abym mógł być świadkiem tego wypadku! Nie zajmowały go ani piękności wschodu, ani przepych zewnętrzny ziemi obiecanej, ani owo stadło nabożne, któremu w późnych latach Bóg pobłogosławił, ani postać czcigodna sędziwego patryarchy, ani młodość kwitnąca zesłanego przez Boga Izaaka, — cała powieść mogła się była odgrywać w jałowej puszczy. Pragnął jedynie towarzyszyć Abrahamowi w onej trzydniowej podróży, kiedy jechał z troską przed sobą, Izaakiem obok siebie. Pożądał być obecnym w onej chwili, kiedy Abraham, podniósłszy oczy, ujrzał w oddali górę Moria, w owej godzinie, kiedy, zostawiwszy osły u stóp góry, wstępował samotny z Izaakiem. To, co go przejmowało, nie było bowiem cudną tkaniną marzeń, raczej trwogą myśli.

Człowiek ten nie był myślicielem, ani czuł potrzeby wydostania się poza granice wiary; najwspanialszem mu się zdało być czczonym jako rodzic wiary, losem godnym zazdrości wiarę posiadać, chociażby o tem nikt wiedzieć nie miał.

Człowiek ten nie był w pismie uczonym; po hebrajsku nie umiał. Gdyby był hebrajski język zgłębił, możeby wtedy łatwiej mógł zgłębić opowieść o Abrahamie.

I.

I doświadczył Bóg Abrahama, i rzekł do niego: Weź Izaaka, syna twego jedynego, którego ukochałeś, i udaj się do ziemi Moria, abyś go ofiarował na całopalenie na górze, którą ci ukażę.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia; kazał osiodłać osły i opuścił dom swój. Izaak szedł z nim. Sara wyglądała za nimi oknem w dolinę, póki się przed wzrokiem jej nie skryli. Trzy dni jechali milcząc. Rankiem czwartego dnia nie przemówił Abraham jeszcze ani słowa; ale podniósł oczy i ujrzał górę w oddali. Zostawił pacholęta, a sam, trzymając Izaaka za rękę, wstępował na

górę. I rzekł Abraham do siebie: „Nie chcę przed Izaakiem ukrywać, dokąd ta wędrówka prowadzi.“ Wstrzymał kroku; błogosławiąc, położył rękę na głowie Izaaka, a Izaak schylił się, aby otrzymał błogosławieństwo ojcowskie. Miłość rodzicielska świeciła w obliczu Abrahama, wzrok jego łagodny był i pieszczący, słowa jego poważne i pełne przestrogi. Ale Izaak niezdolny był go pojąć, dusza jego nie mogła się wznieść. Objął kolana Abrahamowe i jęczał u jego stóp.

Błagał o swoje młode życie, o swoje cudne nadzieje. Wspominał radości w domu Abrahama, wskazywał na troskę i osamotnienie. Wtedy podniósł chłopca Abraham i szedł z nim ręka w rękę. Słowa jego pełne były pociechy i upomnienia. Ale nie mógł go zrozumieć Izaak. Wstąpili na górę Moria, Izaak nie pojął go jeszcze. Natenczas odwrócił się Abraham na chwilę od niego, — a kiedy Izaak ujrzał znów oblicze Ojca, było zmienione. Wzrok jego był dziki, postać straszna. Chwycił Izaaka za piersi, rzucił o ziemię i rzekł: „Niedorzeczny chłopcze, myślisz, żem ci ojcem? Jestem bałwochwalcą! Myślisz, że to rozkaz boski? Nie, to moje pożądanie.“ A Izaak drżał i wołał w trwodze: „Boże na niebie, zmiłuj się nade mną! Boże Abrahama, zmiłuj się nade mną! Jeżeli nie mam ojca na ziemi, bądź ty mi ojcem!“ Abraham zaś rzekł w cichości do siebie: Panie w niebiosach, niechaj ci będą dzięki! lepiej jest, aby mniemał, żem ja jest potwór, niżby miał wiarę w Ciebie utracić!

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, uczerni matka pierś swoją — okrucieństwem byłoby zostawić piersiom ich ponętę, a dziecku jej wzbraniać. — Tedy dziecię mniema, że zmieniła się pierś, ale matka została bez zmiany; wzrok jej serdeczny i czuły jak dawniej. Błogo matce, która nie potrzebuje straszniejszych sposobów, aby dziecię od piersi odzwyczaić.

II.

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia. Uścisnął Sarę, oblubienicę starości swej, a Sara ucałowała Izaaka, który z niej zdjął niesławę bezpłodności, — dumę swoją, nadzieję wszyskich pokoleń.

Milcząc jechali drogą. Abraham trzymał wzrok wlepiony w ziemię aż do dnia czwartego, wtedy wzniósł oczy i ujrzał górę Moria w oddali. I nanowo wzrok spuścił ku ziemi. Milcząc ułożył stos i związał Izaaka. Milcząc podniósł na niego nóż. Wtedy ujrzał

baranka, którego upatrzył był Pan. Tego ofiarował i powrócił do domu swego. — — — — Od tej chwili postarzał się Abraham, nie mógł zapomnieć, że Bóg tej ofiary od niego zażądał. Izaak wzrastał jak poprzednio. Wzrok Abrahamów stał się pochmurny; radości żadnej już nie oglądał.

Kiedy podrośnie dziecię i ma być odłączone, wtedy matka zasłania dziewiczo pierś swoją — dziecko nie ma już matki. Błogo dziecku, które w ten sposób tylko matkę straciło!

III.

Był ranek. Abraham wstał zawczasu. Ucałował Sarę, młodą matkę, a Sara ucałowała Izaaka, radość swą i uciechę po wszystkie czasy. I w zamyśleniu jechał Abraham drogą. Myślał o Hagarze i synu jej, których niegdyś na pustynię wypędził. Wstąpił na górę i podniósł nóż. —

Był cichy wieczór. Abraham wyjechał samotnie, dążył ku górze Moria. Rzucił się na twarz i błagał Boga, aby mu odpuścił grzech, że Izaaka chciał ofiarować, że o prawach ojca do dziecka zapomniał. Często jeździł ową drogą samotnie, ale pokoju nie zaznał. Nie mógł zrozumieć, jak może być grzechem, że Bogu chciał ofiarować to, co mu najdroższem było, co cenił tysiąc razy wyżej od życia swego. A przecież — jeżeli to było grzechem, jeżeli nie kochał tak Izaaka, jak kochać trzeba — tedy pojąć nie mógł, że mu to odpuszczonem być może. Albowiem jest-że grzech większy od tego?

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, wtedy i matka się smuci, że od dziecka swego coraz się więcej i więcej oddala; że dziecię, które pod sercem naprzód spoczywało, które potem bodaj do piersi tuliła, teraz nie będzie jej tak bliskie. Boleją tedy oboje krótką boleścią. Błogo matce, która utrzymała dziecię tak blizko i nie musiała się troszczyć o więcej!

IV.

Był wczesny ranek. W domu Abrahama wszystko było do drogi gotowe. Pożegnał się z Sarą. Eliezer — wierny sługa — od-

prowadzał go kawał drogi; potem zawrócił do domu. Jechali obok siebie Abraham z Izaakiem, aż przybyli do góry Moria. Abraham przygotował wszystko do całopalenia w cichości i spokoju; ale kiedy się obrócił i nóż podniósł, dostrzegł Izaak, że Abraham lewicę zacisnął w rozpaczy, że drżenie wstrząsnęło jego ciałem. Wszelako podniósł nóż Abraham.

Wrócili potem do domu, a Sara wybiegla na ich spotkanie. Ale Izaak utracił wiarę. Nigdy słowa jednego o tem nie przemówiono. Izaak nie powiedział nikomu o tem, co widział; Abraham zaś nie przeczuwał, że ktokolwiek to mógł widzieć.

Kiedy dziecię ma od piersi odwyknąć, zgotuje matka pożywny pokarm, aby znać nie zginęło. Błogo temu, kto ma na gotowości pokarm pożywny!

Tak i w temu podobne sposoby myślał pomieniony człowiek o owem zdarzeniu. Ilekroć wracał z wędrówki do góry Moria, upadał ze znużenia, załamywał ręce i mówił: Nikt nie był tak wielki, jak Abraham. Któż go pojmie?

PRZEŁOŻYŁ
Dr. W. Moraczewski.

Johannes de Silentio
(Sören Kierkegaard.)

Bajki

WAWRZYN I MIRT.

Wawrzyn i mirt, ujrzawszy, że silna dłoń drwala
Pyszny pień pięknej gruszy toporem obala,
Zawołały: „O, gruszo, którą tnie siekiera!
Gdzie pójdziesz? Dokąd ciemny ten człek cię zabiera?
Gdzie twa dostojna duma, co, jak jędrne moce
Soków, cię przenikała, gdyś czuła owoce
Wiszące u gałęzi twych źrałem brzemieniem?
Już gęsty włos twój kryć nas nie będzie swym cieniem!“
Na to grusza: — „Po płodnym rodzenia okresie
Odchodzę ztąd z tym drwalem, który mnie zaniesie
Do pracowni rzeźbiarza, wytwornego mistrza,
Którego dłuto świetne i sztuka najczystsza
Po długich dniach twórczego trudu wśród zacisza
Nada mi kształt czcigodny i postać Jowisza.
I w świątyni ustawią mnie, gdzie ludzi mnóstwa
Modlić się do mnie będą i czcić mnie miast bóstwa.
Ty zaś czekaj, że dłonie każdego przechodnia
Nadłamywać cię będą i kaleczyć co dnia
Dla gałęzi twych lśniących, w które ludzkie roje,
Aby mnie uczcić, stopy będą wieńczyć moje.“ —

Codice Atlantico, fol. 67, recto.

KASZTAN I FIGOWIEC.

Kasztan, widząc na drzewie figowem wędrowca,
Jak przyciąga ku sobie gałęzie figowca,
Zrywa owoc, w otwarte usta jego miąsze
Soczyste kładzie, gryzie zębami i kąsze:
Trzęsąc gałęźmi w szumie wzburzonym tak rzecze:
— „Mniej ode mnie wdzięczności winieneś za pieczę
Przyrodzie, o figowcu! Patrz, jak ona mądrze
Stwarza dzieci me, niegdyś skryte w kwiatów jądrze.
Naprzód łuską je kryje, cienką jak koszula,
Potem je korą twardą, jak w kożuch, otula
I, nie ustając w łaskach dla nich, jakby w skrzynie
Zamyka je, mieszkanie im dając w łupinie
Mocnej, jeszcze ją w kolców opatrując ostrze,
By im nie szkodził człowiek, gdy palce rozpostrze
Nad niemi, chcąc je ująć.“ — Śmiechem się zanosić
Zaczęła figa z dziećmi, a kiedy już dosyć
Naśmiała się, odrzekła: — „Wiedz, niech cię nie dziwi,
Iż tak już urządzono, że owoc drzew żywi
Ludzi. I wiedz, że człowiek takiego jest ducha,
Że żerdzią, kamieniami i ciosem obucha
Zegnie gałęzie twoje, skarb owoców drogi
Otrząśnie, a gdy spadną, to swojemi nogi
Bije w nie, aż stłuczone twych owoców plony
Wypadają z łupiny kolcami bronionej.
Ja karmię swym owocem rozrzutnie i hojnie.
Kto tylko łaknie, do mnie przychodzi spokojnie.
Mnie dotykają ręce. Nie drżę przed niczyjem
Łaknieniem. Tyś tykany kamieniem i kijem.“

Codice Atlantico, fol. 67, recto.

CEDR.

Nieugiętym wierzchołkiem tonący w błękicie
Cedr pragnął owoc wydać na swym dumnym szczycie
I wytężał ku temu wszystkie żywne soki,
Które czerpał z powietrza i ziemi głębokiej.
I gdy osiągnął cel swój a owoc wspaniały
Zawisł na jego szczycie ciężki i dojrzały:

Piewszy raz cedru czoło i duma się zgięła
Pod ciężarem własnego owocu i dzieła.

Codice Atlantico, fol. 76, recto.

GŁAZ.

Głaz, dopiero co wodą wypłukany z piasku,
Wielki, leżał na wzgórzu, u krawędzi lasku
Uroczego, nad sianą kamieniami drogą,
W towarzystwie ziół, które w rozlicznych barw mnogo
Zdobiły kwiaty swoje. I widząc kamienie
W stos zebrane, na drodze u dołu, życzenie
Powziął, ażeby stoczyć się w dół, mówiąc sobie:
„Między ziołami temi cóż ja tutaj robię?
Zamieszkać w towarzystwie pragnę swoich braci.“
I kiedy w dół się stoczył, wśród rodzeństwa traci
Szykość swojego pędu. Ledwo pobył nieco,
Jął doznawać mąk ciągłych od kół, które lecą
Drogą, od kopyt końskich żelaznej podkowy,
Od stóp wędrowców. Ten go przewrócił a owy
Nadkruszył. Czasem dźwignął się nieco swem ciałem,
Gdy brud lub jakie bydlę okryło go kałem.
Próżno patrzał ku miejscu, zkąd tu przybył w gości,
Ku miejscu spokojnemu ciszy, samotności.

Codice Atlantico, fol. 175 verso.

ORZECH I DZWONNICA.

Zdarzyło się, że orzech, przez złodziejstwo wrony
Na wysoką dzwonnicę skrycie zaniesiony,
Wpadł w szczelinę i gdy mu groziła już zguba,
Ocalon przez nią został od zbójczego dzióba.
Zaklinał mur — na łaski, w które go przybrały
Nieba: iż jest wyniosły taki i wspaniały,
Bogaty w piękne dzwony i dźwiękiem czcigodny —
By go ratował. Jeśli już nie mógł z dorodnej
Gałęzi ojca swego spaść na ziemię tłustą
I okryć się strąconych, zwiędłych liści chustą,

Niech go mur nie opuści! Bowiem przedtem jeszcze
Ślubował pochwycony w dzikie dzioba kleszcze,
Że, gdy zeń ujdzie, życia dokona z radością
W małej jamce. Po słowach tych wieża litością
Poruszona przyjęła go w owo schronienie.
I wkrótce orzech począł pękać i korzenie
Wpuszczać w szczeliny głazów, roztaczać je wkoło
I wystrzelać gałęźmi. Wkrótce, gdy nad czoło
Wzniósł się wieży i zgrubił swych konarów sploty,
Począł rozsadzać mury, antycznej roboty
Głazy wypierać z dawnych siedzib. I zapóźno
Opłakiwała wieża powód swych strat. Próżno
Biadała. I niedługo, rozpękłszy na boki,
Runął szczyt niebotyczny dzwonnicy wysokiej.

Codice Atlantico, fol. 65, recto.

FIGOWIEC.

Dopóki przy gościńcu stał owoców próżny,
Nie spojrzał na figowiec ni jeden podróżny.
Gdy wydał owoc, chcąc zań pochwały po trudzie,
Pogięli i gałęzie złamali mu ludzie.

Codice Atlantico, fol. 76, recto.

PRZEŁOŻYŁ Leopold Staff. Leonardo da Vinci.

SOFOS—DZIEWICA—ATESSA—HELOIS I NIEZNANY LIST J. SLOWACKIEGO.



łąka się po ostatnich pięciu latach życia i twórczości Słowackiego jakaś nieuchwytna, lecz niewątpliwa obecność kobieca. Jakaś inna, jakieś inne budząca w poecie uczucia, niż wszystkie dotychczasowe Ludki, Marye, Aniele i Joanny, przemawiająca raczej do jego duszy i wyobraźni, aniżeli do serca czy zmysłów, budząca w nim raczej pragnienia apostolskie, wizye palingenetyczne, nadzieje jakichś owocnych spółbraterstw i spółdziałań duchowych, aniżeli sentyment serdeczny lub żądzę namiętną. Zgadza się to z całem ówczesnem usposobieniem Słowackiego. Skarży się poeta matce na „samotność serca,“ ale właściwie ma na myśli samotność w nowych światach, które się przed nim otworzyly [1]). Właściwie szuka nie przywiązań czy miłości ziemskich, lecz uczestników czy uczestniczek „w widzącej wierze“ (List do Rem. 75_6). Właściwie chodzi mu o „zdobywanie“ duchów [2]), o nawracanie ich ku „celom ostatecznym globowym“ — a to, raz, dla zbawienia ich i spełnienia przez to swej misyi (bo „nie sam Duch twój zbawi się,

---

[1]) „Czekam, czekam jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przede mną i *zawoła zupełnie moim językiem*. Często już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, *aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie*...“ (Do matki, 20/I 1845).

[2]) „Teraz ja budzę się co rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży... *Zdobywcą jestem duchowym*...“ (Do matki, 16/IV 1844).

ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy" [do Teof. Jan. w liście do matki z 18/I 1843]), powtóre zaś, sobie i swym usiłowaniom „ku pomocy" (Teog. 43_5), dla spotęgowania własnych dążeń ku „świętości twórczej" przez „spiorunowanie" ich z usiłowaniami dalszych, „zdobytych" „objawicieli" [1]).

Do tej apostolskiej pracy przykładał wówczas poeta wagę największą [2]). Ale w pierwszych dwóch latach swej „egzaltacyi" (1842 — 43) działał przeważnie środkami czysto etycznemi, prostotą, dobrocią, jakiemś promieniowaniem wewnętrznego wesela i spokoju. Później — odkąd wiara odkryła mu „wszystkie tajemnice" i odchyliła „zasłonę grobu" (do matki — 16/IV 1844) — rozmowami i „namowami" próbował „z myśli dostać ruchu" i wiódł „w święte cele" przez „ów świat złoty ducha, kraj sokratesowy" (Teog. 38_3). Wreszcie, gdy Ocean, to wielkie wszechzarodzi łożysko, zwrócił myśl jego ku prapoczątkom kosmogonicznym, i zwłaszcza gdy, po zawarciu w *Genezis* cudownej wizyi przedczłowieczych ducha dziejów, zaczęła mu śnić się „jakaś wielka, przez wieki idąca powieść" nieustannych jego w formie człowieczej odrodzin, — odtąd główny nacisk jął kłaść na „rozkochiwanie" ludzi „w celach ostatecznych globowych" przez „wyrozumienie przeszłości," przez pokazywanie im, „czem byli w pracy wieków," „aby łatwiej siebie w przyszłym królestwie Bożym" znaleźli (List do Rem. 75_{7-9}):

Lecz jakże mi uwierzysz? — wiekowe otchłanie
Są pod tobą i bratem, a wy sami sobie
Tajemnicami będąc, na tym ludzi grobie
Stoicie. Jakże teraz dostaniecie wiary:
Że pokolenia przeszłe — nie są próżne mary
Pomimo was przez Boga na ten glob rzucane?..
Chyba w aniołach waszych zmartwychwstanę
Całą przeszłością: ludy wszystkie w was rozbudzę...
Każę wam grzechy nosić i własne i cudze. —
Zaprawdę! Uczynię to, czynów waszych wątki
Przez ostateczne cele i ducha początki

---

1) „Czyś ty nigdy nie marzyła, droga moja, o spiorunowaniu dwóch modlitw w jedną modlitwę, dwojga miłości w jedną miłość... dwóch sił w jedną siłę? Czy ty myślisz, że tego na wieki wieków nie będzie?" (Do matki—15/X 1845).

2) „Przez te lat pięć" — pisze później (25/XII 1848) do W. Stattlera — „pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i duchach, w które je wrzuciłem i posiałem."

A w samych chwilach tej pracy, oto jak ją opisuje matce (15/X 1845): „...do każdego zbliżam się niby do brata... z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby... i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim wrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności."

Usprawiedliwię, ciała będę wam budował
I budził, i znów w białe groby kładł i chował
I znowu wyprowadzał. A duchy pokażę
Jako na się wkładając różne piękne twarze
Po globie się szukały, aż z błąkań się onych
Stanie powieść — harmonij pełna nieskończonych —
Jednością oświecona wywodną — jak słońcem...
(*Teog.*, 43 — 44).

Te wizye przeszłych żywotów, te przeobrażenia kolejne „ducha doskonałości walczącego z oporem formy," podniecały jego wyobraźnię i fascynowały go odtąd przedewszystkiem. I dla siebie, i dla najbliższych sobie w dążeniu do „ducha prawdy i piękności," jął doszukiwać się wcieleń przeszłych, dla przyszłości wskazówką będących. Gdy go tedy owa niewiadoma dotąd postać kobieca uderzyła „formą czystej piękności," oraz duszą, która w niej

... muzykant niby doskonały
Jakiejś cudownej pieśni niebiańskiej dogrywa;

gdy wydała mu się wskazaną i predestynowaną na „prawd objawicielkę," na „uczuć kapłankę," „zjawioną tylko raz w każdym narodzie" (*Teog.* 47), — zaczął przedewszystkiem snuć fantastyczne jej metampsychozy koleje. To też żadna z dawniejszych „miłości" nie zostawiła tylu i tak wyraźnych śladów w poezyi Słowackiego, jak ta tajemnicza i dotąd niezauważona ducha kochanka. Ona była modelem, z którego poeta stworzył Sofosa w t. zw. *Teogonii,* Dziewicę w *Eolionie,* t. j., pierwszej części *Zborowskiego,* Atessę w t. zw *Poecie i natchnieniu,* Helois w t. zw. *Wykładzie nauki,* i w *Liście do Rembowskiego.* Reminiscencye o niej dałyby się odszukać w ostatnich pieśniach *Beniowskiego* i w *Królu Duchu.* Gdyby nasi badacze literatury, oprócz t. zw. „naukowości," posiadali nadto nieco wrażliwości estetycznej, pozwalającej odróżnić szczegóły brane widocznie wprost z natury od rzeczy będących wyłącznie wytworem wyobraźni poety, — mogliby byli dawno zauważyć, że Dziewica, Atessa, Helois (i Sofos) — to jedno, nietylko jako wynik tej samej teoryi czy tego samego pomysłu poety, lecz i jako owoc tej samej pobudki zewnętrznej. Niestety, t. zw. „naukowość" zawierza tylko anegdotyczno-autentycznym stwierdzeniom, świadectwom przyjaciół i znajomych poety, a przedewszystkiem kategorycznym nazwiskom lub choćby imionom. Bez należytego ich zapasu obawia się ruszyć naprzód. Tego zaś wszystkiego brakło tutaj poniekąd. Słowacki, taki zazwyczaj gadatliwy raczej co do swoich „miłości," taki zwierzający się matce ze wszystkich tego rodzaju przejść swoich i wrażeń, tu —

oprócz wspomnianych skarg na „samotność serca“ — słówkiem o niczem nie wzmiankuje. Jedyne napomknienie, ogólnikowe i mało mówiące, znajdujemy w liście do p. Bobrowej z Pornic (18/VII 1844), w tym samym liście, gdzie poeta, jak gdyby nagle, pod jakąś pobudką, uprzytamnia sobie i wyznaje otwarcie brak jakiejkolwiek łączności duchowej między sobą a p. Joanną [1]). „Czy to jest dziełem farfadetów, a sług pani“ — czytamy w nim — „że tu zajechala do Pornik jedna osoba, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominająca?“ A gdy rozbudzona baczność kobieca p. Joanny kazała jej w odpowiedzi spytać podejrzliwie o „najważniejszy fakt“ z dwumiesięcznego życia poety nad morzem, zbywa ją Słowacki piękną opowieścią o pastereczce siedzącej na Druidów kamieniach, wzgardliwem czy też pełnem jakiegoś *dépit* wspomnieniem o „innych mniejszych duchach w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujących na zapylonych posadzkach oberży,“ oraz gorącym protestem, że „żadnej *błahej* myśli nie ważyłby się posłać do domu, gdzie Matka, wszedłszy, musiała zaraz zalać się łzami — przez Zosieczkę rozczulona“ (18/I 1845).

A jednak były tam „fakty“ ważniejsze. Przedewszystkiem, powstawanie, pod szumy morskie i szelesty „wietrznych pól, bladym kwiatkiem okrytych,“ owej „modlitwy,“ którą Słowacki do końca za najważniejsze z pism swoich uważał. A potem, po napisaniu, czy tylko obmyśleniu jej ostatecznem, przybranie „do hymnu tego dwóch głosów,“ zbliżenie się do dwojga „jasnych, smętnych i rozmiłowanych — którzy dla nauki ducha prawdy i piękności gotowi“ byli „opuścić świata uciechy,“ którzy siadali u nóg poety (Tłómacza Słowa) i byli „wsłuchani w niebiosa“ *(Wykład nauki,* 115_{1-10}), których on, w sokratesowych rozmowach, wiódł w „ów złoty świat ducha,“ przed nimi „idąc w święte cele

Jak skrzypek, który wiejskie prowadzi wesele.“
(Teog., 38_{3-5}).

Ale o tem nie uważał poeta za stosowne pisać ani do matki, ani do p. Bobrowej. Czuł, że nie byłby zrozumiany, że podejrze-

---

[1]) „Czemuż ja Pani pisać nie mogę o tych duszach, których tłum znajomy co raz mię wyraźniej otacza, i ziemię zamienia w jakieś niewidzialne królestwo, w którem ja jestem sługą i królem? Gdybyś Pani widziała...

„Ale co to wszystko Panią obchodzi? Dla czego ja to piszę -- dla czego ten list cały napisałem? Ja nie wiem Pani — nie wiem prawdziwie. — Dalibóg nie wiem, bo *ja z Panią nie powiązałem żadnej nadziei, bo mi Pani żadnej gwiazdy nowej nie zapalisz...*“

wanoby go raczej o „błahe“ myśli, albo też smucono się „chorobliwością“ tego, co on za święte uważał. Zanotował natomiast w czerwonym swym notatniku *(Biegel. Pam. Sł.,* 37 — 38), jak „tłómaczył dalsze tajemnice ducha ludzkiego, siedząc spokojny w grocie, na złotym mikowcu [a więc w Pornic jeszcze], otoczony tłumem [?] słuchaczy. U nóg jego siedziała młoda kobieta, piękna jak anioł, z oczyma rozjaśnionemi, jakoby owych rozjaśnień chciwa. W ręku jej wianek był, podług genezyjskich nauk symbolicznie uwity ze zwierciadlanego liścia cytrynowego krzewu, ze stokroci polnych, rubinami koniczyn, republikanin ducha, rumieniący się. Co dziwniejsza, że nań zleciały się muchy świecące, owej letniej nocy gęsto przyświecające, i wiankowi uczyniły światło i niby kwiecie nowe błękitowi miesięcznemu podobne. Mędrzec z uśmiechem patrzył na wieniec i na córkę, mówiąc, iż święte Jany motylich narodów poczuły się z myślą dziewiczą i w apokaliptyczne ją blaski ubierają... Ona jednak wieńca nie kładła na skronie, ale Helionowi, który czytał Fedona, uczyniła zeń światło i kaganiec, tak, że blada pozłota na żółte księgi karty padała.“ — Obraz, niewątpliwie transponowany już poetycko, ale tak zgodny co do szczegółów faktycznych z odpowiedniemi miejscami w t. zw. *Teogonii,* że już choćby dla tego samego niepodobna nie odnaleźć w nim podłoża rzeczywistości.

Nieoczekiwany traf dał nam w ręce potwierdzenie tych wszystkich przypuszczeń. Między papierami po Cypryanie Norwidzie, udzielonemi nam przez p. W. Gasztowta, odnaleźliśmy teczkę niewielką z napisem na niej ręką Norwida: „List Juliusza Słowackiego do Zofii — i Zofii do C. N.“ Kto była owa Zofia, odsłaniają odrazu całkowite na niektórych listach do Norwida podpisy: Zofia Węgierska. Że zaś list Słowackiego, zaczynający się od słów: „Bracie Najmilszy Sofosie,“ do niej istotnie był zwrócony, świadczą — obok zmaskulinizowanego imienia Zofii [1]) — zbieżność treści i daty tego listu z post-scriptum w liście

[1]) Ile że poeta pisze do niej raczej jako do ducha bratniego, niżeli jako do kobiety. Por. w *Liście do Remb.*, 74—75, co Słowacki mówi o Helois.

Słowackiego do W. Stattlera, całkowicie właśnie p. Węgierskiej poświęconem (w dniu Bożego Nar. [1848]), oraz fakt, że Węgierska na niektórych listach do Norwida podpisuje się greckiem Σ (Σοφός albo Σοφία), a gdzieniegdzie używa nawet wyrażeń przez Słowackiego w liście do niej zwróconych (np. „Powiedz, co mogę dla ducha Twojego?").

Autograf listu Słowackiego do „Brata Sofosa," który mamy pod ręką (arkusik listowego papieru $18^1/_2 \times 12^1/_4$ cent., zapisany na czterech stronach), nie jest jedynym. Prof. Małecki miał u siebie własnoręczny również, ale niedokończony jego brulion, identyczny zupełnie co do treści i tylko różniący się ciekawie od ostatecznej redakcyi w niektórych wyrażeniach. Obecnie brulion ten jest własnością p. L. Meyeta, który nie omieszka zapewne tych odmian tekstu w swojej edycyi listów uwydatnić. My tymczasem ogłaszamy wiernie i w całości nasz autograf, przedewszystkiem, jako jeden z najpiękniejszych listów Słowackiego, pełny wielkiej powagi i pogody dusznej, a zarazem mieniący się odcieniami — o jakże wysokiego humoru; powtóre zaś, jako dokument rozjaśniający wiele zagadkowych po dziś punktów w twórczości ostatnich pięciu lat życia poety. (Kreski pionowe znaczą koniec wiersza rękopiśmiennego; takież kreski podwójne — koniec stronicy).

I. Bracie Najmilszy Sofossie — dla czegoś wątpił? | Temi słowy któremi Pan Jezus zgromił to|nącego Piotra odpowiadam ci — bom cię | spotkał także w morzu świata tonącą — i | rzekłem do ciebie: Chodź — i stań ze mną | razem na fali najwyższej żywiołów — zapatrz | się ze mną razem, w światłoście ostateczne — a | niewzruszeni i święci przetrwamy na wieki — | coraz większych dolatując zachwyceń — ale ty | najmilszy bracie zwątpileś — i niby obumarleś | był i próbowałeś sił moich ziemskich — a | grożąc mi że toniesz, wyzywałeś mię abym | cię ratował — co więcej, ciekawą cię widziałem | i patrzącą we mnie z ciekawością — czyli znajdą | się we mnie cnoty bohaterskie dawnego świata | z któremi na ratunek się rzucę — czy nareszcie | ciebie zginionej płakać będę? |

Dla tych to przyczyn z wielkiej i praw|dziwej miłości ku tobie, poszlo żem cię opuścił | nierozgrzeszoną. Nie uwolniłem
II. ducha twego || nie zostawiłem pokoju w domku twoim | skazałem cię na smutek równo dzielony z kwia|tami jesiennemi — na zatrwożenia senne | na czczości serdeczne — na niemoce

anielstwa | oddałem ciebie — a to dla tego abym cię | miał wróconą Duchowi świętemu przez boleść. |

Bogu więc niech będzie chwała żeś przeła|mała dumę kobiecą — żeś rozjaśniła schmu|rzenie się ducha twego spojrzawszy w moją | stronę. Bo zaprawdę, że w świętem tylko roz-| weseleniu się duchów ku światłu wędrujących | wolno nam zbliżać się do siebie — i spotykać | się — pokiśmy oboje smutku i boleści wzajemnej | zdolni. |

Dobrym więc sądzę list twój najmilszy bracie — | nic przez to z prawdziwej piękności ducha | nie utraciłaś—owszem woń wdzięczną — owszem | światło przyjemne dorzuciłaś aż do mnie, | tak że niby w pół śnie — i w otchnieniu przy-||
III. jemnem ducha twego pogrążony — odpisuję. |

Tę widząc dobroć twoją i wspomniawszy | na piękność twoją — nazwę ciebie Jasnym bra|tem — u chłopka polskiego pożyczywszy tego | tytułu — którego on — smuklejszym i widniejszym | od siebie paniczom udziela — ani braterstwu | prawdy ani elementowi piękności nie ubliżając. | A tak ja — dla któregoś ty jest święta pięknością — | przed którym za tą zasługą ducha twego stoisz, | jak za tarczą dyamentową — nieobrażona. |

Pamiętając na to wiedz — że się uniżyć nie możesz | jako kobieta... a jednak przez *prawdę* możesz | być spiorunowana — i spalona — aż — aż do | garsteczki prochu. Panuj mi więc — ale się | bój — jak dzieciątko. |

Ton listu twego wysoki i przyjazny napełnił | mnie serdecznością nieopisaną — powiedz, co | mogę dla ducha twego? ||

IV. Ty najmilszy Sofossie — wiele możesz | dla mnie — podnosząc się do tych sfer transfi|gurujących postacie — w których trwająca | piękność staje się nam elementem światła — | Wjaśnić się w ciebie chciałbym tak — aby | olsnione moje oczy nieraz ślepemi zostały | spojrzawszy na inne niższe cielesne sprawy i kształty. |

O taką wysokość więc, w duchu trwającą, | proszę — mego Jaśnie Brata Sofossa — któ|remu zasyłam tu pozdrowienie najser|deczniejsze. |

Juliusz.

Paryż
Rue Ponthieu 30
D. 8. Września 1848. r.



Mimo kilku nekrologów (Bolesławity w „Rachunkach“ z r. 1869, str. 658; W. Korotyńskiego w Tyg. Ill. 1869, 2 IV, 273), oraz wzmianek w historyach literatury (Zdanowicz-Sowiński IV, 364), szematyczne zaledwie i niezawsze pewne posiadaliśmy dotąd o *Zofii Węgierskiej* wiadomości [1]). Dopiero ślady w poezyi i listach Słowackiego, oraz inne tu i ówdzie zebrane szczegóły, dały nam poniekąd postaci jej zarys.

Cudne, niewysłownego uroku było to niewątpliwie zjawisko kobiece. Piękność wonna, magnetyczna, wlokąca za sobą nieustanną smugę zachwytów i rozkochań; jednocześnie wszakże twórcza, zapładniająca, zdolna budzić najwyższe koncepcye — i przeto przedewszystkiem i nieodparcie pociągająca duchy głębsze, które w sferze jej się znalazły [2]). Dusza przedziwnie prosta, szczera, marzycielska, entuzyastyczna [3]), zdolna „uczuciem dostać ostatniego słowa“ (Zborowski,

---

[1]) Że urodziła się w r. 1825 (Bolesławita), czy raczej 1820-ym (Zdan.-Sow.); że była córką pułkownika Ludwika Kamińskiego; że młodo wyszła za mąż za Edmunda Mielęckiego, obywatela z Wielkopolski; że po krótkiem, nieszczęśliwem pożyciu rozeszła się z nim i jako separatka mieszkała we Wrocławiu (L. Meyet, Listy Słow. II, 303); że następnie poślubiła (?) Feliksa Węgierskiego, emigranta (Zdan.-Sow.), „człowieka niepospolitych zdolności, znanego z obywatelskich działań“ (L. Meyet); że w r. 1848 osiadła z nim w Krakowie, gdzie oboje zajmowali się dziennikarstwem; że po jego śmierci w r. 1849 (Zdan.-Sow.) czy 1851 (Bolesławita, Meyet) przeniosła się do Paryża, zkąd posyłała świetne kroniki literackie do Czasu, Bibl. Warsz., Bluszczu, Gaz. Polskiej i gdzie napisała cały szereg książek przeważnie dla dzieci i młodzieży; że wreszcie zmarła d. 8 listopada r. 1869.

[2]) Słyszymy, że później, po śmierci Słowackiego, kochał się w Węgierskiej W. Kalinka (F. Hoesick, J. Słow. III, 389); pewnem prawie wydaje nam się, że ją miało za przedmiot owo tak gorącemi słowy po latach jeszcze malowane, „beznadziejne“ uczucie Szczęsnego Felińskiego, które — jak sam opowiada (Pamiętniki, I, 189) — skłoniło go, pośrednio, do porzucenia świata i poświęcenia się służbie Bożej; wiemy wreszcie, że C. Norwid miłował ją, całym swym bogatym, subtelnym i wrażliwym duchem, aż do jej zgonu.

[3]) Dziedzictwo snadź po ojcu, Ludwiku Kamińskim, którego, w epoce walki romantyków z klasykami, do najszlachetniejszych i najkulturalniejszych postaci — obok Brodzińskiego i Morawskiego — zaliczyć trzeba. Z zawodu żołnierz, stawiał się, ilekroć ojczyzna go powołała (w latach 1814 i 1831) i chlubnie na polach walk się odznaczał. Nie szukał atoli karyery wojskowej i, po skończonej kampanii czy po odcierpianem wygnaniu, powracał natychmiast do zacisza domowego, do swoich córek, które sam wycho-

728), ale niepozbawiona zarazem pewnego zabarwienia sentymentalno- i nawet sensualno-romantycznego, dająca się łatwo uwodzić nadmiarowi wrażliwości, potrzebująca oparcia i wodzy. Postać z wieloma zadatkami na jakąś Beatryczę, na „wieszczkę" Peladanową [1]), na duchową równorzędnicę człowieka [2]), ale nie bez słabości i upadków również, z typu raczej „Nannah, parèdre lunaire" [3]), „miesięcznica" raczej niż „słonecznica" piękności [4]), raczej z kobiet Botticellego lub Rafaela, niźli z Leonardowskich, Bryzeis raczej niźli Helena lub Gioconda.

Taką okazuje nam ją nawet portrecik z lat ostatnich życia (drzeworyt z fotografii), dołączony do nekrologu w Tyg. Ill. Mimo śladów wieku, mimo widocznego znękania i znużenia, niewymownie piękna i szlachetna to twarz, cała posunięta ku duchowości, cała w liniach, subtelnych a wyrazistych, uderzająca niezmiernem, aż bolesnem prawie wezbraniem uczucia, a zarazem pełna dziewczęcej szczerości i bezgranicznego siostrzanego oddania. Jakąż musiała być, jakimż czarem tchnąć nieodpartym młoda, dwudziestoparoletnia kobieta, którą poznał Słowacki, — smukła, „dorodna" jako greckie bóstwo (Teog. 36_2 i 37_8), „z piersią kochanki i matki, z twarzą przecudownej Afrodytowej piękności... z ciałem łani" (Wykł. nauki 187_{14-15}), „z oczyma co szmaragdów podobne ogniskom" (Zbor. 548), z „rubinem, który z jej ust światło leje" (Kr. D. I, 1, XIV), z falistą złotych warkoczy wstęgą (Zbor. 492 i waryant), z owemi „lekkiemi rumieńcowemi różami, jakoby wstydem nawpół pochowanemi w białości lica" (Zbor. 406—408); z całą wonną, chłodną świeżością dziewiczą (Zbor. 506), a zarazem z ogromnem rozfalowaniem uczucia,

---

wywał, i do swoich poetów, których przekładał z umiłowaniem i mistrzowstwem. Jako poeta, stał zdaleka od swarów literackich; na słynnych ze złośliwości zebraniach u W. Krasińskiego — acz *de nomine* klasyk — nie bywał; wielkiego wykształcenia i wyrobionego smaku, nie oglądał się na etykiety, szukał przedewszystkiem głębszej wartości poetyckiej, a znalazłszy taką, z zapałem w mowie ojczystej równoważnika dla niej szukał. Przekłady jego (z Pope'a, Tassa, Byrona, Schillera, Danta) do najlepszych w literaturze naszej należą. Mamy wrażenie, że przekład *Pukla porwanego* nie pozostał bez wpływu na Mickiewicza, i że zwłaszcza niektóre ustępy, zwroty, wyrażenia znalazły żywe odbicie w *Panu Tadeuszu.*

[1]) Comment on devient fée. Paris. 1893.

[2]) List do Rembowskiego, 74_{29}—75_4.

[3]) Peladan, op. cit., str. 52.

[4]) Wykład nauki, 179_{11-17}: „Pozwól mi teraz, Helionie, że cię nazwę duchem słonecznym, a Helois jako w słowiku niegdyś śpiewająca pod nazwaniem ducha księżycowego wstanie. Do ciebie należyć będzie rewelatorstwo proste, więcej z wiedzy niźli z czucia — ona się będzie więcej czuciem i snem powodować [por. Peladan, 53: „reveuse et tendre"] i smętniejszą drogą poleci."

z całą już w owej chwili pełnią „pamiątek i przeczuć“ [1]); cicha, „pokorna,“ „świecąca owieczka,“ „niewinna jako kwiat“ (Teog. 36) i nagle umiejąca wydobywać z siebie „ognie niespodziane, poezyę przy której dźwięku ogłuchłyby wszystkie harfy świata“ (Wykł. nauki 189_{2-9}); młodzieńcza entuzyastka, tak ognista, takich snów, marzeń i porywów pełna, że „Tłómacz Słowa“ jej pojawienie się na ziemi tylko magnetycznem przyciąganiem niezwykle sprężonych w romantyzmie duchów objaśnić sobie umie [2]), a jednocześnie taka „w głębi serca pogodna“ (Zbor. 507), takiej gołębiej prostoty i dobroci, że poeta, wychodząc snadź z francuzkiego wyrażenia „dobra jako chleb,“ „żytniej bogini“ nazwę jej nadaje (Teog. 36)!

Sama ilość, sama superlatywność tych ech i reminiscencyj wrażenia, rozsianych po całej ówczesnej twórczości Słowackiego, świadczą, jak potężnie i głęboko zaabsorbowało ono wszystkie jego myśli i całą wyobraźnię. Było to jakieś olśnienie błyskawiczne, jakieś cudowne „wzroku odzyskanie,“ jakieś nagłe odnalezienie tego, co w błękitach marzeń dawno, dawno duchowi się jawiło, a czego dotąd nadaremnie szukał po ziemi. Wkrótce po poznaniu — acz niby to hamując się ironicznie („jestem w zapale“) — wybucha poeta niezwykle gorącym i wzruszonym dytyrambem do piękności kobiecej, którego żadna z dawnych miłości wywołaćby nie zdołała i który jedynie do *Zofii Węgierskiej* stosować się może:

I oto mówię, że piękność kobiety
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może, w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu, i słońcem, które świeci nocą,

---

1) Oh, te pamiątki! Smutkiem, łzami wiszą
Na rzęsach, i są ciężarem i cieniem,
I są na twarzy jakąś wielką ciszą,
I są jakoby jej czoła uśpieniem:
Gdy usta niby przeczuciami dyszą,
I oświecają koralem, płomieniem
Jej twarz, i czasem zbiegają po licach,
Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.
(Ben. XII, Pism. Pośm. 1866, II, 142).

2) „Dziw jest, żeś teraz przyszła na ziemię... i sądzę, że guślarstwo Dziadów i inkantacye Manfreda, śród mgieł i orłów alpejskich burzom krzyczane... i ów wid ducha kaskady... pod kolorami tęczy stojący... znacznie ci drogę powrotu umiotły. Jam także cokolwiek dopomógł...“ (Wykł. nauki, 186_{28-33}).

I panią razem, i razem być sługą,
I nawet w świecie aniołów pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć.
(Ben. XII, P. P. 1866, II, 143).

Ważniejsza i ciekawsza atoli, iż wrażenie to nie przemijało; iż trwało, nawet gdy, wcieliwszy się w szeregu poematów, mogło było, zda się, przygasnąć; nawet gdy Słowacki, zawiódłszy się poniekąd na marzonej „ducha objawicielce,“ odsunął się od niej, „opuścił ją nierozgrzeszoną“—i w melancholijnej strofie zawód swój apostolski wyraził:

Jam duch — już tylko w sobie — okiem porę,
W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę,
Dziwne, zaklęte ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam o drzew twardą korę,
Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojej piękności nie wiedzą,
A w ciałach jako w starych drzewach siedzą.
(Kr. D., Raps. II, P. P, 1866, II, 200).

Nawet i wtedy, w dalszych pieśniach *Króla-Ducha,* malując z reminiscencyj o Węgierskiej cudną postać „postrzyżyn ksieni,“ „całą w powojach, płótnach i warkoczach“ [1]), woła z uniesieniem:

Jeżeli kiedy mój duch roił Psychę,
Duszę motylem złotym ponad włosy
Świecącą: to tej dziewki widmo ciche —
Białe — w powojach błyszczących od rosy —
Było piękniejsze...
(Kr. D., war. II do raps. IV, P. P. 1866, II, 386).

Nawet w przytoczonym powyżej liście do niej samej, przedewszystkiem wspomina jej piękność, tę „zasługę ducha,“ która ją

---

[1]) Musiał kiedyś Słowacki widzieć Węgierską w Pornic w jakiejś białej, luźnej, płóciennej, wycieczkowej szacie, z rozpuszczonemi warkoczami, powojami czy ziołami jakiemiś przystrojoną, bo motyw tego zjawiska, widocznie wzięty z natury, powraca uparcie, nietylko we wszystkich waryantach o „postrzyżyn kapłance“ (Kr. D., P. P. 1866, II, 241/XXXIV i 242/XXXV, 386, 388), ale i w waryancie 1-ym do raps. II (strofa XLII— obraz jakiejś Sybilli), i w Zbor. 463 (gdzie jeszcze można podejrzewać zlanie się wspomnień o Węg. i o maleńkiej pastereczce na druidów kamieniach), i w Wykł. Nauki 189_3, i nawet poniekąd w wierszu *Córka Cerery:*

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów — między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, *białością* i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

w jego oczach „świętą“ czyni. Nawet prosząc, w tymże roku 1848, W. Stattlera, aby był „przychylny tej osobie, która wierzyć w ludzi i wiary od ludzi potrzebuje,“ kładzie nacisk szczególny, iż jest ona „piękną i zdolną zapału i uwielbienia.“

Rzecz charakterystyczna, iż — mimo tej fascynacyi piorunującej, mimo tego oczarowania bezwzględnego — poeta zachował od początku do końca zdumiewającą jasność wzroku i sądu, iż widział wszystkie błędy, upadki i słabe strony wielbionej istoty. Widział, jak ta, co wnet po poznaniu [1]) wydała mu się „królową z ducha podobnej sobie duchów gromady“ [2]) (Wykł. nauki, 192_{21-22}), tonęła „w morzu świata“ i jego błahych rozrywek [3]). Później nieco — gdy większe zbliżenie pozwoliło mu odczuć, iż ów zamęt światowy nie zadowala jej duszy, iż „ciało jej krępują jedwabie“ (Teog. 36, odnośnik 2),—widział znowu jej uleganie „ogniowi w duchu“ (Teog. 38), jej dalekość od „owych sfer transfigurujących postacie, w których trwająca piękność staje się elementem światła“ [4]). Rozstał się

---

[1]) Por. późniejszą niewątpliwą reminiscencyę jakiegoś spotkania w Pornic (Kr. D., IV, 2, XXIII):

A piękną była!.. Przez one grobowce
Stare wzniesiona nade mną wysoko,
Kamienie szare i czarne jałowce
U kolan miała — a błysnące oko...
Szczęściem, że jeden pasterz pasąc owce
Pieśnią spokojną — smutną a głęboką,
Gdy mnie już chwytał w szpony duch skrzydlaty,
Przypomniał mi...

[2]) Por. Kr. D. I, 1, XI i XVI:
Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza...
— — — — — — — — —
Pamiętam ten głos — i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „to królowa!“

[3]) Zdaje się nie ulegać kwestyi — zwłaszcza w zestawieniu z przytoczonemi powyżej wzmiankami z listu do p. Bobrowej i z Pamiętnika — że owem „morzem świata“ było hucznie zabawiające się w Pornic towarzystwo, którego opis znajdujemy w liście do matki z 12/VIII 1844. Tam to poeta po raz pierwszy spotkał Węgierską.

Jest wprawdzie w *Wykł. nauki* (196_{20-24}) pozornie przeczące temu wyrażenie „Tłómacza Słowa“: „Ciebie Helois nie pytam albowiem *patrzałem na ciebie od dzieciństwa*, i nieraz rozwijanie się w tobie uczuć dziecinnych odkrywało mi prawdy tajemnicze przeszłości...“ Przypisać je wszakże należy takiejż samej licencyi poetyckiej albo takiemuż zlaniu się tu wspomnień o kilku różnych osobach, jak nagłą—tuż obok—transformacyę Heliona w samego Słowackiego, który przed chwilą był jeszcze „Tłómaczem Słowa.“

[4]) „..... Jednak podziemna kraina
Jeszcze się tobie często we snach przypomina...
— — — — — — — — —

z nią, gdy jęła „próbować sił jego ziemskich“ (List do Sof. I, 10—18). Później jeszcze, Heloizy imię jej nadal „przez pamięć na straszną oną słonecznicę piękności, która jednego z najpotężniejszych... mistrzów słowa „oczarowała — i od celów myśli odwróciwszy, sił rozjaśniających wiedzę ludzką pozbawiła“ (List do Remb. 75_{17-27}). Groził jej — nieraz zapewne — „spiorunowaniem i spaleniem przez prawdę aż — aż do garsteczki prochu“ (List do Sof. III, 12 — 15), i W. Stattlerowi, żądając dla niej przychylności, zalecał jednak: „czyń to, co ja, bądź z miłością, ale groźny.“

Nie była to zatem miłość w zwyklem słowa tego znaczeniu, miłość ziemska, ludzka, zaślepiona, miłość z pragnieniem posiadania i wzajemności nierozerwalnie związana, w tych ostatnich cel swój i rozwiązanie widząca [1]). „Anioł ognisty,“ ów „anioł lewy“ (Bieg. Pam. J. Sł., 19) poruszał wprawdzie niekiedy dawną ziemskich uczuć strunę [2]), ale poeta otrząsał się szybko z krótkich paroksyzmów „omamienia ciałem“ (Kr. D. IV, 2, XLVI — XLVII), zapatrzony

---

...... jeszcze blisko pod kolany
Twemi — ten świat piekielny formy — rozwahany,
Nieustalony — w ciągłej rodzący się męce
Mgłami cię oblatuje — sny jakieś zwierzęce
Nastręcza...
(Niewyd. uryw. z Teog., — u Tretiaka, II, 305).

Odnosi się to pozornie do drugiego wcielenia Sofosa w „dziecku indyjskiem,“ właściwie wszakże wyraża aktualne spostrzeżenia poety.

[1]) Miłośnicy anegdot buduarowych, odnalazłszy ten właśnie zmysłowo-sentymentalny rodzaj uczucia w stosunku Słowackiego z p. Bobrową, jęli insynuować analogiczny odcień we wszystkich jego późniejszych znajomościach lub przyjaźniach kobiecych, czy to z Andaluską w Pornic (Hoesick), czy z panią Reitzenhaimową w Paryżu (tenże, oraz Tretiak, II, 155), czyniąc z poety niepoprawnego don Juana. I Węgierska nie uniknęła domyślnika (Hoesick, III, 389), a jeśli oszczędzono jej insynuacyi wyraźnej, to dla tego, że mało co o niej wiedziano.

[2]) Świadczą o tem, w utworach mniej lub więcej z postacią Węgierskiej związanych, zdarzające się, rzadko zresztą, zbyt widocznie subjektywne wybuchy. W *Teogonii*, przy opowieści, jak Szczęsny z Sofosem „wieczni—na rzece czasu błękitnej—łabędzie“ płyną w parze (40_{6-7})—wyraźnie osobistym żalem i smętną zazdrością dźwięczy rzucony ubocznie okrzyk: „Boże, o jakże szczęśliwi!“ — Bardziej jeszcze osobisty i bardziej namiętny ton żalu za jakiemś możebnem, a teraz już niepowrotnie straconem szczęściem ziemskiem wybrzmiewa, z poza ogólniejszej treści, w *Poecie i natchnieniu:*

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

w „pierwiastki słoneczne“ tej, która „swojem zrobiła zjawieniem,“ że dusza jego „na nowe się wzmogła loty i nowym buchnęła płomieniem“ [1]) (Kr. D., I, 1, XIX). Dantejskie to jakieś raczej, z *Vita*

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał?...
— — — — — — — —
Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał...

Gdzieindziej, w *Królu Duchu* (I, 2, XXIV — XXVI), jakże ten nagły wichr żądzy, ogarniający nocą na wezgłowiu Popiela-Rytygiera na myśl o Wandzie (która jest jeszcze jedną poetycką transpozycyą Węgierskiej) nie wyobraźni już tworem trąci, lecz własną, z życia reminiscencyą:

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie
Jak duch tęczami różnemi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty —
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

Słysząc te głosy, z któremi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina
Obracająca powietrznym chorałem
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc... przywiodła duch — że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń — jak zwarjowany...

Jakiż wreszcie głos serca, głos ciała skarżącego się słychać — mimo skomplikowanych i pozornie innych znaczeń — w owych niejednokrotnych tęsknicy westchnieniach:

.... zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema —
Tę jedną smętną ranę — że Jej niema!
(Kr. D., I, 1, XIII).

Albo później — po odsunięciu się już od Węgierskiej:

Jakaś mię smętność — dawną moją jędzą
Będąca, wzięta nad letejską rzeką —
Znów ogarnęła, i westchnęło łono
Za jakąś... dawno — w błękitach zjawioną...
(Kr. D., IV, 2, X).

[1]) Prof. Tretiak — acz bałamutnie zlewając w jedno, za przykładem prof. Małeckiego, dwie zupełnie różne i przeciwstawiące się sobie postacie: „umiłowaną odtąd i na wieki,“ oraz „wid... Piękność... córkę Słowa“ — zauważa słusznie i dziwnie tym razem wrażliwie, iż dwa podsuwane im znaczenia (Ojczyzny i Bogarodzicy) nie wyczerpują bynajmniej ich zmiennej migotliwej treści i że oprócz tych znaczeń głównych można dojrzeć jeszcze wielu innych: *des ewig weiblichen*, „piękności tej, która napełnia zapałem

Nuova i *Raju,* było uczucie; poeta kochał nie kobietę, lecz to, czego mu ona była objawieniem, to, co w duchu dawno przeczuwał, a czego wspomnienie nagle, olśniewająco piękność jej w nim rozbudziła: kochał swe własne, stworzone za jej podnietą pragnienie, swój ideał marzony niepewnie i naraz w całej ujrzany świetności. Ale gdy Dant, sam już ze swojem marzeniem, bez sprawdzianu realnego, nie znał granic idealizacyi i na najwyższe szczeble niebiańskie swą Beatryczę prowadził, Słowacki narażony był na ciągłe konfrontacye ideału z rzeczywistością, na nieodzownie płynące ztąd rozdźwięki i zawody, na własne zachwiania się i „stchórzenia serdeczne" (Kr. D., IV, 2, XLVI), na apostolskie wreszcie wysiłki, aby postać żywą aż ku błękitnym dźwignąć marzenia swego sferom. Waryant jeden w *Zborowskim* (po w. 450; Bieg. str. 164) zwięźle oddaje tę uczuć komplikacyę:

Zaprawdę, jam ją widział gdzieś. Szedłem przez wały
Do niej, jak ogień się darłem,
A teraz jestem nieśmiały,
Tęcze ducha rozpostarłem,
Aby jej oczom stanąć w całym blasku,
Aby w całej piękności ducha zobaczyła
Postać moją... Gdzie się ruszy,
Staję przed nią słońcem duszy.
Piękności przydałem duchowi,
Aby się przed nią jak anioł postawił,
Zaraz porwał.
Wnętrze się moje ubrało
W piękność i w moc i odwagę...
I zatrwożyło się ciało
I cofa się jak wąż od niej...

Ścieranie się takie marzenia z życiem nie mogło trwać długo. Słowacki — wbrew lekkiemu traktowaniu przez historyków literatury jego „gmachu anielstwa" — nie był w epoce owej zdolny do żadnych kompromisów. Jedno więc musiało chwilowo przynajmniej zabić drugie. Zwyciężyła wizya duszna, wizya „prawd objawicielki," „uczuć kapłanki"; — kobieta, która „zwątpiła," i „niby obumarła" na apostolskie wezwania, i okazała się niezdolną do „wysokości w duchu trwającej," — musiała ustąpić. Chwila rozstania ciężka była niewątpliwie. O uczuciach Węgierskiej mniej wiemy. *List do So-*

---

i w struny wszystkie duchów naszych trąca." — To właśnie widział Słowacki w Węgierskiej, tego wydawała mu się uosobieniem czy możliwością — i dlatego, ilekroć tworzył jakie zjawisko kobiece, zawsze ona stawała mu przed oczyma i tą lub ową swą cechą znaczyła w nowym utworze obrazy z Apokalipsy czy zkądinąd czerpane. Tento czynnik indywidualny, te ślady żywej istoty nadawały widzeniom poety ową „zmienność dyamentowych blasków," i mąciły nieraz jedne z drugiemi.

fosa powiada nam tylko, że odeszła z dumą kobiecą i w „schmurzeniu ducha.“ Gorycz Słowackiego była powielokrotna. Oderwanie się łodygi życiowej od tylu kwiatów wyobraźni, które przebogato się z niej rozwinęły; bezowocność wysiłków apostolskich; zawiedzione marzenie o wspólności duchowej, „tej, która daje harmonię i ciszę“ *(Ztor.* 477); przerwanie się bliskiego, poufnego powiernictwa duchowego; stracenie z oczu żywotwórczego jej piękności źródła; wreszcie, może i jakieś bardziej ziemskie, budzące się zwykle w rozstań godzinach, mimowolne „czar niedopitych“ tęsknice;— wszystko to musiało wstrząsnąć nim aż do głębi. W liście do matki z d. 1 lutego 1846 r., pisanym albo w samej chwili zerwania, albo wkrótce przed niem, gdy niemożliwość dalszego stosunku osobistego jęła się oczywistnić w duchu poety, uderza kilka, nibyto do matki zwróconych, nibyto ogólnikowych, ale tem bardziej dla nas znaczących ustępów, że list cały tchnie znowu żałosnem uczuciem osamotnienia w nowych ducha dziedzinach. „O jakżeby to była rozkoszna droga“ — czytamy w jednem miejscu — „dla dusz, którym się pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów Bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymanych Aniołów. Czasami najmilsze im dusze są takiemi zaprzeczycielami, pomyśl, jaka tortura... pomyśl, jaka boleść okrutna!..“ Nie o matce tylko tu mowa, bo oto, o kilkanaście wierszy wyżej, jakiż wybuch arcyludzkiego i przeto niesprawiedliwego, przesadnego po świeżym zawodzie rozdrażnienia: „kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią moją; jeżeli nie może znieść człowieka, a chce zamaskowanej figurki, podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością, bo silny dość nie jestem, abym jednem spojrzeniem duchy w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował jak dawni nawróciciele.“ Nieszczere mimowolnie były to słowa. Gniew — owszem — tryska z nich chwilowy; obojętności wszakże nie znać ani tu, ani później. I powstała w ostatecznej postaci już po zerwaniu część druga t. zw. *Wykładu nauki,* i cały *Król Duch,* od pierwszego rapsodu aż do ostatnich urywków i waryantów, pełne są wielbiących o tej „świętej pięknością“ reminiscencyj. Nadawszy „nieznanej siostrze“ — w *Liście do Rembowskiego* — imię Heloizy, odwraca zaraz poeta karcące tej denominacyi znaczenie: „Niech to imię dziś użyte stanie się dla tej wielkiej grzesznicy [umiłowanej Abelarda] rehabilitacyą... Niech jako szata piękności — już nie ognistą — ale przetrawioną cierpieniem świecącą duszę jednej z siostr

naszych okrywa..." (75_{23-27}). Gdy wreszcie Węgierska, „przełamawszy dumę kobiecą i rozjaśniwszy schmurzenie ducha," odzywa się — po spotkaniu we Wrocławiu [1]) — „wysokim i przyjaznym" listem, — jakąż podniosłą radością, jaką głęboką przyjaźnią, tą prawdziwą duchów miłością, jakiem niezmienionem dla „jasnego brata" uwielbieniem, jaką wiarą w możliwość najwyższych jego transfiguracyj, jakiem wreszcie rozmarzeniem „półsennem" tchnie odnaleziona przez nas odpowiedź Słowackiego!

Nie był to więc żaden „romans poety" z banalnem zakończeniem don-juanowskiego rozstania. Był to, przeciwnie, rzadki przykład cudnego związku duchów, gdzie właśnie przez oddalenie cielesne, zacierające granicę między rzeczywistością a widzeniem wnętrznem, rośnie moc najwyższych, żadnemi już instynktami nieobarczonych uczuć. I był to rzadszy jeszcze przykład tak potężnie zapładniającego, takiego cudotwórczego „przelania się" piękności kobiecej w duszę poety. Zaiste, nie ustępuje legendowej Portinarich córze ta, która tak opromieniła ostatnie lata Słowackiego, że „jako zwiędły kwiat" podniósł głowę,

Jako kwiat, gdy wstanie
I na błękity nieba lazurowe
Swoich anielskich piór umalowanie

[1]) Podczas pobytu w tem mieście w r. 1848, prosi Słowacki (w czerwcu) podwakroć, aby mu listy przysyłano pod adresem: Madame Sophie Mielęcka [nazwisko Węgierskiej z pierwszego męża], Tauenzienstrasse № 69 (Meyet, *Listy Słow.*, II, 303 i 306). Widywał się więc z nią tam niewątpliwie. Podejrzewamy, czy nie jej („brata Sofosa") albo też Węgierskiego dotyczy wzmianka we wcześniejszym liście do matki również z Wrocławia (14/V 1848): „Mam tu przy sobie jednego młodego człowieka, który mnie nie odstępuje. W tem i w wielu innych rzeczach Bóg mnie wynagradza stokrotnie za trudy i cierpienia moje duchowe." Meyet myli się, przypuszczając, że mowa tu o Felińskim. Ten we Wrocławiu wcale nie był, lecz wprost z Wielkopolski przez Berlin, Strasburg powrócił do Paryża (por. *Pamiętniki* jego, I, 388 i 420).

Odpowiedź „bratu Sofosowi," nosząca datę 8 września 1848 r., musiała być adresowana już do Krakowa, dokąd Węgierska przenosiła się właśnie i zkąd zapewne napisała ów list „wysoki i przyjazny." O tem to zapewne jej odezwaniu się wzmiankuje Słowacki podwakroć w listach do matki. „W tej chwili" — pisze 29 sierpnia — „odbieram list z Krakowa od jednego z młodych moich, w którym wyczytuję mnóstwo wieści o zaburzeniach w Cesarstwie Ros." — A 11 września, t. j., w trzy dni po napisaniu listu do Sofosa, obszerniej i bardziej dla nas znacząco do tej samej wiadomości powraca: „...z Krakowa miałem od jednego z młodych moich braci piękne przypomnienie się... listy od ludzi już podobnych sobie wnętrznościami ducha Bożego są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze módz odetchnąć odetchnieniami ludzi porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość... i miłość wzajemną rzeczą podobną a nawet konieczną uczynił."

Roztoczy w pierwszej poranku godzinie,
A potem znowu chyli się — i ginie;

która tyle „gwiazd nowych" mu zapaliła, tyle koncepcyj najwyższych zbudziła w duszy, tylu przedziwnych wizyj była źródłem i wzorem; której w znacznej mierze przypisać należy owo cudowne „w duchu olśnione wzroku odzyskanie;" która miała tę niewysłowną „wdzięczność," że mogła

— ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć!

Migotliwy rajski ptak, jakim poeta był w pierwszej życia połowie, przeobraził się w bajecznego paramahansę, ku najwyższym szybującego sferom. Z innemi myśleniami, innych mu też uczuć było trzeba. I oto — po ziemskich przemijających miłościach i miłostkach — przyszła ta „umiłowana odtąd i na wieki."

Za życia już się nie widzieli.

Słowacki jeszcze w przeddzień śmierci myślą ku niej się zwracał, bo rzeczą prawie jest pewną, że *Teogonii* to, owego poematu o „bracie Sofosie," dotyczy zwięzła opowieść w liście S. Felińskiego do wuja poety: „...mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany jeszcze poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Prosiłem, aby mi dyktował, co też uczynił; i tak jedną część napisaliśmy [1]), ale i to już go męczyło, więc resztę odłożyliśmy na później."

Węgierska była, zda się, jedną z „dwóch kobiet," idących za trumną Juliusza [2]). Opieramy to przypuszczenie na wiarogodnej opowieści naocznego świadka pogrzebu, jakim był C. Norwid. „Ja — opowiada tenże w *Czarnych kwiatach* — na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem *dwie* — jedna z tych rzewnemi łzami zalana była, *co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającem, na wiele dni po tem kiedy liczne pod ów czas społeczeństwo polskie w Paryżu bawiące się odwiedzałem był* — bo wiele było (jak zawsze świetnych i niepospolitych) Polek pod ów czas w Paryżu... Mam rysunek Juliusza,

---

[1]) Poemat a raczej jego fragmenta — mówi o *Teogonii* prof. Tretiak — doszły w kopii, sporządzonej przez Felińskiego, ale opatrzonej własnoręcznemi wskazówkami poety.

[2]) F. Hoesick powiada wprawdzie, że były to żona i córka portyera „Miletusa." W innem miejscu wszakże stwierdza znowu obecność byłej „panny Kory" która byłaby zatem trzecią.

który on w Egipcie rysował z natury... ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albomu *osoby z kraju przybyłej* ofiarowałem...“

Podkreśliliśmy ustępy znaczące.



Dowolnie pono—acz nie tak „niewłaściwie,“ jak się prof. Tretiakowi wydaje — nazwał p. J. H. Rychter wydobyty przez się z rękopiśmiennej puścizny utwór Słowackiego — *Teogonią*. Dowolniej daleko, bez najelementarniejszego poszanowania względem nibyto wielbionego i „bronionego“ (!) przed napaściami Zoilów poety, z niesłychanem, wandalsko-bezmyślnem barbarzyństwem, rozporządził się tenże wydawca samym tekstem poematu, ćwiartując go, kawałkując, usuwając jedne ustępy, przerabiając inne na własną niedołężną prozę, łamiąc wiersze, druzgocąc rytmy, przepełniając całość niezliczonemi błędami i niezrozumiałościami, oraz opatrując ją — nie za obficie, na szczęście! — naiwnym częstokroć, nic nie wyjaśniającym komentarzem. Najdowolniej wszakże obeszli się z *Teogonią* krytycy i historycy literatury, czyniąc z niej „przeróbkę“ historyozoficznego romansu Heliona i Heloizy „z prozy na wiersze“ (Tretiak, II, 294 i 304), dopatrując się ze zbytnią łatwością w Helionie - Szczęsnym śladów postaci Szczęsnego Felińskiego (tenże, II, 303 — 304), i odnosząc, na zasadzie tych przesłanek, powstanie poematu do roku 1848. Owo „przerabianie prozy na wiersze“ dziwnie trafiło do przekonania nowszym badaczom pośmiertnych pism Słowackiego. P. St. J. Witkowski, nie mogąc sobie wyobrazić poety „siedzącego nad rękopisem *Zborowskiego* i żmudnie przerabiającego na *Genezis z Ducha* myśli w dramacie już wyrażone,“ ale jak gdyby uznając możność „przeróbki“ odwrotnej, przypomina, że Słowacki miał obyczaj „zapisywać prozą“ *poszczególne* myśli, aby je następnie „w chwili sposobnej“ wierszem wyrazić (Pam. Lit., III, 627). P. W. Hahn szerzej już wnioskuje, iż poeta „naprzód rozprowadzał swój system w utworach prozaicznych, a następnie przedstawił go w *Samuelu Zborowskim,* w końcu wreszcie w *Poecie i natchnieniu*“ (Pam. Lit., III, 647). Prof. Tretiak, posuwając się jeszcze dalej, mówi wprost o „obleczeniu“ danego, zupełnie

już w prozie gotowego utworu „w szatę poetycką“ (II, 303). W każdym, kto sam wiersze pisał (a był nie rzemieślniczym rymospójką, lecz poetą), wyobrażenia takie uśmiech jedynie zbudzić mogą. W zastosowaniu do poety wyobraźni *par excellence,* jakim był Słowacki, robią one wrażenie karykaturalnego wprost komizmu. Jeśli zaś chodzi specyalnie o *Teogonię,* świadczą o niedbałem w najwyższym stopniu czytaniu omawianych z katedry rzeczy, albo też o zupełnym braku jakiejkolwiek wrażliwości estetycznej, o nieodczuwaniu żadnych odcieni poetyckich, o nieodróżnianiu obrazów czysto impresyjnych, wprost z natury malowanych, od wyobraźniowych konstrukcyj i transpozycyj, — co wszystko krytykowi za grzech śmiertelny policzonem być musi.

Nie udało nam się, mimo starań, dostać autentycznego i zupełnego odpisu Teogonii. Zda się, że dostęp do złożonych w Ossolineum manuskryptów Słowackiego stał się obecnie wyłącznym przywilejem osób gotujących ową tak dawno zapowiadaną kompletną i krytyczną dzieł jego edycyę. Ale nawet te potargane strzępy poematu, które p. Rychter umieścił w swojej smutnej książeczce z roku 1889, pozwalają wysnuć stanowcze i zasadniczo dotychczasowym charakterystykom oraz chronologiom przeczące wnioski.

Każdego wrażliwego i uważnego czytelnika uderzyć musi w Teogonii jakaś przypadkowość, jakaś bezładność, jakiś brak planu oraz wyraźnej konstrukcyi. Poeta sam stwierdza zresztą pod koniec poematu, że wcale nie zamierzał tego, w co mu się rzecz w trakcie pisania obróciła:

Zacząłem tę pieśń cicho... potem zawierucha,
Grzmot, i anioł logiki porwał mego ducha
I unosił nad globu przechodniemi wały.
— — — — — — — —
Znowu w pieśni tej duch jestem cały.

Zaczął, istotnie, cicho — jak zaczynamy często listy od przypomnień ostatniego widzenia się—pogodnym, czysto impresyonistycznym obrazem niedawnego snadź, przed chwilą, czy przed kilku dniami, spotkania:

Gdyście mi zastąpili słońce pośród drogi,
Myślałem, że jesteście jakie greckie bogi,
Tak wam dobrze obojgu wyjść z tęczowej bramy
Na ściemione oczy wieszcza...

Ale widok tych dwojga, „takich dorodnych,“ z taką widoczną w tej piękności „ducha zasługą,“ i przeto takich godnych powołania na „objawicieli,“ na „słonecznych“ rewelatorów prawdy, na „lecą-

cych między słońca — wyżej błyskawicy świętojańskiej — ogromnych tej ziemi sterników,"—przypomina poecie niedostateczną owocność dotychczasowych z nimi rozmów i „namów" (37—38) i budzi w nim pragnienie nowego, potężniejszego, decydującego apostolskiego wysiłku. Pragnienie to jest tak gwałtowne, że co chwila mąci mu potrzebny spokój i rozrywa zamierzony tok mających przeświadczać obrazów i myśli. Pierwotnie widzimy chęć oddziałania tylko przez wyrozumienie prawdy z przeszłości, tylko przez odmalowanie minionych ducha dziejów, z których wybłysną same przez się jego cele „prześwięte, słoneczne":

Pozwólcie mi, że niby wielki budowniczy
Wezwę tę trójcę ducha, co w nas teraz krzyczy
O sprawiedliwość Bożą... i każę, by święta
Rzuciła się aż w straszne globu fundamenta...
I tam wprzód nim dosięgnie formy ludzkiej szczytów,
Leżała na łożysku stopionych pirytów,
Gdzie płomień, grzmot, lawina leje się i smoła,
Aż ją tam który anioł do formy zawoła.

Lecz nie! Na to by trzeba niewymowne męki
Opowiadać, więc z rajskiej wywiodę jutrzenki
Trzy święte duchy nasze, formą je odzieję,
I spróbuję, azali całe świata dzieje
Tej prawdy z rozkręconych nie dadzą łańcuchów,
Że są przez duchy nasze i dla naszych duchów...

Ledwie wszakże poeta rozpoczął tę „przez wieki idącą" powieść, ledwie zdołał opowiedzieć upadek pierwszej pary w raju, już oto porzuca wątek historyi, by wybuchnąć osobistem, aktualnem i wpółbłagalnem prawie wezwaniem apostolskiem:

Bądźcież mi ku pomocy, stańcie się świadomi
Tej wiedzy, co szatana ognistego zgromi,
Świat mu wydrze, a ogniem czynić nie pozwoli
Rzeczy krótkich, na chwilę z cielesnej niewoli
Wyzwalających... Pomóż — ty mąż i kobieta!
Światło niechaj nam zcicha tworzące zawita —
Światło, które ziarenko pod ziemią poruszy,
A wnet w onej trumience śpiący anioł duszy
Budzi się i wyciąga ręce do żywota...
Pomóż, w tobie pochodnia świeci — twórcza, złota...
Wszystko zgaś!
I marzone półświatła — wszystko to, co dzieci
Globowe bawi, porzuć, a niechaj zaświeci
Świętość twórcza — i nam niech ku pomocy stanie!

Po wybuchu — refleksya. Czy mu uwierzą? Trzeba przekonać, konieczny jest dalszy ciąg powieści „jednością oświeconej wy-

wodną jak słońcem.“ Bierze ich tedy znowu, „po upadku,“ wygnanych, opowiada Kaina i Abla — i znowu po chwili już im oto w osobistym zwrocie wskazuje ich zadania:

— — — — — Niech Sofos w mgłę ubrana wielką
Jak duch jakiej kaskady — prawd objawicielką
Zgodzi się być — tęczami przerznięta jak pasem
Niech taka leci, dumna, nad globowym czasem
Ku potrzebie i niby duchowej ochłodzie
Ludów, zjawiona tylko raz w każdym narodzie
Uczuć kapłanka, a ty — idź i w innej stronie,
Rozumem, mój słoneczny (jak cię zwę) Helionie,
Pracuj — aż się wydostaniesz prawdą z łona ziemi…

I tak dalej. Po opowieści o świecie indyjskim, po natrąceniu o Mojżeszu i faraonach, znów oto wyraźnie *ad personam* zwrócona do współdziałania w pracy apostolskiej zachęta:

Gdyby się duchom globu zarazem nie śniło
O każdem wypełnieniu i globowym ruchu…
Dzisiajby przechodziły duchy nowe — w duchu…
Jakieś rewelatory nikomu niezdatne,
A myśliby ich były, jak myśli zaświatne,
Podobne do śmiechu, albo też do jęku —
Lecz w nas nie znajdujące żadnego oddźwięku,
Niezrozumiałe. Dzisiaj duch nie napotyka
Jeno braci. Jest widać jakaś republika
Ducha!..

Wreszcie, pod sam koniec, po refleksyach o społeczno-państwowem kształtowaniu się ludzkości, wyraźne apostolskie ostrzeżenie przed błędami „sektarzy, których… ideą mamy złączonych, a daleko wszakże od prawdy czystej wolą i rozumem odstępujących“ (Bieg. Pam. Sł. 36), wyraźna aluzya — może i do owej „mszy publicznej za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei,“ która była jedną z przyczyn wystąpienia poety z Koła w listopadzie r. 1843 — a napewno do świeższych datą: pisma Chodźki oraz poselstwa Pilchowskiego, które objawiono w Kole 29 listopada 1844 i które tyle namiętnych protestów ze strony Słowackiego wywołały:

Są nawet tacy, co porwani szałem,
Niby z jakiejś poważnej opieki nad ciałem,
Świętymi chcą mieć króli, sądząc, że naszemu
Pasieniu się na łąkach żywota trzodnemu
Pomogą, gdy duchów moc wtrąciwszy w senną
Śmierć, formom jakąś stałość nadadzą kamienną…
Ślepi! Sądząc, że boscy, mądrzy stoją (?) stróże,
Dobrze czynią, pasącej się ducha naturze
Dopomagając! — Grzechu podobni obrońcom!
Ci czynią sprawę przeciw księżycom i słońcom!!

Rzecz pisana tak gorączkowo, tak wyraźnie pod bezpośrednim wpływem wrażeń i wydarzeń, z takiemi uniesieniami i wybuchami, z takiem rwaniem się toku myśli, nie mogła być nietylko ową spokojną czy zmudną przeróbką z prozy na wiersze, ale nawet bezwiednem jakiejś gotowej już całości powtórzeniem. Gdyby oba utwory, istotnie, formą tylko wiersza i prozy się różniły, co do treści wierne stanowiąc repliki, — jeszcze *Teogonia*, choćby bez żadnych innych dowodów, jedynie na podstawie tego uderzającego charakteru swego, powinna była wydać się rzeczą wcześniejszą, pierwotworem, — powtórzeniem zaś — spokojniejsza, systematyczniejsza, bardziej rzeczy uogólniająca i nie tak wyraźnie na wrażeniowych pierwiastkach oparta [1]) — druga część *Wykładu nauki*. Ale — nadto — nietylko forma zewnętrzna różni poemat o Sofosie od romansu Heliona i Helois. Na uważnym czytelniku — pewne zbieżności obu pism (i nawet trzeciego i czwartego, t. j., pierwszej części *Wykładu nauki* oraz *Listu do Rembowskiego)* muszą zrobić wrażenie nie wzajemnego oddziaływania tego na tamto, nie przetapiania się jednego w drugie, lecz jakiegoś jednakiego związku wszystkich z innem jeszcze, poza niemi ukrytem źródłem. Źródłem takiem były niewątpliwie owe nieprzeznaczone do druku, fragmentaryczne, dorywcze notaty i „rozmowy“, w których poeta — po spisaniu przedczłowieczej ducha apokalipsy — streszczał gorączkowo dalsze swej nauki kanony, apologie i udowodnienia, gotując jakby materyały do zapowiedzianych w *Genezis* ksiąg o „dalszej pracy globowej“ (Wykł. nauki 115_{3-4}). Pism tych — w pierwokształcie — drobniuchna zaledwie doszła do nas cząstka — i prof. Tretiak, mając rękopisy pod ręką, stwierdził ich „przelewanie się“ potem w formę nową i w większe całości (II, 294). Ale wiedząc o tem zarzucił jednak Słowackiemu, bez powodu i dowodu, brak pośpiechu z dalszemi po *Genezis* księgami (II, 93) — a oparłszy się na napomknieniu w liście do Krasińskiego (z 17/II 1846) o „sanktuaryuszach“ i „Sokratesowym sposobie“, zapomniawszy zaś o innej wzmiance tamże, iż „gotowe i napisane są rzeczy,“ do których napisania sumienie poetę wiodło, — odniosł nie już napisanie, lecz „zamyślanie“ tych dyalogów do roku 1846. Jak bezzasadnemi były i zarzut i ostatnie twierdzenie, przekonamy się zaraz, ustaliwszy datę powstania *Teogonii*.

---

[1]) Owej aluzyi, która w *Teogonii* pod świeżem znalazła się wrażeniem, nie masz w równie wyraźnej i specyficznej postaci w odpowiadającem miejscu Wykładu nauki (183 — 184).

Podruzgotane niemiłosiernie przez p. Rychtera miejsce na samym wstępie poematu stwierdza jednak wyraźnie, że spotkanie, które przypomina poeta, nastąpiło w zimie:

> ...... Ani mnie te plamy
> Zastanowiły, które ty biedna dziewczyna.
> Jakby jaka brzoskwini albo żurachwina,
> Masz od mrozu...[1]).

„W aniołach nie trza budzić sromu“ — ciągnie dalej, w odnośniku, swoje streszczenie (?!) wydawca. — „Dla tego nie pytam, mówi poeta, a na coś na mróz wyszła z domu?“

Godzi się to z aluzyą końcową do faktów objawionych w Kole d. 29 listop. 1844 r. Poeta wprędce musiał dowiedzieć się o tem, co nazwał „rozkoronowaniem Polski w ciemności,“ z pogłosek biegających po emigracyi — i z pośpiechem zapewne jął gromadzić stronników do projektowanego przez się protestu. Toby objaśniało i owe gorączkowe nawoływania: „Bądźcież mi ku pomocy!“ i końcowe ostrzeżenia przed „ślepymi,“ na fałszywe drogi prowadzącymi „sektarzami“ — a zarazem wskazywałoby, że *Teogonia* musiała powstać w grudniu r. 1844 lub w styczniu 1845. Że powstała przed pismem M. Kamieńskiego do Urzędu Koła (z 16/II 1845), świadczy względnie łagodny ton kończącego ją ostrzeżenia w stosunku do namiętnych oskarżeń projektowanej po owem piśmie drugiej protestacyi i do bezlitosnych inwektyw *Matecznika*.

W przybliżeniu oznaczoną w ten sposób datę jeden jeszcze potwierdza szczegół. Pełen „spokojności anielskiej ducha,“ pełen

---

[1]) I znowu — jak przy owej wizyi „postrzyżyn ksieni“ — obraz rzeczywisty tak uderzył poetę, że, po tej notacyi bezpośredniej, parokrotnie jeszcze gdzieindziej wraca mu pod pióro. Oto — wzorowana już na Węgierskiej — „bieży panna Aniela ogrodem“ (Ben. XII, P. P. 1869, II, 142):

> — — — — — rannym chłodem
> Mrozi ją nieco wiatr, ale jej nie czuć
> Zimna, bo pełna pamiątek i przeczuć...

A w *Zborowskim* (466—471) — wyraźniejsze jeszcze pokrewieństwo:

> Helion. ... Lekkie twoje rumieńcowe róże,
> Jakoby wstydem nawpół pochowane
> W białości lica, tajemnemi wschody
> Dziwią....
> Dziewica. — — — — — Ja niezawstydzona,
> Alem od wiatru górnego czerwona...

Notacya z natury, będąca wyrazem wizyi niedość owładniętej, niedość subjektywnej, wyprzedzać musi transpozycyę twórczą, nigdy zaś nie może po niej następować. Ztąd wniosek o późniejszem od *Teogonii* powstaniu miejsc przytoczonych.

rozweselenia wnętrznego, pełen wiary, która mu „odkryła tajemnice wszystkie“ (do matki 16/IV 1844), poeta pragnie tak gorąco, aby i inni pod tym względem „do harmonii się z nim układali,“ że przychodzi czas, gdy każdy smutek, każde zwątpienie zaczynają mu się wydawać grzesznemi i zwalczania potrzebującemi. Czas ów — to właśnie koniec roku 1844 i początek 1845. „Oto nawet — czytamy w liście do matki z 8/X 1844 — niezdolni jesteśmy ciągle czuć w sobie tej młodości silnej ducha naszego, która czuje się zawsze i wszędzie taką zdrową, że światy przeżyje. A wiesz ty, dla czego tacy jesteśmy? Oto dla tego, że często pozwalaliśmy, że nas fala smutku gięła i kładła na ziemi...... — — dusza ... często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dla czego z taką ją na świat przysłał naturą.“ A w lutym r. 1845 jeszcze gwałtowniej do niej pisze o „nieszczęsnej atmosferze, smętnej, błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali.“ Pomiędzy temi dwoma listami, w posłaniu poety do maleńkiego Julka Stattlera, z datą nowego roku 1845, niemniej energiczną z tegoż powodu pod adresem ojca jego Wojciecha znajdujemy exhortacyę: „... niech mu żadna godzina w ciemności duchowej nie mija... Kwiatków ma pełno w domu, i dzieciątek mu Bóg nasyła — czegóż on się smuci? dla czego wątpi? O tym smutku i zwątpieniu będę długo kiedyś pisał srogo i groźnie.“ — Nie jestże jakby powtórzeniem wierszowanem tego wszystkiego i nie świadczy-ż o pochodzeniu *Teogonii* z tego samego czasu ustęp następujący:

Dla was ten mądry — na świat kto patrzy z utyskiem.
Więc i moje wesele, spokój przeszły mimo,
Jako około kwiatów powalonych zimą
Anioł wiosny przechodzi — a wyście zostali,
Pytając: zkąd my przyszli? czemuśmy płakali?
Dla czego bez ojczyzny żywot nasz przeminął,
Dla czego ten nam żyje zły — a tamten zginął.
— — — — — — — — —
Sami nareszcie wiedzą bogaci, bez pracy
Piękni — pytaliście się — dla czego my tacy?...

Owóż, w tym zrodzonym na rozgraniczu między latami 1844 i 1845 (czyli napisanym w pół roku mniej więcej po powstaniu *Genezis)* poemacie znajdujemy ślady wyraźne *wyprzedzających go*, gorączkowych prac apostolskich i apologetycznych; ślady rozmów i wykładów nietylko o tem, co już *Genezis* w sobie zawarła, lecz i o „rajskim dniu,“ o „wiecznym celu świata,“ o „drogach do niego wiodących“ i t. p.; ślady wreszcie stosowanych w tych pracach

i „namowach“ „sposobów Sokratesowych“ (Teog. 37_{12} — 38_5). Nie były to bynajmniej rzeczy „mniej ważne“ dla poety, jak twierdzi prof. Tretiak. Żartobliwie chyba na wszystko się zapatrując, przypuścić można, że tak gwałtowne mistyczne ducha sprężenie, jakie w każdem wierszu *Genezis* odczuwać się daje, opadło, ścichło, przygasło zaraz po jej napisaniu — i ustąpiło miejsca obojętnie artystycznym „nałogom dramatyzowania“ czy nawyknieniom do rytmów i rymów. Owszem, po owem objawieniu nad morzem, które „podyktowało“ *Genezis* „bez przyzwolenia na to myśli, przy uśpionych władzach rozumu“ (List do Remb. 43_{1-5}), poeta przez cały szereg miesięcy głębiej niż kiedykolwiek tkwił w swojej „egzaltacyi.“ Prawda, wiara widząca, „idea jedności duchowej“ — oto co go fascynowało teraz wyłącznie i jedynie. O swojej „pełnej wymyśleń kalecie“ (Ben. XII, P. P. 1866, II, 152) zapomniał, zda się, doszczętnie. Jeszcze w lutym r. 1845 wołał do matki, w odpowiedzi na jej zarzuty, iż nie pisze, jak dawniej pisał: „Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o *poezyę dla żywych* ludzi... Kto pierwszy z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię, i sam się położę pod nogami. aby stał wyżej i *prawdę* zawsze oglądał z wysoka.“ Że zaś sam taką poezyę dla żywych ludzi widział w *Śnie srebrnym Salomei*, w *X. Marku*, i zwłaszcza w tym *Xięciu niezłomnym*, który mu „kości wewnętrzne połamał,“ więc jeśli — poza *Teogonią* i może próbami dokończenia, *pozbycia się* Beniowskiego — pisał w tym czasie coś poetyckiego, to jedynie dorzucał snadź to i owo do własnych dwóch „książąt niezłomnych,“ którzy mu się z tamtego Kalderońskiego urodzili, retuszował może jakieś szczegóły w gotowym już prawie *Agezylauszu*, lub przerabiał, zmieniał, w nową próbował ująć redakcyę powstałego również przed drugim wyjazdem do Pornic *Zawiszę*. I nad tem wszakże niewiele zapewne pracował. Co innego zabierało mu teraz czas wszystek. Naprzód — opracowywanie *Genezis*, szukanie dla niej coraz doskonalszych, coraz bliższych treści wyrazów. Ze świeżą jeszcze w duszy pamięcią olśnienia rewelacyjnego, w którem pismo to powstało jakby „jednym ciągiem pióra, jednem tchnieniem modlącego się ducha,“ — czuł poeta tem żywiej, że słowa, jak zawsze, myślom kłamały, że to, co napisał, nie wyraża jednak dostatecznie tego, co w sobie widział, że forma „chybia,“ że wykład tej filozofii ducha jest „słaby i niedostateczny“ (Bieg. Pam. 35). Powracał tedy do swej „modlitwy“ nieustannie, przerabiał, kreślił, poprawiał, szukał wyrazistszych dla myśli równoważników słownych — i jeszcze w nocy z 20 na 21 kwietnia r. 1845,

w chwili owego przełomowego „oświecenia ogniami niebieskiemi," widzimy go „wahającego się z wydaniem tej księgi," pogrążonego w pracy nad nią i „będącego właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka" (Bieg. Wykł. nauki, 116_{8-10}). Jednocześnie czuł potrzebę rozwinięcia swej filozofii ducha aż do ostatnich konsekwencyj, przeprowadzenia jej przez przeszłość ludzką i teraźniejszość aż do finalnych ducha celów, rozwiązania różnych jej wyników i zastosowań, religijnych, naukowych, etycznych, społecznych, politycznych, ustalenia jednem słowem całej nauki, aby odtąd „przeciwnicy prawdy i wrogi wszelkiego duchowego ruchu w narodzie" nie mogli już „szkodzić idei, kładąc na karb jej to, co było fałszem, pomyłką albo oszukaństwem sektarzy" (Bieg. Pam. 36). Wreszcie, widział konieczność zwalczania zarzutów, odtrącania napaści, wykazywania błędów w pogiądach przeciwników, aby nawet z tej negatywnej strony dopomódz swemu apostolatowi. Wszystko to wydawało mu się jednako pilnem, jednako nieodkładalnem, wszystko naraz tłoczyło się do głowy, zajmowało myśli, domagało się sformułowania — i wywoływało owe urywane, niekończone często, niesystematyczne, odręczne notaty, dyalogi, wykłady, parabole, kazania, polemiki, rozproszone po notatnikach oraz oddzielnych ćwiartkach i arkuszach.

Taka była atmosfera duszna poety od powrotu z Pornic w roku 1844 aż do owego widzenia ogni niebieskich w kwietniu 1845 r., atmosfera wyłącznie pragnieniem „prawdy" wypełniona, żadnym „wymyśleniom" poetyckim niesprzyjająca, żadnych nieznosząca zboczeń, wszystkie myśli, chcenia, marzenia ku jednemu świetlnemu kierująca punktowi. To też jedyny w tym okresie czasu zrodzony utwór poetycki, którybyśmy raczej *Listem apostolskim do Sofosa* niż *Teogonią* nazwali, nie potrzebował być nawet żadną „przeróbką" z owych powstających jednocześnie zapisek prozaicznych. Co urywki prozy streszczały tylko, to szerzej, pełniej żyło w duchu poety, to tak despotycznie nim rządziło, że zbyteczne było jakiekolwiek notat pośrednictwo. Poeta zaczął pieśń swą „cicho" — i wnet „anioł" jedynie wiodącej go wtedy „logiki" skierował tok wierszy w swoje łożysko i uczynił z poematu wierne odbicie wyłącznych w owym czasie preokupacyj dusznych twórcy, wierne — w odpowiednich ustępach — powtórzenie owych różnych notat i „rozmów." Podobnież jałowem i bezcelowem jest doszukiwanie się w t. zw. III akcie *Zborowskiego* przeróbek z *Genezis*. Zbieżności i analogie tłómaczy dostatecznie potęga fascynacyi, z jaką niektóre wizye i obrazy, acz raz

już wcielone w słowie, nie opuszczały jednak wyobraźni poety, póki znowu innego ujścia sobie nie znalazły.

Przyjrzyjmy się jeszcze—gwoli ostatecznemu zamknięciu sprawy — t. zw. II części *Wykładu nauki.*

Prof. Tretiak, porównywając ją z *Teogonią* (II, 303—305), dwie tylko wewnętrzne znajduje różnice: w imionach bohaterów obu utworów, oraz w poglądach Słowackiego na metampsychozę. Co do zmiany imion, wiemy już teraz, iż nastąpiła ona w sposób odwrotny, i znamy jej powód. Co do poglądów zaś na metampsychozę, były one „łagodniejsze“ w *Teogonii,* bo poeta uważał wówczas Węgierską za „czystego ducha prawdy i piękności,“ gdy zaś zaczął o tem powątpiewać i Heloizą ją nazwał, wydało mu się możebnem nadejście chwili, że ją „pan Bóg za niegodną ludzkiej formy osądzi.“ Że, według Słowackiego, rogatka dzieląca świat ludzki od zwierzęcego, nie dla wszystkich duchów w kierunku wstecznym zamkniętą była, świadczy *List do Rembowskiego:* „... czysty jedynie duch prawdy i piękności [wyzwolony ze „smętnego ciału własnemu poddaństwa“] w wyższe sfery wstępować może... inne zaś duchy, męty niby świata... w roztopionym bronzie form genezyjskich i w ogniu bolesnych udręczeń wyrabiać muszą swoją naturę... niby kruszce w płomieniskach wewnętrznych ziemi przetapiane, aż pokąd czystej i Bosko-ludzkiej formy informować nie będą zdolne...“ A gdzieindziej: „Podług przeczuć naszych są nasze pośmiertne niebiosa.“ (Bieg. 59 i 65).

Uważnego atoli badacza więcej daleko różnic uderzyć było winno, różnic wagi pierwszorzędnej dla oznaczenia chronologii utworów. Przedewszystkiem, w *Rozmowie z Helionem i Heloisą* mamy po raz pierwszy przeprowadzoną prawie aż do czasów dzisiejszych — od koniczyny aż do wynalazców druku i pary — ową snującą się przez wieki powieść reinkarnacyj ducha. Nietylko w *Teogonii,* lecz i w rozdziale *Listu do Rembowskiego,* zatytulowanym *Historya aż do nas,* poeta urywa tę powieść na wygnaniu z raju, przechodząc potem odrazu do celów ostatecznych. A jednak taki konsekwentnie przeprowadzony dowód historyczny wydawał mu się koniecznym. „Że ta sprawa [Boża]“ — czytamy pod koniec Listu do Rembowskiego (Bieg. 92) — „szła ciągle — logicznie — w tworzeniu się wiar i narodowości — sądzę iż ci tego dowiodę w następującym ułamku — który niegdyś tłómaczył przeszłość historyczną ducha wszelkiego przed młodością nic niewiedzącą, a różnemi marzeniami rozegzaltowaną.“ „Ułamkiem“ tym nie mogła być gotowa, całkowita *Rozmo-*

wa z Helionem i Heloisą, lecz jakieś wcześniejsze notatki, z których dopiero całość trzeba było ulać. Świadczą o tem choćby tylko dołączone przez Biegeleisena zaraz po powyższym ustępie *Listu do Rembowskiego* (str. 92), zapisane na osobnej kartce, następujące, zakłopotane poniekąd wyrazy: „Teraz mógłbym już o! najmilejszy zapalić nad tą nauką lampę celów ostatecznych — i podług świętego Jana rozwiązać przeznaczenie prac duchowych na globie... potrzeba mi jednak wprzódy historycznym dowodem podeprzeć naszą wiarę widzącą... Jakże to uczynię?“

Mamy atoli inne jeszcze dowody, że II część *Wykładu nauki,* taka, jak ją dziś posiadamy, pisana była stopniowo, częściami, kończona wszakże dopiero jednocześnie z *Listem do Rembowskiego*, lub raczej po nim nawet. Fascynacya jednakich obrazów i myśli wskazuje przedewszystkiem, że *początek* pisma tego powstawał w tej samej epoce, co druga część *Zborowskiego.* „...Gdy duch w podniesieniu“ — czytamy w II części *Wykładu nauki* (Bieg. 174) — „rzekł głowa kolumny... toś uczuł wstrząśnienie wnętrzne albowiem w duchu twoim widziałeś jej usta i oczy... i jakoby w błyskawicy jednej słyszałeś ją mówiącą ustami... oczyma patrzącą na pole maratońskie — sercem czującą zgon rycerzy... czułeś więc, że wieszcz mówiąc o duchu kolumny prawdę powiedział“ [1]). Porównajmy z tem wiersze 2492—2498 w *Zborowskim:*

U nas, gdy powie wieszcz, kolumny głowa,
To się kolumna ta duchowi kreśli
Z ustami, z których lecą wielkie słowa,
Z głową, gdzie wielkie, kolumnowe myśli,
Z oczyma. I wnet spytaj się gawiedzi,
Powie, że serce w tej kolumnie siedzi,
Serce, co wiecznie się pęka i broczy.

Widoczna w *Zborowskim* transpozycya poetycka (przyswojenie sobie i zastosowanie do innych celów — tego, co w *Wykładzie nauki* było prostą cytaty analizą) — świadczyłaby o następczem powstaniu tej części dramatu. Natomiast część jego pierwsza (akty I — III), którą zwaćby należało *Eolionem,* wyprzedza niewątpliwie opowieść prozaiczną. Dowodzi tego cały epizod egipski,—będący w dramacie krótkim jeno, nawskroś jeszcze romantycznym ekscerptem z przechowanego w *Dzienniku podróży na Wschód* (1836) planu *Rhamezesa,* — rozwinięty zaś, zasadniczo zmodyfikowany, ślady wtórnych, acz nieco mętnych studyów oraz przemyślań noszący, daleko szerzej epicki i filozoficzny — w *Wykł. nauki.* P. W. Hahn

[1]) Tenże obraz spotykamy *pod koniec* I części *Wykładu nauki* (Bieg. 147).

(Samuel Zborowski, 1905, *passim)*, uplanowawszy sobie z góry, że „poeta naprzód rozprowadzał swój system w utworach prozaicznych," nie daje się przekonać nawet tym różnicom, które sam zauważył (np. co do postaci Homera), z uporem twierdzi, iż „z łatwością znajduje" w owym planie *Rhamezesa* „zarodek głównych pomysłów (?!) rozprowadzonych w *Wykładzie nauki*," jako to „scenerye poematu, aleję sfinksów, alabastrowy sarkofag, obelisk, motyw, że siostra wychodzi za mąż za brata, motyw wyrycia historyi miłości na obelisku, szczegół wreszcie o lat trzech tysiącach" — i koniecznie czyni dzieci króla Rhamezesa późniejszą przemianą Heliona i Heloisy. Niestety, wszystkie prawie owe „główne pomysły" są to zaledwie *teatralia*, mające robić „kolor lokalny." Toć nawet motyw wyjścia siostry za mąż za brata nie jest wcale pomysłem Słowackiego, lecz charakterystycznym zwyczajem faraonów. To też takich „pomysłów" nie potrzebował wcale poeta czerpać ze swego planu *Rhamezesa*, bo mógł je wziąć z pierwszej lepszej historyi cywilizacyi egipskiej. Natomiast pewna, że niektórych pomysłów rzeczywistych nie byłby Słowacki pominął w *Eolionie*, gdyby dramat był powstał po II części *Wykładu nauki*. Tak np. zastanawia się p. Hahn nad słowami w *Wykładzie nauki* (Bieg. 192): „Gotów już, Helois, wiarę twoją oskarżać o oszukaństwo, a ciebie martwej żałować, żeś oszukana,"— i dochodzi do wniosku, że „nie wiedzieć napewno, w czem (sic) ma polegać owo oszukaństwo" (str. 13). „Nie o wiele lepiej" — dodaje potem — „przedstawia się rzecz w Samuelu Zborowskim." Owszem, odpowiemy, uważniejsze czytanie obu utworów pozwala wywnioskować w tej kwestyi coś *zupełnie* pewnego. Syn Rhamezesa żąda od Maga tyfońskiego przysięgi, że wszystko „w tym samym kształcie znowu się postawi," gdy po trzech tysiącach lat, z tegoż alabastrowego sarkofagu, *w tych samych ciałach*, on, król, będzie się budził z siostrą i żoną Atessą. Ta wiara „w zmartwychwstanie ciała" — jakże zawodną, jakże oszukańczą wydała się poecie, gdy „przy pochodni błysku... do grobu zawitał, i stanął, i coś czytał na smętnym obelisku," i ujrzał, że „dawne groby próżne," że „sarkofagi straciły... proch — ciało," że „nic z nich nie zmartwychwstało... choćby też muszki ciało!" Wtedy to, podczas owych odwiedzin w Egipcie, musiał powstać ów zawrotnie melancholijny *Chór duchów:*

O smętny! o kochany!
Srodze ty oszukany!...

Później, pisząc *Eoliona*, poeta, ujęty niewysłownym łkających tych strof liryzmem, włączył je do dramatu, ale nie dość wyraziście uwydatnił, w dodanej wtedy zapewne strofie 6-ej, nową wiarę w du-

cha kolejne przerodziny i wcielenia. Ztąd pozorny rozdźwięk tego chóru z całością dramatu, ztąd niejasność, na czem polega owo „oszukanie.“ Gdyby II część *Wykładu nauki* była napisana przed *Eolionem,* poeta nie pozostawiłby napewno i w dramacie tej niejasności, którą w prozie najdokładniej omówił i rozwiązał. Bo jakże to p. Hahn czytał *Wykład nauki?* Na tej samej 192 stronicy Biegeleisenowskiej edycyi, zkąd cytował „dziwiące“ go słowa o „oszukaństwie,“ czytamy o kilkanaście wierszy dalej: „...duch twój zażądał i zażądawszy uwierzył, że *w tej samej formie* na świat powróci.“ Oszukaństwem wiary było właśnie obiecywanie tej samej formy, bo ciało zniszczało w grobowcu. Ale duch — acz w innej postaci — powrócił. „Co do ducha więc“—ciągnie dalej poeta—„Bóg ciebie nie oszukał: co do ciała dał więcej niż żądałaś... albowiem dał formę wyrobioną przez mękę Chrystusową i dziś jesteś tem, co się nazywa typem... to jest królową z ducha podobnej tobie duchów gromady...“

Samo to dowodziłoby już dostatecznie, że epizod egipski w *Wykładzie nauki* później od Eoliona powstać musiał. Ale oto — tak częsta u poety fascynacya przeciągła tych samych obrazów na bliższe pozwala daty oznaczenie. Atessa w *Eolionie* jest raczej drugorzędną, bierną postacią. Helois, jako królowa egipska w II części *Wykładu nauki,* to wielka mocarka ducha, mogąca „oćmić oczy błyskawicami dawnej wiedzy, to natchniona twórczyni wiar dla milionowego ludu, chciwa nowych ducha tajemnic, pytająca o nie gwiazd, szukająca ich w wieściach ludzkich. I poeta maluje nam ją, w jakimś „roku tysiącowym,“ właśnie w przededniu zbudzenia się w niej nowej wiary w zmartwychwstanie ciała, śniącą już o tej wierze i przysluchującą się bacznie obiegającym świat wieszczebnym i objawiennym, heroicznym i symbolicznym opowieściom — o śmierci króla Dawida, o wyprawie Argonautów, o Jazonie i Medei, o Orfeuszu i mocach jego lutni (Bieg. 190). Jakże analogicznie, jak identycznie prawie brzmią opisy przedednia nowej wiary w piastowskim rapsodzie *Króla Ducha:*

Wieki minęły krwawe — świat był nowy,
I źródło ducha trysnęło z kamienia;
Nadchodził wielki ów rok tysiącowy,
Który narody jak gwiazdy odmienia.
Dawniej — Sezostrys, i Orfeuszowy
Dźwięk lutni nimfy wywodził z kamienia,
I usłyszano w Oceanid łonie
Wieść o chodzącym po morzu Jazonie.

Najwyższa w niebo rosła piramida,

Na nią zlatywał rumak Perseusza;
Świat cały w strachu wieściach; Atlantyda
Herkulesowi z rąk pierzchła, jak dusza:
Nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida
A pod nią każdy duch swym ludem rusza...
(III, 1, VI—VII, P. P. 1866, II, 203).

Albo piękniej, wizyjniej snadź jeszcze — w waryancie tejże pieśni (P. P. 1866, II, 359):

A już kraina żyt, bożemi słowy
Zasiana, ciszy wielkiej dostąpiła,
I wschodził nad nią ów rok tysiącowy
Wielki, cudowny. Duchom się odśniła
Moc dawna czasów — śpiew Orfeuszowy,
Kamienna przezeń poruszona bryła,
Podług tych głosów, które ruch uczynią,
Nagle stająca — nimfą lub boginią.

Odśniło się znów duchom, że widziały —
Przed dwutysiącem lat będąc jak dusze —
Piramid aż do gwiazd rosnące skały,
Przelatujące niebem Perseusze,
To znów Dawida harfę i chorały
Święte...

Tak bliskie nastrojem i obrazami ustępy powstać mogły tylko bezpośrednio po egipskim epizodzie w *Wykładzie nauki*. Że zaś — jak stwierdza notatka w *Dzienniku* poety (Bieg. 229) — trzecia pieśń drugiego rapsodu (który u Małeckiego stał się trzecim) dokończona została d. 25 paźdz. 1847 r., — więc pieśń pierwszą, z której pochodzą powyższe oktawy, oraz prozaiczny epizod egipski, umieścić należy, co najdalej, gdzieś w początku tegoż roku lub w samym końcu 1846-go. Może nawet do tych prac obu odnoszą się słowa w liście do matki z 14 grudnia 1846 r.: „Pracuję, myślę, przygotowuję moje obrazy na expozycyą. Malarstwo mię zatrudnia, chciałbym w tych płótnach światło wyrazić więcej niż kolorowość natury, światło z którym w oczach Rafael zaczynał.“ Przygotowywanie na ekspozycyę oznacza niewątpliwie druk ukończonego już pierwszego rapsodu *Króla Ducha*, — a owemi płótnami, w których poeta chciał wyrazić światło więcej niż kolorowość natury, nie mogło być nic innego, jak dalszy ciąg *Rozmowy z Helionem i Heloisą*, pisany — jak gdyby według rady Ducha w *Poecie i natchnieniu* — „w czystym bezkolorze,“ oraz piastowski rapsod *Króla Ducha*, w którym na wstępie takie spotykamy strofy:

Bóg ojców, który mię raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i naszedł wieczorem

I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...

— — — — — — — —

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnej uwolniony troski,
Cały się zdając na moc i duch boski...

Po epizodzie egipskim poeta porzuca wcielenia Helois, każąc jej spać w „obelisku“ (?), a przeprowadza Heliona przez cały szereg reinkarnacyj, na przemian to siebie, to osobę trzecią pod tem kryjąc imieniem. Pod sam koniec *Rozmowy* — oto co Tłómacz Słowa-Słowacki opowiada o Helionie-sobie samym: „A teraz moja Helois — Egipcyanko moja, oto brat twój Helion przemądrzały... poznał, że czucie i wiedza... mają być razem do lotu użyte... i oto duch jego dawno już przyoblekał ciało w tej ogromnej respublice... gdzie wokoło wrzały wulkaniczne siły ducha Bożego... *postawił on nawet dwa ogromne posągi*... twoim dawnym śpiewającym kolorom [1]) podobne... *posągi będące formą przyszłego ducha*... które mają ten rozmiar, że przez ludzi z ciała budujących napełnione być nie mogą, ale są posągami Sfinxowemi przyszłości... *Obiór jednego przez wszystkich i zaprzeczenie wszystkim przez jednego*...“ Zasługę wzniesienia tych dwóch Sfinksowych posągów przyszłości mógł poeta przypisywać sobie dopiero po napisaniu i wydaniu rozprawki *O potrzebie idei,* tam bowiem po raz pierwszy wypowiedziany został stanowczy postulat „zbudowania kraju na wolności ducha ludzkiego, z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń.“ Broszurka owa wyszła w r. 1847, lecz raczej w drugiej jego połowie, niezadługo przed prelekcyą Edm. Chojeckiego (7/X 1847), która zrodziła się niewątpliwie pod jej wpływem. Prof. Tretiak, twierdząc bez żadnych dowodów, iż ukazała się ona w samym początku roku, i że oświadczenie Słowackiego w Towarzystwie historyczno-literackiem (25/III 1847) o potrzebie wystawienia przez nie „jakiejś myśli, Idei“ miało na celu zręczne zareklamowanie ksią-

---

[1]) Czy nie „śpiewającym kolosom“ raczej? Memnonom? Wydawca musiał źle przeczytać.

żeczki, — popełnia jedną z tych licznych śmieszności, do jakich doprowadziła go mania odnajdowania w poecie wszystkich możliwych mizeryj i meskineryj. Jeżeli Słowacki pod koniec marca mówił o potrzebie wystawienia „*jakiejś* Idei," to niewątpliwie chciał *potem* sam określić, *jakiej* — i ztąd zrodziła się broszura. Dopiero po replikach na nią (pośrednich zresztą) w *Trzecim Maju,* oraz w odczycie K. Hofmanna (4/XI 1847), poeta doszedł do wniosku, że jego „posągi" przez ludzi „z ciała budujących" zrozumiane być nie mogą, i nazwał je „posągami Sfinksowemi przyszłości." Tak tedy — ukończenie II części *Wykładu nauki* odnieść możemy z całą pewnością aż na sam koniec roku 1847.

Powyższe sprostowania co do chronologii utworów stwierdzają już kategorycznie, że ani w Szczęsnym z *Teogonii,* ani w Helionie z *Wykładu nauki* niemożna dopatrywać się Szczęsnego Felińskiego, którego Słowacki poznał dopiero w początkach roku 1848. Ale — o ile Helion w *Wykładzie nauki* mało ma cech indywidualnych i tylko w chwilach, gdy w samego poetę się przeobraża, żywej postaci robi wrażenie — o tyle Szczęsny w *Teogonii* scharakteryzowany jest kilku zwięzłemi, lecz tak wyrazistemi rysami, że same one — dla uważniejszego czytelnika — winne były stanąć na przeszkodzie wszelkim co do Felińskiego przypuszczeniom:

> ... a nie mniejszą pięknością przy tobie
> Świeci twój brat, w piekielnej po słońcach żałobie,
> Głęboki smutnik — wielki zamyśleniec, dumny,
> Który chce po naukę koniecznie do trumny...

Można-ż było — nawet odnosząc mylnie *Teogonię* do roku 1848 — widzieć w tem „kochanego" i „kochającego," a choćby nawet „skarb i brylant" — „Felusia," o jakim Słowacki pisywał do matki? Owe wzmianki w listach świadczą o wielkiem przywiązaniu poety do Felińskiego, o jego prawie ojcowskich co do przyszłości ulubieńca nadziejach, ale nie wskazują bynajmniej, aby mu tenże w czemkolwiek imponował. Tymczasem wyrażenia o Szczęsnym w *Teogonii* tchną przedewszystkiem jakimś wielkim podziwem i szacunkiem. Poeta nie godzi się z jego skłonnością do „utysku," zarzuca mu, jako

> Ani wie, że się schodzą dwóch żywotów końce,
> A czasem między niemi jest grzmot albo słońce,

ale, mimo wszystko, w tym „smutniku'" w tym „zamyśleńcu dumnym" uderzają go jakieś rysy prawie posągowe, jakaś niezwyczajna „piekielność" w jego „po słońcach żałobie," jakaś moc myśli, jakaś powaga ogromna:

... on, twój brat... od orłów lotność doskonałą
A od lwa wziął powagę... a to, co ku zdradzie
Duchowi dziś — szał może w słodkim winogradzie
Wypracował...

Szczęsnym z *Teogonii* był z całą pewnością *Feliks* Węgierski. Świadczą o tem — nietylko przytoczone powyżej szczegóły z życiorysu pani Zofii, nietylko wyrażenie Słowackiego na pierwszej stronnicy t. zw. *Wykładu nauki* (Bieg. 115) o dwojgu „jasnych, smętnych i rozmiłowanych," — lecz i pewne inne jeszcze wskazówki. Pani Zofia przybyła do Pornic i Paryża już po zerwaniu z pierwszym mężem, już jako Węgierska. Był to wszakże, zda się, tylko związek serc bez małżeństwa urzędowego. Jako „separatka," poślubić Węgierskiego nie mogła [1]) — i ztąd owa, przy rozmiłowaniu, „smętność" obojga. Stosunek „nieulegalizowany" narażał ich zapewne, i w ówczesnym plotkarskim powiecie paryskim, na mnóstwo przykrości. Słowacki natrąca o tem parę razy w *Teogonii*, zaznaczając swą wiarę w prawość ich uczuć i swoje dla napastowanych przez świat współczucie:

... kiedym patrzał w oczy, coś w twojej źrenicy
Błysnęło niby słońce w oczach gołębicy,
Tak, że *pomimo świata rozbojów i złości*
Stoisz dotąd jak posąg biały niewinności...

A nieco dalej:

... moje wesele — spokój — przeszły mimo,
Jako około kwiatów powalonych zimą
Anioł wiosny przechodzi, a wyście zostali,
Pytając: zkąd my przyszli? czemuśmy płakali?
Dla czego bez ojczyzny żywot nasz przeminął?
Dla czego ten nam żyje zły — a tamten zginął...

I później jeszcze, w r. 1848, polecając Węgierską Stattlerowi, dyskretnie ostrzega go, aby nie zwracał uwagi na puste formy zewnętrzne: „Chciałbym, aby *wszystko to, co ma w sobie pierwiastek*

---

[1]) Wspomnieliśmy wyżej, że jeszcze w czerwcu i lipcu r. 1848 Słowacki prosił, aby mu listy posyłać do Wrocławia pod adresem: Madame Sophie Mielęcka [nie: Węgierska]. Tegoż atoli roku, „w dniu Bożego Narodzenia," pisał do Stattlera: „Nieraz przed panią Zofią *Węgierską* chwaliłem się z tej miłości, którą mnie serce twoje darować raczyło." Trudno przypuszczać, aby ślub jej z Węgierskim nastąpił między lipcem a grudniem 1848 r. Prawdopodobniejszem wydaje się, iż byli oni państwem Węgierskimi dla przyjaciół umiejących szczery związek serca uszanować, że wszakże urzędownie pani Zofia, zwłaszcza w pasportowych krajach niemieckich czy austryackich, nie przestała być Mielęcką. — Zresztą, znacznie później jeszcze, sama ona, która stale, przedtem i potem, podznaczała swoje kroniki w *Bibl. Warsz.* nazwiskiem Zofii Węgierskiej, nagle w r. 1867 podpisuje się: Zofia z Kamińskich Mielęcka.

życia, zbliżało się, stawało w jeden wieniec wzajemnie pobudzający się do ruchu i do wspólnej harmonii. Obracajcie się wkrąg, jak dawne greckie godziny, piękne i śpiewające, *a nie dawajcie się uciemiężać starym formom,* które stoją dla tego, bo są spróchniałe, i wszelkiej twórczości świętej zaprzeczają. Ty, kochany Wojciechu, bądź regulatorem tego zegara i pomagaj ruchowi godzin, a nie pozwalaj, ażeby która wykroczyła."



Chronologię pośmiertnych dramatów Słowackiego niemniej bałamutnie dotąd traktowano. Prof. Tretiak mówi hurtem o *Zborowskim, Agezylauszu, Zawiszy Czarnym, Z dziejów wielkiego Nowogrodu* —w jednym i tym samym rozdziale, opisującym pierwsze chwile po powstaniu *Genezis,* i powołuje się nawet na list do matki z 8-go października 1844 roku, twierdząc, iż pracą, o której Słowacki tam mówi, były najpewniej te dramata (II, 94). Że jest to w sprzeczności oczywistej z podanemi dalej nieco szczegółami o *Agezylauszu* (II, 113—116), —nic to szan. profesora nie obchodzi— i z uporem raz jeszcze nietylko *Zborowskiego,* lecz i trzy pozostałe dramata do „owych czasów" (zaraz po napisaniu *Genezis)* odnosi (II, 113).

Sprawdźmy rzeczy po kolei.

Chronologię *Agezylausza* i *Zawiszy Czarnego* z łatwością i dość ściśle ustalić można. D. 28 listopada 1843 r. donosi Słowacki matce, iż „przedwczoraj dopiero imieniowi jej wywiązał się z długu," t. j., że ukończył *Sen srebrny Salomei.* Musiał już wówczas być ukończonym i przekład *Księcia Niezłomnego,* skoro obie książki wyszły wnet potem prawie jednocześnie, tak, że przed 15 stycznia 1844 r. mógł poeta przesłać W. Stattlerowi, obok swoich dwóch „obrazków" *(X. Marka* i *Snu Salomei),* „dawny wielki obraz starego Hiszpana odlakierowany na nowo." Nie o przekładzie tym tedy, lecz o jakichś innych pracach, które się w jego ciągu lub bezpośrednio po nim rodzić jęły, pisał do matki w tymże liście z 28/XI 1843 roku: „Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od

Boga przyszło do pracy, a mam tę chwilę, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, *aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych...*" O jakich-ż to „najpiękniejszych" mogła być mowa, jeśli nie o „świętej postaci" Króla Agisa, „na której leży ducha namaszczenie;" jeśli nie o tym tak cudnie, tak niebiańsko rubasznym „panu Czarnym," „orle" o „czystem sercu łabędziem;" jeśli wreszcie, nie o owym „najśmielszym z rycerzy," który ojczyźnie „był do końca wierny" i różnej nędzy dla niej kosztował, jeśli nie o Beniowskim z fragmentów dramatycznych?

Co do *Agezylausza,* sen zapisany w czerwonej książeczce pod datą 14/15 kwietnia 1845 r. (a umieszczony w końcowej scenie III aktu), oraz dwa przytoczone przez prof. Tretiaka listy do matki (z 16/IV i z 30/XI 1844), stwierdzają dostatecznie, iż dramat pisany był w r. 1843 i pierwszej połowie 1844, przed drugim wyjazdem do Pornic, a co najwyżej kończony lub poprawiany po powrocie ztamtąd. Że, mimo wzmianki o Królu Agisie w liście do matki z 5/II 1835, *Agezylausz* jął się kształtować dopiero po „transfiguracyi," świadczy cały ton utworu oraz charakter głównej postaci.

Tworzenie *Zawiszy Czarnego* szerszy obejmuje okres czasu. Pierwsza redakcya dramatu, którą p. A. Górski (1906) na drugiem miejscu (od str. 61) postawił i „odmienną" nazwał, rodzić się jęła jeszcze w trakcie pisania *Snu srebrnego Salomei.* Ton jej pobrzmiewa wyraźnie już w liście do matki z d. 18/III 1843, w czysto osobistem wyznaniu poety: „...jeżeli ty mi, droga, przygotujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie, przy Wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba że się ona zmarszczy, widząc mnie cokolwiek podszarzałego na służbie Bożej żołnierza... Jeżeli więc to będzie jaka Byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady, i pod kolumnami Ateńskiemi, i z przeszłym Julem niech się żeni... bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą i wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili, i którym ten owoc w ustach zgorzkniał... albo ci, którzy go nie otrzymali i dotąd cierpią..." Ten „podszarzały na służbie Bożej żołnierz," te poglądy na kobietę i miłość, ten smutek finału, — wszystko to tak echowo odpowiada całemu nastrojowi owej pierwszej redakcyi dramatu, że niewątpliwie w tem właśnie usposobieniu i w tym samym czasie zaczęła się ona kształtować. W rok przeszło później znajdujemy znowu — i to wyraźniejsze — echo dramatu w liście do matki

z 14/V 1844 r. „Wiesz ty, droga moja“ — pisze poeta — „że jeżeliby mi co teraz było niebezpiecznem, to właśnie szczęście ludzkie, szczęście jakie wielkie, ogromne a zupełnie ludzkie, spotkane na tej drodze, na której siły się moje zastosowały już do innego życia; póki walki, póki oporu, póki nadziei, póty ja jestem nieranny. Jak to czuł kiedyś Homer, raniąc Achillesa w piętę!“ — Nie identycznie-ż śpiewa *Chorus* na wstępie do pierwszej redakcyi (ed. Górskiego, 1906, str. 65):

Jeśli co może duszę połamać ogromną,
To zapewne, że miłość... czysta i nie blada...
Wszakże się prędko troski światowe przypomną
I dawnych myśli wielkich — krzycząca gromada
Prędko wielkiego ducha wyrywa z niewoli
Tak, że te więzy wszystkie rwie... choć serce boli ..

Druga redakcya natomiast, której A. Górski pierwsze dał miejsce (str. 3—60), powstała z całą pewnością już po *Genezis* oraz po poznaniu Węgierskiej, i to prawdopodobnie nie zaraz, lecz dopiero w r. 1845, gdy poeta ochłonął nieco z absorbujących go prac nad filozofią ducha. Wiersz wstępny: „Śni mi się jakaś wielka przez wieki idąca powieść,“ został napisany niewątpliwie tuż po owym nieposłanym matce liście z lutego 1845, w którym poeta tak gorzkie, tak namiętne robił jej wyrzuty, że chce dla niego sławy i oklasków, że „do nóg by upadła autorom artykułów i portretów,“ że w każdym utworze przypomnień tylko jego postaci szuka. Nie z tegoż uczuć źródła — i to natychmiast, bezpośrednio — wypłynęły owe pod nadmiarem przejęcia chwiejne aż i niepewne wiersze prośby razem i obietnicy:

— — — — O pomóż Zbawicielu
Abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu
Doprowadził... a ludzkim się nie zmieszał oklaskiem,
Ani łzami się zalał, ni ścmił Twoim blaskiem.

Ojczyzny nieśmiertelnej... serce wielkie niech słyszę
Ciągle w sobie bijące — a na wielką się ciszę
Przygotował [przygotuję]... że żadnych ztąd oklasków nie będzie...

I w samym tekście dramatu mamy dla asercyi naszej dowody. Ten jawiący się w drugiej redakcyi dopiero Król Jagiełło, któremu „wschodzą myśli nieznane nikomu,“ w którego oczy „niby napół śpiące *przedstworzennych* wypadków błyskają miesiące.“ To wyraźne przeciwstawienie — w Jagielle i Zawiszy — Mickiewicza i siebie, z aluzyą raz jeszcze, acz tym razem łagodną i niepozbawioną

nadziei[1]), do wypadków z 29 listopada 1844 roku (ed. Górskiego, str. 16):

Nie obaczycie więcej takiego mocarza,
Który *bez miecza... sercem narody wojował...*
I duchy swe wywołał z wiatru i z cmentarza,
A te, które przeciwne, do ziemi pochował
I w ciągłym cztery wieki utrzymywał spaniu
I sprzeciwił się nawet teraz... zmartwychwstaniu...

Od straszliwego ducha odwracajmy oczy,
Prędzej go zobaczymy..., niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z ranami polskiemi starą pierś pokaże
I otoczą go wkoło Litewscy guślarze.

Przeciw niemu... ten drugi duch... przez ciernie, osty
I przez żywota drogę... męczeńską przechodzi...
Jako leżąca owca u pasterza — prosty
Jak łąka... zatopiony długo od powodzi
Niewinny...

Ta wreszcie — spowodowana poznaniem Węgierskiej — zupełna zmiana w scenie pierwszego spotkania Zawiszy z Laurą, to piorunowe olśnienie bohatera jej pięknością (str. 38), to odjęcie Laurze licznych w pierwszej redakcyi cech płochości, a nadanie jej charakteru niewysłownie prostego i entuzyastycznego, ten nakoniec, przypominający wyrażenia i listu do Sofosa, i poemaciku *Poeta i natchnienie*, dyalog znaczący:

Zawisza. *Piękną jestes — a więc masz już świętości połowę,*
Dostań drugiej.

Laura. Jakże to?

Zawisza. Bądź przez serce natchniętą
I otwórz sobie sama wrota dyamentowe —
Ja tobie nie pomogę...[2]) Od jakiegoś ja czasu
Jestem przez ciemne duchy... za ramiona chwytany,
Oczy mam pełne ognia — a hełm pełen hałasu...

Wcześniejsza tedy[3]) redakcya *Zawiszy*, nazwana u Górskiego „odmienną," przypadałaby na rok 1843 i pierwszą połową 1844; póź-

---

[1]) Por.—co do tonu—początek listu do matki z d. 14/III 1845 r.

[2]) Pał się!..*nie mogę żadnej dać pomocy.*
(Poeta i natchnienie. P. P. 1866, I, 255).

[3]) Wbrew dociąganym i niekiedy (np. w punkcie 2) zbyt widocznie niesłusznym wywodom p. T. Dąbrowskiego o jej „późniejszości" (Pam. Lit. V, 110),

niejsza ciągnęłaby się przez rok 1845 i może nawet jeszcze w roku 1846.

Zupełnie fałszywie — skutkiem niedość uważnego wczytania się w tekst utworu — oznaczano dotąd czas powstania fragmentów dramatycznych o Beniowskim. Prof. Małecki wyraża wprawdzie w jednem miejscu, z chwalebną ostrożnością, „domysł“ tylko, iż dzieło to musiało być owocem czasu między latami 1839 a 1841, i w trzeciem wydaniu swej monografii głosuje nawet za rokiem 1841 (II, 173), gdzieindziej wszakże (II, 249) spokojnie znów mówi, iż rękopis dramatu leżał już na biurku poety, gdy tenże zdecydował się podjąć przedmiot na nowo — w formie poematu. Prof. Tretiak, z zupełną nonszalancyą, bez żadnych dowodów, orzeka apodyktycznie, iż Słowacki zaczął pisać dramat o Beniowskim z końcem roku 1839, i dopiero, gdy okazało się, jako stworzenie polskiego *Fausta* „przerasta“ (sic!) jego siły, zabrał się do oktaw „polskiego Don Juana.“

Pomińmy, iż gdyby Słowacki istotnie był „uczuł,“ jak mu to prof. Tretiak insynuuje (I, 202), swoją niezdolność do wielkiego ideowego dramatu, ogarniającego zagadkę żywotów ludzkich, to nie obiecywałby — *potem* — w II pieśni *Beniowskiego:* „Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta!“

Poza tym wszakże czysto logicznym wnioskiem, mamy w treści, tonie i niekiedy nawet w formie ogłoszonych przez prof. Małeckiego urywków dramatycznych dostatek wskazówek aż nadto przekonywających: — 1) że żaden z nich nie mógł powstać przed ukazaniem się pierwszych pięciu pieśni poematu; 2) że nie zrodziły się one jednocześnie, w jednym ciągu, lecz pisane były w różnych czasu okresach i różnych ducha nastrojach; 3) że są one nietyle przechowanemi cząstkami jakiejś zagubionej całości, ile raczej szeregiem jak gdyby coraz nowych prób, coraz nowych zagajeń tegoż samego tematu.

W dalszych pieśniach *Beniowskiego* niejednokrotnie spotykamy dowody zniechęcenia poety do rozwijającej się bez nadziei końca migotliwej wstęgi oktaw.

Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,
Co niby z Boga jest, lecz nie pozwala
Ta pieśń, która jest koroną i szczytem
Awantur krymskich —

czytamy w pieśni X-ej. A później jeszcze, w pieśni XII-ej:

Na powieść moją smętny człowiek czeka,

A mnie odleciał Anioł, który stwarza;
I muszę przestać strofy, która ludzi
Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.

Zdaje się wszakże, iż najbardziej dość tej „łamanej sztuki“ miał właśnie w chwilach najbliższych po wydaniu pierwszej części poematu. Dał był w przelicznych jej dygresyach bogatą, wszechstronną spowiedź liryczną duszy własnej, teraz zapragnął szerokości epickiej, linij bardziej wyrazistych, postaci bardziej plastycznych, akcyi bardziej skupionej. Chociaż tedy „rym tętniący“ poematu biegł dalej, niby „w rzymskiej ruinie kaskada,“ niosąc obrazy walk z hajdamakami i krymskich ambasad, — było to już jednak uboczne tylko, mimowolne, odruchowe chwil wolnych zajęcie. Myśl poety coś innego teraz wyłącznie zajmować jęło. Niezadługo po wycieczce frankfurckiej widzimy go pogrążonego w pracy nad *Złotą Czaszką*. Tylko do tego, wspomnień krzemienieckich pełnego dramatu stosować się może wzmianka w drugim po powrocie do Paryża liście do matki, który Meyet w swojej edycyi mylnie liczbą 74 oznaczył: „Maluję teraz rzeczy, *które mnie często w nasze strony myślą zawodzą,* i duch mój przechadza się po xiężycu w Julinkach, i pływa z łabędziami po stawach.“ Ale rzecz urwała się niedokończona. Może i jej rodzajowe szczegóły wydały się poecie „mozajkowością“ jeno, na którą we wrześniu czy w październiku r. 1841 skarżył się Krasińskiemu. On pragnął teraz wielkiego oddechu, czuł się — po wrażeniu, jakie zrobiła ogłoszona część poematu — sławnym nakoniec, tym, od którego naród cały spodziewa się i czeka, i chciał dać coś najwyższego, coś zatrącającego najgłębsze treście ludzkie. Jednocześnie, żal mu było snadź tematu Beniowskiego, który w wydanych pieśniach nazbyt przysłaniały dygresye, a który w dalszym ciągu coraz bardziej jął drugorzędnieć, rodzajowieć, uchodzić w cień przed nowo zjawionemi w widlącym się poemacie postaciami Sawy, X. Marka, Wernyhory, aż wreszcie pierwotny bohater zaprzepaścił się beznadziejnie w zbyt przewlekłych, acz tęczowo skrzących baśniach epizodu krymskiego. Szukanie dla tego ulubieńca nowej, bardziej skupionej formy literackiej zbiegło się z nurtującemi duszę poety zamiarami „faustycznemi“ — i pod sam koniec r. 1841 kiełkować jęła myśl dramatu, którego urwanym początkiem są cztery sceny t. zw. fragmentu pierwszego. „Ostatni maleńki [pięć wydanych pieśni poematu]“ — czytamy w liście do matki z 10 listop. 1841 r. — „zły jest... *Ten, co po nim, jeszcze nieznany,* ale *będzie* lepszy i piękniejszy; *zobaczysz w tym maleńkim mój obraz.*“ Słowa ostatnie nie mogą się odnosić do wydanej części poematu, bo poeta powiedziałby:

„mój *dawny* obraz.“ Toć w pierwszym zaraz liście po powrocie z Frankfurtu, mylnie oznaczonym u Meyeta liczbą 76. szeroko rozwodzi się o zupełnej zmianie swego usposobienia i nastroju. Tem bardziej — nie stosują się one do dalszego ciągu poematu, gdzie zmniejsza się liczba osobistych dygresyj, a postać samego Beniowskiego w wirze wypadków i nowych postaci raczej zaczyna tracić na wyrazistości. Mówiąc o swym obrazie, mógł poeta mieć na myśli tylko ów „faustyzm,“ którego ślad znajdujemy w słowach Fantazego, niezrozumiałych bez takiego osobistego znaczenia:

> ... jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
> Zejść się na ziemi i w tym famulusie
> *Mego Faustyzmu* niewydrwioną stronę
> Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
> Na moim grobie!

Zresztą, w tym samym liście, Słowacki zaznacza poniekąd zasadniczy rys swego obecnego obrazu: „... ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej *zimnej, marmurowej kochance,* która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy...“ Zestawmy to z podaną przez Pamfila, w pierwszej scenie, definicyą Fausta - Beniowskiego, jako człowieka, „który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy,“ a dojdziemy do wniosku stanowczego, że pisząc: „ten, co po nim,“ poeta mógł mieć na myśli tylko zamierzony dramat o Beniowskim.

Już samo wszakże wzięcie sławy za motyw główny wskazuje na pewną powierzchowność „faustyzmu“ owoczesnego. Poza tem, i w temacie faustowskim, i w arcydziele Goethego, uderzyła Słowackiego tylko strona fantastyczna. Szyderca Pamfil, wzorowany na Mefistofelesie, oraz transponowana w scenie czwartej (nad jeziorem wśród lasu) noc Walpurgi — oto jedyne prawie analogie z niemieckim dramatem metafizycznym. Głębi ideowej, dna faustowego jeszcze tu ani śladu. Poeta nie wyczekał, aby „myśl rozogniła się“ należycie i przystąpił do swego „Fausta“ z tą samą jeno kapryśną, rozkiełzaną wyobraźnią, która tak migotliwemi tęczami grała w oktawach poematu. To też — mimo zasadniczych zmian w treści i formie, mimo tak jak nigdzie urozmaiconych i cudownie alternowanych rytmów, w których czuć chęć wyzwolenia się nawet z zewnętrznej niewoli oktawowych jedenastozgłoskowców—owe cztery sceny pierwszego fragmentu tak dalece nie różnią się, co do nastroju, charakteru i całego typu twórczości, od ogłoszonej części poematu, że możnaby je wziąć za jakiś luźny jej ciąg dalszy. Te same

tu, co chwila, odstąpienia od tematu, te same zbyt przewlekłe, acz w sobie cudne epizody (np. owe folklorowe sceny z Grażułasem, a później z krakowiakiem), te same dygresye, aluzye, polemiki, echa zdarzeń i wyrazy uczuć osobistych, to samo, jednem słowem, odbicie całego wewnętrznego i zewnętrznego życia poety. Oto, naprzód, niewątpliwe wspomnienia o pani Bobrowej, świadczące raz jeszcze, że utwór mógł powstać dopiero po powrocie z Frankfurtu. Jedno — smętne i tkliwe:

Uśmiech się kryje w twoich jasnych dołkach;
Ale sen ciężki, jak smutek, tęsknota,
Leży na czole, jak błękitno-złota
Chmurka na niebie...

Drugie — przez usta Pamfila — gorzkie i zawierające, poza ogólniejszem znaczeniem, aluzyę do osobistych przykrości, na jakie naraziła poetę wycieczka do Frankfurtu: „Gdybyś nie był gonił za dziewczyną, co miała tęczę na głowie. nie zamoczyłbyś teraz butów w jadzie wężowym.“ — Dalej — po niedawnych złośliwych *Preliminaryach peregrynacyi ks. Radziwiła Sierotki,* które miały być niewątpliwie satyrą i parodyą *Pamiątek Soplicy* — zwraca uwagę zupełnie inne, w scenie trzeciej, traktowanie postaci księcia Panie Kochanku, które możemy sobie wytłómaczyć tylko objawiającą się jednocześnie, w VI pieśni *Beniowskiego,* zmianą w poglądach poety na przeszłość staroszlachecką. — Jeszcze dalej, uderzają charakterystyczne paralelizmy w znaczeniu, tonie i rytmie z powstałemi, bez kwestyi, właśnie na schyłku r. 1841 i początku 1842 pieśniami poematu.

A jednak dziwna jest piękność w oddali
I w perspektywie poetycznej —

czytamy na wstępie pieśni siódmej. A gdzieindziej, w strofach o *Panu Tadeuszu* i Litwinach (pieśń VIII):

Jednak w tej cudnej epopei żyją;
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją...
— — — — — — —
Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca.

































MÓL I SENTYMENTALIK.

Nie bajka. Rzeczywistość.

Sentymentalik chodził po pokoju bezwiednie, wielkiemi, cichemi, smutnemi, zadumanemi, niemal łkającemi w niemem cierpieniu krokami. W piersiach nosił ból, szarpiący ból—bezmierny, skubiący.

Bo było to w epoce, gdy ból noszono w piersiach i w spojrzeniach, gdy z cynicznością jawnej prostytucyi zalał on fotografie i nędzne portrety; gdy ci, którzy zbyt slabe posiadali piersi, by dosyć silnie studzić oddechem własnym wartki żar „Przeznaczenia," i których życie sparzyło, — bezsilną wyobraźnią uogólnili szybko z własnych pozorów Wielkie Niezbadane, jak przyjęto mniemać, i wyrośli nagle na Dalaj-Lamów Cierpienia; w epoce „zaświatowców" Bólu, Mistyków urojenia, Bezosobowych Indywidualistów. Wieczny im spoczynek.

Sentymentalik Bólu chodził po pokoju. Ten Ból niepojęty, dziwny, mistyczny... Jak on się przejawia w każdym ruchu, w każdym smutnym kroku. Ten Ból tajemniczy, Ból zaświatowy. — Głębia! Ten „święty, potężny, zapładniający." A ten niepokój rozczulony, dziwny, niezwykły...

Sentymentalik zwolna chodził po pokoju. — Zmierzch zapadał, szary, silny w tonie w pokojowych głębiach, jak silna była walka popołudniowego słońca z ciężkiemi chmurami. Nadchodziła godzina najcichsza, najgłębsza, droga wszystkim słabym, wszystkim kieszonkowo-drobniutko-występnym i wszystkim, co tęsknią. — Maleńki mól, szaro żółty, wątły, wypełznął zwolna z pod starej kanapy w najciemniejszym kącie i zaczął krążyć cicho, bez szelestu i bezcelowo, zda się, wśród cieniów pokoju. Istota najsmutniejsza, trocinka fruwająca. W smudze światła wpadającej przez drzwi balkonowe spotkał się z człowiekiem. Tego już ból zdenerwować zdążył. —

Och, to istnienie! Życie jest cierpieniem, śmierć wyzwoleniem. Nic tylko pokusy...

Ale znów tylko cierpienie zapładnia i tworzy. Tworzy sztukę, absolut, coś, co się nie zmienia, coś, co jest wieczyste, co się nie zużywa, absolut, absolut — największa oszczędność. Gdy kogoś na nic nie stać?..

I zapomniane, wyeliminowane Życie mściło się rozdrażnieniem. Przedtem ból, teraz znowu mól. Sentymentalik schylił się klaszcząc w dłonie, jak nie oklaskiwał nigdy najboleśniejszej „tragedyi" przeznaczenia. Lecz okoliczności, które gubią silnych, pomagają słabym; zginęliby inaczej. Powiew wiatru zniósł mola ku oknu. Nowy oklask wstrząsnął wieczornem powietrzem. Mól usiadł na szybie. Teraz walka krótka, — mól drałuje szybko, człowiek się skrada i wyciąga rękę.

„Umrze odrodzony przy szybie Mallarmé'go. — Czy nasza szyba nie jest dla mola oknem na Niepojęte?"

Lecz przerażony światłem mól, mały, szaro-żółty, bezwiedny i ciemny, nietylko nieświadomy niezłomnego fatum, lecz nawet narzędzi, jakiemi go ścigało, — sfrunął, zatoczył koło i cicho usiadł na nodze człowieka. Sukno! Już się uspokoił. —

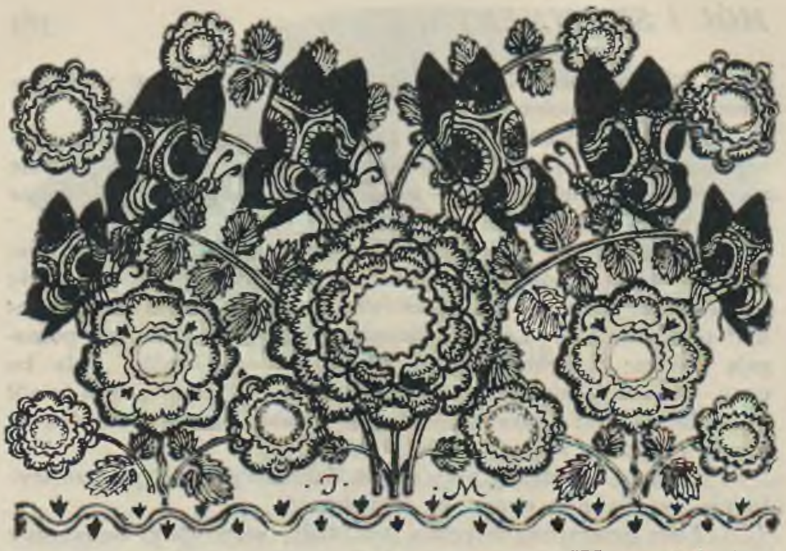
Sentymentalik patrzył przez chwilę zdziwiony. Książki się zbudziły.

„Ścigana ofiara padła dobrowolnie, wyczerpana walką, w ramiona prześladowcy. Fakirzy. Cześć dla stworzeń. Mrówki po najczarniejszym chodzące marmurze. Cześć dla zwierząt. Stara Europa. Cześć dla słabych. Szlachetność. A on przecież nie ma najmniejszej świadomości, ani swej małej winy, ani swej wielkiej, bezwiednej, bezświadomej, świętej trwogi przed Niepojętem. A przytem jestem tak wielkim panteistą. „Żem panteista trochę i romantyk." I ta dziwna, piękna, mistyczna ufność istoty słabiutkiej. A wreszcie gościnność. Potomkowie słowian..."

Zmrok zapadł zupełny. Zkądś z czwartego piętra doleciał fortepian, — dalekie dźwięki, fale tęsknicy słowiańskiej, fale bólu twórczego. W konającem świetle. Śmierć — śmierć. Przeznaczenie. — Swobodnem skrzydłem mól zatoczył koło, cicho, bez szelestu, trocinka fruwająca.

„I przytem mól się rymuje z bólem, dziwne" — rozmyślał na kanapie sentymentalik o nieświadomej i niewiadomej głębi.

Kazimierz Błeszyński



W pamiętniku.

Nietylko, pierw się najadłszy Mandragor,
Błądziły w Limbach szalone kobiety;
Nietylko Dante i trzeźwy Pythagor —
Byłem i ja tam… pamiętam, niestety!

Że byłem? tomów dwunastu na dowód
Pisać?.. sił nie mam, bo myśl mię udławia;
Jestem zmęczony! wolę jechać do wód —
Nie na wyjezdnem się o piekle mawia!

Wolę — gdzieś jechać, w pilnym interesie,
Patrząc przed siebie z obłędu wyrazem,
Wieki *potrącać, jako grzyby w lesie,*
Ludzi, Epoki!.. *mieszać wszystko razem —*

Być tam *i* owdzie — *w* on *czas*, dziś *i* potem,
Jako się wyżej albo niżej rzekło;
A nie równiejszym wracać kołowrotem,
A nie odpomnić, że zwiedziłem Piekło!..

Lecz pytasz: „owdzie, co tak wielce trudzi,
I które z bliskich spotkałem postaci? —“
— Tam braci niema, ni bliźnich, ni ludzi,
Tam tylko studia *nad sercami braci!..*

Tam uczuć niema, tylko ich sprężyny
Zdające z siebie wzajemny rachunek,
Do nieużytej podobne machiny,
Puszczonej w obieg przez pęd lub trafunek.

Tam celów niema, lecz same rutyny
Pozardzewiałe — i niema tam wieków —
Dni — nocy — epok — tam tylko godziny
Biją, jak tępych utwierdzanie ćwieków.

Nieokreślone pierwej cyfrą stałą,
Lecz fatalności pchnięte raz ostrogą,

Nie znaczą wcale, co? kiedy? się działo —
W godzinę, wybić liczby jej, nie mogą!

Rzekłbyś — w Tytańskim z wiecznością zapasie
Mniejsza! czy biją minuty? czy lata?
Iż każda wątpi o sobie i czasie —
Każda dogania się, lecz nie ulata...

Jakby wcielonej ciągle puls Ironii:
Słysząc, wiesz naprzód i wiesz ostatecznie,
Że z godzin żadna siebie nie dogoni!
Że nie wydzwoni siebie, dzwoniąc wiecznie!

A ten systemat sprężyn, bez ich celu,
Jakby tragedya bez słów i aktorów,
Jak wielu nudów i rozpaczy wielu
Muzyka gwałtem szukająca chorów:

Raz w raz porywa spazmem za wnętrzności,
Jak niezwykłego do morza człowieka;
Tylko nie spazmem nudy, lecz wściekłości,
Który, sam nie wiesz, zkąd? i po co? wścieka.

Wtedy to próba *jest, wtedy jest waga,*
Ile? nad sobą wziąłeś panowania;
Wartość się twoja ci odsłania naga —
I oto widzisz, ktoś-ty?.. *bez pytania.*

I ileś zwał się tym lub owym w Czasie?..
Lub byłeś zwany imieniem twych dziadów. —
Widzisz — i ile? nabrałeś sam na się
Z tragedyi? tonu? stylu? lub przykładów?

Co raz, to z ciebie jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Gorejąc, nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyament,
Wiekuistego zwycięztwa zaranie!..

Lecz — prawić o tem i prawić na dowód,
Że byłem owdzie? — myśl sama udławia!
Jestem zmęczony... wolę jechać do wód,
Nie na wyjezdnem o Piekle się mawia.

Wolę wsiąść na koń z jakim drabem, który,
Prócz ze swoimi, nierad bywać z nikiem,
Historyi nie zna, ni architektury,
Milczy jak pomnik, będąc sam pomnikiem!

Na dwukrańcowe wolę ruszyć szlaki
Krajów i wieków, gdzie przestrzeń granicą,

Granica? — *czasem ... i gdzie, z nad kulbaki*
Patrząc, firmament cały?.. okolicą!

[Z prologu do fantazyi:
ZA KULISAMI.]

Cypryan Norwid.



JAN STANISŁAWSKI

ur. 1860 r. w Olszanie — zm. w Krakowie 6/I 1907.

Powielokrotną przez śmierć jego sztuka polska poniosła stratę. Ubył jej artysta świetny, znawca o kulturze ogromnej i nawskróś wyrobionym smaku, entuzyastyczny a niezłomny przewodnik nowych generacyj malarskich, organizator sprężysty błąkającej się nieco gromady „dobrych twórców,“ działacz we wszystkich związanych ze sztuką sprawach nieutrudzony, człowiek, od którego ożywczo rozlewały się wokół ufność, zapał, energia i pogoda.

Jako artysta—należał Stanisławski do owego rzadkiego typu bezwzględnie szczerych, bezdennie prostych, nawet o sobie—gwoli tworzeniu swemu, gwoli „swojej prawdzie“—zapominających twórców. Żadnej w nim narcyzowości, żadnej rozlubowanej w swych sposobach i sposobikach wirtuozyi, żadnej zadowolonej z siebie maniery, żadnej wreszcie interesowności, szukającej najefektowniejszych i najpodatniejszych dla siebie tematów. Pełny greckiej jakiejś czy prasłowiańskiej pogody i radości życia, widział w naturze i jej świetlnych transfiguracyach niezgłębione piękna morze—i przed każ-

dem zjawiskiem stawał z jednako rosistą wrażenia świeżością, z jednakiem dziecięco prostem i naiwnem wzruszeniem, z jednako twórczą zadumą, jakby to nowe widzenie w nowy, jedyny sposób barwą i linią na płótnie wyczarować. Ztąd ciągła „odmienność" jego tworzenia, ztąd owa niezaznaczona dotąd należycie, ogromna, nieustanna w jego pejzażach ewolucya. W niepoliczonych seryach drobnych swych obrazków, olbrzymią przebył on drogę—coraz głębiej wglądając w naturę, coraz bardziej wychodząc poza jej materyalność, coraz bliżej docierając do owych jej krańców, które już rąbek przysłania tajemnicy. By go poznać istotnie, całą pielgrzymkę odbyć trzeba — od najdawniejszych, majstersko kończonych, lecz jeszcze niedość osobistych *coins de nature,*—poprzez głęboko sentymentowe zmierzchy i sady ukraińskie, poprzez mistyczne pochylenia i drżenia czarnych topól nad wodą, poprzez heroiczne zapasy ze słońcem na złotych kopułach cerkiewnych, poprzez wizyjnie prześwietlane, jakby niemateryalne św. Marki, poprzez bezbrzeżne melancholie rdzawych, spalonych pustyń stepowych, poprzez senne zciszenia wilgotnych patyn na słupach lagun weneckich, poprzez hejnałowe upojenia edeńsko rozkwieconych ogrodów, poprzez transfiguracyjne sezamy barw i blasków, wyczarowywanych z pozornie szarych chałup wiejskich, poprzez szeroko epickie Dnieprów panoramy czy wiatraków straże, poprzez inkrustowane wprost na płótnie Weron i Sien ballady, poprzez legendą pachnące Wawele, Tyńce, Tenczynki,— aż ku coraz syntetyczniejszym wizyom wieczyście kołujących pór roku,—aż ku coraz dramatyczniejszym niebom, zawładającym stopniowo nad resztą pejzażu,—aż ku cofniętym w marzeniowe już czysto oddale zameczkom italskim czy strzechami jeno z dna jaru wyzierającym wioszczynom ukraińskim,—aż ku coraz bardziej wyzwolonym *snom światłości* na temat tego, co rzeczywistemi krajobrazami zowiemy. Anegdota, przedmioty, szczegóły, bryłowatości nigdy u Stanisławskiego — z wyjątkiem najpierwszych, mniej osobistych początków — przeważnej nie grały roli. Od chwili owładnięcia sobą, widział on z nich wyłącznie to tylko, co zaznacza się w świetle, tylko *granie* ich w słońcu czy cieniu, tylko plam barwnych przelewność, tylko sylwet ruchliwy charakter, tylko światłości falowanie. A jakieś uczuciowe, rozkochane, zachwycone światłości owej twórczej traktowanie sprawiało, że nie była ona nigdy zimnem roziskrzeniem, fajerwerkem olśniewającym, grą obojętną barw i blasków, lecz jakby żywą duszą świata, wędrującą po ziemi i czarodziejskie, melodyjne śpiewającą o niej baśnie. I właśnie ten liryzm głęboko uczuciowy, ta bukoliczna *śpiewność* krajobrazów Stanisław-

skiego — zapewniały mu własne, odrębne, wysokie, twórcze stanowisko nietylko wogóle, w bogatych dziejach pejzażu z ubiegłego stulecia, lecz i w ściślejszem kole luministów *par excellence.* — Pod koniec życia artysty, owe dźwięczne, przeciągłe pieśni o naturze — głębszych jeszcze, organowych jakichś zaczęły nabierać tonów; subtelne, wnikliwe impresye w szerokie, zadumane jęły się mienić marzenie; w głębokich syntezach coraz więcej migotało nieuchwytnych, zaświatowych, — rzecby, metafizycznych pierwiastków i akcentów; śmiałe stylizacye linij i transpozycye barw sięgały niekiedy aż do czysto rytmicznych esencyj natury, aż do tajemniczo symbolowych jej znaczeń. Że przypomnimy tu tylko ową mistyczną prawie autolitografię Tyńca (w *Tece grafików polskich),* której niespodzianość takie, w swoim czasie, nawet między dobrymi artystami osłupiałe wywołała zdumienie. Nowy rozpoczynał się tu okres twórczości — i śmierć nie była epilogiem skończonej pracy, lecz świeżego zerwaniem wątka.

Jako profesor, jako wódz młodzi artystycznej, — mało Stanisławski miał równych sobie. Siał w dusze własny entuzyazm gorący, roznieca gorliwie każdą wrażliwość samodzielniejszą, żądał niezłomnie szczerości, energii i emocyi w realizacyach, trzebił nieubłaganie wszelkie pozerstwa, efekciarstwa i frazeologie, bez najmniejszego sobkostwa dzielił się z uczniami całą swą wiedzą, całą swą ogromną kulturą artystyczną, wymagając wzamian tylko zapału, umiłowania pracy, dzielności i radości twórczej. Kształcił nietylko oczy, lecz i dusze. Mistrzem był surowym, ale jednocześnie towarzyszem i przyjacielem i opiekunem serdecznym.

O znaczeniu Stanisławskiego, jako inicyatora i twórcy stowarzyszenia „Sztuka,“ które—przez wysokość swych postulatów, przez niezłomność w przeprowadzaniu swych dążeń, oraz przez świetność osiągniętych rezultatów, równie pod względem moralnym, jak materyalnym—tak kolosalną w dziejach naszej sztuki współczesnej odegrało rolę,—studyum osobne napisaćby można... i trzeba. Podobnież, ktoś z bliżej stojących wielostronnego i ożywionego krakowskiego ruchu artystycznego winienby szczegółowo rozpatrzyć ruchliwą niesłychanie, energiczną i owocną działalność Stanisławskiego, jako uczestnika, a często początkodawcy i organizatora, we wszystkich ważniejszych z tego zakresu przedsięwzięciach. I owe nieprzymuszone, samorzutne, częstokroć niespodziane sympozya artystyczne w cichem mieszkanku przy ulicy Pańskiej — również domagałyby się gorącego i szczegółowszego wspomnienia. Toć szło z nich nieobliczalne w skutkach promieniowanie zapału i energii, pogody i...

zgody, nie ustępczej, kompromisowej, lecz wynikającej z pominięcia drobnych niesnasek na rzecz wysokich, jedynych celów sztuki. Wszystko to znajdzie snadź urzeczywistnienie w zamierzonej zbiorowej książce o Stanisławskim, która bodajby jaknajprędzej ukazać się mogła.

Chimera żegna w nim jednego z najpierwszych i najentuzyastyczniejszych towarzyszy pracy; inicyatora — w czasie, gdy nikt jeszcze o tem nie myślał—owych znanych czytelnikom naszym autolitografij barwnych, które potem tak żywy ruch graficzny pociągnęły za sobą; przyjaciela wreszcie, obrońcę i propagatora dążeń naszych—aż do końca.

My sami ze smutkiem ślemy pozdrowienie ostatnie druhowi serdecznemu, z którym niejednokrotnie — czy to wśród natury, czy w skarbnicach muzealnych—przeżyliśmy wspólne chwile najszczerszych i najgorętszych uniesień artystycznych.

Z. P.

VARIA

ZESZYT OSTATNI w więcej niż zdwojonej oddajemy czytelnikom objętości. Mimo druku wyłącznie prawie petitowego — zawiera on arkuszy 18, co drukiem zwykłym wyniosłoby około arkuszy 23, zamiast normalnie przypadającyeh na zeszyt — dziesięciu. Nadto, w całym tomie X-ym, daliśmy, zamiast zwykłych trzech plansz artystycznych, dziewięć różnorodnych reprodukcyj z dzieł sztuki plastycznej, nie licząc świeżo wykonanych frontispisów całostronnicowych i mnóstwa rysunków zdobniczych.

GŁOWA CHRYSTUSA, którą dołączyliśmy na czele tomu niniejszego, jest fragmentem centralnym z *Wieczerzy* Leonardowskiej, z owego zwolna doumierającego arcydzieła, o którem niezadługo snadź już prawdą się staną bolesne strofy d'Annunzia:

...lo specchio dell' Ideale,
o Poeti, la misura degli Eroi,
la somma dell' Arte,
il vertice del Pensiero e del Mistero,
il segno visibile dell' Immortale
muore, o Poeti, non è più.

Kto nie był w skromnym refektarzu medyolańskiej Najświęt-

szej Panny Łaskawej, nie ma, nie może mieć o tym arcytworze sztuki malarskiej najmniejszego pojęcia. W kopiach i reprodukcyach całej kompozycyi ginie zazwyczaj to, co ją wprost nadludzką czyni: ów wyraz twarzy Chrystusa, wyraz twarzy istoty stojącej „su la cima ultima della Conoscenza,“ wyraz twarzy Człowieka-Boga. Odtwarzając samo tylko oblicze, w większych skutkiem tego rozmiarach, spróbowaliśmy dać choć część właściwego wrażenia czytelnikom, którzy pielgrzymki do Medyolanu odbyć nie mogą. Radzimy przypatrywać się tej głowie niejednokrotnie, porównywając ją z Leonardowskim również, pierwszym szkicem Chrystusa z galeryi Brera, takim skończenie pięknym malarsko, a jednak takim—tylko ludzkim.

UPANISZADY Berenta wytwornie przyozdobił Edward Okuń rysunkami zaczerpniętemi wyłącznie z motywów indyjskich. Wrota naczelne są linijnem odtworzeniem srebrnego ołtarza; wzorów na nagłówki, zakończenia i przerywniki dostarczyły szale, porcelany, koronki, srebrne nabijania na zbrojach i wytłaczania barwne. — Zwracamy również uwagę czytelników na wspaniały frontispis tegoż artysty do *Marchołta* Kasprowiczowskiego.

ZE ZDOBNICZEMI RYSUNKAMI Odilona Redona (nowością u wielkiego tego artysty), towarzyszącemi z taką jedyną odpowiednością fantastycznemu *Intermezzu* M. Komornickiej,— mogliśmy zapoznać czytelników naszych dzięki koleżeńskiej uprzejmości redakcyi miesięcznika *Wiesy* (la Balance), która z całą. dobrą chęcią wypożyczyła nam ich klisze. Składamy jej za to szczere podziękowanie.

WSPANIAŁY TOM utworów prozą Cypryana Norwida, w wytwornem tłómaczeniu niemieckiem p. J. P. d'Ardeschah, wyszedł nakładem znanej firmy księgarskiej J. C. C. Brunns'a w Minden. Przekłady poprzedza szersze studyum, w którem p. d'Ardeschah stara się dotrzeć do istoty twórczości Norwida, wykazuje wódzcze jego znaczenie nietylko w literaturze polskiej, lecz i powszechnej, z entuzyazmem wita tę gwiazdę pierwszej wielkości, wynurzającą się nareszcie z mgieł długiego zapomnienia nad horyzontem całej Europy duchowej,—i twardemi słowy zapomnienie owo piętnuje.— Tylko, co ma znaczyć zdanie, że „der Dichter nicht in seiner Muttersprache, sondern in einer Uebersetzung *zuerst* an die grosse Oeffentlichkeit tritt“? Toć przekłady nie były dokonywane z rękopisów. Zdanie takie może — zupełnie zbytecznie — łudzić Niemców, iż oni pierwsi odkrywają wielkiego twórcę, którego bezśladne przej-

ście przez życie jest — jak pisze jeden z najgłośniejszych poetów niemieckich—„hańbą ludzkości.“ Hańba ta jest przedewszystkiem udziałem naszych „historyków literatury i krytyków,“ którzy aż do ostatnich czasów, od Koźmianów i Wężyków, poprzez Nehringów, aż do Brücknerów, widzieli w Norwidzie tylko popsutego przez damy zarozumialca, tylko umysł pełny zagadkowych i niezrozumialych myśli, tylko naśladowcę, „kopistę“ Słowackiego. Ale i Niemcy nie są od niej wolni. Toć od roku 1863 mieli pod ręką wydany u Brockhausa a pełny arcydzieł zbiór *Poezyj* norwidowskich, który do nas z trudnością się przedostawał, im zaś był zupełnie dostępny, — i nawet go nie zauważyli. A były to przecież jeszcze czasy, gdy „Muttersprache“ poety nie była obcą tym i owym inteligentom niemieckim...

NORWID PO NIEMIECKU zaalarmował nareszcie dzisiejszych naszych „historyków literatury i krytyków,“ którzy dotąd wzgardliwie ruszali ramionami na tę *lubie* „modernistów.“ Dziś już jest to dla nich — o metamorfozo! — „postać niezwykla,“ „duch wzniosły,“ dziś już dostrzega się z łatwością „piękności tające się nieraz pod osłoną ściśle zwartej (?) oktawy,“ dziś już objawia się ochotę do urzędowych z katedry „wyświetleń“ w sprawie poety „zajmującego na parnasie polskim własne a osobne miejsce,“ dziś wreszcie wydobywa się na jaw poematy, które *„od lat kilkunastu“* mialo się ręku i... chowało pod korcem, albo listy, o których nawet nie bardzo się wie, do kogo były zwrócone,—i drukuje się je z pełnem komicznej *Schadenfreude* zaznaczeniem, że są to rzeczy „nieznane nawet tym, którzy w sposób bliższy zajmowali się“ Norwidem. — Stara, znana *metoda „przyczynków.“* — — Możemy zapewnić was, łaskawi panowie, że dzięki zasługom waszych poprzedników, którzy zaprzepaścili wielkiego poetę, — ani wy, ani my nie znamy dotąd *całych może setek* jego utworów i listów. Szukajmy więc razem — i owszem. Ale bez blag „przyczynkowiczowskich.“ Pretensyj zaś do „wyświetleń“ możeby lepiej zaniechać, skoro się tak dlugo nic w tym kierunku nie umialo zrobić — i skoro wielkość poety została już wyświetlona — bez was i przeciwko wam.

POTĘŻNY GENIUSZ TWÓRCZY Mehoffera, którego dolą w kraju bylo spotykać komicznych znawców w hr. Lanckorońskich i komiczniejszych jeszcze sędziów w różnych, starszych i młodszych, kolegach po sztuce, dostrzegających w nim zaledwie „tęgiego malarza,“—należnej wreszcie, głębokiej i wielbiącej, w *Etudes d'art étran-*

ger p. Williama Rittera, doczekał się oceny. Gorąco polecamy tę książkę (wyd. *Mercure de France*) czytelnikom naszym. P. Ritter jest szczerym, zapalonym miłośnikiem sztuki, wędrowcem dawnym po wszystkich europejskich jej ogniskach, znawcą głębokim, jednako wyzwolonym z komunałów akademickich i z zacietrzewień młodokierunkowych. Obszerne, kilkudziesięciostronicowe studyum o Mehofferze oparł w przeważnej części na wszechstronnem rozpatrzeniu witrażów jego w katedrze fryburskiej. *Cicerone* to świetny, jedyny, po owych bajecznych, zwolna dopiero ogarniać się dających sezamach wyobraźni twórczej, po owych stłoczonych, potopowych, a tak przeczyście, tak harmonijnie rozwiązujących się fantasmagoryach form, plam, linij, alegoryj i stylizacyj, po owych niesłychanych, nieopisanych orkiestracyach polichromii, z cudowną niepojętą równowagą przechodzącej od najszaleńszych rozżarzeń koloru do najsubtelniejszych, najbardziej ściszonych jego odcieni. Dla całej tej Golkondy idei twórczych, wizyj kompozycyjnych i pomysłów dekoracyjnych, dla całego tego świata kształtów, barw i świetności znajduje p. Ritter tak doskonałe, takie magiczne równoważniki słowne, że opisy i analizy jego stokroć lepsze dadzą czytelnikowi przeczucie rzeczy, niż niedołężna, kłamliwa reprodukcya witrażu św. Katarzyny i św. Barbary w *Sztuce Polskiej*. W nas—cośmy kiedyś, wędrując przez Fryburg, mieli sposobność podziwiać genialną, olśniewającą starej katedry iluminacyę — książka krytyka francuzkiego aż do szczegółów najżywsze rozbudziła wspomnienia. „Nigdy"—reasumuje swe wrażenia p. Ritter — „indywidualność nie stwierdziła się dumniej i wynioślej. Te witraże są placówką sztuki słowiańskiej wysuniętą na Zachód. Świadczą one, że sztuka słowiańska niczego się już od Zachodu uczyć nie potrzebuje." A gdzieindziej dodaje: „Jest to jedna z pięciu czy sześciu najważniejszych realizacyj twórczych w całych dziejach sztuki współczesnej."

Tę szczegółową analizę witrażów fryburskich uzupełnia przegląd innych dzieł Mehoffera, w ciągu którego wyraziście wyłania się sylweta tego genialnego poety-marzyciela o szekspirowsko bogatej i rozległej wyobraźni, urodzonego dekoratora, w którego oku cała rzeczywistość przekształca się w jakąś nieustanną uroczystość linij ruchliwych i plam rozkosznych, kolorysty wychodzącego zwycięzko z najwścieklejszych zamętów barwnych, rysownika i malarza, dla którego żadne nie istnieją trudności, artysty-władcy, który „le plus glorieusement, le plus superbement" zdołał otrząsnąć się z wszelkich konwencyj i wszystkim dziełom swym nadać cechę nawskroś osobistą i nawskroś polską.

Studyum p. Rittera o Mehofferze zasługiwałoby na przekład niezwłoczny.

ZMARŁA poetka wytworna, głęboka, samodzielna, — Ludwika Kalenkiewiczowa (El-ka). Na słodyczkowatej niwie sentymentalizmów warszawskich, krzepki, odrębny kwiat jej talentu, nowe, niespodziane drogi myśli i czucia, bujne, niezwykłe obrazy i przenośnie—tylko dziwacznemi wydać się musiały. To też jakaś powiatowa, dziś zapomniana broszurka zaliczyła ją wraz z Miriamem i Langem do rzędu dekadentów warszawskich. Poza tą etykietą — mało kto o niej co wiedział. Utwory jej, bardziej od wielu głośnych, zasługują, aby je zebrać i wydać. Czy jest kto, coby mógł się tem zająć? — — Chimera drukowała wspaniałe przekłady Kalenkiewiczowej z Rodenbacha (IV, 187) i Verhaerena (IX, 141, 489), w niniejszym zaś zeszycie podaje własną jej, mocy i charakteru pełną *Fantazyę liryczną*. — Jeszcze jednej twórczej duszy, bezpamiętnie ze świata schodzącej, — cześć i pamięć.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI, autor *Circenses*, wydaje w styczniu roku 1908 nowy tom utworów poetyckich p. t. *Z zapatrzeń*. Książka składać się będzie z cyklu lirycznego: *Cantationes*, oraz z poematu *Kosmos*, którego część pierwszą wydrukowaliśmy w niniejszym zeszycie Chimery. Część druga nosi tytuł: *Elementa*. — Nakład ograniczony do 125 egzemplarzy. Cena rb. 3. Zamówienia przyjmuje księgarnia E. Wende i S-ka w Warszawie.

CHIMERA.

SŁOWA OSTATNIE.

CHIMERA spełniła, na razie, najważniejszą część swoich zadań. Wskazała nielicznemu gronu istotnie pragnących nowe miary i wartości, nowe horyzonty i poziomy, rozbudziła w twórcach i czytelnikach głębsze pragnienia, wyryła na duszach żywych ślad niezatarty.

Czas teraz, aby odeszła w przeszłość, w legendę, pora, aby przestała być czasopismem, które bądź co bądź zawsze bez należytego czyta się skupienia, jako rzecz bieżącą, nie ostatnią, z myślą, że po danym zeszycie przyjdzie następny...

Norwidowskie takie PRZEMILCZENIE od dalszego jej wydawania owocniejszem być może. Gromadka jej współtwórców rozejdzie się po świecie—i zamiast jednego wspólnie promieniującego ogniska wytworzy się ich szereg. Czytelnicy znowu, nie oczekując następnych zeszytów, niejednokrotnie powrócą snadź do dawniejszych—i niejedno dawniej pominięte padnie im w duszę ziarno, bo CHIMERA była wydawana nie na dziś jeno, i treść jej po latach nic ze swej nie utraci wartości. I jak coraz dalsze kręgi na wodzie, szerzyć się będzie ten niewidzialny ducha żywot, aż gdy się znowu kiedyś potężniej wzmoże i w nowej garstce sług wiernych Grala zestrzeli,—zrodzą się, niby Euforion, syn piękna i zadumy, nowe naszej Chimery wcielenia.

Postanowiwszy uczynić zeszyt niniejszy ostatnim,—nie bez wzruszenia jednak żegnamy i sam korabl z banderą Chimery, na który—pomnicie towarzysze?—z takim w słońca wiodącym siadaliśmy zapałem, —i was, wysoka drużbo twórcza, wytrwała a niezłomna,—i was, nieliczni czytelnicy wierni, dla których księgi nasze nie rozrywką były, ale potrzebą.

Żegnajcie i pomnijcie!

ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM).

WYDAWNICTWA CHIMERY.
WIDOK, 13. — WARSZAWA.

HUGO von HOFMANNSTHAL
(*tłom.* ST. WYRZYKOWSKI)
O WIERSZACH. DYALOG . . . . (Niema w sprzedaży)

MARYA KOMORNICKA
BIESY . . . . rb. — kop. 60

FRYDERYK NIETZSCHE
(*tłom.* ST. WYRZYKOWSKI)
DUSZA DOSTOJNA (Was ist vornehm?) . . Wyczerpane.

JÓZEFIN PELADAN
(*tłom.* MIRIAM)
OSTATNI WYKŁAD LEONARDA DA VINCI kop. 60

WŁ. ST. REYMONT
KOMURASAKI . . . , ... rb. — kop. 50

JAN RUNDBAKEN
ŚLADEM ROSYNANTA . . . . rb. 1 kop. 20

MARCELI SCHWOB
(*tłóm.* MIRIAM)
KRUCYATA DZIECIĘCA . . . . rb. — kop. 80

HR. DE VILLIERS DE L'ISLE ADAM
(*tłóm.* MIRIAM)
AXEL . . . . , ... rb. 2 kop. 50

JULIUSZ ZEYER
(*tłóm.* MIRIAM)
KRÓL KOFETUA . . . . rb. — kop. 80

STEFAN ŻEROMSKI
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU . rb. 1 kop. —

Cena egzemplarzy wytwornych, odbitych na grubym papierze żeberkowym, — podwójna. Zostało jeszcze niektórych po kilka.

Rysunki, inicyały i ozdoby do książek tych wykonali: St. Dębicki, Edw. Okuń, Fr. Siedlecki, J. Stanisławski, M. Wawrzeniecki, Fr. Wojtała i M. Żuk.

POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KRONIKA.

DODATKI ARTYSTYCZNE.

OZDOBY, WINIETY, INICYAŁY.

RYSUNEK OKLADKOWY — JÓZEFA MEHOFFERA.

KARTA TYTULOWA — EDWARDA OKUNIA.



Światłodruki wykonano w zakładzie chemigraficznym B. WIERZBICKIEGO i S-ki; autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SYNÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: ALEKSANDER TATAROWSKI i FRANCISZEK GRYCZYNSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WARSZAWA, WIDOK, 13.

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMYCKI.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.



Świetna konstelacya duchowych odrodzicieli Polski dzisiejszej straciła jedną z gwiazd najjaśniej gorejących. Wielki twórca uniwersalny, władca w różnych sztuki dziedzinach jednako absolutny, wskrzesiciel mytów praodwiecznych i nowożytny wyzwolony Hamlet-bohater, wizyoner wielkości, świętości, mocy i nieugięcia, wyczuwacz i ewokator—„w grozie i sile“—„prawdy światów innych, wiedzy zaświatów,“ rapsod życia wszechogarniającego, bez granic w czasie i przestrzeni, harfiarz, „piewca Boży“ tryumfującej ducha wolnego potęgi,

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

zmarł w Krakowie — w całej pełni pragnień, zamysłów i urzeczywistnień twórczych, acz ciałem skruszony i zniszczony, lecz duszą aż do końca zwycięzki — d. 28 listopada w 38 roku życia.

Drogocennej a tajemniczej piękności jest po nim puścizna. Znaczy ona kolejne etapy ducha „w lotnej pogoni“ ku „rzeczom tajemnym,“ „dążącego przejść przez gęstwy ciemne —

za onym dzwonem, co nad gęstwą dzwoni
i świat dzwonieniem inny zapowiada.

Znaczy ona stopniowe wydobywanie się z „ciemności zmysłów,“ z mroku niepewnych, niewyraźnych przeczuć i pragnień, aż ku uświadomieniom najwyższym, aż ku poczuciu — poprzez migotliwie zmienną zjawisk szatę—wiekuiście niezmiennej bytu istoty. Geniusz ewokatorski jest zawsze jednaki, ale jakże wzmaga się moc wizyonerska, jakże rośnie w bezmiar potęga marzenia! Jakież przestrzenie między pierwszemi, nieokreślnemi „wielkiemi tęsknotami za tem co hej w oddali“—a „czuciem i uczuciem c z ł o w i e k a, który chce czynów swoich, sobie przeznaczonych nieomylnie się doczekać.“ Jakież bezbrzeża między tajemnym powiewem ducha, gnącym niby łan zboża tę przeróżnorodną w *Weselu* gromadę — a kolosalną symfoniczną wizyą samotwórczego wszechwskrzeszenia w *Akropolis*. Jakież zbocza strome, jakie orle percie między pierwszą wizyą chylącej się, niby przeznaczenie groźne, trumnicy Stanisławowej w witrażu—a archanielską, „wzniesioną ponad czas, ponad żywot, ponad świat, w tysiąc lat“ transfiguracyą biskupa, jego błogosławieństwem duchowi wybłyskającemu z pogańskiego rapsoda i je-

go nadludzkim ze Śmiercią dyalogiem, pogrzmiewającym w swej cichości niby światów całych stawanie się i walenie.

Na takich wyżynach, horyzonty rozbiegają się w nieskończoność, przestają istnieć przeszłości i przyszłości, niemasz rzeczy martwych i żywych, poeta wzbija się nad czasów bezmiarem, nad wszechistnienia bezbrzeżem, — i wszystkie twory—mówi Emerson — zstępują parami i rodami w głąb' jego duszy, jak do arki Noego, aby potem z niej wyjść jako mieszkańcy nowego świata. Oto Pandora jawi się pośród rusałek i wiślanek, litewskie boginki, świtezianki, wiedźmy, Mendogi nawołują do Mickiewicza z wyżyn kopuły św. Piotra, Jakóby i Ezawy, Hektory i Pryamy zstępują z gobelinów i żyją znów w noc zmartwychwstanną na Wawelu, Demeter z Korą przechodzą pośród spiskowców belwederskich, Noc mówi do Ajasa, Fale do Achillesa, dzwony krakowskie ludzkiemi śpiewają głosami, Wieści, Echa, Świsty, Poświsty naszeptują grozę Bolesławowi, Chochoły słomiane przygrywają tańcom omartwiałości, Erynnie ścigają Konrada po pustej scenie teatru krakowskiego, Śmierć rozmawia z biskupem, Chrystus jednoczy się z Apollem — a rzeczy wypowiadane przez te obrazy bywają stokroć wspanialsze od wszelkiego obrazu.

Zawrotną, upojną śpiewa poeta pieśń Wszechżycia. Jedynem naruszeniem jej olbrzymiej harmonii, jedynem złem, jedyną martwotą wydaje mu się brak „woli dusz." To też o nią—w *Weselu*—upomina się naiwnie ludu poczucie („trzeba umieć ino chcieć"), to też jej żądać każe Śmierć biskupowi w ostatnich chwilach ofiarniczych, to też najwyższem zadaniem wielkich duchów, „dorosłych wolą i godziną," jest „budzić i wzniecać dusze" — ku woli, ku samodzielności twórczej, ku zmartwychwstaniu w młodości, ogniu i sile, — nie pouczać, nie poprawiać, nie rozwijać, nie rządzić, lecz budzić i wzniecać, aby *KAŻDY TAKIM BYŁ, JAKIM JEST,* i własną jeno *RÓSŁ DUSZĄ.*

Takie dno przeziera z pod płynnej, ruchliwej, migotnej, szmernej i dźwięcznej gry fal, jaka opływa — równie widza z charakterystycznych syntez linijnych malarza, chwytających same jeno rytmiczności kształtów i ruchów, — jak słuchacza i czytelnika z niewysłownych kantylen i melopej, refrenów i nawrotów, melodyj i harmonij wiersza poety. Dzwoni w tem wszystkiem taka „dusza muzyczna," że kto wie, czy nie ona była główną acz skrytą całej wielkiej twórczości tej władczynią i rodzicielką.

Na analizy i charakterystyki przyjdzie kiedyś czas—odpowiedniejszy. Nad świeżym dziś grobem — pożegnanie oto tylko, żarliwe a skupione uprzytomnienie sobie niektórych, najdroższych rysów duchowych tego, co odszedł....

HYMN

VENI CREATOR
NARODU ŚPIEW
DUCHA ŚWIĘTEGO
WEZWANIE:

CZYLI
W SEJMOWEM KOLE
W ŚWIĄTYNI ŚWIĘTYCH
W KATEDRZE
W GROMADZIE GMINY
W ZBORZE PRACUJĄCYCH
W HUFIE ŻOŁNIERZY
W POLU NA ROLI
W DOMIE
W ZAGRODZIE RĘKODZIELNIKA
WE DWORZE W PAŁACU W ZAMKU
W CHAT OKOLU
JAK RZEK STRUMIENIE
OD POMNIKÓW GÓR
PO WÓD ROZTOCZE
WE WICHRZE W PROMIENIU W GROMIE
W ORCE
PRZY ZIAREN SIEJBIE
JAK MOWA SIĘGA

ORĘDZIE:

Zstąp Gołębica Twórczy duch
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrośli wraz.

Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszechmogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdrój żywy, żar.

Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszczy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.

Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męzki ton.

Odwołaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.

Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznan Syn,
zwól w Tobie Światłość światu dać,
zwól z wiarą wieków podjąć CZYN.

Z tekstu łacińskiego napisał Stanisław Wyspiański.

SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW,

(TOM X. — 1907.).

